

TESSA DE LOO

BLIŹNIACZKI

De tweeling

tłumaczyli Ewa Jusewicz-Kalter Sławomir Paszkiet

PRACOWNIA SŁÓW



*Świat jest wielki,
świat jest piękny,
kto wie, czy się jeszcze spotkamy*

CZEŚĆ 1
MIĘDZYWOJNIE

1.

- *Meine Güte*¹, cóż to za miejsce, umarł tu ktoś?

Lotta Goudriaan ocknęła się gwałtownie z miłej drzemki, z lekkiego znieczulenia: być w podeszłym wieku, a jednak nie odczuwać swojego ciała. Zaczęła śledzić przez rzęsy krągłą postać, która - podobnie jak ona sama - naga pod płaszczem kąpielowym o niewinnej błękitnej barwie, głośno zamknęła za sobą drzwi. Okazując wyraźną niechęć, kobieta weszła kołyszącym się krokiem do mrocznej sali wypoczynkowej, krocząc między dwoma rzędami pustych łóżek, z wyjątkiem tego, na którym leżała Lotta - jej ciało tkwiło pomiędzy świeżymi prześcieradłami, jak długotrwała, rozwlekła historia chorób. Instynktownie zanurzyła się głębiej w pościeli. Owa niestosowna uwaga wypowiedziana została po niemiecku. Po niemiecku! Czegóż Niemka mogła szukać właśnie tutaj, w Spa, gdzie na każdym placu, na każdym skwerze znajdował się pomnik z wykutą w kamieniu listą ofiar dwóch wojen światowych? W jej własnym kraju roilo się od kurortów. Dlaczego Spa? Lotta zamknęła oczy i usiłowała usunąć ją ze świadomości, z natężeniem zwracając uwagę na gruchanie gołębi, które - niewidoczne za białymi roletami z marszczonego jedwabiu - zgromadziły się na krawędzi dachu i na wewnętrznych dziedzińcach Instytutu Wodolecznictwa. Każdy ruch Niemki stanowił jednak hałaśliwą prowokację. Nie starając się zachowywać cicho, ściągnęła koce z łóżka znajdującego się naprzeciw tego, na którym leżała Lotta. Wyciągnęła się na nim, ziewnęła ostentacyjnie i westchnęła; nawet gdy w końcu ułożyła się spokojnie, sprawiając wrażenie, że poddała się zalecanemu odpoczynkowi, zapadła wówczas taka cisza, że aż bolało w uszach. Lotta przełknęła ślinę. Poczwała, że z żołądka zaczyna pełznąć w kierunku gardła swoiste napięcie, umysłowa niedyspozycja, która opanowała ją również poprzedniego dnia, gdy siedziała zanurzona aż po brodę w borowinowej kąpieli.

Poddawała się wówczas ciepłu kwaśnej papki torfowej, roztopiającej jej zeszywniałe stawy, gdy nagle przez uchylone drzwi wpadły do łazienki tony dawnej piosenki dziecięcej, nuconej niepewnym mezzosopranem przez kobietę w podeszłym wieku. Piosenka ta, po raz pierwszy od siedemdziesięciu lat wdzierająca się do jej świadomości z przylegającej łazienki, wzbudziła w niej mieszane uczucia niejasnego lęku i poirytowania - uczucia, przed którymi

¹ (niem.) - wielkie nieba

wiekowa pacjentka musi się mieć na baczności, siedząc w kąpeli borowinowej o temperaturze czterdziestu stopni Celsjusza. W brązowej brei, między pływającymi wokół okruchami, ziarenkami i na wpół rozpadłymi gałązkami czaił się atak serca. Nagle poczuła, że nie zniesie dłużej tego ciepła. Uniosła się z trudem i stanęła chwiejnie pośrodku metalowej wanny, jej ciało kryła warstwa płynnej czekolady, wygładzającej wszelkie nierówności. To tak, jakbym umarła i została pochowana - pomyślała. Uświadomiwszy sobie, że jeśli będzie tak stała, wówczas na kobiecie, która za chwilę przyjdzie ją opłukać, zrobi wrażenie osoby nierozumnej i spanikowanej, ugięła powoli kolana, uchwyciwszy się obiema dłońmi brzegu wanny i zanurzyła się z powrotem w brei. W tym samym momencie równie gwałtownie, jak się zaczęła, piosenka urwała się nagle, tak jakby nie była niczym innym niż rozbłyskiem utraconego, nierealnego wspomnienia.

Niemka nie wytrzymała w łóżku długo. Po kilku minutach poczłapała znów po zniszczonym parkiecie w kierunku stolika, na którym obok wieży wsuniętych jeden w drugi plastikowych kubeczków znajdowały się dwie butelki wody mineralnej. Wbrew sobie Lotta obserwowała dokładnie jej działania, jakby coś ją zmuszało do tego, by mieć się na baczności.

- *Excusez-moi madame...* - nieoczekiwanie kobieta zwróciła się do Lotty niezręcznie szkolną francuszczyzną, nieznacznie modulując głos. - *C'est permis...* że... można napić się tej wody?

Historia, która teraz nastąpi, prawdopodobnie nie wydarzyłaby się, gdyby Lotta również odpowiedziała po francusku. Odrzekła jednak z nagłą brawurą:

- *Ja, das Wasser können Sie trinken*¹.

- *Ach so!* - zapomniawszy o wodzie, kobieta zawróciła do łóżka Lotty, wykrzykując radośnie: - Pani jest Niemką!

- Nie, tak, nie... - zaczęła się jąkać Lotta. Lont jednak został już zapalony i kobieta z cichym szelestem zbliżyła się do niej. Wszystko w niej było szerokie i zaokrąglone, podstarzała Walkiria, która się nie wycofuje. Stanęła w przejściu, rzucając na łóżko Lotty wyraźny cień. Spojrzała na nią zachęcająco:

- Skąd pani pochodzi, jeśli wolno zapytać?

Lotta próbowała się wycofać ze swej wcześniejszej impulsywności:

- Z Holandii.

- Ależ pani niemiecki jest bezbłędny! - naciskała kobieta, rozkładając szeroko krągłe dłonie.

¹ (niem.) - tak, może pani napić się tej wody

- Z Kolonii - przyznała Lotta bezdźwięcznym tonem wymuszonego wyznania - tam się urodziłam.

- Z Kolonii! Ależ ja również pochodzę z Kolonii!

Kolonia, Koln. Podczas gdy nazwa miasta rezonowała jeszcze w sali wypoczynkowej, która nigdy nie doświadczyła w swoich murach niczego innego poza absolutnym milczeniem, przez chwilę wydało się Lotcie, że Kolonia to potępione miejsce, z którego lepiej nie pochodzić, że jest to miasto, co za odwagę swoich mieszkańców zostało ukarane całkowitym zniszczeniem.

Otworzyły się drzwi. Do sali wszedł zatopiony w myślach mężczyzna w średnim wieku, szurając nogami; wybrał jedno z łóżek i bezgłośnie wsunął się między prześcieradła, po czym w zapadającym zmierzchu widać było jedynie niewyraźny kształt przypominający śmiertelną maskę. Wszystko było znów tak jak być powinno, z wyjątkiem Niemki. Pochyliła się do przodu i szepnęła:

- Czekam na panią w holu.

Lotta pozostała w sali, czując się zmieszana i poirytowana. „Czekam na panią!” - to zabrzmiało jak rozkaz. Postanowiła go zignorować. Jednak im dłużej leżała, tym większy ogarniał ją niepokój. Natrętnej Niemce udało się zaburzyć innej osobie drogo opłacony odpoczynek. Nie było mowy, by jej umknąć: w sali wypoczynkowej znajdowały się tylko jedne drzwi, które prowadziły do holu.

W końcu gwałtownie wstała z łóżka, wsunęła stopy w klapki, zacisnęła mocno pasek w talii i ruszyła w stronę drzwi, postanawiając jak najszybciej pozbyć się tej kobiety. Wejście do wypełnionego światłem holu wydawało się wkroczeniem do świątyni poświęconej bogini zdrowia. Podłoga z dużych, skośnie ułożonych płyt z kremowego marmuru, jak również nieograniczony widok balustrady na pierwszym piętrze, stwarzały wrażenie rozciągnięcia w przestrzeni. Wrażenie to potęgowało jeszcze malowidło na suficie przedstawiające Wenus śmietankowego koloru, która wylaniała się w muszli z morza, otoczona przez pulchne cherubiny. Nieustannie rozlegał się tam również odgłos płynącej wody, wywołany przez dwie fontanny z szarobrazowego żyłkowanego marmuru, znajdujące się po obu stronach holu, otoczone solidnymi greckimi kolumnami. Z połączanej głowy kobiecej wychodził podobny do wysuniętego języka błyszczący kranik. Wydobywał się z niego cienki strumyk wody. Jedna z fontann, pokryta brązowym nalotem pochodzącym z żelazistej wody - bogata arystokracja europejska doszukiwała się w niej w lepszych czasach remedium na anemię, połączona była bezpośrednio z Source de la Reine, druga z nich - z Source Marie-Henriette, źródłem, z którego wypływała aksamitnie delikatna woda, usuwająca z ciała wszelkie

toksyny.

W tym królestwie wiecznej młodości podstarzała Niemka przywłaszczyła sobie antyczne krzesło. Przeglądając jakieś czasopismo i popijając ze szklanki małymi łydkami wodę mineralną, czekała na Lotte, która zbliżyła się z wahaniem, usiłując się wykręcić:

- *Entschuldigung bitte*¹, niestety nie mam czasu.

Kobieta uniosła się z trudem ze swojego eleganckiego empierowego krzeselka, na jej twarzy pojawił się wyraz cierpienia.

- Proszę posłuchać - powiedziała. - Pani pochodzi z Kolonii. Chcę panią tylko zapytać, przy jakiej ulicy pani mieszkała.

Lotta oparła się o jedną z kolumn, której karbowana powierzchnia poprzez tkaninę płaszcza kąpielowego zaczęła jej się wbijać w plecy.

- Nie pamiętam. Gdy miałam sześć lat, zabrano mnie do Holandii.

- Sześć lat - powtórzyła kobieta z podnieceniem - sześć lat!

- Pamiętam tylko - rzekła Lotta z wahaniem - że mieszkaliśmy w kasynie... czy też w budynku, który kiedyś był kasynem.

- To nieprawda! To nie może być prawda!

Głos Niemki przybrał na sile. Zbliżyła dłonie do czoła i przycisnęła do skroni czubki palców.

- To nie może być prawda!

Jej podniesiony głos wypełnił bezwstydnie świętą przestrzeń, odbił się od marmurowej podłogi i poszybował do góry, zaburzając pełną spokoju scenę na suficie. Lotta przyglądała się jej szeroko otwartymi oczyma. Pełna przerażenia? Pełna radości? Czyżby straciła zmysły? Kobieta otwarła szeroko ramiona, podeszła do Lotty i objęła ją.

- Lottchen - wyjąkała - czyż tego nie rozumiesz? Naprawdę nie rozumiesz?

Ściśnięta między kolumną a ciałem Niemki, Lotta poczuła zawrót głowy. Z całej siły pragnęła uciec przed tą dziwną intymnością, ulotnić się, zniknąć bez śladu. Trwała jednak bez ruchu, unieruchomiona między swoim pochodzeniem a swoją selektywną pamięcią, które już dawno temu zawarły między sobą pełne wrogości przymierze.

- *Du... meine Liebe*² - szepnęła jej kobieta do ucha - to przecież ja, Anna!

Latarnia magiczna z początku XX wieku pozostawia szerokie pole dla wyobraźni. Pustą przestrzeń między dwoma wyświetlanymi obrazami muszą wypełnić sami widzowie.

¹ (niem.) - Proszę mi wybaczyć

² (niem.) - Ty... moja kochana

Przed ich oczyma pojawia się wystający nad ulicą wykusz na pierwszym piętrze, w stylu *art nouveau*. Do szyby przyciskają się dwa nosy, dwie pary oczu z lękiem rejestrują przechodniów w dole. Widziane z góry, wszystkie kobiety wydają się do siebie podobne: kapelusz na upiętych włosach, długi dopasowany płaszcz z małymi guzikami, sznurowane trzewiki. Jednak tylko jedna z nich trzyma kurczowo pod pachą niewielką skrzynkę z błyszczącego aluminium z cenną zawartością. Codziennie pod wieczór widzą, jak kobieta ta zamyka za sobą po drugiej stronie ulicy podwójne drzwi Die Hoffnung i z zamkniętymi w skrzynce całodziennymi zyskami przechodzi przez ulicę. Gdy wchodzi do domu, dziewczynki tracą swoje zainteresowanie skrzynką; chodzi im teraz o matkę, która po to, by móc je wziąć na kolana, musi najpierw odpiąć milion guzików. W wyjątkowych wypadkach wolno im razem z nią pójść do sklepu; jego nazwa zdradza przechodniowi, że ma do czynienia z socjalistyczną spółką. Ich matka, która króluje za wysoką, brązową kasą jak księżniczka i wyjmuje dla nich z kartonowego pudełka czekoladowe ciasteczko, jest najważniejszą osobą w dziedzinie wszelkich operacji finansowych. Od czasu gdy usiadła za kasą, zyski się podwoiły. Jest inteligentna, pracowita i godna zaufania. Jest również chora, nikt jednak jeszcze o tym nie wie. Choroba wyniszcza ją stopniowo od środka, podczas gdy na zewnątrz pozostaje pulchną, westfalską blondynką.

W latarni magicznej pojawia się inny obraz - ostrożnie, obrazy te muszą pozostawać we właściwej kolejności. W domu znajduje się pokój, do którego wolno im wchodzić jedynie w towarzystwie ojca. Panujący tam wiecznie półmrok przesiąknięty jest gorzkosłodkim zapachem. W dębowym łóżku, pod złowieszczym miedziorytem przedstawiającym czarne skały i spiczaste świerki, leży ich matka - obca osoba o zapadniętych policzkach, z niebieskimi cieniami pod oczyma. Gdy się do niej zbliżają, na jej twarzy pojawia się zrezygnowany, bolesny uśmiech; na ten widok dziewczynki cofają się. Pewnego dnia ich ojciec, który za każdym razem popycha je lekko w stronę jej łóżka, sam leży w zaimprovizowanym łóżku w pokoju dziennym. Prosi je, aby zachowywały się bardzo cicho, ponieważ jest chory i powinien spać. Przygnębione, siedzą koło siebie na sofie przy oknie, opierając brodę na parapecie, i patrzą w dół - mimo kobiety spoczywającej pod skalistym pejzażem, oczekują pojawienia się skrzynki, która położy kres naładowanej ciszy. Powoli robi się ciemno. Dziewczynki nie mają poczucia czasu; jego przepływ jest dla nich tym samym, co nieobecność skrzynki. Nagle rozlega się nieśmiały dzwonek. Biegną do drzwi. Anna, od urodzenia wiedzona instynktem nakazującym jej zawsze być pierwszą, wspina się na palce i otwiera drzwi.

- Ciocia Käthe, ciocia Käthe - przyciska się do niej mocno. - Czy przyszłaś, aby nas

zabrać?

- Czy przyszedłeś, aby nas zabrać... - powtarza jak echo Lotta.

Kolejny obraz sugeruje, że latarnia przytłoczy nas historią sentymentalną. Na sofie znajduje się podłużna skrzynia, na której siedzą Anna i Lotta, zwrócone plecami w stronę pokoju wypełnionego nieznanymi członkami rodziny. Dzięki tej skrzyni mogą umieścić stopy na parapecie. Odkryły, że tupiąc w okno podszwami ciasnych, lakierowanych, czarnych pantofli, które włożyła im ciocia Käthe, mogą przebić odgłosy zawodzenia i szmer prowadzonych rozmów - razem wykopują ze swojego istnienia tę niezrozumiałą przeszkodę i próbują sprawić, aby wszystko wróciło do normy. Obecni w pokoju są początkowo skłonni do okazania tolerancji - w końcu nie istnieją reguły zachowania dla trzylatków, które utraciły matkę - gdy jednak kopanie utrzymuje się i dziewczynki pozostają głuche na przyjazne upomnienia, tolerancja przekształca się w irytację. Czyż odgłos tupania nie przypomina prymitywnego uderzania w bębny, przy pomocy którego, jak podają pisma ilustrowane, dzikusci w Afryce towarzyszą ostatnim chwilom swoich zmarłych? W tych okolicznościach można przecież oczekiwać od dzieci pewnej dozy chrześcijańskiej pobożności. Na polecenie zejścia ze skrzyni reagują stanowczą odmową, bijąc na oślep i odtrącając ręce, które chcą je z niej zdjąć. Dopiero gdy pojawiają się pracownicy przedsiębiorstwa pogrzebowego w swoich posępnych strojach i zaczynają mocować się ze skrzynią, dziewczynki pozwalają się zabrać ciotce Käthe. Od tej pory zachowują się przykładnie, z wyjątkiem niewielkiego incydentu podczas ciągnącej się procesji osób, które w niestosownie ciepłym słońcu wiosennym posuwają się za katafalkiem. Ciotce Käthe ledwo udaje się powstrzymać dziewczynki przed zdjęciem czarnych wełnianych płaszczyków, które ich matka uszyła w łóżku specjalnie na tę okazję. Nie doceniając żywotności swojego ciała, przeliczyła się najwidoczniej co do pory roku.

Wielki nieobecny podczas pogrzebu leży w szpitalu. Co wieczór o wpół do siódmej ciotka Käthe ustawia się naprzeciw jednej z jego bocznych ścian, trzymając za ręce obydwie dziewczynki. Wtedy w jednym z wielu okien pojawia się twarz, wystarczająco wyraźna, aby przekonać Annę i Lotte, że jej właściciel nie rozpląnął się w powietrzu w podobnie zdradziecki sposób, jak ich matka. Machają do niego, a on macha z powrotem dużą białą dłonią, za którą jego twarz znika co chwilę, jakby chciał się w ten sposób wymazać. Potem uspokojone idą spać. Pewnego dnia ojciec wraca do domu, wychudzony i naznaczony chorobą. Gdy wdrapują się nań, aby go objąć, stawia je z powrotem na ziemi z zawstydzonym, melancholijnym uśmiechem.

- Nie mogę was pocałować - mówi słabym głosem - bo też mogłybyście zachorować.

Obrazy nabierają teraz bardziej pogodnego charakteru. Ojciec podejmuje swoje obowiązki jako zarządzający mieszczącym się w byłym kasynie instytutem socjalistycznym, który służy robotnikom pragnącym wyzwolić się z niewiedzy - nad wejściem do biblioteki gotyckie litery formują napis: „Wiedza to potęga”. Nie istnieje prawie granica oddzielająca ich mieszkanie na pierwszym piętrze od reszty budynku. Anna i Lotta, które, podobnie jak dzieci stróża, dzięki szczęśliwemu obrotowi losu dorastają w tym pałacu proletariackiej kultury, bawią się w szerokich marmurowych korytarzach w „Raz dwa trzy, gonisz ty”, chowają się za potężnymi kolumnami i za kulisami sceny, przeskakują przez siebie w olbrzymim, okrągłym holu, w którym ich krzyki unoszą się ku wysokiemu witrażowi, rzucającemu na nie karminowoczerwone i pawio błękitne światło, gdy świeci przezeń słońce. Lotta odkryła akustykę tego miejsca: staje bezpośrednio pod najwyższym punktem sklepionego sufitu i z głową odchylną do tyłu śpiewa piosenkę o kolońskiej kolejce. Podżegana przez chłopca z sąsiedztwa Anna, zbyt niespokojna z natury, aby ustać bez ruchu, posługuje się obitą satyną biedermeierowską kanapą jak trampoliną, aż sprężyny zaczynają piszczeć, i z wywołanym skokami zawrotem głowy przewraca się, uderzając ustami w mahoniowe oparcie. Kanapa stoi w foyer, które wciąż jeszcze kokietuje wielkoświatowym luksusem *fin de siècle'u*. Ponad bogato ornamentowanym bufetem z miedzianymi kurkami, z połacanego, łuszczącego się sufitu zwisają kryształowe żyrandole, wokoło wiszą dziesiątki podniszczonych luster, które oprócz poczerwieniałej głowy dziewczynki z rozbitą wargą wciąż jeszcze odbijają żądzę hazardu kryjącą się w oczach starej elity finansowej oraz żyjących z niej pasożytów. Ojciec Anny surowo zabronił wstępu do tej sali. Świadoma swojej winy, biegnie szybko do jego biura. Ze zranioną górną wargą zostaje bezlitośnie wystawiona na jego dociekliwe spojrzenie.

- Co się stało? - pyta ojciec, podnosząc jej brodę palcem wskazującym. W tym momencie przychodzi jej do głowy kłamstwo. Spontanicznie wymyśla inne okoliczności, tak oczywiste, że natychmiast zaczynają jej się wydawać bardziej prawdopodobne niż te prawdziwe. Wyznaje z opuszczonymi oczyma, że podczas zabawy w ogrodzie przewróciła się na krawędź stojącego tam w trawie drewnianego stołu. Zatomowawszy z pełnym spokojem krwawienie, ojciec prowadzi ją do ogrodu.

- No, dobrze - mówi - pokaż mi, jak to się stało. Teraz dociera do niej, że kłamstwo ją zdemaskowało: stół ogrodowy jest tak wysoki, że aby uderzyć górną wargą o jego krawędź, dziewczynka jej postury musiałaby spaść prosto z nieba.

- Ach taaak... - mówi ojciec melodyjnym tonem - melodyjność ta sprawia, że budzi się w niej podejrzenie. Ojciec chwytą między kciuk i palec wskazujący kawałek skóry na jej

gołym ramieniu, po czym dziewczynka odnosi wrażenie, że zetknęła się z drutem kolczastym. To jedyna kara, którą pamięta jeszcze po wielu latach, kara, która na całe życie skazuje ją na to, by uparcie skłaniać się ku prawdzie.

Jej dzikość nie daje się jednak tak łatwo ujarzmić. Wkrótce, baraszkując na marmurowych schodach w holu, łamie rękę w łokciu. Wpada wówczas w szał jak histeryzująca hrabina, która przegrała cały swój dobytek, wspierana w tym przez Lottę, której zdolność odczuwania paniki i cierpienia rozciąga się symbiotycznie na ciało siostrzyczki. Ręka zostaje włożona w gips i zawieszona na temblaku. Gdy tak udekorowana Anna wraca ze szpitala, Lotta znów wybuchła płaczem. Nikt nie wie, czy wypływa to z solidarności, czy z zazdrości. Uspokaja się dopiero wówczas, gdy również jej lewa ręka zostaje zaopatrzona w zaimprovizowany opatrunek i zawieszona na ściereczce do naczyń.

A teraz obrazek bożonarodzeniowy. Od chwili, kiedy ciotka Käthe zajęła się dziećmi, nie odstępowała ich na krok. Gdy ich ojciec został wypisany ze szpitala z braku jakiegokolwiek zabiegu medycznego, który mógłby cokolwiek zmienić w obrazie jego choroby, ożenił się z nią po cichu, aby zapobiec temu, że zostanie zmuszony do rozstania się z nimi: uznano, że mężczyzna z chorobą zakaźną, na którą wpłynąć może jedynie - pozytywnie bądź negatywnie - upływ czasu, nie nadaje się do wychowywania dzieci. Dla Anny i Lotty wszystko wydaje się oczywiste. Ciotka Käthe znajduje się tam po prostu i wstawia do pokoju ośnieżone drzewo, jego gałęzie Uginają się pod anarchią czarownic, świętych Mikołajów, kominiarzy, śniegowych bałwanów, krasnoludków i aniołków. Pobudzająca zmysły woń igliwia wymieszanego z żywicą daje im przedsmak natury, która zaczyna się tam, gdzie kończy się Kolonia. Najmłodszy brat ich ojca, Heinrich, potężnie zbudowany siedemnastolatek, przybył ze swojej wsi na granicy Teutońskiego Lasu, aby świętować z nimi święto tego drzewa. On również przyniósł ze sobą do domu naturalne zapachy: siana i świńskiego nawozu, przyprawione szczyptą unoszącej się wilgoci. Jego wizerunek młodego, jowialnego wujka rozsypuje się w gruzy, gdy podczas śpiewania kolęd z przekorą, niby przypadkiem myli się w tekście. Śmiejąc się pod nosem, brat dołącza się do niego; wkrótce całkowicie pochłania ich wyszukiwanie bezsensownych rymów.

- Nie róbcie tego, nie róbcie - krzyczy Anna, bębniąc z odrazą w pierś ojca. - To nie są słowa tej kolędy!

Mężczyźni jednak wyśmiewają się z jej ortodoksji i prześcigają w tworzeniu wymyślnych zwrotów. Na próżno dziewczynka drżącym głosem usiłuje doprowadzić do tego, by zatriumfowała prawdziwa wersja, biegnie więc zrozpaczona do kuchni, gdzie ciotka Käthe kroi chleb.

- Oni psują tę kolędę - krzyczy - tatuś i wujek Heini!

Ciotka Käthe wbiega do pokoju jak bogini zemsty.

- Co zrobiliście temu dziecku!

Podnoszą Annę i pocieszają, w ruch idą chusteczki, szklanka wody.

- To był tylko żart - uspokaja ją ojciec - tysiąc dziewięćset dwadzieścia jeden lat temu urodziło się dzieciątko Jezus, to przecież znakomity powód, aby się cieszyć.

Usadawia ją na kolanie i prostuje na jej głowie wielką kokardę, która wykrzywiła się z powodu całego zamieszania.

- Nauczę cię prawdziwej piosenki - mówi. - Posłuchaj. Ochrypłym głosem, od czasu do czasu przerywanym atakiem kaszlu, śpiewa melancholijną piosenkę:

- *Nach Frankreich zogen zwei Grenadier, Die waren in Russlandgefangen...*¹

Latarnia przedstawia teraz scenę teatralną, jej dekorację stanowi las złożony z wysokich pni. Reżyser potrzebuje małej aktorki, której wzrost nie powinien przekraczać znacznie jednego metra.

- Proszę posłuchać, panie Bamberg - mówi - szukam dziewczynki, która mogłaby zagrać rolę biednego, zagubionego w lesie dziecka. Pomyślałem o jednej z pana córek...

- Którą z nich miał pan na oku?

- Która jest starsza?

- Są w tym samym wieku.

- Ach, bliźniaczki, jakie to niezwykle...

- Którą z nich miał pan na oku? - powtarza ojciec.

- Hm, pomyślałem sobie... tę z ciemnymi włosami. Blondynka wydaje mi się zbyt pulchna, aby zagrać wygłodzone dziecko.

- Ale to ona właśnie świetnie sobie radzi z tekstem... - Z dumą gładzi swoje wąsy. - Jest... pod tym względem zdumiewająca.

Zachęcony napisem nad drzwiami biblioteki, wieczorami poświęca zazwyczaj swój wolny czas klasycznym pisarzom i poetom. W tym czasie, na zasadzie zabawnego eksperymentu, nauczył ją pewnego wiersza.

- Nasza Anna - wyjaśnia - ma pamięć papugi. Potrafi wyrecytować *Das lied von der Glocke*² Schillera, nie opuszczając żadnej linijki.

- No dobrze - kapituluje reżyser - pan jest ojcem, pan może to lepiej ocenić niż ja.

¹ (niem.) - Do Francji wracali dwaj grenadierzy, z niewoli rosyjskiej dwaj jeńcy; fragment ballady Henricha Heinego *Die Grenadiere*, tł. Stanisława Lempickiego.

² (niem.) - Pieśń o dzwonie

- Nie podoba mi się to - opiera się ciotka Käthe. - To dziecko jest jeszcze za małe na takie występy.

Nie sposób jednak przeciwstawić się ambicji ojca. Mimo wszystko w dniu przedstawienia siedzi pełna zadowolenia razem z Lottą i jej ojcem w pierwszym rzędzie, otoczona przez siedem sióstr. Za kulisami garderobiana chowa sukienkę Anny pod szarym, wyświechtanym płaszczem zimowym i przywiązuje luźno z tyłu do paska jej białą kokardę. Nie podejrzewając, że to próba generalna przed sytuacją rzeczywistą, że tę rolę będzie odgrywać przez dziesięć lat bez publiczności i bez aplauzu, Anna przedstawia na scenie tak wiarygodną, tak budzącą współczucie postać dziecięcą, że siostry ciotki mają łzy w oczach. Po tym, jak dwaj mężczyźni w myśliwskich strojach wyprowadzają ją między sobą z wyobrazonego na scenie lasu, zerka ciekawie zza kulis na salę. Nie interesuje jej publiczność, będąca niczym więcej niż zgromadzeniem głów. W półmroku dostrzega jedynie jedną, uniesioną w stronę sceny twarz - należącą do najmniejszego człowieka w sali, drobnego i nieważnego. Anna przygląda się siostrze, ogarnięta przez nieznane, budzące strach odczucie. Z powodu sztuki i odgrywanej w niej roli Lotta i ona po raz pierwszy stanowią dwie, niezależnie istniejące od siebie istoty. Każda obdarzona własnym punktem widzenia: Lotta z sali, ona sama - ze sceny. Nagle uświadomienie sobie tego rozdzielenia, tej niepożądanego dwoistości, wzbudza w niej tak silny niepokój, że przebiega przez scenę, na której następuje właśnie pojednanie dwojga kochanków - rozpięty, nędzny płaszczyk łopocze wokół jej postaci, a pasek z przywiązaną wstążką ciągnie się za nią po podłodze. Najmłodsza siostra ciotki Käthe wykrzykuje z podnieceniem w dialekcie kolońskim:

- *Ach, süch'ens, dat Klein!*¹

Sala wybucha gromkim śmiechem. Publiczność klaszcze, jakby dotyczyło to znakomitego pomysłu reżysera. Nie napotykając przeszkód, Anna zeskakuje ze sceny. Podbiega prosto do Lotty i uspokaja się dopiero wcisnąwszy się obok niej na ten sam fotel.

Latarnia oświetla teraz jak promień księżycy łóżko z jasnoniebieskimi kołdrami. Wieczorem, przykryte nimi, Anna i Lotta zasypiają, obejmując się ciasno swoimi członkami jak parzące się ośmiornice. Noc taktownie rozplątuje ten węzeł, tak że nie zdając sobie z tego sprawy, każda z nich budzi się rano na brzegu łóżka, zwrócona do siostry plecami.

Latarnia magiczna ma dostęp do wszystkiego - ukazuje nam teraz klasę szkolną. Wydaje się, że możemy usłyszeć skrobanie stalówek. Nieposkromiony temperament Anny nie jest zdatny do kaligrafii. Podczas gdy Lotta pewną ręką przywłaszcza sobie cały alfabet,

¹ (niem.) - Ach, spójrz tylko na tę małą!

rządom Anny litery nie chcą się podporządkować. Po lekcjach siedzi koło ojca w biurze i wydrapuje na swojej tabliczce litery, które on wciąż wymazuje ze słowami „Niedobrze, od nowa”, aż do chwili, gdy odpowiadają jego normom. Od czasu do czasu odwraca się, aby splunąć do niebieskiej buteleczki, którą następnie szczelnie zamyka, aby złe duchy nie mogły się z niej wydostać. W nagrodę za włożony wysiłek, po zakończeniu ćwiczeń, wolno Annie pomagać przy podliczaniu kasy. Zwinnymi palcami rozdziela bezwartościowe z powodu inflacji banknoty na stosy po dziesięć sztuk - saldo sięga miliardów - aż kres temu zajęciu kładzie ognistoczerwona wysypka na czubkach jej palców.

W każdy poniedziałek przed rozpoczęciem lekcji nauczycielka przeszywa uczniów wzrokiem i pyta tonem pełnym insynuacji:

- Kto z was nie był wczoraj w kościele?

Wokół panuje cisza, nikt się nie porusza aż do chwili, gdy Anna podnosi rękę: - Ja. Natychmiast odzywa się wysoki, dźwięczny głos Lotty:

- Ja też.

- A więc jesteście dziećmi szatana - stwierdza z subtelnością nauczycielka.

Siostrzyczki dostrzegają, że w oczach innych dzieci odbija się fakt nałożenia na nie ekskomuniki.

- Ależ jesteście na to jeszcze stanowczo za małe - protestuje ojciec, gdy zawiadamiają go, że w niedzielę rano cała klasa ma obowiązek uczestniczenia we mszy dla dzieci. - Nie zrozumiałybyście niczego.

Dziewczynki nigdy nie widziały, aby ojciec lub ciotka Käthe wybrali się do kościoła. Co niedzielę błagają go o to; nie są w stanie dłużej znieść potępiającego spojrzenia nauczycielki ani dokuczania kolegów z klasy. W końcu ojciec stawia na stole kubek z roztrzepanym jajkiem i kładzie ręce na ich ramionach.

- Jutro - obiecuje - wybiorę się z wami do szkoły.

Jednak w drodze do szkoły, gdy idą po obu stronach ojca, wydaje się, że to raczej one jego muszą osłaniać, tak rozgorączkowany i delikatny wydaje się w o wiele za szerokim na jego wychudzonej sylwetce czarnym płaszczu, łopoczącym wokół niego. Ciężko opierając się na swojej lasce, musi zatrzymywać się co dziesięć kroków, aby złapać oddech. Uderzenia laski o kamienie wywołują za nim echo - łańcuch odbić, który zapobiega przewróceniu się. Wechodzą do budynku szkolnego; ojciec daje im znak, aby zaczekały w korytarzu i puka do drzwi klasy. Nauczycielka, całkiem wytrącona z równowagi przez niezwykle *intermezzo*, ze sztuczną uprzejmością zaprasza go do środka. Opierając się o ścianę blisko siebie, Anna i Lotta wpatrują się w drzwi i nasłuchują. Nagle, przebijając głos nauczycielki, która wije się,

aby zachować nad sobą kontrolę, rozlega się schrypnięty głos ich ojca.

- Jak pani śmie! Wobec dzieci, które są od pani słabsze!

Anna i Lotta patrzą na siebie ze zdumieniem. Wyprostowują plecy, nie potrzebują już ściany jako oparcia. Przepływa przez nie poczucie zachwycającej, buntowniczej siły. Duma, triumf, wiara w siebie - nie potrafią tego nazwać, nie da się jednak temu zaprzeczyć. Zawdzięczają to jemu.

Drzwi otwierają się.

- Wejdźcie do środka - mówi ojciec, starając się stłumić kaszel. Jako pierwsza przekracza próg Anna, bezpośrednio za nią postępuje Lotta. Zatrzymują się na wysokości tablicy. Nauczycielka nie leży na ziemi rozbita na kawałki. Wydaje się jednak, że w różnych miejscach został naruszony jej kręgosłup. Z pochyloną głową i opuszczonymi ramionami trzyma się kurczowo swojej katedry. Siedzący nieruchomo w ławkach uczniowie przyglądają się z szacunkiem ojcu dziewczynek, który bezbłędnie uchwycił w swoje ręce reżyserię spektaklu.

- No dobrze - lekko popycha Annę i Lottę w kierunku nauczycielki - a teraz proszę przeprosić moje córki przy całej klasie.

Nauczycielka spogląda na nie z ukosa. Natychmiast jednak odwraca wzrok, jakby dotknęła czegoś nieczystego.

- Wybaczcie mi - mówi beznamiętnie - to, co do was powiedziałam. To się więcej nie powtórzy.

Zapada cisza. Co teraz? Czy do manifestacji pokory nauczycielki można jeszcze cokolwiek dodać?

- Zabieram je teraz do domu - słyszą nad sobą głos ojca - jutro jednak tu wrócą. Jeśli kiedykolwiek usłyszę coś podobnego, pojawię się ponownie.

Na szczęście nauczycielka dotrzymuje wymuszonej obietnicy, ponieważ nie byłby w stanie zrealizować swojej pogroźki. W walce, która rozgrywa się w okopach jego płuc, wykazuje coraz mniejszą odporność. Oto nowy obraz: wyciągnięty na sofie, jak romantyczny poeta, załatwia sprawy administracyjne, z trudem łapiąc oddech. Podejmuje także swoich przyjaciół, którzy bezskutecznie ukrywają zatroskanie, paplając ze sztucznym ożywieniem - mile widziane są jego ukochane córki, w sukienkach w kratkę z białymi, nakrochmalonymi kołnierzykami, bo swoimi wierszykami i piosenkami odwracają uwagę od sytuacji. Fakt, że piosenkę wykonywaną przez Lottę aż trzykrotnie przerywa atak jej suchego kaszlu, wzbudza niepokój jedynie w ciotce Käthe. Podejrzliwa dzięki zdobytemu doświadczeniu, stara się o to, by dziewczynkę zbadał lekarz domowy. Ten przez wiele minut opukuje jej chudą klatkę

piersiową, jednocześnie zbliżając do bladej skóry krążek stetoskopu. Prosi ją, aby zakaszła, co przychodzi jej z taką łatwością, jakby nauczyła się kaszlu tak jak piosenki.

- To mnie nieco niepokoi - mruczy za jej plecami - słyszę słaby szmer w prawym płucu.

Lotta staje przed modelem człowieka ze sztucznego tworzywa i z lekkim dreszczem dotyka jego czerwonego serca. Przy wyjściu z gabinetu lekarz wręcza im butelkę syropu na kaszel i umawia się na zrobienie zdjęć.

Na przykurzonym obrazie w kolorze złota widzimy nie tylko ostatnie dni życia ojca, lecz również ostatnie dni rodziny w tym składzie. Kasyno wciąż jeszcze wywiera ten sam wpływ, jak wówczas, gdy oddawano się w nim hazardowi: wszystko lub nic, na śmierć i życie. Był to budynek, do którego człowiek wchodził pełen oczekiwań, a opuszczał go złamany; w czterech ścianach tej świątyni zachowała się tajemna recepta owej alchemicznej sztuczki. Długim, szczupłym palcem wskazującym przywołuje do siebie córki. Siedzi na krawędzi sofy, ciężko oddychając.

- Posłuchajcie - mówi powoli, jakby przeszkadzał mu w tym opuchnięty język - jak myślicie, jak długo jeszcze będę żył?

Anna i Lotta marszczą brwi - to dla nich liczba astronomiczna.

- Dwadzieścia lat! - zgaduje Anna.

- Trzydzieści! - przebija ją nieco Lotta.

- Hm, tak uważacie - mówi ojciec z pobłażliwością. Spogląda na nie błyszczącymi gorączką oczyma, z otwartymi ustami, tak jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, przerywa mu jednak gwałtowny atak kaszlu i odprawia je gwałtownym machaniem ręki.

Kilka dni później, zaraz po powrocie ze szkoły, zostają zaprowadzone przez ciotkę Käthe do sypialni. W domu unosi się zapach czerwonej kapusty z jabłkami i cynamonem. Z tą aromatycznosłodką atmosferą nieprzyjemnie kontrastuje grupa osób otaczających kręgiem łóżko, w którym leży ich ojciec. Wuj Heinrich, trzymając w skrzyżowanych na brzuchu dłoniach zmiętą czapkę, gapi się z chłopską podejrzliwością na śpiącego brata. Czy to przedstawienie jest tak wyjątkowe, że wszyscy obecni muszą się temu przyglądać? Ciotka Käthe popycha Annę i Lottę w stronę łóżka.

- Johann - mówi, przybliżając usta do jego ucha - dzieci są tutaj.

Kiedy dostrzega córki, jego oczy zaczynają błyszczeć, tak jakby się w duchu radował z powodu żalostnej inscenizacji wokół swojego łóżka. Zaraz wstanie, myśli Lotta, i odeśle wszystkich do domu. Nagle jednak jego nastrój ulega zmianie. Zaczyna nerwowo błędzić wzrokiem od osoby do osoby, unosi spoconą głowę - wydaje się, że z głębi swojego

tajemnego świata wewnętrznego pragnie im przekazać coś, czego nie wolno odkładać na później.

- Anneliese... - udaje mu się wykrztusić. Jego głowa natychmiast opada z powrotem na poduszkę, znów zapada się głęboko w siebie. Zapadnięte policzki pokrywa ciemna warstwa zarostu.

- Dlaczego zwraca się do nas Anneliese? - pyta Anna obrażona.

- Miał na myśli waszą matkę - mówi ciotka Käthe.

Po posiłku zjawia się jedna z siedmiu sióstr, aby zabrać je z uroczystości, która tak naprawdę nie ma w sobie nic ze świętowania. Zostają położone w nieznanym łóżku, na tratwie unoszącej się na obcym oceanie, która może uchronić je przed utonięciem jedynie wówczas, jeśli ściśle się obejmując pozostaną dokładnie na środku i nie będą się ani trochę poruszać. W nocy śni im się, że ciotka Käthe budzi je i całuje z wilgotną twarzą, gdy jednak budzą się rano, nie widać jej nigdzie w pobliżu. Rano siedem par rąk unosi Annę i Lottę z łóżka i stawia na krześle, aby łatwiej można było je ubrać.

- Wasz ojciec - nadmienia jedna z siedmiu, obciążając wkładaną halkę - umarł dziś w nocy.

Początkowo uwaga ta nie wywołuje żadnej reakcji, jednak podczas przeciągającego się zawiązywania sznurowadeł w wysokich trzewikach Anna wzdycha:

- A więc nie musi więcej kaszleć.

- Ani odczuwać bólu w piersi - dodaje Lotta.

Ostatni obraz przedstawia pożegnanie. Pogrzeb jest niewidoczny, nie widać również ustawicznego, nudnego zwracania uwagi na „odpowiednie formy zachowania”, których przy tej okazji oczekuje się od dziewczynek. Niewidoczne są również kłótnie, łzy ciotki Käthe, jej pogrożka, że wytoczy proces, ani spakowane kufry. Oto, jak Lotta widzi Annę po raz ostatni: dziewczynka stoi w połowie schodów w holu, otoczona przybyłymi z daleka członkami rodziny. Z boku, już definitywnie odrzucona, stoi ciotka Käthe, na jej twarzy malują się ślady daremnych lamentów. Anna jest pełna wiary w siebie, w żałobnej sukience, z dużą, czarną kokardą, która na podobieństwo kruka osiadła na jej jasnych włosach, na czubku głowy. Obok niej stoi wujek, ten psujący kolędy, z drugiej strony - ciotka z biustem intrygujących rozmiarów, na którym spoczywa, roztaczając błyski, złoty krzyżyk. Dopełniają obrazu nieliczne niewyraźne figury, nie wyróżniające się niczym szczególnym. Za plecami Anny, trzymając kościste dłonie na jej ramionach, jakby już ją sobie przywłaszczył, stoi starszy, sztywny mężczyzna w gabardynowym garniturze, z rozwichrzonymi wąsami i wybujałymi garściami wysuszonej trawy, która wystaje mu z uszu. A oto ostatni obraz Lotty widziany

przez Annę: dziewczynka stoi już przy drzwiach, bezpośrednio pod witrażem. Można ją rozpoznać tylko po twarzy, reszta jest ciasno zapakowana, jakby wybierała się na biegun północny. Obok niej, opierając się na parasolce, stoi pełna kokieterii starsza dama, trzyma między palcami cienkie skórzane rękawiczki, a na głowie ma elegancki kapelusz z woalką. Do starszego mężczyzny, którego dłonie ciężko spoczywają na ramionach Anny, dama ta przez cały dzień zwracała się drażniącym tonem wyższości, nazywając go *Lieber Bulli*.

Ani Anna, ani Lotta nie są zmartwione. Nie rzucają się sobie w ramiona, nie płaczą, nie żegnają się w żaden sposób - w jaki sposób miałyby to uczynić, nie mają przecież żadnego wyobrażenia o zjawisku odległości w przestrzeni i czasie. Jediną osobą, która stara się o szczyptę odpowiedniego patosu pożegnalnego, jest ciotka Käthe, która w ostatnim momencie przebiega na ukos przez hol i, roniąc strumień łez, przyciska Lottę do piersi.

2.

- *J'ai retrouvé ma soeur, madame!*¹ - Anna pochwyciła przechodzącą kuracjuszkę, która cofnęła się z przerażeniem. Z odruchem niechęci Lotta rozpoznała dzikość i hałaśliwość siostry z dawnych, dawnych czasów.

- To nie do wiary. - Anna uchwyciła jej ramiona na wyciągnięcie rąk. - Pozwól mi się sobie przyjrzeć.

Każdy mięsień w ciele Lotty napiął się jak struna. Jeszcze w dodatku dać się oglądać! Ta poufałość budziła odrazę - coś ją wsysało, lecz brakowało jej siły, aby się temu przeciwstawić. Jednak urodzenie ich niemal jednocześnie przez tę samą matkę siedemdziesiąt cztery lata temu było faktem, przed którym nie mogła uciec, niezależnie od tego, w jak wyrafinowany sposób funkcjonował mechanizm obronny, który rozwinęła w sobie w ciągu półwiecza. Para bystrych, jasnoniebieskich oczu spoglądała na nią z zaciekawieniem i pewną dozą ironii.

- Stałaś się prawdziwą damą - stwierdziła Anna. - Wciąż taka szczupła i z tymi upiętymi włosami... *sehr schön, muss ich sagen*².

Lotta spojrzała z rezerwą na bujną sylwetkę Anny i jej krótko ostrzyżone włosy, które

¹ (fr.) - Proszę pani, odnalazłam swoją siostrę!

² (niem.) - muszę przyznać, że bardzo piękna

odejmowały jej lat i nadawały wyraz krnąbrności.

- Mnie to się nigdy nie udało - rzekła Anna ze śmiechem, w którym pobrzmiwała zarówno nuta autoironii, jak i rodzaj dumy. Uszczypnęła Lottę lekko w rękę i utkwiała w niej błyszczący wzrok, przybliżając swoją twarz.

- I masz taki sam nos jak *Vati*¹, *wunderbar*²!

- W jaki sposób... znalazłaś się tutaj? - zapędzona w róg Lotta próbowała odwrócić jej uwagę. Dzięki Bogu, Anna puściła ją w końcu.

- Cierpię na artretyzm. Mój cały aparat ruchowy jest zużyty, *verstehst du*³. - Wskazała na swoje kolana i biodra. - Ktoś opowiedział mi o kąpielach borowinowych w Spa - to z Kolonii niedaleko. A ty?

Lotta zawahała się, przeczuwając, że tym, co powie, zrobi przyjemność swojej siostrze. - Też artretyzm - mruknęła pod nosem.

- A więc przypadłość rodzinna! - wykrzyknęła Anna z entuzjazmem. - Posłuchaj, usiądźmy gdzieś, nie mogę tak długo stać.

Nic nie można było na to poradzić. Działo się coś nieuniknionego, opór nie zdałby się na nic.

- *Meine Schtuester, steli dir mal vor!*⁴ - wykrzyknęła radośnie Anna w połowie korytarza. Siwy staruszek na ławce pod ścianą, który zniekształconymi dłońmi obejmował laskę, wyprostował się gwałtownie, wyrwany ze swojego półsnu.

Z kubeczkiem kawy z automatu weszły do sali konwersacyjnej, zdominowanej przez wielkie malowidło, przedstawiające młodą kobietę w towarzystwie łabędzia. Usiadłszy w końcu wygodnie i wypiwszy parę łyków kawy, Lotta niemal w pełni odnalazła w sobie dawny spokój.

- Któż by pomyślał, że kiedykolwiek znów się zobaczymy... - Anna potrząsnęła głową. - W dodatku w tak niecodziennym miejscu... To musi mieć głębsze znaczenie.

Lotta ścisnęła w dłoni plastikowy kubeczek. Nie wierzyła w żadne głębsze znaczenia, jedynie w głupi przypadek, który wywołał w niej uczucie dojmującego zawstydzienia.

- Czy odczuwasz już korzyść z kąpeli borowinowych? - Anna nie wiedziała, od czego zacząć.

- Jestem tu dopiero trzy dni - odpowiedziała z wahaniem Lotta. - Jedyne efekty do tej

¹ (niem.) - tatuś

² (niem.) - cudownie

³ (niem.) - rozumiesz

⁴ (niem.) - Moja siostra, wyobraź to sobie tylko!

pory to okropne zmęczenie.

- To uwalniające się toksyny. - Anna przybrała drażniący ton profesjonalistki. Nagle podskoczyła jak sprężyna: - Pamiętasz jeszcze naszą wannę w Kolonii? Na lwich łapkach? W kuchni?

Lotta zmarszczyła brwi. Przypomniała jej się inna wanna. W zamyśleniu spojrzała na zewnątrz, gdzie w zimowym słońcu budynki wydawały się nagie.

- W każdą sobotę wieczorem mój ojciec mył nas po kolei w balii.

- Twój ojciec?

- Mój holenderski ojciec. - Lotta uśmiechnęła się z trudem.

- Jak on... mam na myśli, co to byli za ludzie... Jako dziecko wyobrażałam to sobie na różne sposoby... - Anna zamachała dłońmi w powietrzu. - Ponieważ nie wiedziałam absolutnie nic, wypełniałam to sobie po swojemu... marzyłam o tym, aby ciebie odwiedzić... nie masz pojęcia, jakie to było okropne, nie mieć od ciebie żadnego znaku... wszyscy udawali, że nie istniejesz... No więc, jacy właściwie byli ci ludzie...?

Lotta zacisnęła wargi. Pomysł odgrzebywania starych wspomnień miał w sobie wątpliwą siłę przyciągania. Wspomnienia te były głęboko ukryte w zakątku jej pamięci, pokryte grubą warstwą kurzu i pajęczyn. Czy nie powinna raczej zostawić ich w spokoju, zamiast zacząć w nich grzebać? A przecież były częścią jej samej, przywołanie ich do życia miało w sobie coś pociągającego. W dziwnym otoczeniu Instytutu Wodolecznictwa, i to właśnie na prośbę Anny. Czując wyzwanie w absurdalności, a nawet niemoralności tej sytuacji, zmrużyła oczy i zaczęła cicho mówić.

W sobotni wieczór szorował swoje cztery córki w balii napełnionej ciepłą mydlaną wodą, gderając przy tym: „Bądźcie cicho!”, podczas gdy jego żona robiła użytek z otwartych wówczas sklepów. Rytuał ten zamykała szklanka ciepłego mleka, które gotował, pogwizdując pod nosem. Cztery koszule nocne, osiem gołych stóp - pić jak najwolniej, aby jak najbardziej opóźnić moment, w którym trzeba będzie pójść spać. Po otrzymaniu czterech całusów na dobranoc nieodwołalnie wysyłał je do łóżka. W lecie scenariusz wyglądał inaczej. Wówczas na znajdującym się przed domem zaniedbanym boisku do piłki nożnej gromadziła się grupa starszych dziewcząt ze wsi, aby rytmicznie wykonywać ćwiczenia gimnastyczne w unoszącej się z trawy mgie. Na tle czerwieniejącego nieba wyraźnie rysowała się sylwetka samochodu dostawczego, który zbliżał się w szybkim tempie, wzniesając na piaszczystej drodze obłoki kurzu. Zatrzymywał się przy płocie otaczającym boisko, otwierano jego tylną klapę i wówczas spełniał się cud, który każdego sobotniego wieczoru zapierał Lotcie dech w piersi:

umięśnione ręce wynosiły na zewnątrz pianino i ustawiały je na boisku w strategicznym miejscu między mleciami i dzikim szczawiem. Następnie przy pianinie zasiadał młody człowiek w kremowym, letnim garniturze i w kierunku wieczornego nieba wysyłał klasyczne melodie w marszowym tempie.

Dziewczęta ze stowarzyszenia gimnastycznego wyrzucały wysoko do góry nogi i pochylały się głęboko do tyłu; stawały na palcach z wyciągniętymi ponad głowę ramionami, jakby wspólnie lądowały na ziemi na niewidzialnych spadochronach. Wszystko to w rytm nieubłaganego, cztermiarowego rytmu pianisty. Mies, Maria, Jet i Lotta, jeszcze ciepłe po kąpielu, obserwowały to przedstawienie z krawędzi płotu, do czasu, gdy dostrzegaly pojawiającą się w oddali matkę, siedzącą prosto jak struna na swojej gazeli, której kierownica wydawała się ugiąć pod ciężarem pękających w szwach toreb z zakupami.

Dla Anny nie było żadnej kąpielu. Wkrótce po przybyciu do gospodarstwa dziadków nad Lippą okazało się, że kąpiel uważano tam za wyjątkowe, ogólnie podejrzaną zajęcia. Jej dziadek, który natychmiast po podróży zagłębił się w swoim ulubionym fotelu, powiesiwszy po zdjęciu drewniaków na brzegu żeliwnego pieca swoje skarpetki - mały, zagracony pokój wypełnił się zapachem pleśni - gotów był umrzeć, nigdy nie podrażniwszy swojej bladej klatki piersiowej kawałkiem mydła.

- Chcę się wykapać - marudziła Anna.

Zmięknąwszy wobec uporu, z jakim jej bratanica obstawała przy swoich zasadach, ciotka Liesl postawiła na ogniu wielki kocioł wody, po czym wlała ją do ustawionej na posadzce balii. W ten sposób ustanowiono wieloletni zwyczaj, który Anna kontynuowała sama, gdy ciotka Liesl opuściła dom. Wiele lat później, gdy zaczęła przy tym zamykać drzwi na klucz, wuj Heinrich dobijał się do drzwi, pokrzykując z drażniącym śmiechem:

- Musisz być bardzo brudna, skoro robisz tyle hałasu.

Dzieci ze wsi podchodziły z wielką nieufnością do jej wielkomiejskich manier i kulturalnego słownictwa; przypięły jej z tyłu do płaszcza kartkę z napisem: „Uciekaj stąd!” W szkole wyróżniała się spośród reszty - koleżanki i koledzy z klasy, którzy obserwowali jej rzucające się w oczy osiągnięcia z mieszaniną lęku i niechęci, unikali jej towarzystwa. Stopniowo zaczęło do niej docierać, że śmierć oznacza stałą nieobecność człowieka i nawet żarliwa tęsknota za tym, by zmarły stanowczo wkroczył i zrobił porządek z jej dręczycielami, nie jest w stanie go przywrócić. Według tej definicji umarła również Lotta. Anna wciąż upominała się o jej powrót, krążąc uparcie wokół dziadka, aż ten w końcu wybuchnął zjadliwie:

- Nie bądź taka niecierpliwa! Ona też umrze, jeśli nie wygrzebie się na dobre ze swojej

choroby, czy o to ci chodzi?

Zrozpaczona zwróciła się do ciotki Liesl, która przędła, śpiewając cienkim, wysokim głosem: *Ich weiss nicht, was soll es bedeuten*¹... Jej niepozorny biust poruszał się w rytm ruchów kołowrotka. Nad jej głową wisiał obraz, który rodzina dostała w prezencie podczas wojny, gdy poległ jeden z synów. Pod wizerunkiem umierającego żołnierza i anioła, przekazującego mu gałązkę palmową, napisano ozdobnymi literami: „Nie ma większej miłości niż oddanie swego życia za ojczyznę”. Anna wymknęła się na zewnątrz ze słabą nadzieją, że nieco światła na tę kwestię rzuci wuj Heinrich. On jednak siedział w wygodce znajdującej się w ogrodzie na tyłach - wysoki, wąski domek z pomalowanego na ciemnozielono drewna zapadł się krzywo wskutek podziemnej odnogi Lippy. Drzwi z wyciętym serduszkiem były szeroko otwarte. Rozsiadłszy się szeroko, wuj Heinrich prowadził rozmowę z sąsiadem, który oddawał się tej samej czynności po przeciwnej stronie polecka z burakami pastewnymi, również przy otwartych drzwiach. Tematem ich towarzyskiej rozmowy było święto strzeleckie oraz dziewczyny - Annie brakowało śmiałości, aby pojawić się w tym polu ostrzału.

Powlokła się przygnębiona w stronę rzeki, przeszła przez most i zatrzymała się z opuszczonymi ramionami przed kapliczką Matki Boskiej, w cieniu zwisających gałęzi czarnego bzu. U stóp figury ktoś położył wiązanek ciemnoczerwonych piwonii. Matka spoglądała z oddaniem na dziecko, sugerując tajemniczą, skrytą intymność, która powstrzymywała wszelkie ciekawskie spojrzenia. Anna odczuła potrzebę zakłócenia tego skupienia i zniszczenia świątobliwego oblicza. Zamiast tego wyrwała z wazonu kwiaty, pobiegła z nimi na most i gwałtownym ruchem ręki wrzuciła je do rzeki. Przyglądała się, jak powoli zaczęły odpływać w kierunku Holandii. Jedna z piwonii zachowała się inaczej: zakręciła się dziko w wirze wodnym, po czym została wessana w głębię. Anna wpatrywała się zazdrośnie w miejsce, w którym kwiat przestał istnieć. Zniknąć w jednej chwili, ona pragnęła tego samego - aby przyłączyć się do swoich ukochanych nieobecnych. Wiał silny wiatr, niosąc ze sobą zapach wilgotnej trawy i trzciny. Nie opierała się, gdy ją dopadł i uniósł, aż ubranie zaczęło wokół niej furkotać. W ogłuszającym szumie droga prowadziła w górę, prosto w błękitne niebo. Głęboko w dole dostrzegła gospodarstwo dziadka, na wpół ukryte pod koroną lipy. Widziała pola uprawne, porośnięte trawą polodowcowe, piaszczyste pagórki, gdzie pasły się krowy, szkołę, kościół, kaplicę św. Landolinusa - całą osadę po obu stronach Lippy, w rozpaczliwych skrętach usiłującej ominąć tę nieważną wioskę, której mieszkańcy

¹ (niem.) - Nie wiem, co to ma znaczyć

próbowali podwyższyć swój status, wymyślając historię o Widukindzie, co ze swoimi saksońskimi zastępami miał rzekomo przeciwstawić się królowi państwa frankońskiego. Szybująca wysoko w górze Anna nie miała z tym wszystkim nic wspólnego.

Lotta leżała w ogrodzie, w altanie z białego drewna, posadowionej na obracającej się osi, tak że można ją było wedle potrzeby skrócić w kierunku słońca lub w stronę do niego przeciwną. Wyciągnięta na łożku, obracała się zgodnie z warunkami atmosferycznymi - z drobną twarzyczką na białej, ozdobionej koronką poduszce. Jej holenderska matka przysunęła do łożka stołek kuchenny i uczyła ją języka niderlandzkiego; jednocześnie dała jej bajki braci Grimm z romantycznymi ilustracjami. Po niemiecku, „abyś nie zapomniała swojego ojczystego języka” - powiedziała. Wydawało się, że ona sama uciekła z książki z bajkami. Była wysoka, prosta jak struna i dumna; często się śmiała - jej zęby były białe jak gołębie, które latały tam i z powrotem do gołębnika na brzegu lasu. Wszystko było w niej błyszczące: policzki, niebieskie oczy, długie, brązowe włosy, utrzymywane w porządku przy pomocy kilku strategicznie umieszczonych szylkretowych grzebieni. Jej wybujała witalność przenosiła się na każdego, kto pojawił się na jej drodze. Najbardziej bajkowa była jednak jej niekobieca siła. Ujrawszy swojego męża dźwigającego worek węgla, spieszyła do niego, aby z miłością wyjąć mu z rąk ten ciężar - zanosila go do komórki, jak worek wypełniony piórkami.

Lotta szybko pojęła, że przybyła do spokrewnionego z sobą plemienia: plemienia długonosych. Głowa przywódcy była bardzo podobna do głowy jej ojca. To samo bystro-melancholijne spojrzenie, cienki, zakrzywiony nos, ciemne, zaczesane do tyłu włosy i równie ciemne wąsy. Był w końcu kuzynem jej ojca w pierwszej linii i w czystej formie przekazał swoje cechy genetyczne córkom, u których już teraz w zaokrąglonych, dziecięcych nosach można było dostrzec taki sam dumny i zmysłowy organ powonienia. Wiele lat później, gdy posiadanie na środku twarzy takiego nosa stało się niebezpieczne, ten prosty biologiczny fakt miał dla jednej z nich stać się niemal przyczyną śmierci.

W zależności od położenia słońca Lotta widziała ze swojej łoża coraz to inną część wszechświata. Tam, za szerokim rowem z wodą, ograniczającym ogród z dwóch stron, znajdował się las. Koło gołębnika grupa drzew iglastych formowała naturalną bramę, ciemną dziurę wsysającą spojrzenie - przez pokryty mchem mostek, prosto w mrok między drzewami. Z innego miejsca mogła dostrzec sad i ogródek warzywny, gdzie dynie powiększały swoją objętość tak szybko, że Lotcie, podatnej na podobne zjawiska dzięki bajkom, w których jabłka i świeże bułeczki potrafią mówić, wydawało się, że słyszy, jak dynie te jęczą, odczuwając spowodowane wzrostem bóle. Tam z kolei widać było dom i solidną, ośmiokątną wieżę ciśniętą zakończoną zębatym murkiem - jej okna i drzwi

wykończone były u góry ozdobnymi łukami z zielonej, glazurowanej cegły. Pewnego dnia ujrzała, jak jej holenderski ojciec wspina się na górę, aby umieścić tam dużą flagę. Wstrzymała oddech, gdy wysoko, koło flagi łopoczącej na wietrze jak źle umocowany żagiel, zobaczyła jego niepozorną figurkę - czyż nie było pisane wszystkim ojcom, że nagle zostaną zdmuchnięci ze świata?

W nocy spała w osobnym pokoju. Rozwijał się wówczas przed nią pejzaż nocny: nigdy przedtem niewidziane wzgórza i skały, lasy świerkowe i łąki alpejskie, łańcuchy górskie. Ponad nimi, na połach swego płaszcza żalobnego, unosił się jej dziadek; w jego szponach wisiała Anna, krzycząc bezgłośnie. Lotta biegła przez wzgórza, w górę, w dół, aby uciec przed cieniem, który na nią rzucał. Ziemia wysuwała się jej spod nóg, potykała się o kamienie - budziła się gwałtownie, krzycząc przy tym i kaszląc. Podnoszono ją wówczas i przenoszono do innego łóżka, gdzie spała dalej bez przeszkód, wtulona pod pachę swojej holenderskiej matki.

- Dlaczego zabrali nas wtedy z takim pośpiechem bezpośrednio po pogrzebie, jak nocni złodzieje? - zastanawiała się Lotta.

Anna zaśmiała się sucho.

- Ponieważ to była forma ich zemsty. Z miłym dodatkiem w postaci ekstrasyły roboczej w gospodarstwie. Ta wieś była zamieszkała przez konserwatywnych, katolickich chłopów - tak to wówczas wyglądało. Ojciec uciekł z tego środowiska, gdy miał dziewiętnaście lat. Udał się do Kolonii i został socjalistą. Ten krótkowzroczny starzec nigdy nie był w stanie tego przeboleć, *verstehst du*. Dlatego, jak tylko umarł jego syn marnotrawny, pojawił się, aby nas wyrwać z tego gniazda pogaństwa i socjalizmu. Działał błyskawicznie, aby zapobiec temu, że zatrzyma nas ciotka Käthe.

Lotcie zakręciło się w głowie. Trudno było uwierzyć, że ta groteskowa historia rodzinna dotyczyła również jej samej. Nagle, tak po prostu, na gorzkiej tajemnicy została złamana lakowa pieczęć, w którą zaopatrzyła ją nieskończenie dawno temu: szszsz... nigdy więcej o tym nie myśleć, to się w rzeczywistości nie wydarzyło.

- Ale przecież... - rzuciła słabym głosem - dlaczegoż więc pozwolił... mnie... pojechać do Holandii?

Wydawało jej się, że słyszy jedynie echo własnego głosu, lub też że mówi za nią ktoś inny.

Pochyliwszy się do przodu, Anna położyła pulchną dłoń na dłoni Lotty.

- Nie podobało mu się to, że byłaś chora. Zdrowe dziecko było dobrą inwestycją, ale

chore dziecko... Doktorzy, lekarstwa, sanatorium, pogrzeb: to mogło jedynie spowodować dodatkowe koszty. Było mu na rękę, że jego siostra Elisabeth zaproponowała, iż cię zabierze, chociaż bardzo jej nie lubił i nie ufał jej z powodu eleganckiej toalety żałobnej, którą miała na sobie. Oznajmiła, że syn mieszka w suchej, zalesionej okolicy niedaleko Amsterdamu, wywierającej uzdrawiający wpływ na chorych na gruźlicę; w pobliżu znajdowało się również sanatorium. No cóż, wiesz to wszystko o wiele lepiej niż ja. Ta ciotka jeszcze w ubiegłym wieku - pomyśl tylko, jakieś sto lat temu - sama uciekła przed życiem na wsi, udając się do Holandii jako służąca i tam wychodząc za męża. Dowiedziałam się tego wszystkiego od ciotki Liesl, wiele lat po wojnie. Dziadek nigdy więcej się tobą nie interesował, nawet wówczas, gdy zostałeś wyleczona. Uważał, że kot, co w młodym wieku chorował, nigdy nie stanie się zdrowym, silnym zwierzęciem.

- Zastanawiam się - Lotta uśmiechnęła się z przymusem - czy pozwoliłby mi odejść, gdyby zdawał sobie sprawę, że powierzona zostałam stalinistom, który mnie wychowywał, uwłaczając zaciekłe klechom i kościołowi.

- *Mein Gott*¹ naprawdę...? - Anna z osłupieniem potrząsnęła głową. - Cóż to za ironia... ponieważ bez tego właśnie kościoła dawno by mnie już nie było.

Chleb i gwoździe, kielbasa i agrafki, niczego nie brakowało w bogato zaopatrzonym sklepie z przylegającą doń kawiarnią, w którym Anna dzwicznym głosem odczytywała listę zakupów.

- Chcesz zarobić, dziecko, dziesięć fenigów? - wysepleniła kobieta za ladą; fakt, że w jej zniszczonym uzębieniu brakowało przedniego zęba, nie powstrzymał jej przed uśmiechaniem się ze sklepikarską przebiegłością. Anna skinęła potakująco głową.

- Przychodź więc dwa razy w tygodniu, aby poczytać mojej matce.

Jej matka, ślepa z powodu katarakty i pokurczona, siedziała w pokoju na tyłach w wyświechtanym fotelu przy oknie; na stole przed nią leżały mistyczne rozważania Cathariny van Emmerik. Każda sesja głośnego czytania musiała kończyć się ulubionym fragmentem staruszki - o biczowaniu Jezusa przed ukrzyżowaniem. Święta van Emmerik bez ogródek przedstawiała kolejne stadia biczowania: najpierw okładano go przez pewien czas zwykłym biczem, następnie miejsce poprzednika zajmował kolejny, dobrze wyposażony żołnierz z biczem o rozdwojonych końcach; gdy ten tracił siłę uderzeń, zastępował go żołnierz z

¹ (niem.) - Mój Boże

*flagellum*¹ o zakrzywionych końcówkach, głęboko wrzynających się w ciało. Wraz z każdym uderzeniem staruszka uderzała kościstymi palcami w oparcie fotela, a z jej ust wydobywały się odgłosy, które mieszały się z okrzykami bólu i podżegania do bicia. Również Anna za każdym razem przeżywała najwyższe uniesienie: jej współczucie dla Jezusa i wściekłość wobec rzymskich żołnierzy oraz prawdziwych podżegaczy, Żydów, stapiały się w jedno. Gdy trzęsącymi się palcami zamykała książkę, uczucie oburzenia stopniowo się ulatniało.

- Podejź no... - dawała jej znak staruszka. Pociągając nogami, Anna zbliżała się do jej fotela. Starcze palce, które dopiero co bębniły rytmicznie na oparciu fotela, dotykały teraz po omacku jej pulchnych kończyn. Anna rejestrowała beznamiętnie oznaki starzenia się - plamy wątrobowe na bladej twarzy, napuchnięte wodą worki pod matowymi, niewidzącymi oczyma, przerzedzone włosy, przez które prześwitywała czaszka.

- Ach, pogłaszcz mnie po głowie - odzywała się cicho staruszka, ściskając dłoń Anny. Dziewczynka stała niewzruszona.

- *Bitte, bitte...* pogłaszcz mnie po głowie...

Czy to również należało do czytania na głos, jako dodatkowy prezent? W końcu Anna szybko i machinalnie spełniała prośbę.

- Nasza Anna modli się za pieniądze - śmiał się szyderczo wuj Heinrich do każdego, kto chciał tego słuchać - aż dostaje piany na ustach.

Anna nie mogła się pogodzić z biczowaniem Jezusa, który stopniowo zaczął zajmować miejsce jej ojca. Co niedzielę siadywała między dziadkiem a ciotką w romańskim kościele, pochodzącym z czasów, gdy Germanie masowo przechodzili na wiarę chrześcijańską. Już dawno temu jej błędzące wokół oczy odkryły na jednej z biało otynkowanych ścian płaskorzeźbę, na której przedstawione było to wydarzenie. Pewnego dnia pastor Alois Jacobsmeyer, odmawiający różaniec w bocznej nawie, ujrzał ją kroczącą środkową nawą z drewnianym stołkiem w ręce. Bez wahania skręciła w prawo w kierunku serii liczących sobie kilka stuleci płaskorzeźb, odzwierciedlających drogę krzyżową Chrystusa. Wspięła się na stołek i zaczęła z całej siły okładać pięściami prześladowców Jezusa.

- A masz! - rozległ się w kościele przesiąknięty zemstą głos. - A masz!

Drapiąc się z zafrasowaniem po głowie, Jacobsmeyer zastanawiał się, czy płaskorzeźby wytrzymają pod naporem tak wyrażanego buntu².

¹ (łac.) - bicz

² W oryginale *beeldenstorm*, co obecnie rozumie się jako bunt przeciw przyjętym normom, systemom bądź instytucjom, lecz wywodzi się z czasów Lutra, kiedy to dosłownie termin ten oznaczał burzenie i

3.

Przez chwilę wydawało się, że spotkanie siostr przerodzi się w ostrzejszą konfrontację. Opisana przez Annę, nie bez wzruszenia, scena w kościele rozdrażniła Lottę w niemiły sposób. Nagle zapłonęło w niej dojmujące uczucie wściekłości, które przez wszystkie te lata wciąż żarzyło się pod powierzchnią.

- I w ten sposób kościół zapewnił wam wspaniałą pretekst do wymordowania sześciu milionów ludzi - wyrzuciła z siebie. Na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy.

- Dokładnie tak - odparła Anna - tak właśnie to wygląda! Dlatego też opowiadam ci to, abyś zrozumiała, że podłoże do tego zostało stworzone już w naszym dzieciństwie.

Lotta wolno podniosła się z krzesła.

- Nie wydaje mi się, abym odczuwała potrzebę, by to zrozumieć. Najpierw podpaliście cały świat, a teraz chcecie jeszcze, abyśmy zagłębili się w to, co wami powodowało.

- Podpaliście? Mówisz o swoim własnym narodzie.

- Nie mam z tym narodem nic wspólnego - wykrzyknęła Lotta z oburzeniem. Opanowała się świadomie, po czym dodała wyniośle: - Jestem Holenderką z krwi i kości.

Czyżby w spojrzeniu, które rzuciła jej Anna, kryło się współczucie?

- *Meine Liebe* - powiedziała uspokajająco - przez sześć lat siedziałyśmy na kolanach tego samego ojca, ty na jednym, ja na drugim. Nie możesz tego tak po prostu wymazać. Spójrz tylko na nas, stare i nagie pod płaszczami kąpielowymi, w plastikowych klapkach. Stare i, mam nadzieję, nieco mądrzejsze. Nie obwiniajmy się wzajemnie, lecz zamiast tego uczcijmy nasze ponowne spotkanie. Proponuję, abyśmy się ubrały i poszły do cukierni, przy ulicy nazwanej na cześć królowej Astrid. Mają tam... - cmoknęła czubki palców - pyszne ciastka.

Gniew Lotty wypalił się. Zawstydzona, że tak mu się dała ponieść, skinęła głową. Razem udały się imponującym korytarzem do przebieralni. Razem - cóż za słowo.

Kwadrans później wyszły z monumentalnego budynku uzdrowiskowego i zeszły ze schodów, zmuszone do tego, by podtrzymywać się wzajemnie, jako że padał śnieg i stopnie były śliskie.

Do cukierni nie było daleko. Nie rzucając się w oczy, weszły do środka, przechodząc

wzdłuż witryny wypełnionej smakowicie wyglądającymi przysmakami na tyły lokalu, gdzie w elegancko urządzonym salonie damy w podeszłym wieku w futrzanych czapkach oddawały się z cichym zadowoleniem matriarchalnemu rytuałowi kawy z ciastkiem. Z sufitu zwisało koło od wozu, z lampkami, które rzucały na klientelę upiększające światło, a wiszące na ścianie obrazy, przedstawiające wyimaginowane pejzaże w fałszywych kolorach, potwierdzały atmosferę napawającej spokojem kiczowatości.

Zamówiły *merveilleux*, wyrafinowany wariant kaska powietrza, utrzymywanego w całości przez pianę, bitą śmietaną oraz migdałowe płatki.

- Teraz rozumiem, kto śpiewał wczoraj wieczorem. - Kawałek piany, którą Lotta niosła do ust, zatrzymał się w zamyśleniu w połowie drogi.

- Kto?

- Wczoraj, w jednej z wanien z kąpielą borowinową, ktoś śpiewał piosenkę o kolejce kolońskiej.

Anna roześmiała się.

- Czasem, gdy myślę, że nikt mnie nie słyszy, popełniam grzech koloratury łazienkowej. Ale... na początku to ty chętnie śpiewałaś.

Lotta zmarszczyła brwi. Wokół rozbrzmiewał gwar kulturalnych rozmów; od czasu do czasu odzywał się dzwonek przy drzwiach i do środka wchodził zaśniewony klient.

- Naprawdę zaczęłam śpiewać dopiero wtedy, gdy załamał się pode mną lód.

Lotta stała na pokrytej szronem trawie na brzegu kanału. Jej siostry ślizgały się po nim na fryzyjskich łyżwach, formując długiego węża z córkami ogrodnika z sąsiedniej wioski i z brabantką kuzynką, która przyjechała do nich z wizytą i przyłączyła się do zabawy. Na lodowisku pojawiła się również jej matka, tęgawa kobieta w brązowym, filcowym kapeluszu z chorągiewką z kaczych piór, wskazującą kierunek wiatru. Z dużej papierowej tutki częstowała dzieci turkusowymi i czerwonymi, prążkowanymi miętówkami.

- Idę ino odwiedzić waszą mamę - powiedziała, chwytając Lottę za rękę - pódźże no ze mną, dziewczę!

Wzięła rozbieg i zaczęła się ślizgać po zamrzniętym kanale, krzycząc przy tym bez umiaru i z rozradowaniem pociągając za sobą Lottę. I tak na zmianę pędziły i ślizgały się w kierunku domu, a Brabantka paplała przy tym bez końca w niezrozumiałym dialekcie. Dotarły do ciemnozielonej, na wpół zatopionej łodzi, oznaczającej początek niebezpiecznej strefy, w której wieża ciśnień upuszczała do kanału nadmierną ilość wody; dzieci były przestrzegane przed tym zagrożeniem.

- Dalej nie można, dalej nie można! - krzyczała Lotta, jednak Brabantka turkotała nadal w mechaniczny sposób, podobna w tym do nakręcanej lokomotywki, której nikt nie potrafił zatrzymać, gdy z uporem posuwała się do przodu między nogami stołu.

Gdy lód zaczął pękać, Lotta instynktownie wyrwała rękę. Nie odczuwała strachu. Solidna podstawa pod jej stopami zniknęła i kryształowa podłoga otwarła się, aby wypuścić ją do środka, na terytorium słodkiej, przedwczesnej śmierci, wyścielone zielonymi roślinami i algami, poruszającymi się razem ze strumieniem banieczek powietrza. Lód zamknął się sumiennie nad jej głową. Podczas gdy różnorodność form zamieniała się powoli płynnie w jasną zieleń, turkus i srebro, myślała z żalem o miniaturowym pudełeczku z przyborami do szycia, które od wieczoru św. Mikołaja¹ nosiła przy sobie w kieszeni halki... Szkoda jej było również nowego czerwonego swetra i dopiero co narodzonego niemowlęcia. Podobnie do nanizywanych na sznurek paciorków, zbliżyli się do siebie jej holenderska matka, ojciec i siostry - za nimi, na samym końcu pojawiła się Anna, ledwo widoczna w wiązce sączącego się światła. Nigdy więcej, myślała. Nigdy więcej nie będzie biszkoptów z anyżkiem².

Z Brabantki wydobył się krzyk najwyższego przerażenia, który zaalarmował ślizgające się na łyżwach dzieci. Rzuciły się natychmiast w jej kierunku. Zanurzona była aż po okazały biust, sztywna z przerażenia - z jej otwartych ust przestały wydobywać się jakiegokolwiek słowa. Kapelusz na jej głowie wciąż trzymał się prosto; jedynie piórko poruszało się jeszcze.

- Lotta... gdzie jest Lotta - krzyknęła dziko Jet, najmłodsza z dziewczynek. Odpieła łyżwy, popędziła do domu i szybko przybiegła z powrotem z matką. Ta przesunęła się na brzuchu po lodzie w stronę nieszczęsnej kobiety, której dolna część ciała była już zatopiona. Wkładając ręce pod pachy ofiary, usiłowała wyciągnąć z wody jej ciężkie ciało. Jednakże wessany w błotniste dno, zastygły w kamiennej pozie kolos nie chciał drgnąć ani na jotę. Krzycząc głośno, nadbiegła żona ogrodnika. Nie będąc w stanie niczego zrobić, obserwowała z brzegu akcję ratunkową, rwąc sobie włosy z głowy. Na odgłos jej lamentów pojawił się w końcu również jej mąż, który niegdyś, zanim przerwucił się na hodowlę oleandrów i drzewek pomarańczowych, był żołnierzem w lazarecie. Usiadłszy na brzegu, rozbił nogami lód na kawałki i wyłamał w nim drogę do niedoszłej topielicy. W tej samej chwili w rozrzedzonym, mroźnym powietrzu rozległ się przejmujący głos Jet:

- Proszę pana, proszę pana... tutaj leży Lotta... Lotta, moja siostrzyczka tu leży!

¹ W Holandii obdarowuje się dzieci prezentami w wigilię św. Mikołaja (*Sinterklaas*) tzn. 5 XII.

² W Holandii jest przyjęte składanie wizyty matce po urodzeniu dziecka, przy czym zgodnie z tradycją goście częstowani są biszkoptami posypanymi różnokolorowymi, anyżkowymi granulkami.

Trzęsącym się palcem wskazała miejsce na powierzchni lodu, przez które prześwitywał trójkącik płaszczyka Lotty ze sztucznego futra. Ogrodnik rzucił na szwagierkę fachowe spojrzenie, zostawił ją tam, gdzie stała i zanurkował pod lodem. Całe wieki później powrócił do świata żywych z ociekającym wodą ciałem Lotty.

- Przestań wreszcie - rzucił, wypluwając wodę, w stronę jej matki, która wciąż jeszcze pełna niewiary usiłowała potrząsać ciałem jego szwagierki, nie udawało jej się jednak uratować niczego poza garstką lepiących się kłaczków aksamitu - ona już od dawna nie żyje.

Wolną ręką wskazał na strumyczek krwi, który wydobywał się z lewego kąca jej ust.

Jedno spojrzenie na bezwładne ciało Lotty wystarczyło, by stracić wszelką nadzieję. Jednak ogrodnik, który nie na próżno wydobył ją z rzeki, nie chciał się poddać. Położono ją nagą na stole w jadalni. Szacowano, że przebywała pod wodą pół godziny. Ogrodnik zastosował oddychanie metodą usta-usta, oklepując na zmianę jej całe ciało i pocierając je chustką, którą jej matka ogrzała na piecu. Z zaciekleścią kontynuował te działania, aż w końcu perlący się odgłos oznajmił początek oddychania. W ten sposób Lotta została pocieraniem i poklepywaniem przywrócona do życia, dzięki upartej wytrwałości kogoś, kto w zasadzie był wyspecjalizowany w utrzymywaniu przy życiu roślin i drzew.

Naprawdę odzyskała świadomość dopiero w łóżku swojej matki, otoczona okazującymi zainteresowanie osobami, które przybyły, by podziwiać ten cud medycyny. Wcale jej to nie dziwiło. Przed laty zlitowała się nad nią ciotka Käthe, później została przez nieznaną przewieziona do Holandii, a teraz całkowicie obcy człowiek przeciągnął ją do świata po drugiej stronie lodu. Jak więc mogła nie okazywać uległości wobec wzorca, który wciąż się powtarzał z niemal estetyczną uporczywością?

Na dole w jadalni leżała teraz na stole inna topielica. Umieszczono jej dłonie na kapeluszu spoczywającym na brzuchu, tak że sprawiała wrażenie osoby meldującej się z zakłopotaniem przed bramą niebios.

- To moja wina, że nie żyje - krzyknęła żona ogrodnika, kołysząc się z udręką na stołku kuchennym w tę i z powrotem. - Bóg mnie pokarał! Widziałam, że Lotta tam leży i nie pisnęłam słowa. Pomyślałam, że jak o tym wspomnę, zostawicie moją siostrę i wówczas się utopi.

Matka Lotty doprowadziła ją do porządku:

- Proszę sobie tego nie wmawiać! Serce pani siostry zatrzymało się, ponieważ, jak wspomniał pani mąż, dopiero co zjadła ciepły posiłek, a ratunkiem dla Lotty stało się to, że jeszcze nie jadła.

- A tak smacznie ugotowałam - poskarżyła się tamta - kurze wątróbki z kiszoną

kapustą i podsmażonym boczkiem, od tego przecież nikt nie umiera...

Gdy dziewczynka, która się utopiła, wróciła do szkoły, pozwolono jej siedzieć koło pieca. W pełni powróciła do zdrowia, z wyjątkiem drobnego uszczerbku: nie odtajała całkowicie jej zdolność mówienia. Jąkała się tak potężnie, że odebrano jej uprzywilejowaną pozycję przy piecu, ponieważ w ten sposób była omijana przy zabieraniu głosu. Wypowiadanie się w pełni zabierało jej zbyt wiele czasu. Między jej myślami a wyrażaniem ich za pomocą słów siedział niewielki potwór, który wycofywał sylaby w momencie, gdy miały już opuścić jej usta. Mówienie na przekór tej przeciwnej sile wymagało nadludzkiego wysiłku, jej głowa znajdowała się pod wysokim napięciem, serce było jak szalone, spastyczny język wił się z niemocy. Przy wejściu stał okrutny cenzor, co nie przepuszczał niemal niczego.

Matka Lotty odkryła, że dziewczynka nie jąka się, gdy śpiewa razem z innymi. Jej dźwięczny głos rozbrzmiewał wszędzie, znała wszystkie zwrotki i bez trudu improwizowała przy nich drugi głos, nie jąkając się ani trochę. Piaszczysta droga wzdłuż boiska piłki nożnej łączyła się z obrębioną bukami aleją, prowadzącą przez starą, willową dzielnicę do studia radiowego. Matka Lotty wybrała się tam na swojej gazeli i przekonała dyrygenta chóru dziecięcego, który co tydzień występował w radiu, aby dał Lotcie szansę. Fakt, że była najmniejsza, został z nadwyżką zrekompensowany dzięki temu, że nawet w ramach prostej piosenki dziecięcej jej głos nie tracił nic ze swej czystości. Co tydzień dyrygent wybierał debiutantkę, mogącą zaśpiewać solo wybraną przez siebie piosenkę. Aby Lotta dosięgła do mikrofonu, trzeba ją było postawić na skrzynce po pomarańczach. Ta sztuczna sytuacja nie wywarła na nią żadnego wpływu; gdy tylko zaczęła śpiewać swoją piosenkę, podskórny lęk przed jąkaniem, zawsze drzemiący na progu świadomości - z jednym okiem otwartym, a jednym zamkniętym - zniknął bezpowrotnie. Wpatrując się w dyrygenta, którego siwa czupryna kołysała się zgodnie z ruchem pałeczki, wysłała bez zająknięcia do salonów wielu domów swoją ulubioną piosenkę *Jest w Holandii pewien dom*. Kilka dni później dostarczono jej widokówkę. „Masz piękny głos” - widniały na niej napisane krągłymi literami słowa - „mam nadzieję, że twoi rodzice potrafią to wykorzystać”.

- Hm - westchnęła Lotta - tego dyrygenta wywieziono w czasie wojny do obozu koncentracyjnego. Był Żydem.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Jak można było kiedykolwiek pomyśleć o tym, aby zapomnieć, zastanawiała się Lotta, spoglądając z ukosa na Annę. Trzeba mieć się na baczności przed każdym przedstawicielem tego narodu.

- W zasadzie nie wiem, czy powinnam - zawahała się - zająć tutaj z tobą ciastko i

udawać, że wszystko jest w porządku.

Anna podskoczyła jak sprężyna.

- Kto każe nam udawać, że wszystko jest w porządku? Wyrosłam w kulturze, do której ty czujesz wstręt. Umknęłaś przed tym wszystkim w samą porę. Pozwól, że ci opowiem, jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś została. Pozwól mi...

- Okoliczności, które was doprowadziły do wojny znamy dobrze - przerwała jej Lotta zmęczonym głosem. - Obrazę, którą był traktat wersalski. Kryzys.

Anna potrząsnęła głową.

- Pozwól, że ci coś opowiem o miejscu, jakie Żydzi zajęli w naszym życiu, w moim życiu, przed wojną. Na wsi. Zamówmy jeszcze jedną kawę. Posłuchaj.

Umieranie dziadka trwało latami. Prawie nie wychodził z za pieca - tylko w obłoku ciepłego powietrza jego kości nie kłapały o siebie. Pewnego gorącego, dusznego dnia, wykuśtykał jeszcze jeden raz na zewnątrz i usiadł na ławeczce przed domem. Anna usiadła koło niego. Przed dom zajechał czarny, lekki powóz; na koźle siedziała starsza kobieta w stroju wdowy - do jej spoconej twarzy lepiły się siwe kłaczki włosów. Okazało się, że to jego siostra, która mieszkała w dużym gospodarstwie sześć kilometrów dalej. Nie widzieli się dwadzieścia lat.

- *Aber Trude, was machst du denn hier*¹ - zaskrzypiał jego głos.

- No cóż, jeśli ty mnie nie odwiedzasz - rzekła zjadliwie, obnażając trzy samotne zęby - ja muszę pofatygować się do ciebie.

Wuj Heinrich, który podobnie jak jego zmarły brat chętniej czytał niż doił krowy, dźwigał na swoich ramionach cały ciężar podupadającego gospodarstwa. Ponad stalowymi drzwiami saksońskiego domu, który zbudowano w roku 1779 z drewnianych belek i gliny, widniał od samego początku napis: *Giebst du o Höchster Gott - was du von uns erheissen - das wollen wir in Pflicht - mit höchster Erfurcht leisten*². Prorocze motto, jeśli nacisk położyć na słowo *Pflicht*. Podczas gdy ciotka Liesl krążyła nieustannie tam i z powrotem między gospodarstwem domowym, kurami a ogródkiem warzywnym, wuj Heinrich z największym trudem dzielił uwagę między pokusę kryjącą się w wydrukowanych literach, a pięćdziesiąt świń, cztery krowy z cielakami, konia pociągowego, dwadzieścia pięć mórg własnej ziemi i sześć wydzierżawionej.

¹ (niem.) - Ależ Trudo, co ty tu robisz?

² (niem.) - Daj nam, o najwyższy Boże - to, czego od nas żądasz - chcemy to z poczuciem obowiązku - wypełnić, okazując największą bojaźń.

Nawet podczas załatwiania interesów niemal nie odrywał się od swojej lektury. Kiedy pojawił się handlarz bydła, ojciec Rosenbaum, wyczuwając, że jest do kupienia krowa, wuj Heinrich siedział z książką w kuchni i podczas tradycyjnej gry toczonej między kupcem a sprzedawcą czytał niewzruszenie dalej.

- Ile chciałby pan za nią dostać? - Ojciec Rosenbaum klasnął potężnymi dłońmi. Przekrzywiony kapelusz tkwił na jego głowie, jakby był gangsterem z Chicago. Na jego kwadratowej klatce piersiowej zwiisał antyczny łańcuszek od zegarka.

- Sześćset - mruknął wuj Heinrich, nie podnosząc oczu.

- Sześćset? Wybacz mi, Bamberg, ale to śmiechu godne! O mało nie umrę ze śmiechu!

Tu wybuchnął homeryckim śmiechem, wuj Heinrich zagłębił się właśnie w intrygujący fragment książki, Anna z kolei starała się, aby nikt jej nie dostrzegł w kącie kuchni. Kiedy w końcu Rosenbaum wyśmiał się do końca, wygłosił mowę na temat cen bydła, powołując się przy tym na opłakaną sytuację ekonomiczną, w jakiej znajdował się kraj. Dokąd to wszystko zmierzało? Mógł zaoferować czterysta, ani feniga więcej. Wuj Heinrich nie ustąpił ani na krok.

- Czterysta. - Nie było o tym mowy. - Chcesz mnie zrujnować! W ten sposób nie mogę przecież prowadzić interesów!

Ojciec Rosenbaum wybiegł z kuchni, trzaskając za sobą drzwiami. Poła płaszcza, która utkwiała między drzwiami a framugą, zmusiła go do powtórnego, gwałtownego otwarcia drzwi. Sycząc przez zęby, wyszarpnął swój płaszcz z powrotem. Następnie usłyszeli, jak głośno lamentując chodzi w kółko po klepisku.

- Zbankrutuję! Moja rodzina umrze z głodu!

Wsiadł do swojego wanderera, zapalił motor, wysiadł, znów wpadł do środka.

- Moja dusza, moja nieszczęsna dusza umiera! - Cały ten arsenał pogroźek i lamentów odbijał się od niewidocznego muru wokół czytelnika, który nic sobie z tego nie robił. Gdy rytuał ten powtórzył się trzykrotnie, Rosenbaum wyjął zegarek z kieszeni kamizelki.

- Zajmuję się tym już od godziny, w ten sposób mój interes się rozleci, do licha jasnego. Dobrze, dostaniesz swoje sześćset!

Później, gdy Anna wielokrotnie jeszcze była świadkiem tej ceremonii, zrozumiała, że wynik handlu krowami był ustalony między dwoma antagonistami już od początku i że obydwaj robili to wszystko dla zabawy.

Zrobiono zdjęcie całej klasy. Między pięćdziesięcioma czterema dziecięcymi główkami ta należąca do Anny widniała jako dziewiąta od lewej, w trzecim rzędzie. Wciąż jeszcze w czarnej sukience, z obwisłą czarną kokardą na głowie, patrzyła prosto w kamerę.

Podczas gdy inne dzieci stały blisko siebie, wokół Anny istniała pustka, jakby obawiały się instynktownie, że tęsknota za domem jest zaraźliwa. Przetrzywała jednak ostracyzm dzieci z wioski i dzięki wrodzonej nieustraszonoci zdobyła sobie zaufanie koleżanek i kolegów z klasy. Kiedy wyrosła ze swojej żałobnej sukienki, dostała sukienkę bez kołnierzyka uszytą na wyrost z odpornego na zmiany pór roku, gołębioszarego materiału. Proporcjonalnie do liczby przybywających jej centymetrów wzrastała liczba stałych obowiązków, którymi obdarzano ją w gospodarstwie. W ciągu roku był tylko jeden dzień wakacji: wyprawa do Wewelsburga, średniowiecznego zamku w pobliżu wsi. Ozdobione korą brzoszową i kolorowym papierem wozy drabiniaste wypełniały się bulwami głów wieśniaków; wszyscy walczyli ze sobą o miejsce w wozie Lampen-Heiniego, bogatego chłopca posiadającego ręce, lekkie konie. Po drodze zapominali o coraz cięższym życiu codziennym i śpiewali pełnym gardłem piosenki o miarowym rytmie.

Mieli o czym zapomnieć. Na przykład o milionach bezrobotnych w miastach, którym brakowało pieniędzy na kupno czegokolwiek, wskutek czego ich masło, ziemniaki i wieprzowina były nieustannie odsyłane z powrotem. O tym, że z tego powodu nie byli w stanie dłużej płacić dzierżawy, kupować sztucznego nawozu ani płacić podatków i mogli tylko marzyć o parze nowych butów lub kłębku wełny, aby zacerować skarpetki. W zagłębiu Ruhry panowała tragiczna sytuacja. Bezrobotnych wysyłano na wieś, aby w zamian za pożywienie i dach nad głową pracowali dla chłopów. Następnie pojawiły się dzieci, przydzielone przez kościół każdej wieśniaczce, która się zgłosiła. Tajemnicze pochodzenie białych, anemicznych dzieci i niemal metafizyczna rola kościoła jako pośrednika tak przemawiały do wyobraźni Anny i jej koleżanek, że wymyśliły zabawę: *Die Ruhrkinder kommen*¹. Patykami rysowały na udeptanej ziemi wyobrażoną wioskę z kościołem i leżącymi wokół gospodarstwami. Po kolei odgrywały rolę matki. Odbierała ona w kościele dziecko z zagłębia Ruhry, spacerowała z nim przez wieś i wprowadzała je do zaprojektowanego przez siebie domu. Nie interesowało ich, co działo się później - chodziło tylko o to, by wziąć pod opiekę biedne dziecko, co pobudzało ich dochodzący do głosu instynkt macierzyński. Anna, która czuła pokrewieństwo z małymi wygnańcami, z pasją brała udział w tej zabawie do czasu, gdy nieoczekiwanie urzeczywistniła się ona w postaci Nettchen, którą ciotka Liesl przysparzyła do domu.

Było to dziecko z zagłębia Ruhry z krwi i kości. Nettchen przybyła w przydeptanych butach, chuda i zapuszczona, trzymając ciotkę Liesl za rękę. Na głowie miała upięte dwa

¹ (niem.) - Przybywają dzieci z Zagłębia Ruhry

długie, brązowe warkocze, na jej wargach widniały strupki, których nie była w stanie zostawić w spokoju. Śmiała się zagadkowo ze wszystkiego, co do niej mówiono, sama jednak nigdy nie udzielała odpowiedzi. Początkowo myśleli, że ta Nettchen nie potrafi mówić, gdy jednak w końcu wydobyły się z niej jakieś bąkania, okazało się, że po prostu niewiele ma w głowie. W szkole nie była w stanie dorównać innym dzieciom. Przyszła do domu z poprawioną pracą domową - na dole tabliczki nauczycielka napisała: „Droga Anno, czy nie wstyd ci pozwolić Nettchen, aby pojawiła się w szkole z takim zadaniem? Czy nie czas, abyś jej pomogła?”. Wobec takiego wyzwania Anna nie pozostała obojętna. Z żelazną dyscypliną zaczęła poświęcać się co wieczór odbudowie zaniedbanego intelektu Nettchen. Ku jej rozgoryczeniu wkładany przez nią wysiłek nie przynosił żadnych rezultatów. Niewytłumaczalny śmiech Nettchen w odpowiedzi na każde pytanie, na które miała odpowiedzieć, doprowadzał ją do rozpacz.

- Dlaczego tak się do tego przykładasz? - spytał lakonicznie wuj Heinrich. - Taka, jaka jest, Nettchen jest przecież o wiele szczęśliwsza niż ty czy ja.

Miłością interesowała się Nettchen w wielkim stopniu. W ciotce Liesl zakochał się najładniejszy ze wszystkich chłopaków mieszkających w osadach rozciągających się daleko wzdłuż Lippy - Leon Rosenbaum. Pojawiał się co niedzielę w gospodarstwie z bukietem kwiatów. Na zardzewiałej ławce ogrodowej z widokiem na grządkę młodych roślin kapustnych ich niemożliwa miłość zmierzała szybkim krokiem do przedwczesnego końca. Przemilczali to, co mieli sobie do powiedzenia. Zamiast tego trzymali się za rękę i bąkali banalne słowa, które natychmiast się ulatniały. Anna i Nettchen leżały za krzakami agrestu, czekając na coś bardziej zdecydowanego. Czasem Leon dawał ciotce Liesl niewinnego całusa. Jej biust unosił się z tęsknotą i opadał, złoty krzyżyk kołysał się razem z nim, a Nettchen szczypała Annę w rękę.

Podczas piątkowej liturgii opanowało Annę niejasne podejrzenie, że istnieje określony związek między niezdecydowaniem w tych próbach nawiązania kontaktu a zakończeniem odwiecznie powracającego, wymawianego na kolanach passusu *Flectamus genua*¹: „Módlmy się za kościół, za papieża, za biskupów, za chorych, za podróżnych, za rozbitków...”. Nie pomijano żadnej kategorii, nie opuszczano również Żydów. Kiedy na samym końcu przychodziła na nich kolej, wszyscy wierzący jak jeden mąż podnosili się z kolan - w końcu Żydzi klękali szyderczo na kolana przed Jezusem ze słowami: „Oto król żydowski!”. Modlitwę kończyły słowa: „Niech panujący nam Bóg zdejmie z ich serca zasłonę, aby

¹ (łac.) - Zegnijmy kolana

również oni rozpoznali Pana naszego Jezusa Chrystusa”.

Kiedy do Leona dotarło, że jego wszelkie próby spaliły na panewce z powodu złotego krzyżyka, przestał składać wizyty. Ciotka Liesl zapadła w głuche milczenie. Przez długie tygodnie wydawało się, że automatycznie wykonuje swoje zadania, aż w końcu podjęła postanowienie, jak z tandetnego melodramatu: wycofała się z życia, wstępując do klasztoru klarysek. Przy pożegnaniu przycisnęła gwałtownie Annę do siebie i pocałowała ją czule w czoło; nerwowym ruchem wyciągnęła z czarnej torebki, którą musiała oddać przy bramie klasztornej, małą, ząbkowaną fotografię Leona i wcisnęła ją do ręki Anny.

Jej odejście dało początek szeregowi dojmujących zmian. Nettchen została z powrotem oddana do kościoła. Dziadek, którego wszytkowidzące oko w symboliczny sposób kontrolowało wszystko aż do ostatnich dni życia, zamienił swoją roślinną wegetację na wieczne odpoczywanie. Pochowano go na zaśnieżonym cmentarzu, koło żony, która uprzedziła go o piętnaście lat.

Po powrocie do gospodarstwa wuj Heinrich położył jej rękę na ramieniu.

- I tak, Anno, pozostaliśmy jedynie my dwoje oraz bydło. W dodatku ani ty, ani ja, nie jesteśmy wieśniakami. Chodź, zabierzmy się do pracy.

Heroizm tego pogodzenia się z losem przypominał Annie ojca, który w ten sam sposób pogodził się ze swoją chorobą. Wykazując nagły spryt, złapała się jego płaszcza żałobnego. Jeśli również on umrze, pomyślała, zostanie zupełnie sama.

4.

- Napisałam do ciebie dziesiątki listów - westchnęła Lotta. - Leżałam w swojej altanie i pisałam. Moja matka kupiła dla mnie specjalny papier pocztowy, z fiołkami w lewym górnym rogu. Wszystkie moje listy kończyły się słowami: „Droga Anno, dlaczego nie odpisujesz? Kiedy się znowu zobaczymy?”.

- Na pewno przejęli i wyrzucili te wszystkie listy, po przeczytaniu ich ze swojej chłopskiej ciekawości. I pomyśleć tylko, że uważałam, iż o mnie zapomniałaś.

Ich wzrok błdził po innych stołach. Obydwie milczały. Siedziały tutaj, niemal siedemdziesiąt lat później, i wciąż czuły się wystawione do wiatru i oszukane; nie wiedziały, co zrobić ze swoimi uczuciami. Czy życie wszystkich obecnych tu kobiet, w ich jedwabnych

bluzkach, ze złotymi kolczykami i starannie uszminekowanymi ustami, również potoczyło się w innym kierunku wskutek tego typu nieporozumień? Nagle Anna zaczęła się śmiać z nutą sarkazmu.

- Dlaczego się śmiejesz? - spytała Lotta podejrzliwie.

- Ponieważ po tych wszystkich latach wciąż odczuwam równie wielkie oburzenie. - Anna bębniła palcami po stole. Przypomniała sobie, jak pewnego dnia zdecydowała, że Lotta zmarła z powodu choroby, z której miała w Holandii powrócić do zdrowia. Nikt nie pomyślał o tym, aby wysłać jej zawiadomienie o jej śmierci. Może otrzymał je dziadek, przemilczał to jednak, aby jej nie zmartwić. W ten sposób uśmierciła Lottę, ponieważ zmarła Lotta była łatwiejsza do zniesienia niż siostra, która o niej po prostu zapomniała. Poza tym w jej rodzinie umieranie było czymś normalnym.

- To jak w powieści - stwierdziła Lotta. W jej wyobraźni czas szybko się cofnął. Słyszała jeszcze, jak kiedyś, gdy zaczęła mówić o Annie, jej matka powiedziała ze współczuciem:

- Biedne dziecko, trafić do takich barbarzyńców.

Dzięki tej opinii, ślepo przejętej od swojej niemieckiej teściowej, los Anny stał się dla Lotty jeszcze bardziej zagadkowy. Czy Anna sama stała się teraz barbarzyńcą? Czy barbarzyńcy nie mieli papieru listowego? W ten sposób wymyślała dla siostry najróżniejsze wymówki, aby nie musieć żyć z myślą, że Anna po prostu nie daje znaku życia.

Między wujem Heinrichem a delikatną, jasnowłosą córką zamożnego chłopa stały na przeszkodzie surowe, niepisane prawa, które najłatwiej było wyrazić w liczbach: pogłowię posiadanego bydła, liczba parobków, liczba hektarów ziemi. Próbował wyrzucić z myśli swoją wybranekę, zajmąwszy się Martą Höhnekop, która była jej absolutnym przeciwieństwem. Spotkał Martę podczas święta strzeleckiego. Nie chcąc poddać się terrorowi rangi i stanu, ani dyktaturze kapitału, zainteresował się kimś, kto nie miał nic do stracenia. Była najstarsza spośród czternaściorga rodzeństwa. Jej ojciec miał kawiarnię, którą omijał każdy, kto miał dla siebie choćby odrobinę szacunku. Wuj Heinrich był jednak pijany, a Marta Höhnekop - dostępna.

Pewnego dnia pojawiła się w życiu Anny. Wielkimi, agresywnymi krokami, które ostro kontrastowały z kremowymi koronkami jej ślubnej sukni, weszła do zagraconego pokoju mieszkalnego, rzuciła na stół swój bukiet róż i floksów i posapując opadła na fotel dziadka. Odetchnęła z ulgą: zachowywanie się w sposób kulturalny i czarujący w ratuszu, w kościele i podczas uroczystego posiłku, bardzo ją wyczerpało. Anna przyjrzała jej się

dokładnie. Potężnie zbudowana kobieta o dużej, płaskiej twarzy, wąskich ustach i wystających kościach policzkowych; ponad nimi znajdowały się skośne, zagadkowe, nieprzeniknione, głęboko osadzone oczy. Gładkie, czarne włosy były upięte do góry, a róża, która została w nie wpięta tego ranka i przez cały dzień dzielnie się trzymała, teraz zaczęła się powoli wysuwać. Jej policzki wydawały się nienaturalnie czerwone. Anna myślała, że to z powodu wesela, później okazało się jednak, że rumieniec na jej policzkach był wytatuowany, tak jakby cierpiała z powodu permanentnego podniecenia, które nie znajdowało ujścia.

- Wyślij no to dziecko do łóżka - powiedziała do wuja Heinricha, machając ręką w stronę Anny.

- Dopiero co się pobraliśmy i już mamy taką dużą dziewczynę - odparł pan młody z krzywym uśmiechem - niewielu potrafi po nas coś takiego powtórzyć.

Jednak panna młoda, która dosyć miała otwartego spojrzenia Anny, nie widziała w tym nic zabawnego.

U Marty Hühnekop naprawdę funkcjonowała jedynie macica; co roku przychodziło na świat kolejne dziecko. Poza tym nie spełniała żadnych oczekiwań. O dziewiątej, gdy ziewając i drapiąc się po głowie wstawała z łóżka, dzień wuja Heinricha trwał już od czterech godzin. Potem dzięki zachowywaniu egocentrycznej postawy udawało jej się wzbudzić wrażenie, że zajmuje się gospodarstwem domowym, w rzeczywistości jednak błdziła ze swoim wielkim ciałem po niewielkich izbach jak jakaś siła natury, nie robiąc przy tym niczego. Wiele prac leżałoby odłogiem, gdyby nie krążyła wokół wolna jak ptak jedenastoletnia dziewczynka. Dziewczynka, która w zasadzie była niczyja, jednak jadła i spała pod tym samym dachem, razem z innymi. Kto jest leniwy, musi wykazywać spryt. Ciotka Marta zrozumiała, że z tak zwaną kuzyneczką spadła jej z nieba niezbędna siła robocza.

Wraz z każdym nowonarodzonym niemowlęciem kurczyło się w Annie po trochu to, co w niej było jeszcze dzieckiem, a zamiast tego coraz większych rozmiarów nabierało juczne zwierzę. Każdy z siedmiu dni jej tygodnia zaczynał się od dojenia krów - o szóstej rano bańki musiały znaleźć się przy ulicy. Potem następowało karmienie świń, koni, krów, cielaków i kur. Trzeba było napompować dla nich wody pitnej, uprzątnąć nawóz z chlewu, obory i stajni, ugotować paszę dla świń, oczyścić krowy. Odpowiednikiem tego łańcucha czynności, zwanego pracami porannymi, były prace wieczorne: o czwartej po południu - po szkole - zaczynało się wszystko od początku. Gdyby umieścić te odpowiedniki na kominku jako figurki, przedstawiałyby one dwóch niewolników o uginających się w kolanach nogach i zaokrąglonych grzbietach - z umieszczonym między nimi zegarem, nieuchronnie odmierzającym czas.

Obraz jej wymarzonej egzystencji, jako uczennicy gimnazjum, stawał się coraz bledszy. W marzeniu tym jej życie wciąż jeszcze rozwijało się według początkowego planu, w którym ojciec stawiał wielkie wymagania w odniesieniu do jej intelektu - co w rzeczy samej klóciło się niemiło z krowami i świniami. W swojej naiwności pojawiły się w ich domu dwie nauczycielki oraz pastor, usiłując przekonać wuja Heinricha, by pozwolił jej pójść do gimnazjum. Jednak ich pienia pochwalne na temat jej talentów nie były w stanie przeciwstawić się jednemu, prymitywnemu argumentowi:

- Nie, potrzebna nam jest w gospodarstwie.

Nigdy nie wydobył się z szoku spowodowanego małżeństwem zawartym pod wpływem impulsu. Może to jego błyskawiczne działanie było nie tylko próbą ucieczki, lecz również niedojrzałym usiłowaniem odbudowania rozpadającego się życia rodzinnego. Oczywiście się stało, że w ten sposób ściągnął na siebie o wiele większe nieszczęście. Uzbierał się wobec swojego rozczarowania, z ponurą zaciekłością zagłębiając się w pracę. Jego twarz przybrała ostry, napięty wyraz chłopca, który wcześniej sobie uświadomił, że niezależnie od tego, jak wiele będzie z siebie dawał, jego los jest przesądzony, i właśnie dlatego, z czystego masochizmu, daje z siebie jeszcze więcej. Gdyby nie było tam Anny, jego małej towarzyszki w katastrofie i smutku, musiałby podjąć walkę z pierwotną siłą, uosabianą przez jego żonę, aby skłonić ją do jakiegokolwiek pracy - z góry było do przewidzenia, kto byłby w tej walce stroną przegraną.

W niedzielę na kilka godzin uwalniała dom od obecności ciotki Marty msza śpiewana. Najmłodszy syn ojca Rosenbauma wykorzystał tę okazję, aby pewnego ciepłego, letniego dnia sprawić Annie niespodziankę. Wkroiła właśnie ziemniaki i marchew do zupy, w której wygotował się kawałek boczku. Nagle przez unoszącą się parę zauważyła, że w drzwiach stoi chłopak. Zrobił parę kroków w jej stronę; rozpoznała Daniela Rosenbauma, który chodził do tej samej klasy, co ona.

- Idę popływać w Lippie - powiedział niedbale - czy mogę się tu przebrać?

Anna spojrzała na niego z roztargnieniem.

- Hm, dobrze - odrzekła, wskazując niejasno - możesz to zrobić tam, w pokoju.

Pływać w rzece, myślała zdumiona, tego przecież nikt nigdy nie robi. Nie знаła nikogo, kto potrafił pływać. Wpatrując się w bąble i zawirowania na powierzchni gotującej się zupy, miała przed oczyma niebezpieczne wiry w Lippie. Gdy usłyszała odgłos za sobą, machinalnie się obróciła. Młody Rosenbaum stał nagi na wycieraczce, jego uniesiony członek skąpany był w promieniach słońca, które wpadały przez okno do środka. Wpatrywał się w nią z wyzywającą powagą. Łyżka do zupy wypadła jej z ręki. Niezależnie od chudego,

chłopięcego ciała, które odcinało się ciemnym kolorem, wydawało się, że ta rzecz, z okiem na górze, celowała właśnie w nią, na podobieństwo unoszącej się kobry, która szykuje się do ataku. Nie wiedziała, że coś takiego istnieje, nie chciała tego zaakceptować, nie miała z tym nic do czynienia, więc uciekła z kuchni na zewnątrz przed honorami, które jej tam oddano, zatrzymując się dopiero za ligustrowym żywopłotem. Cała się trzęsła. W oddali, sponad czubków drzew wystawała potężna wieża kościoła św. Landolinusa. Ta również wskazywała w górę. Pochyliła się, aby wyrwać kępkę trawy, po czym porwała po kolei wszystkie źdźbła na kawałki. Jak to było możliwe, że podczas gdy tam celebrowano mszę śpiewaną, tutaj mogło zmanifestować się coś podobnego - że obydwa zjawiska istniały w tym samym świecie?

Jezus powiedział: „Staraj się być doskonały, ponieważ Nasz Ojciec w niebie również jest doskonałością”. Anna z bojażnią usiłowała wypełniać to zadanie, lecz w dniu Wszystkich Świętych jej starania zostały wystawione na ciężką próbę. Tego listopadowego dnia wysłuchiwanie były wszystkie modlitwy za dusze zmarłych. Ci, którzy mieli do tego okazję, zjawiali się w kościele sześciokrotnie, aby optymalnie wykorzystać tę szansę. Nie modlono się jednak wyłącznie za ukochanych zmarłych. Największą ofiarą była modlitwa wznoszona za bezbożników: „Uczyń coś dobrego również dla grzesznika”. Pomodliła się już za swego ojca, matkę, dziadka, i dla pewności również za Lottę. Za kogo jeszcze mogę się teraz pomodlić, zastanawiała się, co kosztowałoby mnie najwięcej wysiłku? Wówczas, niepytany, pojawił się przed nią nagi Rosenbaum, na wycieraczce, skąpany w promieniach słońca. W mgnieniu oka stało się dla niej jasne, o jaką była proszona ofiarę: dlaczego nie miałyby pomodlić się za jakiegoś zmarłego Żyda?

Lotta popijała małymi łykami z kieliszka Grand Marnier, który towarzyszył trzeciej filiżance kawy.

- Równie dobrze mógł to być nieżydowski chłopak.

- Oczywiście! Opowiadam o tym jedynie po to, by ci pokazać, jak dwuznaczna była moja postawa wobec Żydów i jak podsycił ją kościół. Teraz następuje najgorsze. - Przechylając kieliszek do tyłu, Anna wysączyła ostatnią kroplę koniaku. - W pewnym momencie zniknęli wszyscy Żydzi, nie pozostał w naszej wiosce ani jeden. Przestał przychodzić Rosenbaum, aby kupować bydło; jego miejsce bezceremonialnie zajął chrześcijański handlarz bydła. A jednak nigdy nie zapytałam: gdzie właściwie podziła się rodzina Rosenbaumów? Nigdy, rozumiesz? Nikt nigdy o to nie zapytał, mój wuj także zachowywał milczenie.

- Co się stało z tą rodziną?

- Nie wiem! Gdy ludzie twierdzą „myśmy o tym nie wiedzieli”, mówią prawdę. Dlaczego jednak nie wiedzieliśmy o tym? Ponieważ to nas zupełnie nie interesowało! Teraz obwiniam się o to, że nie zapytałam: gdzie się podziali?

Lotcie zrobiło się gorąco, zakreśliło jej się w głowie. Samoobwinianie się Anny brzmiało w jej uszach pusto - cóż dobrego z tego wynikało? Wokół nich zniknęły wszystkie futrzane czapki. Lampki w kole od wozu paliły się jeszcze, ale były o połowę przyciemnione.

- Wydaje mi się, że chcą się nas pozbyć - wymamrotała.

Anna uparła się, aby zapłacić cały rachunek, Lotta nie chciała o tym słyszeć. Anna była jednak szybsza. Zdążyła już zapłacić, gdy Lotta wciąż jeszcze próbowała trafić do rękawa swojego płaszcza. Niemcy ze swoją twardą walutą potrafili uprzedzić każdego.

Chociaż dopiero co znajdowały się w atmosferze lat trzydziestych, teraz wkroczyły do białego, ponadczasowego świata - panująca w nim natarczywa cisza napawała je przecuciem wielkiej pustki. Anna zaoferowała Lotcie swoje ramię. Zdając sobie sprawę z tego, że tutaj ich drogi się rozejdą, zatrzymały się przy pomniku Lansjerów na Place Royale - bohaterski jeździec wyruszał na wojnę w hełmie ze śniegu.

- Do jutra - Anna spojrzała uroczyście na Lottę i ucałowała ją w oba policzki.

- Do jutra - odpowiedziała cicho Lotta.

- Któż by to pomyślał... - dodała jeszcze Anna.

Przeszły przez ulicę, ruszając w tym samym kierunku.

- Dokąd idziesz? - zapytała Anna.

- Do swojego hotelu.

- Ależ ja również!

Okazało się, że każda z nich zatrzymała się w hotelu położonym po przeciwnej stronie torów kolejowych.

- To nie może być przypadek! - zaśmiała się Anna, znów chwytając Lottę za ramię.

Tak więc ruszyły dalej, śnieg skrzypiał miło pod ich stopami. Na moście kolejowym zatrzymały się, aby przyjrzeć się ośnieżonym dachom.

- Pomyśl tylko - zadumała się Anna - jakie to znakomitości kurowały się tu w ciągu stuleci. Nawet car Piotr Wielki.

- To miasto wciąż jeszcze ma w sobie coś wytwornego - stwierdziła Lotta, usuwając z balustrady mostu warstwę śniegu palcem urękawiczonej dłoni. Podobała jej się atmosfera arystokratycznego entuzjazmu i minionej sławy, otaczająca budynki w dole. Dziewiętnasty wiek wciąż jeszcze był tu wyraźnie obecny i budził tęsknotę za bardziej harmonijnym i

przejrzystym sposobem życia, bezpowrotnie utraconym. Gdy ktoś z personelu Instytutu podawał rękę, aby pomóc jej wyjść z wanny i włożyć ogrzany płaszcz kąpielowy, roiała sobie przez chwilę, że jest wdową po arystokracie lub markizą, która przywiodła ze sobą własną pokojówkę.

Ruszyły dalej, od latarni do latarni, od kręgu światła do kręgu światła, aż w końcu stanęły przed willą z dwiema okrągłymi wieżyczkami.

- To moje miejsce - rzekła Lotta. Budynek zbudowany jakby z białej, posypanej pudrem czekolady, sprawiał wrażenie czegoś nierzeczywistego, z krainy marzeń. Ten dzień, wraz z wszystkimi jego nieprawdopodobieństwami, przyśnił jej się jedynie, a stojąca koło niej Anna w rzeczywistości nie istniała.

- Wygląda jak pałac - stwierdziła Anna trzeźwo - ja się zatrzymałam tam z tyłu, mój hotel jest o wiele zwyczajniejszy.

Lotta wyczuła nutę krytycyzmu, nie miała jednak ochoty na tłumaczenie, że za luksusową fasadą kryje się skromny hotel rodzinny.

- Życzę ci... dalej... przyjemnego wieczoru - wyjąkała.

- Nie mogę doczekać się jutra - westchnęła Anna, mocno przyciskając ją do siebie.

Zanim Lotta zasnęła, upłynęło wiele czasu. Trudno jej było znaleźć pozycję, w której nie odczuwałaby bólu. Niezależnie od tego, czy leżała na boku, czy na plecach, nieustannie powtarzała sobie w myślach dzisiejsze spotkanie oraz wynurzenia, do których doprowadziło. Mieszanina sprzecznych ze sobą emocji nie pozwalała ślepo poddać się snowi. Jak wyjaśnić to dzieciom, było jej ostatnią myślą, gdy w końcu nad ranem zapadła w drzemkę.

5.

Lotta obudziła się pełna złych przeczuć. Pokój hotelowy wydał jej się dziwny i wrogi; ośnieżone gałęzie za oknem nie budziły żadnych poetyckich odczuć. Wszystko ją bolało. To ciało budziło jej odrazę - nie tylko dlatego, że czuła je przy każdym ruchu, lecz również dlatego, że nie mogła się wyprzeć jego pochodzenia. Holenderka w ciele Niemki. W Belgii. Najchętniej uciekłaby stąd bezszelestnie, jednak kuracja była prezentem od jej dzieci, nie mogła przecież uciec przed swoim własnym podarkiem urodzinowym. Dać się uwieść Annie było formą zdrady; ból w członkach stanowił ostrzeżenie, że pozwoliła sobie na zbyt wiele.

Te pierwsze lata życia, na które powoływała się Anna - cóż za znaczenie miały w życiu człowieka? Przyszły na świat równocześnie, w połowie pierwszej wojny światowej, podczas gdy niecałe sto kilometrów dalej masowo umierali ludzie. Miało to w sobie coś nieodpowiedniego, urodzić się w takiej chwili i to w dodatku we dwójkę. Musiało się w tym kryć przekleństwo. Wielkie oddalenie, powstałe między nimi, było rzeczą słuszną. Może spoczywała na nich bezosobowa, historyczna wina, którą, niezależnie od siebie, musiały w ciągu swojego życia odkupić, napotykać określoną przez okoliczności dozę przeciwności.

Podczas gdy oczekiwała w suterenie na przygotowanie kąpieli borowinowej, w drzwiach pojawiła się Anna. Miała już w sobie coś wzbudzającego zaufanie - tak jakby była to zapowiedź swoistych uczuć rodzinnych! Anna usiadła koło niej na białej ławce.

- Jak spałaś, *meine Liebe*?

- Nie najgorzej - odrzekła Lotta wyniośle.

- Ja spałam znakomicie - stwierdziła Anna pocierając swoje uda.

Kobieta w białym fartuchu dała Lotcie sygnał. Anna uchwyciła ją za ramię.

- Tu obok jest przytulna kawiarnia, Relais de la Poste, umówmy się tam. Dziś po południu!

Lotta wkroczyła do łazienki, nieznacznie skinąwszy głową. Jak to było możliwe: wciąż od nowa udawało się Annie ją zaskakiwać, stawiać przed faktem dokonanym!

W Relais de la Poste czas zatrzymał się na początku lat trzydziestych. Ciemnobrązowe drewniane krzesła, białe obrusy przykryte szklanymi płytami, miedziane lampy z kulistymi szklanymi kloszami: wszystko wywodziło się z tego okresu. W powojennych krótkotrwałych okresach mody na stal, plastik bądź pseudorustykalność właściciel nie widział żadnego powodu do zmiany. Panowała tu cisza, z wyjątkiem niegłośnych rozmów prowadzonych przy bufecie przez kilku stałych bywalców. Po drugiej stronie ulicy szaro odcinały się mury Instytutu Wodolecznictwa, wzdłuż których przesuwali się przechodnie, podnosząc kołnierze dla ochrony przed śniegiem. Kobieta za barem doradziła obu paniom, aby dla rozgrzewki spróbowały miejscowego napoju, zwanego Ratafia de Pommes. Słodko-kwaśny, wyrafinowany smak tego likieru jabłkowego zmiękczył opór, jaki Lotta odczuwała przed wspólnym spędzaniem czasu. Po drugim kieliszku odkryła w ciemnym kącie prymitywne radio w ładnej, drewnianej skrzynce. Oczarowana, podeszła do niego i przesunęła z lubością palcami po wypolerowanym drewnie.

- Spójrz tylko - wykrzyknęła - mój szalony ojciec miał coś podobnego!

Nabycie gramofonu w Amsterdamie w firmie Grammophon en Polyphon stało się nie tylko źródłem radości, lecz również powodem kłótni i bezsenności domowników. Dokonanie definitywnego wyboru poprzedzały długie godziny muzycznej gastronomii. Ojciec Lotty słuchał z zamkniętymi oczyma boskiego głosu Carusa; wykonywane przez niego *Hosanna* i aria z *Pajaców* doprowadzały niemal do rozpadnięcia się luksusowego aparatu firmy Polyphon z Leidsestraat na kawałki. W górnym blacie nowo nabytego mebla umieszczona była klapka, pod którą znajdował się gramfon. Uzyskał on honorowe miejsce w salonie; odtąd mieszkanie przesiąknięte było symfoniami Schuberta i Beethovena, głosem sławnego tenora Jacoba Urlusa - który śpiewał *Murmeln des Lüftchen* - lecz również łagodnym głosem Aaltje Noordewier w pasjach Bacha. Do późnej nocy ojciec obsługiwał nowy aparat, w którym wyrażała się w pełni symbioza jego miłości do muzyki oraz do najnowszych zdobyczy elektrotechniki. Gdy jego żona odkryła, że w swoim odurzeniu zapomina pogasić światła i wyłączyć ogrzewanie, zaczęła dotrzymywać mu towarzystwa w tych nocnych posiedzeniach aż do samego końca. Lubił głośną muzykę. Z powodu nadmiaru niebiańskich dźwięków dzieci zaczęły mieć problemy ze snem. W szkole zapadały nad rachunkami w drzemkę; podczas lekcji czytania Lotta wciąż słyszała narastające fale zniewalających śpiewów z *Orfeusza*, które przebijały się przez odczytywane słowa.

Magazyn firmy Polyphon posiadał zapas czterech i pół tysiąca różnych płyt gramofonowych. Matka Lotty bywała systematycznie zaskakiwana przez przedstawiciela firmy, który wymachiwał jej przed nosem rachunkami. Wieczorami przez dźwięki muzyki przebijała się dyskusja na temat pieniędzy.

- Już za to zapłaciłem.

- Nie zapłaciłeś jeszcze za to, znowu tu się pojawili, cóż to za brak klasy!

Jet i Lotta wymykały się z łóżka i siadały na najwyższym stopniu, obejmując się ramionami. To, co z perspektywy sypialni wydawało się tylko zagrożeniem, tu urastało do rangi niebezpieczeństwa. Muzyka bezlitośnie rozlegała się nadal, lecz górowała nad nią złość rodziców. Czasem z głośnym odgłosem lądował na podłodze jakiś przedmiot. W końcu z płaczem schodziły ze schodów i bosy wkraczały na plac walki, przygotowując się na najgorsze. Miały alibi:

- Śniło nam się coś strasznego.

Lotta trzymała się mocno rękawa nocnej koszuli Jet. Natychmiast następowało zawieszenie broni. Ojciec podchodził do cudownego mebla, aby nastawić inną płytę; matka z poczuciem winy przyciskała je do łona.

Głód posiadania nowej muzyki, jaki odczuwał ojciec, nie dorównywał jego

uzależnieniu od aparatury dźwiękowej. Już wkrótce poziom odtwarzania gramofonu przestał spełniać jego wymagania. Punktem odniesienia był dla niego Concertgebouw w Amsterdamie, brzmienie w pokoju mieszkalnym musiało być takie samo. W swoim gabinecie, wśród chaosu transformatorów, rozgałęźników prądu, konsol, głośników i uziemionych elektrod wnosił, wciąż eksperymentując, różne ulepszenia - w czasie lutowania osmalał sobie końce wążów. Miał już za sobą szereg udanych prób jako radioamator; skonstruowane przez niego radio kryształkowe przewyższało jakością chryształphone z fabryki Edisona. W gramofonie wprowadził tyle pomysłowych zmian, że trudno w nim było rozpoznać pierwotny aparat. Kiedy nieoczekiwanie wylansowano na rynku ultrafon, natychmiast się do tego dostosował. To urządzenie, które wprawiało w zachwyt nawet najbardziej sceptycznych krytyków, posiadało dwa ramiona dźwiękowe i dwie igły, tak że dźwięk był odtwarzany dwukrotnie z krótką pauzą - efekt stereo *avant la lettre*. Gramofon obdarzony ludzkim głosem, donosiła prasa. Ojciec Lotty odebrał to jako osobiste wypowiedzenie wojny. Od nowa pogrążył się w działalności w swoim gabinecie; nie spoczął dopóty, dopóki nie skonstruował instalacji z dwoma stożkowatymi głośnikami. W efekcie nie tylko dźwięk dochodził, tak jak w sali koncertowej, ze wszystkich stron, ojciec wyprzedził innych również w wyścigu o przewycięzenie szumu. Dwie potężne szafki z bukowego drewna, które dominowały w pokoju, zapewniły mu sławę, która rozniosła się nawet na południe od wielkich rzek¹. W samochodzie firmowym przybyli na północ inżynierowie reprezentujący przemysł lampowy, aby na własne uszy usłyszeć ten akustyczny fenomen. Za nimi pojawili się technicy dźwięku z rozgłośni radiowej, muzycy, hobbyści, dalecy znajomi - wieczór za wieczorem nowi zainteresowani podziwiali wspaniałą poziom odtwarzania dźwięku oraz powiększającą się bez końca kolekcję płyt. Na skutek nadmiaru zainteresowania i uznania sam sprawca tych technicznych i muzycznych nadzwyczajnych dokonań, absolutny samouk w świecie dźwięku, przebywał bez przerwy w stanie duchowego zamroczenia. Kładł swoje płyty na gramofonie z tą samą dozą próżnej miłości, z jaką skrzypek wsuwa pod brodę swoje skrzypce. Jego wąsy, odzyskawszy dawną świetność, błyszczały jak nigdy dotąd.

Na skutek tych podniecających wieczorów zaopatrywanie gminy w energię elektryczną i wodę znalazło się w niebezpieczeństwie. To on był za to odpowiedzialny - zajmował stanowisko, które zdobył dzięki wieloletnim samodzielnym studiom w dziedzinie elektryczności. Rano odsypiał zarwane noce. Jako że nie było nikogo innego, kto mógłby się tym zająć, w ciemne, zimowe ranki jego żona opuszczała łóżko po spędzeniu w nim nie

¹ Obszar położony na południe od głównych rzek Holandii, gdzie leży między innymi Eindhoven, siedziba firmy Philips.

więcej niż czterech godzin, aby, zarzuciwszy podomkę na koszulę nocną, nastawić pompy ciśnieniowe w zimnej jak lód wieży ciśnień. Od czasu do czasu miała tego dosyć.

- Myślisz tylko o sobie - miotła w jego kierunku oskarżenia, gdy z zapuchniętymi od snu oczyma schodził w końcu z hałasem na dół - masz na uwadze jedynie swoje przyjemności. Egoista! Socjalista salonowy!

W odpowiedzi na to, słabo oponował, na próżno szukając argumentów na swoją obronę. Doprowadzana do rozpacz przez jego próby schronienia się za wymówkę nagłej niepczytalności, zaczynała okładać go pięściami. Dzieci widziały, jak się mocowali; uciekały przez mostek do lasu, aby zbudować tam szałas jako alternatywę dla rodzicielskiego domu. Opóźniały jak najbardziej moment rozpoczęcia budowy w nadziei, że do czasu, gdy przekroczą z powrotem mostek, wojna zdąży się wypalić. Wiele godzin później, głodne i zaniepokojone, wracały noga za nogą do domu. Jeszcze przed opuszczeniem lasu widziały, że rodzice siedzą obejmując się na ławce ogrodowej pod gruszą, z uśmiechem zadowolenia na ustach - znów panowała między nimi równowaga sił.

W pokoju na tyłach domu dzieci odrabiały lekcje; gramofon milczał do czasu, gdy ojciec wracał z inspekcji. Firmowy harley davidson dowoził go do najdalszych zakątków gminy. W długim, skórzanym płaszczu i w ochraniaczach wokół łydek, z oczyma zakrytymi dużymi okularami chroniącymi przed kurzem, pędził przez okazałe aleje, a boki czapki furkotały wokół jego czaszki jak skrzydła pijanego ptaka. Gdy przychodził do domu, pozbywał się swoich przyborów, a następnie ściągał z półki z książkami część prac zebranych Marksa lub Lenina i zagłębiał się z nią w fotelu.

Bywało, że rozsuwane drzwi otwierały się nagle.

- Co robicie? - pytał szorstko.

- Odrabiamy lekcje.

- Jaki przedmiot?

- Historię ojczystą.

- Zamknijcie książki, z tego możecie się więcej nauczyć. Posłuchajcie: „...wszędzie, gdzie część społeczeństwa posiada monopol na środki produkcji, robotnik, wolny bądź niewolny, musi wykonywać pracę dodatkową oprócz tej niezbędnej dla jego własnego utrzymania, po to, aby wyprodukować żywność dla właścicieli środków produkcji - czy właścicielem tym jest teokrata ateński, obywatel rzymski, baron norweski, amerykański właściciel niewolników, bojar wołoski, współczesny posiadacz ziemi, czy kapitalista”.

Znad ozdobionej roślinnymi ornamentami okładki *Kapitału* rzucał im znaczące spojrzenie.

- Zrozumcie, robotnik pracuje w pocie czoła po to, by bogacze mogli w pełni oddawać się nieróbstwu, tak wygląda świat, dobrze to sobie zapamiętajcie.

Po tych słowach kontynuował swój wykład, który, gdy wpadł w odpowiedni rytm, potrafił trwać wiele godzin, aż do czasu, gdy zostawały uwolnione przez matkę, wymyślającą dla nich pilne zadanie do wykonania. Gdy skarżyły się, że muszą wrywać chwasty w ogródku warzywnym, przypominał im z naciskiem o losie ich rówieśników z poprzedniego wieku:

- O drugiej, trzeciej, czwartej rano wrywano dziewięcio-, dziesięcioletnie dzieci z niewinnego snu i zmuszano do pracy w zamian za podstawowe środki do życia aż do dziesiątej, jedenastej, dwunastej w nocy, podczas gdy ich członki ulegały degradacji, sylwetki kurczyły się, rysy twarzy obojętniały, a ludzkie oblicze zmieniało się w sztywną maskę bez wyrazu, budzącą grozę już na sam widok.

Z gośćmi radził sobie w sposób bardziej wyrafinowany. Najpierw uwodził niebiańską muzyką; gdy już pochwycił w swoją sieć, tak że ich dusza słabła ze wzruszenia, wówczas ustawiał pokrętłem odsłuch na niskim poziomie i jakby pod wpływem spontanicznego pomysłu otwierał książkę, która przez cały ten czas leżała przypadkowo pod ręką. Niektórym udawało się w porę grzecznie wykręcić, inni natomiast dawali się wciągnąć w zacięte dyskusje, trwające do późnej nocy. Z prawdziwym oporem spotykał się dopiero wówczas, gdy z imponującymi głośnikami w tle, jako świadkami swojego kreatywnego intelektu, dawał się nad ranem poznać jako przeciwnik monarchii. Zachęceni jałowcówką, gotowi byli niemal w pełni zaakceptować jego mowy obrończe dotyczące materializmu historycznego, nawet na jego filipiki przeciw chrześcijaństwu patrzyli przez palce, jednak jak tylko pojawiał się temat rodziny królewskiej, przekraczał granicę: protestowano wówczas z oburzeniem. Ani jego muzyka, ani alkohol, ani siła przekonywania nie mogły się mierzyć z ich miłością do dynastii orańskiej. Gładząc wyprostowanym palcem wskazującym swoje wąsy, ze wszystkich sił próbował ukryć pogardę. Jeden z gości tak się uzależnił od wymiany myśli, że przychodził w każdą sobotę wieczorem, aby filozofować aż do chwili, gdy w butelce jałowcówki pojawiało się dno. Był to profesor Koning, wykładający historię kolonialną na uniwersytecie w Amsterdamie. Autorytetom w dziedzinie wiedzy ojciec Lotty okazywał dziecięcy, niesocjalistyczny szacunek; czuł się niezwykle wyróżniony tą przyjaźnią, posuniętą nawet tak daleko, że profesor kupił pokryty strzechą dom po drugiej stronie lasu.

W dniu święta królowej ojciec Lotty odmówił zawieszenia flagi na wieży ciśnień. Jednak ważny członek Zarządu Prowincji, który mieszkał w pobliżu i codziennie udawał się do lasu na krótki spacer, doniósł o jego zaniedbaniu.

- Dalej no - zwróciła się do niego żona rok później - powieś flagę, bo w przeciwnym wypadku napytamy sobie kłopotów.

- To żalosne - opierał się - wywieszać flagę dla najzwyczajniejszej w świecie kobiety.

- Nie zapominaj, że mówisz o królowej. - Sama przy tym w swojej kremowej szantungowej sukni wyglądała jak królowa: dumna, czarująca i niewzruszona.

Dzieci, które ozdobiły swoje rowery gałązkami tui i pomarańczowymi lampionikami, przyłączyły się do niej:

- Tato, każdy wywiesza flagę!

Prychnął na to: cóż go obchodziły masy!

- Jeśli ty tego nie zrobisz, ja to załatwię. - Jego żona stanowczo ruszyła na zewnątrz wielkimi krokami, on porywczo podążał za nią. Przy drzwiach wieży ciśnięć dogonił ją i odepchnął na bok. Z ponurą miną zaciskając szczęki, wszedł do środka.

W szkole pojawił się inspektor w celu dokonania spisu uczniów. Stanął przed uczniami z listą w ręku; jedno po drugim dzieci musiały wstawać i przedstawiać się. Beznamiętnym, rutynowym tonem dodawał:

- A co robi twój ojciec?

Odpowiadały na to bez zająknięcia. Lotta bez namysłu przywłaszczyła sobie nazwisko swoich holenderskich rodziców: Rockanje. Jednak zapytana o zawód ojca, zagapiła się na inspektora z otwartymi ustami, nie wykrztusiwszy ani słowa.

- Lotto - zwróciła się do niej życzliwie nauczycielka - wiesz przecież, kim jest twój ojciec?

Wiele wysiłku kosztowało ją, aby z trudem wyrzucić z siebie słowa:

- J-jeszcze tego n-nie wiem.

Jej głowa o mało nie pękła. Czy powinna wymienić wszystko, czym się zajmował? Od czego powinna zacząć? Inspektor ominął zacinające się kółko w maszynerii i z kamienną twarzą podjął swoją kontrolę. Nagle Lotcie przyszło coś do głowy. Podniosła rękę do góry:

- J-już wiem.

- No, dobrze - powiedzieli chórem nauczycielka i inspektor - kim więc jest twój ojciec?

Bez zająknięcia wykrzyknęła:

- Strażnikiem na wieży w służbie królowej!

- Gdyby tylko dziadek wiedział, że wylądujesz w gnieździe komunistów... - zawołała Anna z rozbawieniem - cóż to za świetny dowcip!

- Ale moja matka się temu sprzeciwiała. Mówiła do niego: „Nie wyobrażaj sobie, że

jeśli robotnicy uzyskają władzę, będą bardziej ludzcy”. Czasem, gdy przekraczał miarę w wynoszeniu pod niebiosa Marksa i z uporem perorował na temat sprawiedliwego podziału pieniędzy i pracy, ściągała go rozdrażniona z jego różowej chmurki na dół: „Spróbuj kiedyś, kochanie, sam żyć według tych zasad, w twoich ustach to tylko piękne słowa”.

Do środka wszedł starszy mężczyzna ze śniegiem na krzaczastych brwiach, przytupując nogami w wysokich botkach. Wodnistymi, niebieskimi oczyma ogarnął nieśmiało klientelę kawiarni. Po drodze do lady zostawił za sobą ślad z topniejącego śniegu. Na policzkach Lotty pojawiły się czerwone plamy wywołane Ratafią de Pommes. Oczy Anny błyszczały. Staromodny, afektowany język niemiecki, którym posługiwała się Lotta, wtrącając od czasu do czasu od dawna nie używane słowo z gwary kolońskiej, brzmiał w jej uszach jak muzyka.

- Ta postać Schicki-Micki - rzekła - która cię zabrała z Kolonii, cóż to była za osoba?

Lotta zapatrzyła się na zewnątrz.

- Czasem zatrzymywałam się u niej w Amsterdamie. Gdy spoglądało się z salonu w lusterko za oknem, można było zobaczyć rynek Alberta Cuypa. Rano, gdy dziadek szedł do fryzjera, aby się ogolić, wybierałyśmy się razem na targ. Najpierw kupowała mięso i warzywa. Jednak jej prawdziwym celem był kram pełen koralików, guziczków, chusteczek, koronek, jedwabnych wstążek. Zatrzymywała się tam zatopiona w marzeniach, przepuszczając wszystko przez swoje ręce. Po długim wahaniu kupowała jakiś drobiazg, kilka guziczków z masy perłowej lub coś podobnego. Była wciąż prawdziwą kokietką.

- Spójrz - powiedziała kiedyś - tak wyglądałam, gdy byłam młoda.

Czubkami palców naciągnęła swoją obwisłą skórę, tak że wygładziła się zupełnie. Był to dla mnie wstrząs, nie znałam jej takiej. Pewnego dnia spytałam ją:

- Czy nie mogłabym odwiedzić kiedyś Anny?

- *Ach du, Schätzchen*¹, nie masz pojęcia, jak uparta i ograniczona jest ta nasza rodzina. Nie mamy z nimi absolutnie żadnego kontaktu. Kiedyś, gdy dorośniesz, będziesz mogła sama odwiedzić Annę. Wówczas nie będzie was obchodzić ta *ganze Sippschaft*².

Anna roześmiała się.

- Gdy dziadek jeszcze żył, nad jego fotelem wisiała jej fotografia - jako młodej dziewczyny, w białej sukience, z twarzą w cieniu słomianego kapelusza. *Ein wunderschönes Bild*³. Ta fotografia miałaby teraz sto lat. Pomyśl tylko, Lotta, sto lat! Nigdy jeszcze świat nie

¹ (niem.) - ach, mój skarbie

² (niem.) - cała banda

³ (niem.) - piękny obrazek

zmienił się tak znacznie, jak w ciągu ostatniego stulecia. Nic dziwnego, że my obie czujemy się nieco nieswojo, wypijmy jeszcze trochę!

Warstwy czasu przesuwają się po sobie ze zgrzytem. Przed wojną, po wojnie, lata kryzysu, sto lat temu... różnorodne pejzaże, przez które Anna pędziła nieco zamroczone jak pociąg bez hamulców. W jednym momencie siedziała w pociągu osobowym i za oknem snuł się wąż dymu, w następnym zajmowała miejsce na jaskrawozielonym skaju w nowoczesnym pociągu pospiesznym. Na stacjach, które mijały po drodze, znajdowały się postacie z ich przeszłości. Postacie te nie machały do nich, tylko ze zmarszczonymi brwiami spoglądały przymrużonymi oczyma na widmowy ekspres. Stacja w Berlinie stała w ogniu, perony wypełnione były dymem i kurzem. Gdzie kończyła się ta podróż? Na granicy czasu? Nie obchodziło jej to. Stuknęła swoim kieliszkiem w kieliszek Lotty i wzniosła toast za jej zdrowie.

- Ja też pytałam... - powiedziała Lotta.

- Kogo?

- Babcie... ciotkę Elisabeth... Spytałam ją: „Czy znałaś mojego ojca w latach jego młodości? Mam na myśli: mojego prawdziwego ojca”.

- Twój ojciec - powiedziała - był miłym, inteligentnym chłopcem, rewolucjonistą w rodzinie. Bardzo go lubiłam. Dlatego byłam na jego pogrzebie, a teraz ty jesteś tutaj, *du Kleine*¹. Ach tak, rozsądne natury umierają najwcześniej, a *die Schweinehunde*² żyją bardzo długo - *so ist die Welt*³.

Lotta dodała miękko:

- Babcia uwielbiała mocne słowa.

- Gdyby wówczas przede mną również pojawiła się podobna czarodziejska postać - stwierdziła Anna z nutką goryczy - zaoszczędziłoby mi to wiele cierpienia.

Annie przysługiwała renta sieroca, wypłacana co miesiąc w wysokości trzydziestu pięciu marek. Była to poważna suma - a jednak ciotka Marta zachowywała się tak, jakby dziewczynka była pasożytem, pijawką, która przyssała się dwiema przyssawkami do młodej rodziny. Chroniczne niezadowolenie, jakie wniosła do małżeństwa w posagu, promieniowało na Annę, ta zaś - niezdolna do oporu i wykończona pracą - nie potrafiła się przeciwstawić jej szykanom. Gdy Anna spoglądała w popękane lusterko, używane przy goleniu przez wuja

¹ (niem.) - moja mała

² (niem.) - te świńskie psy

³ (niem.) - taki jest świat

Heinricha, mówiła do siebie drwiąco:

- Po co spoglądasz w lustro, przecież i tak umrzesz. Twój ojciec miał gruźlicę, twoja matka raka piersi, ty również otrzymasz w podarku jedną z tych dwóch chorób. Nie wmawiaj sobie, że jest inaczej.

Przeczytawszy wiele bajek, Anna rozpoznała w ciotce Marcie stereotyp złej macochy; jednak sprawiedliwość, która w bajkach zawsze triumfowała, w rzeczywistości kazała długo na siebie czekać.

- Po cóż ci nowa sukienka, jaki sens ma picie mleka, przecież i tak umrzesz.

Gdy wszystkie ziemskie potrzeby zostały już zduszone w zarodku i uznane za godne politowania, zaczęła w niej kiełkować dawna tęsknota za zniknięciem na zawsze. No dobrze, umrzeć; w jaki jednak sposób można było tego dokonać? Jeśli się zachorowało, śmierć następowała w sposób oczywisty. Z premedytacją spowodować przejście z bytu do niebytu, było sprawą trudniejszą. Niepewność popychała ją w kierunku kościoła - wykradała czas krowom i świniom, i potem musiała go nadrabiać. Miała nadzieję, że jeśli będzie się modlić w jak najdoskonalszy sposób, przydarzy jej się cudowne wniebowzięcie. Jednakże Bóg, jej drugi nieosiągalny ojciec, nie zadał sobie trudu, aby zniżyć się do skromnego kościoła św. Landolinusa. Dopuszczał co najwyżej do tego, aby z półmroku wynurzył się Alois Jacobsmeyer; ten od czasu, gdy rzuciła się do walki z Rzymianami, miał słabość do Anny. To on błagał jej wujka:

- Proszę ją wysłać do gimnazjum! W naszej wiosce nie ma lepszego od niej ucznia. Pokryjemy wszystkie koszty!

Anna uczepiła się jego sutanny i poprosiła, aby natychmiast dostarczył jej środek, który bez stwarzania kłopotów pozwoli jej zniknąć ze świata. Zaszokowany, wyszeptał do niej:

- Nie rób żadnych głupstw! Bóg dał ci tylko jedno życie, to wszystko, co posiadasz. Pragnie, abyś żyła aż do czasu, gdy nadejdzie naturalny koniec. Bądź cierpliwa, gdy skończysz dwadzieścia jeden lat, staniesz się wolna.

Jednak dwadzieścia jeden lat było dla niej nieznośnie daleko.

- Nigdy mi się nie uda wytrzymać do tego czasu - odpowiedziała z gniewem.

- Ależ tak - ujął jej głowę w swoje dłonie i potrząsnął nią delikatnie. - Musisz wytrzymać!

Niedługo potem zaczęło się wydawać, że jej ciało, osłabione przez codzienne wyczerpujące zajęcia i skąpe pożywienie, samo podjęło decyzję: zaziębiła się i choroba nie chciała ustąpić. Jacobsmeyer gorąco zalecał, aby poszła do doktora, ale ciotka Marta odniosła

się do jego rady z lekceważeniem - takie zaziębienie zniknie samo. Wówczas obmyślił pewien podstęp, aby zwalczyć kaszel dziewczynki bez niepotrzebnego mieszania się w cudze sprawy. Po mszy udał się spacerem do gospodarstwa. Anna była w oborze, gdy ciotka Marta wysunęła głowę zza węgła, z policzkami zaczerwienionymi od powstrzymywanej irytacji.

- Pastor przyszedł, do ciebie.

Jacobsmeyer siedział w kuchni z gaworzącym niemowlęciem na kolanach. Sięgnął do sutanny i wyjął z niej małą, brązową buteleczkę.

- Tak nie może być dalej - zwrócił się do Anny - przez całą mszę kaszlesz bez przerwy, nie mogę zrozumieć własnych słów.

Ciotka Marta wykrzyknęła na to z mieszaniną triumfu i oburzenia:

- Ta tutaj? Ależ ona nie ma żadnych manier, wiemy przecież o tym!

- Przyniosłem dla niej lekarstwo - nie dał sobie przeszkodzić Jacobsmeyer.

- Frau Bamberg, czy zechciałaby pani dopilnować, aby zażywała je regularnie?

Ciotka Marta skinęła głową, zaskoczona.

- A jak jej ubranie będzie wilgotne od potu - ciągnął dalej - musi się przebrać, aby nie zaziębiła się na nowo.

- Tak, tak - szyderczo odparła ciotka Marta - w takim wypadku musi tam na pastwisku powiesić koszulę na wierzbie i czekać nago, aż wyschnie. Mężczyźni na pewno to docenią.

Poirytowany faktem, że niechcący pobudził jej prymitywną fantazję, doprowadził ją do porządku:

- Mogłaby pani kupić więcej koszul, Frau Bamberg. - Wstał z godnością i przekazał jej niemowlę. - Musi pani się nad tym trochę zastanowić, to pani maleństwo, lecz również Anna... to wszystko są dzieci boże. - Przy drzwiach odwrócił się: - I musi pić dużo mleka, nieodciąganego.

- Jeśli sama za nie zapłaci - warknęła ciotka Marta, gdy drzwi się za nim zamknęły.

- No i? - dopytywał się Jacobsmeyer.

Opierając się o jedną z kolumn w środkowej nawie, Anna wbiła wzrok w ziemię.

- Ciotka Marta dała mi jedną ze swoich znoszonych koszul. Nie wolno mi jednak pić mleka, jest tylko na sprzedaż.

- Wybacz mi Boże - westchnął na to - posłuchaj, Anno, gdy odwirowujesz mleko, przystaw od czasu do czasu buzię do dziobka wirówki. Nie przestawaj jednak nią kręcić, bo w przeciwnym wypadku przyjdą zobaczyć, co się dzieje.

Wuj Heinrich wznosił między sobą a swoją żoną parawan utkany z różnych zajęć, gry w karty ze znajomymi ze wsi, gazet i książek z biblioteki, które w czasie kradzionych

kwadransów czytała również Anna. Nie miał nic przeciw temu, z wyjątkiem jednego razu, gdy chciała przeczytać *Im Westen nichts Neues*¹. Zabronił jej tego nie ze względu na okropności wojenne, lecz z powodu nieprzyzwoitej sceny, której Anna, gdy mimo wszystko po kryjomu przeczytała książkę, nie była w stanie odkryć, ponieważ brakowało jej anteny do odbioru tego rodzaju fal. Dzieje czterech dziewiętnastoletnich chłopców w czasie prowadzonej w okopach wojny z lat 1914-1918 umocniły jej podejrzenia, że życie ludzkie jest nic niewarte. Życie żołnierza było podobne do świeczki przed figurą Matki Boskiej - gdy jedna się wypaliła, umieszczano w podstawce kolejną.

Rozmawiali ze sobą na temat przeczytanych książek - rano, gdy ciotka Marta leżała jeszcze w łóżku, po południu, gdy uciwała drzemkę, wieczorem, gdy znów leżała w łóżku. Chociaż rozmowy te były pobieżne i odbywały się między różnymi zajęciami, stworzyły jednak tajemną więź między dwiema rozumnymi istotami, ostatnimi potomkami rodziny, więź będącą przeciwwagą dla zagrażającej im kobiety piętro wyżej, która dla obydwójga wciąż była kimś nieznanym. Dopiero o wiele później Anna zrozumiała, że niezależnie od dzielących ich ścian, musiała ona zdawać sobie sprawę z tego sprzymierzenia - a może nawet w swojej chorobliwej podejrzliwości widziała w nim niewypowiedziane głośno gorące uczucie. Nic nie mówiąc, ciotka Anny wyczekiwała na okazję do wbicia między nich klina. Niechcący narzędziem tym stał się Bernd Möller.

Anna odwiedziła go kiedyś w warsztacie, aby dowiedzieć się, czy usunął już usterkę w osi wozu do siana. Manipulował kluczami przy młocarni i nie podniósł znad niej głowy; musiała dwukrotnie powtórzyć pytanie, zanim usłyszała z jego ust zrozumiałą odpowiedź. Nie, nie miał jeszcze czasu tym się zająć. Na jego stole z narzędziami, między trzpieniami i nakrętkami, leżała rozłożona gazeta. Zauroczona wszystkim, co ukazało się w druku, Anna pochyliła się z zainteresowaniem nad kolumnami gazety. Do miejsca pracy powróciła cisza, z wyjątkiem prozaicznych odgłosów czynności naprawczych.

- Jesteś tam jeszcze? - spytał Bernd Möller zdziwiony. - Co robisz?

- Czytam.

- Co czytasz?

Anna przerzuciła kartki do strony tytułowej.

- „Völkischer Beobachter”.

- To nie dla ciebie, to sama polityka.

Anna podniosła gazetę i podsunęła mu pod oczy:

¹ (niem.) - *Na Zachodzie bez zmian*, tytuł znanej książki Ericha Marii Remarque'a

- Kto to jest? - Czarnym paznokciem, pod którym zgromadziły się resztki nawozu kurzego i świńskiego, wskazała na portret mężczyzny, który z zaciśniętą pięścią i wyzywającym, wściekłym spojrzeniem krzychał bezgłośnie na tle flagi z czarnymi odnóżami pająka w białym kręgu.

- Adolf Hitler - odrzekł Bernd Möller, wycierając nos w rękaw.

Zadarła nos do góry.

- Wygląda, jakby chciał się bić.

- Bo tak jest w istocie. - Mechanik położył na ziemi swój klucz angielski i wolno podniósł się z kuczków. - Za mnie, za ciebie, za nas wszystkich. Przeciw bezrobociu i nędzy.

Zapomniał o robocie, w której jeszcze przed chwilą był zagłębiony i usiadł na stole z narzędziami, aby jej wyjaśnić, jakie plany mężczyzna na zdjęciu posiada wobec niemieckiego narodu. Wreszcie praca, nowy porządek - również dla zwykłego człowieka, który codziennie od nowa pracuje ciężko w pocie czoła, by mieć talerz gęstej zupy. Spójrz, tutaj o tym piszą. Bernd Möller roztaczał wokół siebie aurę optymizmu. Na horyzoncie pojawił się ktoś, kto szykował wielkie zmiany, kto pragnął położyć koniec panującej w kraju nędzy i chaosowi. Porwana jego entuzjazmem, Anna zaczęła odczuwać, że również dla niej coś zmieni się na lepsze - nawet jeśli ta zmiana miała być niewielka. W końcu znalazła model ojca, który wystąpił w jej imieniu i miał zamiar przerwać łańcuch mordegi, zmęczenia i głodu. Przyjrzała się z uwagą fotografii. To, co malowało się w wyrazie jego twarzy i co na początku wzbudziło jej odrazę, przy bliższym przyjrzeniu okazało się dokładnie tym, co sama czuła pod warstwą niewolniczego posłuszeństwa: gniewem i buntem.

Tego wieczoru zwróciła się konspiracyjnym tonem do swojego wuja:

- Istnieje ktoś, kto położy kres nędzy...

Wuj siedział w fotelu, w którym zmarł jego ojciec, ona - na sofie pod poległym żołnierzem.

- To dobra wiadomość - rzekł, spoglądając na nią z ironią znad swojej książki - skąd ci to przyszło do głowy?

- Piszą o tym w „Völkischer Beobachter”. Adolf Hitler powiedział...

- Co? - wykrzyknął. Książka wysunęła mu się z rąk. - Ten głupiec? Nie wiesz sama, co mówisz. Tylko głupi, bezradni ludzie podążają za tą żalną figurą. U kogo czytałaś te nonsensy?

- U Bernda Möllera - odpowiedziała, obrażona i zmieszana.

- Ach, rozumiem, to jego sposób buntowania się. „Völkischer Beobachter”! Tego się przecież nie czyta! Nikt tutaj nie czyta tej gazety. Każdy uczciwy człowiek, każdy prawdziwy

katolik głosuje na partię Centrum. W encyklice papieża Piusa X zostało precyzyjnie opisane, w jaki sposób, z chrześcijańskiego punktu widzenia, można zwalczyć nędzę. *Hör mal Madchen*¹ - ten Hitler ze swoim pyszałkowatym bełkotem pragnie tylko jednego: wojny. - Pochylił się, aby podnieść książkę i spojrzął na Annę, jakby uważnie się czemuś przysłuchiwał. - Nie życzę sobie, abyś zadawała się z Berndem Möllerem, mam nadzieję, że to rozumiesz.

Anna nie dała sobie jednak tak łatwo odebrać tej iskielki nadziei. Już następnego dnia popędziła do warsztatu Bernda Möllera. Ten, słysząc o reakcji jej wuja, potrząsnął głową:

- Powiem ci dokładnie, dlaczego to powiedział, abyś przestała patrzeć na mnie swoimi ładnymi niebieskimi oczyma z takim wyrazem zaszokowania. Nie mogę tego znieść. - Uśmiechnął się. - Musisz po prostu pozwolić gadać tym dzielnym wieśniakom, tym posłusznym katolikom. Oni nie znają niczego lepszego. Są jak zwierzęta, które za długo żyły w klatce: kiedy otwierasz drzwi, pozostają w niej nadal. Gdybyśmy musieli czekać do czasu, gdy partia Centrum rozwiąże nasze problemy, zmarlibyśmy wszyscy z głodu.

Jego pewność siebie budziła zaufanie. Potrzebna jej była wiara w szansę przemian, nie było żadnej alternatywy. A Bernd Möller, dzięki swoim rzeckim hymnom pochwalnym, sprawiał, że to przekonanie się w niej utrzymywało. W przyspieszonym tempie wykonywała swoje prace po to tylko, by w wolnej chwili móc wpadać do jego warsztatu i z nim rozmawiać lub przyglądać się, jak dłubie w silniku maszyny rolniczej. Nie rozmawiali wyłącznie o polityce. Pułapki życia codziennego, postawa, którą należało wobec nich zachować, przeczytane przez Annę książki, jej kaszel - każdy z tematów nadawał się do omówienia w atmosferze intymności, którą zapewniała stara, pełna przeciągów szopa, podczas gdy siedziała jednym pośladkiem na otwartej gazecie, a drugim - na pokarbowanym drewnie stanowiska pracy.

- Chociaż masz dopiero szesnaście lat, jesteś wyjątkową dziewczyną - powiedział Bernd.

Wychwalał ją pod niebiosa; w jego oczach była małą madonną o umyśle filozofa i wielkim sercu, które biło dla wszystkich uciśnionych i wszystkich pechowców na świecie. Gdyby było więcej takich młodych kobiet, łatwiej byłoby urzeczywistnić nowe Niemcy. Miała przed sobą wielką przyszłość, zapewniał ją, ściskając mocno jej pokancerowane dłonie z połamanymi paznokciami w swoich wysmarowanych olejem silnikowym pięściach. Z biegiem czasu przyszłość zaczęła coraz bardziej przybierać kształt domu, który miał zamiar

¹ (niem.) - Posłuchaj no, dziewczyno

dla niej zbudować. Wiejski, staromodny dom ze spadzistym dachem, okiennicami i bawarską werandą wzdłuż całej fasady oraz z masywnymi, dębowymi drzwiami, które chciał przed nią otworzyć, gdy skończy osiemnaście lat, aby ją wnieść przez próg do środka. Anna pozostawała wobec tych fantazji obojętna. Nigdy jeszcze nie zastanawiała się nad małżeństwem, sam pomysł wydawał jej się pożałowania godny. Kiedy roztaczał przed nią te marzenia, wbijała wzrok w podłogę usianą narzędziami i częściami zamiennymi - najwidoczniej była to ofiara, którą od czasu do czasu należało złożyć w zamian za przyjaźń.

W czasie zbiórki żyta nie miała czasu na *intermezza*. Mały chłopiec ze wsi wcisnął jej do ręki liścik: „Dziś wieczorem o wpół do dziewiątej za kaplicą Matki Boskiej przy moście”. O tej porze zapadał już zmierzch i pachniało odurzająco wilgotnym sianem. Początkowo go nie poznała. Przekroczył most w nieco przyciasnym brązowym garniturze, z przedziałkiem we włosach. Na twarzy miał oficjalny wyraz, który do niego nie pasował. Złapał jej ręce w nadgarstkach.

- Twój dom zostanie wybudowany, Anno! Pewien architekt z Paderborn wykonał projekt. Czekamy tylko na ciebie, musisz zatwierdzić rysunek!

Anna wpatrywała się w niego bez ruchu. Nagle przestała rozumieć, czego szuka przy kaplicy Matki Boskiej, z całkowicie obcym człowiekiem, zwracającym jej głowę domem, który powinien pozostać w sferze marzeń zamiast znaleźć się na papierze i - jeszcze gorzej - zostać kamień po kamieniu wybudowanym na tym piaszczystym gruncie, z którym nic jej nie łączyło. Poniesiony swym podnieceniem, objął ją umięśnionymi rękami mechanika, żądając od swych rękawów rzeczy niemożliwej. Usłyszała, że szwy puszczają, a za jego ramieniem dostrzegła sąsiadkę prowadzącą kózkę na sznurku. Zawstydzona, ukryła twarz na jego piersi; on uznał to za wyraz uczucia i wzmocnił uścisk ramion. Gdy ją w końcu puścił, popędziła przez most w kierunku gospodarstwa, potykając się o własne nogi, jakby ledwo udało jej się uciec przed wielkim niebezpieczeństwem.

Sąsiadka nie zapomniała o swoim obowiązku obywatelskim i następnego dnia doniosła o niedwuznacznej sytuacji, w jakiej widziała Annę, ciotce Marcie. Ta zrozumiała natychmiast, że na to właśnie przez cały czas czekała. Ukrywając uczucie triumfu za popisowo odegranym moralnym oburzeniem, przekazała mężowi sprawozdanie z tego *rendez-vous*, upiększając je szokującymi szczegółami, które bezbłędnie trafiły go poniżej pasa. Niczego jeszcze nie podejrzewając, Anna zaniósła wodę świniom. Gdy się odwróciła, na progu stał wuj Heinrich. Chociaż nie był mocno zbudowany, wydawało się, że wypełnia sobą całą framugę. Dlaczego emanowało z niego takie uczucie zagrożenia? Skurczony od wewnętrznego napięcia, ruszył do przodu i zbliżył do niej na odległość metra. Poczula nagle,

że zawisło między nimi jakieś nieporozumienie, które jak najprędzej należy usunąć.

- Cóż powiedziałby twój ojciec - zaczął niesamowicie opanowanym głosem - gdyby przyłapał cię z tym dziwką, z tym podżegaczem? Co? Czy miałabyś śmiałość, gdyby jeszcze żył?

Anna skamieniała, w jednej sekundzie pojęła cały łańcuch przyczyn i skutków.

- Miałabyś wówczas śmiałość? - powtórzył, dla dodania siły swojemu pytaniu uderzając ją w twarz. - No, powiedz!

Gdy z niedowierzaniem podniosła rękę do swojego policzka, uderzył ją w drugi. Obróciła się i pochyliła, aby uciec przed jego dłońmi; ten refleks uniku obudził jego wściekłość na dobre. Jego pięści zaczęły opadać wszędzie, gdzie mógł jej dosięgnąć. Gdy poślizgnąwszy się na ziemi, przewróciła się do przodu, podciągnął ją za włosy do góry i kopnął w brzuch. Wściekłość, którą na niej wyładowywał, przerastała jego samego, była większa niż to, co ją wywołało. Wszystkie jego mściwe uczucia w stosunku do świata, wobec którego był bezradny, zlały się w jedno, było w tym również poczucie pokrewieństwa i wspólnoty losu między nimi dwojgiem - a może nawet jego bezbronność wobec młodej kobiety, jaką była, z czego nie zdawał sobie sprawy. Anna nie miała najmniejszego pojęcia o wszystkich tych nieprzeniknionych, mętnych motywach jego działania - dla niej istniały jedynie uderzenia i kopniaki, oraz wznoszone przy tym okrzyki, jakby to on bardziej cierpiał z powodu tego bicia niż ona. Na zmianę migał jej przed oczyma to jeden koniec chlewu, to drugi, a świńskie ryje po obu stronach poruszały się jak niemi, zdziwieni świadkowie. Straciła poczucie czasu aż do chwili, gdy spod podniesionego dla osłony głowy ramienia ujrzała na progu ciotkę Martę, która się pojawiła, by również rozkoszować się uczestnictwem w wymierzaniu kary. Jej obecność wytrąciła wuja Heinricha ze stanu odurzenia. Zatrzymał się gwałtownie, ze zdziwieniem spoglądając szklistymi oczyma w dół, na Annę. Nie obdarzywszy żony ani jednym spojrzeniem, odepchnął ją na bok i zniknął za drzwiami.

Anna wyprostowała się z trudem - w całym ciele czuła palący ból. Ciotka Marta stanowiła czarną plamę, odcinającą się okazale na tle dziennego światła za jej plecami.

- Co pomyślą sobie sąsiedzi? - ryknęła. - Wszystkich ściągnęłaś swoim krzykiem.

- Jakim krzykiem? - jęknęła Anna. Kto wykrzykiwał przy każdym uderzeniu? Nie ona, jej usta były mocno zaciśnięte. Wśród całego tego chaosu, sprawy musiały jednak pozostać na swoim miejscu. Gromadząc resztki sił, powlokła się w kierunku ciotki, jej połamane paznokcie zbliżyły się do skóry pokrywającej miękkie, nagie ramiona. Ta, która wydawała się taka wielka i silna, skrzyżowała z lękiem ramiona przed sobą; jej oczy, osadzone głęboko ponad szerokimi kośćmi policzkowymi, cofnęły się jeszcze bardziej w głąb. Wycofując się

tyłem, zaczęła uciekać z chlewu, Anna potykając się ruszyła za nią i przewróciła się do przodu na trawę, rozrzucając szeroko ramiona.

Zamiast groźby użycia broni, nastąpiła absolutna cisza. Z poczuciem winy wuj Heinrich stawał na podłodze koło jej łóżka jedzenie i picie; jak dzikie zwierzę, ruszała talerze dopiero po jego wyjściu. Przez pierwsze dni leżała na brzuchu, ponieważ ból w plecach był najbardziej dotkliwy, potem zamieniła monotonną panoramę słoików i sęków w podłodze na panoramę ściany i przekreśliła się na bok, gdyż nękający, nieznośny ból pojawiający się na zmianę z kluciem w brzuchu, stał się bardziej dojmujący niż wszelkie inne formy bólu. Zamiast zanikać, ból zwiększył się jeszcze. Paradoks nie do zniesienia: nie mogła już tego wytrzymać, a jednak trzymała się dzielnie. Wraz z każdą kolejną falą bólu wydawała cichy jęk, który poprzez komin do wędzenia szynki i kiełbaski dochodził aż do kuchni. W końcu wuj Heinrich wpadł z łoskotem po schodach do góry, pytając, co można zrobić, aby zakończyć te jęki. Anna poskarżyła się schrypniętym głosem na klucie w brzuchu. To nim wstrząsnęło, narządy rozrodcze były czymś świętym: „Idźcie więc i rozmnażajcie się”. To, czego nigdy nie uczyniono dla jej kaszlu, teraz doszło do skutku: zamówiono wizytę u doktora. Musiała uroczyście obiecać ciotce, że nic nie powie na temat sińców i stłuczeń. Pojawiły się nowe udreki. Prawo wymagało, aby przy badaniu ginekologicznym obecna była dorosła kobieta jako przyzwoitka. Leżąc na swych pobitych plecach, pod sępiim spojrzeniem ciotki Marty, Anna czuła, jak zimny, plastikowy palec doktora wpycha się do środka w miejsca, z których istnienia nie zdawała sobie dotychczas sprawy. Ostry ból rozłupał ją na pół.

- Przez chwilę to jest niezbyt przyjemne - zabrzmiał głos jej dobroczyńcy.

Niezbyt przyjemne! Czy jego samego rozpruto kiedykolwiek na części? Głupie łyzy popłynęły bez pozwolenia po jej policzkach, triumf, jakiego nie chciała zapewnić ciotce.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział doktor - nie róbmy z tego dramatu. Twoja macica jest skrzywiona, próbuję ustawić ją z powrotem na miejscu.

Ból się zmniejszył. Ciotka Marta była jeszcze bardziej żądna władzy niż kiedykolwiek przedtem, jakby uczestniczyła w rytuale inicjacji, który zapewnił jej wobec Anny nową przewagę. Podczas mszy, za sztywno wyprostowanymi plecami ciotki, udało jej się wręczyć dawnej koleżance ze szkoły liścik, przeznaczony dla Jacobsmeyera i zawierający prostą lecz pilną wiadomość: „Pomóż! Anna”. Wśród gregoriańskich śpiewów jej wzrok padł niechętnie na płaskorzeźbę przedstawiającą biczowanie Jezusa. Wstrzymała oddech. Szybko skierowała oczy w stronę ozdobionego ornamentami sklepienia dachu, gdzie głosy śpiewających dołączały się do echa modlitw. Karteczka dotarła do pastora nadzwyczaj szybko; przy wyjściu z kościoła zawołał ją do siebie. Podciągnęła rękawy swojej niedzielnej sukienki i powiedziała:

- Moje plecy wyglądają tak samo, jak moje ręce.

Chociaż Jacobsmeyerowi z racji pełnionej funkcji nieobca była przemoc opisywana w Biblii, jak również chrześcijańskie przekonanie, że cierpienie stanowi najkrótszą drogę do Boga, kiedy jednak został z tym skonfrontowany w rzeczywistości, zupełnie się załamał. Ściągnął okulary z nosa, wsadził je z powrotem i zdjął je ponownie, zanim trzęsąc się cały, położył jej dłoń na czole.

6.

*Non... je ne regrette rien...*¹

- Ha! - zawołała Anna. Starszy mężczyzna przy barze, szorstko wyrwany ze swego rozmarzenia, zamrugał wodnistymi oczyma; pod jego stołkiem barowym widniała kałuża roztopionego śniegu.

- Ha! *Je ne regrette rien...* królowa miłości nie żałuje niczego. Gdy była jedną nogą w grobie, wzięła sobie młodego kochanka - jej muzykalnego spadkobiercę, jej słowika, który okazał się krukiem... - Zaśmiała się szyderczo. - Mały Wróbelek, wydobyty z rynsztoka... Ja też byłam małym wróbelkiem w rynsztoku - teraz jestem starą kobietą, nękaną przez wspomnienia. Starą kobietą, która zamawia jeszcze jednego. - Strzeliła palcami w stronę baru.

- Tak, tak - rzekła Lotta uspokajająco, usiłując zneutralizować emocjonalność Anny - im człowiek starszy, tym bardziej żyje przeszłością. Zapomina to, co wydarzyło się poprzedniego dnia.

Anna uniosła brwi w reakcji na stereotypowość tej uwagi. Jednak dla Lotty był to zwyczajny i zawsze skuteczny wstęp do wylewania żalów na temat starości, sztuczka konwersacyjna, dzięki której łatwo było utrzymywać rozmowę na bezpiecznym gruncie. Postawiono przed nimi pełne kieliszki, towarzyszył im uśmiech właścicielki. Może w czasie wojny, podobnie jak wielu Belgów, znajdowała się po niewłaściwej stronie? Trudno było Lotcie wyobrazić sobie Annę - siedzącą naprzeciw niej, dobrze odżywioną i pewną siebie - jako okrutnie potraktowaną, chorą, szesnastoletnią dziewczynę, w niedzielnej sukience, zahukaną przez przyszywaną ciotkę, której nadała tyle negatywnych cech, że ta stała się

¹ (fr.) - *Nie, nie żałuję niczego...* - znana piosenka Edith Piaf [fr. - wróbelek], o której jest mowa w dalszej części tekstu

postać karykaturalną. Czyż Anna nie przesadzała? Czy czas zdeformował jej wspomnienia? Nagle zawstydziła się swego wiecznego sceptycyzmu. Barbarzyńcy, powiedziała jej matka. Teraz dopiero rozumiała, dlaczego. To wszystko było takie krańcowe. Uważając, że ludzie złośliwi i stosujący przemoc cierpią na swoistą chorobę, Lotta odcinała się od nich stanowczo, zachowując bezpieczną odległość. W tym świetle oceniła ciotkę Martę jako osobę groźną, chorą umysłowo - nic dziwnego, że pod jej wpływem wuj Heinrich powoli zaczął tracić zmysły.

- Ta twoja ciotka była przypadkiem patologicznym. - Łyknęła z brawurą z kieliszka.

Anna roześmiała się sucho.

- Nie zgadzam się z tobą. To była po prostu zła kobieta. Tacy ludzie istnieją. Według chrześcijańskiej moralności są źli, według psychiatrii - chorzy. Cóż to ma za znaczenie, jeśli jesteś ich ofiarą? Porozmawiajmy jednak o czymś radośniejszym. O tobie.

Lotcie nie umknęła zawarta w tym insynuacja: w porównaniu do młodości Anny, jej młode lata były w oczach siostry przykładem beztroskiego życia. Z nich dwojga to Anna zasługiwała na zrozumienie. Chociaż pozornie mówiła o przeszłości z dystansem i ironią, w rzeczywistości apelowała w wyrafinowany sposób do jej współczucia. Współczucia, którego zawsze jej odmawiano, a którego teraz oczekiwała, a właściwie żądała od swojej siostry. Ona jednak nie czuła się dobrze w tej roli.

- O twoim śpiewie - pochlebiła jej Anna - o twoim pięknym głosie.

- O Boże, jak mi gorąco - rzekła Lotta. Zataczając się, wstała, aby zdjąć sweter. Niezdarnie próbowała wydostać się z rękawów - wskutek jabłkowego likieru w jej zmyśle koordynacji zarysowały się pęknięcia. Istniały dwie możliwości: dać Annie to, czego chciała albo milczeć na ten temat. To ostatnie wyjście było dla niej czymś trudnym, ponieważ uwielbiała o tym mówić. Kto jeszcze był tym zainteresowany? Jej dzieci - nie. W dodatku gdyby o tym nie mówiła, wszystko okazałoby się stracone, tak jakby nigdy nie miało miejsca.

Stopniowo śpiew pomógł jej przewyciężyć jąkanie się; radość ze śpiewania była większa niż strach przed pierwszą literą. Jej ciało rozwijało się, a głos rozwijał się razem z nim - w zasadzie jej głos był zawsze nieco starszy niż ona sama. Gdy dopuszczono ją do znanego chóru dziewczęcego, jedynie jej głos naprawdę do niego pasował. Chór prowadziła Catharina Metz, ciemna, melancholijna kobieta z puszystym wąsikiem, który czasem goliła, lecz częściej, z obojętności, zostawiała - delikatne włoski trzęsły się zgodnie z jej wibratem. Istniały jeszcze pożółkłe wycinki prasowe na temat jej kariery wokalne, która zakończyła się gwałtownie z powodu choroby ojca. Nigdy nie udało im się zobaczyć tego tajemniczego

chorego; prowadził swoje abstrakcyjne życie w porośniętym winoroślą i wistarią skrzydle domu, a jego obecność manifestowała się jedynie w podkrążonych oczach córki. Czasem zatrzymywała się nagle w połowie frazy, aby podniósłszy palec wsłuchiwać się z napięciem w coś, co dla uczniów było niesłyszalne. Poprzez nieznanymi kompozytorów francuskich i włoskich wprowadzała ich łagodnie na terytorium wielkich klasyków.

Gdy chór występował w radiu, matka Lotty usadzała wszystkich wokół kryształkowego radia w zaimprovizowanym amfiteatrze ze stołków kuchennych. Pewnego niedzielnego poranka nieoczekiwanie głos Lotty pojawił się w pokoju dziennym bez towarzyszenia chóru, w kantacie Bacha. Niepewna rezultatu - w studiu nie słyszała własnego głosu - wróciła do domu. Panowała tu świąteczna atmosfera, na stole stał alkohol, matka objęła ją ze wzruszeniem i wcisnęła w rękę bukiet kwiatów, które podrażniły jej nos. Zaczęła kichać bez opamiętania.

- Uważaj na swój głos! - zawołała z sarkazmem Mies, która sama lubiła być obiektem zainteresowania. Ojciec gorączkowo zaczął przeglądać swoją kolekcję płyt w poszukiwaniu owej kantaty - jego sposób okazania swojego uznania. Lotta zagłębiła się zmieszana w fotelu i w zamyśleniu wyjadła łyżeczką wypełnioną po brzegi szklaneczkę adwokata, którą Marie podała jej z pełnym szacunku uśmiechem. To, że coś, co przejmowało ją na wskroś radością, przyniosło ze sobą w dodatku sukces, zapewniło jej skandalicznie dobre samopoczucie (nagrodą było już samo śpiewanie). Dwa dni później otrzymała pachnący perfumami list. „Masz wyjątkowy tembr głosu, to rzadko spotykany dar. Nawet za dwadzieścia lat wciąż jeszcze będę pamiętać twój głos, a inni chętnie oddaliby za to wszystko”. Catharina Metz rozpoznała w nadawcy znanego krytyka muzycznego. Rumieniąc się, Lotta schowała list do kufierka, z którym przybyła z Niemiec. Oprócz swojej sukienki żałobnej i haftowanej chusteczki Anny, schowanej w jednej z kieszeni, przechowywała tam pudełeczko z przyborami do szycia, co się razem z nią utopiło oraz artykuł prasowy na temat Amelity Galli-Curci. Potem list przeniósł się do szufladki w jej toalecie, po sześćdziesięciu latach wciąż jeszcze unosił się w niej słaby zapach fiołków.

Amelitę Galli-Curci po raz pierwszy usłyszała w duecie z Carusem. Było późne, ciepłe, wrześnie popołudnie, wracała razem z Jet ze szkoły do domu przez las. Zza drzew prześwitywała już wieża ciśnień, gdy nagle stanęła bez ruchu. Z otwartego okna wypływał na zewnątrz na podobieństwo jakiejś naturalnej siły głos tak czarujący, że Lotta cała zamieniła się w słuch - przeobraziła się w olbrzymie, nieruchome ucho. Jet pociągnęła ją niecierpliwie za rękaw i wzruszywszy ramionami, poszła dalej. Lotta pragnęła jak najbardziej oddalić banalny moment wejścia do domu i odkrycia, że ten głos wydobywa się z rowka w

ebonitowym krążku. Trwała więc nieruchomo z zamkniętymi oczyma jeszcze wówczas, gdy ostatnie dźwięki ucichły między pniami drzew.

Królowa śpiewu koloraturowego Galli-Curci, żona markiza z południa Włoch, odnosiła triumfy w Stanach Zjednoczonych tuż po I wojnie światowej „jako sopran liryczny o niespotykanym pięknie, czystości i kryształowym brzmieniu od niskiego As do wysokiego E”, według „Opernwelt”¹ z tych czasów. W przechowywanym przez Lottę artykule prasowym znajdowała się fotografia okazałej, ciemnowłosej kobiety, która z podniesioną brodą spogląda wyzywająco w kamerę - rembrandtowski kapelusz krzywo osadzony na głowie, udrapowany na ramionach szal w duże kwiaty i ptaki, dwa rzucające się w oczy pierścionki na prawej dłoni, w wojowniczej pozycji spoczywającej na biuście, tuż ponad sercem. Postawa Napoleona. Zainspirowana tym Lotta wślizgnęła się do wieży ciśnień, lekceważąc surowy zakaz - długie włosy lub wstążki mogły zaplątać się w jedną z maszyn. Przyjęła odpowiednią postawę, unosząc brodę i kładąc dłoń na piersi, zwróciła oczy ku górze i sprawiła, że dekoracja uległa zmianie: metalowe schody przestały prowadzić do wypełnionego piaskiem, żwirem i węglem zbiornika, lecz zaczęły kręcić się bez końca wokół własnej osi w górę, w kierunku firmamentu pełnego gwiazd - mogły to być również światła teatralne. Nie odczuwając jeszcze negatywnych skutków nadmiernej samokrytyki, zaśpiewała *Caro Nome* czy też *Verranno a te* w swojej własnej włoskiej wersji, tak jak zrozumiała słowa podczas słuchania płyty. Jej głos wypełnił całą wieżę, od niskiego As do wysokiego E, wspiął się wzdłuż schodów do góry, aż do miejsca, w którym stopnie zaczęły stopniowo zanikać w escherowskim², nigdy niekończącym się, okrągłym korytarzu. Jej biust się wypełnił. Pijana od melodii i dźwięku własnego głosu, poszybowała do innego stadium swojego życia - wysoko nad nią widniały zarysy rezerwuaru, witraż rozbijał światło na kolorowe elementy, gdzieś za nią dźwięki odbijały się od marmurowych korytarzy budynku w kształcie labiryntu. Było to nieokreślone uczucie, które tylko połowicznie docierało do jej świadomości i o którym zapomniała natychmiast, jak tylko skończyła śpiewać.

Aby sama mogła sobie akompaniować, nabyto pianino z orzechowego drewna jakiejś nieznannej wschodnioeuropejskiej marki. Pieniądze na instrument oraz na lekcje śpiewu zostały zgromadzone przez jej matkę, ku krwiożerczemu zadowoleniu ojca; teraz on z kolei mógł ostro wypominać nieodpowiedzialne wydatki. Chętnie przebierał miarę w oddawaniu

¹ (niem.) - „Świat opery”, tytuł znanego międzynarodowego czasopisma z dziedziny muzyki operowej, ukazującego się do dzisiaj.

² M.C. Escher - znany grafik holenderski (1898-1972), którego prace zawierają skomplikowane, powtarzające się wzorce i struktury geometryczne oraz niepokojące, zaburzone perspektywy, wywołujące wrażenie złudzenia przestrzennego. W efekcie im dłużej się na nie patrzy, tym więcej się dostrzega.

czci takim sławom, jak Marks i Stalin, Beethoven i Caruso, nie potrafił sobie jednak wyobrazić, że w jego własnym otoczeniu, którego powszedniość wciąż przyprawiała go o zły humor, mogłoby rozwinąć się coś nadzwyczajnego, co wymagało ponoszenia ofiar.

Pianino sprawiło, że co trzy miesiące pojawiał się w domu stroiciel. Był wysoki i chudy, z cygańskim nosem drapieżnego ptaka. Miał czarne, kręcone włosy, wygolone po obu stronach, lecz piętrzące się na czubku głowy, wskutek czego z daleka wydawało się, że ma na głowie beret. Zawsze nosił ten sam dopasowany czarny garnitur, który prowokował do snucia najróżniejszych domysłów. Czy był to garnitur ślubny sprzed wojny, frak przedsiębiorcy pogrzebowego, smoking z odciętymi połami, czy też kostium, który na scenie teatralnej okrywał diabła lub śmierć? Spod obcisłych spodni wystawały nowoczesne, amerykańskie buty, utrzymywane w nienagannym stanie. Był to mężczyzna pełen kontrastów. Chudość jego ciała rekompensowały wyraźnie widoczne rozmiary jego męskiego organu; ze względu na brak miejsca czasem wypełniał on przestrzeń w lewej, a czasem w prawej nogawce. Szepczącą powściągliwość jego głosu niwelowały odgłosy, które uwalniał z płyty rezonansowej pianina. Siostry uciekały do kuchni, zgodne w swojej odrazie wobec jego „rzeczy”, równocześnie jednak podniecone, ponieważ w porównaniu z tym, co manifestowało się poniżej paska, wyraz jego twarzy pozostawał neutralny. Gdy otrzymywały polecenie, aby zanieść mu kawę, żadna z nich nie miała odwagi tego uczynić. Chichocząc spierały się ze sobą. W końcu filiżankę zanosila Lotta - był w końcu jej stroicielem. Nieświadomy konsternacji, jaką budził swoim kontrowersyjnym ciałem, przyjmował ją z uśmiechem. Po jego odejściu szorowano filiżankę, używając dodatkowej porcji mydlanej wody.

Stroiciel był również zasłużonym fotografem amatorem. Matka Lotty przekonała go, aby z okazji urodzin Eefje zrobił im oficjalny portret rodzinny. Zamówiła go pewnego majowego popołudnia; ponad białą ławką ogrodową, którą wybrano jako centralną ozdobę, pod krawędzią dachu wisiało gniazdo jaskółek - krążąca nieustannie wokół niego para ptasich rodziców pracowała w nadgodzinach. Przed przybyciem fotografa panowała atmosfera nerwowego podniecenia; w ostatniej chwili łatano jeszcze i prasowano sukienki. Ojciec Lotty odmówił włożenia innego garnituru. Stwierdził, że nie ma zamiaru pozować, jedynie car i caryca kazali uwiecznić swoją rodzinę.

- Co mam robić z tym człowiekiem? - dodał drwiąco.

- Nie musisz z nim niczego robić - odpowiedziała jego żona - przychodzi tu, aby zrobić zdjęcia, ja poczęstuję go filiżanką kawy, a ty cygarem.

On jednak miał ochotę sabotować pomysł, ciesząc się z władzy, jaką mu ta okazja zapewniła.

Nigdzie go nie można było znaleźć, gdy przybył fotograf, taszcząc ze sobą ciężki, rozsuwany aparat fotograficzny oraz statyw. Matka Lotty, porywająca w sukience w maki na kremowym tle, zaprowadziła go do ogrodu. W czasie, gdy zgodnie z jej wskazówkami usadowił się ze swoją aparaturą dokładnie naprzeciw ławki, jej potomstwo zaczęło pojedynczo wyłaniać się na zewnątrz. Mies, która pracowała u modystki, miała na sobie garsonkę w koniakowym kolorze, a na głowie odwrócone ptasie gniazdo z rafii. Maria pragnęła uwiecznić fakt, że jest w rodzinie brzydkim kaczątkiem - włożyła na siebie zapinaną pod szyję, szarą sukienkę i odmówiła zdjęcia okularów do fotografii. Jet i Lotta kroczyły sztywno wokół, jak upadłe anioły, w białych organdyńowych sukienkach z falbankami. Koen, który w momencie załamania się pod Lottą lodu był jeszcze niemowlęciem, odmówił włożenia długich spodni zakrywających jego podrapane kolana.

Na prośbę fotografa ich matka zajęła miejsce na środku ławki z nowonarodzonym niemowlęciem w ramionach i dla potrzeb kompozycji została oskrzydłona z obu stron przez organdyńowe sukienki. Za nimi stanęli inni, pnąca róża kłuła ich w plecy.

- Pięknie... - mrucał, studiując w soczewce aparatu *tableau vivant*¹ - hm... czy pan też nie powinien wziąć w tym udziału?

- Pan jest w złym humorze - odpowiedziała matka Lotty - nie chcemy, aby nam zepsuł zdjęcie.

- Czy mogę wobec tego prosić o uśmiech?

Postarali się z całej siły, aby zapomnieć o człowieku, który psuje zabawę i nie chce się podporządkować, i wpatrzyli się prosto w kamerę; młode jaskółki popiskiwały, lekki wietrzyk niósł zapach bzu, fotograf pochylał się nad swoją czarodziejską skrzynką - cała ta sytuacja mogłaby być przyjemna, gdyby nie luka z tyłu pośrodku ławki, brakująca sylwetka, która miała położyć dłonie na ramionach matki. Fotograf błagał o uśmiech. Były to wymuszone usiłowania - jedynie Mies, jak gwiazda filmowa zmysłowym wzrokiem wpatrywała się w czarne oko kamery i uśmiechała się uwodzicielsko; Koen rozdrapywał do krwi strupki na kolanie.

W tym momencie z otwartego okna rozległy się z hukiem przytłaczające dźwięki *Dziwiałej* Beethovena. Potencjometr był podkręcony tak bardzo, jak tylko głośniki były w stanie wytrzymać. Fotograf przyłożył obie dłonie do skroni i z patosem zamknął oczy. W takich warunkach nie mogą się skoncentrować, wyrażały jego gesty. Lotta po raz pierwszy poczuła ostrą, słodko-trującą emocję, której nie umiała jeszcze zdefiniować jako nienawiść.

¹ (fr.) - żywy obraz

Spojrzała ponad głową fotografa na wierzchołki świerków, delikatnie poruszające się na wietrze, i z furią zaczęła sobie życzyć, aby jej myśli miały siłę zabijania.

- Uśmiechnijcie się! - zawołała matka, popędzając je i ściskając - uśmiechnijcie się trochę!

Lotta wydobyła z siebie najbardziej promienny uśmiech, na jaki ją było stać, odsłaniając wszystkie zęby (czyż nie chciała go rozerwać na strzępy?). Do uśmiechu przyłączyły się również jej oczy, radość poniosła ją zupełnie.

- Mamy jeszcze jedno dziecko - zawołała, przekrzykując tony *Scherza* - duże, uparte dziecko, tam w środku! - Z krzywym uśmiezkiem wskazała głową w stronę okna. Chmurka przesłoniła słońce, fotograf wyciągnął swoją długą, czarną rękę w stronę nieba i odepchnął ją. Wstrzymał oddech i nacisnął migawkę aparatu.

Ojciec Lotty nie zawsze wycofywał się z sytuacji. Gdy zapisano ją do katolickiej szkoły, ponieważ szkoły publiczne nie przyjmowały więcej uczniów, opierał się temu ostro. Spoglądał na swoją żonę z wyraźną odrazą, jakby zameldowała Lottę w szpitalu dla umysłowo chorych.

- Zobaczysz - odpowiedziała lakonicznie - że te religijne sprawy będą wchodzić jej jednym uchem, a wychodzić drugim.

Okazało się, że miała rację, choć w nieco inny sposób niż myślała.

Biblia miała w sobie pokusę rzeczy zakazanej. Tak jak niektóre dziewczęta z uszmiokowanymi ustami przemycały się do kina, aby z zapartym tchem oglądać filmy dla dorosłych, tak Lottę nadzwyczaj pociągała Biblia, która ze wszystkimi morderstwami i zabójstwami, z cudzołóstwem i prostytutką, wylewającymi się z niej na niewinnego czytelnika, z pewnością również zasługiwała na wzmiankę „od lat osiemnastu”. W porównaniu z nią, jakąż nudną lekturą była księga życia jej ojca! Lotta pilnie studiowała historie przesiąknięte krwią i cudami. Próby podejmowania rozmów na ten temat z koleżankami i kolegami z klasy rozbiły się o mur obojętności. W ich głowach nie pojawiały się na ten temat żadne myśli; religia była dla nich elementem wychowania, na zasadzie codziennej porcji tranu. Również dla córki pastora, z którą siedziała w ławce, Biblia nie stanowiła przedmiotu kontemplacji, lecz obowiązkową, budzącą znudzenie część niedzieli - cotygodniowe uwięzienie w ponurym lokalu katechizacyjnym przy kościele. Szokowało ją, że rówieśnicy ślepo, beznamietnie akceptują zbiór przypowieści jako „opowieści prawdziwe”. Ze swoimi znakomitymi stopniami z historii biblijnej była jedyną, która sprawę wiary brała poważnie!

Dyrektor szkoły, mężczyzna z twarzą jakby wrytą ostrym gwoździem w bryle lodu,

zajrzał kiedyś przez szybkę w drzwiach, gdy uczniowie odmawiali modlitwę na zakończenie lekcji, i zauważył, że jedna z uczennic ze spokojem oczekuje na zakończenie rytuału, wyglądając przez okno. Pospieszył do klasy i z zaciśniętymi ustami zwrócił się do nauczyciela religii:

- Ona musi zostać. - Kościsty palec skierował się w jej stronę.

Wybrana czy przeklęta? Klasa opustoszała.

- Nie modliłaś się - stwierdził dyrektor.

- Nie, proszę pana.

- Jak to się dzieje, że się nie modlisz?

- Ja nigdy się nie modlę, proszę pana.

- Nigdy się nie modlisz? - Wąska warga uniosła się nieco, przygryziona nieświadomie zębami.

- Nie.

- A u ciebie w domu?

- Tam również nikt się nie modli.

- Nigdy nie chodzisz do kościoła?

- Nie, nigdy nie chodzę do kościoła.

Nauczyciel religii pogładził w wielkim zdziwieniu swoją apostołską brodę:

- W jaki więc sposób znalazłaś się w tej szkole?

- Nigdzie indziej nie było miejsca. Zapisała mnie moja matka, nie pytano jej, czy jestem chrześcijanką.

Dyrektor wpatrywał się w nią, podejrzliwie marszcząc brwi, jakby przemilczała przed nim to, co było najważniejsze, to, o co naprawdę chodziło. Było oczywiste, że jest winna, nie mógł się jednak zdecydować, na czym polega jej wina.

- Ale przecież masz najlepszy w klasie stopień z religii! - zawołał nauczyciel.

- Słyszę to wszystko po raz pierwszy - odrzekła Lotta - ale słucham bardzo uważnie.

- I co o tym sądzisz? - zapytał z nagłą ciekawością.

- Przyjmuję, że dotarło do ciebie, iż są to wszystko głębokie prawdy - wpadł mu w słowo dyrektor.

Lotta przełknęła ślinę. Rzuciła mu płochliwe spojrzenie - gdyby powiedziała prawdę, która przez wszystkie te miesiące płonęła na czubku jej języka, natychmiast wydaliby ją ze szkoły.

- Dzieci diabła! - dochodził głos z niezmierzonej dali. - Dzieci diabła!

Oczyrna wyobraźni ujrzała zjawę, która wydała jej się mgliście znajoma. Coś

czarnego, łopoczącego, żalosalne odgłosy laski... Było to nie więcej niż niesprecyzowane uczucie.

- Nie - powiedziała, nagle nabierając odwagi.

- Dlaczego nie? - zapytał ostro dyrektor.

Spojrzała ponad jego kościstym ramieniem na zewnątrz, gdzie połyskujące, czarne gałęzie poruszały się tam i z powrotem na tle ciemnoszarego nieba.

- To się nie zgadza - powiedziała - według przypowieści o stworzeniu świata Bóg jest wszechpotężny, Bóg jest miłością. Jak to więc możliwe, że uwolnił diabła, aby prześladował ludzi... jeśli on wszystko może?

- To jest... tajemnica wiary - wykrztusił nauczyciel.

Cóż za żalosalny argument! Spoglądała od jednego do drugiego, odczuwając pogardę i współczucie dla ich bezgranicznej naiwności. - To, że Adam i Ewa żyli w raju i spożyli zakazany owoc... - westchnęła głęboko - dla mnie to jak bajka o królewnie Śnieżce.

Nauczyciel zdjął okulary z nosa, wyciągnął z kieszeni marynarki chusteczkę i trzymając ją między kciukiem a palcem wskazującym, zaczął dokładnie czyścić szkła. Wystające jabłko Adama w szyi dyrektora poruszało się w górę i w dół; z jego gardła wydobył się suchy, cyniczny śmiech.

- Tych spraw nie można udowodnić - zawołał - musisz w nie po prostu uwierzyć.

Lotta podrapała się z tyłu po głowie. Jej czaszka swędziała na całej szerokości, zdawała sobie sprawę, że w tym momencie niestosownie byłoby drapać się otwarcie paznokciami obu rąk.

- Przez pewien czas wierzy się w Mikołaja - mruknęła - jednak pewnego dnia przestaje się w niego wierzyć.

Oj, stanęła na niepewnym gruncie, posunęła się za daleko. Teraz mogła jedynie szybko pójść dalej po trzeszczącym lodzie, nieustannie przenosząc swój ciężar. Dyrektor spoglądał na nią, jakby chciał wyrwać jej z ust pogański język.

- Ona nic z tego nie rozumie - rozległ się głęboki głos nauczyciela religii, który przypowieściom biblijnym nadawał ciepły, szlachetny wymiar. Nałożył okulary i spojrzał przelotnie na dyrektora. Ten opuścił ręce, zaciskając prawą dłoń w pięść; wystający z niej palec wskazujący, na podobieństwo lufy pistoletu wskazywał na Lotkę. - Masz stosować się do przepisów szkolnych, pamiętaj o tym, odtąd będziesz odmawiać modlitwy razem z innymi.

- Odwrócił się od niej, ukazując wysokie, przygarbione plecy z wąskimi, opuszczonymi ramionami. Uginając się pod trzema stuleciami kalwinizmu, wyszedł z klasy, mając w swoich krokach pewną zaciekłość, tak jakby tym nakazem sprawił, że racja pojawiła się po jego

stronie.

- No i... - spytała Anna, biorąc Lottę pod rękę - czy zaczęłaś od tej pory się modlić?

Opuściły kawiarnię, której wnętrze w pełni harmonizowało z okresem wypełniającym ich myśli, i noga za nogą szły po śniegu. Znow zrobiło się ciemno. Po obu stronach wznosiły się dziewiętnastowieczne fasady domów - balkony, wieżyczki, wykusze, *oeils de boeuf*¹, wystające z dachu okienka. Na wystawie miejscowej księgarni, między kalendarzami ściennymi i kieszonkowymi oraz wiecznymi piórami figurowała książka, w której rosyjski prezydent prezentował swoją wersję przyszłości; jakiś pies unosił ostrożnie łapy, wkraczając na nietknięty kawałek śniegu, drzewa przed budynkiem Athenée Royale stały nieruchomo w miejscu, w sklepie warzywnym wciąż iskrzyła się dekoracja bożonarodzeniowa.

- Oczywiście nie - odrzekła Lotta, dysząc z wysiłku.

Ulica wciąż się wznosiła, a poziom alkoholu wydawał się temu sekundować, wskutek czego zakręciło jej się w głowie. Na moście drogowym zatrzymały się, aby odpocząć. W oddali, na tle śniegu paliło się czerwone światło semafora, biała wieża odcinała się ostro na tle ciemnego nieba.

- Dyrektor szukał wszelkich sposobów, aby mi się przeciwstawić. Pewnego dnia - zachichotała - włożyłam sukienkę z dekoltem w szpic. Zatrzymał mnie w korytarzu.

- Czy zechciałabyś poprosić swoją matkę, aby włożyła ci inną sukienkę? Ta odsłania stanowczo zbyt wiele golizny.

Poczuła w gardle falę Ratafii de Pommes; przelknęła i znow zaczęła się śmiać.

- Pewnego razu przyjechałam do szkoły na rowerze ojca. Na placu przed szkołą zsiadłam z niego i wstawiłam go do stojaka na rowery. Gdy się odwróciłam, niemal wpadłam na dyrektora.

- Nigdy więcej tego nie rób - zawołał - tu, w miejscu publicznym, na oczach wszystkich, zsiadać z męskiego roweru! Wstydz się!

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. Co miał na myśli, zastanawiałam się, o czym on mówi?

Ich śmiech brzmiał sucho ponad sypkim śniegiem. Przestały mówić. Gdy zatrzymały się przed hotelem Lotty, Anna wprosiła się na obiad. Chwilę później siedziały naprzeciw siebie pod łosiosioróżowym sufitem z białymi ornamentami po bokach i kryształowymi żyrandolami. Przy sąsiednim stoliku siedziała młoda kobieta, która w Instytucie

¹ (fr.) - „wole oko”, okrągłe albo owalne okienko, zazwyczaj w ozdobnym obramowaniu

Wodolecznictwa odbywała poporodową kurację rewalidacyjną. Obydwie zgodziły się, że lepiej będzie zamówić karafkę wody niż butelkę wina. Jako *hors d'oeuvre*¹ otrzymały *crudités*² z ardeńską szynką i boczkiem; z szynki odcięły tłuszcz, a boczku nie tknęły. Matka nowonarodzonego, zanim sięgnęła po widelec i nóż, splótła dłonie i zamknęła oczy.

- Czy nie... nie miałaś ochoty... - wyszeptała Lotta, wskazując na nią z ironicznym uśmiechem - mam na myśli... przed jedzeniem...

- Ja? Modlić się przed jedzeniem? - Anna udrapowała na kolanach łososioworóżową serwetkę. - Nie zrozum mnie źle, wciąż jeszcze zachowuję wiarę, na swój własny sposób, jednak z kościołem jako instytucją pożegnałam się już dawno temu. Nie zapomniałam jednak, co kościół wówczas dla mnie uczynił. Powinnaś sobie uświadomić, jak silnie kościół był powiązany ze współżyciem społecznym. To były zupełnie inne czasy - zupełnie inne.

Jacobsmeyer zwrócił się o pomoc do towarzystwa ochrony dzieci. Wysłano jego przedstawicielkę do gospodarstwa. Anna podsłuchiwała za drzwiami, jak ciotka Marta zaczęła wyjawiać jej grzechy. Przez cały ten czas biedna ciotka żywiła żmiję na piersi, dziewczynka była nic nie warta, zadawała się ze starszymi facetami - mimo tak młodego wieku była dziwką. Ku rozgoryczeniu Anny, pracownica społeczna zachęcała ciotkę do kontynuowania potępięcej mowy, nie próbując z nią dyskutować. Anna straciła ostatnią iskierkę nadziei. Ta kobieta nie przyszła tu dla niej, lecz po to, by pomóc ciotce Marcie. Gdy ta się wygadała, przybyła powiedziała spokojnie:

- Teraz chciałabym jeszcze porozmawiać na osobności z dzieckiem.

Anna pofrunęła z powrotem do kuchni. Ciotka Marta przyszła po nią z uśmiechem zadowolenia na ustach. Z poczuciem fatalizmu Anna weszła do pokoju - ciotka, pewna swojej sprawy, wyszła na zewnątrz. Pracownica społeczna zamknęła za Anną drzwi, oparła się o nie plecami, otworzyła ramiona i rzekła:

- Zaufaj mi, pragnę ci pomóc.

Pod jej spojrzeniem, które wyraźnie mówiło, że przejrzała ciotkę Martę na wylot, opór Anny się ulotnił. Zrozumiała, że ktoś rzucił jej linę ratunkową - ktoś, komu wystarczyło pół słowa. Wysłannik z innego świata, obiektywny i rozsądny, a może również (zawahała się) bardziej wypełniony miłością. Widziała, jak na zewnątrz, tuż pod oknem, ciotka zbiera gruszki, w nadziei, że usłyszy coś z tyrody, która niechybnie spadnie na podrzuconą kukułkę. Anna odetchnęła. Czy naprawdę nadszedł kres jej niewolnictwu? Czy przestanie być wystawiana na kaprysy i podejrzliwość umysłowo chorej zbieraczki gruszek?

¹ (fr.) - przystawka

² (fr.) - surówka

Została wyrwana z domu tak jak stała, w rolniczym rynsztunku. U Jacobsmeyera otrzymała wzmacniający posiłek. Dał jej swoje błogosławieństwo oraz pieniądze na nowe ubranie, i pokiwał jej na pożegnanie, gdy po raz pierwszy w życiu wsiadła do samochodu, aby opuścić wioskę nad Lippą. Pod górę, z góry, przez lasy mieniające się na żółto i pomarańczowo, aż wyłoniła się wieś, której domy pięły się wzdłuż wzgórza, aby znaleźć się jak najbliżej górującej nad wszystkim wieży oraz zamku z pruskiego muru z dziesiątkami okienek i łupkowym dachem. Do kościoła przylegał klasztor klarysek. Pospieszyła do nich zakonnica w czarnym habicie, witając je w bramie z otwartymi ramionami.

Kompresy ze zgniecionych liści żywokostu przykładane na stłuczenia, maść na spierzchniętą skórę na dłoniach, troskliwie zachowywany w grubych murach wielowiekowy franciszkański spokój, mleko pieniące się w dużych kubkach, bezinteresowne oddanie zakonnice, które trzepotały w wysokich korytarzach jak czarne motyle. Ze swojego łóżka widziała zamek barona Zitsewita - nazwisko z bajki, takie jak markiz Carabas¹. Została dosłownie przyjęta na łono kościoła-matki, razem z grupą towarzyszek niedoli, wybranych przypadków wymagających natychmiastowej pomocy. Jakby na mocy cichej zмовy, milczały na temat swojej przeszłości. U sióstr zdobywały umiejętności, jakie potem miały umożliwić im życie w normalnym świecie: szycie, gotowanie, opieka nad dziećmi - a nawet obsługiwanie gości: specjalnie dla nich przeznaczono niewielką salę, do której wczesnym popołudniem przychodzili na posiłki ludzie z zewnątrz, dobrze odżywione króliki doświadczalne (*Mittagstischgäste*²), które chętnie rozsmakowywały się w eksperymentach.

Nie docierało do nich, że poza murami klasztoru wciąż jeszcze szykowano wielkie zmiany. Nie było tu radia ani gazet, jedynie gramofon z zestawem modnych szlagierów, przy których tańczyły razem z najmłodszymi zakoniczkami - pod zgorszonym spojrzeniem kardynała w purpurowej szacie, którego portret wisiał nad kominkiem. Anna traciła oddech zwłaszcza przy dźwiękach tanga *Was machst du mit dem Knie, lieber Hans*³; w dzikim tempie krążyła po parkiecie tanecznym, pończochy zsuwały jej się z nóg, habit partnerki objął się o łydki. Był to największy przebój klasztoru do czasu, gdy pewnego dnia Anna uważnie wsłuchiwała się w tekst i odkryła, że dla Hansa tango było pretekstem do tego, by na początku każdego taktu wciskać swoje kolano jak klin między uda partnerki. Ostrzegła siostrę Klementynę, która z błogim uśmiechem na ustach krążyła wokół w ramionach mocno zbudowanej sieroty, jakby to były ramiona jej niebiańskiego oblubieńca. Nastawiono płytę od

¹ popularna postać z bajek dla dzieci

² (niem.) - goście przychodzący na popołudniowy posiłek

³ (niem.) - Co robisz z kolanem, drogi Hansie

nowa; wciąż jeszcze dysząc z wysiłku, zakonnica zaczęła wsłuchiwać się z zamkniętymi oczyma w tekst piosenki. Kiwała przy tym lekko głową. Powoli na jej policzki wypłynął rumieniec, a usta rozwarły się ze zdziwienia. Ostatnie tony pozostawiły po sobie nieznośną ciszę. Siostra Klementyna podeszła z podniesioną głową do gramofonu i dwoma wyciągniętymi palcami podniosła płytę z talerza obrotowego. Biorąc przykład z Hansa, uniosła kolano. Bez skrępowań umieściła na nim płytę i przełamała ją na pół.

Splamiony honor Anny został pomszczony, szybko odkryła jednak, że zagrożenie kryje się w o wiele większych zmianach. Jednym z popołudniowych gości był leśnik w średnim wieku. Na jego łysej czaszce, dokładnie w środku, widniała purpurowoczerwona, poszarpana blizna, tak jakby pijany chirurg nieudolnie próbował przeprowadzić lobotomię. Gdy ktoś zatrzymywał wzrok na bliźnie, jej właściciel wyjaśniał od niechcenia, że podczas nocnego patrolu trafił go odłamek granatu. Anna, z głową pełną *Im Westen nichts Neues*, obsługiwała go z lekliwym szacunkiem. Podobało mu się to, wszelka zażyłość byłaby dla niego obraźliwa. Pewnego dnia skinął autorytatywnie głową w jej stronę, dając znak, aby podeszła bliżej. Złapał ją za rękę.

- No i... - jego oczy zabłysły dwuznacznie - czy zakonnice zaczęły już zapuszczać włosy?

- Co pan ma na myśli? - Z zawstydzeniem, które znalazło obiekt zastępczy, Anna pomyślała o tym, jak ujrzała kiedyś ogoloną niemal do gołej czaszki głowę siostry Klementyny i jak głęboko poruszyła ją ta bezbronna nagość.

- Ponieważ niedługo, kiedy klasztory zostaną zamknięte, wszystkie będą musiały zrzucić swoje habity - odpowiedział z lubieżnym śmiechem - zobaczymy wówczas, jakie mają nogi! - Puścił jej rękę.

Taca z pełnymi półmiskami trzęsła się w jej dłoniach; udało jej się uwolnić od niej na pustym stoliku, po czym wybiegła z jadalni, nie widząc niczego wokół siebie i nie zwracając uwagi na innych gości. Serce waliło jej w skroniach, odgłos stóp odbijał się echem w wysokich korytarzach. Zapukała gwałtownie do drzwi matki przełożonej. Gdy wpadła do środka, zapomniała o wszystkich formach grzecznościowych i wybuchnęła, łapiąc z trudem oddech, spodziewając się, że bez wątpienia nędzny popołudniowy gość natychmiast zostanie wyciągnięty za swoje świńskie uszy spoza pełnego talerza, przeciągnięty przez korytarz klasztorny i pozostawiony na granitowym chodniku, po czym jeszcze przez wiele dni będzie rozbrzmiewał w jego uszach odgłos trzaśnięcia drzwiami.

- Spokojnie, szszsz, uspokój się już...! - Matka przełożona błagalnie uniosła dłonie - Co dokładnie powiedział?

- Że wszystkie siostry muszą zrzucić swoje habity, ponieważ klasztory zostaną zamknięte - wysapała Anna - jak mógł powiedzieć coś podobnego?

Matka przełożona podeszła cicho do drzwi, które Anna zostawiła otwarte, i ostrożnie je zamknęła.

- Pomódlmy się - powiedziała, odwracając się.

- Jak mu to mogło przyjść do głowy? - z uporem ciągnęła Anna.

Matka przełożona westchnęła.

- To nie nasza sprawa, to wszystko polityka. Oni wszyscy wybrali antychrysta, który chce pozamykać klasztory i kościoły, pomódlmy się, aby nigdy do tego nie doszło.

- Antychrysta? - zająknęła się Anna. Leśnikowi pojawiły się różki po obu stronach blizny. Matka przełożona objęła ją ramieniem.

- Adolfa Hitlera - powiedziała cicho.

Krótkie spięcie w głowie Anny. Człowiek z fotografii, Bernd Möller i wuj Heinrich zaczęli przebłyskiwać przez siebie z wrogością, wzajemnie sobie przecząc. obrońca biednych i bezrobotnych okazał się niszczycielem kościołów i klasztorów. Jej wuj miał jednak rację - czy usprawiedliwiało to również fakt, że ją pobił? Jak mogła tak się pomylić? Zawstydzila się - jednocześnie poczuła pogardę wobec zarozumiałości tego walczącego przeciw niebu wojownika: w jaki sposób mógłby zaszkodzić chrześcijaństwu lub kościołowi, które trwały już dziewiętnaście stuleci? Bóg zainterweniowałby osobiście, tyle wiedziała na pewno. Dlatego właśnie matka przełożona powiedziała: „Pomódlmy się”. Wobec silnej wiary każdy atakujący musi się poddać. Matka przełożona stanęła przy oknie i wyjrzała na zewnątrz, żółte lipowe liście tworzyły wokół jej głowy aureolę.

- To, o czym tu mówiliśmy - rzekła spokojnie - pozostanie w czterech ścianach mojego pokoju. Nigdy nie rozmawiaj na ten temat z nikim innym, to mogłoby ci przysporzyć kłopotów.

Anna skinęła głową, chociaż nie obawiała się nikogo.

Pierwszy miesiąc roku 1933 zbliżał się do końca, gdy pewnego dnia Anna wyjrzała z okna na pierwszym piętrze i w dali, tam gdzie na środku wsi przecinały się dwie drogi, ujrzała olbrzymią flagę. Rozpoznała pajęczę odnóża, których końce wyginały się na prawo, tak że jeśli długo się im przyglądało, zaczynały się kręcić przed oczyma. Szybko zbiegła z szerokich, dębowych schodów, odgłos jej stóp rozlegał się bez cienia szacunku na klatce schodowej.

- Flaga! - zawołała, wpadając do refektarza, gdzie dwie zakonnice nakrywały do stołu z taką precyzją, jakby przesuwaly pionki w warcabach.

- Wywiesili flagę, na środku wsi, i nikt jej nie ściąga!

Zwabiona hałasem matka przełożona przybiegła z uspokajającym wyrazem twarzy.

- Gdybym była chłopakiem - Anna wyrzuciła w górę ręce - już by jej tam nie było!

- Ale jesteś dziewczyną - przypomniała jej matka przełożona - a więc zachowuj się, jak przystało dziewczynie.

- Ale ta flaga... - wyrzuciła z siebie Anna, wskazując poprzez ściany w kierunku wbijającego się w niebo przedmiotu.

Matka przełożona potrząsnęła głową.

- Anno, nie znasz miary. Masz przed sobą dwie możliwości: albo zostaniesz kimś wspaniałym, albo wylądujesz w rynsztoku, nie istnieje nic pośredniego.

- Ale Jezus z Nazaretu powiedział... - zająknęła się, łapiąc oddech - bądź gorący lub zimny, ponieważ gdy będziesz letni, wyklnę cię...

Matka przełożona roześmiała się z pobłażaniem.

- Och, Anno, tę flagę moglibyśmy zabrać, jednak to, co sobą reprezentuje... wobec tego jesteśmy bezbronni. Hitler został dzisiaj kanclerzem Rzeszy.

Kipiąc ze złości, Anna wybiegła na zewnątrz, słowo „bezbronni” z ust matki przełożonej było obrazą pod adresem Wszechmogącego. Z trzaskiem zamknęła za sobą bramę klasztoru. Ulica opadała prosto w kierunku skrzyżowania. Pod masztem flagi zatrzymała się. Odchylając głowę do tyłu, spojrzała w górę. Nie było to niczym więcej niż kawałkiem materiału. Jeśli zacznie padać, stanie się mokry, jeśli powieje wiatr, zacznie furkotać. Z prowokacyjnego charakteru, widzianego z jej okna na pierwszym piętrze, nie pozostało wiele. Z bliska, jako przedmiot, flaga budziła rozczarowanie. Obróciła się, aby w końcu lepiej się przyjrzeć klasztorowi. Ten jednak, razem z kościołem, nagimi pniami drzew oraz stycziową surowością murów i dachów, wtapiał się w nicość, w porównaniu z czerwono-biało-czarnymi ozdobami na szczycie wieży bajkowego zamku. Von Zitsewitz również wywiesił flagę.

7.

- *Sie waren so gut zu mir*¹ ...

Anna pożegnała się z zakonnicami. Nauka w klasztorze była zakończona, gruźlicze

¹ (niem.) - byłyście dla mnie takie dobre

przeziębienie wyleczone, przybyło jej piętnaście kilogramów, na ranach wewnętrznych pojawiła się warstwa zrogowaciałej skóry. Fakt, że wygrzebała się z absolutnego dna, zapewnił jej nieznaną dotąd pewność siebie. Opuszczając góry, udała się z powrotem do domu w dolinie rzeki. Postanowiła nigdy więcej nie dopuścić do czegoś podobnego. W wuju Heinrichu - mimo okazywanej powściągliwości - można było wyczuć radość z jej powrotu. W ciotce Marcie - mimo że zmuszała się do panowania nad sobą - wyczuwało się zazdrość o tętniącą życiem postać Anny; frustracja wynikała już z samego faktu, że dziewczyna jeszcze żyje. Ciotka utrzymywała się jednak w ryzach: od tej pory skierowane na nią były oczy świata (pastor, instytucja ochrony dzieci).

Podczas dobrowolnego wygnania Anny do wioski wkradły się zmiany. Jako że synowie chłopscy, którzy wnosili własnego konia, mogli zaciągać się do elitarnej organizacji hitlerowskiej, *Reiter SA*, jej wizerunek w oszałamiającym tempie nabrał wielkiego znaczenia. Ponadto Hitler wyniósł chłopów na pozycję najważniejszej klasy w Trzeciej Rzeszy, osi, wokół której kręciło się społeczeństwo: *Reichsnahrstand*¹. Dawni koledzy szkolni, ich bracia oraz narzeczeni byłych przyjaciółek Anny - niemal wszyscy należeli do SA. Nikt jeszcze nie powiedział: nie powinno się tak postępować. Jedyne w katolickiej Kongregacji Dziewcząt, do której Anna wstąpiła jako czternastolatka, znajdowało się kilka dziewcząt, które podzielały jej odrazę. Przewodnicząca kongregacji, Frau Thiele, nauczycielka (niegdyś uczyła je wszystkie), stworzyła w pośpiechu grupę wokalną, grupę taneczną i grupę teatralną, aby zapobiec przeniesieniu się jej podopiecznych do młodzieżowej organizacji faszystowskiej *Bund Deutscher Mädel*², która ją ubiegła. Jednak jej dni jako przewodniczącej były policzone. Na podstawie rozporządzenia została zobowiązana by zostać członkiem narodowo-socjalistycznego związku nauczycieli; kolejny dekret zabronił członkom tego związku aktywnego udziału w organizacjach kościelnych.

Jacobsmeyer odwołał po mszy Annę na bok.

- Posłuchaj, Anno - spojrzał na nią konspiracyjnym wzrokiem - tym razem to ja chcę ciebie o coś poprosić. Czy zechciałabyś zastąpić Frau Thiele jako przewodniczącą kongregacji?

- Ja? - spytała Anna nienaturalnym głosem. - Mam dopiero osiemnaście lat, nikt nie weźmie mnie poważnie!

- Szszz - uspokoił ją - jeszcze nie skończyłem. Jednocześnie zameldujesz się z grupą zaufanych dziewcząt w BDM.

¹ (niem.) - klasa żywicieli narodu

² (niem.) - Związek Dziewcząt Niemieckich

Anna otworzyła usta ze zdziwienia. Uśmiechając się nieznacznie, przedstawił jej swój plan. Zakraść się w szeregi dziewczęcego oddziału *Hitlerjugend*, przekazywać mu wiadomości na temat wszystkiego, co się tam dzieje i w końcu, z pomocą Boga, wydrążyć od środka miejscowy oddział.

- Ty potrafisz tego dokonać, Anno, znam cię wystarczająco długo.

Anna wpatrywała się w niego zdumiona. Ten wysłannik Boga, tak godny zaufania i tak jej drogi w pachnącej kadzidłem sutannie, w której dopiero co odprawiał mszę, nie cofał się przed niczym! To, że właśnie ją wybrał do tej misji, nappełniło ją dumą. Wreszcie mogła coś uczynić, zamiast tkwić nieruchomo w poczuciu fatalizmu, który głosiła matka przełożona.

- I co, jesteś gotowa to zrobić? - zapytał Jacobsmeyer.

Jednej niedzieli śpiewały i tańczyły dla katolickiego kościoła, następnej dla *Hitlerjugend* - w ciemnoniebieskich spódnicach, białych bluzkach i brązowych kamizelkach, z chustką na szyi przeciągniętą przez pierścień ze splecionych skórzanych rzemyków. Jacobsmeyer otrzymał z nawiązką to, na co liczył. Dziewczęta były szkolone politycznie i uczyły się redagować wiadomości prasowe. Annę chwalono niezmiernie za jej umiejętność pisemnego wystawiania się. Wuj Heinrich, wtajemniczony przez Jacobsmeyera, patrzył w inną stronę. Pewnego słonecznego, kwietniowego dnia przyjechał na rowerze do gospodarstwa dyrektor szkoły, który pamiętał Annę jako wybitną uczennicę.

- Mam tu coś dla ciebie - wyciągnął z teczki cienką książeczkę. - Czy zechciałabyś nauczyć się tego na pamięć? Pierwszego maja organizujemy wielką uroczystość, z przedstawieniem teatralnym.

Anna wytarła pokryte ziemią ręce w fartuch i szybko przejrzała książkę. Wuj Heinrich podszedł, spoglądając podejrzliwie.

- *Kreisleiter*¹ szuka Germanii... - nauczyciel nerwowo skubał klapę swojej teczki - musi być mocno zbudowana i mieć jasne włosy.

- Dlaczego właśnie nasza Anna - spytał wuj Heinrich - we wsi jest więcej blondynek.

- Ponieważ tylko ona potrafi przyzwoicie mówić po niemiecku i recytować wiersze.

- Tak, to rzeczywiście potrafi - mruknął wuj Heinrich - ale, proszę posłuchać... Germania! To naprawdę zbyt wiele.

- Nie mamy nikogo innego - poskarżył się nauczyciel. - Jestem na państwowej posiadzie, mam rodzinę na utrzymaniu, muszę postarać się, aby wszystko było w porządku.

Próby odbywały się przez cały miesiąc. Podczas próby generalnej Anna miała na

¹ (niem.) - przywódca partii NSDAP na skalę okręgową

głowie barokową perukę z długimi, jasnymi lokami. Z pełną powagą musiała recytować najbardziej melodramatyczne wersy, jakie kiedykolwiek spłynęły z niemieckiego pióra. U jej stóp leżał żołnierz z czasów wojny z zakrwawionym bandażem na głowie, który musiał być widoczny z najdalszego zakątka sali. Anna zwróciła się w stronę wyobrazonego horyzontu:

- *Ich sehe rings die Not in Deutschen Gauen, kein Hoffnungsstrahl, kein Sonnenlicht... die arme traurige Germania, da waren alle Söhne tot... das Volk liegt da nieder...*¹

Jedynym talentem aktorskim, którego wymagano od występującego w roli żołnierza, było odgrywanie zmarłego w przekonujący sposób, jednak tętnica w jego szyi nie poddawała się reżyserii i pulsowała tak wyraźnie, że w połowie elegii Anna wybuchnęła śmiechem. Trzęsąc się całym ciałem - podporządkowały się temu również jej loki - Germania zbiegła ze sceny, zasłaniając dłonią usta, tak jakby w każdej chwili mogła zacząć wymiotować.

- Co tu się dzieje? - wrzasnął reżyser, napięty do ostateczności, ponieważ niepowodzenie przedsięwzięcia było rzeczą zabronioną.

- Nie mogę dłużej - wyjąkała zza kulis Anna, walcząc ze czkawką - jeśli mam przy tym zachowywać powagę! Na miłość boską, owińcie mu bandażem również szyję...

Jednak pierwszego maja Germania ani na chwilę nie wypadła z roli. Grała z takim zapalem, że przekonała nie tylko publiczność, lecz również siebie samą. Po zakończeniu przedstawienia *Kreisleiter* dokonał uroczystego otwarcia balu. Nie dając jej szansy przebrania się, nakazującym skinieniem głowy poprosił ją do tańca. Zaczęli wirować na pustym parkiecie tanecznym, jej broda na jego epolecie, szata bogini wydymała się, loki zataczały kręgi wokół jej głowy. Stojący wokół chłopcy w mundurach i dziewczęta z wiankami we włosach spoglądali z podziwem: tańczyła z samym *Kreisleiterem*! Stała się ucieleśnionym symbolem tego, w co wszyscy wierzyli, nie podejrzewając, że nosicielka tego symbolu zakradła się do środka z wrogiego obozu. Poczucie triumfu uderzyło jej do głowy. *Kreisleiter* trzymał ją mocno, tak jakby odtąd chciał energicznie wziąć w swoje ręce los rozpaczającej Germanii. Anna odczuwała pokusę, aby się temu poddać, dać się prowadzić z zamkniętymi oczyma i w pełni się cieszyć ze świeżo osiągniętego statusu. Dotychczasowy status biednej, maltretowanej sieroty, pozostał daleko w tyle. Po zabawie pofrunęła jak na skrzydłach do domu. Różowy obłok, na którym szybowała, szybko został unicestwiony przez sceptycyzm wuja Heinricha.

- Tak właśnie zaprzęgają do swojego powozu młodych ludzi - powiedział z pogardą - ci uwodziciele. Teraz sama widzisz, w jaki sposób tego dokonują.

¹ (niem.) - Widzę kręgi nędzy w niemieckich regionach, żadnego promienia nadziei, żadnego światła słonecznego... ta nieszczęsna Germania, tam polegli wszyscy synowie, ten naród został pokonany...

Okręgowy oddział BDM wysłał do wsi młodą kobietę z kunsztownie upiętymi włosami, aby zaprezentowała w miejscowym oddziale gimnastykę poranną. Oznajmiła, że od tej pory mają gromadzić się przed świtem na placu przed kościołem po to, by zaczynać dzień nie od modlitwy „Ojcze nasz”, lecz od wciągania na maszt flagi, odśpiewywania hymnu narodowego oraz *Horst Wessellied*¹. Następnie miały wykonywać ćwiczenia w ramach gimnastyki porannej, aby ich ciało stało się zdrowe i giętkie: ugiąć kolana, wyrzucić ramiona, pochylić się do tyłu, wykonać pompki, a następnie skręty ciała. Przysłana przemawiała wysokim, miastowym głosem. Pełne zapału córki chłopskie przyglądały się jej w milczeniu, czując silny wewnętrzny opór. W jaki sposób miały połączyć te wszystkie rytuały z pracą w gospodarstwie, która zaczynała się, gdy było jeszcze ciemno? Anna coraz bardziej mrużyła oczy i kiedy kobieta skończyła mówić, wystąpiła do przodu.

- Zapraszam panią - powiedziała - aby zaczęła pani gimnastykę u mnie w gospodarstwie o piątej rano. Może pani napompować wody, rzucić paszę kurom i pięćdziesięciu świniom, dać pić cielakom, a w przerwach między dojeniem krów może pani wyciągnąć ręce w górę i ugiąć nogi w kolanach, ciesząc się z towarzystwa zgromadzonych wokół zwierząt.

Krąg dziewcząt wybuchnął śmiechem z poczuciem ulgi. Zszokowana przewodnicząca śmiała się razem z nimi; poprawiła fryzurę i szybko zniknęła. Jacobsmeyer, będący tak blisko, chociaż niewidoczny, odniósł swój pierwszy sukces. Do tematu gimnastyki porannej nie powrócono nigdy więcej.

Jesienią Hitler zwołał wszystkich chłopów, aby na zboczu góry Bückeberg koło Hamelen świętowali dożynki. Wuj Heinrich wybrał się tam, ciekawy wbrew swojej woli. Po powrocie na cały tydzień zapadł w ponure milczenie. Coraz trudniej było znaleźć we wsi godne zaufania osoby, jedynie Annie mógł w końcu zrelacjonować to, czego był świadkiem. Tego dnia z całego kraju przybyły miliony chłopów, powiedział. W Dolnej Saksonii, prastarym niemieckim kraju Germanów pełnym świętych dębów, między którymi unosił się duch Widukinda, tłum przybyłych zgromadził się po obu stronach drogi, czekając na początek defilady. Wuj Heinrich stał między innymi. Przeczytawszy *Mein Kampf*, wiedział, że jego autor pragnie zawartość książki słowo w słowo wprowadzić w życie, zdawał sobie sprawę z tego, kto miał tu odbyć paradę. Jednak to, co nastąpiło, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Pojawienie się Führera, wyreżyserowane perfekcyjnie od początku do końca przez troskliwie wybranych artystów, przewyższyło występy Nerona, Augusta i Cezara razem

¹ (niem.) - Horst Wessel, autor pieśni, od jego imienia zwanej *Horst Wessellied*, która stała się oficjalnym hymnem NSDAP.

wzięte. Tłum zaczął wiwatować, masy falowały w rytm śpiewanych pieśni, niesione na skrzydłach nieopanowanego zapachu, czerwono-biało-czarne sztandary furkotały na tle purpurowego nieba. Jednogłośnie uwielbienie skierowane było w stronę tej jednej, magicznej postaci, w której rękach znajdował się los całego narodu. Wuj Heinrich walczył z wsysającą siłą przyciągania, tak jakby wciągał go wir w Lippie. Z trudem łapiąc powietrze, wyrwał się z gigantycznej, kołyszącej się, wrzeszczącej masy i rzucił się do ucieczki.

- Będą za nim ślepo podążać - prorokował - za tym szczurołapem z Hamelen¹. Aż do samej przepaści.

Żądze władzy łowcy szczurów czuło się wszędzie, nie oszczędzono nawet arcybiskupa z Paderborn. Przygotowywał na pewną niedzielę procesję maryjną; BDM natychmiast zorganizowało tego samego dnia zebranie.

- Dobrze - zareagował biskup - w takim razie odłożymy procesję do następnej niedzieli.

BDM podążyło za jego przykładem. Biskup nie poddał się i od nowa przełożył planowaną procesję, na co BDM zareagowało podobnie. W końcu procesję odłożono na czas nieokreślony. Cierpliwość Anny się wyczerpała.

- Dlaczego to robicie? - zapytała przy pierwszej okazji - Dlaczego sabotujecie procesję?

- Co masz na myśli? - przewodnicząca BDM spojrzała na nią z niewinną miną. - Nie robimy niczego.

Anna odrzekła ostro:

- Jesteśmy katoliczkami i mamy ochotę wziąć udział w procesji.

Pozostałe dziewczęta skinęły potakująco głową. Przewodnicząca wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Pani kłamie! Specjalnie przeszkadzacie biskupowi z Paderborn. Jesteście podstępna banda. Nie będę w tym brać udziału. Jestem przede wszystkim katoliczką, dopiero na drugim miejscu członkinią BDM.

Odgrywana niewinność przewodniczącej wzbudziła wściekłość Anny.

- Kłamiecie wszyscy! - Odsunęła z łoskotem krzesło do tyłu i podeszła do kobiety, która ukrywała poczucie niepewności za głupkowatym uśmiechem. - Nie chcę mieć nic wspólnego z kimkolwiek, kto kłamie - zawołała Anna. - Do widzenia.

¹ Aluzja do legendy o grajku, który grał na flecie wyprowadził szczury z miasta Hamelen.

Ignorując wymóg hitlerowskiego pozdrowienia, wyszła z pomieszczenia, drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Natychmiast wszystkie krzesła zostały odsunięte do tyłu, cały miejscowy oddział BDM powstał z miejsca i opuścił salę, zostawiając przewodniczącą samą, z dłońmi wzniesionymi w geście zdziwienia. Zadanie Jacobsmeyera zostało wypełnione, BDM musiało się w tej wiosce poddać.

Anna czyściła właśnie chlew, rzucając siano na odchody i usuwając nawóz, gdy na teren posiadłości wjechał czarny mercedes, na którego masce widniała chorągiewka ze swastyką. Któż to może być, zastanawiała się, zmierzając z ciekawością w stronę samochodu. Wsiadła z niego potężna kobieta w mundurze obficie udekorowanym odznaczeniami. Bardzo wysokiej rangi, zauważyła Anna, *Gauführerin*. Kierowca pozostał w samochodzie i szklanym wzrokiem patrzył przed siebie. Objąwszy pełnym wyższości spojrzeniem chłopskie otoczenie, kobieta wyciągnęła rękę w kierunku wuja Heinricha, nie zauważając Anny.

- *Heil Hitler*, szukam Anny Bamberg.

Wuj Heinrich obrzucił ją wzrokiem, w którym kryło się zmęczenie i nieufność, i nie odezwał się ani słowem. Zirytowana, jakby przez pomyłkę przemówiła do głuchoniemego, kobieta zwróciła się w stronę Anny:

- *Heil Hitler*, czy to ty jesteś Anna Bamberg?

- Tak.

Kobieta spojrzała z góry, inwentaryzując sylwetkę Anny od stóp do głów - jej pobrudzony fartuch, odrapane chodaki.

- Czy to ty wyróżniałaś się w redagowaniu doniesień prasowych? - zapytała z wyraźnym sceptycyzmem.

- Tak - Anna wytarła nos w rękaw. - Myślała pani może, że nie potrafię czytać ani pisać, ponieważ usuwam z chlewu gnój?

Kobieta zignorowała jej uwagę. Sposób, w jaki jej ciało zostało wtłoczone w mundur, budził niemal współczucie - całe napięcie przeniosło się ze ściśniętego ciała na zastygłą, opanowaną twarz. Przybyła tu, aby doprowadzić Annę do porządku. Anna nie mogła przecież tak po prostu unicestwić BDM?

- Tak po prostu? - zdziwiła się Anna. - Wszyscy kłamięcie, nazywajcie to sobie „tak po prostu”. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, zostawcie mnie w spokoju, mam pracę do wykonania. - Odwróciła się na pięcie, uchwyciła taczkę z nawozem i zawołała przez ramię:

- *Reichsnährstand* to najwyższa klasa społeczna w Trzeciej Rzeszy.

Usłyszała za sobą, że drzwi mercedesa zamknęły się z trzaskiem.

- *Ça vous a plu*¹? - zapytała kelnerka, pochylając się nad nimi z uśmiechem.

- *Non, non, je ne veux plus*² - odparła szybko Lotta.

Anna zaczęła się śmiać.

- Ona pyta, czy ci smakowało.

Tak, oczywiście Lotcie smakowało. Zarumieniła się. Co, na miłość boską, zjadła przed chwilą? Zaabsorbowana relacją Anny, przeżuwała i przełykała jak automat. Obraz wroga, który pielęgnowała w sobie przez wiele lat, zaczynał stawać się coraz bardziej wątpliwy. Wszystko się ze sobą mieszało - alkohol wciąż jeszcze działał, obfity posiłek dawał się we znaki, a to co było absolutnie pewne i nienaruszalne, rozsypało się w gruzy. Dwie pary oczu wpatrywały się w nią wyczekująco - na jaki deser ma ochotę? Wymieniono błyskawicznie cały szereg deserów, przestała rozumieć cokolwiek po francusku. Kawa, miała ochotę jedynie na kawę.

- Tak więc widzisz - podjęła bez trudu Anna - jaką furorę zrobił Hitler w naszej wiosce. Powiem ci jeszcze coś. Kilka lat temu podczas wycieczki znalazłam się przypadkowo w Wewelsburgu, wiesz, tam, dokąd wcześniej jeździliśmy na piknik chłopskimi wozami. W czasie wojny Himmler wybrał ten zamek, aby utworzyć w nim centrum kultury Trzeciej Rzeszy. Kazał wybudować wieżę gigantycznych rozmiarów o diabolicznym pięknie, symbol władzy. To potrafili, ci faszyci. Podczas budowy tego pomnika zginęło ponad czterysta osób. Cmentarz, na którym zostali pochowani, został później świadomie zapomniany. Ironia polega na tym, że obecnie przybywają tam tłumnie ludzie z całego świata - każdy zostaje zauroczony pięknem tego miejsca. To niesamowite, że wizja Himmlera wciąż jeszcze działa. Powinni tę wieżę pomalować na krwistoczerwony kolor, powinni na niej przedstawić drogę cierpienia Żydów!

Lotta spojrzała wokół siebie z przerażeniem. W miarę jak Anna coraz bardziej się podniecała, mówiła coraz głośniej. W statecznej, łososioworóżowej przestrzeni ostatnie zdania rozbrzmiewały prowokacyjnie. Gestem dłoni zachęciła siostrę do przyciszenia głosu.

Ta zrozumiała otrzymany znak.

- No tak - ciągnęła już spokojniej - po zmianie stosunków politycznych stworzono tam niewielkie muzeum wojny. Obeszłam je wokół, na ścianach wisiały najróżniejsze rzeczy. Nagle odkryłam dwie listy wyborcze z naszej wsi, porządnie oprawione w ramki. Jedna z 30 stycznia, gdy Hitler przejął władzę, a druga z marca tegoż roku, z okazji zmian konstytucyjnych, które upoważniały go do podejmowania decyzji poza parlamentem.

¹ (fr.) - Czy pani smakowało?

² (fr.) - Nie, nie, nie chcę więcej.

Poczułam, że serce przestaje mi bić. Okazało się, że wuj Heinrich, który myślał, że na tym etapie było we wsi jedynie kilku głupców o sympatiach narodowosocjalistycznych, okrutnie się mylił. Listy wyborcze ujawniły, że 30 stycznia już jedna czwarta mieszkańców naszej wsi głosowała na Hitlera, a dwa miesiące później aż dwie trzecie. Chłopi, piekarz, sklepikarz, koledzy wuja Heinricha, z którymi grał w karty - nagle ukazali się w innym świetle. Po tak wielu latach przeżyłam prawdziwy szok. Przez cały czas było to obecne w utajeniu, on jednak nie zdawał sobie z tego sprawy.

Położyła dłoń na dłoni Lotty i spojrzała na nią z troską.

- Czasem obawiam się, że to się powtarza. Ten pożałowania godny okrzyk „Jedna ojczyzna” podczas zjednoczenia, przybierający na sile nacjonalizm. Nigdy nie myślałam, że ludzie wciąż jeszcze mogą być podatni na te idiotyzmy w Europie, w której w ciągu godziny przelatujesz z Kolonii do Paryża, a w ciągu kilku godzin do Rzymu. Przykro mi, nie chcę być Kassandra, jednak...

- U nas wygląda to inaczej - przerwała jej Lotta.

- Holendrzy... tak... ci *Pfeffersäcke*¹! - Anna podskoczyła jak sprężyna. - Wy inaczej patrzycie na obcokrajowców, ponieważ już o wiele wcześniej uprawialiście handel światowy. Ale Niemcy, czy zastanawiałaś się kiedykolwiek nad tym, jakim narodem jesteśmy? Zwykły człowiek zawsze był niczym, nigdy niczego nie posiadał. Nie miał żadnej możliwości, aby żyć w przyzwoity sposób. A jeśli przez przypadek kiedyś coś miał, nadchodziła wojna i znowu wszystko tracił. Tak ciągnęło się przez wiele stuleci.

- W jaki więc sposób Prusacy stali się tak dumni? - Lotta podjęła wysiłek, aby wbrew zmęczeniu zachować przytomność umysłu.

- Jeśli niczego nie posiadasz i jesteś nikim, potrzebujesz czegoś innego, z czego możesz być dumnym. Hitler sprytnie to wykorzystał. Zwykły człowiek otrzymał funkcję, rangę, tytuł: strażnik dzielnicy, przywódca grupy, przywódca okręgu. Dzięki temu mogli rozkazywać, mogli zaspokoić swoją potrzebę znaczenia.

Przyniesiono kawę. Lotta odetchnęła. Pożądliwie podniosła do ust filiżankę. Anna spojrzała na nią, śmiejąc się z przekąsem.

- Ach, ci Holendrzy z ich filiżanką kawy. Od kiedy sprowadzili z kolonii pierwsze ziarenko kawy, gotowi są oddać za nią wszystko.

Lotta zareagowała atakiem.

- Czy nigdy więcej nie odczuwałaś wobec Hitlera odrobiny sympatii?

¹ (niem.) - dosł. worki pieprzu

- Sympatii? *Meine Liebe!* Uważałam go za odrażającą postać. Ten generalski głos: *Vórrr Vierrrrzehn Járrren! Die Schande von Verrrsáilles!*¹. Nie miałam wobec niego żadnych uczuć. Byłam porządnym dzieckiem kościoła katolickiego i wierzyłam w to, co do mnie mówił pastor, ponieważ był dla mnie miły. To bardzo proste. A jednak wielu porządnym katolików dało się w końcu uwieść. Goebbels, który sam został wykształcony przez jezuitów, w wyrafinowany sposób przejął tradycyjne, silnie zakorzenione w ludziach wartości katolickie i wprowadził je do faszystowskiej propagandy. Sławiono w niej czystość niemieckiego narodu. W sprawy dotyczące seksu Niemiec się nie wdawał, z wyjątkiem sytuacji, gdy wybrał już kobietę: oczywiście prawdziwą Niemkę, która nie paliła, nie piła, nie malowała się i nie miała pozamałżeńskich dzieci. Pobierali się ze sobą i mieli dwanaścioro dzieci, ofiarowanych Führerowi. Te ideały wbijano ludziom do głowy.

Lotta westchnęła, wpatrując się w swoją pustą filiżankę.

- Dlaczego wzdychasz? - spytała Anna.

- To dla mnie nieco zbyt wiele, Anno.

Anna otworzyła usta i z powrotem je zamknęła. Uświadomiła sobie, że najchętniej mówi sama, że pragnie wszystko, wszystko wyjaśnić, zrzucić z siebie nieskończoną odpowiedzialność. Wiedziała w zarysie, co przeżywali w czasie wojny Holendrzy. Niemcy zostali aż do bólu poinformowani o losach mieszkańców zajętych przez nich obszarów. Od nich jednak żądano, aby milczeli na temat tego, co podczas dwunastoletniej tyranii wyrządzono im samym: jaki powód do skarg miał agresor, sam przecież tego chciał.

Przywołała się do porządku.

- Jeśli daję się ponieść za daleko, musisz mnie zastopować, Lotto. Ojciec też to kiedyś robił, pamiętasz? Zatykał palcami uszy i krzyczał: „*Ruhe, Anna. Bitte sei ruhig!*”²...

Lotta nie pamiętała tego w najmniejszym stopniu. Za każdym razem, gdy próbowała wyobrazić sobie swojego rodzzonego ojca, przebijał go obraz jej ojca holenderskiego, już z powodu ich zewnętrznego podobieństwa - dominujący, nie do wytarcia. Kawa zaczęła działać, ożywiła się na nowo. Anna powinna tylko nieco się opanować. Koniec z polityką, teraz nadeszła jej kolej.

¹ (niem.) - Na czternaście lat! Hańba wersalska!

² (niem.) - Spokój, Anno. Proszę, uspokój się!

8.

Siedziały na porządnie zagrabionym żwirze, zapach ciemnoczerwonej róży nabierał intensywności w ciepłe letniego wieczoru. Lotta przyglądała się coraz bardziej ciemniejącemu skrajowi lasu; jej matka kołysała się lekko w rytm dźwięków koncertu skrzypcowego g-moll Brucha, które wypływały na zewnątrz przez otwarte okno, nic nie tracąc ze swojej siły. Naprzeciw nich siedzieli dwaj melomani, przybyli, aby podziwiać poziom odtwarzania dźwięku. Sammy Goldschmidt, flecista z filharmonicznej orkiestry radiowej, słuchał z zamkniętymi oczyma, Ernst Goudriaan, studiujący lutnictwo w Utrechcie, oparł brodę na czubkach palców. Gospodarz, niewidoczny, obsługiwał za kulisami swoją aparaturę. Po zakończeniu koncertu wyszedł na zewnątrz, aby zaoferować samego siebie i z czarującą skromnością zbagatelizować ich najwyższe wyrazy uznania. W tym samym momencie w lesie, który teraz stał się jedną, nieprzeniknioną całością, zaczął śpiewać słowik.

- Pragnie współzawodniczyć z Bruchem - zauważył Ernst Goudriaan. Ze zdumieniem słuchali tajemniczego solowego śpiewu - dźwięcznego nocnego wiwatu, przeznaczonego nie dla wyobrażonej publiczności, lecz wyłącznie dla własnej przyjemności. Ojciec Lotty zafascynowany odgrywaną w głębi lasu na nienagannym urządzeniu płytą, usiadł na skraju krzesła, wychylił dwa kieliszki jałowcówki i potrząsnął głową: cóż to za rzadkość, taki dźwięk! Następnego wieczoru przedzierał się jak złodziej przez las, taszcząc ze sobą swój sprzęt nagraniowy i zajmując strategiczne pozycje, jednak słowik odwołał przedstawienie. Przedsięwzięcie wymagało wiele cierpliwości. Wieczór za wieczorem z niezłomnym uporem polował na głos słowika, aż pewnej nocy cud powtórzył się tuż nad jego głową i mógł na wieki zarejestrować go na płycie gramofonowej. Z tym trofeum z polowania udał się do radia. „Mamy dla słuchaczy niespodziankę”: przerwano nadawanie programu, aby wypuścić w eter, niemal na żywo, śpiew słowika.

Dlaczego nie nagrywa mojego głosu, myślała Lotta. Równie dokładnie jak matka śledziła jej dokonania - kiedykolwiek chór występował, zawsze się tam pojawiała, natychmiast rozpoznawalna między tysiącem obcych głów dzięki rudemu połyskowi w upiętych włosach - w równym stopniu jej ojciec okazywał roztargnienie, gdy śpiewała w radiu. Ku wielkiej irytacji wszystkich, zaczynał wówczas bezmyślnie kręcić gałkami, tak jakby coś szwankowało w odbiorze. Czy nie mógł znieść, że nie jest jedynym członkiem rodziny, który wnosi do domu muzykę? Czy też powodował to fakt, że swojej muzykalności

nie odziedziczyła po nim? Niejasna tęsknota sprawiała, że pojawiał się przed nią mgliście jej rodzony ojciec, tak jakby spoglądała na niego przez zamazaną szybę. Miała ochotę zetrzeć z niej parę wodną, aby ujrzeć go takiego, jakim był naprawdę i rozbić kokon ciszy po to, by usłyszeć jego głos, tak jak brzmiał w rzeczywistości. Przez wszystkie te lata pozostawał w niej w uśpieniu - teraz jednak docierało do niej poczucie jego nieodwołalnej nieobecności, coś negatywnego, absolutne nic. Z Anną było inaczej. Lotta pamiętała ją przede wszystkim w szybkim następstwie ruchów - odgłos szybkich kroków na kamiennej podłodze, nieustanne podskoki, silny głos, pulchne ciało, które na środku olbrzymiego materaca dopasowywało się precyzyjnie do jej własnego ciała. Anna. Nielegalna myśl, potajemnie pielęgnowane uczucie. Od Anny oddzielała ją nie tylko granica, nie tylko odległość, lecz przede wszystkim czas, jaki upłynął, oraz nieprzeniknione stosunki rodzinne.

Anna jednak żyła, nawet jeśli wiadomość tę przyniósł jedynie ośmiolatek Bram Frinkel, przeniesiony z Berlina do Holandii w połowie roku szkolnego. Koen przyprowadził go po szkole do domu - piłka nożna nie znała barier językowych. Lotta zaczęła z nim rozmawiać w jego własnym języku; słowa pojawiały się same, jakby nigdy nie zostały odłożone na bok. Była dla niego enklawą kraju rodzinnego - tym samym on stał się dla niej. Lekkim tonem opowiedział, dlaczego jego rodzice opuścili ojczyznę: w Niemczech nie było już miejsca dla Żydów. Jego ojciec, skrzypek, mógł w Holandii natychmiast podjąć pracę. Lotta uczyła go wymawiać *een scheve schaats rijden*¹; wykrzywił się przy niemożliwej głosce „g”² i dziwacznym „ij”³. Koen reagował na płynną niemczyznę swojej siostry ze zdziwieniem i podejrzliwością. Podczas jej pogaduszki z Bramem obrażony kopał samotnie piłkę kilka metrów dalej.

Wydarzyło się coś, co powszechnie uważano za niemożliwe: matka Lotty, ta promieniująca, ta niezniszczalna, zapadła na chorobę, której nie można było skwitować przy pomocy uspokajającej diagnozy stwierdzającej grypę lub przeziębienie. Pierwszym symptomem tej choroby był fakt, że wypędziła męża z sypialni. Od tej pory sypiał w miejscu pracy na zaimprovizowanym łóżku, otoczony zapachem lutowania i krótkich snów, a w ciągu dnia poruszał się po domu z taką wściekłością, że bladły przy niej przejawy jego najgorszych humorów z przeszłości. Dzieci słyszały przez sufit potok zaciekłych oskarżeń pod adresem ojca, wydobywający się z jej łóżka stojącego przy trzyczęściowym, łukowatym oknie z widokiem na rododendrony, łąkę, rów z wodą i skraj lasu. Lekarz domowy wszedł po

¹ (niderl.) - źle się prowadzić

² głoska „g” wymawiana jest w jęz. niderlandzkim jak gardłowe „h”

³ „ij” to głoska, której wymowa sprawia cudzoziemcom wiele kłopotów

schodach z opuszczoną głową i tak samo z nich zszedł. Wydawało się, że nawet jemu grozi załamanie się pod ciężarem żywiołu, który go zaatakował na pierwszym piętrze. Opierając się na stole jadalnym w poczuciu klęski, córki spekulowały na temat natury dziwnej choroby, nie uświadamiając sobie, że dopiero wiele lat później, gdy stopniowo usunięte zostaną wszelkie tabu, będą w stanie zrozumieć, co powodowało ich matkę.

Choroba zmanifestowała się najpierw okazywaniem podejrzliwości wobec męża, który zaczął coraz później wracać ze swoich wypraw do Amsterdamu. Pewnego razu postanowiła go śledzić ze swoją przyjaciółką - mocno umalowana, ubrana w modny płaszcz z podniesionym kołnierzem i kapelusz w stylu Poli Negri. Zwróciły się do niego zmienionym głosem, w dialekcie amsterdamskim. Pod latarnią uliczną, w cieniu rzucanym przez kapelusze nie rozpoznał ich. Kiedy z przerażeniem uświadomiły sobie, że wcale nie jak debiutant ma zamiar zareagować na ich zachęty, zszokowane odwróciły się na pięcie, biorąc się pod rękę i zostawiły go zamienionego w słup soli. Kolejną fazę choroby przyniósł ze stolicy do domu i przeniósł na żonę. Był to symptom najbardziej uchwytny, lekarz domowy był w stanie zwalczać go za pomocą zastrzyków. Następnie ich matka zapadła w stan głębokiej depresji, po czym nastąpiły wybuchy wściekłości - z perspektywy czasu okazało się, że faza ta poprzedzała proces wyzdrowienia, który chwyciła w swoje ręce w nieortodoksyjny sposób.

Gdy córki jak naiwne gąski naradzały się przy stole, nie miały o tym wszystkim bladego pojęcia. Ich uświadomienie seksualne było minimalne; można je było podsumować niefrasobliwym mottem matki: natura musi iść swoim torem. Jednak ta natura, co po każdej kłótni od nowa rzucała ją w ramiona tego, kto był przyczyną jej kłopotów, budziła ich poważne podejrzenia. Sama myśl o pozostawianiu przez całe życie z mężczyzną podobnym do ich ojca była tak stuprocentowo pewnym środkiem antykoncepcyjnym, że żadna z nich *had ever been kissed*¹. Dotyczyło to nawet Mies, w jej dopasowanych garsonkach i z pełnymi, zmysłowymi ustami. Ich konsternację budził fakt, że jednocześnie matka nieświadomie buntowała się przeciw temu narzuconemu przez naturę losowi, każąc córkom czytać literaturę o zacięciu społecznym - o bezradnych służących, co zaszły w ciążę z panem domu; o mieszkających w wilgotnych suterrenach matkach dwanaściorga dzieci, które co wieczór od nowa zmuszone były bronić się przed razami pijanego męża; o czarnoskórych niewolnicach wykorzystywanych przez właścicieli, którzy kupili je za kilka srebrnych monet. Kobiety Emila Zoli, Dostojewskiego, Harriet Beecher Stowe. Jeśli tak wyglądało „pełne życie”, w którym natura szła swoim torem, jej córki na tym etapie, siedząc tak przy stole, nie miały

¹ (ang.) - nigdy jej jeszcze nikt nie pocałował

ochoty brać w tym udziału. Pochylały więc nieśmiało głowy, gdy z góry nadchodziły napady wściekłości, podobne do burzy - wobec niej również były bezbronne.

Nagle na górze zrobiło się cicho. Bez bliższych wyjaśnień ich matka wstała z łóżka, ubrała się starannie i w milczeniu opuściła dom z nieobecnym wyrazem twarzy. Córki przyglądały się ze zdziwieniem, jak zachowując dobrze znaną postawę, wyprostowana jak świeca zniknęła na swojej gazeli w padającej mżawce. Po południu dostarczono do domu półtorametrowy obraz, impresjonistyczne odzwierciedlenie pejzażu z wodą, do którego ich matka miała słabość: czarne, groźne chmury na tle srebrzystego nieba, odbijające się w gładkiej tafli jeziora otoczonego trzcinami i pochylonymi wierzbami. Wkrótce potem przybyła ta, która nabyła ten obraz od dobrze zapowiadającego się malarza i musiała teraz za to w domu odpokutować finansowo - w pełni uleczona, z policzkami zarumienionymi żądzą zemsty. Obraz zajął honorowe miejsce w pokoju dziennym, ponad aparaturą dźwiękową jej męża, po cichu z nią konkurując. W bezpieczniejszych czasach ojciec z pewnością wywołałby wojnę z powodu ekstrawaganckiego nabytku - teraz jednak z kiepsko odgrywanym entuzjazmem uchwycił swoją szansę, aby przypieczętować nieoczekiwane wyzdrowienie. W niecały rok potem przyszedł na świat owoc przywróconego pokoju: Bart.

Wobec niemożności zrozumienia tych wszystkich emocji, Lotta szukała kompensacji w muzyce. Istniała w niej struktura: sposób, w jaki uporządkowane były nuty za pomocą metrum, spełniając swoje funkcje w ramach wielkiej całości, dzięki wyrafinowanej wspólnej grze stanowiąc bodziec dla ducha. Po zdaniu egzaminów końcowych z podwójnym zapałem zagłębiła się w naukę śpiewu i harmonii. To, że pianino stało w tym samym pokoju, co gramofon, było uciążliwe. Dochodziło do wymownych sytuacji: podczas jej ćwiczeń ojciec wchodził do pokoju i z miną niewiniątka nastawiał płytę lub zdejmował z półki książkę, upominając ją, aby była cicho, ponieważ pragnie się skoncentrować. Siedziała przy pianinie jak sparaliżowana, zimny pot spływał jej po krzyżu. Nie potrafiła już oddychać, gdy znajdował się w tym samym pomieszczeniu - zużywał cały tlen. Poddawała się tej demonstracji jego siły z zamkniętymi oczyma. Pod jej powiekami nabierał kształtu idylliczny świat, w którym cała rodzina, przy akompaniamencie śpiewu słowika, posuwała się w żałobnych strojach za jego trumną.

W dniu czwartych urodzin jej najmłodszej siostrzyczki wydawało się, że skrywane marzenie się urzeczywistni. Ojciec miał po południu odebrać zamówienie od cukiernika, w drodze z pracy do domu. Jego harley był w naprawie, poprosił więc kolegę, równie zapalonego motocyklistę, aby go podrzucił do domu. Opuścił cukiernię z pudłem zawierającym tort w prawej ręce oraz torbą ciastek śmietankowych w lewej. Ostrożnie wsunął

się na siedzenie za kolegą. Ten, z powodu wiezionych ciast, zbliżył się do skrzyżowania, które mieli pokonać, w ślimaczym tempie. Z lewej strony z pełną prędkością nadjechał pochylony nisko nad kierownicą motocyklista, który uświadomił sobie, że powinien udzielić pierwszeństwa dopiero wówczas, gdy ojciec Lotty wylądował na ziemi w dziwnej pozycji, leżąc nieruchomo z głową na krawężniku między torbą pokruszonych ciastek, a zgniecionym pudłem z tortem. Z kącika jego ust wypływał strumyczek krwi.

W karetce pogotowia odzyskał przytomność.

- Dokąd mnie zabieracie? - dopytywał się podejrzliwie.

- Do szpitala.

- Nie, nie - zaprotestował, wyprostowując się - chcę, abyście mnie zabrali do domu, nie ma lepszej pielęgniarki od mojej żony.

Spełniono jego prośbę. Wniesiono go na noszach do środka.

- Proszę uważać na głowę - ostrzegł przy nadłamanym stopniu - tu jest naprawdę nisko.

Jego żona otworzyła trzęsącą się ręką drzwi sypialni. Podczas gdy telefonowała na dole po lekarza domowego, pielęgniarze ułożyli go troskliwie w łóżku. Gdy wychodzili, podziękował im uprzejmie, kiedy jednak doktor spytał go podczas badania, w jakich okolicznościach nastąpił wypadek, wymamrotał ze zdumieniem:

- Wypadek? Czy wydarzył się jakiś wypadek?

- Miał pan wypadek - stwierdził doktor uroczyście - przywieziono pana przed chwilą do domu.

- Kogo? Mnie? - Z trudem zmarszczył czoło. - Gdzie jest moja żona?

- Stoi tu koło mnie.

Podczas gdy dzieci wyczekiwały z napięciem na dole pod kolorowymi serpentynami, a szklana taca do tortu na środku stołu pozostawała demonstracyjnie pusta, doktor z wahaniem postawił diagnozę: silny wstrząs mózgu i złamane żebra. Dla uzyskania pewności wezwał specjalistę. Ten stwierdził zimnym tonem, że nastąpiło poważne złamanie podstawy czaszki, wobec którego istnieją obawy, że na pół roku zduszone zostaną w domu wszelkie oznaki życia.

- Musimy po prostu czekać - powiedział - pozostaje jedynie oczekiwanie.

Marie i Jet zerwały zawieszony serpentyny, w niemym przeświadczeniu, że każda minuta, podczas której wisiały jeszcze pod sufitem, mogłaby wyrzucić na ojca niekorzystny wpływ. W rogu ogołoconego pokoju Eefje apatycznie skubała swoją nową lalkę.

Ojciec musiał leżeć płasko. Poszarzały, bez ruchu, z zamkniętymi oczyma, leżał w

przyciemnionym pokoju, pachnącym środkami odkażającymi i wodą kolońską - tak jakby już znajdował się w trumnie. Wprawdzie nie umarł jeszcze, trudno go jednak było uznać za żywego. Przez całą dobę żona zwilżała mu czoło, skronie i nadgarstki wilgotną rękawicą kąpielową i wprowadzała z trudem łyżeczką letnią wodę między spierzchnięte wargi. Jego oddech szurgotał wzdłuż połamanych żeber, od czasu do czasu rozlegał się jęk pochodzący ze smutnego kraju niczyjego, do którego przenosił się na srebrnych skrzydłach morfiny. Najmłodsze dzieci zostały umieszczone u siostry matki: warunkiem wyzdrowienia była absolutna cisza. Wszystkie prace domowe wykonywano z niezwykłą delikatnością - skradali się cicho, mówili szeptem, przerażał ich odgłos własnego oddechu. Z powodu radykalnej nieobecności jakichkolwiek dźwięków i ostentacyjnego milczenia Beethovena i Bacha, sopranów i barytonów, altów i basów, wydawało się, że mimo woli wspólnie zaprosili do domu śmierć, dzięki stworzeniu atmosfery, w której mogła się z powodzeniem rozwinąć. Słyszeli jej szmer za zamkniętymi drzwiami.

Kiedy w czuwaniu nad nim przychodziła kolej na Lotte, spoglądała na zarost, który na podobieństwo pleśni pokrywał jego zapadnięte policzki i ogarniał ją strach, że to siła jej wyobraźni spowodowała, iż znalazł się w takim stanie. Żałowała mściwych fantazji, które uprzednio w niej wywoływał. Czy w jego zachowaniu kryły się złośliwe zamiary, czy też wpływało ono z jego zwykłego, dobrze znanego egoizmu? Wierzyła zawzięcie, że przeżyje, w przeciwnym wypadku musiałaby bowiem od tej pory stosować wobec swoich myśli ostrą cenzurę. Poprzez jej poczucie winy przebijał się ponadto obraz rodzzonego ojca, który leżał otoczony przez członków rodziny, oczekując śmierci. Przez wszystkie te lata udało jej się ukryć ten obraz głęboko, jednak wskutek rzucającego się w oczy podobieństwa znów wyłonił się na powierzchnię, razem z wiążącym się z nim poczuciem wyobcowania, które napawało ją strachem. Tak więc czwanie stało się systematycznie powracającą formą samoudręki, ponieważ za każdym razem wywoływało w niej całą tę skalę uczuć.

Po kilku godzinach zastępowała ją znowu matka, która jak sfinks czuwała przy nim przez pozostałą część doby. Czasem pochylała się nad nim, aby przytykając ucho do jego ust skontrolować, czy jeszcze oddycha.

- Nie wymkniesz mi się - szeptała - mój ty stary nicponiu.

Nie zaniedbywała siebie. Systematycznie zmieniała sukienki, aby w rzadkich chwilach, gdy otwierał oczy, mógł ujrzeć przy łóżku atrakcyjną kobietę. Przez szparę w zasłonach widziała wschody i zachody słońca, unoszącą się nad łąką mgłę, słyszała gruchanie gołębi. W nocy widziała gwiazdy; nie mogła zapalić światła, aby czytać książkę - możliwe, że była to jej największa ofiara.

A jednak mimo niezłomnej obecności nie udało jej się zapobiec pojawieniu się po trzech tygodniach obustronnego zapalenia płuc połączonego z wilgotnym zapaleniem opłucnej. Lekarz domowy był kiepskim aktorem: ukrywanie faktu, że w każdej chwili może nastąpić koniec, sprawiało mu widoczną trudność. Zorganizował pielęgniarkę na noc, która za pomocą wilgotnych kompresów walczyła z gwałtownymi skokami temperatury. W nocy jedynym odgłosem w domu były majaczenia chorobowe. Pielęgniarka okładała mu głowę woreczkami z lodem.

- Nie - zaprotestował kiedyś, wyprostowując się gwałtownie ze snu z szeroko otwartymi oczyma; spastycznymi ruchami rąk zmiótł z siebie woreczki z lodem - nie chcę tej korony! Nie chcę zostać królem Anglii, nie chcę, nie chcę!

Pielęgniarka zgarnęła woreczki z jego poduszki i posługując się pewną przemocą, pchnęła go z powrotem.

- Pan musi leżeć płasko - upomniała go.

- Nie chcę tej korony - zawodził - chcę pani Simpson! - Buntowniczo zanurzył się znów głęboko w swój rozgorączkowany sen.

Gdy kryzys został zażegnany, otworzył oczy i z absolutnym spokojem zaczął przyglądać się twarzy obcej kobiety, otoczonej czupryną prostych, sterczących włosów. W odpowiedzi rzuciła mu spod krzaczastych brwi gniewne spojrzenie - jej normalny wyraz twarzy, który nie oznaczał niczego szczególnego.

- Pani jest podobna jak dwie krople wody do Beethovena - stwierdził z podziwem.

- Dobrze pan to zauważył - przyznała - rzeczywiście jest członkiem mojej rodziny.

Przez chwilę mogli odetchnąć spokojnie, aż do czasu, gdy w jego nodze pojawił się krwiak, który zakomunikował kolejną możliwość fatalnych następstw. Doktor wpadł w pułapkę przeciwstawnych metod leczenia: ze względu na trombocytozę pacjent powinien siedzieć wyprostowany, podczas gdy przy złamaniu podstawy czaszki sprawą decydującą było, aby leżał płasko.

Wskutek zakazu odwiedzin chorego dom był odcięty od świata, stanowił wyspę, w której centrum znajdowało się nieszczęsne, udręczone ciało. Aby uciec przed tą próżnią, tym brakiem normalnej żywotności, Lotta powoli przeszła przez ogród i wylądowała na jego tyłach, w sadzie. Przesunęła dłonią po łuszczącej się farbie, pokrywającej domek z czasów jej gruźlicy, wyrwała z ziemi kawałek mchu, złamała gałązkę orzecha, w którego silnie rozrośniętej koronie uwidaczniało się czternaście minionych lat. Mechanizm obrotowy domku zardzewiał na dobre, wskutek czego jego otwarta strona przez cały czas była skierowana na wschód. Wschód... Usiadła na zbutwiałym stołku kuchennym i próbowała wyobrazić sobie

nieznaną Annę, anno 1936. Nie w wyraźnie określonej, fizycznej formie, lecz jako ośrodek energii, osobę pełną zaraźliwej pogody ducha i żywotności; Anna żyła. Wyrzutami sumienia i poczuciem wstydu napełniło ją to, że przez tyle czasu tak rzadko o niej myślała, jakby Anna była sprawą z góry przegraną. Próbowwała się wczuć w duszę dziecka z chorobą płuc, które w rozgorączkowanym zdziwieniu rozglądało się wokół, leżąc tutaj w łóżku. To, na co wówczas była zbyt młoda, zbyt chora, zbyt uzależniona, wydawało się teraz śmiesznie proste: wsiąść do pociągu, pojechać z powrotem do Kolonii. Snuła fantazje na temat ponownego spotkania - już samo myślenie na temat Anny było łagodnym antidotum, neutralizującym nieustanny flirt jej ojca ze śmiercią.

W niedzielę zrobiło mu się nagle duszno. Leżał z szeroko otwartymi ustami, chwytając powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Żona posadziła go prosto, oparła o poduszki, dała mu wody, odpięła piżamę - w odpowiedzi chwycił się za serce. Zaalarmowano doktora. Nieznajomy lekarz, pełniący dyżur w czasie weekendu, wbił długą igłę prosto w serce i całkowicie opróżnił zawartość strzykawki.

- Ostatnia próba ratunku - wyszeptał. - Niech pani przygotuje się na najgorsze.

Nastąpiły godziny wyczekiwania. Zakrawało na cud, że po tych wszystkich miesiącach nie wyczerpały się jeszcze jej siły. Atmosfera w domu była tak przesiąknięta pytaniem: czy to przetrzyma, czy też nie, że Lotta wybrała się do lasu z obawy przed tym, iż jakaś jej niechciana myśl, która wymknęła się cenzurze, mogłaby z tak bliska w ostatecznym momencie stać się dla niego fatalna. Pod wieczór zaczął oddychać regularnie. Przelknął łyk wody i poprosił żonę, aby nastawiła na dole *Requiem* Mozarta - bardzo głośno, otwierając wszystkie drzwi. Drżącą ręką opuściła igłę na płytę. Rzewne tony uniosły się schodami na górę. Jet wybuchnęła płaczem.

- Bądź zadowolona - rzekła matka - że nie słuchasz tej muzyki na jego pogrzebie, lecz że on sam może się teraz nią cieszyć.

Po tej apoteozie zaczął się powolny proces zdrowienia: powracał do życia w wielkim stylu. Zachowując nadzwyczajną ostrożność, zaczęto pozwalać na odwiedziny.

- Gdzież podziewa się Hans Koning - skarżył się, wciąż jeszcze wykazując oznaki słabości.

- Na pewno się pojawi - uspokajała go żona.

- Wie chyba, jak sprawy wyglądają?

- Oczywiście.

Jednak profesor nie dawał znaku życia. O ile przed wypadkiem był wiernym gościem, czyniąc domowi zaszczyt swoimi cotygodniowymi wizytami, o tyle równie ostentacyjna była

teraz jego nieobecność. Matka Lotty zadzwoniła do niego. Uprzejmie reagując na jej wezwanie, pojawił się na progu domu z zafrasowaną twarzą. Śmignął na górę, uderzył się w głowę na pękniętym stopniu i utkwiał z zażenowaniem w nogach łóżka, nie podawszy nawet ręki choremu.

- Jak się czujesz? - zapytał, pokaszując sucho i zasłaniając się olbrzymią, mięsistą dłonią, którą miał zamiar odeprzeć wszelkie obiekcje.

Chory nie ukrywał swojej radości. Sam fakt obecności najbliższego przyjaciela i pokrewnej duszy wywołał na jego policzkach więcej koloru niż wszyscy uprzedni goście razem wzięci.

- Leżę tak tutaj... - westchnął - uwierz mi, że wiele bym dał za dawny sobotni wieczór...

Hans Koning spojrzał na niego sztywno.

- Posłuchaj, mój drogi, nie czuję się dobrze w pokoju, w którym jest chora osoba... - Demonstracyjnie rozejrzał się z udreką wokół, jakby na próżno usiłował dzielnie się trzymać w zatrutej atmosferze. - Naprawdę, nie mogę tego zdzierżyć nawet przez minutę!

- Ależ... - wykrztusił chory z niedowierzaniem.

Profesor skierował się w stronę drzwi.

- Daj mi znać, jak tylko wrócisz do formy - odwrócił się na pięcie z ręką na kłamce - zdrowiej szybko.

Wierny swojej alergii, w ciągu kolejnych miesięcy wolnego procesu powrotu do zdrowia nie pokazał się więcej. Chory musiał walczyć z atakami przygnębienia. Dlaczego jego najlepszy przyjaciel nie stanął na wysokości zadania właśnie teraz, gdy odczuwał palącą potrzebę jego towarzystwa, aby na nowo wyostrzyć nadwyreżony rozum i pobudzić fantazję, tak by znowu móc brawurowo wyrażać swoje dawne opinie? Nieobecność profesora odbierał jako osobistą porażkę.

- Kim właściwie jestem - zapytywał się, zapadnięty głęboko w poduszki. - Jestem nikim, czegoś dokonałem, niczego, świat nie darzy mnie poważaniem w najmniejszym stopniu, dlaczego po prostu nie umarłem?

Żona pospiesznie zapewniała go o jego doskonałości, rozwodząc się szeroko nad osiągnięciami, przemilczając niemile cechy osobowości. Tak gorąco pragnęła, aby wrócił do dawnej formy, że sama w to święcie uwierzyła. Nagle, wobec tak wielu pochlebnych słów, przestał stawiać opór.

- Jesteś wspaniałą kobietą - szeptał pocieszony, zapadając w sen.

Gdy pewnego dnia zszedł ze schodów noga za nogą, i wszedł do pokoju dziennego,

aby - odczuwając zawrót głowy spowodowany wysiłkiem - wypić filiżankę kawy w pośpiesznie przysuniętym do kominka fotelu, było to wzruszające, wykraczające poza wszelkie granice wydarzenie, którego żadne z nich nie mogło zapomnieć. Kolejnym kamieniem milowym stała się ławka w ogrodzie. Tak po troszku zdobywał teren, aż pewnego dnia, gdy był w domu sam, stał się w tej żądzy podbojów zbyt ambitny. Może wyrwała go z domu nieobecność żony, może nie był w stanie dłużej się opierać tłumionej przez wiele miesięcy tęsknocie za wymianą uduchowionych myśli. Poddając się lekkomyślnemu uniesieniu, przeszedł chwiejnym krokiem przez kładkę na rowie z wodą i powoli, zachowując wielką koncentrację, zagłębił się w las - w następstwie trombocytozy powłóczył nieco jedną nogą, a jego serce łomotało straszliwie. Kiedy doszedł do domu rodziny Koningów po drugiej stronie lasu, z czystego wyczerpania objął jedną z dwóch ciemnozielonych kolumn, na których spoczywał daszek osłaniający drzwi wejściowe. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak długo tkwił w tej pozycji, walcząc z brakiem oddechu i przyspieszonym biciem serca, jak również z obawą, aby nie znalazł go w tym stanie profesor. Dopiero kiedy nieco doszedł do siebie, naciśnął dzwonek. Otworzył drzwi sam jego przyjaciel, w trzyczęściowym garniturze, ze srebrnym łańcuszkiem od zegarka na piersi, jak girlandą. Jego broda podskoczyła z przerażenia do góry.

- Wielkie nieba, co tutaj robisz? Jesteś ostatnią osobą, której bym się tu spodziewał. Przykro mi... - przyciszył głos, jakby miał zamiar wtajemniczyć rozmówcę w intymny sekret - spodziewamy się właśnie wizyty, mogą tu być lada moment. Jak mogłeś wybrać tak nieodpowiednią chwilę? Wejdz no do środka, będziesz mógł wyjść drzwiami kuchennymi.

Utykając, ojciec Lotty przeszedł przez korytarz i opadł na krzesło kuchenne.

- Chwileczkę tylko - wysapał - muszę tylko... czy mogę... czy mógłbym dostać szklankę wody?

- Rozejrzę się... - Profesor zaczął otwierać po kolei wszystkie szafki kuchenne, zamykając z trzaskiem drzwiczki.

- O Boże, gdzie ta kobieta trzyma szklanki... może być i filiżanka.

Nieproszony gość wypił swoją wodę. Profesor otworzył zamasyście drzwi kuchenne.

- Następnym razem lepiej, chłopie, o Jezu, ależ oplakanie wyglądasz.

Gdy matka Lotty usłyszała odgłos zwirowania, podniosła oczy. Ujrzała swojego męża, o którym myślała, że leży w łóżku, jak utykając posuwa się ścieżką ogrodową, szukając po drodze oparcia przy gruszy; pustym wzrokiem wpatrywał się w dom, jakby zauważył tam coś straszliwego. Gdy przyjrzała mu się lepiej, zobaczyła, że płacze. Tego samego wieczoru profesor listownie wypowiedział swoją przyjaźń. Przy pomocy drapiącej po papierze

listowym stalówki nazwała go skrajnym egoistą, którego ludzkie uczucia zniknęły bez śladu na progu pokoiów z chorymi ludźmi oraz na progu jego własnego domu.

- To uderzające, że właśnie w tym okresie fantazjowałeś na temat podróży do Kolonii.

- Dlaczego?

- Ponieważ również we mnie chęć udania się do Kolonii zaczęła w tym czasie coraz silniej dochodzić do głosu.

Anna osiągnęła wiek, w jakim jej ojciec zaczął się dusić w symbiotycznym świecie między kościołem a rzeką, będącym nie więcej niż zgrupowaniem gospodarstw oraz ich mieszkańców, którzy wzajemnie byli świadkami swoich narodzin i śmierci. Również w jej wypadku znudzenie umysłowe zamiast doprowadzić do fatalistycznego pogodzenia się z losem, wywołało w niej uczucie buntu. Pewnego dnia pociągnęła Jacobsmeyera za rękaw sutanny.

- W jaki sposób mogę się stąd kiedykolwiek wyrwać? - jej głos zaburzył zastołą ciszę panującą w kościele św. Landolinusa. - Przerzucanie świńskiego nawozu nie jest przecież moim powołaniem na całe życie?

Jacobsmeyer z rozwąga skinął głową.

- Może mam coś dla ciebie... - Poglądził się w zamyśleniu po brodzie. - Arcybiskup z Paderborn poszukuje młodej kobiety, która mogłaby na dłuższą metę zastąpić jego podstarzałą gospodynię. Pragnie ją wyszkolić w instytucie w Kolonii, w którym córki szczęśliwych rodzin uczą się, jak prowadzić gospodarstwo domowe ze służącymi obu płci. Szkoła dla dam... - zaśmiał się z ironią.

Wuj Heinrich nie sprzeciwiał się temu. Ciotce Marcie trudniej było potraktować z godnością odejście bezpłatnej siły roboczej.

- Nie wiesz, na co się porywasz - rzekła szyderczo, drżąc na myśl o wszystkich zajęciach domowych, które będzie musiała przejąć. - Nic z tego nie będzie, mogę ci to od razu powiedzieć.

Anna w milczeniu mieszała łyżką zupę; nie miała ochoty dopuścić w ostatniej chwili do wywołania sceny.

- Dlaczego nic nie mówisz? Czujesz się dla nas za dobra? Powiem ci coś: srodze się na tym zawiedziesz. Widzę przed sobą dzień, w którym... - jej głos stał się nagle piskliwy - przyczołgasz się tutaj na kolanach, aby błagać o kromkę chleba. Nie wyobrażaj sobie, że...

Anna westchnęła z rezygnacją.

- Czemu się tak podniecasz - odrzekła zimno, nie podnosząc wzroku sponad garnka zupy. - I tak umrę, sama to przecież zawsze powtarzałaś. Przecież nie osiągnę wieku dwudziestu jeden lat.

Wpisano ją na nowy semestr. Wuj Heinrich zwrócił się do swojego kuzyna w Kolonii z prośbą o udzielenie jej dachu nad głową i polecił krawcowi, aby uszył dla niej kostium na całe życie z niezniszczalnego materiału. Podobnie jak panna młoda przechodzi inicjację jako mężatka w swojej sukni ślubnej z welonem, tak i Anna przeczuwała, że ten kostium przyniesie jej ze sobą zupełnie nowy rodzaj egzystencji. Na kilka dni przed wyjazdem Jacobsmeyer wezwał ją do siebie.

- Muszę ci powiedzieć coś okropnego, Anno, nic z tego nie będzie.

- Jak to, to niemożliwe... - Opadła na jedną z wypucowanych do połysku ławek kościelnych i spojrzała na figurę Matki Boskiej, która nagle wydała jej się pełna samozadowolenia. Nie mogła się już wycofać - swoją dawną egzystencję przekreśliła definitywnie, jedynie tego była absolutnie pewna.

Jacobsmeyer chodził tam i z powrotem wzdłuż ołtarza, pocierając się po policzkach.

- Wiesz co - nagle odwrócił się do niej - nic nie powiemy twojemu wujowi ani ciotce. Ja zapłacę za szkołę. Trzymaj buzię na kłódkę, spakuj walizkę, jedź do Kolonii i zacznij uczęszczać na lekcje.

Pierwszego listopada Anna wsiadła w Paderborn do pociągu. Obok uszytego na wyrost furmańskiego kostiumu miała na sobie szary, filcowy kapelusz z brązowym piórkiem z letniego upierzenia dzikiej gęsi. Jej dobytek znajdował się w kartonowym pudle po margarynie. Pociąg jechał przez lasy iglaste i żółkniejące bory liściaste, przez łąki i zaorane pola. Anna zamknęła oczy i znowu je otworzyła, w nadziei, że zobaczy coś znajomego. Pejzaż przesunął się za oknem w sposób neutralny. Mimo to czuła, że zbliża się do rodzinnego miasta, z którym wiązała ją silna nić; czternaście lat temu pozwoliła ją rozluźnić, teraz jednak - w narzuconym przez pociąg tempie czy czy czy - naciągała od nowa. Kiedy jednak pociąg wtoczył się na stację, opuściło ją uczucie, że znajduje się w drodze do domu. Przerażała ją masywna obecność katedry, tak blisko stacji, z jej spiczastymi wieżami, których karbowane sylwetki wbijały się w antracytowe niebo jak smutne wskazówki. Jeśli nawet w kościele św. Landolinusa trudno było zostać wysłuchanym tam na górze, jakże daremne musiały być błagania ludzkie w tym domu bożym, który przekraczał zwykłe proporcje. Przycisnęła do brzucha kartonowe pudło. A teraz kolej na wuja Franza, rzekła do siebie, aby nie dać się wessać w górę przez niezliczone linie równoległe. Wydobyła z kieszeni kostiumu starannie złożoną kartkę papieru. Gotyckimi literami o niemal kaligraficznym pięknie wuj

Heinrich zapisał na niej nazwę szpitala, w którym jego kuzyn był kierownikiem działu technicznego, odpowiedzialnego za funkcjonowanie budynku. Mijany przechodzień wyjaśnił jej gwarą kolońską, którym tramwajem powinna pojechać. Gdy do niego wsiadła, z trudem zdusiła w sobie chęć pozdrowienia innych i przeszła środkowym przejściem między pasażerami, którzy należeli do tego samego miasta - tak, należeli do tego samego miasta. Nikt jednak nie zwracał na nią uwagi. Z wyrazem rezygnacji wyglądali na zewnątrz, tak jakby to nie oni sami podjęli decyzję, aby jechać przez to miasto o tej porze, tym tramwajem. Wysokie fasady budynków, tłum ludzi, ruch uliczny: zagęszczenie życia w mieście jej dzieciństwa przytłoczyło ją. O ile na wsi wciąż jeszcze pozostawała córką zmarłego w młodym wieku, marnotrawnego syna starego Bamberga, to tutaj, w nadmiernie nasyconej anonimowości, była absolutnie nikim.

Gdy otworzyła ciężkie drzwi prowadzące do szpitala, opanowało ją zapierające dech uczucie, że wkroczyła do miasta w mieście. W obydwu rodzono się i umierano, tylko tutaj w większym skoncentrowaniu. W foyer, na skraju fotela, oczekiwała pojawienia się wuja. Spojrzenia przechodzących osób zatrzymywały się na niej nieco zbyt długo. Wzbudziło to w niej podejrzliwość, spróbowała więc spojrzeć na siebie ich oczyma. Ujrzała osobę w średniowiecznym płaszczu, w kapeluszu strzeleckim z zabawnym piórkiem i z nędznym pudłem na kolanach - rzadki egzemplarz z rodzaju, który w mieście dawno wymarł. Wyglądam pożałowania godnie, stwierdziła. Podszedł do niej mężczyzna w białym zakiecie. Przez chwilę na jego twarzy malowało się pewne zaskoczenie, opanował się jednak natychmiast i jowialnie potrząsnął jej dłonią. Usiłowała przypomnieć go sobie z pogrzebu, w nadziei, że znajdzie w jego twarzy jakiś ślad przeszłości, skoro z Kolonią jej się to nie powiodło. Nie rozpoznała jednak niczego - nie był podobny ani do jej ojca, ani do wuja Heinricha, ani do dziadka. Również jego pogodne usposobienie stanowczo nie było typową cechą rodzinną.

- Czy to cały bagaż? - zapytał, odbierając od niej kartonowe pudło.

Skinęła potakująco głową. Zdjęła żaloszny kapelusik, aby mieć coś w ręce i podążyła za nim, nieśmiało pocierając palcem piórko.

Jego mieszkanie znajdowało się na terenie szpitala. Zostawił Annę pod opieką żony, która powitała ją z niemowłębem na ręku. Gawędząc beztruosko, ciotka Vicki oprowadziła ją po domu. Była pulchna, swoje rudoblond kręcone włosy utrzymywała w porządku przy pomocy grzebyków. Na środku brody miała dołeczek, który czasem nadawał jej wyraz zakłopotania, jakby ktoś ją nieoczekiwanie oszukał, jednak w chwilę później beztruoski uśmiech znów wycierał jej twarz do czysta. Anna chodziła po mieszczańskim mieszkaniu jak

zamroczona. Pokój z politurowanymi meblami: wszystko tylko po to, by w nim siedzieć! Olbrzymia tuba patefonu rozdziawiała się na nią brutalnie. Prawdziwa ubikacja ze spłuczką. Ciepła woda płynąca z kranu. Własna sypialnia: tapeta we wzorki, toaletka z marmurowym blatem i miska do mycia z dzbankiem, szafa na ubrania - których nie posiadała. Drewniana wygodka na tyłach posiadłości, pompa, przy której się myła, strych, na którym spała, ze zjedzoną przez korniki podłogą - wszystko to nagle zostało wyparte do mrocznego obszaru zamieszkałego przez niechciane wspomnienia.

Tego wieczoru wślizgnęła się z zawrotem głowy między nakrochmalone prześcieradła. Choć w ciągu jednego dnia została gwałtownie wtłoczona w inną formę życia, miała uczucie, że bardziej niż kiedykolwiek oddalona jest od miasta, które tkwiło w niej przez te wszystkie lata. Od mikrokosmosu sześciolatki, miasta pod kloszem, w którym życie było nienaruszone i pewne i w którym rozbrzmiewały znajome głosy. Ciotka Vicki wsunęła głowę w drzwi:

- *Schlaf wohl, Anna*¹.

- *Gute Nacht*²... - odpowiedziała z wahaniem. Serdeczność jej wuja i ciotki wprawiała ją w zakłopotanie, jako że przyzwyczajona była do szorstkości i podejrzliwości.

W szkole dla dam była jedyną osobą przybyłą ze wsi. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Nosila sukienki swojej ciotki, a literacki język niemiecki - pojazd, na którym jej ojciec oddalił się od swojej rodziny - zawsze był dla niej czymś ważnym. A jednak rozmowy uczniów rozumiała tylko połowicznie; ich język należał do nieznanego jej świata, dysponującego własnym żargonem: zbliżające się zaręczyny, herbatka tańcząca w niedzielne popołudnie. Dla Anny nie było żadnych herbatek tańczących, istniał natomiast magiczny mrok w pobliskim kinie, który przywoływał z pamięci niejasne wspomnienia sali teatralnej w kasynie. Heinrich George i Zarah Leander z przyklejonymi do skroni lokami i z różą za uchem. *Die grosse Liebe, Heimat, La Habanera*³. Filmy produkowane przez UFA⁴ poprzedzane były *Wochenschau*⁵, obrazy z rzeczywistości nabierały uroku obrazów z marzeń. Na białym ekranie maszerowali rześcy żołnierze. Niemcy znów dysponowały wojskiem, kraj w szybkim tempie starał się wydobyć z kiepskiej koniunktury. Wysyłani przez *Rijksarbeidsdienst*⁶

¹ (niem.) - Śpij dobrze, Anno

² (niem.) - dobranoc

³ Wielka miłość, Ojczyzna, Habanera - tytuły filmów

⁴ znana niemiecka wytwórnia filmowa

⁵ (niem.) - przegląd tygodnia, kronika filmowa

⁶ (niem.) - Narodowa Służba Pracy

zdrowi, atletycznie zbudowani chłopcy osuszali bagna pod budowę lub pomagali w żniwach. Promienne, nieumalowane dziewczęta pomagały w gospodarstwie, prały, czyściły i zajmowały się dziećmi, pełniły funkcję położnych. Młodzi ludzie uśmiechali się bez śladu zmęczenia, mieszkali w obozach i zaczęli dzień od wciągania na maszt flagi oraz odśpiewywania pełną piersią *Die Strassen frei, die Reihen fest geschlossen*¹. W Niemczech działo się dobrze, każdy pomagał z zapałem w odbudowie, skończyły się chaos, nędza, bezrobocie. Znowu pojawiła się struktura - struktura o barwie dojrzałych zbóż i letniego nieba, jasnych włosów i niebieskich oczu. Mimo podejrzliwości w stosunku do sztandarów i marszowych pieśni, mimo jej odrazy wobec wrzeszczącego Austriaka oraz ostrzeżenia, które płynęło z bückebergskiej przygody wuja Heinricha, Anna, razem z wszystkimi siedzącymi tam blisko siebie w intymności ciepłej sali kinowej, dała się porwać temu optymizmowi. Przedstawiane obrazy dawały miłe poczucie czegoś zaufanego. W codziennej rzeczywistości wszystko było w porządku, a oprócz tego zapewniano im natychmiast również film. Ten ogólny rozwój nie dziwił Anny - jej własne życie wykazywało tendencję wznoszącą, więc podążanie w tym kierunku było dla niej czymś naturalnym. Niemcy wygrzebały się z dołka, jej również udało się tego dokonać. Nie była to trzeźwa konstatacja, lecz raczej pewne wrażenie, niezaprzeczalne odczucie wznoszenia się w sposób równoległy. Tabliczka czekolady, której połowę dała jej w czasie seansu ciotka Vicki, była tego najlepszym dowodem: któż mógł wcześniej zająć czekoladę?

A jednak Kolonia ze swoją sięgającą czasów rzymskich historią nie przestawała jej onieśmielać i rozczarowywać. Mocne, okrągłe, ząbkowane wieże, które często mijała, wskazywały jej subtelnie na to, że w porównaniu z pozostającą przez dziewiętnaście stuleci rzymską wieżą na germańskim terytorium, czternaście lat wygnania na skraju Teutońskiego Lasu nie przedstawia sobą niczego specjalnego. A w porównaniu z Renem Lipa była niczym więcej niż rowem wypełnionym wodą. Pewnego niedzielnego popołudnia spacerowała z ciotką i wózkami dziecięcymi po parku, a zimowe słońce przeświecało między pniami drzew, rzucając długie, białe promienie. Wciąż jeszcze trudno jej było tak po prostu nic nie robić przez cały dzień: spacerować bez celu, pochylić się nad zwierciadlaną powierzchnią stawu, wyjąć z wózka niemowlę i wyciągnąć je wysoko w górę, tak aby zaczęło trzepotać na tle niebieskiego nieba. W nagłym uniesieniu powiedziała:

- Przejdźmy się koło kasyna, gdzie ja... gdzie kiedyś mieszkaliśmy.

Powiedzenie tego na głos w liczbie mnogiej usprawiedliwiało jej pomysł: miała udać

¹ (niem.) - Wolne ulice, zwarte szeregi (słowa Horst Wessellied).

się do kasyna również w imieniu ojca i Lotty, mieli znajdować się koło niej, spoglądając zza jej ramienia. Ciotka Vicki wzruszyła ramionami - dobrze, nie sprawiało jej to różnicy. Gaworząc spokojnie na temat różnych głupstw, w swojej niewinności spełniała rolę piorunochronu w stosunku do nagłej obawy, ściskającej gardło Anny. Jak obojętny przechodzień zaczęła wolno stąpać po ulicy, którą opuściła jako dziecko w przeciwnym kierunku, ciągnięta przez niecierpliwą rodzinę. Ulica ta była na trwałe połączona z postacią jej ojca; w czarnym płaszczu chwiejnym krokiem posuwał się po bruku, ciężko opierając się na swojej lasce i od czasu do czasu wyciągając buteleczkę do spluwania, aby natychmiast schować ją z powrotem. Już wtedy unosiła się nad tą ulicą ciemna chmura, na której miał odpłynąć na zawsze - unosząc się ponad kasynem, kościołem i szkołą - z miasta, z kraju, ze świata.

Zbliżyła się do szkoły - okna zaczynały się wysoko nad ziemią, wskutek czego nie można było zajrzeć do środka; przeszła wzdłuż kościoła w niemiłosiernym, dziewiętnastowiecznym stylu, który miał wzbudzać strach przed Bogiem. Nieco dalej zatrzymała się. Jej wzrok powędrował w górę wzdłuż fasady domu aż do witraży, prześlizgnął się ukosem w dół w kierunku podwójnych, lakierowanych drzwi z miedzianym dzwonkiem i zakratowanymi szybami. Gdziekolwiek kierowała wzrok, natychmiast go odwracała. Budynek wykluczał ją, zaprzeczał, że oddychała niegdyś w jego wnętrzu, że jego wewnętrzną przestrzeń wypełniały jej myśli i uczucia, że żyli tam kiedyś jej ojciec i Lotta. Wówczas te ściany zamykały w sobie życie rodzinne, teraz formowały między nią a innymi przeszkodę nie do pokonania.

- Wyasfaltowano tę ulicę - rzekła z pogardą. - Dawniej były tu kocie łby.

Poszły dalej, tak jakby była to przypadkowo wybrana ulica. Wszystko było w porządku, świeciło zimowe słońce, rok 1936 zbliżał się do końca, rok 1922 wydawał się niewyobrażenie daleko. Jej pierwszych sześć lat życia oraz ci, którzy stanowili jego część, zniknęli bez śladu, nic nie przypominało o ich istnieniu.

Wioska nad Lippą również przestała istnieć. Wuj Heinrich nie dawał znaku życia, ona też się nie odzywała. Jedyne Jacobsmeyer otrzymywał od niej od czasu do czasu list. Gdy skończyła dwadzieścia jeden lat, urząd sądowy wezwał ją, aby podpisała dokument dotyczący sprawowania opieki, w celu oficjalnego zwolnienia wuja z odpowiedzialności za jej wychowanie. Była to długa epistoła. Zaczęła ją pobieżnie czytać, zrozumiała, że jej podpis będzie oznaczał, iż *post factum* wydaje pozytywną opinię na temat opieki, którą nad nią sprawował. Czy to, co znajdowało się w dokumencie, odpowiadało rzeczywistości? Zrobiło

jej się gorąco, potem zimno, nie była w stanie czytać dalej. Ten tekst dotyczył kogoś innego, z innego życia. Skonsternowana spojrzała znad papieru. Naprzeciw niej, w sterylnym biurze, pełniący obowiązki urzędnik siedzący przy metalowym biurku skinął niecierpliwie głową. Pewnym pociągnięciem pióra umieściła na papierze swój podpis. Ta Anna, pachnąca mydłem, nosząca czyste, mieszczańskie ubrania, odłożyła pióro, energicznie przesunęła papier w stronę urzędnika, wstała i opuściła budynek. Zeszła po kamiennych schodach i zagłębiła się w miasto - miasto, które musiało zostać odbudowane na osłabionych fundamentach jej wspomnień.

Atrament na dyplomie szkoły dla dam jeszcze nie wysechł, a już miała posadę, na całą dobę, z wolną niedzielą raz na dwa tygodnie. Wstąpiła na służbę u rodziny Stolz, która mieszkała w dzielnicy niewielkich willi we wschodniej części miasta, niedaleko kompleksu przemysłowego Bayera, gdzie Stolz pracował jako chemik. Nie miała pojęcia, co to znaczy być pomocą domową, organiczną częścią rodziny pracodawcy. Jej oczekiwaniom, że przejmie prowadzenie gospodarstwa domowego rodziny Stolz, już pierwszego dnia zadano kłam, gdy okazało się, że funkcja ta została rozdzielona na siłę ustawodawczą i wykonawczą. Ta pierwsza, w osobie Frau Stolz, wymyśliła system podobny do systemu fabrycznego, tak aby prace domowe były wykonywane jak najszybciej i jak najefektywniej. Od czasów jej małżeństwa, dziewięć lat temu, w willi w Oost każdego ranka o dziesiątej odkurzano listwy podłogowe, we wtorkowe popołudnie o wpół do trzeciej prasowano koszule, a w sobotni poranek o dziewiątej myto okna. Z drobiazgową dokładnością obliczyła, ile czasu zajmuje każde z zajęć. Poszczególne części programu tak ściśle przylegały do siebie, że wykonująca je siła wykonawcza niemal nie miała okazji do zaczerpnięcia oddechu. Jak w niemym filmie, Anna spieszyła od jednej czynności do następnej. Kiedyś pędzelkiem ze świńskiej sierści odkurzała listwy podłogowe - w połowie tego zajęcia usłyszała dzwonek, wsunęła więc pędzelek do kieszeni fartucha i otworzyła drzwi. Po *intermezzu*, które nie figurowało w programie, gorączkowo podjęła swoją pracę. Podczas codziennej kontroli Frau Stolz przejechała palcem wskazującym przez półmetrowy odcinek listwy, który Anna przeoczyła z powodu zwłoki:

- Tutaj cię dzisiaj nie było.

Nie tylko umykało jej uwadze, że żądanie ślepego posłuszeństwa dusi w zarodku wszelkie formy osobistej inicjatywy, miała to jeszcze podwładnym za złe. Pewnego popołudnia wybrała się z wizytą; przed jej powrotem Anna musiała wyprasować wszystkie koszule. Zaczęło padać. Anna spojrzała w górę, ujrzała krople na szybach i poczuła dylemat: jeśli pójdzie do góry, aby pozamykać okna w sypialniach, może nie zdążyć z prasowaniem.

Nie śmiała podjąć takiego ryzyka. Chwilę później Frau Stolz wbiegła bez tchu do pokoju.

- Mogłam się tego spodziewać - wykrzyknęła z triumfem. - Mówię do przyjaciółki: muszę uciekać, mam w domu pootwierane okna, napada do środka. Ona na to: czy nie ma nikogo w domu? Tak, mówię, nasza służąca - nie wyobrażaj sobie, że przyjdzie jej to do głowy!

Frau Stolz była przekonana, że oprócz stawiania żądań, w czym widziała formę wychowywania, ponosi również wielką odpowiedzialność za pomyślność Anny. Nie tolerowała, aby ta w wolne wieczory siedziała sama w swoim pokoiku na strychu; zapraszała ją na filiżankę kakao w salonie. Uczyla wykonywania mereżek oraz wyszywania krzyżykami i *petit-point*. Umiejętności, którymi młoda kobieta musiała dysponować, wyjaśniła, wspaniałomyślnie dostarczając Annie potrzebne do tego materiały. Tak więc siadywali tam w trójkę, Herr Stolz ze swoją gazetą, a jego żona i pomoc domowa zgodnie pochylone nad robótką. Ich córka Gitta, ośmioletnia dziewczynka z długimi warkoczami, leżała już o tej porze w łóżku.

Kiedy oczekiwano wystąpienia Führera, Herr Stolz nastawiał *Volksempfängera*¹. Anna słuchała, nie słuchając. Było to jak robótką, którą miała w rękach: wprawdzie zajęta była wyszywaniem, jednak jej myśli błądziły gdzie indziej. Najpierw przemawiał Goebbels na temat spraw, które znajdowały się poza sferą jej pojmowania. *Die Plutokratie - die Wallstreetjuden wollen uns kaputt machen*²... tatata, tak to szło. Był to jednak jedynie wstęp. Muzyka marszowa, rozkazy wojskowe, *Sieg Heil, Sieg Heil*. Następnie przemawiał on sam, zwracając się, jak zwykle zbyt głośno, bezpośrednio do swojego narodu, i utrzymując ten ton podczas całej transmisji. *Ich möchte Herrn Minister Eden hier zunächst versichern dass wir Deutsche nicht im geringsten isoliert sein wollen und uns auch gar nicht isoliert fühlen*³... Herr Stolz kiwał potakująco głową. Splótszy dłonie na wystającym brzuchu, słuchał z uwagą. Anna puszczała ten bełkot mimo uszu, czekając, aż się skończy, podobnie jak czeka się na przejście ulewy - w międzyczasie spokojnie oddychała. Führer stał się instytucją. Ponad jej głową, na abstrakcyjnym poziomie podejmowano wszystkie decyzje oraz organizowano wszelkie sprawy, na które nie miała najmniejszego wpływu. Pozostawała więc całkowicie obojętna, cicha walka przeciw autorytetowi Frau Stolz była już wystarczająco wyczerpująca.

Sponad krawędzi robótki dziesiątki razy spoglądała ukradkiem na biblioteczkę z

¹ (niem.) - dosł. odbiornik ludowy; tak zostało nazwane przez propagandę Goebbelsa pierwsze masowo produkowane radio Telefunkena.

² (niem.) - To plutokracja, ci Żydzi z Wall Street chcą nas zniszczyć.

³ (niem.) - Chciałbym przede wszystkim zapewnić pana ministra Edena, że my Niemcy nie chcemy w najmniejszym stopniu być odizolowani.

orzechowego drewna, w której przechowywano za szkłem książki, tak jak klejnoty. Nie była dłużej w stanie oprzeć się pokusie:

- *Herr Stolz, Entschuldigung*, czy mogłabym? - igłą do wyszywania wskazała w kierunku tej świątyni - czy mogłabym przeczytać jakąś książkę?

- Oczywiście - skinął zdumiony w jej stronę. - Wybierz sobie którąś z nich.

Unikając oszołomionego spojrzenia Frau Stolz, Anna wstała i podeszła z ociąganiem do biblioteczki. Otworzyła skrzypiące drzwiczki, z oprawionych tomów, z których wiele nosiło złożone napisy, unosił się odurzający zapach - zapach tysięcy, tysięcy zadrukowanych stron, sztywnych okładek, opowieści, które błagały o to, by je wyrwać ze snu zimowego, zapach ucieczki z głupiej, nierealnej rzeczywistości - obietnica nieskończenie ciekawszych światów niż świat haftu krzyżykowego i mereżek. Z zawrotem głowy odczytywała tytuły, czując wbijający się w plecy wzrok Frau Stolz. Nie mając odwagi wahać się dłużej, wyciągnęła *Die Leiden des jungen Werthers*¹.

- To przecież o wiele za trudne - rzuciła zrzędzącym tonem Frau Stolz.

- Czyżbyś to czytała? - zapytał ją mąż.

- Nie, ale...

- A więc pozwól jej przeczytać, kultura jest teraz dla każdego. Tobie też nie zaszkodziłoby, gdybyś kiedyś przeczytała książkę.

Frau Stolz zaniemówiła zszokowana i uśmiechnęła się usprawiedliwiająco w kierunku Anny. Nie było jasne, czy dotyczyło to uwagi jej męża, czy też bolesnego faktu, że nigdy nie czyta. Anna otworzyła książkę i zagłębiła się w lekturę.

Tak więc okazało się, że łysiejący, uparty chemik stanowi słaby punkt w pancerzu Frau Stolz. Może jej dążenie do dominowania i perfekcjonizmu było jedynie środkiem pomagającym zachować wiarę w siebie. Swoją władzę odzyskała, gdy znów znalazły się same. Następnego dnia po zademonstrowaniu przez Annę książkowego głodu zapytała, trzymając przed sobą jak tarczę pokrywę kosza na brudną bieliznę:

- Mam nadzieję, że nie zabierasz ze sobą w niedzielę brudnych ubrań do swojej ciotki?

- Nie - odparła Anna ze zdziwieniem.

- Jak to więc możliwe, że niemal nigdy nie masz niczego do prania, od czasu do czasu sukienkę...

- Mam tylko dwie sukienki.

- I tylko od czasu do czasu nieco bielizny... nigdy podpaski...

¹ (niem.) - *Cierpienia młodego Wertera* Johanna Wolfganga Goethego

- Podpaski? Co to takiego?

Frau Stolz zrobiła wielkie oczy. Patrzyła z góry na Annę, aż ta zaczęła się robić coraz mniejsza. Nie posiadała niczego, dwie sukienki, trochę bielizny, była nikim.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nie wiesz, co to podpaska?

- Nie - odpowiedziała Anna - nigdy o tym nie słyszałam.

- Masz przecież menstruację?

- Menstr...? Nie.

- Ależ każda kobieta ma menstruację raz na miesiąc.

Przez chwilę Anna milczała osłupiała.

- Nie wydaje mi się, abym coś traciła - rzekła wyzywająco.

- Posłuchaj...

Z macierzyńską troską Frau Stolz położyła swoją nienagannie utrzymaną dłoń na ramieniu Anny. Przytłumionym głosem, stwarzając atmosferę zaufania, która wzbudziła w Annie wielką podejrzliwość, wtajemniczyła ją w tajniki cyklu kobiecego. To „my”, którym posługiwała się Frau Stolz, które dotyczyło wszystkich kobiet na świecie, spotkało się u Anny z uczuciem wielkiej odrazy. Jeśli sprawą kobiecą było co miesiąc tracić krew, jeśli również Frau Stolz co miesiąc traciła krew, Anna była dumna z tego, że jej ciało nie brało w tym udziału.

Frau Stolz zamówiła jednak dla niej wizytę u swojego ginekologa. Podczas badania spytał, jak to możliwe, że jej błona dziewicza jest przerwana.

- Czy miałaś kiedykolwiek do czynienia z mężczyzną?

Do Anny nie dotarło, że oczekiwano od niej odpowiedzi. Zaczęła zawzięcie przyglądać się sufitowi - odkryła w nim pęknięcia i wyblakłe miejsca, formy i figury, które niechcący coś wyrażały, coś, czego znaczenie próbowała z wysiłkiem zrozumieć, aby odwrócić uwagę od wdzierania się palców i metalu do jej wnętrza, w miejsce należące wprawdzie do niej, którego jednak w żaden sposób nie potrafiła uznać za swoje własne. Lekarz powtórzył swoje pytanie z większym naciskiem. Z oburzeniem potrząsnęła głową.

- Szszsz... - uciszył ją, uspokajająco kiwając głową - proszę się rozluźnić. Czy była pani już kiedyś badana?

- Tak - wyszeptwała. - Próbowano wówczas skrócić moją macicę. - Do jej świadomości wdarło się wspomnienie poprzedniego badania, potajemna atmosfera, w której się odbywało, obecność fantomu ciotki Marty, który w kącie gabinetu stał na straży jej dziewictwa.

- Rzeczywiście ma pani skróconą macicę - powiedział doktor. - Można z tym coś zrobić jedynie operacyjnie... Ponadto jajniki są niedorozwinięte, na to jednak istnieje pewna

rada.

Gdy padło zwierzęce słowo „jajnik” przysły jej na myśl narodziny prosiaków i cieląt w zapachu siana i odchodów, potu i wysiłku.

Podczas gdy ubierała się za zasłoną, doktor zatelefonował do Frau Stolz, aby poinformować ją o swoim odkryciu. Posługiwał się wobec niej powabnymi, poetyckimi wyrażeniami: *hymen, uterus, ovaria, follicels*¹. Podobnie jak przed laty Annę opanowało niemiłe uczucie, że zupełnie obca kobieta, która w niewytłumaczony sposób prowadziła z nią walkę, przywłaszczyła sobie jej organy kobiece.

- Codziennie jedną - powiedział doktor z uśmiechem. Wcisnął jej receptę do ręki. - Taka ładna, młoda blondynka powinna przecież móc urodzić wiele dzieci!

Frau Stolz codziennie sprawdzała, czy Anna wzięła swoją pigułkę. Przyjęła na siebie pełną odpowiedzialność za sprawę jej płodności, dokładnie tak, jak za swój obowiązek uważała nauczenie jej haftowania. Anna musiała być przejrzysta i bez skazy na zewnątrz i w środku, tak jak listwy podłogowe tuż po odkurzeniu. Wszystkowidzącemu oku Frau Stolz wymykały się jedynie myśli Anny. Nie dostrzegała, że pod coraz cieńszą warstwą usłużności kryje się krańcowo pobudzona buntowniczką, która wyczekuje na odpowiedni moment. Wiele miesięcy później, gdy kuracja po raz pierwszy przyniosła wątpliwy efekt, uznała to za osobiste zwycięstwo nad chaosem: wraz z uporządkowaniem brzucha Anny został również w niewielkim stopniu przywrócony ład w porządku świata.

Problemem jej płodności martwiło się po kryjomu więcej osób - również z poczucia potrzeby zachowania porządku. Tego lata rodzina Stolz udała się na tygodniowe wakacje, zostawiając Gittę pod opieką Anny. Po południu chodziły razem na basen, dźwigając na ramionach wypełnione po brzegi torby z przyborami kąpielowymi. Nad dachami i nieruchomymi koronami drzew codziennie unosiło się bezchmurne niebo. Gdy pewnego ospałego popołudnia wróciły do domu, stał przed nim obcy samochód. O jego drzwi opierali się dwaj mężczyźni z rękoma w kieszeniach, mrużąc oczy przed światłem słonecznym. Gdy Anna włożyła klucz do zamka, pospieszyli za nią ścieżką ogrodową.

- Dzień dobry, *gnädige Frau*², czy możemy z panią porozmawiać?

Anna otworzyła drzwi frontowe, Gitta śmignęła pod jej ramieniem, wbiegając do domu, na schody i do swojego pokoju. Pozostali zatrzymali się w holu, Anna z uniesionymi brwiami, obydwaj panowie - chociaż nieco zawstydzeni - zachowując jednak zdecydowaną postawę.

¹ (łac.) - błona dziewicza, macica, jajniki, pęcherzyk Graffa

² (niem.) - szanowna pani

- *Wissen Sie*¹, przychodzimy z *Erbgesundkeitsamt*². Ma pani służącą, niejaką... - przejrzeni papiery - Annę Bamberg?

- Tak, zgadza się - odrzekła Anna, spoglądając na nich z góry - co z nią?

- Hm, widzi pani... - zaczęli mówić jednocześnie. Uśmiechnęli się do siebie usprawiedliwiająco, po czym jeden z nich zabrał głos, a drugi ograniczył się do niemego potakiwania. - Nie wiemy tego na pewno, badamy jeszcze tę sprawę, lecz ta Anna Bamberg jest chyba nieco niedorozwinięta?

- Ach tak? - rzekła Anna lodowatym tonem - rzeczywiście? Wygląda przecież zupełnie normalnie, ta *Angestellte*³.

- Tak, tak - zgodził się - może tak jest w istocie, *gnädige Frau*, lecz... proszę dobrze zrozumieć... tę kobietę trzeba wysterylizować.

Znowu słowo, które słyszała po raz pierwszy, Frau Stolz na pewno wiedziałaby, co oznacza. Nie wyrażając zdania na ten temat, spytała:

- Dlaczego?

- Hm, rozumie pani, nie możemy... niedorozwój jest przecież dziedziczny, jeśli urodzi dzieci, one również będą niedorozwinięte.

Poczuła nieopanowaną chęć wybuchnięcia śmiechem.

- W jaki sposób doszliście do tego, że z Anną...

- A więc niczego pani w niej nie zauważyła?

- Nie.

- *Hören Sie...* - Ten, który definitywnie zdecydował się zabierać głos, wyciągnął w górę papiery, jak trofeum. - To wszystko zostało umieszczone w akcie przyznania sprawowania opieki.

Podczas gdy słuchała, co ma do powiedzenia, zdawała sobie sprawę z tego, że stojąc tak razem w przedpokoju reprezentują dziwny rodzaj czegoś nierealnego - ponieważ udając przed nimi panią domu, powinna czuć się swobodnie we własnym holu, a jednocześnie mówi o sobie jak o nieobecnej, abstrakcyjnej trzeciej osobie.

Panowie byli w sądzie i widzieli akt przyznania opieki nad dzieckiem, pod którym sama złożyła podpis. Część, której nie przeczytała, zawierała obowiązkowe coroczne sprawozdania wuja Heinricha, w których musiał wytłumaczyć się z faktu, że trzyma w swoim gospodarstwie Annę Bamberg, córkę tego a tego. Co roku sumiennie donosił, że jego - od

¹ (niem.) - wie pani

² (niem.) - urząd zdrowia ds. dziedziczności

³ (niem.) - służąca, pracownica

czasu śmierci jej dziadka - podopieczna, jest niedorozwinięta i zbyt wątłego zdrowia, aby chodzić do szkoły lub szukać pracy. Było to sformułowane tak rzeczowo, tak pozbawione jakichkolwiek ozdób - co roku tymi samymi słowami - że nikomu z rady przyznawania opieki nie przyszło do głowy, aby to wymagające szczególnej troski dziecko zobaczyć na własne oczy.

Tu było to wyraźnie napisane, czarno na białym, znajomym, kaligraficznym pismem: Anna Bamberg jest niedorozwinięta i wątłego zdrowia. To jedno jedyne zdanie wymazało ją kompletnie, zniszczyło jedyne co posiadała, poza dwiema sukienkami i garstką bielizny: to, że jako córka Johanna Bamberga wyposażona została w dobry umysł oraz pamięć papugi. Hol był zbyt mały, by pomieścić eksplozję w jej głowie - z powodu wściekłości, która skierowana była na czas przeszły, lecz wskutek nieobecności celu nie mogła znaleźć ujścia. Torba z przyborami kąpielowymi, która wciąż jeszcze wisiała na jej ramieniu, zsunęła się na podłogę. Anna z trudem skanalizowała swoją wściekłość i opanowanym głosem zwróciła się do urzędników.

- Moi panowie, to ona właśnie stoi przed wami, Anna Bamberg. To ja jestem wątłą, niedorozwiniętą dziewczynką, której szukacie. Co panowie chcieliby wiedzieć? Ile jest sześć razy dwanaście? Od kiedy do kiedy trwała wojna trzydziestoletnia? Czy powinnam dla panów napisać dyktando? Proszę mi powiedzieć!

Cofnęli się z przerażeniem. Jeden z papierów spadł na ziemię - nie mieli śmiałości pochylić się, aby go podnieść.

- Proszę mi powiedzieć! Mam tego dosyć. Mam tego powyżej uszu. Jeśli mój wuj napisał to w tym dokumencie dotyczącym opieki nade mną, uczynił to, ponieważ przez wszystkie te lata trzymał mnie w domu po to, bym dla niego pracowała - w oborze, w chlewie, w stajni, na polu, za nic, dzień w dzień, rok za rokiem, bez końca. Ponieważ mnie bił, ponieważ pozwolił swojej żonie mnie terroryzować i ponieważ wasza kochana rada nadzorująca wierzyła mu przez te wszystkie lata! Ten wasz sędzia, którego nazwisko figuruje na górze dokumentu - dlaczego nigdy nie przyszło mu do głowy, aby zbadać, czy to wszystko się zgadza? A teraz chcecie mnie jeszcze wysterylizować. Mam tego dosyć, mam tego naprawdę absolutnie dosyć!

Jeden z mężczyzn, spoglądając bojaźliwie przez ramię, próbował określić, na jakiej wysokości znajduje się gałka w drzwiach. Drugi zgarnął papier z podłogi, śmiejąc się nerwowo.

- *Entschuldigung, Entschuldigung...* - bąkali, wycofując się tyłem w kierunku drzwi -

*wir haben nicht gewusst dass...*¹ - I już ich nie było.

Zostawiona na pastwę swojego oszołomienia, zbyt wielkiego i zbyt ciężkiego dla niej jednej, nie ruszyła się z holu. Usłyszała, jak samochód zapuszcza silnik i odjeżdża. Było jej niedobrze, odczuwała wstręt do głupich dudków, którzy przybyli, aby przekazać jej katastrofalną wiadomość, cała ta historia była tak obrzydliwa, że odczuwała potrzebę gwałtownej reakcji, rozbicia czegoś, co cieszyło się powszechnym szacunkiem i uznaniem, zniszczenia czegoś, wszystko jedno czego. Było jednak zbyt gorąco, teraz dopiero uderzyło ją, że było za gorąco na jakiegokolwiek działanie. Sukienka przylepiała jej się do ciała, było za gorąco, aby coś wymyślić. A jednak w zasięgu jej ręki znajdowało się to, co miło by było zniszczyć: wszystkie zgromadzone wokół przedmioty - wewnątrz cechujące się obsesyjnym, pruskim porządkiem byłoby znakomitym celem. Opadając bezwładnie na fotel w nienagannie utrzymanym pokoju, spojrzała dookoła zmęczonym wzrokiem. Nie czuła najmniejszego impulsu, głupkowaty porządek zupełnie jej nie obchodził, nic jej nie obchodziło, miała wszystkiego dosyć. Wściekłość wybuchła w jej głowie, emocje odpłynęły, pusta i wyczerpana rozglądała się po pokoju, absolutnie dla niej obcym, chociaż wszystkie jego kąty odkurzała, polerowała i pucowała tysiące razy.

W końcu pobudziło ją do działania słowo „sterylizować”. Wstała anemicznie z fotela, podeszła do biblioteczki i automatycznie wyciągnęła z niej słownik. „Uczynić nieplodnym”. Jej jajniki, które dzięki sile walki Frau Stolz rozwinęły się nieco, miały teraz w myśl prawa krajowego z powrotem zostać przywrócone do dawnego stanu. Lub nawet usunięte z jej ciała, dla uzyskania absolutnej pewności. Sąd pragnął więc tak to zorganizować, aby nigdy więcej nie rodziły się niedorozwinięte dzieci. Ależ to przecież idiotyzm, powiedziała sobie, to równie chore, jak nietolerowanie, że gdzieś na listwach podłogowych, z jakiegokolwiek powodu, na przestrzeni pół metra pozostało nieco kurzu.

9.

Dzień zaczął się bezchmurnym niebem i ostrym światłem słonecznym - od widoku śniegu bolały oczy. Życie stało się ekstrawertyczne. Na Place Royale, naprzeciw Instytutu Wodolecznictwa, było tłoczno - próba nadrobienia czasu? Kiedy wpadły na siebie w

¹ (niem.) - przepraszamy, przepraszamy... nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że...

przebieralni, Anna zaproponowała, aby po południu wybrały się na spacer. Może do źródeł, ponieważ na tyle w ich wieku mogły sobie pozwolić, ze swoimi słabowitymi stawami, brnąć po śniegu, wspinając się na wzgórza, *und so weiter*¹. Lotta uległa autoironii Anny.

Wyposażone w laski, minęły Pouhon Pierre-le-Grand. Przez chwilę spoglądały na budynek, przeglądając go na wskroś; spojrzały do środka przez wysokie, łukowate okna ponad drzwiami, potem na zewnątrz - przez witraże, które rozświetliły się pastelowymi barwami na tle nisko stojącego słońca. Postanowiły zacząć od najstarszego w Spa źródła Sauvenière i udać się tam nie przez las - trudno dostępnymi ścieżkami spacerowymi, które nosiły idylliczne nazwy, jak Promenade des Artistes czy Promenade des Hêtres² - lecz po prostu wzdłuż drogi do Francorchamps, na której nie mogły zabłądzić. Gdy przed podjęciem tej decyzji omawiały trasę, każda z nich po kryjomu wyczuła w drugiej tę samą bojaźliwość, to samo bogactwo fantazji w stosunku do tego, co mogło się po drodze nie udać. Czy była to oznaka starości, czy też cecha rodzinna?

Z gałęzi drzew opadł już śnieg. Oddychały ciężko, podążając nieustannie wspinającą się drogą. Anna strasznie sapała. Lotta nie miała problemów z oddychaniem - zarejestrowała tę niewielką różnicę z pewnym zadowoleniem: w porównaniu z niewyczerpaną witalnością Anny czuła się zawsze słaba i zmęczona. Natychmiast zawstydziała się swoich myśli. Nie rywalizowała przecież z tą kobietą, która była jej siostrą?!

- Odetchnijmy nieco. - Anna położyła jej dłoń na ramieniu. Zatrzymały się na poboczu, od czasu do czasu przez topniejący śnieg przedzierał się jakiś samochód. Stały koło siebie, spoglądając na rozciągający się przed nimi krajobraz z białymi wzgórzami, cichy i nieruchomy, tak jakby był produktem ich własnej fantazji.

- Ze źródłem *Sauvenière* związana jest legenda - rzekła Anna. - Patron Spa, święty Remaclus, zapadł podobno kiedyś w czasie modlitwy w sen. Pragnąc mu dać nauczkę, Bóg sprawił, że jego stopa zapadła się w ziemię i zostawiła w skale odcisk. Od czasów późnego średniowiecza mężczyźni zabierali swoje świeżo poślubione żony do źródła, które cieszyło się sławą z powodu sprowadzania płodności. Jeśli panna młoda postawiła stopę w odcisku świętego Remaclusa i wypiła wodę ze źródła, wówczas miała pewność, że pobłogosławiona zostanie potomstwem. *Ne schöne Geschichte, nicht?*³ - Roześmiała się. - Może w wodzie źródlanej znajdowały się hormony!

- To była oczywiście średniowieczna gadka reklamowa, mająca ściągnąć ludzi do

¹ (niem.) - i tak dalej

² (fr.) - Promenada Artystów, Promenada Buków

³ (niem.) - ładna historia, prawda?

źródła - skomentowała Lotta.

Podjęły swój spacer, idąc wciąż wznoszącą się drogą.

- Mogłoby się wydawać, że wspinamy się na Golgotę - westchnęła Anna.

Droga biegła teraz przez las bukowy, po jej bokach wznosiły się gładkie, ciemne pnie. Na lewo od drogi ziała przepaść, w której płynął strumyk, wijąc się czarną wstążką przez śnieg. Pomijając nieliczne mijające je samochody, po raz pierwszy były zupełnie same. To wrażenie opuszczenia podkreślało fakt, że są razem w o wiele większym stopniu niż w otoczeniu ludzi. Tylko one dwie, w Ardenach - gdzieś w tym lesie, na tych wzgórzach, aż dwukrotnie starły się ze sobą wschód i zachód.

- Ach, moje biedne stopy - powiedziała Anna.

W polu ich widzenia, nieco poniżej poziomu ulicy, pojawił się mały, sześciokątny, spiczasty dach. W ziemi widniała niewielka dziura wypełniona brązową, stojącą wodą - wokół niej wzniesiono domek, tak jakby chciano w ten sposób ochronić święte miejsce. W kamiennej podłodze, blisko kranika, z którego nie miały odwagi napić się wody, znajdował się również odcisk stopy. Wyobrażały sobie, że ujrzą coś pieniacego się, spontanicznie wytryskującego spod ziemi, jednak ta sceneria sprawiała wrażenie, że wszystko rozgrywa się w ukryciu, głęboko pod dziwaczną budowlą, która pasowałaby do katolickiego cmentarza.

- Święty Remaclus czułby się zawstydzony - rzekła Anna rozczarowana.

- Kawiarnia jest zamknięta - Lotta wskazała głową w stronę niewielkiej gospody, sprawiającej wrażenie ciemnej i opuszczonej.

- Na dwóch starych kobietach nie zarabia się wiele - rzekła Anna. - No cóż, postawili tu dla nas murek, zapewnimy naszym biednym nogom nieco odpoczynku.

A więc to był cel pielgrzymki, która zaogniła ich stawy: miejsce wyzbyte wszelkiego romantyzmu, tuż przy szosie, dostosowane do żądań turystyki.

- Jeśli koło nas w pobliżu byłoby takie źródło płodności - zaśmiała się Anna w zamyśleniu - z pewnością piłabym z niego w swoim czasie niezliczone litry wody.

- Przecież te pigułki, które dostałaś, pomogły w końcu?

- Ach - Anna odepchnęła myśl o tym, tak jakby odganiała natrętną muchę - ta cała historia kobieca, mówiąc krótko, nigdy u mnie nie doszła do normy. Nigdy nie miałam normalnego cyklu. Również moja macica nie powróciła na swoje miejsce: wiele lat po wojnie zdjęcia rentgenowskie wykazały, że w czasie wzrostu mój kręgosłup opuścił się zbyt nisko w miednicy, na skutek harówki w gospodarstwie. W przeciwnym wypadku byłabym na pewno dziesięć centymetrów wyższa, tak jak ty.

Lotta ujrzała w wyobraźni grupowe zdjęcie swoich dzieci i wnuków wykonane z

okazji jej siedemdziesiątych urodzin, zdjęcie wypełnione po brzegi potomstwem. Przez chwilę poczuła się winna - gdy odwracały się ich role, czuła się nieswojo. W pewnym sensie Anna pracowała wówczas za dwie osoby. Gdyby płuca Lotty były wtedy zdrowe, ona również dorastałaby w domu dziadka i pracę by rozdzielano. Myśl od której kręciło się w głowie. Była w tym niezrozumiała przypadkowość: gdyby to Anna była zarażona gruźlicą, a nie ona, wszystko byłoby na odwrót. Czy dokonałaby wówczas tych samych wyborów? Skonsternowana spojrzała na profil siostry. We wszystkich tych odwracalnych myślach kryła się pewna niebezpieczna, wciągająca siła. Związki między sprawami musiały pozostawać oczywiste. „Nigdy nie ufaj Szwabowi, Szwab na zawsze pozostanie Szwabem” - powiadał jej holenderski ojciec, któremu również nie można było ufać w najmniejszym stopniu. W czasie wojny dokonywano starannego rozróżnienia, kto był godny zaufania, a kto nie. Było to niezbędne, bez tego zdecydowanego rozdziału nie udałoby im się przeżyć. Albo sympatyzowałaś z Niemcami, albo nie. Po wojnie nie przestano nagle dzielić ludzi w ten sposób, zaczęto jedynie to robić w czasie przeszłym dokonanym.

- Chodźmy już - wstrząsnęła się - robi mi się zimno.

Szły, pokonując ból w stawach, protestujących przeciw podjęciu spaceru. Słońce zniknęło za drzewami; jego odbijające się od chmur promienie rzucały na pokryte śniegiem pola różowawe światło. Gdy zbliżyły się do zabudowanej niecki Spa, po prawej stronie drogi wynurzyła się spoza drzew wysoka sylwetka starego, drewnianego domu w szwajcarskim stylu. Lotta zatrzymała się.

- Spójrz tylko - zawołała - jaki piękny dom.

- Ruina - odrzekła Anna zimno.

- To rzeźbione drewno... - Lotta podeszła do krawędzi wzniesienia. Wydawało się, że ten dom, ciemny i tajemniczy w zapadającym zmierzchu, zbudowany został ze strzępów marzeń. Był wysoki i czworokątny; na każdym piętrze całą szerokość fasady zajmował balkon z ciemnobrązowego zabejcowanego drewna; balkony te połączone były ze sobą drewnianymi schodami. Na każdy balkon wychodziły drzwi z okiennicami z cienkich deseczek. Wystające daleko brzegi dachu były ozdobione rzeźbionym drewnem przypominającym koronkę. Lotta wyobraziła sobie, że kiedyś z pewnością przyjemnie było obudzić się w tym domu, otworzyć okiennice, wyjść bosą na balkon i we wczesnym porannym słońcu spoglądać na ogród. Wydawało się, że za to dobre życie dom został ukarany. Spoza potłuczonych szyb ziały czarne dziury, okiennice wisiały krzywo w felcach, część zapadniętych schodów wyrąbano pewnie jako materiał na podpałkę.

- Dom z opowiadania Czechowa - westchnęła Lotta.

- Dom bogaczy, którzy nigdy nie trzymali w ręku ścierki do kurzu - skorygowała Anna - biedna służąca, która taką landarę musiała utrzymywać w czystości.

- Pozwolili mu po prostu się zawalić - stwierdziła Lotta z oburzeniem.

- Kto może sobie jeszcze na taki dom pozwolić - koszty ogrzewania, utrzymania, personelu...

Pragmatyzm Anny zirytował Lottę. Zabrzmiało to jak: nareszcie sprawiedliwość.

- Wszystko co piękne znika - poskarżyła się.

- *Komm, meine Liebe.* - Anna zdecydowanie ruszyła dalej. Całe te lamenty z powodu starego domu, który się rozlatywał. Ona, Anna, też była stara, również jej okiennice wisiały krzywo w felcach.

Nic nie mówiąc ruszyły dalej. W milczeniu Anny zawierała się dezaprobata, Lotta odczuwała to przy każdym kroku. Zabudowania stały się gęściejsze, z niektórych odcinków chodnika odgarnięto śnieg. Spa zagarnęło je znowu - oświetlone sklepy, tłum ludzi i ruch uliczny miały w sobie coś uspokajającego. Wstąpiły do cukierni na placu Alberta I i zasiadły przy delikatnym ciastku z gruszkami z ubitą pianą z białek. W tle rozbrzmiewała wiązanka znanych melodii.

Lotta podniosła wzrok z błyskiem rozpoznania w oku.

- Czy to nie... *Lili Marlene*?

- Największy przebój wojny - odrzekła Anna, odpowiadając również uśmiechem.

- Tak... pamiętam dobrze, jaką furorę robiła Marlena Dietrich. Zdawała sobie sprawę z tego, co nadchodzi i w porę opuściła Niemcy.

- Masz na myśli, że udało jej się zrobić karierę w Hollywood?

Znów ten sceptycyzm. Nie przewidując, jaki wzniesi ogień, Lotta odrzekła poirytowana:

- Wciąż nie mogę zrozumieć, że wy wszyscy nie zdawaliście sobie sprawy z tego, co się zbliża. U nas Hitler nie miałby nic do gadania, mimo kryzysu...

- Wam jednak nie odebrano poczucia przynależności do społeczeństwa. On, *dieser Popanz*¹, nam ją przywrócił. Ze swoimi paradami wojskowymi, swoimi dniami partii, swoimi przemówieniami. Z najwspanialszą olimpiadą wszystkich czasów. Obcokrajowcy stali na trybunie, wiwatując głośno, a Herr Hitler był gospodarzem świata. Nikt nie powiedział mu: jesteś nie w porządku. Przybyli wszyscy. A gazety, czasopisma, radio, kronika filmowa - wszyscy przekazywali to jedno przesłanie, nie istniało nic innego. Zapadało to w ciebie

¹ (niem.) - ten strach na wróble, ta marionetka

codziennie, istniała tylko jedna wersja... wsysałaś to w siebie, tak jak wsysasz reklamy. Powoli lecz nieuchronnie wciskało się to coraz bardziej do naszych głów. Ach, nie potrafisz sobie tego wyobrazić...

Anna westchnęła, po czym gwałtownie wbiła w ciastko swój widelczyk.

- Przemysł rozkwitał. Młodzież nie wałęsała się po ulicy - należała do *Hitlerjugend*, świeża i radosna pojawiała się w szkole. Młodych ludzi szkolono przed wstąpieniem do służby wojskowej, aby stali się w przyszłości dobrymi żołnierzami. Gdy wybuchła wojna, byli przyzwyczajeni do obozów i dyscypliny... to wszystko zaplanowano, lecz nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Dziewczęta stawały się automatycznie *Blitzmädel*¹ w Wehrmachcie. A dla inteligentnej młodzieży istniał oddział *Glaube und Schönheit*² - tam uczono rytmiki, tańca, śpiewu, muzykowania: w ten sposób zagarniano również wyższą kadre. To był uporządkowany, piękny, fantastyczny świat.

Zostało to wprawdzie powiedziane ironicznym tonem, jednak tak głośno, że Lotta zaczęła wykonywać błagalne gesty i rozglądać się bojaźliwie wokół siebie.

- Musisz to w końcu zrozumieć - ciągnęła Anna równie głośno. - Wyczuwam w tobie jedynie opór. Matkom odebrano ciężar troszczenia się o dzieci, nie było nudy, nie było narkomanów, nie miałaś tego dzisiejszego bałaganu. Większość ludzi w moim wieku, którzy tego doświadczyli, wciąż jeszcze o tym marzy. Musiałabyś porozmawiać z dawną przewodniczącą BDM lub *Arbeitsführerin*³, włosy stanęłyby ci dęba na głowie: to była ich młodość, najlepszy czas ich życia, *wunderschön*⁴!

Lotta wpatrywała się w siostrę. Miała wrażenie, że podczas wygłaszania tego hymnu pochwalnego Anna zaczęła stawać się coraz większa, że - z widelczykiem w ręku - nabrała okazałych rozmiarów. To nadęcie, ten *wunderschöne*, zgubny entuzjazm sprzed czasów wojny, wypełnił całą cukiernię.

- Były przecież wyjątki, istnieli ludzie, którzy nie stracili rozumu! - Lotta czuła się w tej próbie oporu bezsilna, wydawało się, że jej słowa padają na wiatr i z powrotem zostają zdmuchnięte w stronę twarzy. - W każdym narodzie, nawet jeśli tak go poniesie, zdarzają się przecież wyjątki.

- Oczywiście. Jednak opozycję polityczną natychmiast duszono w zarodku, wiesz o tym, zorganizowano to bardzo sprytnie. Ci, którzy pozostali, intelektualiści, uczeni, ludzie

¹ (niem.) - telefonistka/telegrafistka z oddziałów łączności w armii niemieckiej

² (niem.) - wiara i piękno

³ (niem.) - przewodnicząca ds. pracy

⁴ (niem.) - cudowny

mający kontakty z obcokrajowcami, wskutek czego docierały do nich również inne informacje, lub osoby w rodzaju wuja Heinricha, które rozumiały to intuicyjnie: wszyscy ci ludzie byli w wielkim niebezpieczeństwie, gdy tylko otwierali usta. Dlatego nie słyszało się żadnych sprzeciwów. Wszystkie dłonie wyciągnięte były w tym samym kierunku, w jednym kierunku...

- A ty, Anno... dlaczego ty nie zrobiłaś niczego?

- Byłam służącą, służącą u kogoś, osobą zupełnie nieważną. Musiałam zawsze być do dyspozycji *gnädige Fran*, musiałam błyskawicznie wypełniać jej polecenia. Hitler mi się nie podobał, poza tym jednak wszystko akceptowałam bez problemu, nie sprawiało mi to różnicy.

Krew uderzyła Lotcie do głowy. W ten czy inny sposób Anna wymykała jej się coraz bardziej - pod pretekstem otwartości stworzyła zasłonę dymną. Lotta nie dała się jednak zwieść.

- A Żydzi - rzekła ostro - znikanie ludzi, Noc Kryształowa...?

- Oficjalna odpowiedź brzmiała: wzięliśmy ich pod ochronę, ponieważ w przeciwnym razie wściekłość ludu doprowadziłaby do ich śmierci. Ponieważ to Żydzi spowodowali wszystkie nieszczęścia: pierwszą wojnę światową, skandaliczny traktat wersalski, kryzys, degenerację sztuki... W niektórych niemieckich łbach to przekonanie tkwi do dzisiaj, tak głęboko je w nie wbito. *Hör mal...* Lotto...

Przybliżając się do Lotty, Anna pochyliła się nad stołem. Na jej górnej wardze widniał obłoczek piany z białka. Lotta poczuła, że ten błahy kawałeczek piany reprezentuje ostatnich przeciwników reżimu faszystowskiego - tak szybko wynurzył się gruby, gładki język, aby zlizać piankę z niepewnej pozycji na wargach.

- *Hör mal*, możesz teraz stawiać te wszystkie pytania, ponieważ wiesz, co się wydarzyło. My wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze, do czego to doprowadzi, dlatego nie stawialiśmy tych pytań. Dlaczego tak mi się przyglądasz...

- *Wir haben es nicht gewusst*¹... to zdanie słyszymy już od tak dawna.

Anna zaczęła rozkruszać widelczykiem dolną warstwę ciastka, wydawało się, że jest zła. To rozkruszanie działało Lotcie na nerwy, nie brakowało wiele, aby ona również wybuchła gniewem.

- Wy tylko oskarżająco wskazujecie palcem - rzekła Anna kąśliwie. - Robicie to już czterdzieści pięć lat, to bardzo łatwo. Dlaczego naród niemiecki pozwolił, aby do tego doszło, pokrzykujecie. Ja jednak odwrócę ten problem i zapytam: dlaczego wy, na Zachodzie,

¹ (niem.) - myśmy o niczym nie wiedzieli

pozwoliliście, aby do tego doszło? Pozwoliliście nam spokojnie się zbroić - już wtedy, z traktatem wersalskim w ręku, mogliście interweniować. Bez sprzeciwu pozwoliliście nam wmaszerować do Nadrenii i do Austrii. A potem bezwstydnie zaparliście się Czechosłowacji. Niemieccy emigranci we Francji, w Anglii, w Ameryce, zwracali uwagę na niebezpieczeństwo. Nikt tego nie słuchał. Dlaczego nie zatrzymali tego idioty, kiedy to jeszcze było możliwe? Dlaczego zostawili nas naszemu losowi, wydali na pastwę dyktatora?

- Przecież potem to uczyniliśmy!

- Pytam o to, dlaczego.

Oczy Lotty rzucały błyski.

- Odwracasz sprawę, Anno - rzekła z wrogim uśmiechem. - To najpiękniejszy argument uniewinniający Niemców, jaki kiedykolwiek słyszałam. - Gwałtownie powstała z miejsca. - Pozwól mi zapłacić - powiedziała wyniośle. Zdjęła płaszcz z oparcia krzesła i niepewnym krokiem podeszła do kasjerki. Oj, ten spacer nieprzyjemnie umiejscowił się w jej łydkach.

Anna podniosła się z uczuciem paniki. Dlaczego Lotta stała się nagle taka drażliwa? Przecież uczciwie przedstawiła swoje poglądy. Nie powstały tak z niczego, w przypadkowy sposób: trudno byłoby zliczyć książki, które przeczytała, aby zgłębić te wszystkie straszne sprawy. Wątpliwe było, czy Lotta kiedykolwiek zadała sobie trud, aby tak gruntownie uzasadnić swoje opinie.

- Lotto - zawołała - zaczekaj na mnie...

- Jestem zmęczona - odpowiedziała jej siostra przez ramię. Nagle wydała się bardzo stara i krucha. - Mam wrażenie, że naprawdę jestem bardzo zmęczona.

10.

Gdy za Lottą zamknęły się drzwi cukierni, Anna zgarnęła z oparcia krzesła swój zimowy płaszcz. Wśród tych wszystkich dam zrobiło jej się duszno - palono papierosy, a jej z trudem ukształtowane poglądy wywoływały wyłącznie niechęć i brak zrozumienia u jedynej osoby na świecie, którą pragnęła przekonać. To było jedno wielkie nieporozumienie. Precisnęła się między dwoma krzesłami do kasy. Lotta zapłaciła również za nią - czy chciała w ten sposób usprawiedliwić swoje pospieszne wyjście? Anna wyszła na zaśnieżoną ulicę;

próbowała głęboko oddychać, miała jednak wrażenie, że jej płuca się skurczyły. Serce biło szybko i nieregularnie. Gdyby to się zdarzyło tutaj, teraz, bez uprzedzenia, nigdy już nie udałoby się jej dojść do porozumienia z Lottą. Szybko stawiając kroki, usiłowała odzyskać kontrolę nad swoim oddychaniem; może zrobiło jej się duszno od nagłego poczucia daremności.

Lotta odetchnęła. Sabotaż, którego właśnie dokonała, sprawił jej ulgę, czuła się wolna - pozwoliła uprzednio Annie omamić się w zbyt wielkim stopniu, dotarła do granic możliwości wczuwania się w kogoś. Walka, w którą się zaangażowały, sprawiała wrażenie walki pozornej. Rzucały w siebie tysiącrotnie słyszanyymi, zużytymi argumentami, pozornie trafiając w sedno poglądów przeciwniczki, podczas gdy w zasadzie chodziło o coś o wiele większego, co znajdowało się poza nimi. O coś, co przy próbach przybliżenia do siebie za pomocą lornetki, natychmiast wymykało się obserwacji.

Następnego ranka obydwie pojawiły się w tym samym czasie koło Instytutu Wodolecznictwa, z tą różnicą, że Lotta stała u podnóża schodów, podczas gdy Anna z nieznanych powodów stała po drugiej stronie ulicy, czekając, aż przejedzie kolumna wojskowa. Nie stała chyba na czatach? Lotta nie zauważyłaby jej, gdyby ta nie machała i nie wołała do niej między przejeżdżającymi pojazdami, które w wolnym tempie zdążyły na zachód. Lotta czekała. Podjąwszy postanowienie, że nie da się już Annie tak wyprowadzić z równowagi, spała tej nocy nadspodziewanie dobrze. A teraz jej siostra stała tam i machała, znikając wciąż od nowa za kolejnym jeepem, czołgiem bądź ambulansem wojskowym. Nie było końca orszakowi, który przesuwiał się przed nią, kierując się własną logiką. Głowy w hełmach, spoglądały przed siebie wojowniczo, jakby właśnie przemocą zajęły Spa, tylko po to, by móc przez nie przejechać. Lotta zaczęła się śmiać. Zauważyła, że po przeciwnej stronie ulicy Anna również wybuchła śmiechem. Czyżby obydwie odkryły w tym samym momencie, że oddziela je od siebie jedynie niepoważne przedstawienie? Gdy przejechał ostatni czołg w kolorach ochronnych, Anna, potrząsając głową, przeszła przez ulicę.

Tak jakby wczoraj nie wydarzyło się nic szczególnego, wspięły się po schodach Instytutu, podpierając się wzajemnie. Wydawało się, że poprzedniego dnia została załatwiona jakaś drażliwa kwestia - trudno było zgadnąć, jakimi zawiłymi drogami podąża dusza ludzka. Tego samego dnia wpadły na siebie w jednym z korytarzy. Siedząc na długiej, białej ławce, jak wytrawne kuracjuszki omówiły efekty, jakie poszczególne zabiegi wywierają na ich mięśnie i stawy. Teraz, gdy początek został już uczyniony, powinno powoli zacząć się manifestować uzdrawiające działanie wód. Następnie postanowiły zjeść tego wieczoru obiad w restauracji naprzeciw Pouhon Pierre-le-Grand. Według Anny, której ostremu spojrzeniu

niewiele mogło umknąć, w restauracji tej panowała miła atmosfera i nie było tam drogo.

Ojciec Lotty nie wyszedł z choroby w nienaruszonym stanie. Dotknięta trombocytozą noga wlokła się nieco za nim przy każdym kroku. Czasem jego serce zaczynało bez powodu bić szybciej. Chwytał się wówczas za pierś - oto rzeczywiście nadszedł moment, w którym miał umrzeć. Gest ten natychmiast wywoływał we wszystkich dawny strach. Rozmowa zamierała, wyłączano muzykę, otwierano okno - chociaż zdawano sobie sprawę, że perfidnie wykorzystuje przyspieszone bicie serca i udaje je wówczas, gdy nie udało mu się zdobyć uwagi w inny sposób. W czasie długiego okresu choroby stanowił nieustannie ośrodek zainteresowania, a żona była mu całkowicie oddana, tak jak w początkowym okresie małżeństwa, kiedy dzieci nie odwracały jeszcze ich uwagi. Po jego wyzdrowieniu najmłodsze wróciły do domu; w większym niż kiedykolwiek stopniu popadł w dawny zwyczaj dręczenia ich nierozsądnymi żądaniami i karami. Był to najprostszy sposób, aby wywołać kłótnię z żoną; doszedłszy do zgody, odzyskiwał wobec niej na krótko prawa wyłączności. Zamiast być wdzięcznym za to, że przezwyciężył trzy różne śmiertelne zagrożenia, stał się zgorzkniały, jakby wywalczone z trudem życie w najmniejszym stopniu nie spełniało jego oczekiwań. Rozwinął również zwyczaj głośnego prychnania z dezaprobatą najpierw jedną dziurką od nosa, a potem drugą - nie podobał mu się nawet zapach jego drugiej egzystencji.

To prychnanie działało Lotcie na nerwy, słyszała je wszędzie. Za zamkniętymi drzwiami w pustych pokojach, w końcu korytarza, tuż za rogiem, w nocy poprzez ściany sypialni. Marzyła o tym, aby uciec przed tym ojcem i przed dysharmonią, którą za każdym razem od nowa wprowadzał do rodziny na różne sposoby, korzystając ze swojej niewyczerpanej pomysłowości. Pragnęła również uwolnić się od jego nieustannego zrządzenia. Na temat beziły premiera Colijna, który zamierzał przezwyciężyć kryzys, zmniejszając zasiłki dla bezrobotnych i pensje urzędników; jej ojciec zauważał efekty tej polityki przede wszystkim w opóźnieniu, jakie nastąpiło w rozszerzaniu jego kolekcji płyt. Zrządził na temat partii komunistycznej i jej apelu do wszystkich partii politycznych, aby wszelkie różnice między sobą podporządkowały wspólnej walce przeciw Ruchowi Narodowo-Socjalistycznemu¹. Teraz nie mógł już nawet porywać się do szabli przeciw klechom i kalwinistom! Zrządził na temat Hitlera, który początkowo był jedynie idiotą, stopniowo jednak uzyskał status niebezpiecznego szaleńca. Zrządził na temat niemieckiego narodu, który maszerował za tym niebezpiecznym szaleńcem, przy czym sam dla wygody nie

¹ Nazwa faszystowskiej partii holenderskiej, założonej w 1931 roku przez Antona Adriaana Musserta, której działalności zakazano po zakończeniu II wojny światowej.

dostrzegając fakt, że jego własna matka była Niemką, jak również dziadkowie ze strony matki - podobnie jak jego muzykalna bratanica. Przywłaszczył sobie gazetę natychmiast, gdy została wrzucona do skrzynki, prychając przy tym głośno i nie odstępował jej nikomu, jak pies, który zaciska zęby na kości. Im częściej Lotta słyszała, jak występuje przeciw narodowi niemieckiemu, tym bardziej ją ten naród pociągał. Każda negatywna uwaga z jego strony budziła w niej tęsknotę za powtórным spotkaniem z Anną. Skoro jej ojciec uważał, że Niemcy są nic nie warci, ona chciała być jedną z nich.

Mimo wszystko Theo de Zwaan, narzeczony Marii, wyruszył z dwoma przyjaciółmi do Niemiec, słysząc, że jest tam pracy pod dostatkiem. Wrócił już po dwóch tygodniach. Zamiast coś zarobić, wydał wszystkie swoje oszczędności na leikę, która jak trofeum wojenne wisiała na jego piersi.

- Jak mogło ci to przyjść do głowy - rzekła matka Lotty - my dla zasady nie kupujemy żadnych towarów niemieckich, a ty nagle pojawiaasz się ze strasznie drogą leiką.

Theo jednak nie cieszył się nawet ze swojego zakupu, wydawało się, że ma on jedynie przynosić ulgę w cierpieniu. Chłopak był przygnębiony i niechętnie dzielił się informacjami. Tak, pracy było dosyć, on jednak nie miał w tym kraju nic do szukania. Połowa ludzi nosiła mundury, nawet dzieci, wokół panował gorszący nastrój wywołany *Anschlusssem* Austrii, wszędzie wisiały afisze, transparenty, plakaty z napisem *Ein Volk - Ein Reich - Ein Führer*¹. Widział to na własne oczy i nie chciał z tym mieć nic wspólnego.

- Ja również mogłem ci to zawczasu powiedzieć - stwierdził jego przyszły teść. - Zaoszczędziłoby ci to tej całej podróży.

Lotta nie ufała nosicielowi tych złych wieści. Prawdopodobnie nikt nie chciał go przyjąć do pracy, z daleka było widać, że to gnuśny człowiek, który niewiele jest w stanie zdziałać. Sposób w jaki odebrał Niemcy, był oczywiście zabarwiony frustracją; fakt, że ten kraj nie przyjmował byle kogo, przemawiał na jego korzyść.

Theo oczekiwał od aparatu, że w ramach zadośćuczynienia zapewni mu znakomite zdjęcia. Poprosił Jet i Lotkę, aby stały się jego królikami doświadczalnymi. Ponieważ żadna z nich nie brała go *au sérieux*², włożyły dla żartu męskie spodnie i marynarki oraz kapelusze z rowkiem. Umalowawszy przesadnie usta, dały się uwiecznić przy wieży ciśnień. W męskiej pozie, opierając się ramionami o siebie, z papierosem w ustach; wpatrując się w kamerę spojrzeniem sfinksa, na modłę Greta Garbo; naśladowały Marlenę Dietrich - *Ich bin von Kopf*

¹ (niem.) - Jeden naród - jedno państwo - jeden Führer.

² (fr.) - poważnie

*bis Fuss auf Liebe eingestellt*¹. W końcu wybuchły niekontrolowanym, wesołym śmiechem. Theo zrobił zdjęcia, flegmatycznie jak zwykle, zwlekając przy nastawianiu przesłony i określaniu kąta ujęcia. Wielkoświatowe, zmysłowe, beztroskie, niezależne kobiety, które spoglądały potem z maleńkich zdjęć z ząbkowanymi brzegami, wzbudziły ich ciekawość. Czy to naprawdę były one? Ich matka puściła zdjęcia w obieg podczas wizyty z dumnym uśmiechem: spójrzcie, jakie mam ładne córki!

Na gramofonie spoczywała płyta Mahlera; Lotta dołączyła do towarzystwa, które słuchało, siedząc w kręgu, tak jakby odprawiało religijny obrzęd - na polanie w lesie, u stóp skały, z góry spadał wodospad, spoza wierzchołków gór słychać było groźny pomruk, jelenie rzuciły się do ucieczki... Sammy Goldschmidt słuchał z wyдутymi ustami, w myśli dmuchał w instrument, grając swoją partię. U Ernsta Goudriaana, który mrocznie spoglądał przed siebie, muzyka wydawała się wywoływać ponure wizje.

- Co to za dyrygent? - spytał, gdy przebrzmiał ostatni ton i słuchacze spojrzeli na siebie nieco przygnębieni, ponieważ czar prysnął.

- Wilhelm Furtwängler - powiedział ojciec Lotty, prychając prawą i lewą dziurką.

- Furtwängler! - rzekł Goudriaan. - Teraz gra dla faszystów!

- Furtwängler? - powtórzyła matka Lotty, wstrząśnięta.

- Hm - mruknął jej mąż - tę symfonię nagrano wiele lat temu, często słuchaliśmy jej z przyjemnością.

Goudriaan rozejrzał się z zakłopotaniem dookoła. Wyjaśnił, że powrócił właśnie z Niemiec. Zabrzmiało to jak przeprosiny. Pojechał na naukę do znanego lutnika - w tym czasie zamieszkał u żydowskiej rodziny, której stał się niemal członkiem. Kilka dni temu lutnik podszedł do niego:

- Słyszałem, że przebywa pan w domu Żydów. Jeśli zależy panu na nauce, musi pan jak najszybciej się od nich wynieść.

- Ależ ja przecież nie mam nic wspólnego z tymi zarządzeniami - sprzeciwił się Goudriaan. - Jestem Holendrem.

- Jest pan teraz w Niemczech, ma pan z nimi stanowczo wiele wspólnego. Albo opuści pan tę rodzinę, albo nie ma tu dla pana miejsca.

- Wobec tego wynoszę się stąd - odrzekł Goudriaan.

W pokoju zapanowała atmosfera niedowierzania i oburzenia, Goudriaan zareagował na to jedynie smutnym uśmiechem. Wahając się między współczuciem a podejrzliwością,

¹ (niem.) - *Od stóp do głów przepelnia mnie miłość* (słowa piosenki Marleny Dietrich)

Lotta przyjrzała się szczupłemu studentowi. Z trudem mogła go sobie wyobrazić jako lutnika - nieustannie strugającego drewno przy blacie, z wiórkami na nienagannym garniturze. Rzemiosło, które kojarzyło się z umięśnionymi ramionami i strojem roboczym. Jej ojciec nastawił *Dziwiątą* Beethovena, w koszernym wykonaniu. Czy od tej pory nigdy już nie mieli bez skrupułów słuchać muzyki? Słowa *Alle Menschen werden Brüder*¹ zabrzmiały po mistrzowsku; dlaczego nie *Alle Menschen werden Schwester*²?

Wraz z upływem lat coraz trudniej było znaleźć usprawiedliwienia dla jej ojczyzny. Nigdy wcześniej nie słuchano tyle radia, jak podczas wrześnieowych dni, gdy Chamberlain aż trzykrotnie poleciał do Niemiec, aby zapobiec wojnie i w końcu, wraz z Daladierem, poświęcił Czechosłowację w zamian za utrzymanie pokoju. Wszyscy odczuli ulgę, jedynie ojciec Lotty irytował się, że zarówno Anglia, jak i Francja tak tchórzliwie pogwałciły swój traktat z Czechosłowacją.

- Z czystego strachu przed bolszewizmem - parsknął z pogardą. - W głębi duszy podziwiają sposób, w jaki Hitler oczyścił swój kraj z komunistów.

- Trudno się temu strachowi dziwić - żona pospieszyła znów z łatwymi do przewidzenia argumentami. - Jeśli robotnicy uzyskają władzę na szeroką skalę, ujawnią się również tacy, którzy doprowadzą do zwyrodnienia tego wszystkiego.

- Wiesz chociaż, o kim mówisz? - Poczul się obrażony. - Mówisz o Stalinie, który musi utrzymywać w chomacie cały kontynent.

Po tej wymianie myśli stał się sentymentalny, każdy wiedział, jak rozwinię się stara jak świat dyskusja. Aby jej nie słyszeć, Lotta zagłębiła się w teorię muzyki. Podział ról był z góry wiadomy. Matka rzucała się w obronę demokracji, wygłaszała mowę obrończą na rzecz naturalnej równowagi między różnymi partiami; ojciec wyszydzał ustrój demokratyczny:

- Chcesz może twierdzić, że mamy tutaj demokrację? Biedni stają się coraz biedniejsi! - Pozwolił się ponieść uczuciom. Pociągnął jeszcze łyk jałowcówki, wisząca na włosku wojna przestała stanowić bezpośrednie zagrożenie. Tutaj toczono inną, o wiele starszą wojnę, pod pretekstem różnic w poglądach politycznych - spór, który wciąż pozostawał nierozstrzygnięty.

- Nie doprowadzaj mnie do śmiechu - jej matka miała ostatnie słowo. - Sam doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że tutaj w domu zostałbyś dyktatorem, gdybyś tylko dostał szansę.

Lotta od dawna miała zgromadzone pieniądze na podróż do Niemiec - w miarę, jak

¹ (niem.) - wszyscy ludzie będą braćmi (słowa z *Ody do radości* Beethovena)

² (niem.) - wszyscy ludzie będą siostrami

wzrastało zagrożenie wojną, coraz trudniej jej było otwarcie przedstawić swój plan. Masochistycznie słuchali razem radia, gdzie podsumowywano przemowę ministra Rzeszy Hessa, emanującą żądzą wojny. Uspokajali się nawzajem: Holandia nigdy się w nią nie zaangażuje, zawsze zachowywaliśmy neutralność. A zresztą, połowa Holandii jest spokrewniona z Niemcami: nasz książę, stara królowa Emma, babcia w Amsterdamie, można tak wymieniać bez końca. Śmierć Louisa Davidsa¹ była większą tragedią niż niemiecka aneksja Kłajpedy bądź włoski atak w Albanii - matka Lotty chodziła lamentując po domu i uderzała się dłonią w czoło, jakby obwiniła samą siebie; na ławce pod gruszą melancholijnie śpiewała jego piosenki.

- Teraz w końcu twój ojciec będzie musiał przyznać, że nie miał racji - stwierdziła, gdy Hitler i Stalin podpisali pakt o nieagresji.

- To sprytne posunięcie Stalina - mąż zaśmiał się z takiej krótkowzroczności. - Coś się za tym kryje. W tym momencie zawarcie paktu jest dla niego korzystne.

Królowa wygłosiła w radiu opanowaną przemowę: nie ma najmniejszego powodu do niepokoju. Mobilizację ogłoszono po to, by zagwarantować neutralność kraju. Theo de Zwaan wyruszył jednym z setek dodatkowych pociągów. Nie cierpiał z tego powodu, w końcu miał coś do zrobienia.

- Holandia z jej cynowymi żołnierzkami - prychnęła matka Lotty, wręczając mu po cichu torbę z jabłkami i kanapkami. Dwa dni później Niemcy wkroczyli do Polski, a po upływie kolejnych dwóch dni do wojny z Niemcami przystąpiły Anglia i Francja; z Hitlerem nie dało się już prowadzić żadnych rozmów. Jednakże wiara w bezpieczeństwo nieistotnego, małego królestwa nad morzem, które nie opowiedziało się po żadnej stronie, wciąż jeszcze pozostawała nienaruszona.

- Sama więc widzisz, że byliście równie naiwni, jak my - stwierdziła Anna.

Lotta skinęła głową.

Zatopione w myślach, zajmowały się nadal jedzeniem. Anna rozgniała widelcem swoje kromki ziemniaczane, ku irytacji Lotty, która kroila je na jednakowe kawałki, co z kolei Anna uważała za małostkowe.

- Myślisz, że są prawdziwe? - Anna pogłaskała palcem czerwony kwiat, podejrzanie bujnie rozkwitający w podłużnym korytku koło ich stolika.

- To wszystko plastik - odrzekła Lotta, która zauważyła to już przy wejściu.

¹ Louis Davids (1883-1939) - holenderski artysta kabaretowy i rewiowy, do dziś popularny w Holandii

- Masz rację - Anna cofnęła palec - tu jest o wiele za ciemno dla roślin. Ach... to natychmiast przywodzi mi na myśl kaktusy Frau Stolz... - Zaśmiała się z przymusem. - Można powiedzieć, że stały się dla mnie zgubne.

To, że mogła znieść swoje ukryte niewolnictwo, Anna zawdzięczała zawartości biblioteczek. Postępy w robótkach były niemal niewidoczne, ponieważ szablony gniotły się pod trzymanymi na kolanach, otwartymi książkami. Herr Stolz dzielił swoją uwagę między gazety i radio, donoszące wyłącznie o sukcesach.

- Dziesięć lat temu byliśmy pariasami Europy, a teraz Chamberlain aż trzykrotnie zadaje sobie trud, aby złożyć nam wizytę, kto by kiedyś o tym pomyślał - rzekł Stolz z zadowoleniem. - Zawdzięczamy to wszystko geniuszowi naszego Führera.

W dniu Nowego Roku Hitler dokonał podsumowania: „W całej historii naszego narodu rok 1938 był najbogatszy w wydarzenia”. Trzecia Rzesza powiększyła się o dziesięć milionów mieszkańców, wszyscy wrócili *Heim im Reich*¹. Frau Stolz stwierdziła pełna zadowolenia, że w końcu znów ma odwagę być dumna z tego, że jest Niemką. Kieliszkiem sekta stuknęli się za zdumiewający pęd Führera do działania oraz za wielkie sprawy, które miał dla nich w zanadrzu.

Euforia ta nie robiła na Annie wrażenia. Nigdy nie zastanawiała się nad ideą bycia Niemką. Kiedy usłyszała w radiu, jak Hitler i Benes, prezydent Czechosłowacji, wymyślają sobie wzajemnie, pomyślała: dajcie im obydwóm pałkę, niech walczą ze sobą bezpośrednio. Cóż to nas obchodzi? Zmęczona z powodu kominów fabrycznych, energicznie wypływających dym tuż koło dzielnicy willowej, nie opierając się losowi, jako że zdusiła w sobie chęć buntu, wykonywała swoje obowiązki ze śmiertelną rutyną. Jednak tej samej zimy, pewnego zwykłego dnia tygodnia, poczuła nagle, że czara się przepełniła. Tej jednej, ostatniej kropli dostarczył nieistotny, niewinny incydent.

W czwartek rano, o wpół do szóstej, musiała posprzątać jadalnię. Wszyscy jeszcze spali, w domu było cicho i zimno. Pod dużym oknem, wychodzącym na ogród, znajdował się niski parapet z czarnego marmuru, na którym stały kaktusy. Nigdy nie pojawił się między ich kolcami egzotyczny, pustynny kwiat - nie do pomyślenia było, żeby pod rządami Frau Stolz cokolwiek mogło rozkwitnąć. Do obowiązków Anny należało zdjąć po kolei wszystkie kaktusy z parapetu, następnie nasmarować je woskiem, tak aby czarna, błyszcząca powierzchnia odbijała jej własne oblicze. Tego samego dnia, nieco później, Frau Stolz wezwała ją do siebie:

¹ (niem.) - do kraju

- Anno, zapomniałaś dzisiaj rano o parapecie.

Anna zaprzeczyła.

- Kłamiesz, spójrz no tylko, tutaj i tutaj.

Naśladując swoją pracodawczynię, Anna ukłękła. W dwóch miejscach, tam gdzie wosk nie został całkowicie wtarty, pozostały nieliczne obłoczki, których rano o wpół do szóstej nie było jeszcze widać na tle ciemnego ogrodu. Wyprostowały się obie. Do środka wpadało bezlitosne światło zimowe, twarz Frau Stolz była biała i zimna, lodowa tarcza przeciwstawiona zgromadzonej w Annie wściekłości.

Dziewczyna zaczęła zdzierać z siebie fartuch.

- Proszę się nie martwić, Frau Stolz, o pani parapet, pani kaktusy, pani listwy podłogowe, nigdy już nie dotknę ich palcem, przyrzekam to pani.

- Powinnaś umieć znieść nieco krytyki - rzekła Frau Stolz.

Anna spojrzała na kaktusy - dokonała przeglądu całego pokoju, wszystkich przedmiotów, które przeszły przez jej ręce, a które teraz, w obecnej sytuacji, stanęły po stronie Frau Stolz.

- Nie mogę tak pracować - rzekła bezbarwnym głosem. - Ten małostkowy porządek, pruskie poczucie obowiązku, nie ma tu miejsca dla mnie. Nawet na środku pustyni stworzę dla pani piękny ogród... ale na swój własny sposób.

- Ach - Frau Stolz uznała, że rozumie, w czym rzecz - pragniesz grać tutaj pierwsze skrzypce!

Anna spojrzała na nią, czując nagle dzielącą je odległość, która przyprawiała ją o zawrót głowy. Po raz pierwszy i ostatni przyjrzała się dobrze Frau Stolz, tak jak przed nią stała - mocno zbudowana, kwadratowa kobieta. Stała przed nią taka, jaką naprawdę była, w swojej szokującej ograniczoności. Zastanawiała się teraz gorączkowo; wymyślenie odpowiedniego, decydującego ciosu, który umożliwiłby jej zachowanie godności, kosztowało ją wiele trudu.

- Wiesz, co z tobą jest nie w porządku: masz o sobie zbyt wysokie mniemanie... - wyrwała fartuch z rąk Anny. - Nie spocznieś dopóty, dopóki w sali bankietowej Bayera nie będą cię obsługiwać dwaj służący.

Gitta nie pozwoliła Annie odejść. W dniu jej odejścia zamknęła wszystkie drzwi willi na klucz. Siedziała, założywszy ramiona, z szeroko rozstawionymi nogami, na obitej ciemnoczerwonym aksamitem sofie, jej kościste kolana sterczały oskarżycielsko w górę: nie możesz mnie tu zostawić samej.

- Gdzie są klucze! - Matka potrzęsła nią gwałtownie. Gitta nie mrugnęła okiem.

Anna zeszywniała między swoimi walizkami; dzięki bolesnemu podobieństwu zrozumiała, co dziewczynka w tej chwili odczuwa.

- Wrzuciłam je do klozetu i spuściłam wodę - rzekła Gitta wyniośle. W przeciwieństwie do dezercji Anny, całkowicie odmówiła współpracy. Frau Stolz poszła, aby zadzwonić po ślusarza, okazując przy tym przerażający spokój. Anna próbowała objąć na pożegnanie Gittę - ta wyrwała jej się jednak z poczuciem wyrządzonej jej krzywdy. W końcu Anna pomaszerowała ze swymi walizkami do kuchni, otworzyła wysokie, wąskie okno nad blatem kuchennym, wyrzuciła bagaże na zewnątrz i sama rzuciła się za nimi - z tonącego okrętu, w głębie, która przy lądowaniu miło zatrzeszczała pod jej stopami.

Wróciła do domu wuja, do sypialni z tapetą we wzorki, do salonu z wygodnymi fotelami, do patefonu z operetkową muzyką wuja Franza, jednak nie przyglądała się już niczemu. Meble i przedmioty wciąż jeszcze symbolizowały przymus - przymus cotygodniowego sprzątania, wiecznie powtarzających się czynności. Bez większej ochoty reagowała na ogłoszenia. Po kąpieli wyszła z wanny i przedstawiła się grzecznie swojemu oczekującemu wodą odbiciu w lustrze:

- Miło mi, nazywam się Anna Bamberg, moja matka nie żyje od wielu lat, mój ojciec również, miałam jeszcze siostrę, Lotte, jednak również ona, mówiąc szczerze, od dawna już nie istnieje... w przeciwieństwie do tego ja, Anna, jestem pełna życia, łatwo to dostrzec...

Na jeden z listów przyszła odpowiedź, koperta z marmurkowego papieru z nazwiskiem nadawcy napisanym oficjalnie, bez ozdób: Charlotte von Garlitz Dublow, *Gräfin*¹ von Falkenau. Zamiast zaprosić Annę na wstępną rozmowę, zaanonsowała, że sama przybędzie jeszcze tego samego dnia. Podniecona - to przecież hrabina! - ciotka Vicki pobiegła do swojej szafy z ubraniami, aby znaleźć sukienkę dla Anny. Ta, ogłupiała, przyglądała się prostym, trzeźwym literom, ogarnięta przeczuciem katastrofy - hrabina, to wywoływało skojarzenia z ubezwłasnowolnieniem, tu kończyła się jej cenna, z trudem wywalczona wolność. Przez szparę między firankami ujrzeli, jak hrabina wysiada ze swojego kaiserfresera, pod rozpiętym futerkiem miała na sobie jedwabną bluzkę kremowego koloru. Ciotka Vicki uszczypnęła Annę w czubek kciuka.

Salonik, który Anna jeszcze niedawno uważała za szczyt luksusu i wygody, stał się w obecności tej kobiety konwencjonalny i burżuazyjny. Ujęła mocno dłoń Anny, jednocześnie bez żenady taksując ją wzrokiem.

- Chcę cię o coś zapytać - powiedziała. - Czy jesteś spokrewniona z Johannesem

¹ (niem.) - hrabina

Bambergiem?

Wiedziona odruchem, Anna cofnęła rękę, nie będąc w stanie odpowiedzieć na zwykłe, niewinnie postawione pytanie. Nigdy dotąd nikt nie wymówił tego imienia; wraz z doczesnymi szczątkami, rodzina pogrzebała również wspomnienia o nim. Patrzyła na przybyłą, nie widząc jej. Po raz pierwszy dotarł do niej w tym pokoju odgłos tykania stojącego zegara - odgłos stukania laski na bruku. Ciotka Vicki przenosiła wzrok od jednej do drugiej, pocierając dłonie; gdy cisza zaczęła się dłużyć, powiedziała:

- Johannes Bamberg, tak, to był jej ojciec, kuzyn mojego męża... nie znałam go, ponieważ młodo uma...

- A więc to był jej ojciec - przerwała jej przybyła z zadowoleniem, wykręcając w stronę Anny swoją łabędzią szyję.

- Tak, z całą pewnością, jej ojciec - potwierdziła ciotka Vicki usłużnie.

- Wobec tego wszystko jest w porządku. - Odziana w rękawiczkę prawa dłoń spoczęła na ramieniu Anny. - Pójdzie pani ze mną? Na zewnątrz stoi mój samochód.

- Ależ jej rzeczy - zawołała ciotka Vicki, tracąc oddech z powodu tempa, w jakim rozgrywały się wydarzenia.

- Wyślę swojego szofera nieco później. - Hrabina z trudnym do wymówienia nazwiskiem popędziła Annę przed sobą, z mieszczkańskiego pokoju, przez korytarz; czyniła to wszystko tak zdecydowanie, że ciotka Vicki nie uzyskała szansy, aby otworzyć przed nią drzwi wyjściowe. Hrabina jedną ręką zalotnie przeciągnęła przez swoje krótkie, brązowe włosy, a drugą otworzyła przed Anną drzwi samochodu. Ciotka Vicki przybiegła z jej płaszczem w rękę. Anna wsiadła apatycznie do samochodu, jakby znajdowała się w stanie hipnozy.

Po obu stronach Kolonia przesuwała się jak ruchoma dekoracja. Czas i miejsce utraciły zwykłe proporcje, imię jej ojca uruchomiło coś, co przypominało w największym stopniu film puszczone w przyspieszonym tempie. Było to prawdziwe porwanie: czyżby po tak długim czasie znów przyjął na siebie odpowiedzialność za nią, czyżby kobieta za kierownicą była jego wysłanniczką, wykonującą w wielkim stylu jego polecenie? Kierowała jedną ręką, drugą zapaliła papierosa. Anioł, który palił. Zostawiły za sobą zabudowania, czyżby kończył się tu zamieszkały świat? Samochód skręcił z szosy, wymanikiurowany palec nacisnął klakson, brama będąca niemal dziełem złotnika otworzyła się. Szeroka aleja wjazdowa, obramowana starymi drzewami, których korony spletały się ze sobą. W parkowym krajobrazie, prześwietlającym między pniami drzew, Anna rozpoznała Pola Elizejskie z mitologii greckiej Herr Stolza. Trawniki wznoszące się aż po horyzont, wiecznie zielone

żywopłoty, grupy drzew i krzewów - wszystko starannie utrzymane i przycięte w wyraźnym kształcie, tak jak paznokcie prowadzącej samochód. Pod sklepieniem czarnych gałęzi przebijały się coraz dalej przez tunel, kończący się kręgiem światła. Na schodach okazałego, oślepiająco białego domu stała nieruchoma sylwetka mężczyzny w ciemnym garniturze; jedynie jego oczy śledziły półkole, jakie zatoczył samochód, zanim zatrzymał się u podnóża schodów. Hrabina wysiadła. Anna, od której oczekiwano tego samego, zdezorientowana siedziała nadal.

- Chodź, jesteśmy na miejscu.

Drzwi samochodu otworzyły się, mrugając oczyma wygramoliła się na zewnątrz. Gdy wchodziła na szerokie schody, zakreśliło jej się w głowie. Z ciemnej sylwetki widziała jedynie jedno długie ramię z dłonią, która otworzyła przed nimi drzwi, po czym okazało się, że człowiek ten posiada dwa ramiona; przy ich pomocy pomógł im zdjąć płaszcze na środku olbrzymiego holu, na który wychodziły korytarze, schody i drzwi.

Przydzielono jej pokój na pierwszym piętrze z widokiem na turkusowy basen - nierzeczywisty, dysonansowy element pośród naturalnie zielonych trawników. Guwernantka, kucharka, służący, szofer, praczka, sprzątaczkę, służące i ogrodnicy żyli w zadowolonej symbiozie, każde z nich miało własne terytorium. Był to wielowiekowy związek między wspólnie pracującymi osobami, destylowana forma służenia starej, pruskiej arystokracji, co przez wiele stuleci zarządzania zamkami i posiadłościami ziemskimi udowodniła swoją efektywność. Jako zmiennicze poprzedniej, zwolnionej pokojówki, Annie powierzono troskę o garderobę Frau von Garlitz. Kiedy odpruł się obrąbek w jej sukni, musiała go podszyć, zanosila ubrania do praczki, podnosiła z parkietu rzuconą tam niedbale wieczorową suknię i wieszala ją w szafie. To luksusowe życie tak ostro kontrastowało z codzienną harówką na poprzedniej posadzie, że wysokość jej pensji wywoływała w niej poczucie wstydu: dwa razy tyle, co zarabiała u Frau Stolz, nie mówiąc już o napiwkach i prezentach, jakie Frau von Garlitz po kryjomu z miłym uśmiechem systematycznie sprawiała personelowi.

W wolnych godzinach Anna błądziła po domu. *En passant*¹ uczyła się, jak nakrywać do stołu, jeśli przychodzili na posiłek generał, wielki przemysłowiec bądź baron; który serwis oddawał danej osobie wystarczające honory, nie będąc jednak przesadą; uczyła się układać pasujące do sezonu bukiety kwiatów na półkolistym stoliku pod osiemnastowieczną martwą naturą z winogronami i bażantem. Frau von Garlitz spała w innym pokoju niż jej mąż - ich sypialnie, w oddzielnym skrzydle domu, połączone były ze sobą poprzez różową marmurową

¹ (fr.) - mimochodem, przy okazji

łazienkę. Poszukiwanie jej koszuli nocnej, którą należało rano wywiesić na zewnątrz, zaprowadziło Annę, dzięki wskazówce szczerzącego zęby służącego, do sypialni Herr von Garlitz, gdzie, ku jej rozczarowaniu, poszukiwany przedmiot leżał niedbale na podłodze koło jego łóżka - to hrabina złożyła jemu wizytę!

Anna zdobyła sobie zaufanie kucharki, która legitymując się bezwzględny oddaniem swojej pracodawczyni, zaopatrzyła ją obficie we wszelkie wiadomości dotyczące domowej sytuacji. *Gnädige Frau*, urodzona jako von Falkenau, była spokrewniona z najstarszą arystokracją markizów. W przeciwieństwie do tego jej mąż, Wilhelm von Garlitz Dublow pochodził po prostu z *Kohlenpott*¹. Anna uniosła brwi. Z Zagłębia Ruhry, wyjaśniła kucharka. Jego ojciec, kapitan statku, na którego pokładzie cesarz płynął do Norwegii, zakochał się w damie dworu cesarzowej, hrabinie Dublow. Aby mógł ją poślubić, pospiesznie nadano mu tytuł. W ten sposób Garlitz uzyskał swoje „von” i do jego nazwiska przyłączone zostało nazwisko „Dublow”. Z wdzięczności dla cesarza Wilhelma pierworodny syn został nazwany jego imieniem.

Respekt i życzliwość, z jaką kucharka mówiła o *gnädige Fran*, kontrastowały ostro z pogardą, z jaką przedstawiała *curriculum vitae* Herr von Garlitz.

- To słabeusz, casanova - stwierdziła. - Ona jednak szaleje na jego punkcie, biedna kobieta.

Zarządzanie fabryką, Die Basilwerke, w której wytwarzano preparaty witaminowe i mieszanki ziołowe w celu wzmocnienia żołnierzy Wehrmachtu, pozostawił podwładnym.

- Konie, zawsze mu w głowie konie - westchnęła defetystycznie, jakby stąd brały się wszystkie nieszczęścia na świecie. Granicząc z parkiem, niewidoczny za średniowiecznym murem obronnym, znajdował się teren fabryki. Czasem von Garlitz kłuł ostrogami swojego konia i galopował wokół dziewiętnastowiecznego kompleksu budynków, aby przypomnieć robotnikom, że kominy dymią na jego koszt.

- Czy poznałaś już mojego męża? - spytała Frau von Garlitz. - Chodź, przedstawię cię.
- Pospieszyła mu naprzeciw, zbiegając ze schodów, Anna z ociąganiem ruszyła za nią. Ujrzała fragment z filmu UFA: chrześniak cesarza, w białym mundurze, wyprostowany jak świeca na swoim lippizanerze, kłusował między czarnymi, błyszczącymi kolumnami alei wjazdowej. U podnóża schodów *Der Schimmelreiter*² zatrzymał się; zsiadł z konia i z wyrazem rozpieszczonego dziecka dał się łaskawie objąć.

- Anna, moja nowa pokojówka. - Frau Garlitz pchnęła ją lekko w jego kierunku. Podał

¹ (niem.) - dosł. garnek z węglem

² (niem.) - jeździec na siwku

jej szybko rękę, jednocześnie lustrując schody w poszukiwaniu słupka, do którego mógłby przywiązać lejce. Dla niego, rozumiała Anna, znaczącej mniej niż koń.

Kres jej poczuciu pasożytnictwa przyniosło odkrycie biblioteki. Było to spore pomieszczenie ze ścianami pokrytymi książkami, z wyjątkiem trzech okien, za którymi nagie winorośle postukiwały o siebie na wietrze - skarbca tego starannie doglądano, zaopatrywano w świeże kwiaty, a nawet utrzymywano tam ogień w kominku. Wszystko dla potrzeb wymyślanego czytelnika: nigdy nie spotkała tam nikogo. *La Divina Commedia*, *Petit Larousse*, *Der abenteuerliche Simplicissimus*, *Don Quichote*, *Proroctwa Nostradamusa*, *Faust* Goethego i *Farbenlehre*... stały obok siebie, niepodporządkowane żadnemu systemowi. Były między nimi pierwsze wydania, książki trzeszczały zrzędlawie, gdy je otwierała, unosił się z nich oskarżający zapach zaniedbania - książka nieczytana przestaje istnieć, rozlegał się szept. Anna rozumiała, że stoi przed nią olbrzymie zadanie.

Pewnego dnia postawiła pytanie, które od początku nie dawało jej spokoju.

- Ach tak... - W zamyśleniu Frau von Garlitz wydeła swoje ciemno-czerwono uszmkowane usta w kształcie serca. - Gdy przeglądałam wszystkie te listy z prośbą o pracę, przebywał tu z wizytą mój ojciec. Bamberg, powiedziała na głos, z twoim listem w rękę, Anna Bamberg... Mój ojciec zerknął znad gazety: „Czy nie znałem przypadkiem jakiegoś Bamberga... poczekaj chwilę... niejaki Johannes Bamberg, wspaniały chłop, wybitna siła... mam w związku z nim szczególne wspomnienia... Mój Boże, to z pewnością było trzydzieści lat temu...”. - Powiedziałam sobie: jeśli ta Anna Bamberg jest z nim spokrewniona, wezmę ją do siebie i uznaję to za znak opatrności, że dokonałam właściwego wyboru. - Chichocząc dodała: - Nie wierzę w Boga ani w Jezusa Chrystusa, wierzę jednak w znaki opatrności, *das macht mir einfach Spass*¹!

- Cóż to były za szczególne wspomnienia? - spytała Anna.

- Musisz sama go o to zapytać, w swoim czasie. Dawniej mój ojciec był dyrektorem tej fabryki. Twój ojciec musiał dla niego pracować - i wyrzucić na nim wrazenie!

Ten dom był wyspą w burzliwym dwudziestym wieku, a biblioteka w tym domu sama w sobie była kolejną wyspą, na której siedemnasty, osiemnasty i dziewiętnasty wiek były lepiej reprezentowane niż wiek dwudziesty. Anna krążyła po niej swobodnie, uspokojona, że ma prawo do swojej uprzywilejowanej pozycji jako pokojówka Frau Garlitz. Wiedziała teraz, że było to jej prawnie zapewnione dziedzictwo, reputacja jej ojca (o ileż cenniejsza niż pieniądze i posiadane dobra) stanowiła jego testament. Na długo przed jej urodzeniem

¹ (niem.) - to mi po prostu sprawia przyjemność

zostawił jej już coś w spadku, nieświadomie dając dowód zdolności przewidywania. Ta rzadka forma miłości ojcowskiej, która rozciągała się od czasów sprzed jej urodzenia aż do okresu długo po jego śmierci, dała jej poczucie, że okazując działającą wstecz siłę, ciągle się jeszcze o nią troszczy.

Tak bez trudu przeszła przez zimą, wiosnę i lato. Czasem kroczyła po domu z suknią wieczorową lub koszulą nocną zawieszoną na czubku palca, przeważnie jednak, za zgodą wszystkich, zagłębiała się w czytanie. Nie zdawała sobie sprawy, że jest to tylko *intermezzo* - długo powstrzymywany oddech.

Świeca, stojąca między talerzami, zapalała błyski w oczach Anny.

- Ta ślepa dyscyplina - zauważyła Lotta - której oczekiwała od ciebie żona chemika, to przecież typowo niemiecka cecha.

- Och, to był sposób, w jaki pojmowała porządek domowy - zrelatywizowała jej uwagę Anna. - Problem polegał na tym, że nie potrafię funkcjonować w sytuacji, gdzie trzeba być do dyspozycji na każde skinienie. - Zaczęła się śmiać. - Coś mi się nagle przypomniało... - Ze szczerą radością uszczypnęła dłoń Lotty. - Gdzieś w latach pięćdziesiątych ujrzałam rodzinę Stolz ponownie. Pracowałam w instytucie ochrony dzieci i jako członek delegacji byłam z wizytą u Bayera; wydaje mi się, że chodziło o projekt stworzenia miejsc pracy dla wykolejonych dzieci. Przyjęto nas z pompą w sali bankietowej, z dwoma kelnerami w liberii dla każdego gościa. W połowie posiłku usłyszałam nagle w myśli zarzut Frau Stolz: Nie spocziesz, zanim u Bayera... i tak dalej. A teraz tam właśnie siedziałam! Zakrztusiłam się, mój sąsiad zaniepokojony trzepnął mnie w plecy. Po zakończeniu bankietu wybrałam się do nich moim pierwszym volkswagenem - jakieś tysiąc metrów, aż pod sam dom. Mieszkali tam jeszcze, jedynie dzwonek nie był już tak dokładnie wypucowany sidolem, a schody prowadzące do drzwi frontowych przestały być bez skazy. Zadzwoiłam, z okna wychyliła głowę stara kobieta: Anna! - Oczywiście, musiałam wejść do środka. Na bufecie stały zdjęcia Gitty z mężem i dziećmi - w drzwiach tkwiły szybki, które powinny zostać po kolei wyczyszczone kawałkiem irchy. Herr Doktor wrócił właśnie z pracy do domu, był naprawdę zdumiony:

- Proszę powiedzieć, jaki przypadek tu panią sprowadził!

Powtórzyłam proroczą wypowiedź jego żony.

- I dzisiaj tam właśnie siedziałam, z dwoma służącymi!

Wybuchnął niepohamowanym śmiechem, który niósł się przez duszne pokoje. Jego żona śmiała się zawstydzona razem z nim, było mi jej żal.

- Widzisz sama - nie powstrzymał się przed daniem żonie prztyczka. - Czyż nie powtarzałem ci zawsze: nawet w ciągu stu lat nie zrobisz z tej dziewczyny służącej!

CZEŚĆ 2

WOJNA

1.

Na dziewiętnastowiecznej, krytej promenadzie, ciągnącej się od Place Royale w głąb Parc de Sept Heures, w niedzielne poranki odbywał się pchli targ. Było słonecznie, choć wiał ostry wiatr ze wschodu. Pod elegancko wygiętym łukiem przypory jedni handlarze dla rozgrzewki zabijali ręce, inni krążyli nieustraszenie między żeliwnymi filarami. Anna i Lotta miały wystawione towary: wazy, biżuterię, stare płyty gramofonowe, widokówki. Zatrzymały się przed obdrapanym konikiem na biegunach, tępo wpatrującym się w figurę świętego.

- Pamiętasz tego konika na biegunach, o którego zawsze się kłóciłyśmy? - krzyknęła Anna tak głośno, że przechodnie na targowisku odwrócili się w jej stronę, a Lotcie wydało się, że dostrzegła na ich twarzach dezaprobatę dla tego nagłego zakłócenia niedzielного spokoju. Do tego po niemiecku! Szorstko odparła: - Nie, nie przypominam sobie.

- *Doch... doch...* był pomalowany na niebiesko i biało, z prawdziwymi cugłami i brązowym siodłem. Spychałyśmy się z niego, aż tata pospieszył z dyplomatyczną propozycją: dziś niedziela - dzień jazdy konnej Lotty, poniedziałek Anny, wtorek znów Lotty i tak dalej; co wy na to? Zupełnie mi to uciekło z pamięci - z radości klasnęła w dłonie - *wie schön, dass es plötzlich wieder da ist!*¹

W Lotcie konik nie wywołał żadnych wspomnień, zniszczył jedynie delikatne uczucie łączące wszystkie te przedmioty z przeszłości, jakie przez chwilę odczuwała. Jak to się stało, że dobrze pamiętała wszystko dopiero od momentu choroby, kiedy leżała w łóżku, w ogrodzie, pod opieką swojej holenderskiej matki? Po raz pierwszy poczuła, że to ją ogranicza, zupełnie jakby jej czegoś brakowało.

- Wojna jest w modzie - stwierdziła Anna - ciągle jeszcze robi się na niej pieniądze. Na aksamicie leżały wojskowe hełmy i pasy. Tak, wojna wszędzie była pokojowo obecna. Żołnierska manierka sąsiadowała ze starym młynkiem do kawy, spod zaczytanych romansideł i kryminałów wзираła bogato ilustrowana rozprawa o orderach i mundurach Trzeciej Rzeszy, w kramie ze starymi portretami par ślubnych, dzieci przystępujących do chrztu i pierwszej komunii, stała oprawiona fotografia młodego żołnierza, który dumnie spoglądał w

¹ (niem.) - Jak cudownie, że nagle to sobie przypominałam.

obiektyw.

- Jeszcze nie wiedział, że wystawią mu tu pomnik - powiedziała Lotta.

- Popatrz, jaki nadęty, biedaczysko, święcie wierzył w swoją misję.

- Skądże... Nie walczył dla idei, musiał bronić swojego kraju.

Siostra chwyciła ją pod ramię i pociągnęła za sobą. Nie dam się sprowokować, pomyślała Anna. W oddalonej części parku, pod stromą skalną ścianą, stał od co najmniej stulecia Chalet du Parc. Tu usiadły na chwilę; promienie słoneczne wpadały poziomo do środka, w tej wiązce światła unosiły się niebieskawe opary przyniesionej kawy.

Zawsze spotykamy się w miejscach publicznych, pomyślała Lotta, tak jakby nasze obcowanie było czymś podejrzanym.

Na niebie nie pojawiły się znaki przeznaczenia, kucharka ani na sekundę nie przerwała zagniatania ciasta na chleb, kierowca nie upuścił gazety, służąca z pełną tacą szła sobie dalej, jakby nigdy nic, igła, którą Anna cerowała, ani na chwilę nie zboczyła z kursu. Nikt nie przeczuwał, że tego ranka na skraju niewinnej, codziennej rzeczywistości pojawi się rysa, gdy tylko z głośnika w kuchni znany głos, który słyszeli tak często, że już mu się nie przysłuchiwali, oznajmiał: *Im Morrrgengrrrrauen des ermten Septembers haben die deutschen Trrruppen die polnische Grrenze überschrrritten... Ab heute wird Bombe mit Bombe verrrgolten...*¹

Nawet kilka godzin później, gdy Anna stała pośrodku trawnika, rozkoszując się nierzeczywistym pięknem domu i parku, nie była świadoma tego, że pod tym samym niebem, w świetle tego samego dnia, w ruch wprawiono coś jeszcze bardziej nierzeczywistego - koło zamachowe totalnego wyobcowania, które miało porwać ze sobą wszystkich. Wysoko na niebie rozbłysnęło coś nieokreślonego. Zmrużyła powieki i patrzyła teraz przez dwie szczeliny. Wraz z odgłosem dalekiego wybuchu pojawiły się nie wiadomo skąd białe obłoczki, które to coś przysłoniły. W tej samej chwili dom rozgadał się, ze wszystkich otworów dobiegał krzyk: - *Sind Sie verrückt?*² Uciekaj stamtąd, wejdź do środka, jest wojna! - Co? - krzyknęła Anna, biegnąc w stronę domu i przykładając ręce do uszu. - Jest wojna. W jednym z okien stała Frau von Garlitz i gwałtownie gestykulując, posłała męża, by powstrzymał Annę, która zachowywała się jak kamikadze. W drzwiach zderzyli się ze sobą. - To brytyjski samolot zwiadowczy - powiedział krótko. - Nasza obrona przeciwlotnicza

¹ (niem.) - O świcie, pierwszego września, wojska niemieckie przekroczyły granicę Polski... Od dziś na każdą bombę odpowiemy bombą...

² (niem.) - Czy pani oszalała?

ściągnie go na ziemię. Lepiej, jak zostanie pani w środku. - Jego wąsik, jak u Clarka Gable'a, drżał mimo męskiego opanowania. - Śmieszne całe to poruszenie - pomyślała Anna. Wojna była tylko słowem. Prawie życzyła sobie, by coś naprawdę się wydarzyło, coś więcej niż punkcik na niebie, coś, dzięki czemu słowo to zyskałoby znaczenie.

Trzy dni później, po tym jak Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę, zziąjana Frau von Garlitz zabrała dzieci, personel i najbardziej potrzebny bagaż, a cały majątek powierzyła opiece Anny. - Przygotuj wyższe piętro dla uciekinierów z Saary - położyła ręce na ramionach Anny w symbolicznym geście przekazania całego mienia - my udajemy się na wschód. - W asymetrycznym kapelusiku na głowie, przypominającym zsunięty hełm, z dzieckiem na każdym ręku, z posłusznym orszakiem domowników, wyruszała do rodzinnej posiadłości we Wschodniej Brandenburgii.

Anna, w nowej roli dozorczyńi, otworzyła książkę i czytała dalej, od miejsca gdzie się zatrzymała, spokojnie oczekując uchodźców z Saary. Trwanie samej na statku, który opuściły szczury, nie napawało jej strachem - jej system nerwowy nie był wrażliwy na zagrożenia mglistej natury. Podczas trwającej cztery tygodnie kampanii w Polsce jej ciało raczyło się bez żenady olbrzymimi zapasami piwnicznymi, a dusza - bibliotecznymi. Pewnego dnia, zamiast grupy wynędzniałych uciekinierów, pod drzwiami stanął znowu cały orszak i oddano się codziennym czynnościom, jak gdyby nigdy nie opuszczano tego miejsca. Brakowało tylko Herr von Garlitz - był oficerem, uczestniczył w zajmowaniu Polski i miał to szczęście, że w Borach Tucholskich zwichnął sobie rzepekę i jako rozpieszczony chrześniak wycofany został z linii frontu.

Wojna stała się farsą. Wojska zaległy w swych schronach wzdłuż linii Zygryda i Maginota naprzeciw siebie niczym harcerze. Pomiedzy umocnieniami uprawiano kapustę i ziemniaki i wysoko wznosząc dzbany piwa, pito na przemian toasty za swoje zdrowie. Herr von Garlitz po rekonwalescencji stacjonował wraz ze swym pułkiem w okolicy i przychodził co niedzielę do domu z grupą oficerów, którzy z nudów zuchwale rzucali się na zapasy trunków. Jego żonę przez cały tydzień zajmowało to, by mimo racjonowania żywności zdobyć produkty potrzebne na przyjęcie. Do Anny wszystko to docierało z trudem. Krótko po kampanii w Polsce otrzymała z Holandii list.

Zaniepokojona politycznym rozwojem wypadków babcia udała się z Amsterdamu do Kolonii, w odwiedziny do swej serdecznej przyjaciółki, zanim być może zamkną granicę. Po powrocie, głęboko urażona przysięgała, że jej noga nigdy więcej nie postanie po drugiej stronie granicy. Pewnego październikowego, deszczowego dnia przyszła zdać relację ze swej wizyty. Jej czarny kapelusz z fiołkami z fioletowego aksamitu, które niechybnie pochodziły z

kramu z faramuszkami na targowisku na Albert Cuyp, pozostał na głowie całe popołudnie. - Okropnie się przeziębiam w Niemczech od wrażeń - powiedziała. Lotta nie odstępowała jej ani na krok. W cieniu ronda swego kapelusza babcia wzdychała: - Sytuacja była *sehr unangenehm*¹. - Jej niemiecki akcent pogorszył się. Przerывała ciągle, by koronkową chusteczką dotknąć swego nosa, kiedy opisywała, jak podczas rozmowy o wojnie jej kolońska koleżanka ze strachu, że może być podsłuchiwana, przykładła do słuchawki ocieplacz na czajniczek. Kiedy przyszła jedna z jej synowych, z dzieckiem w mundurku Hitlerjugend, koleżanka przeszła nerwowo na inny, nieszkodliwy temat. - Kobiety w Niemczech uwielbiają Führera - oświadczyła później. - Wstydzę się - pokasływała babcia - wstydzę się za wszystkie te oszalałe niemieckie kobiety.

Babcia odwiedziła także Franza, dalekiego kuzyna - dobrego chłopaka... - i od niego dowiedziała się co nieco o Annie. Rzuciła matce Lotty szybkie spojrzenie, jakby prosząc o zgodę na dalszy ciąg opowiadania. Ta zaś skinęła przyzwalająco. Lotcie krew uderzyła do głowy, nie wiedziała, w którą stronę patrzeć. - No i...? - powiedziała ściśniętym głosem. Babcia ponownie szukała pomocy w chusteczce, zdawało się, że nie podejmie już tematu... Anna dobrze trafiła, tak mówił Franz - do pewnej arystokratycznej rodziny na obrzeżach Kolonii.

Lotta wpatrywała się w babcie. Nad rumianymi policzkami z siatką popękanych żyłek próbowała odnaleźć oczy, całkowicie ukryte pod ciężko opadającymi powiekami. Chociaż babcia mówiła dużo, miała w sobie coś nieodgadnionego - pewnego dnia jej zabraknie, a bogactwo obrazów, dźwięków, tajemnic, anegdotek, zapachów z innej epoki bezpowrotnie zabierze ze sobą. Nagły strach opanował Lotte: ta stara kobieta była jednocześnie jedyną pepowiną łączącą ją z przeszłością. - Masz jej adres? - zapytała pospiesznie. - Dlaczego? - odezwała się jej matka. - Będę mogła do niej napisać. - Ponad jej głową kobiety wymieniły teraz porozumiewawcze spojrzenia. Deszcz, który falami zalewał pola, bił w szyby. - Tak, mam jej adres - powiedziała cicho babcia. - Chciałabym ją odwiedzić - wyjaśniła Lotta. - Teraz... - przeraźliwie krzyknęła jej matka - w tej sytuacji?! - Wcześniej czy później i tak to się stanie - w zamyśleniu dodała babcia - nie możemy jej powstrzymywać. - Ależ tam jest wojna! - protestowała matka Lotty. Babcia obiema rękami zdjęła kapelusz z głowy - czy chciała zaczerpnąć powietrza, czy też podkreślić, że czuje się bezradna wobec siły przyciągania bliźniaczek? Kapelusz położyła na kolanach; jej palce mechanicznie gładziły rondo, wpatrywała się zmęczona i przygnębiona we fiołki. - Jeżeli człowiek stary, jak ja,

¹ (niem.) - bardzo nieprzyjemna

wychodzi bez szwanku *aus dieser miesen Geschichte*¹ - powiedziała wzruszając ramionami - to młodej, zdrowej kobiecie na pewno się uda.

Lotta napisała list, w którym uprzejmość i romantyczna tęsknota przeplatały się ze sobą w dziwny sposób i kończąc go wyraziła gotowość przyjazdu do Niemiec. W odpowiedzi otrzymała formalny list z zaproszeniem do spędzenia sylwestra w majątku rodziny von Garlitz, zamasyżycie podpisany przez Annę Bamberg. Do ostatniej chwili Lotta obawiała się, że nie dostanie wizy. 30 grudnia mogła wreszcie wyruszyć, w kieszeni jej płaszcz podróżowała haftowana chusteczka, przez wszystkie te lata przechowywana w kuferku, a która teraz wracała do właścicielki.

Na granicy celnicy poprosili ją po niemiecku o dokumenty, a ona powiedziała sobie: „Moja ojczyzna”. Próbowała przywołać obraz ojca, ale wciąż ten drugi ojciec był na pierwszym planie. Lepiej było myśleć o kraju urodzenia, lub kraju kompozytorów i dyrygentów, symfonii i pieśni - o ileż łatwiej byłoby śpiewać: *Der Hirt auf dem Felsen*² w kraju z górami niż pełnym pastwisk. Trudno było pojąć, że z każdą sekundą przybliża się do Anny. Choć wyobrażała sobie często to powtarne spotkanie, to jednak pozostawało ono wielką niewiadomą. Im było bliższe, tym bardziej tęsknota mieszała się z lękiem - lękiem, dla którego nie było żadnego logicznego wytłumaczenia. Z przesadnym zainteresowaniem spoglądała przez okno, by o tym nie myśleć. Nadgryzła jedno z jabłek, włożonych przez matkę do torby. Przez chwilę zatliło się lekkie poczucie winy lub zdrady wobec niej, które błyskawicznie zamieniło się we współczucie: - Jak niepozorna i nieważna, z niemieckiej perspektywy, wydawała się teraz jej matka.

Pociąg zwolnił bieg i wjechał na stację. Strach zwyciężył. Najchętniej zostałyby na zawsze w ustronności przedziału, lecz pociąg zatrzymał się i zaczął się uwalniać od pasażerów, którzy otumanieni podróżą przepychali się na zewnątrz. Zimno uderzyło ją w twarz, zawahała się, postawiła walizkę na peronie, czując wstręt do otaczającej ludzkiej cizby, zimy, obcej stacji, samej siebie nagle strwożonej. Drżąc, sięgnęła do zimowego płaszcza po chusteczkę. Zamiast nią pomachać, jak było umówione, trzymała ją między kciukiem a palcem wskazującym, niezgrabnie uniesioną do góry. Ponowne spotkanie było teraz już tak nieuchronne, że spoglądała na mijające ją twarze, nie próbując nawet odnaleźć w nich czegoś znajomego. W oddali zagwizdał konduktor, dźwięk przeleciał nad głowami podróżnych, jak krzyk jakiegoś ptaka. Następnie usłyszała za sobą czyjś szept, swoje nazwisko wypowiedziane niezdecydowanie. Brzmiało to jak ciche westchnienie z ust tłumu. Kiedy

¹ (niem.) - z tej podłej historii

² (niem.) - *Pasterz na skale*, pieśń Franza Schuberta

odwróciła się powoli, pomiędzy zimowymi płaszczami zajaśniała blada twarz... okrągła, a zarazem pociągła, w której przeciwieństwa zdawały się wzajemnie znosić. Lotta odruchowo podała jej chusteczkę, ta druga wzięła ją z wahaniem. - Anna? - Kobieta przed nią potwierdzająco przymknęła na moment oczy. Lotta naiwnie wyobrażała sobie cały czas, że rzucają się sobie w ramiona, tymczasem na peronie w Kolonii podały sobie sztywno dłonie, a z uśmiechniętych ust dobiegły się obłoczki pary w zamrożonym powietrzu. Wtedy kobieta wzięła walizkę Lotty i skinieniem zachęciła ją, by udała się z nią w kierunku wyjścia.

Wszystko było wspaniałe i imponujące. Wysokie, zakopcone zadaszenie peronu, przestronna hala, zdominowana przez reklamę z kolorowego szkła wody kolońskiej 4711, monumentalna obecność katedry z dwiema wieżami strzegącymi Kolonii jak strażnicy - dwa palce skierowane w górę, prawie bliźniacze. Wszystko było wspaniałe i imponujące, z wyjątkiem ponownego spotkania, przebiegającego na dystans i rzeczowo, jak gdyby obie działały z polecenia kogoś trzeciego i w najmniejszym stopniu nie były sobą zainteresowane. Przy nieczynnej fontannie, u stóp katedry Anna wzięła walizkę do drugiej ręki i sięgnęła do kieszeni po pieniądze na bilet tramwajowy. Lotcie zdawało się, że pomiędzy jedynkami w numerze linii jednaście, która prowadziła je przez wąskie uliczki śródmieścia, istniała większa zażyłość niż między Anną a nią. Na próżno szukała w bladej twarzy cech rodzinnych. - Więc to jest Kolonia - zauważyła ze sztywnym uśmiechem, chcąc przerwać milczenie. - *Ja, das kann man wohl sagen*¹ - odparła ironicznie Anna. Nachyliła się do Lotty: - A... pamiętasz jeszcze tę piosenkę...?

Z filuternym wyrazem twarzy cicho zaśpiewała:

Bim, bim, bim

die Elektrisch' kommt

mit dem Kontrolleur

und wer kein' fünfzehn Pfennige hat

*der läuft da hinterher...*²

Nie było w tej dziecięcej piosence niczego, co mogłoby być kluczem do powtórnego poznania się, do odnowienia dawnych więzów, nic się w Lotcie nie budziło - może piosenkę zagłuszyły kantaty i arie. Anna przyglądała się jej wyczekująco, ale Lotta na tę próbę autentyczności odpowiedziała zakłopotanym wzruszeniem ramion. Anna milcząc, odwróciła

¹ (niem.) - Można tak powiedzieć.

² (niem.) - Bim, bim, bim/nadjeżdża ciuchcia/z panem konduktorem/nie masz piętnastu fenigów/biegnij za nią torem...

się i skierowała swą uwagę na ciemną wodę Renu. Tramwaj z hukiem przejechał przez most.
- To tak jakby miała do mnie o coś żal - myślała Lotta. - Może przez te osiemnaście lat widziała we mnie dezertera.

- Osiemnaście lat... - powiedziała głośno - osiemnaście lat temu... - Naraz czar prysł. Tramwaj dotarł na drugi brzeg. - Dlaczego nigdy nie napisałaś do mnie... wtedy? - pytała Lotta, nieśmiało broniąc się i atakując zarazem. - Bo nie dawałaś znaku życia - opryskliwie odparła Anna. - To niemożliwe - wybuchnęła Lotta. - Napisałam do ciebie dziesiątki listów, a każdy z nich kończył się słowami: „Anno, dlaczego nie odpisujesz?”. - Przez chwilę zdawało się, że Anna wyprowadzona została z równowagi, lecz szybko się opanowała, wzruszyła ramionami i powiedziała bez emocji. - W takim razie przechwycili te listy. Nigdy ich nie otrzymałam. - Lotta przyglądała się jej osłupiała. - Dlaczego miałiby robić coś takiego? - Anna demonstracyjnie gapiła się przez okno, jak gdyby jej to nie dotyczyło. - Ty ich nie znasz - odparła obojętnie. Brak zainteresowania ze strony Anny oszołomił ją i oburzył. - W tym sedno - zawołała Lotta. - Przecież nie wolno im było czegoś takiego robić...? - Anna niewzruszona zwróciła twarz w jej stronę. - Tacy oni są. - Poirytowana kontynuowała: - Nieprzyjemne rzeczy lepiej jest mówić od razu... Przyjechałaś tu pełna oczekiwań, ale ja... powiem ci szczerze... ja w ogóle nie wiem, co to jest... rodzina... albo więzi rodzinne. *Entschuldigung*, ale teraz gdy tak nagle powróciłaś tu niczym kobieta *Lazarz*, nie wiem co mam z tobą począć... Już dawno temu pogodziłam się z tym, że mój los, to być samej na tym świecie... jestem niczyja, nikt nie należy do mnie, taka jest prawda... Nie mogę ci niczego zaofiarować...

- Ale przecież my jesteśmy... mamy tych samych rodziców... - oponowała delikatnie Lotta - to chyba coś znaczy? By zrozumieć, kim jesteśmy, musimy przecież wiedzieć... jak to się wszystko zaczęło...? - Wiem dokładnie kim jestem: nikim. I jest mi z tym bardzo dobrze! - Za jej prowokacyjną postawą dało się odczuć zgorzknienie, które czyniło jej głos szorstkim i głośnym. Kilku pasażerów odwróciło się w ich stronę. Lotta milczała onieśmielona, oblała ją zimny pot. Znów miała wrażenie, że Anna ją obwinia. Ale o co? Że jeszcze żyła? Że słowu „siostra” chciała nadać treść? Czy była to kara za długo żywioną iluzję, że dwie istoty czyste i niezmienione przez czas, odległość i rodzinne niesnaski, padną w końcu sobie w ramiona? Dopiero teraz mogła sobie wyobrazić ograniczone, katolickie środowisko prymitywnych wieśniaków z opowiadań babci.

Później wyrzucała sobie, że w tym momencie nie zdecydowała się wrócić tym samym tramwajem. Już wtedy było pewne, że ponowne spotkanie jest rozczarowaniem i że gościna u Anny tylko wszystko pogorszy. Jeszcze możliwe było świętowanie sylwestra w domu, z

grzanym winem, pączkami i muzyką. Jednak rodzaj uporu, zupełnie nie na miejscu, kazał jej dalej realizować powzięty plan. W niemieckich bajkach, którymi jako dziecko była przekarmiana, należało pokonać wielogłowe potwory i smoki, by uwolnić zakłęta księżniczkę. Może na tym etapie nie chciała się przyznać do niepowodzenia, może chciała odłożyć moment, kiedy pozbawiona złudzeń wracać będzie do domu, może miała nadzieję przebić się przez pancierz i poznać jeszcze ukrywającą się pod nim osobę.

Tramwaj zatrzymał się, Anna dała znak, że muszą wysiadać. To była jej ostatnia szansa. - Nie bierz mi tego za złe, Anno, wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli od razu wrócę do domu - ale wstała i szybko chwyciła walizkę, nie mogąc nagle pogodzić się z myślą, że Anna znów będzie ją nieść. Wsiadły, ściemniło się i zrobiło przenikliwie zimno, walizka z każdym krokiem uderzała o jej nogę. - Wszystkie samochody zostały skonfiskowane - wyjaśniła rzeczowo Anna - teraz wszędzie chodzimy na piechotę. - Żelazna brama otworzyła się, podjazd, z ciemnymi pniami drzew po obu stronach, rozpostarł się przed nimi, księżyc rozgrywał mroczną grę cieni z gałęziami nad jej głową. - Po raz pierwszy przemierzamy tę samą drogę - ona i ja - pomyślała Lotta i ogarnął ją niestosownie sentymentalny nastrój. Naszła ją nagła ochota, by siostrę idącą obok niej w dojmującej ciszy, mimo wszystko objąć... przerwijmy na Boga tę maskaradę. Lecz szły od siebie w odstępach metra, przez niekończący się podjazd, razem, a jednak oddzielnie. W ciemności zajaśniał biały dom z zasłoniętymi, czarnymi oknami. Do barokowego portalu prowadziły szerokie, elegancko wyprofilowane schody, które u dołu się rozszerzały, by u szczytu ponownie się zejść.

W zaciemnionym domostwie czyniono przygotowania do sylwestra. Oczekiwano Herr von Garlitz; jego żona próbowała obliczyć, ile jedzenia i trunku pochłoną jego towarzysze. Używając swej pozycji, pieniędzy i uroku potrafiła zdobyć różnorodne produkty, dla zwykłych obywateli już dawno nieosiągalne. Od przyjazdu Lotty do jej odjazdu Anna przejawiała gorączkową gorliwość. Mimochodem przedstawiła siostrę hrabinie, kucharce, służącej, guwernantce i innym członkom personelu, wszystko tak jak należy, ale bez cienia entuzjazmu. Porównywano obie siostry ze sobą. Po oczach można poznać, ten sam błękit, stwierdziła kucharka, lecz poza tym różnice były większe niż podobieństwa. Frau von Garlitz komplementowała niemiecki Lotty. Po osiemnastu latach ciągle jeszcze bezbłędny akcent. W pośpiechu kontynuowano pracę. W kuchni czuło się już sylwestra, jego nadejście było wyczuwalne w napiętej krzątaninie personelu. Gdy Lotta w piżamie stała przed oknem pokoju gościnnego i przez szparę w zaciemnieniu spoglądała na światło księżyca odbijającego się w basenie, poza zdawkowym „dobranoc” Anna nie zamieniła z nią już ani słowa. Dzień kończył się większą tajemnicą niż ta, którą się zaczął. Zamiast: - Jakim człowiekiem jest Anna? - było

teraz: - Kim właściwie jest Anna?

Następny dzień minął także pod znakiem nieustannej krzątaniny służby, zajętej niejasnymi przygotowaniami, do chwili gdy inwazja oficerów wyparła ją za kulisy. Lotta uciekła do parku. Początkowo myślała tylko, że nie jest mile widziana, teraz jednak mundury i czapki, donośne głosy - niektóre z bełkotliwymi, wschodnimi głoskami lub z okropnie wibrującym „r” - sprawiły, że czuła się zupełnie odsunięta. Drżąc, szła przez park. Niemiecka ziemia, niemiecka trawa, niemieckie drzewa... ziemia ojczysta? Ogród warzywny i zdziczałe drzewa owocowe w domu wydawały jej się rajem w porównaniu z tym natrętnym bogactwem każdego metra bieżącego trawnika, każdego metra kwadratowego basenu, każdego kubika niemieckiego powietrza. Resztę dnia spędziła w pokoju dla służby. Kartkowała „Illustrierter Beobachter”, myśląc już o podróży powrotnej i o tym jak ma w domu ukryć swe rozczarowanie. W kuchni pośpiesznie połykano kolację. Anna zjawiła się przy stole w czarnej sukience z białym, wykrochmalonym fartuszkim i czepeczkiem na głowie. - Teraz widzisz, jakie jest życie pokojówki - powiedziała i znów zabrzmiało to jak wyrzut. - Mogę ci w czymś pomóc - wyjąkała Lotta. - Czemu nie? - odparła z drwiną w głosie Anna. - Mam jeszcze jeden taki strój, to byłaby niezła przemiana.

Lotta pozwoliła, by sukienka kelnerki ześlizgnęła się po jej ramionach - w beznadziejnej próbie wpełnienia w skórę Anny, a przynajmniej wystąpienia choć raz jako bliźniaczka. Z wagą na zupeł w rękach, wzrokiem sztywno skierowanym na zawiązane z matematyczną dokładnością tasiemki fartuszka Anny weszła do jadalni. Oficerowie, którzy zamienili mundury na smokingi, siedzieli po obu stronach długiego, przybranego gałązkami świerku stołu. Świece w wieloramiennych kandelabrach odbijały się w srebrach zastawy stołowej i w ciemnoczerwonych cekinach, zdobiących głęboko wydekoltowaną suknię wieczorową hrabiny, która cała lśniąca siedziała u szczytu stołu. Jej mąż, w podwójnej roli gospodarza i oficera, siedział naprzeciwko niej. Niezauważone - jakby były przezroczyste - Anna i Lotta stawiają wazy. Stwierdzenie Anny: - Jestem nikim - zyskuje nowy wymiar. Wycofują się bezszelestnie, nakładanie dań jest zadaniem kamerdynerów.

Tak, w otepiałej służalczości, przeciekł między palcami uroczysty wieczór. Brudne talerze, szklanki, łyżki, opróżnione półmiski. Goście stawali się coraz głośniejsi, a tempo w jakim obie musiały donosić szampana i wino, było prawie nie do wytrzymania. Pewien dobrze odżywiony oficer, z błyszczącą czerwoną głową, zerwał ze ściany broń i zaimprovizował taniec z szablami wokół swego do połowy opróżnionego kieliszka postawionego na parkiecie. Pojawienie się Anny z puddingiem truskawkowym wytrąciło akrobatę z równowagi - zachwiał się i upadł do tyłu, na samotny egzemplarz rodzinnego

kryształu. Z oczami nabiegłymi krwią pozbierał się, odłamki szkła wystawały z jego zadka jak kurze pazurki. Rozległ się entuzjastyczny aplauz. - Na linii Zygryda padła pierwsza ofiara! - ryknął któryś z gości.

W tym momencie Lotta, która również dzierżyła półmisek puddingu, była świadkiem odwagi swej siostry. Anna postawiła półmisek z lekko drżącym puddingiem na stole, pochyliła się nad poszkodowaną częścią ciała i wydłubywała odłamki z neutralnym wyrazem twarzy, jak gdyby zbierała kłosa. Następnie wsparła rannego w drodze do domowej apteczki. Kiedy krótko przed opuszczeniem pokoju - oficer położył rękę na jej pośladkach, by pokazać, że jego duch pozostał niezłomny - Anna odsunęła ją chłodno.

Tuż przed północą personel zebrał się we wspólnym pokoju dziennym, a o dwunastej wszyscy obejmowali się, trzymając w rękach musujące kieliszki. Siostry pocałowały się jak królowe śniegu. Z zewnątrz otrzymały świetną wymówkę, by od razu znów się zdystansować: wystrzał z broni, a potem jeszcze jeden, kazał wszystkim pospieszyć do okna. - Gasić światło! - ryczał ktoś. Podciągnęli do góry zaciemniające rolety i przycisnęli nosy do szyby. - Wielkie nieba - stęknęła kucharka - czy oni oszaleli? Kilku żołnierzy śmiejąc się i wydzierając, celowało do białego prześcieradła kąpielowego, które powiewało na nisko zwisającej gałęzi. Znów wystrzelili, materiał poruszył się lekko i ospale wrócił do poprzedniego wyglądu. Kucharka pomaszerowała do drzwi. - To wstyd - krzyknęła porywczo - idę coś z tym zrobić! Niańka powstrzymywała ją: - Spokojnie, Frau Lenzmeyer, to nie pani sprawa, przywoływać do porządku oficerów tej rangi. - Sfrustrowana kucharka wychyliła jeden za drugim kilka kieliszków szampana. Strzelano dalej. Lotta wymknęła się niepostrzeżenie do swego pokoju, gdzie jak długa padła na łóżko.

Strzały w nocy i obraz posiekanego przez kule prześcieradła kąpielowego przywoływały w jej pamięci niepokojące opowiadania Theo de Zwaana i Ernsta Goudriaana, po ich powrocie z Niemiec - opowiadania, które jeszcze zwiększyły jej tęsknotę. Dopiero teraz nabrały one treści i odczuła zagrożenie, płynące z każdego strzału oddanego z nudów i bez celu. „Wróg” był dla niej do tej pory pustym słowem - tu nabrało znaczenia. Znaczenia, które samo przez się dopełniło się zimnym, noworocznym pocałunkiem Anny, przynębiającym spacerem w parku, przez nieodnalezienie czegoś tak nieuchwytnego jak ziemia ojczysta. Strzelanie ustało, zamiast tego rozległy się śpiewy. Pełna odrazy przyknęła oczy. Zdjęła z głowy czepeczek, rozsypała fartuszek i przyjrzała się sobie w lustrze. Czarna sukienka idealnie pasowała do pogrzebania jej iluzji.

Idąc na śniadanie do kuchni, postawiła walizkę w holu. Pozostali pracowali najwidoczniej całą noc - ani brudne kieliszki czy resztki puddingu nie przypominały o

poprzednim wieczorze. Wszystko podporządkowane zostało obfitemu śniadaniu, goście pod żadnym pozorem nie mogli wracać na linię Zygryda z pustym żołądkiem. Anna biegała w tę i z powrotem, opanowana, bez śladu zmęczenia, jej blond włosy falowały nienagannie wokół czepeczka. Lotta zagadnęła ją o odjazdy tramwajów. - Dowiem się - krzyknęła przez ramię, znikając w korytarzu ze srebrną paterą pełną bułek. Mimo protestów Lotty, Frau von Garlitz postanowiła, że jeden z wojskowych odwiezie ją na stację.

Aż do odjazdu goście zatopieni byli w rozmowie i odruchowo pozwalali Annie pomagać sobie przy zakładaniu ciężkich płaszczy. Lotta stała ponuro obok z walizką w rękę. Akrobata skarżył się głośno sąsiadowi na dzierżawców jego dóbr ziemskich w Brandenburgii: - Oni są tak głupi, tak brudni, tak ociążali - to właściwie nie ludzie, ale coś pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem... - Anna, która trzymała właśnie jego płaszcz, zeszywniała. - Łatwo panu mówić - powiedziała szorstko - chciałabym pana zobaczyć kiedyś, jak by musiał pan harować jak chłop. - Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku, a hrabina zdumiona otworzyła usta. Oficer całkowicie zmieszany tak wielką bezczelnością, pozwolił jej, ulegle jak dziecko, pomóc sobie przy zakładaniu płaszcza. Jego twarz nabrała takiego samego koloru, jak poprzedniego wieczora po incydencie z upadkiem. Być może wspomnienie wprawnie udzielonej mu pierwszej pomocy powstrzymało go od żądania, by natychmiast ją zwolniono. W tym samym czasie, po drugiej stronie westybulu, zabrzmiał sygnał do odjazdu. Lotta schwyciła walizkę, Anna podeszła do niej, by podać jej rękę. Po raz pierwszy od przyjazdu Lotty znów się uśmiechała - może mniej z grzeczności, a bardziej z satysfakcji ze sposobu, w jaki ustawiła w szeregu aroganckiego obszarnika. - *Wir schreiben noch...*¹ - powiedziała, patrząc przez ramię. Frau von Garlitz wołała ją. Ostatnim co Lotta usłyszała był kulturalny, lecz wściekły głos hrabiny: - Co ty sobie właściwie wyobrażasz, obrażać naszych gości! Jeżeli coś takiego powtórzy się raz jeszcze... - Niski, krępy wojskowy wziął walizkę Lotty i wypchnął ją pospiesznie na dwór. Wspięła się do auta. Nie oglądając się, dała się wieźć przez podjazd i okryte głęboką ciszą przedmieście. Cały czas widziała przed sobą Annę, z uniesioną brodą i płaszczem w dłoniach i ciągle słyszała jej kąśliwe pouczenie, pewnie usprawiedliwione jej własną przeszłością. Określenie „barbarzyńcy” odbijało się echem w odległym zakątku duszy Lotty. Ogarnęła ją ciekawość. Bezkompromisowa szczerłość Anny miała w sobie coś godnego podziwu. Ale było za późno, przekroczyli Ren - nieosiągalność przez oddalenie byłaby mniej bolesna niż nieosiągalność mimo bliskości. Wlepiała oczy w katedrę. Obie wieże pięły się same w górę - już wieki temu musiały znaleźć

¹ (niem.) - Będziemy jeszcze do siebie pisać...

jakiś sposób, by trwać tak pokojowo przy sobie, w miejscu swego narodzenia.

Przez całą drogę żołnierz ani słowem nie odezwał się do „przesyłki” z Holandii, którą miał dostarczyć na stację.

2.

W zimnym przeciągu wszedł do środka chłopak, a za nim jego ojciec, ten co na targu kupił jeden z hełmów. Ojciec zamówił dwie cole i szczerząc zęby, nałożył synowi hełm na głowę. Nawet od stolika, przy którym siedziały Lotta i Anna widać było, że wraz z zakupem hełmu odżyła romantyczna więź ojcowsko-synowska. Tak długo, jak trwał ten rausz, byli towarzyszami tej samej przygody, wojny, w której żaden z nich nie brał udziału. Gdyby na targu był pióropusz, to wojna Winnetou z bladymi twarzami z łatwością dałaby ten sam efekt.

- Amerykańska cola i niemiecki hełm... - Anna potrząsnęła głową - starzeję się.

Myśli Lotty nie mogły się uwolnić od nieszczęśliwego sylwestra. - Nigdy tego nie zapomnę - rozpamiętywała. - Wszyscy ci pijani, opanowani bezmyślną żądzą strzelania oficerowie... miałam wrażenie, że jestem gościem u fanatycznych zwolenników Hitlera.

- *Bist du verrückt?*¹ - Anna wyprostowała plecy, musiała coś objaśnić. - Rodzina von Garlitz należała do starej arystokracji, byli fabrykantami! Oczywiście, pomogli temu błaznowi, w zamian za to on rozprawił się elegancko z komunistami, a szlachcie podarował jej Wielkoniemiecką Rzeszę. Ale nie myślisz chyba, że brali na serio syna drobnego urzędnika celnego? Mogli go wykorzystywać przez jakiś czas i dopiero, gdy przyszła kolej na nich, by umierać na polu bitwy, zrozumieli, że ten parweniusz ich też wykorzystał.

Wybuchnęła śmiechem.

- Cóż tu takiego śmiesznego? - spytała zirytowana Lotta.

- Widzę się jeszcze biegnącą w fartuszku i czepeczku przez ten dom. Co za nędza. Cały czas usilnie starałam się zapomnieć, że mam gościa - wyobraź sobie, po raz pierwszy w życiu miałam gościa! Nie masz pojęcia, jakie to było dla mnie trudne. Wojskowi byli dobrym alibi. Jak ja się naharowałam!

Lotta milcząc, budowała piramidę z kostek cukru. - W mojej pamięci pozostało to jako obraz dekadencji - mówiła zadumana. - Ci oficerowie w nocy... wróg, po którym można

¹ (niem.) - Oszalałaś?

spodziewać się wszystkiego, jeżeli strzelał nawet do prześcieradeł kąpielowych...

- Tańczyli na wulkanie - Anna wpadła jej w słowo. - Jak myślisz, dlaczego tak dużo pili?

Anna chodziła tam i z powrotem po sypialni. Przy każdym kroku odczuwała ból całego ciała, jak gdyby ktoś ją pobił, uderzała pięścią w drugą, otwartą dłoń. Powracająca cisza była nie do zniesienia. Była to cisza z podwójnym dnem, pozostawiona przez kogoś, kto dopiero co odszedł na dobre. Nie z powodu innych, lecz przez jej własną winę. Obrazy, które migawkowo uchwyciła pomiędzy zajęciami, dręczyły ją. Postać siostry - w parku z podwianymi połami płaszcza, osamotniona za długim stołem kuchennym, przed opróżnionym talerzem. Widok jej pleców, gdy przygnębiona wchodziła po schodach. Każdy obraz był jak ciche oskarżenie. Przewinąć film do tyłu i nagrać na nowo - inaczej. Za późno, za późno, za późno. Dlaczego - to właśnie chciała wiedzieć. Odpowiedzi nie można było znaleźć w najbogatszej bibliotece, gdyż kryła się w niej samej. Wiedziała jedynie, że w chwili, gdy Lotta odwróciła się do niej na peronie, stanęła oko w oko z ojcem: długi, orli nos, wychudzona twarz i ciemne falujące włosy, jego melancholijne, dumne spojrzenie. Było w tym coś niestosownego - jak gdyby Lotta okradła go, lub nieuczciwie z nim konkurowała. Nie rozpoznawała w Lotcie grubo opatulonej, sześciolatek siostrzyczki, uprowadzonej przez panią z woalką. Teraz był jeszcze ktoś, kto mógł rościć sobie prawo do jej ojca, ktoś kto był do tego bardziej predysponowany niż ona sama, ponieważ był do niego tak łudząco podobny. Więc to była Lotta. Dlaczego dopiero teraz?

Niepokój i wyrzuty sumienia - dwa tory - zmagająca się z nimi przez zimę, która piętrzyła przed domem zasypane śniegiem i pozostawiła na zewnętrznych schodach zamrożoną wronę, tak że Hannelore, jedna ze służących, znalazła ją rankiem i uznała za zły omen, na co praczka ostrzegła ją, że przesady przynoszą nieszczęścia, a Anna, na chwilę wszystko zapominając, miała wielką ochotę śmiać się z tej osobliwej formy zabobonu. Choć jej nie szukała, przeszłość po raz drugi dopadła Annę. Osiemnastoletnia Hannelore, którą Frau von Garlitz krótko przed tym wyszperała w wiosce na Dolnym Śląsku, została po przybyciu powierzona opiece Anny. Dolnoślązaczka wyzywająco zapowiedziała, że w niedzielne popołudnie poszłaby do kasyna na potańcówkę. - Nie możesz jej na to pozwolić - Frau von Garlitz wzięła Annę na stronę - albo musisz iść z nią.

Kasyno wdało się wyraźnie we flirt z nowym socjalizmem. Mury te nie były już dla niej niedostępne. Drzwi z miedzianymi gałkami stały szeroko otwarte. Miała na sobie madonnowato błękitną sukienkę; przez spódniczkę przeświecał czerwony jedwab. Z tkaniny

unosił się jeszcze zapach jej pracodawczyni. Anna z typową dla przyzwoitki obojętnością, oddała bilety wstępu. Teraz mogła wejść do własnego holu. Pole do gry w kulki, plac do skakania przez kozła, kryjówki za filarami, wysokie sklepienie, gdzie zbierały się piosenki... marmurowe schody, z których spadła... wszystko tam jeszcze było... Musiała gdzieś, musiały przecież gdzieś być... za filarami, w korytarzach... obłoczki wstrzymanego oddechu, w górze, w sklepieniu. Hannelore zniknęła w foyer. Tam stały sofy - trampoliny Anny. Słyszała głęboką, szumiącą ciszę, zagłuszającą gwar, muzykę, stukanie i pukanie obcasów podczas tańca. Hannelore zdobyła miejsca siedzące, zamówiły wino i już nie było Hannelore. Co jakiś czas migała Annie przed oczami, tańcząc walca w ramionach żołnierza, którego ogolony, sztywny kark ukazywał się raz po raz. Linia Zygfryda zdaje się opustoszała, tego niedzielnego popołudnia, w kwietniu, wojna w kotka i myszkę przeniosła się do foyer kasyna.

Piła wino, lecz nie smakowała go, wpatrzona przed siebie - nagle ktoś wcisnął się pomiędzy nią a jej wspomnienia. *Darf ich bitten...*¹ Wstała ospale i dała zaprowadzić się na parkiet. *Was machst du mit dem Knie, lieber Hans*² wydawało się czymś z poprzedniego życia, a żołnierz zachowywał się nienagannie. Tępym spojrzeniem wodziła wzdłuż srebrzystego V na jego rękawie. Po tańcu odprowadził ją na miejsce. Właśnie gdy chciała usiąść, zaczęto grać nowy numer, skłonił się lekko i poprosił ją ponownie. Podczas drugiego tańca, bardziej porywającego niż poprzedni, obrazy bladły powoli i teraz mogła dokładnie przyjrzeć się żołnierzowi. Jego twarz wydawała się jej osobliwie znajoma - była to bardziej twarz człowieka niż żołnierza, stwierdziła, choć jej nie zainteresowała.

Odwróciła wzrok i odkryła na ścianie dużą, oprawioną fotografię norweskich fiordów. Czy już teraz chełpią się zwycięstwami? - Są tu dosyć na czasie z tymi ozdobami na ścianie - powiedziała szorstko. - Mogłyby to być także mosty nad Wełtawą - dodał. Jego akcent zaskoczył ją. - Pan pochodzi z Marchii Wschodniej... - Z Austrii - poprawił ją z dwornym kiwnięciem głową. - Ale tam są tylko operetkowi żołnierze z różami w karabinach zamiast kul. - Jego twarz przybrała poważny wyraz. - W Czechosłowacji nie było ani do śmiechu, ani do śpiewu. - Brzmi to tak, jakby żołnierka nie była pańskim powołaniem. - Zostałem zmobilizowany - uśmiechał się. - Po tysiącokroć wolałbym być w domu, w Wiedniu... z różami w karabinie. - Mówił tak śpiewnie, że zdawało się, iż wszystko co powiedział, było żartem. Przyciskając ją mocniej do siebie, począł z pasją zataczać kręgi po całym parkiecie. Po każdym tańcu uroczyście ją odprowadzał - schemat, który się ciągle powtarzał - i jak tylko orkiestra zaczynała nowy kawałek, pędził przez parkiet i znów stawał przed nią. Około w pół

¹ (niem.) - Czy mogę prosić...

² (niem.) - Co robisz z kolanem, drogi Hansie

do dwunastej poprosił o wybaczenie, o dwunastej musiał być z powrotem w koszarach. - Czy będę mógł panią jeszcze zobaczyć? - zapytał. - Proszę mi wybaczyć, nie przedstawiłem się jeszcze - Martin Grosalie. - Może pan do mnie zadzwonić - powiedziała beznamiętnie - pięćdziesiąt dwa i trzy zera. - Mówi pani poważnie? - Spojrzał na nią niepewnie. - Jak to? - Numer telefonu brzmi tak nieprawdopodobnie. - Nie myśli pan chyba, że go wymyśliłam - powiedziała rozdrażniona. Rumieniąc się, skłonił się, by pocałować jej dłoń. - *Ich küsse Ihre Hand, Madame*¹ - powiedziała ironicznie Anna, cofając swą rękę spod jego ust.

Żołnierz nie dał się zrazić. Dwa dni później zadzwonił, a jej nie przyszedł do głowy żaden argument przeciwko spotkaniu. Umówili się w kawiarni na Starym Rynku, padało bez przerwy. Ogarnęło ją uczucie obcości i zakłopotania, gdy usiedli naprzeciw siebie bez możliwości ucieczki w taniec. On jednak, z brawurą uczeniaka, wziął na siebie całkowitą odpowiedzialność za spotkanie. Opisał jej Wiedeń, Schönbrunn, Naschmarkt, Prater, dom, w którym urodził się Schubert, dom, w którym mieszkał Mozart, dom, w którym zmarł Haydn. Wymienił wszystkie osobliwości, stworzył swe miasto na nowo i wędrował z nią jego ulicami, po drodze pokazując jej wszystko, żywo i pełen zachwytu - nie po to, by ją oczarować, lecz aby coś innego oddalić od siebie, coś co cały czas tkwiło w głębi i czekało na swą szansę. Także Anna, która myślała, że jej to nie dotyczy, wyczuwała to. Nieoczekiwanie rzecz ta przebiła się jednak. - A teraz tkwimy tu - wzdychał - naprzeciw Francuzów, z całym tym sprzętem, a oni leżą naprzeciwko nas. Dlaczego? Mam nadzieję, że ta farsa szybko się skończy i będziemy mogli wrócić znowu do domu.

Spotykali się teraz częściej, przychodził po nią do domu i wszyscy określali go jako miłego, kulturalnego młodego mężczyznę, co ją denerwowało. Dokuczała temu miłemu, kulturalnemu, młodemu mężczyźnie kpinkami, które wyraźnie uwielbiał - naigrywała się z jego akcentu, z jego uprzejmości, z Austrii. Któregoś wieczora w Stadthalle odbywała się zabawa taneczna. Gdy dobiegała końca, Anna pociągnęła go do wyjścia: - Chodź, to już koniec. - Nie, nie, zagrają jeszcze kilka kawałków - błagał ją. - Założymy się? Jeśli wygram, będzie mi wolno zwracać się do pani po imieniu. - Wygrał. Milcząco włączyli się przez wymarłe aleje przedmieścia, z chmur wychodził sierp księżyca, pachniało słodko młodą zielenią. Nie mogę ot tak zacząć mówić mu po imieniu, myślała Anna. Na najniższym stopniu schodów pocałował ją, nagle, jakby rozprawiał się z głosem, który mu przez całą drogę tego zabraniał. - Pan płacze... - Anna wystraszyła się. - Nie pan... ty... - poprawił ją ochryplym głosem. W tych okolicznościach nie miała odwagi pożegnać się, nie mogła przecież zostawić

¹ (niem.) - Całuję twoją dłoń, madame, słynny przebój

płaczącego żołnierza na najniższym stopniu schodów, choć najchętniej wbiegłaby do domu, by za zamkniętymi drzwiami wszystko przemyśleć. Pociągnęła go za sobą do parku, w kierunku kamiennej ławki, która jak na obrazku, stała tam w świetle księżyca, z trzech stron otoczona gładko przyciętym cisowym żywopłotem. Usiedli. Fragmenty z filmów i książek, w których bohaterowie naraz znajdowali się w następnej fazie, przebiegały jej przez głowę: objęcia, uroczyste oświadczenia... ale płaczący adorator nigdzie tam nie występował. Choć płacz u siebie samej uważała za oznakę słabości, wydawało jej się, że od mężczyzny wymagał raczej odwagi. Ostatni raz kiedy płakała - wieki temu - było to z wściekłości, upokorzenia i bólu. W przypadku żołnierza musiało to być coś innego - nie śmiała o tym mówić. Ujął jej rękę i pogodnie spoglądał na śpiący dom. Drzemiące w niej cały ten czas uczucie oczekiwania na coś odleciało i ogarnęła ją błoga niemoc. - Zrobiłam się nagle taka śpiąca - ziewnęła. - Połóż się - szepnął - połóż głowę na moich kolanach. Bez wahania wyciągnęła się i odurzona żołnierskim zapachem przysnęła.

Kiedy spała, sierp księżyca przesunął się na inne miejsce. Zbudziła się odprężona, takiego stanu całkowitego oddania się nie знаła od wczesnego dzieciństwa. Zaczęła Martina dyskretnie obserwować. Kiedy siedział tak nieruchomo, przypominał jej umierającego żołnierza, który na obrazku u jej dziadka podnosił głowę ku zstępującemu aniołowi. Zdawało się, że w intymny, bezsłowny sposób porozumiewał się z czymś, co dla niej pozostawało niewidzialne. Przelknął ślinę, jabłko Adama uniosło się, a potem opadło, to przywróciło mu jego ziemski wymiar - zawstydzona potajemnie prowadzoną obserwacją wymówiła jego imię. Pochylił się nad nią. - Nigdy bym nie pomyślał... - powiedział kładąc palec na jej ustach - że może istnieć coś tak pięknego, jak dziewczyna zasypiająca ci na kolanach.

- A jednak, jesteś *Rosenkavalier* - stwierdziła rzeczowo.

W następnych dniach myśli Anny niczym rój muszek krążyły nieprzerwanie wokół żołnierza. Jej myśli przyjemnie mącił paradoks, jak mógł być jednocześnie tak bliski i tak zagadkowy. Wydawało się, że nie ma odwrotu. Umówili się, że w Zielone Świątki pojedą do Smoczej Skały, napełniła już kosz piknikowy. Smok jednak nie czekał ich przyjscia. Zbudził się ze snu trwającego ponad dwa dziesięciolecia, przeciągnął się, ziewnął, spojrział w lustro czy oczy mu iskrzą, a łuski błyszczą, wyostrzył o skalną ścianę szpony, rozdziawił paszczę, by sprawdzić mechanizm ognia i oparów siarki, i zszedł z góry na zachodnią stronę, prężąc pierś i kołysząc ogonem.

9 maja zadzwonił telefon. - To do ciebie - powiedziała Hannelore. Anna wzięła słuchawkę. Po drugiej stronie był zdyszany żołnierz: - Odwołano wszystkie przepustki. Alarm, wymarsz. - Aby do niej zadzwonić, przeszedł przez mur koszar. Musiał natychmiast

wracać, bo gdyby go przyłapano, zostałby natychmiast rozstrzelany. Po skończonej rozmowie długo jeszcze stała ze słuchawką w dłoni. Wojna znów tu była, tym razem już nie w tle. Rzuciła na nią swój cień, zagnieżdżyła się pod jej przeponą. Anna nawet nie zauważyła, że łzy zaczęły jej spływać po policzkach. - Tak, tak - powiedziała Frau von Garlitz - no cóż, wojna, nieprawdaż? - To lakoniczne stwierdzenie rozwścieczyło Annę, łzy, które przez lata zbierały się, poleciały teraz strugami - naczytała się wystarczająco, by wiedzieć, że płacząc za żołnierzem, idącym na front, płacze jak od wieków miliony kobiet. Choć opisywano i opiewano to do obrzydzenia, to jednak jej cierpienie było jedyne i najgorsze. Znów była bezsilna wobec wydarzeń, tym razem jednak była to bezsilność za dwoje.

Jego pierwszy list dostarczony przez *Feldpost*¹ nadszedł z Bad Godesberg. „Siedzę właśnie w jakiejś sali gimnastycznej, mam świeczkę, ołówek i papier, i piszę do Ciebie, bo się o Ciebie martwię. Proszę, daj znać o sobie”. Tak zaczęła się korespondencja, która miała trwać lata. Korespondencja, która przeżyć miała kampanie wojenne w Belgii, Francji i Rosji, aż do ostatniego listu, napisanego już nie przez niego samego. Miłość rozkwitła tak na prawdę dopiero na papierze, z towarzyszącym jej, jak zazwyczaj w takich wypadkach, zaparciem się samego siebie: ...u mnie wszystko w porządku...

- Francuzi nadchodzą! - Frau von Garlitz wraz ze świtą znów uciekła na wschód. Annę i Hannelore pozostawiono, by opiekowały się domem. Drzwi do schronu zbudowanego przezornie w 1934 roku nie były już zamykane na klucz. Basen, zgodnie z rozkazem, został wypełniony po brzegi wodą do gaszenia pożaru. Pomyślano o wszystkim.

Jak rozbitkowie, jedyni ocalali z katastrofy statku, dryfowały po oceanie kawy, herbaty, wina, Ratafia de Pommes - zlej na artretyzm, dobrej dla duszy. Ciepły Golsztrom raz po raz niósł je ku nowym, nieznanym wybrzeżom, nigdy nie rzucając na żaden z brzegów. Była to jeszcze ciągle niedziela. Zamówiły lunch. Zamiast na obolałych stopach poznawać okolice Spa, wybrały ścieżki i aleje przeszłości, choć tam wzrastało zagrożenie minowe.

Po latach dzieci Lotty uczyły się, że wojna rozpoczęła się dziesiątego maja 1940 roku. Jednak dla Niemców rozpoczęła się ona wcześniej, we wrześniu 1939, lub patrząc z dzisiejszej perspektywy - w 1933, gdy do władzy doszedł sfrustrowany malarz niedzielny. Tamtego dziesiątego maja rodzina ani na moment nie odstępowała radia. Lotta spoglądała na zewnątrz przez wysokie okna. Spiker beznamytnym głosem zdawał relację z nierealnych wydarzeń, a błękitne niebo świetliście zaprzeczało. Spadochroniarze? Bombardowania lotnisk? Niemieckie wojska przekraczające granicę, niczym niemieckie służące od lat

¹ (niem.) - poczta polowa

szukające pracy?

Ale wojsko niemieckie posuwało się szybko do przodu. Pogłoski i fakty przeczyły sobie wzajemnie. Niemieccy spadochroniarze przebrani byli za listonoszy i posterunkowych, roilo się od szpiegów, rodzina królewska uciekła, Rotterdam stał w ogniu. Niemcy grozili, że zbombardują kolejne miasta. Holenderscy żołnierze bronili się desperacko. Niderlandy były małe, lecz nie na tyle, by się ukryć - z bombowca można było jednym spojrzeniem ogarnąć cały kraj.

Kapitulacja przyniosła frustrację, ale zarazem zniknął strach. Zagrożone miasta oszczędzono, okupant potrafił się zachować: żadnego plądrowania, gwałtów, rzezi, jak te w książkowych opisach wojny. Jednakże od tej pory kolumny marszowe na stałe wrosły w krajobraz miasta, a ulice rozbrzmiewały stukotem żołnierskich butów i echem wojennych pieśni. W drodze na lekcję śpiewu Lotta natknęła się na grupę Niemców, którzy idąc jeden obok drugiego, blokowali ścieżkę dla rowerów. Zadzwoiła energicznie, ale na próżno, a kiedy zjechała na ulicę, by ich wyminąć, jeden z żołnierzy urażony tym, że ośmieliła się na nich ostrzegawczo zadzwonić, pobiegł za nią i próbował chwycić za bagażnik. Stała na pedałach, by nabrać rozpędu, krew szumiała jej w uszach, jego dosadne wyrażenia ściagały ją - znów słyszała ryk i strzały w nocy. Żołnierz za nią rósł w oczach, aż w końcu nadał się do wielkości monstrum, które chciało ją dogonić, ściągnąć, ukarać. Ale udało jej się, stopniowo odstęp stawał się coraz większy. Odważyła się obejrzeć za siebie dopiero trzy ulice dalej, ale za nią panowała zupełna cisza.

Muzyka była dobrym sposobem na odpędzenie diabła. Od jakiegoś czasu w występach radiowych chórowi towarzyszył utalentowany student konserwatorium, David de Vries. Lotta poprosiła go o akompaniament przy uczeniu się *Kindertotenlieder*¹ Mahlera, żeby móc skoncentrować się na partii śpiewanej, która sama w sobie była już wystarczająco trudna. W ten sposób, kilka razy w tygodniu, wspólnie ulegali czarowi cierpienia, zastygłemu w pięknie:

Oft denk ich, sie sind nur ausgegangen!

Bald werden sie wieder nach Hause gelangen!

Der Tag ist schön! O sei nicht bang!

Sie machen nur einen weiten Gang!

Ja wohl, sie sind nur ausgegangen

*und werden jetzt nach Hause gelangen*².

¹ (niem.) - Pieśni na śmierć dzieci

² (niem.) - I często myślę, że wyszli tylko /Do domu wrócą za małą chwilkę! /Dzień taki piękny! /Przepędź trwogę! /Z długiego wrócą spaceru drogą. /O tak, na spacer poszli gdzieś /Do domu wrócą drogą przez

Pieśni przejmowały ją nieokreśloną nostalgią - jej głos, nieograniczony źle ustawionym oddechem, nie dobywał się już z piersi, lecz z całego ciała. Cała stawała się muzyką nieokreślonego pragnienia; niekiedy widziała profil swego akompaniatora boleśnie oddanego grze, jak gdyby zupełnie identyfikował się z oplakującym dzieci ojcem. Kiedy kończyli, trudno było się rozstać, uczucie to jeszcze unosiło się w powietrzu, mówili nieśmiało, mając wciąż muzykę w uszach, nieskorzy, by zdjąć czar i by każde z osobna rozplynęło się w codzienności. On za każdym razem coraz bardziej zwlekał z pakowaniem nut do teczki - w takich momentach niezdecydowania padał ofiarą ojca Lotty, który puszczał mu swoje nowe nabytki.

By nie stać się, jak Chopin, anemicznym i chorowitym muzykiem, David de Vries był zagorzałym żeglarzem. Pewnego pięknego, letniego dnia wynajął łódź i zaprosił Lottę na przejażdżkę po Loosdrechtse Plassen. Ucząc ją podstaw żeglarstwa, chwalił jej ojca: taki sympatyczny, a jakie imponujące urządzenie skonstruował! Żał było się z nim nie zgadzać, szkoda pięknego dnia, wody synkopowo chluszczącej o łódź, wiatru, wywołującego u niej gęsią skórkę, zanim słońce jej nie wygładziło, szkoda widoku jego opalonego na brąz ciała i długich palców, które tym razem nie tańczyły nad klawiszami, lecz wdały się w pracowitą grę z linami, bomem i sterem.

Komplement okazał się wstępem do uzalania się nad własnym ojcem. Niegdyś kantor w synagodze, teraz nie potrafił się oprzeć sile muzyki popularnej. Cieszył się uznaniem szerokiej publiczności, zarówno w Niderlandach, jak i w Niemczech; w obiegu znajdowały się jego płyty gramofonowe. Sława niosła ze sobą przyjemności i zgrzyoty. Młode kobiety tłoczyły się w hotelu przed jego pokojem; w lśniącym szlafroku, z szampanem chłodzącym się w wiaderku, czekał aż najpiękniejszej z nich uda się do niego dostać. Poczucie winy wobec chorowitej żony zagłuszał zbyt kłopotliwymi klejnotami, lecz jego ckliwe piosenki dalej miały niewinny i lekki ton: po występie publiczność szła do domu pokrzepiona na duchu - znów była w stanie stawić czoła życiu. David, który akompaniował ojcu podczas *tourneé*, następnego ranka zajmował miejsce w sąsiednim przedziale pociągu: nie mógł znieść obecności ojca. Pełen odrazy zamykał oczy i uciekał myślami do Palestyny, marzył o tym, by po skończeniu konserwatorium pójść na medycynę - pionierowi bardziej się to przyda. *Tourneé* kończyło się zawsze skrucą ojca. Bliski płaczu z powodu odrzucenia przez jedyne go syna, błagał o zrozumienie i przychylność i chciał mu za to rzucić do stóp cały świat. - Dostaniesz ode mnie zagłówek, chłopcze - błagał go - ale poczekajmy z tym aż wojna

się skończy.

Lotta, mocząc nogi w wodzie, nie wiedziała jeszcze, że ta wymyślona żaglówka, tu wspomniana po raz pierwszy, będzie symbolizować coś, co rzuci cień na resztę jej życia. Coś, co nie dawało się pogodzić ani z bezchmurnym niebem, ani z wezbranymi, białymi żaglami i wspólnym skokiem do jeziora - gdzie po raz pierwszy niepostrzeżenie dotknęły się, woda dawała ku temu dobry pretekst.

W pierwszym okresie wojna toczyła się przede wszystkim na poziomie sklepiku. Coraz więcej artykułów spożywczych można było dostać już tylko na kartki. Początkowo matka Lotty nie miała z tym wielkiego kłopotu - ponieważ mieszkali na uboczu, zawsze miała w domu zgromadzone większe zapasy. Skrzynki herbaty z Chin nabyła od kogoś, kto wróciwszy z kolonii osiadł w majątku ziemskim, ciepłe, spienione mleko przynosiła od chłopów, chleb piekła sama. Nie wpadła w powszechny szal robienia zapasów, zaopatrzyła się tylko w niewielką ilość szarego mydła. Aby dopełnić obowiązku zaciemnienia, nie trzeba było podejmować żadnych nadzwyczajnych kroków, wystarczyło dokładnie zaciągnąć kotary z końskiego włosia. W czerwcu wypuszczono z niewoli Theo de Zwaana. Nie brał udziału w żadnych działaniach wojennych, gdyż stacjonował w Limburgii, w miejscu, gdzie nic się nie wydarzyło. - Ukrył się rzecz jasna w stogu siana - opowiadała jego teściowa - i spokojnie czekał, dopóki zapach prochu się nie rozejdzie.

3.

Obfity lunch jednak zmusił je do wyjścia na świeże powietrze. Wschodni wiatr wydawał się teraz jeszcze bardziej dojmujący, a Lotta, drżąc, chowała się za swym kołnierzem. Anna, która dysponowała grubą warstwą naturalnej ochrony, a poza tym była mniej skłonna do ulegania wpływom pogody, pewnym krokiem wkroczyła do Parc de Sept Heurs. Park opustoszał, pchli targ się zakończył. Zarośla pożółkłego bambusa, wysokości mężczyzny, szeleściły na wietrze. Anna zastanawiała się czy bambus odrodzi się na wiosnę. Lotta nie miała co do tego wątpliwości i dodała jeszcze ciekawostkę, że raz na sto lat wszystkie krzewy bambusowe na całym świecie jednocześnie zakwitają. Annie wyglądało to na bajkę, choć przyznała, że istnieją rośliny, które kwitną tylko przez jedną noc, niewidziane przez nikogo.

Nagle, ni stąd, ni zowąd stanęły przed małym pomnikiem z naturalnego kamienia. Stroma skała, o którą był wsparty zdawała się odgradzać, jak mur, północną stronę Spa od reszty świata. Monument wystawiono na pamiątkę tych, którzy wytyczyli ścieżki spacerowe wokół Spa. Ich nazwiska zostały wykute w kamieniu: od *comte'a* de Lynden-Aspremonta 1718, aż do Josepha Servais'go 1846. U podstawy pomnika znajdowała się misa wypełniona teraz zamrznietą wodą. Na skraju umieszczono dwie miedziane żaby o uniesionych w górę łebkach, latem zapewne tryskające wodą z rozdziawionych gąb. Anna miała osobliwe wrażenie, że one właśnie jak te dwie żaby, odgradzone lodem, balansują na krawędzi, czekając na odwilż.

Zgodnie skręciły w prawo. Przechadzając się Avenue Reine Astrid znalazły się chwilę później przed bramą z kutego żelaza strzegącą dostępu do budynku Musée de la Ville d'Eaux. Skinąwszy do siebie głowami, weszły do środka. Za stołem z widokówkami ślęczała przygarbiona, starsza kobieta sprzedająca bilety. Jej twarz, okrągła i rumiana jak wysuszona czerwona reneta, pokryta była skomplikowaną siecią zmarszczek, biegnących we wszystkich kierunkach. Ale kiedy sękatą ręką podsuwała im bilety, gdzieś wśród tych zmarszczek zaiskrzyły błyszczące jak koraliki oczka. Anna zapytała o przewodnik - mechanizm na moment się zaciął, po chwili bileterka zaczęła energicznie kiwać małą głową i na stole pojawiła się wypłowiała broszura.

- To skandaliczne - szeptała Anna - kazać pracować stuletniej kobiecie.

Nagle poczuły się bardzo młode i z jakimś rodzajem brawury wkroczyły do pierwszej sali wystawowej. Oświetlone gabloty wypełniała kolekcja *Jolitées*, przedmiotów używanych przez kuracjuszy na przestrzeni wieków: tabakiery, dzbanki na wodę, laski z głową Napoleona lub dzikiego zwierza w miejscu gałki, koperty zegarków kieszonkowych, pudełka z kartami do lombra, wytworne mebelki - wszystko pomalowane i wyrzeźbione w słynnym drewnie, nazywane z dumą *Bois de Spa*, jak gdyby chodziło o rodzaj marmuru. Na widok arkadyjskich przedstawień eleganckich dam w krynolinach i perukach lub bez nich, przechadzających się po ścieżkach, wytyczonych przez Lynden-Aspremonta i Servais'go, Lotcie wyrwał się okrzyk podziwu. Annę denerwowały te frywolne drobiazgi z misternymi malunkami, w których dostrzegała jedynie wyzysk źle opłacanych rzemieślników. Trzymając broszurę w pewnej odległości od oczu, z topornym akcentem zaczęła czytać na głos.

Na długo przed tym jak Spa stało się Spa, Rzymianin Pliniusz chwalił już lecznicze działanie wód, tryskających w tych okolicach. Od dnia, kiedy nadworny lekarz Henryka VIII zalecił swemu królewskiemu pacjentowi picie wody z tych źródeł, Spa stało się znane na całym świecie. W płaskich, oplecionych wikliną butelkach wysyłano wodę we wszystkie

strony świata. W 1717 roku swą wizytą zaszczylił miasto car Piotr Wielki. Otoczona awanturnikami i darmozjadami arystokracja europejska poszła za jego przykładem - mężowie stanu, słynni uczeni, artyści i damy z królewskich rodów przechadzali się od źródła do źródła, z laskami w jednej i kubkami w drugiej dłoni chciwie pijąc cudowną wodę, która cieszyła się nawet sławą jako remedium na sercowe kłopoty. *Bobelins* - tak nazywali ich mieszkańcy miasta. Była tylko jedna surowa zasada zachowania, którą *Bobelins* musieli przestrzegać: poważne sprawy były tu nie na miejscu. Spokój, harmonia i folgowanie sobie były warunkami leczenia. Szereg nazwisk: Descartes, Krystyna królowa Szwecji, Bollandius, margrabia brandenburski, książę Orleanu, Paulina Bonaparte... Anna dla ochłody wachlowała się ręką. No tak, oczywiście, tylko bogaci mogli sobie pozwolić na taką kurację, mieli mnóstwo czasu, a służba tymczasem harowała. To właściwie cud, że w ogóle chorowali, od wczesnego dzieciństwa dobrze się odżywiali, uprawiali sporty, nie musieli pchać taczek z gnojem...

Lotta głucha na filipikę Anny, pochyliła się nad szkatułką, na której dwie damy z zasznurowanymi taliami i szerokimi kapeluszami pełnymi kołyszących się piór, popijały wodę ze szklanek. - No popatrz - pociągnęła Annę za rękaw - jaka to była elegancka moda, prawdziwie kobieca sylwetka, tamte kobiety miały styl...

- Oczywiście, miały styl - uniosła się Anna - tak je wychowano. Pracowałam u nich całe lata, wiem dokładnie, jakie są. To tylko fasada - ani o włos nie byli lepsi od nas, ci ludzie szlachetni na pokaz. Czuję, że znajduję się o całe niebo wyżej, niż ta tak zwana elita.

Lotta ciągnęła ją od jednej witryny do drugiej. Nie pozwalała, by gderanie Anny na arystokrację zepsuło jej przyjemność. Chciała się zwyczajnie nacieszyć cudownymi rekwizytami, którymi otaczali się ludzie należący do tej klasy - ówczesne życie wydawało się jej o wiele bardziej intensywne i barwne niż obecnie. Nagle znalazły się na powrót w holu. Stara kobieta zasnęła, a może umarła. Opuściły muzeum - wiatr zagnał je dwie przecznice dalej, do znanej im już cukierni, gdzie znów usiadły pod paskudnym świecznikiem z kutego żelaza i zamówiły *merveilleux*, tym razem z kokosem.

Po francuskiej kampanii wojennej rodzina powróciła ze Wschodu - Führerowi znów się udało! Szampan płynął strumieniami, upojenie zwycięstwem trwało do pierwszych nalotów angielskich bombowców na Kolonię. Anna próbowała nauczyć się pływać - dryfowała na plecach w basenie przeciwpożarowym i mrużąc oczy spoglądała na błękitne niebo. Nieważkość... nie istnieć, a jednak być obecnym... na chwilę zapomnieć, że Martin ze swoją jednostką jest w Polsce. Po pierwszych spotkaniach, które z perspektywy czasu zdawały się rozgrywać raczej we śnie niż na jawie, dopiero w listach dostarczanych przez *Feldpost* stał się zwykłym człowiekiem - w doborze słów, obserwacjach: tysiącletnie drzewo

w Odrzywole, bogato złocony barokowy kościół we wsi, w której mieszkało więcej świń niż ludzi, stary, zgrzybiały mężczyzna, który sepleniąc trzy słowa po niemiecku, zaklinał się, że już jego przodkowie stali na barykadzie z Garibaldim, kraina setek jezior odbijających niebo, tak że w końcu nie wiadomo gdzie góra, gdzie dół o działaniach wojennych nigdy nie napomykał, za to często o ślubie - jego oświadczenia były pełne wiedeńskiej gracji i elegancji. Od chwili, gdy ujrzał ją po drugiej stronie parkietu stojącą w błękitnej sukience, bez cienia kokieterii, w lekko agresywnej pozie: „Tylko się nie zbliżaj”, był już tego pewien. Na następnej przepustce chciał prosić jej ojca o jej rękę. Ale on nie żyje, oponowała. A może jej opiekun? Ten znów był dla niej jak umarły. On jednak musiał przecież poprosić kogoś o jej rękę. Upór w tej kwestii uważała za staromodny, choć wzruszający i zaproponowała, by wuj Franz wziął na siebie tę rolę. Myśl o ślubie wydawała się jej tak niedorzeczna, że co jakiś czas budziła w niej głośny śmiech. Wyjdę za mąż, mówiła sobie. Brzmiało to jakby dotyczyło kogoś innego - coś takiego jak zamążpójście w żadnym wypadku nie mogło mieć z nią nic wspólnego. W tym samym czasie zdała sobie jednak sprawę z powagi takiego związku, który znajduje wyraz w stereotypowych wyrażeniach: jedno ciało i jedna dusza - dopóki śmierć nas nie rozłączy... Nigdy więcej sama - jej los na zawsze zostanie związany z jego losem, w praktycznym i metafizycznym sensie. Nie będzie już więcej „pokojówką pani...” lecz „panią...”. Jednakże silniejsze niż te rozważania było uczucie poddania się losowi - wszystko, co miało się stać, tak czy owak się stanie.

Pewnego wrześniowego popołudnia Martin cały i zdrowy wysiadł z pociągu. Dym lokomotywy zawisł pod zadaszeniem. Anna rozkaszała się, gdy ją obejmował. Później przytrzymał na odległość wyciągniętych ramion, aby się jej przyjrzeć. Przeraziła się. Przez okres nieobecności stał się przejrzysty w dosłownym znaczeniu tego słowa. Na papierze był jej bliski jak ktoś, kogo zna już od dziecka, ktoś dla kogo żaden drobiazg nie był nieważny. Teraz wszystko błyskawicznie się odwróciło: stary przyjaciel z listów zniknął, jego miejsce zajął żołnierz z ogorzałą twarzą i błyszczącymi oczyma. Chcąc ukryć zakłopotanie zaczęła torować sobie drogę przez zbity tłum, idąc przed nim w kierunku wyjścia.

Kucharkę, służącą, guwernantkę, praczkę - wszystkie je znów ujął uprzejmością, nienaganną powierzchownością oraz wyjątkową mieszaniną naturalnej wyższości i młodości. Kiedy dowiedziały się o planowanych zaręczynach, zaczęły traktować Annę z respektem. Frau von Garlitz zorganizowała dla nich dwa pokoje w małym hoteliku w górach Eifel; uważała bowiem, że po wszystkich tych miesiącach rozłąki i niepewności, zasłużyli na niczym niezakłócone bycie ze sobą.

Pociąg włókł się z przerwami w kierunku południowym, mijając krajobraz, podpalony

przez jesień. Kuzyn właściciela hotelu, który był na froncie, odebrał ich ze stacji rozklekotanym koczem, przez lata przechowywanym jako muzealna pamiątka, teraz zastępującym zarekwirowane auto. Turkot kół, leśne powietrze i nieznanym cel. Anna spodziewała się w każdej chwili, że za zakrętem, na szczycie wzniesienia ujrzy żeński klasztor, a obok niego zamek von Zitsewitsa. Jedno spojrzenie na profil Martina z powrotem sprowadziło ją do roku 1940 - czasy się zmieniły, nie oglądać się za siebie. Pod jego opieką dałaby się zawieźć w każde miejsce. O ile do tej pory unikała w duchu, na ile to było możliwe, rzeczywistości, z którą była konfrontowana i dla zrekompensowania jej paktowała z światem literackiej fantazji, to teraz, uderzając przy każdym wyboju w nieutwardzonej drodze o Martina, czuła się pogodzona z codziennością - kochała nawet te wyboje na drodze, które powodowały, że stale go potrącała.

W hotelu panowała atmosfera ujmującej, niegdysiejszej wytworności. Jako jedyni goście zasiedli do kolacji w wysłużonej jadalni, choć w towarzystwie niewidzialnej elity, która szepcząc posilała się przy stolikach rozstawionych między zakurzonymi palmami. Dzięki radiu właścicielka była na bieżąco informowana o zagrożeniu nadciągającym w nocy z morza w kierunku Niemiec. Zamiast spokojnej muzyki smyczkowej, posiłek wielokrotnie w ciągu wieczoru uświetniło słynne tak tak, poprzedzające doniesienie o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Zdecydowani, by tego jedynego, danego im wieczora, nie dać sobie popsuć żadną katastrofą, pozwolili kobiecie zaprowadzić się do swych pokoi, znajdujących się dokładnie na dwóch przeciwległych krańcach długiego korytarza, tak jakby gospodyni chciała utrzymać w równowadze wagę o wyjątkowej czułości.

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi i Martin zaskoczył ją butelką szampana. Siedząc na brzegu łóżka opróżnili ją w lekkomyślnym tempie. Wojna znikła z ich świadomości. Oswobodzonych od otaczającego świata, wolnych od czasu, w pokoju należącym do kogoś innego, wśród przedmiotów, które przed nimi oglądało tysiące obcych oczu, opanowało ich uczucie wolności. Uniesieni musującym szampanem oraz przyprawiającą o zawrót głowy lekkością, dotknęli się. Drżącymi palcami począł ją rozbierać, starannie drapując jej rzeczy na oparciu krzesła. Dygocząc wślizgnęli się do łóżka, naciągając na siebie koldrę. - *Ich habe noch nie mit einer Frau...*¹ - wyznał jej do ucha. - Jego wzwidziony członek jakby jej coś przypomniawszy, stanowił ostrzeżenie, reminiscencję nie mającą nic wspólnego z tu i teraz. Odurzona niejasnymi obrazami wspomnień, leżała nieruchomo, on tymczasem rozpoznawał ustami jej ciało. Mógł z nim robić co chciał, to ciało

¹ (niem.) - Jeszcze nigdy z kobietą...

nie było dla niej wiele warte - od dawna inni nim dysponowali.

- Niebo, Martin, popatrz, niebo! - Anna podniosła głowę z jego piersi. Wyszli z łóżka i podeszli do okna. Na północy, za wzgórzami, na wszystkie kierunki rozchodził się wachlarz czerwonej pożogi. Słychać było głucho dudnienie, jakby nadciągała burza, albo jakby bito w bębny. Anna odczuła przypływ ogromnego wstrętu do tych, co na horyzoncie burzyli porządek, oraz do nieubłaganego pracodawcy, który w każdej chwili mógł wezwać Martina. - Pali się tak czy owak - powiedziała. - Chodź. - Energicznym ruchem zasunęła zasłony i pociągnęła go z powrotem do łóżka, pod obraz osnutej mgłą Lorelei, co na złowieszczej skale czesała złote włosy.

Kilkumetrowa góra ruin blokowała szyny tramwajowe, pasażerowie wysiadali i dalej wspinali się już po krętych ścieżkach, jakie w przeciągu kilku dni powstały wśród zgliszcz. Trasa prowadziła między wypalonymi blokami mieszkalnymi, tylko co poniektóre ich okopcone fasady stały prosto. Anna przypomniała sobie pewien wers Schillera. *In den öden Fensterhöhlen wohnt das Grauen...*¹ We framudze nienaruszonego okna powiewały zasłony, nieco dalej całkowicie zburzona fasada odsłaniała, jak w domku dla lalek, całkowicie urządzone piętra, których mieszkańcy nie wrócili, by leżący na fortepianie żyrandol z powrotem powiesić na miejsce. W zrujnowanym schemacie ulic zgubili się, pewien człowiek ze spoconą twarzą usuwający gruz, wskazał im drogę. Normalność zadziwiała, ale życie znów toczyło się swoim torem - miast odgłosów eksplozji, walących się budynków, rozszalałego morza ognia, okrzyków trwogi i lamentów, panował zwykły miejski zgiełk. Z siatkami na zakupy ludzie chodzili po ruinach, pod którymi być może leżeli jeszcze ich sąsiedzi.

Ciocia Vicki sprawiała wrażenie, jakby ze strachu straciła coś ze swej gadatliwości. Wuj Franz był jak zawsze spokojny i opanowany - nawet gdyby wzięto pod ostrzał szpital, musiał być spokojny i opanowany. Podczas kolacji rzucił Annie pełne aprobaty spojrzenie: *bravo Mädchen*, przyprowadziłaś wspaniałego chłopaka. Także ciocia Vicki jaśniała radością: Martin był taki uprzejmy i ułożony - mężczyzna, który w naturalny sposób wie, co wypada w towarzystwie kobiety. Na cześć Austriaka wuj Franz puszczał operetkowe szlagiery, dopóki w połowie *Mein Liebeslied muss ein Walzer sein*² nie zawyły syreny. Ciocia Vicki jak zaprogramowana pobiegła do pokoju dziecinnego, chwyciła z łóżka śpiące dziecko i pobiegła z nim do piwnicy. Odruchowo podążyli za nią. Wszędzie panował tumult pośpiesznych

¹ (niem.) - W pustych oknach z jękiem siada / Duch rozpaczy... *Pieśń o dzwonie* Fryderyka Schillera (w tłum. Bogusława Butrymowicza)

² (niem.) - Moją pieśnią miłosną musi być walc - kompozycja Roberta Stolza ze śpiewogry Im Weissen Rössl.

kroków i głosów. Usiedli na podłodze w kącie, tam gdzie było jeszcze miejsce. Anna zalekniona spoglądała w górę na rury gazowe i kanalizacyjne i wyobraziła sobie jeśli rury pękną, wszyscy bez wyjątku zginą w brei ekskrementów. Perspektywa była tak odrażająca, że w duchu modliła się, że jeśli już miałyby trafić w rury, to najlepiej gazowe. Ewentualność ta uspokajała ją; za każdym razem, gdy myśl o kanalizacji przeważała, odprawiała rytuał zaklęcia za pomocą wyobrażenia gazu. Na razie jednak nie zdarzyło się nic. Dziecko ciotki Vicki spało jeszcze - trudno sobie wyobrazić, by ktoś chciał zabić takiego lnianowłosego aniołka z delikatnie drżącymi powiekami. Może było ono talizmanem, dzięki któremu nikogo z jego najbliższego otoczenia nie można było osiągnąć. Widok ten uspił i Annę. Oparła się o Martina i zdrzemnęła się. Gdy grunt zaczął drżeć, spała spokojnie dalej. - Obudź ją! - krzyknęła ciotka Vicki, zaniepokojona myślą, że dorosłą kobietę mogła we śnie spotkać śmierć. W północy Anna usłyszała uspokajający głos Martina: - Pozwól jej spać, jaka to różnica? - Jeszcze jeden wstrząs. Leżała w jego ramionach, więc nie mogło się jej nic przydarzyć.

Uciekając przed ciągłą groźbą angielskich eskadr Frau von Garlitz ostatecznie przeniosła się do majątku ziemskiego swych rodziców w Brandenburgii. Choć jej własny dom znajdował się daleko od centrum, leżącego po drugiej stronie Renu, to jednak graniczące bezpośrednio z parkiem zakłady chemiczne zdawały się atrakcyjnym celem. Martin wrócił do Polski; Anna po raz kolejny została sama jako dozorczyńca - dziwne, bezsensowne zajęcie, długie, bezczynne czekanie - na co? Dawne uczucie, że jest opuszczona przez wszystkich i tkwi w złowrogim otoczeniu nie dawało jej spokoju i pchało od jednego pomieszczenia do drugiego. Nawet biblioteka nie dawała pociechy, jej uwaga ulatywała nad stronicami książek. Wyobrażenia ją zawodziła, z wyjątkiem momentu gdy myślała o różnych sposobach, w jaki sposób mogła spotkać żołnierza. Okazywała wirtuozerską, niewyczerpaną pomysłowość w kreowaniu groźnych scenariuszy, rozgrywających się w nieznanymi miejscach Polski. Prymitywny kraj, mówiono. By wziąć się w garść woskowała antyczne szafy i obsesyjnie je polerowała. Po szafach przysła kolej na belki w powale - wszystko musiało lśnić. Gdy się ściemniało, schodziła na dół do luksusowo urządzonego schronu przeciwlotniczego, gdzie stało jej łóżko. Starła się nie dopuszczać do siebie myśli, że oto schodzi do grobowca, by ułożyć się w swej wyściełanej trumnie, spleść ręce, zamknąć oczy, *so*.

Pod koniec zimy otrzymała polecenie zamknięcia domu i przyjazdu na wschód. By nie zostawić wszystkiego na pastwę losu, zapakowała drogocenne rzeczy: srebra stołowe, kryształ i serwisy, i rozmieściła w świeżo wypolerowanych szafach; pozamykała je, a duże,

żelazne klucze przykleiła plastrem do spodnich desek mebli. Zdjęła zasłony z karniszy, złożyła je i spakowała razem z cenną bielizną do skrzyni. Następnie udała się do ogrodu, by przyjrzeć się raz jeszcze domostwu z pewnej odległości. W bladym świetle marcowego słońca, bez zasłon, wyglądało krucho i przezroczyście. Pozostawiła je na ziemi niczyjej, ogołocone, martwe, zimne we wszystkich pokojach. W takim stopniu, w jakim dom ten zrośnięty był ze swoim miejscem, ona była wykorzeniona: po raz kolejny odchodziła - ciąg wyjazdów i przyjazdów, przyzwyczajania się i odzwyczajania, był coraz dłuższy. Z walizkami w obu rękach schodziła podjazdem, udając się w stronę przystanku tramwajowego. W Kolonii wsiadła do pociągu, który powinien ją zawieźć w kierunku wschodnim.

Przy pierwszym spotkaniu z Berlinem poraziła ją gburowatość jego mieszkańców. Otepiała podróżą, szarpiąc się z walizkami, zagadnęła na peronie dwoje ludzi. - Proszę wybaczyć, czy mogą mi państwo powiedzieć jak dojdę do *Schlesischer Bahnhof*? - Rzucili jej pogardliwe spojrzenie, jakby prosiła o jałmużnę i pospieszyli w stronę schodów. Zwróciła się do innego podróżnego, tym razem bez *Entschuldigung bitte*, ale jeszcze nie skończyła mówić, a on kiwając głową, oddalił się. Teraz porzuciła całą uprzejmość. - *Schlesischer Bahnhof* - Jej głos rozległ się pod zadaszeniem. Mężczyzna w gangsterskim kapeluszu, przystanął i rzucił szyderczo: - *Det steht doch da, könn' Se denn nich kieken?*¹ - Ruchem głowy wskazał jej tablicę, na której wielkimi literami było napisane: SCHLESICHER BAHNHOF.

Zamek przodków położony był nad Odrą, pośrodku rozległych dóbr z wijącymi się drózkami i sadzawkami, rodzinną kaplicą, omszałymi nagrobkami, w cieniu iglaków i cisów. Zwieńczona tympanonem środkowa część budowli, której portal skrywał się za wysokimi, białymi kolumnami, dzieliła fasadę na dwie symetryczne części. Neoklasycystyczną surowość z południowej strony kompensował żółty tynk oraz pasące się wokół tarasów gęsi. Przybycia Anny wyczekiwano niecierpliwie. Rudolf, syn Frau von Garlitz, zachorował na gruźlicę śledziony. Siedmiolatek potrzebował we dnie i w nocy anioła stróża, czuwającego nad jego zaostrzoną dietą i odpoczynkiem oraz przeganiającego nudę czytaniem na głos. Odizolowany od rówieśników, został zamknięty w chorobie stanowiącej niebezpieczeństwo nie tylko dla jego własnego istnienia, ale także zagrażającej oczekiwaniom dziadka, którego był jedynym męskim potomkiem. Staruszek przychodził codziennie i podkrecając końcówki białego wąsa, dowiadywał się o zdrowie wnuka, a Anna każdego dnia musiała zakazywać mu przynoszenia słodczy. Tak oto z anioła stróża stawała się coraz bardziej stróżem więziennym. Wujkowie, ciotki i kuzyni szmuglowali dla więźnia łakocie niczym schowaną w cieście piłę, ale chcąc

¹ (niem. dialekt berliński) - To jest tam napisane, nie widzi pani?

wyzwolić biednego chorego ze ścisłej diety, mimowolnie do jego pokoju przemycali śmierć. Czytała mu ulubione książki, by zapomniał o wyrzuconych słodkościach i by sama mogła zapomnieć, że jedynie czeka na list z Polski. Można powiedzieć, że w czekaniu nabyła już wprawę.

Tymczasem jednak znalazła odpowiedź na pytanie, dlaczego nazwisko jej ojca miało na Frau von Garlitz tak magiczne oddziaływanie. Zapytała o to wprost pana von Falkenau. - Johann Bamberg... *ja... warte mal...*¹ nigdy go nie zapomnę... nadzwyczajny młody człowiek, bardzo oddany i pomysłowy... obmyślał różnorodne ulepszenia w fabryce, dzięki czemu można było pracować efektywniej. - Bacznie przyjrzał się Annie. - Zewnętrznie go pani nie przypomina, lecz wyczuwam u pani to samo zaangażowanie i tę samą nieprzekupność... Niestety, nie dane nam było długo czerpać profitów z pracy pani ojca... przypominam sobie, że zaproponowano mu inne stanowisko... był socjalistą, *na ja*, to była jego sprawa... *ein ausserordentlicher Mensch, dieser Bamberg...*²

- Przecież to wy sami zaczęliście bombardować miasta - powiedziała Lotta. Zdenerwował ją sposób, w jaki Anna mówiła o mieszkańcach Kolonii, przedstawiając ich jako ofiary. Wystarczyło, że pomyślała o bombardowaniu Rotterdamu albo Londynu, a jej współczucie stygło.

- Tak, oczywiście, to my zaczęliśmy - powiedziała Anna.

- W takim razie nie powinniście się dziwić, że odpowiadano wam tym samym.

- Nie dziwiliśmy się, baliśmy się, tak samo jak londyńczycy, gdy siedzieli stłoczeni w schronie przeciwlotniczym. Strach jest przecież uniwersalny!

- Z tą różnicą, że wy zawdzięczaliście go sobie. W końcu sami wybraliście reżim, który nie zawahał się przed bombardowaniem miast.

Anna westchnęła. Położyła pulchne ramiona na stole, pochyliła się do przodu i zmęczona zajrzała Lotcie w oczy. - Przecież ci tłumaczyłam, jak biedny, głupi naród dał się zaślepić. Dlaczego nie chcesz tego zaakceptować? Przecież w ten sposób nigdy nie posuniemy się ani o krok do przodu?!

Lotta podniosła pustą filiżankę. Czuła wzrastającą w niej złość - akurat jej udzielano lekcji! Cóż za impertynencja.

- No, to ja ci teraz szczegółowo opowiem, dlaczego nie mogę tego zaakceptować - odparła wściekła - może wtedy będziesz wreszcie w stanie sama coś pojąć.

¹ (niem.) - tak... niech pomyślę...

² (niem.) - nadzwyczajny człowiek z tego Bamberga

Woda, która chlupała o burtę łodzi, pół roku później skrzypiała jako lód pod ich łyżwami. Ująwszy się za ręce ślizgali się w tym samym rytmie po tafli, jak gdyby byli j e d n y m łyżwiarzem. Oszronione przybrzeżne trzciny i wierzby przesuwały się jak strzała, słońce wisiało nisko na niebie i z wolna stawało się czerwone. Lotta potknęła się o szczerbę w łodzi, David ją podtrzymał. Chwiejąc się na wąskich płozach, stali naprzeciw siebie, on całował jej zimne jak lód usta. - Królowo lodu - szepnął jej na ucho - co byś powiedziała, gdybyśmy się zaręczyli... - Ale - zaczęła Lotta. - Spojrzała na niego ze zdumieniem. On zaśmiał się i pocałował ją w czubek nosa, który od zimna stał się nieczuły. - Przemyśl to jeszcze... - powiedział. Ujął jej dłonie i zygzakiem udali się dalej. Powoli zstąpiła mgła, drobniutkie kropelki deszczu przybrały kolor zachodzącego słońca. Zimno przenikało przez jej ubranie. W jej głowie kołatał się jeden z wersów cyklu pieśni: *In diesem Wetter, in diesem Graus, nie hätt' ich gesendet die Kinder hinaus...*¹

Było już ciemno, gdy wracali na rowerach. Pod jej domem pożegnał się. - Nie chciałem cię przestraszyć - powiedział - ale ja po prostu zwariowałem na twoim punkcie.

Chuchnęła w rękę, on wziął je między swoje i pocierając rozgrzewał. - Przyjdę w sobotę - obiecał - to dokończymy tę rozmowę. - Nie, nie... - powiedziała zmieszana - to znaczy... w sobotę nie mogę... poczekajmy jeszcze trochę... - Pocałował ją beztrąsko. - Dobrze... dobrze... nie musimy się śpieszyć. - Nucąc odjechał, odwrócił się raz jeszcze, by pomachać.

Całymi dniami, nieobecna duchem, zajmowała się rzeczami, które należało załatwić. Takie zakochanie niewciśnięte jeszcze w żadne ramki, mogłoby dla niej trwać bez końca, lubiła to, co skryte, niewyrażone i bolesne. Pojęcie „zaręczyny” wywoływało w niej jakąś nerwowość. Mimo to, wiedziała, że ostatecznie nie powie nie. Zanim jednak ich związek nabierze szybszego tempa i wszyscy zaczną się do niego wtrącać, jeszcze na krótko chciała się oddać tej uczuciowej ambiwalencji i oswojonej samotności. Chyba to wyczuł - nie dawał znaku życia.

Nadszedł kres złudzeniu, że wojna nie będzie aż taka zła. W amsterdamskiej dzielnicy żydowskiej doszło do bijatyk między siejącymi groźę członkami WA - zbrojnego oddziału niderlandzkich narodowych socjalistów - a żydowskimi bojownikami. Jeden z ludzi WA został zabity. W ramach odwetu, 22 lutego aresztowano setki przypadkowych młodych Żydów. W oficjalnym sprawozdaniu przeczytać można było o „okrutnym i bestialskim mordzie, do popełnienia którego zdolni byli jedynie Żydzi”, lecz nielegalna gazeta „Het

¹ (niem.) - W taką pogodę, w taką szarugę/nie siałbym dziatek na deszczu strugę...

Parool” odmitologizowała sprawę: był to przypadek zabójstwa w zwyczajnej bójce - zwłoki zostały znalezione z pałąk w dłoni! Ojciec Lotty przyniósł do domu manifest, działającej w podziemiu partii komunistycznej, w którym wzywano do przeciwstawiania się pogromom Żydów: „Strajkujcie!!! Strajkujcie!!! Strajkujcie!!!” zagrzewano lud pracujący. Strajki, które potem wybuchły w różnych miejscach kraju, Niemcy tłumili egzekucjami. Pozornie powrócił spokój.

Akurat wtedy, gdy Lotta zaczęła się niepokoić - trwało to już strasznie długo - zadzwonił do niej ojciec Davida. Przytłumionym głosem zapytał, czy mogliby, on wraz z małżonką, wpaść jeszcze tego samego wieczora, mieli z nią coś omówić. Krew uderzyła jej do głowy. Dlaczego David wysyłał rodziców, zamiast przyjść sam? Po wszystkim, co o nich naopowiadał? Zostali uroczyście przyjęci (słynny śpiewak!). Ojciec Lotty, milcząc, uściśnął im dłoń, śpiewak uśmiechnął się smutno, a jego uwodzicielski wąsik zamienił się w kreskę. Przebiegł wzrokiem po czterech siostrach: - A która z was to Lotta? - Lotta z wahaniem skinęła głową. Matka Davida pospieszyła do niej, schwyciła jej rękę i mocno je uściśnęła. Owładnięta przez emocje, otworzyła torebkę z krokodylej skóry, by wyjąć chusteczkę. - Zupełnie nie wiedzieliśmy, że miał dziewczynę... - powiedziała wzruszona.

Kiedy usiedli, jej mąż zabrał głos. Powodem ich wizyty była kartka pocztowa od Davida z Buchenwaldu. Prosił swoich rodziców, by pozdrowili od niego Lotte, ponieważ nie mógł się z nią pożegnać. - Buchen... wald...? - wyjąkała Lotta. De Vries przełknął i przesunął ręką po czole w geście rozpaczliwej rezygnacji. Nie podnosząc wzroku wyjaśnił, że David 22 lutego w sobotę został aresztowany w amsterdamskiej dzielnicy żydowskiej, gdzie muzykował z grupą przyjaciół. Nagle zjawiała się *Grüne Polizei*¹ i musieli się ustawić plecami do ściany. - *Wer von euch ist Jude?*² - krzyczano. Bez chwili zastanowienia, najprawdopodobniej głowę zaprzętała mu jeszcze muzyka, David wystąpił do przodu. Dwaj inni Żydzi w tej grupie trzymali rozważnie język za zębami. Dostarczono go na Jonas Daniël Meijerplein, gdzie czekało już wielu jemu podobnych. Bez oskarżenia, bez jakiegokolwiek formy procesu, deportowano ich do jakiegoś obozu w Niemczech.

Matka Davida szlochała w chusteczkę. Zrozpaczony ojciec, rozglądając się dokoła, dodawał sobie otuchy: - Zobaczysz, po kilku miesiącach obozu pracy wyślą chłopaków do domu. Niemcy chcieli ich ukarać dla przykładu: zapamiętajcie to sobie, żadnych zamieszek. David jest zdrowy, uprawiał dużo sportu... Tam też nie jest mu źle... tutaj, przeczytaj tylko...

Lotta przebiegła oczyma kilka skąpych linijek na kartce pocztowej pokrytej

¹ (niem.) - niemiecka służba porządkowa, od koloru mundurów nazywana „zieloną policją”.

² (niem.) - Który z was jest Żydem?

stemplami: *...es geht mir gut, wir arbeiten tüchtig...*¹ On miał tę kartkę w swoich rękach. Było w tym coś zatrważającego, kartka mogła swobodnie opuścić obóz i znaleźć drogę do domu, podczas gdy jej nadawca był więziony. Nie od razu jednak zdała sobie całkowicie sprawę z powagi sytuacji. Było to tak dziwaczne, tak absurdalne, bezsensowne, że aż niepojęte. Mimowolnie spojrzała na pianino - nuty były jeszcze otwarte na stronie, na której skończyli ćwiczyć. Wszystko w niej wzbraniało się przed myślą, że zniknął ot tak, po prostu. Poza tym od razu wmówiła sobie, że obóz pracy to pewien rodzaj obozu dla skautów - rąbanie drzew na wolnym powietrzu, flancowanie drzew...

- Wysyłamy mu kartkę - powiedział jego ojciec - chciałabyś coś dopisać? „Kochany Davidzie...”, napisała małutkimi literkami na dolnym skraju zapełnionej pismem kartki. Jej pióro zawisło w powietrzu. Czuła na sobie spojrzenie jego ojca, jakby prowadzące jej pióro. Najchętniej napisałaby w tajemnym języku, coś osobistego, coś ważnego. Wpadło jej do głowy zdanie z cyklu pieśni - bez zastanawiania się sparafrazowała je: *... Ich hoffe, du bist nur ausgegangen, bald wirst du wieder nach Hause gelangen...*² Kiedy przeczytała to zdanie raz jeszcze, zrodził się w niej nagle gwałtowny strach. Co też na miłość boską napisała? Cytat z pieśni żałobnej, elegii. Za późno, za późno, aby cokolwiek jeszcze zmienić. Drżącą ręką podała kartkę. Nie wytrzymała dłużej atmosfery w pokoju, spojrzenia jego rodziców ścisnęły jej serce, nie mogła też znieść współczucia swoich rodziców... świat dopuszczający, by ktoś ot tak zniknął, obezwładniał ją. Wstała nagle i bez grzecznościowych formułek wybiegła z pokoju, przez korytarz na dwór. Z bijącym sercem upadła na stopień altany. Niczym wolno działająca trucizna, zaczęło do niej docierać coś, co było nie do zniesienia prawie tak samo jak zniknięcie Davida: tego dwudziestego drugiego lutego byłby u niej... gdyby tylko tego chciała.

Tygodniami poddawała się surowej autoanalizie, kładła na łożu tortur: dlaczego spontanicznie nie przystała na jego propozycję? Po co chciała sobie koniecznie zostawić furtkę, dla zachowania pozorów... chciała go wystawić na próbę, podrażnić... na co te wszystkie zastrzeżenia? Zadręczała się pytaniami, na które nie знаła odpowiedzi, a przez które obraz jej samej stawał się coraz bardziej potworny i za każdym razem dochodziła do niechybnie tych samych, bezwzględnych konkluzji.

Znów zadzwonił jego ojciec. Otrzymali drugą kartkę, tym razem z Mauthausen, z zagadkowym tekstem: *Wenn ich nicht schnell mein Segelschiff bekomme, dann ist es zu spät.*³

¹ (niem.) - idzie mi dobrze, pracujemy porządnie

² (niem.) - Mam nadzieję, że wyszedłeś tylko /i wrócisz do domu za małą chwilkę...

³ (niem.) - Jeśli szybko nie otrzymam żagłówek, to będzie za późno.

Rozpaczliwie wołał: - On błaga nas o pomoc, mój chłopiec, ale co ja mogę zrobić? Chciałbym móc się z nim zamienić miejscami - jestem starym mężczyzną, a on ma jeszcze całe życie przed sobą... - Lotta na próżno szukała słów - zawsze gdy naprawdę jej na tym zależało, okazywało się, że takich nie ma. Jeśli David nie przeżyje, to cała idea sprawiedliwości okaże się ułudą - wtedy zapanuje tylko samowola i chaos, a człowiek ze wszystkimi swoimi planami, oczekiwaniami, nadziejami i fantazjami nie będzie znaczył nic a nic. W nocy przepłynął przez jej sny statek pod pełnymi żaglami, Loosrechtse Plassen rozciągnęły się do oceanu - raz siedział u steru promieniujący i opalony na brązowo, to znowu wpadłszy do wody, czepiał się sztywnymi palcami burty i próbował usilnie dostać się na łódź, podczas gdy ona się temu przyglądała.

Od jego ojca otrzymała niedawno zrobioną fotografię. Z dotkliwą ufnością David uśmiechał się do obiektywu. Tę naiwność przypłacił wolnością, może życiem. W nieodpowiednim momencie był w nieodpowiednim miejscu - ta myśl towarzyszyła jej za każdym razem, kiedy spoglądała na fotografię. Z pietyzmu nie podarła jej i zmuszała się wciąż na nowo, by na nią patrzeć. Beztrąsko machając, David odjechał na rowerze z jej życia; ten ruch jego ramienia, w tę i tamtą stronę, zapadł jej najbardziej w pamięci, jakby ów gest wyrażał coś wielkiej wagi. I co nucił, znikając w ciemności?

Muzyka ją irytowała. Wszystkie te melodie, takty, tonacje, subtelności wydały jej się śmieszne - beużyteczna ozdoba, fałszywe uczucia. W wysokich partiach głos odmawiał jej posłuszeństwa, w niskich wibrował niepewnie. Catharina Metz odesłała ją do domu: - Najpierw dojdź do siebie.

4.

Skąd brała się ta cała woda i dokąd płynęła? Anna leżała w wannie z błyszczącej miedzi, pęcherzyki powietrza osadzały się na jej skórze i tworzyły siatkę drobnych łusek. Jej ciało, blade i rybnie, leżało w wodzie. Musiał to być wymyślny system rur, dzięki czemu woda ze źródeł płynęła do zakładu kąpielowego i poprzez wanny znów odpływała - ciało, które przez pół godziny opływała, było jedynie stacją pośrednią. Cała ta woda, niewidoczna, niesłyszalnie płynąca, była jak krew w żyłach, przepompowywana przez serce zakładu kąpielowego. W ilu butelkach wody mineralnej leżę, zastanawiała się.

Dawno temu to samo ciało kąpało się w wanience na podłodze w kuchni, a wujek Heinrich bębnił szyderczo w zamknięte drzwi: - Musisz być bardzo brudna, skoro kąpiesz się co tydzień. Zdawało się, że w łaźni tej panuje napięta cisza, jak gdyby kuracjusze z przeszłości byli niewidocznie obecni i bojaźliwie czuwali, by się nie ujawnić. Jacy słynni nieboszczycy korzystali z tej łaźni i ilu? Czy pozostały tu ich myśli i dlatego cisza była grobowa? Pewnie nie były to najpiękniejsze myśli, roześmiała się w duchu.

Od tych nieznanych zmarłych był już tylko mały krok do zmarłych Lotty. Wstyd, wściekłość, smutek całą noc nie dawały Annie spać. Jesteśmy jednak siostrami, powtarzała uparcie. Czy wraz ze starością nie powinna przyjść łagodność i mądrość? Jeśli nam dwóm nie uda się pokonać tych barier, to jak ma się to udać innym? Wtedy na zawsze zapanuje na świecie zawziętość, a czas każdej wojny będzie można wydłużyć przynajmniej o cztery generacje. Oczywiście, Niemcy wszystkimi swoimi pieniędzmi wymusili pojednanie, ale wystarczył jeden mecz piłki nożnej, by pokazać, że dawna wrogość jest jeszcze bardzo żywa.

Coś w sposobie padania światła, w zielonym refleksie kafla, w spokojnym odosobnieniu, przeniosło ją z powrotem do kasyna. Naprzeciw niej, w wannie na lwich łapach siedziała Lotta, ciemnowłosa kobieta (ciocia Käthe?) pochylała się nad nimi i z niebieskiego emaliowanego dzbanka polewała je po plecach cienką stróżką zimnej wody. Na przemian wzdrygały się z rozkoszy. Widziała przed sobą Lottę bardzo dokładnie, mokre, ciemne włosy, mocno zaciśnięte oczy - obraz był wyraźny, bardziej realistyczny niż Lotty z poprzedniego dnia siedzącej naprzeciwko niej przy stole. Tu wszystko jeszcze jest, myślała zdumiona. Nawet jeśli bombardowania nie oszczędziły żadnego kafla, żadnego kamienia kasyna, to w mojej głowie wszystko to jeszcze trwa, minione lata okazują się bez znaczenia.

Tego, co uczyniła nam historia, myślała, nie da się zmierzyć żadną miarą. Cierpienie nas nie dzieli, lecz łączy - tak jak wtedy łączyła nas radość. Przekonanie to, jak niedorzeczne by było, przynosiło jej ulgę. W tej samej chwili nadeszła kobieta w kitlu, miała jej pomóc wyjść z kąpieli. W zapraszającym gości wyciągnęła do Anny rękę. Bez dziwnych podskoków, prosto i z godnością, przekroczyła krawędź wanny. Jak Paulina Bonaparte, obsługiwana przez swą pokojówkę, zachichotała pod nosem.

Późnym przedpołudniem spotkały się w kawiarni. Choć drzwi były zawsze zapraszająco otwarte, nigdy nikogo tam jeszcze nie spotkały. Od czasu do czasu - styczeń był sezonem ogórkowym - jakiś kuracjusz poczłapał przez labirynt korytarzy, najczęściej jednak było tam pusto i cicho.

- Tak źle spałam - wyznała Anna - całą noc widziałam przed sobą obraz młodego mężczyzny, który niczego nie podejrzewając, wystąpił do przodu.

Lotta, nieobecna duchem, kiwała głową i popijała na przemian kawę i wodę źródlaną. Annę ogarnęło wrażenie, że nie chce o tym dalej mówić.

- Nie chciałabym sprawiać wrażenia, że chcę się z tobą licytować na nieszczęścia, które nas spotkały... - zaczęła ostrożnie - ale mój mąż także zginął, w tej samej gównianej wojnie, po tym jak latami żyłam w strachu...

W jadalni zabrzmiały pierwsze takty Symfonii losu Beethovena. Ta ta ta ta... *Das Oberkommando der Wehrmacht gibt bekannt: Die achtundzwanzigste Infanteriedivision auf dem Vormarsch nach Russland...*¹ Anna szykowała właśnie chleb dla Rudolfa. Powoli rozsmarowywała na nim masło zmieszane ze łzami. Stary von Falkenau, który siedział naprzeciw niej jedząc śniadanie, przyglądał się jej ze współczuciem. - Proszę nie płakać, *Fräulein* - pokiwał głową - pani narzeczony nie służy przecież w piechocie! W oddziałach łączności w ogóle nie jest wystawiony na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Zresztą, sama pani zobaczy, za sześć tygodni będzie po całej tej operacji. Myśli pani, że ten naród będzie się bronił? Ci ludzie się cieszą, że zostaną uwolnieni od komunizmu. - Anna uśmiechała się przygnębiona. Chociaż von Falkenau, stary wojak z koneksjami w najwyższych kręgach wojskowych, miał informacje z pierwszej ręki, żaden z jego uspokajających komentarzy nie mógł jej uspokoić. Czymże był jeden żołnierz wśród milionów innych - jedynie pyłkiem na wietrze nad tundrą, w bezkresnym kraju, gdzie słońce wschodziło, kiedy na drugiej stronie zachodziło. To była nierzeczywista wojna, wyrażająca się głównie w nieskończenie wielkich liczbach, przekraczających możliwości pojmowania: Ta ta ta ta... *Das Oberkommando der Wehrmacht gibt bekannt...*: trzydzieści tysięcy rosyjskich jeńców wojennych, czterdzieści tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy. Co z nimi się działo, z czego żyli? Pytania, które człowiek myślący praktycznie stawiał sobie, w swojej naiwności. Tymczasem triumfalna gadanina z radia sączyła się przez otwarte drzwi do ogrodu i pobudzała róże do szaleńczego kwitnienia. Gdy wreszcie już nadszedł jakiś list, to był sprzed czternastu dni. A w tym czasie Martin mógł już zginąć. Chodziła do pobliskiego miasteczka oglądać *Wochenschau*, czytała gazetę, lecz im bardziej się starała ocenić jego szanse przeżycia na podstawie posuwających się wojsk, tym bardziej czuła się bezsilnym obserwatorem. Siedzieć w domu i nie móc nic zrobić - front, o którym się nie mówiło.

Pod koniec października nadszedł telegram. „Przyjedź proszę do Wiednia. Natychmiast. Bierzemy ślub”. Jej walizka, zawierająca własnoręcznie uszytą suknię ślubną i

¹ (niem.) - Naczelne dowództwo Wehrmachtu ogłasza: Dwudziesta ósma dywizja piechoty w natarciu na Rosję

urzędowo poświadczony dowód aryjskości, była już od miesiący spakowana. Pośpiesznie wyruszyła do Wiednia. Wysiadając zawahała się. Na moment, silny prąd powietrza wepchnął ją z powrotem do pociągu. Martin naprawdę stał przed nią, choć w jej wyobraźni umarł setką śmierci. Znow tu był, z powrotem z bezkresu, w którym zwyczajny człowiek by się zgubił. Czas i przestrzeń sprowadziły go tu, jak gdyby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Został oflankowany przez rodziców. Przez chwilę zazdrościła mu, że ma dwoje rodziców, z którymi mógł na nią czekać: patrzcie, to ona. Ojciec i syn byli w garniturach i kapeluszach, Martina był przekrzywiony, a u ojca leżał równo na głowie. Ojciec - szczupły i młodzieńczy, ale w cieniu ronda kapelusza kryła się pełna troski rysa, przecinająca twarz, jakby ciągle patrzył w ostre słońce. Matka także sprawiała wrażenie, że życie wymaga od niej ponadludzkiego wysiłku. Mocno zaciskała usta, jakby nadmuchiwała balon; ondulowane, czarne włosy nosiła na głowie jak kaptur. Pomiedzy tymi dwiema osobami, wyraźnie się ignorującymi, stał Martin i promieniał.

Na szerokiej, bezdrzewnej ulicy handlowej turkotały tramwaje. Przed szarym, masywnym, sześciopiętrowym budynkiem ojciec się pożegnał. Pora wracać do żony, wyjaśnił uprzejmie - zresztą ona zaprasza parę serdecznie do siebie. Anna spoglądała ze zdziwieniem, to na jednego, to na drugiego. Dlaczego Martin nie powiedział jej, że jego rodzice się rozwiedli? Ojciec uchylił kapelusza i powędrował na przystanek tramwajowy. We trójkę wspięli się schodami do mieszkania, w którym Martin dorastał - na pierwszym piętrze, nad drogerią. Anna, przywykła do obszernych pokoi z cennymi dywanami, antycznymi meblami, obrazami i portretami rodzinnymi, wzdrygnęła się wchodząc do małego pokoju pełnego rupieci.

Odprawiwszy Martina po sprawunki, matka zaprowadziła Annę, z przesadną uprzejmością, do pokoju gościnnego. - No tak - powiedziała zadowolona zamykając drzwi - teraz przez chwilę możemy porozmawiać sam na sam, jak kobieta z kobietą. Posłuchaj. Chciałabym cię ostrzec, dla twego dobra. Nie wychodź za męża. Zrezygnuj ze ślubu, póki czas. Małżeństwo to wynalazek mężczyzn, tylko oni czerpią z niego korzyści. Dzięki tej jednej transakcji wchodzi w wyłączne posiadanie matki, dziwki, kucharki, sprzątaczk. Wszystko w jednej osobie i do tego za darmo. O kobiecie się nie mówi. Jest porządnie zamknięta, na tych paru metrach kwadratowych, ze skąpym budżetem domowym. Na całego wpadła w sidła, lecz gdy się o tym przekona, jest już za późno. Nie rób tego, dziecko, bądź rozsądna, mówię ci to z przyjaźni. - Anna próbowała uwolnić się od tych czarnych, hipnotyzujących oczu. - Zapewniam panią, że bardzo kocham Martina... - przysięgała jej. - Ach miłość...! - odparła kobieta lekceważąco - wszystko to kłamstwo i obłuda, by kobiety zbałamucić. - Drżącymi

ręko ma Anna otworzyła walizkę i na chybił trafił wyciągnęła jakąś bluzkę. - Pani wybaczy - powiedziała nieśmiało - chętnie bym się przebrała. - Przemyśl to! - Kobieta triumfalnie opuściła pokój. Anna przysiadła na skraju łóżka. Uważa, że nie jestem tą właściwą. To była jej pierwsza myśl. Co to za matka, która plany swego syna próbuje pokrzyżować za jego plecami? Planu żołnierza, który wkrótce musi wrócić na wojnę! Zszokowana wlepiła oczy w suknię ślubną i pograżyła się w zamęcie myśli i rozważań, dopóki pełen niecierpliwej radości Martin, nie zapukał do jej drzwi. - *Darf ich reinkommen?*¹ Postanowiła mężnie trzymać język za zębami.

Po kolacji matka postawiła przed synem porcelanową kompotierkę z kwiatowym motywem. - Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę, mój chłopcze, coś, co strasznie lubisz. Z tajemniczym uśmieszkiem wyczarowała wek i zaczęła nakładać kompot morelowy. - Anna niczego nie dostanie? - zapytał Martin. - Ależ ja zachowałam to specjalnie dla Ciebie... - Jej oczy zabłysnęły filuternie, a zarazem zaczepnie. Martin westchnął. - Chciałbym, byś dostawiła jeszcze jedną kompotierkę. - Matka stała nieporuszona. W przeładowanych pokojach była cesarzową, a kto odważył się wejść na jej terytorium, narażony był na dziwaczne próbki wykolejonej matczynej miłości. Nie była już teraz zaczepna, tylko urażona. - *Ach so...* więc i dla niej mam... - Bo inaczej nawet nie spróbuję.

Poza tymi czterema pokojami matka nie miała nad nimi żadnej władzy. Odetchnęli wychodząc na miasto, które z kokieterią prezentowało swoje kościoły, pałace, symetryczne parki i stawy, ogrody botaniczne i oranżerie, cukiernie. Więc to było jego miasto, odzwierciedlenie jej przyszłości. Tu zamieszka, jak tylko skończy się wojna. W muzeum podziwiali skarby Habsburgów, ze wzgórza Leopolda spoglądali ponad dachami na widok w dali. Bilety do opery i teatru były artykułami deficytowymi, lecz nie dla żołnierza na przepustce. Na każde przedstawienie, na które szli, zapraszał też swoją matkę. Ona zaś każdorazowo nalegała na to, by mogła jej towarzyszyć serdeczna przyjaciółka, pulchna, egzaltowana wiedeńska w powodzi falbanek i koronek, podczas przedstawień przekonana o tym, że musi się z nimi dzielić wszystkimi myślami, które błąkały się jej po głowie. - Mamo - powiedział w końcu Martin - zapraszam Cię przecież z miłą chęcią, ale przepraszam, czy za każdym razem Twoja przyjaciółka musi nam towarzyszyć? - Więc nie odpowiada Ci moja przyjaciółka? - obrażona uniosła brodę. - Ty mnie przecież także nie pytałeś o pozwolenie, gdy wybierałeś swoją. - W sypialni Martin przeprosił za zachowanie matki. Zmęczony spojrzał na Annę: - Bardzo mi przykro, ale nie bierz jej tego za złe. Jest taka od dnia, w

¹ (niem.) - Czy mogę wejść?

którym opuścił ją mój ojciec. Byłem wtedy jeszcze mały. Nigdy nie była normalną matką... taką, jaka powinna być matka. Zawsze chciała mnie mieć na własność, jak tyran. By się na nim zemścić, na ojcu. Nic się z tym nie da zrobić, po prostu tak już jest.

Uczucie radosnego oczekiwania, obudzone w Annie przez to miasto, stopniowo zanikało. Miała wrażenie, że jej teściowa, z rozpostartymi skrzydłami, unosiła się nad nimi w powietrzu - dokądkolwiek by poszli, na każdą dzielnicę czy budynek padał jej cień. Pewnego dnia w mieszkaniu zastali atmosferę domu żałoby. Zastłony były zaciągnięte, ostry zapach octu zapierał im dech. Ostrożnie otworzyli drzwi sypialni. Matka z zamkniętymi oczami, leżała w łóżku, jej serdeczna przyjaciółka siedziała obok i nabożnie robiła jej okłady z octu. - Psst... - wyszeptwała kładąc palec na usta - pańska matka ma załamanie nerwowe. - Martin napiął mięśnie szczęki. Rzuciwszy na tę scenę lodowate spojrzenie, odwrócił się i opuścił pokój. Anna pozostała, wahając się, w nogach łóżka i zaniepokojona spoglądała w dół na trupio bladą matkę. Mój Boże, pomyślała sobie, jeśli on obchodzi się tak ze swoją matką, to jak będzie się później obchodził ze mną, jeśli mi będzie coś dolegać? Zrobiło jej się duszno, z ręką na szyi wyszła na palcach z pokoju. Martin siedział przygnębiony przy stole kuchennym. - Wiem co myślisz - powiedział - lecz coś ci powiem: to wszystko komedia. Nic jej nie dolega. - Skąd możesz wiedzieć - powiedziała z oburzeniem Anna. - Dobrze - westchnął - skoro mimo wszystko odczuwasz współczucie. Więc idź tam i sprawdź jej puls, wtedy sama się przekonasz, jak poważny jest jej stan. - Anna nieśmiało weszła do sypialni. Przyłożyła palec do silnego przegubu ręki, przyjaciółka kiwnęła jej życzliwie głową. Uderzenia serca były spokojne i regularne, dokładnie takie jakie powinny być. Oczy nie otworzyły się nawet na szczelinę, złamana niczym olbrzymia czarna dalia dalej spoczywała na poduszkach.

- Muszę ci coś wyznać - powiedział Martin. - Chodzę z tym już od kilku dni i nie mogę się zdobyć na to, by ci to powiedzieć... Nie możemy wziąć teraz ślubu... - Anna zdrętwiała. - Dlaczego nie? - Położył rękę na jej ramionach. Jego urlop był właściwie nielegalny, tłumaczył, miał fingowaną przepustkę. Po tym jak jego kompania tygodniami toczyła boje, mogli przez trzy tygodnie wypoczywać. W Rosji, ma się rozumieć. Dowódca kompanii, swój chłop, zaproponował: - Zanim będziecie musieli wracać z powrotem do tego piekła, radzę wam... pojedźcie na kilka tygodni do domu. Na moją odpowiedzialność. - Przez ślub, oficjalne wydarzenie, o którym należało zameldować przełożonym, Martin zdradziłby ich wszystkich. Anna przytaknęła bez słowa. Nagle wojna znów była obecna w naturalnej skali. Pełen skruchy położył głowę na jej ramieniu. Wobec faktu, że wkrótce znów odjedzie na Wschód wszystko było bez znaczenia. Ona pojedzie na północ. Że też nie byli niczym więcej tylko pionkami na szachownicy świata. - To piekło... - powtarzała zamyślona Anna. -

Martin opowiedz mi raz szczerze, jak tam jest - nie oszczędzaj mnie... - Położył jej palec na ustach. - Sza... nie mówmy o tym... - szeptał. - Jestem tu właśnie po to, by na chwilę o tym zapomnieć.

Gdy atak hipochondrii zaczął ją powoli nudzić, matka ożyła ze swej pozornej śmierci. Krzątając się po domu, na powrót zajęła swoje pozycje. Martin i Anna snuli plany na ostatni tydzień. - Myślę, że wybiorę się do kasy oszczędności - rozmyślał na głos - nie chcę, byśmy musieli liczyć każdy szyling. - Zmierzając do wyjścia usłyszeli trzaśnięcie drzwi wejściowych. Wyszli z domu; niebo koloru fasad w dziesiątym *Bezirku*¹ zapowiadało deszcz. Martin chwycił ją za ramię. - Spójrz tylko... - Nieco przed nimi, po drugiej stronie ulicy, w tym samym kierunku co oni, pędziła jego matka - z głową wysuniętą do przodu, z wielką skórzaną torbą, jak z bronią w ręku. - Co jej się nagle tak spieszy - dziwił się. Minęli wystawę sklepową z *Dirndls*². - Możesz mnie sobie wyobrazić w takim stroju? - żartowała Anna. Martin skrzywił się. - To coś dla *schwärmerische*³ typów lubiących alpejskie zorze i waltornie.

- A to ci dopiero... - urzędnik banku uśmiechnął się filuternie - przed dwoma minutami pańska matka podjęła z konta ostatnie pieniądze. - Przecież to była spora kwota - krzyknął Martin - oszczędności wielu lat! Najpierw musiał usiąść. Osłupiały gapił się przed siebie i kiwał głową. - Przed moim wyjazdem dałem jej upoważnienie... - stwierdził bezdźwięcznie - na wszelki wypadek... - Anna wypchnęła go delikatnie na dwór. Rzucił kapeluszem na wiwat. - Jestem bankrutem - krzyczał z przeraźliwym śmiechem, który odbijał się od ścian - *O du lieber Augustin, alles ist hin...*⁴

W wisielczym humorze przestąpił próg mieszkania. Matka znowu krzątała się po kuchni, jak gdyby w ogóle stamtąd nie wychodziła. Martin schwycił kuchenne krzesło i wspiął się na nie. - I co było na moim koncie... - wykrzyknął retorycznie - nic...! Ściągnął z półki jeden ze starannie opisanych słoików kompotu morelowego, pozwolił mu wysliznąć się z rąk i spaść na ziemię. Wyciągnął ręce po nowy słoik. - Przez wszystkie te lata troszczyłam się o niego - zaczęła się żalić matka - od ust sobie odejmowałam... ani krzty wdzięczności... - Z wekiem w rękach Martin spoglądał na lamentującą w dole matkę. Nagle odstawił szkło spokojnie na półkę, obrócił dekoracyjnie, etykietą do przodu i zszedł z krzesła. - Chodź - rzekł opanowany, chwytając Annę za ramię - idziemy się pakować. W nimbie żalu nad samą

¹ (niem.) - dzielnica, okręg

² (niem.) - alpejskie i tyrolskie stroje ludowe

³ (niem.) - marzycielski, romantyczny

⁴ (niem.) - Ach, kochany Augustynie, /Wszystko minie, mnie, minie!

sobą matka przemierzyła swe marne cesarstwo i w teatralnym geście rzuciła się na walizkę syna, która do połowy spakowana leżała na łóżku. Anna upychała swą ślubną sukienkę, wcześniej wywieszoną, do walizki i zatrzasnęła ją. Głucho tętniący ból głowy odgradził ją od świata zewnętrznego; odruchowo wychodziła za Martinem z domu, na ulicę, do tramwaju.

Ojciec Martina i jego druga żona przywitali ich cichym zrozumieniem. Annę, której zdawało się, że została już przyjęta jako nowy członek rodziny, teraz dopiero dopuszczono do ostatnich tajemnic rodzinnych. Ojciec od niedawna na nowo podjął się obowiązku ojcostwa, po narzuconej przerwie trwającej dwadzieścia lat. Przez cały ten czas, matka Martina wzbraniała mu kontaktów z synem, przedstawiając go jako lekkomyślnego babiarza, uganianego się za spódniczkami i darmozjada. Gdy Martin był w czwartej klasie gimnazjum, z powodów, których logikę znała może jedynie ona sama, odmówiła dalszego przyjmowania od jego ojca comiesięcznej zapomogi na szkołę. Synowi oznajmiła, że ojciec nie chce więcej płacić, ojcu zaś, że syn ma już dosyć nauki. Na Kärtnerstrasse znalazła mu miejsce do odbycia praktyki w luksusowym salonie fryzjerskim, zaraz obok opery. Miast nad heksametrami Homera, pochylał się od tej pory nad głowami kapryśnych diw. Mactwo matki wyszły na jaw, kiedy Martin, przed zbliżającym się ślubem, nawiązał kontakt z ojcem.

Teraz dopiero Anna pojęła to dziwne, trzygłowe powitanie na dworcu. Jedno nie chciało ustąpić drugiemu, ojciec nie pozwalał się już więcej spychać na boczny tor. Od tych wszystkich rodzinnych zawłości kręciło jej się w głowie, była coraz bardziej skłonna szczyścić się tym, że nie miała już rodziców - choć Martin w pewnym sensie także dorastał jak sierota, bez ojca, w ryzach histerycznej matki.

Zdesperowani poczuli z zapalem robić wycieczki. Z Dolnego Belwederu, osiemnastowiecznej letniej rezydencji księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, zwycięskiego wodza w wojnie z Turkami, podchodzili do jeszcze większego Górnego Belwederu, symbolu jego władzy. Zwiedzili kościół św. Karola Boromeusza, w którym Martin chciał brać ślub. Od *heurigera*¹ szumiało im w głowie. Było tak, jakby podczas tych dni, które im jeszcze zostały, chcieli zgromadzić na zapas wspólne radości i rozkosze, by przez resztę życia czerpać z niego.

Wspólnie z ojcem odprowadziła go na pociąg. - Poradzę sobie... - zawołał z okna odjeżdżającego pociągu. - Rosja jest duża, a car daleko!

- Pamiętam to jeszcze dobrze, jak baliśmy się tej jesieni, kiedy Rosjanie mieli przegrać

¹ młode wino

- powiedziała Lotta.

- Myślałam tylko o życiu tego jedyne go mężczyzny - Anna wbiła wzrok w paznokcie.

- Tylko to mnie interesowało. Poza tym niczego nie widziałam i niczego nie słyszałam, miałam jedynie nadzieję i modliłam się, by dane mu było wrócić. Tego się dziś nie pamięta - ciągłego strachu, z którym każdy z nas, pozostałych w domu, musiał żyć - tam były przecież miliony takich młodych mężczyzn jak Martin.

Lotta poczuła się zobowiązana pomóc Annie przypomnieć sobie, że ci sami młodzi mężczyźni wymordowali miliony Rosjan.

Anna poderwała się. - Nad tym się przecież wtedy nie zastanawialiśmy! Słysząc było u nas tylko: *Vormarsch, Vormarsch*¹, Białystok, Leningrad, Ukraina. Herman Göring wygłosił wielkie przemówienie: „Zdobyliśmy najbardziej urodzajny kraj świata...”. Obiecywał: „Właściwie to spożytkujemy. Odtąd będziemy mieli pod dostatkiem masła, dosyć pszennej mąki”. Niemcy wyludniały się: każdy, kto miał choć trochę zdolności, był wysyłany, by kierować przedsiębiorstwami rolnymi i służbą zdrowia. Nawet największy półgłówek tam był nagle kimś i coś potrafił. Jeńców ekspediowano do Niemiec, gdzie musieli pracować w fabrykach. To był obłądny aparat organizacyjny, w pewnej mierze niezwykle osiągnięcie. Ludzie w ojczyźnie stali się także pomysłowi - ze starych kocy szyto sobie płaszcze, robiono własnoręcznie buty...

- Holendrzy robili to samo - oznajmiła zjadliwie Lotta.

- Oczywiście... sytuacja kryzysowa mobilizuje wszystkie siły, które w normalnych warunkach są niewykorzystane. Dlatego też ludzie tak się teraz nudzą i biegają po kursach kreatywności; to choroba naszych czasów.

Lotta, zorientowawszy się, że obrona Anny zyskuje stopniowo charakter hymnu pochwalnego, żądna zemsty, wpadła jej w słowo: - ...I wtedy nadeszła zima.

- Tak. Generał *Schlamm*². No i było po szybkiej ofensywie.

- Już Napoleon został powstrzymany przez błoto i zimno - żywiliśmy wtedy głęboką nadzieję, że to się powtórzy i tak też się stało. „Teraz to już Hitler przegrał wojnę, mówiliśmy od razu”.

- Myśleliśmy: musimy chłopakom pomóc przeżyć zimę. Pisali do domu, że marzną i każdy brał się do roboty - nawet dzieci i chorzy w szpitalach. Wszyscy poczeli robić na drutach. Zszywano ze sobą koce i prześcieradła, wysyłano kurtki futrzane, wszystko przez Czerwony Krzyż, za plecami kierownictwa partii. Każda kobieta dbała o to, by jej mąż, syn,

¹ (niem.) - naprzód

² (niem.) - generał błoto

lub ojciec nie marzył. *Ach... ja...* - tępym wzrokiem spoglądała przez okno, niebo miało kolor łupkowego dachu - w domu ciągle jeszcze mam jego *Gefrierfleischorden*¹ - zwany także przez ludzi cynicznie orderem Zimnej Nóżki, odznaczenie, które żołnierze dostawali za straszliwą zimę w Rosji, kiedy to wielu z nich miało odmrożone palce u nóg i rąk oraz nosy.

Matka Herr von Garlitz, niegdyś dama dworu cesarzowej, postanowiła schyłek swego życia spędzić między ludźmi i przeprowadziła się do Poczdamu. Zamek z czterdziestoma pięcioma pokojami, który opuściła, stał po drugiej stronie Odry, w fryderycjańskiej ulicówce, jakich wiele było w Marchii Brandenburskiej. Swego czasu Fryderyk Wielki zasiedlił i zagospodarował tę kresową prowincję oraz ustanowił tam księcia. Pośrodku pól uprawnych zbudowano dla niego zamek, wybrukowano ulicę, a po obu jej stronach postawiono domy dla robotników rolnych. Doszedł do tego kościół i mała szkoła. W zamian za całkowitą dyspozycyjność, robotnicy otrzymywali zboże i kawałek gruntu, wystarczający by utrzymać jedną świnie i jedną krowę.

Ponieważ zamek leżał daleko od miejsc, na które spadały bomby, Herr von Garlitz postanowił, że wszyscy razem powinni przeprowadzić się do majątku, w którym spędził dzieciństwo. By wszystko przygotować, pojechał tam wcześniej z żoną, pozostawiwszy dzieci w domu teściów, pod opieką Anny. Sześć tygodni później Anna otrzymała ponaglący list od Frau von Garlitz: „Przyjeżdżaj, proszę, natychmiast - potrzebuję cię. Odnaleźliśmy Adelheid, dawną piastunkę Rudolfa, ona zatroszczy się o dzieci”. I znów Anna wyruszyła ze swymi dwiema walizkami, z suknią ślubną i listami od Martina dostarczonymi przez *Feldpost* w jednej, a pozostałym dobytkiem w drugiej. Na dworcu czekał na nią powóz zaprzężony w konia - na koźle siedziała jej chlebobawczyni, już nie tak wytworna jak niegdyś, wręcz zaniedbana. Nabrała teraz ujmującej obojętności, swego rodzaju postawy, a przyjęta przez nią zasada *laissez faire*² zdumiała Annę, przyzwyczajoną do jej nienaganych manier i opanowania w każdej sytuacji. - Uśmiejesz się - powiedziała hrabina, kiedy w pełnym biegu przejeżdżały z łomotem po nieutwardzonych gościńcach, z tą samą beztróską, z którą całe wieki temu uprowadzała Annę swym maybachem. - Nam pozostało tylko śmiać się, tak strasznie zdevastowany jest zamek. Nie można sobie tego wyobrazić, to trzeba zobaczyć na własne oczy.

Wjechały do wioski po półgodzinnej jeździe przez pustkowia, gdzie nawet naprzemienny układ lasów i pól uprawnych sprawiał wrażenie monotonii. Wszystko było tu

¹ (niem.) - order mrożonego mięsa

² (franc.) - pozwalać, nie sprzeciwiać się.

jak należy: kościół, szkoła, po obu stronach drogi domy robotników dniówkowych. Tylko zamek niewidoczny dla oka, gdyż schowany za murem, nad którym zwisały zmęczone gałęzie starych kasztanowców i klonów. Bramę otworzył im mężczyzna, tak zezowaty, że zdawało się, iż obok Anny i hrabiny widział jeszcze inne osoby. Powóz trzęsąc się wjechał na dziedziniec. Bramę zamknięto i tu właśnie stał zamek, masywny, mocny, z jasnoszarymi murami obrośniętymi dzikim winem, z białymi prostokątami okien i lasem kominów na czerwonych dachach. Stał tam zamknięty w sobie, płochliwy jak istota niechętnie zdradzająca swe tajemnice. Z fryderycjańskiej potrzeby symetrii, na środku ściany frontowej wzniesiono występ ze schodami, zaczynającymi się szeroko i zapraszająco, lecz zwężającymi się ku podwójnym drzwiom wejściowym. Po obu ich stronach czterokątne filary wspierały tympanon, nad którym widniał relief przedstawiający herb rodzinny. Przejechały wzdłuż bocznego skrzydła do wejścia dla służby. Przyległe budynki i stajnie otaczały dziedziniec wewnętrzny, wybrukowany kocimi łbami.

Frau von Garlitz weszła do domu pierwsza. Ledwie Anna stanęła na pierwszym podejściu, kilku robotników, zajmujących się pracami restauracyjnymi na pierwszym piętrze, strząsnęło z ubrań pył i tynk, który przez klatkę schodową wylądował na wiedeńskim kapeluszu Anny. Wesoły śmiech wypełnił przestrzeń. - Teraz już wiesz, jak tu jest - powiedziała Frau von Garlitz.

Gruntowny przegląd, dokonany jeszcze tego samego dnia dowiódł, że nie przesadzała. Obok usterek budowli na skutek wieloletniego zaniedbania, także wnętrze było zabrudzone i zniszczone. We wszystkich pomieszczeniach unosił się przenikliwy zapach starzyzny, woń starszej damy, która uparcie przez pięćdziesiąt lat pilnowała, by wszystko zostało tak, jak było w czasach jej młodości. W holu i korytarzach chrzęściły rozklekotane zbroje; naokoło stały dziwacznie uformowane kiczowate pniaki, wyposażone w fosforyzujące światełka, które niczego niepodważającego gościa, udającego się w nocy za potrzebą, wybijały z pólśnu swym upiornym widokiem. Sypialnia Frau von Garlitz wymagała szczególnie szybkiej interwencji. Od swego przyjazdu przed sześcioma tygodniami spała w tej samej koszuli nocnej i tych samych prześcieradłach, w łóżku, którego satynowy baldachim ugiął się pod grubą warstwą kurzu. Wszystko było tak brudne, że już od samego patrzenia na to człowiek czuł się oblepiony brudem. - Wielkie nieba - wyszeptła Anna - co za chlew. - Frau von Garlitz bezradnie podniosła ręce. - Nie wiem, gdzie co leży, na Boga, nie wiem, mam na myśli bieliznę pościelową i tak dalej... - Ale to musi przecież gdzieś tu być - Anna kaszłąc otwierała jedno z okien. Zaczynało do niej docierać, że hrabina tym jednym nieśmiałym, wruszającym gestem zwała na nią całą odpowiedzialność za podupadły majątek ziemski. -

Jak się cieszę, że tu jesteś... - westchnęła niczym podlotek.

Tak rozpoczęła się renowacja. Przez cały rok Anna, na czele orszaku polskich robotników i sprzątaczek ze wsi, przechodziła od jednego pomieszczenia do drugiego, dopóki wszystkie czterdzieści pięć pokoi nie przeszło metamorfozy. Wysłani na wojnę niemieccy dzierżawcy zostali zastąpieni polskimi robotnikami przymusowymi i rosyjskimi jeńcami wojennymi, którzy pod stałym dozorem czterech uzbrojonych żołnierzy ulokowani zostali w stajniach. Nie było traktorów ani benzyny. Codziennie o szóstej rano, pod dozorem zwolnionego ze służby wojskowej inspektora rolnego, osiemdziesiąt turkoczących wozów, zaprzężonych w woły wyruszało na otaczające zamek pola. Prowadzili je jeńcy - Rosjanie, pracujący w nadludzkim, zgoła nie rosyjskim tempie, aby podołać ustalonym przez Rzeszę normom produkcji płodów rolnych. Ziemniaki, zboże, mleko, masło - wszystko trzeba było odstawiać, z wyjątkiem małej części na własny użytek. Dla mieszkańców zamku zbudowano w ścianie drewnianą szafę z przegródkami, w której każdy przechowywał swą porcję masła - sto dwadzieścia pięć gramów na tydzień. Połowę musieli oddać kuchni do pieczenia, druga połowa była do smarowania chleba. Ludzkość zdawała się dzielić na dwie kategorie: jedni przeznaczali wszystko na jedną kromkę i przez resztę tygodnia jedli suchy chleb, drudzy powściągliwie rozsmarowywali na każdej kromce cienką warstewkę.

Zanim dzięki gruntownym porządkom wszystko zaczęło iść gładko, Anna musiała podjąć walkę z dotychczasową praktyką. Miała tylko marne świadectwo szkoły gospodarstwa domowego dla dam, a teraz nagle przyszło jej niepewnie prowadzić skomplikowany, nieogarniony twór gospodarczy. Przemierzała więc korytarze i pokoje w nadziei odkrycia jakiejś logicznej struktury tego tworu. Wylądowała w pralni, gdzie cztery poczciwe, pulchne kobiety ze wsi, śpiewając, śmiejąc się i trąkając tały w owalnych baliach bieliznę pościelową. Następnie niewielki orszak włókł się do piwnicy, gdzie pranie było maglowane i prasowane żelazkiem, w którym tkwiła rozpalona do czerwoności dusza. Kobietom nie spieszyło się. Gdy po dwóch tygodniach pranie było gotowe, nadchodziła nowa partia i zaczynały od początku. Każdego dnia w czasie przerwy południowej *Mamsell*¹ parzyła kawę i piekła ciastka; było naprawdę miło - a fakt, że ta przyjemna atmosfera panowała w sąsiedztwie czterdziestu pięciu pokoi znajdujących się w stanie rozpadu nikogo nie zainteresował. Boże wszechmogący - pomyślała Anna - tak przecież nie można.

Na tyłach pralni, pod grubą warstwą kurzu, odkryła olbrzymi bęben pralniczy i wirówkę. - *Kaputt* - defetystycznie kiwały głowami kobiety. Długie pasy transmisyjne

¹ (z franc.) - pomoc domowa, służąca, pomoc w gospodarstwie dworskim

poprowadzone w powietrzu nad dziedzińcem kończyły się przy generatorze w gorzelnii, gdzie z ziemniaków pędzono wódkę. - Co z tym jest? - zapytała montera - czy urządzenie jest zepsute? - Nie wiem - odburknął, wzruszając ramionami. Annę ogarnęło uczucie, jakby płynęła w lepkiej cieczy, w potoku niechęci i obojętności. - Co to ma znaczyć: nie wiem? - zapytała ostrym tonem. - Może mógłby pan się temu przyjrzeć. - Mężczyzna z tępym spojrzeniem wzdychając, pochylił się nad maszyną. W kilka godzin później, mimo gderania i marudzenia, naprawił ją. Następnego ranka o szóstej Anna załadowała pranie do bębna, olbrzymie urządzenie o średnicy co najmniej metra wprawione zostało w ruch, pod nim palił się mocny, podsycany drewnem ogień i gdy praczki weszły, zostały powitane wesołymi odgłosami: bum bum bum, cz cz cz, puk puk puk. Najpierw przecierały oczy ze zdumienia, a potem się wściekły. Co też sobie wyobraza ta jedna z Nadrenii, że może tak ni stąd ni zowąd ingerować w ich życie? Jak tylko sięgały pamięcią, prały ręcznie i było im z tym dobrze, nie trzeba było nic zmieniać. - Dlaczegoż miałybyście przez całe dwa tygodnie tylko prac i prasować? - Anna przekrzykiwała turkot. Pierwsza partia prania była już odwirowana, na dworze świeciło słońce, powiesiła więc rzeczy na sznurze i pospieszyła z powrotem do pralni. Ignorując zabójcze spojrzenia nauczyła kobiety, jak mają obsługiwać maszyny: - Mogą panie spokojnie przy nich usiąść. - Anna kursowała tam i z powrotem od pralni do sznurów, a pod koniec dnia bielizna wspaniale pachniała i dawała się łatwo składać. W ciągu jednego dnia pranie było gotowe - na sprzątanie domu pozostało trzynaście dni. Mała rewolucja. Kiedy dotarło to do kobiet, ich złość przerodziła się w nienawiść, która zimą powoli ustępowała, gdy one lub ich dzieci chorowały, a Anna parzyła dla nich herbatkę rumiankową i przykładła ciepłe kompresy, albo nocami jeździła z nimi do miasta, gdy któraś rodziła. Tak oto rekompensowała zaniedbania ze strony Frau von Garlitz - do tradycji bowiem należało, że arystokracja miała obowiązek dbania o zdrowie dzierżawców.

Jeden pokój za drugim był uprzątnięty. Zdumienie Anny z powodu pajęczyn, kurzu, pleśni i martwych insektów, które dzięki przesadnej nostalgii hrabiny zgromadziły się w nadmiarze, szybko przerodziła się w konsekwentny upór. Było jednak jedno pomieszczenie, którego zaniedbanie przewyższało wszystkie inne: komnata cesarska. Od czasu, gdy cesarz Wilhelm spędził tam jedną noc jako gość byłej damy dworu swej małżonki, pokój jako świętość pozostawał zamknięty na klucz. Już przy otwieraniu drzwi uderzył ich stęchły, kwaśny odór. Zerwały zasłony i draperie, w tumanach kurzu i roztoczy ścigały kapy i jedwabne poduszki z łoża z baldachimem - lecz nawet wtedy, gdy uprzątnęły cały pokój, wciąż wisiał w nim przenikliwy, cesarski zapach. Pod koniec rozpruły materac: tam, gdzie spoczywało ciało jego ekscelencji, roilo się od czerwi; ucieszone wyskoczyły w górę, z

wkładu z końskiego włosia - na nagłą wolność. Annie zrobiło się niedobrze. Mamy wojnę, pomyślała gorączkowo, nie możemy ot tak wyrzucić cennego końskiego włosia. Nagle do głowy przyszedł jej kocioł do destylacji, który widziała w gorzelnii. Przeniosły materac przez dziedziniec i wrzuciły zawartość do kotła, postawionego na równomiernym ogniu. Czerwie eksplodowały jak prażona kukurydza. Gdy nie było już widać oznak życia, końskie włosie zostało umyte i wysuszone na słońcu. Uzbrojona w dwie butelki okowity zaniósła na koniec cenny ładunek do tapicera.

Strych był pełen wysłużonych gratów i rupieci. Anna odkryła jedyną wartościową rzecz: serię angielskich sztychów, stare sceny z polowań w mahoniowych ramach, dla których znalazło się miejsce w korytarzach i holu. Poza tym spod brudu wyłoniła się przerażająca ilość kiczu, z czasów, kiedy przejawiano upodobanie do esów-floresów i złoceń. Anna wszystko to kazała znieść na dziedziniec do publicznej sprzedaży. Obwieszczenie: „wszystko po pięćdziesiąt fenigów” przekazywano sobie z ust do ust. Z sąsiednich domostw tłumnie nadchodziły Polki w znoszonych, nieforemnych strojach, z ciasno zawiązanymi chustkami wokół bladych, krągłych twarzy. Na widok luksusowych przedmiotów rozkwitały; z błyszczącymi oczami dotykały symboli bogatego i beztroskiego życia. Trwało to bez końca, aż wreszcie zdecydowały się na zakup czegoś, lecz wtedy w wielkim pośpiechu zniknęły, jak gdyby ktoś mógł im jeszcze odebrać nabytek - obity jedwabiem taboret lub ogrzewacz na dzbanek do herbaty w formie rokokowej damy.

Gdy zwieziono z pola buraki cukrowe, polskie kobiety myły je, a słodkawe opary powodowały u niektórych omdlenie. Pokrojone i wyciśnięte buraki przerabiano później na syrop. Wszystko wokół było lepkie i kleiło się. W nagrodę każda Polka otrzymywała worek buraków na własny użytek. - Czy możemy skorzystać z prasy...? - spytały na migi i zademonstrowały zmieszane, jak ciężkie jest tłoczenie ręczne w płótnie. - Oczywiście - odrzekła Anna - my już skończyliśmy, nie będziemy jej już więcej potrzebować. - Kilka godzin później podszedł do niej Herr von Garlitz, ubrany do jazdy konnej. - Słuchaj no - zaczął przywoływać ją do porządku - co tam nawyrabiałaś, dałaś Polakom prasę! - Tak, czemu nie? - odrzekła zaczepnie Anna, rozdrażniona światowym, nonszalanckim strojem, kontrastującym z pracowitym gwarem dookoła. - Myślisz może - podniósł brodę - że Polacy daliby nam prasę, gdybyśmy to my byli w Polsce jako przymusowi robotnicy? - Patrzył na nią karcąco i sam odpowiedział: - Na pewno tego nie zrobiliby, bo nas nienawidzą. - Ale my przecież nie czujemy do nich nienawiści - odparła Anna - zresztą, skoro Polacy są o wiele gorsi od nas, jak pan mówi, a ja powinnam wziąć z tego przykład i być taka jak oni, wtedy nie będziemy od nich o włos lepsi i nie będziemy mieli prawa domagać się, żeby byli nam

posłuszni. - Pokręcił głową nad tym paradoksalnym tokiem rozumowania. - To są *Untermenschen*¹ - rzekł z godnością. - Jeśli oni są *Untermenschen*, a my jesteśmy *Herrenmenschen*², jak pan mówi - dyplomatycznie dobierała słowa - to nie mogę przecież być taka jak Polacy, czyli muszę być taka jak my, a mianowicie *Herrenmensch*? - Całą tę ideę *Untermensch*, *Herrenmensch*, *Übermensch* uważała za śmieszna. Jednakże intuicyjnie posiadała wystarczające politycznie wyczucie, że wobec sługusa Führera nie może tego głośno powiedzieć. Von Garlitz zmarszczył brwi. Ta dialektyka przerastała go. Poczł chyba, że został zbesztany przez samowolną, ale niestety niezbędną reprezentantkę służby, która swej władzy nad całym gospodarstwem beczelnie użyła przeciw niemu, chlebodawcy. Miał już tego dosyć, lekko zmieszany oddalił się krótkim, miarowym krokiem, z pochyloną głową. Otrząsając się ze zdenerwowania chłostał co rusz jakieś drzewo swym pejczem.

Nadmiar pracy skrócił czas między dwoma listami przesłanymi przez *Feldpost*. Martin pisał o pięknie słonecznikowych pól i że na jakimś targu znalazł skrzynię z książkami. Przesłał jej też przepis na barszcz. Panowała dziwna sprzeczność między hałaśliwie ogłaszanym w radio triumfalnym pochodem Wehrmachtu, a listami Martina, w których nigdy nie zabrzmiał wystrzał broni, nigdy nie zapłonął dom, które tchnęły spokojem. Jesienią stacjonował pod Tułą. Gdy nastaly mrozy i wszystkie kobiety robiły na drutach, chcąc przepędzić z tundry mróz, Anna wysłała mu paczkę w złudnej nadziei, że znajdzie ona swą drogę w tej rozległej krainie. Pogłoski o żołnierzach, którzy polegli, były coraz częstsze, anonimowe zagrożenie zdementowane zostało przez *Wochenschau*, gdzie żołnierze w swych śniegowych jamach ozywieni palili papierosy. Tymi, którzy najpierw ginęli, byli dalecy krewni, koledzy ze studiów, znajomi znajomych - później bracia, narzeczeni, ojcowie. Jednakże w listach Martina zima miała czechowowskie piękno. Zakwaterowano go wraz z towarzyszami w gospodarstwie, w którym był fortepian. Fortepian pośród niekończących się zaśnieżonych pól był jednak mocno rozstrojony przez mróz. Rodzina spała na zapiecku. Żołnierze ściągnęli z niego materace i wspólnymi siłami władowali nań fortepian. Ten szybko się rozmroził i teraz każdego wieczora muzykowano. Na uprzejme przeprosiny Martina chłop odparł, że słuchanie Mozarta i Bacha ważniejsze jest niż ciepło w nocy. Im barwniejsze były opisywane wydarzenia, tym nieufniejsza stawała się Anna.

Jeden z rosyjskich jeńców pełnił wyjątkową funkcję: jego zadaniem było rozpalanie w piecach kaflowych zamku i utrzymywanie w nich ognia. Z koszem pełnym drew, chodził każdego dnia po pokojach. Nikt go nigdy nie zagadywał - traktowanie Rosjan jako istot

¹ (niem.) - podludzie

² (niem.) - nadludzie, rasa panów

ludzkich było karalne. Pewnego dnia Anna znalazła się z nim w jednym pokoju. Lękliwie, prawie niezauważalnie, wykonywał swą pracę, jakby sam był przekonany, że nie ma innej racji bytu, poza dostarczaniem ognia. Bez zastanowienia zagadnęła go, ot tak po prostu, przecież oboje byli w tym samym pokoju. Ku jej zdziwieniu odpowiedział łamaną niemiecką, a do tego okazało się, że ma na imię Wilhelm: gdy cesarz niemiecki składał wizytę carowi, wszyscy nowonarodzeni dostali na chrzcie imię Wilhelm. Jeszcze jeden chrześniak cesarza, śmiała się w duchu Anna. Jego wywód pełen był delikatnie wibrujących rosyjskich spółgłosek. Po tym pierwszym poznaniu można ją było regularnie znaleźć w pomieszczeniach, w których rozpalano w piecu. Szeptem powiedział jej, że ludzie w stajniach cierpią głód, brakuje wszystkiego. Zaczęła wykradać dla nich jedzenie z kuchni. Wieczorami cięła na kawałki wybrakowaną bieliznę pościelową w niebieską kratę i szyła z nich chusteczki dla jeńców. Zbierała zużyte szczoteczki do zębów, resztki pasty do zębów, grzebienie kieszonkowe, którym brakowało kilku zębów i kawałki mydła. Wilhelm szmuglował te rzeczy do stajni, gdzie się na nie rzucano. Nie zastanawiała się dlaczego to robi, wywrotowe zamiary były jej obce - po prostu nie mogła znieść dysproporcji pomiędzy relatywnym dobrobytem na zamku, a biedą i niedostatkiem w stajniach.

W czasie rozpalania w piecach, Wilhelm przekazywał Annie pogłoski, jakie krążyły wśród Rosjan i Polaków, wieści, które ukazywały świat cieni po drugiej stronie triumfów *Wochenschau*: niemiecka ofensywa utknęła w martwym punkcie, właśnie gdy myśleli, że rosyjska armia ponosi milionowe straty, każdego poległego sowieckiego żołnierza zastępowało stu żywych. A Tuła? Pytała Anna, ze ściśniętym sercem. Tłumaczył się: tak szczegółowe te wieści nie były. A jak one do niego właściwie docierają? Hm... rozłożył ręce z orientalnym uśmiechem. Skąd pochodziły te informacje, pozostawało tajemnicą. Czy wiadomości przenoszone były przez ostatnie stada ptaków, ciągnące na tle szarego nieba, a może dysponowali świetnie wytrenowanym maratończykiem, pokonującym dystans do polskiej granicy w olimpijskim tempie i po drodze odwiedzającym wszystkie majątki, w których zatrudnieni byli polscy robotnicy przymusowi?

- Ty jesteś jednak prawdziwą Niemką - powiedziała Lotta kiwając głową.

- *Wieso?*¹ - Spytała nieufnie Anna.

- Jak prawdziwa Niemka *tüchtig*²... Zabrałaś się za problem pralki... całkowicie w

¹ (niem.) - Jak to?

² (niem.) - porządna, dzielna, silna

duchu *Wirtschaftswunder*¹. Ale, co mnie zastanawia...

- Tak... - Anna była pełna gotowości, pragnęła usunąć wszelkie możliwe nieporozumienia.

- Czy tamte praczki były w końcu też szczęśliwsze, w zorganizowanym przez siebie gospodarstwie? Mogły się jeszcze śmiać, śpiewać, plotkować?

- Uff... Anna znużona wzruszyła ramionami: - Ciągle jeszcze dostawały kawę i ciastka. Ale postępu nie można powstrzymać. W czasach obszarników robotnicy nauczyli się czytać i pisać, resztę uważano za zbędną. Potem nadszedł czas, gdy robotnicy zbuntowali się przeciwko utrzymywaniu ich w ciemnocie i niewiedzy. Ja byłam kimś takim. Zdobywali wykształcenie, do tego doszła telewizja, komputery... Jeśli chcesz wrócić do śmiania się, śpiewania i plotkowania, musisz zrezygnować z postępu, także z komfortu, który dzięki niemu zyskaliśmy.

- Ale jak wiele na tym straciliśmy.

- Nie powinnaś podchodzić do tego tak romantycznie.

I tak oto wróciły znowu do swego dawnego sporu. Spoglądały na ulicę obok figury kobiety z łabędziem. Myśli, które dzięki wspomnieniom wirowały na wszystkie strony jak skrawki papieru na wietrze, starały się teraz uporządkować.

- Dobrze rozumiem to, że zrobiłaś coś dla rosyjskich jeńców - dywagowała Lotta. - Pewnie miałaś nadzieję, że Rosjanie zrobiliby to samo dla Martina, gdyby dostał się do niewoli...

- Nie... - wykrzywiła usta - zrobiłam to, by im pomóc, bez żadnego zastanawiania się.

- Za tym mogą się przecież kryć inne powody. Od momentu, kiedy do naszych drzwi zastukali pierwsi ludzie szukający kryjówki, miałam uczucie, że nareszcie mogę coś zrobić - jak gdyby ukrywając człowieka przed okupantem dodatkowo robilibyśmy coś dla Davida... w przenośnym sensie.

- Więc ukrywaliście ludzi...

Lotta przytaknęła.

- Żydów?

- Głównie.

Anna westchnęła, wprawiając w ruch całe swe krągłe ciało.

¹ (niem.) - cud gospodarczy

5.

Lunch zjadły w restauracji przy Place Albert, z widokiem na olbrzymiego anioła, który przycupnął na wysokim cokole i ze zdumieniem spoglądał stamtąd na ludzkość. Następnie zrobiły mały spacer po mieście, swoją dzienną dawkę terapii ruchowej. Wstąpiły do szarego granitowego kościoła z trzema wieżami, których dachy spiczaste jak ołówki nauczyciela ostro wskazywały niebo - wyjątkowo zgadzały się co do tego, że świątynia była szczególnie brzydka. Beznamiętnie wałęsały się po mrocznej przestrzeni z małym folderem, opisującym historię kościoła, w dłoni. „Zbudowany w 1885 roku, w stylu romanizmu reńskiego, według szkoły kolońskiej” - czytała Anna. - Nie wiedziałam, że eksportowaliśmy wtedy taką wstrętną architekturę! Przystanąły na chwilę przy rzeźbie pochodzącej z o wiele starszego kościoła, stojącego niegdyś na tym samym miejscu. Przedstawiała grupę aniołów z mieczami i pastorałami. Znudzone wyszły ze świątyni i udały się do kawiarni naprzeciw - otwartej tam zapewne ku pokrzepieniu zawiedzionych osób, opuszczających kościół. Obie potrzebowały teraz pilnie filiżanki kawy. Jakiś odrzutowiec przeciął niebo po przekątnej tuż za wrogimi ludzimi wieżami kościoła, jak gdyby chciał je przekreślić.

Kiedy pewnego letniego dnia rodzina Frinkel elegancko ubraną trójką stanęła na progu, nikt nie przypuszczał, że ta na pozór niewinna wizyta zamknie w życiu matki Lotty i jej rodziny pewien okres i to na zawsze. To Bram Frinkel, w tym czasie osiemnastolatek, przez wszystkie te lata przyjaźniący się z Koenem, zaaranżował to spotkanie. Pili coś, co miało udawać kawę. Na cześć Maxa Frinkla, który od czasu swej emigracji z Niemiec zdobył pewną sławę jako pierwszy skrzypek w orkiestrze radiowej, ojciec Lotty nastawił *Koncert na dwoje skrzypiec* Bacha. Towarzystwo słuchało w skupieniu, można by było pomyśleć, że goście przybyli specjalnie po to, by wysłuchać koncertu. Lecz gdy ostatnie dźwięki umilkły, wojna natychmiast dała o sobie znać - nagłą ciszą, surogatem kawy, obecnością Frinklów. - Jest pan *Liebhaber*¹ muzyki... - zagaił Frinkel, drapiąc się zakłopotany w brodę. Dlatego wziął się na odwagę, by poprosić rodziców Lotty o gościnę - za zwrotem kosztów, oczywiście, i na krótki czas - dopóki nie zostanie znalezione ostateczne rozwiązanie. - *Alle Juden aus Hilversum* muszą zebrać się *in Amsterdam*² - powiedział znacząco. - Państwo mieszkają tak

¹ (niem.) - miłośnik

² (niem.) - Wszyscy Żydzi z Hilversum... w Amsterdamie

pięknie na uboczu - dodała jego żona Sara, bezbłędnym niderlandzkim. - Max mógłby codziennie ćwiczyć na skrzypcach tak, by nikt go nie słyszał. - Była mała i ruchliwa, jej usta i paznokcie miały ten sam kolor co suknia.

Łóżko Brama postawiono w pokoju Koena, Frinkelowie zaś wprowadzili się do pokoju dziecięcego, z którego dochodziły oszałamiające pasaże i flażolety, powodujące wibrowanie ścian. Gdy ojciec kończył, syn zaczynał muzykę cygańską i słowiańskie tańce. Odwiedził ich przyjaciel, Leon Stein, którego znali jeszcze z Niemiec i dopuścili do tajemnicy. Opuścił on swój kraj, by walczyć z faszyzmem w hiszpańskiej wojnie domowej. Następnie mieszkał i pracował całymi latami w Harlemlu u swojego wuja, fabrykanta beczek i skrzynek, któremu Niemcy, za duże pieniądze, pozwolili wyjechać do Ameryki. Mógł wziąć ze sobą swoje wierzchowce, jednakże nie bratanka, gdyż ten od czasu hiszpańskiej przygody był bezpieczeństwa. Nowy Świat, po drugiej stronie oceanu, stojący otworem dla wszelkich narodowości, zamknął szczelnie swe granice przed bezpieczeństwa. Stein pilnie potrzebował schronienia, ale tylko od czasu do czasu, jak mówił. Dawny zapal hiszpańskich antyfaszystów nie wygasł w nim jeszcze i pchnął do niderlandzkiego ruchu oporu - w jego przypadku niepojęty przykład pogardy dla śmierci, gdyż wyglądał jak żywe wcielenie wszystkich cech Żyda, nawet wtedy, gdy podczas napadu na biuro przydziału kartek żywnościowych miał na sobie mundur niemiecki i wydawał rozkazy w swoim ojczystym języku.

Otrzymał miejsce do spania w biurze ojca Lotty; spał tam jak żołnierz na wąskiej pryczy. Gorączkowo obmyślał plany, zawsze nerwowy - twierdził, że tylko w największym niebezpieczeństwie opanowywał go zbawienny spokój. Był nieprzewidywalny, jego życie pełne było tajemnic - raz ukrywał się u nich przez trzy tygodnie, innym razem zniknął bez zapowiedzi na cały miesiąc.

Pewnego ranka, o wschodzie słońca wyrwały ich ze snu strzały z karabinu. Wszyscy zaczęli biegać po domu w piżamach. Frinklowie rozpaczliwie próbowali stać się niewidzialni. Koen, w którego oczach błyszczało podniecenie niebezpieczeństwem, poszedł sprawdzić, co się dzieje. Jak gdyby nigdy nic, udał się do lasu. Tam natknął się na trzech ledwie starszych od niego austriackich żołnierzy, którzy polowali, by złamać monotonię codziennego żywienia. Dostał papierosa, pogawędzili o zajęciach i królikach. Później, w ciągu dnia, mają być w okolicy użyci do łapanek - opowiadali mimochodem - czasem łatwiej jest złapać jakiegoś Żyda niż królika. Koen zaprowadził ich na wzniesienie po drugiej stronie lasu, które podziurawione było korytarzami i jamami. Na pożegnanie pokleпали się bratersko po ramionach.

Zadyszany zdawał relację. - Teraz polują jeszcze na zające i króliki, ale za kilka godzin zapolują na... na... - Słowo to nie mogło mu przejść przez usta, zmieszany spoglądał na swego przyjaciela, który stał bosy i zmarznięty na posadzce z płytek. W oddali ponownie zabrzmiały strzały. Max Frinkel masował nerwowo dłonie. - Panie Noteboom...! - zawołał. Jego żona gwałtownie kiwała głową. - Dwie wielbicielki - wyjaśniła - na każdym koncercie siedziały w pierwszym rzędzie. Jeśli wpadliby państwo w tarapaty - zaproponowały kiedyś - proszę przyjść do nas. Są trochę ekscentryczne, ale... - W wielkim pośpiechu zostali tam przewiezieni. Panie te mieszkały z czterdziestoma ośmioma kotami w dużej, podupadłej willi, sprawiającej wrażenie, że nie rozpadła się jeszcze dzięki oplatającemu jej ściany dzikiemu winu i bluszczowi. Choć jedna z nich była matką drugiej, niepodobna było rozpoznać, która z tych ujmujących dam z siwymi włosami, splecionymi w węzeł i okularami jak u Karola Marksa, była starsza. Frinklowie nie musieli wiele mówić. Oczywiście, że utalentowany skrzypek był mile widziany - przygarniały wszystkich bezdomnych, czy to na dwóch, czy na czterech nogach.

Po odjeździe Frinklów, rodzina wyczekiwała łapanek w zupełnym spokoju. Matka Lotty cieszyła się nagłym spokojem ducha. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jakie napięcie wywoływała w nich obecność Frinklów. Ciągły strach przed niespodziewaną wizytą, przed wygadaniem się przez młodsze dzieci, obawa, by nie zdradzić się przez jakąś fatalną drobnostkę, o której w ogóle nie pomyślano - strach przed represjami, jakich nikt nie odważył się sobie nawet wyobrazić... Pewien strach, któremu towarzyszyło poczucie winy: przez cały ten czas narażała dzieci na niebezpieczeństwo. - Nie będziemy tego więcej robić - postanowiła - jest im tam dobrze, u pań Noteboom.

Zmartwień nie brakowało. Żeby tylko Rosjanie nie przegrali, na przykład, bo wtedy wszystko byłoby stracone. W dniach walki o Stalingrad Jet chodziła we śnie po domu. Pewnej nocy Lotta zerwała się przerażona i zobaczyła, że łóżko obok niej było puste. Znalazła siostrę wyprostowaną jak świeca i bladą jak posąg, w pokoju mieszkalnym, gdzie nie uderzając o nic, powoli, w lunatycznym śnie przechadzała się między krzesłami i stołami. Żeby ustrzec ją przed upadkiem ze schodów, Lotta od tej pory zamykała drzwi na klucz, jednak skłonność Jet do chodzenia we śnie była nie do opanowania: pewnej nocy otworzyła drzwi balkonowe i wyszła w nocnej koszuli na deszcz. Lottę zbudził wiatr, który musnął jej czoło. Nie tylko łóżko, ale i balkon okazał się pusty. Przerażona wypatrywała w ciemnościach, czy Jet dostała skrzydeł? Dopiero, gdy przechyliła się przez balustradę i spojrzała w dół, ujrzała leżącą siostrę - przemokniętą, w grzędce przekwitniętych, mokrych astrów. Potem Jet tygodniami musiała leżeć w łóżku, w zaciemnionym pokoju, z ciężkim wstrząśnieniem mózgu;

somnambulizm wyparty został przez nieustępujący ból głowy. Mimo to żądała, by informować ją na bieżąco, bez oszczędzania jej, o rozwoju wydarzeń na wschodzie.

Deszcz w Niderlandach oznaczał śnieg w Rosji. Zdawało się, że tamtej jesieni spadło niezwykle dużo deszczu. Pewnego wieczora deszcz zmiękczył także postanowienie matki Lotty. Rozległ się dzwonek u drzwi, dwóch mężczyzn walczyło z burzą. Twarz jednego z nich kryła się za ciężkimi oprawkami okularów z grubymi szklami, które deszcz pokrył parą. Drugi okazał się fryzjerem ojca Lotty; ten nie rozpoznał go od razu - co pozostało z fryzjera bez jego zwykłych akcesoriów: brzytwy, nożyczek i lustra? Powołując się na nazwisko Leona Steina, fryzjer poprosił o tymczasowe schronienie dla swego towarzysza. Choćby na parę dni. Nikt się nie odezwał. Lotta wstrzymała oddech. Cisza była pełna napięcia, wynikającego nie tyle z wątpliwości, co z uczucia nieuchronności. Tylko pozornie istniała możliwość wolnego wyboru - w rzeczywistości został już dokonany na nadludzki lub właściwie czysto ludzkim poziomie. Nie można było powiedzieć - nie, wyjdź stąd z powrotem na deszcz i zawieruchę, i poszukaj gdzie indziej dachu nad głową. - Nie przyjmujemy nikogo więcej - usłyszała ojca - to zbyt ryzykowne. - Łóżko po Frinklach jeszcze stoi - wtrąciła matka. Jej ręce zaczęły manipulować przy płaszczu nieproszonego gościa, zdjęła z niego mokre okrycie i powiesiła na wieszaku obok pieca. Poprosiła, by usiadł na krześle, wzięła jego okulary i koniuszkiem spódnicy wytarła szkła do sucha i nałożyła mu je z powrotem na nos. - Tak, teraz widzi pan przynajmniej, dokąd pan trafił.

Ruben Meyer odkrył, że w jednym z pokoiów na górze leżała lunatyczka, która się strasznie nudziła. Siadał przy jej łóżku i czytał na głos. Przynosił też herbatę i upiększał dla niej doniesienia z frontu. Gdy po sześciu tygodniach nie znaleziono jeszcze dla niego innego adresu, wyznał, że ze strachu o swoją rodzinę cierpi na bezsenność. Piekarz we wsi pod Utrechtem, gdzie się ukrywali, szantażowany był przez własną szwagierkę, która zauważyła, że w magazynie za piekarnią czuć było nie tylko zapach chleba i bułek z rodzynekami, lecz także kogoś, kto pocił się ze strachu. Ruben został przeszmygowany przez jakąś pralnię, w koszu z brudną bielizną, w okolicę Het Gooi, by znaleźć dla nich bezpieczną kryjówkę. - Miał to załatwić fryzjer... - za grubymi szklami okularów jego oczy biegały dziko w tę i z powrotem - nie rozumiem... - Nie możemy czekać - powiedziała matka Lotty.

Posłała Lottę w drogę. Pociąg jechał przez jałowy krajobraz, nad którym wisiało wypłowiałe, smutne niebo. Lasy, wrzosowisko, nie były po prostu sobą - pod tupotem obcych butów straciły swą niewinność, stały się jednocześnie schronieniem i sceną tragedii. Fakt, że mogła bez przeszkód przejeżdżać przez nie, ale Ruben nie, zniekształcał krajobraz, sprawił, że już nigdy więcej nie będzie się dało nazwać go ot tak, pięknym. Wszystko zdawało się

absurdalne, bezsensowne: ona była w drodze do jego bliskich, on znalazł schronienie u jej rodziny - to wszystko trwonienie energii, kompletny chaos, nikt już nie potrafił podążać za rytmem swego życia.

W piekarni zastała stłoczonych w małym, dusznym pomieszczeniu jego matkę, dziesięcioletniego brata, siostrę i szwagra, wychudzonych i wycieńczonych ze strachu. Matka uczepliła się mocno Lotty. - Proszę zabrać ze sobą mojego chłopca, niech go pani stąd wyciągnie! - Zabierzemy was wszystkich tak szybko, jak to możliwe - próbowała ją uspokoić Lotta - ale trzeba to dobrze zorganizować. - Mojego małego chłopczyka, moją mordkę - błagała matka - niechże go pani już zabierze... - Trochę na uboczu stał chłopczyk z zeszytem w ręku. Wyglądało to tak, jak gdyby mały mężczyzna zawstydzony błaganiem matki, świadomie zachowywał dystans. Wygląd zbyt go zdradzał, by mógł podróżować pociągiem. - Zadania rachunkowe? - zapytała, by zyskać na czasie. - Piszę opowiadanie - odparł z godnością - o rozbitkach, wyrzuconych na brzeg wyspy na Oceanie Spokojnym. - No i co dalej? - zachęcała go, zastanawiając się gorączkowo, co ma robić. Na tego rodzaju dylemat nie została przygotowana, była przecież tylko wysuniętym do przodu pionkiem, mającym jedynie zbadać sytuację. Chodziło tu o decyzję, której nie mogła podjąć na własną rękę... - Myślę, że wyspa jest bezludna i mogą na niej żyć bezpiecznie, ale kanibale polują na nich z dzidami i... - Proszę - matka ściągnęła z palca brylantowy pierścionek. Lotta potrząsnęła przecząco głową, poczuła nieznośny ucisk w skroniach. - Nie chodzi o pieniądze... Niemcy od razu zabraliby go z pociągu, to byłoby nieodpowiedzialne... ale my po państwa przyjedziemy... przyjedziemy po państwa wszystkich tak szybko, jak to będzie możliwe...

Jeszcze tego samego dnia wieczorem skontaktowali się przez fryzjera z właścicielem pralni. Mógł wziąć tylko trzy osoby, pod koniec tygodnia. Ponieważ pani Meyer z całej czwórki wyglądała najmniej żydowsko, matka Lotty postanowiła pojechać po nią następnego dnia pociągiem. Wzięła dla niej kapelusz z szerokim rondem. Jechały z powrotem razem jak dwie gawędzące przyjaciółki. Tiki nerwowe na twarzy tej, która na kilka dni musiała zostawić swoje dzieci, skrywał cień kapelusza. Właściciel pralni dotrzymał punktualnie umowy, opatrność także: Niemcy wyprzedzili go o kilka godzin - w nocy z piątku na sobotę zabrali całą trójkę z piekarni.

„Mojego małego chłopczyka, moją mordkę, niechże go pani już zabierze...”. Lotta musiała ukryć szok; miała uczucie, że została skazana przez niewidzialny trybunał. Gdyby wiedziała, że chłopiec wpadnie w ręce Niemców, podjęłaby ryzyko jazdy pociągiem. Jeśliby go wtedy aresztowali, byłaby co prawda winna, ale mniej niż teraz, ponieważ nawet nie spróbowała. Ta myśl ją dręczyła i nie dawała spokoju, jak diabeł miotała się na wszystkie

strony między winą i winą. Została skonfrontowana z subtelnym, tkwiącym w samym istnieniu, okrucieństwem, które nie dało jej możliwości wyboru. Nie była przygotowana na to, że życie stanie się tak poważne. Jeszcze gorsze było to, że nikomu nie przyszło do głowy brać jej coś za złe, a ona walczyła z problemem pozornie luksusowym w porównaniu ze zrozumiałą rozpaczą i samotnością Rubena Meyera. Postanowili zataić prawdę przed jego matką: dokąd mieliby udać się z żydowską matką, która postradała zmysły ze zmartwienia? Wmówili jej, że dzieci zostały tamtego wieczora przeniesione pod inny adres. Każdego dnia skarżyła się. - Ale chyba mogą przecież napisać jakiś list? - To zbyt niebezpieczne - zapewniał ją jej syn ze ściśniętym sercem - przechwytyją także listy. Nikt nie może wiedzieć, gdzie się znajdują. - Chodził po domu ze zwieszonymi ramionami; konieczność okłamywania matki każdego dnia była ponad jego siły.

Ojciec Davida wstąpił ze szkatułką w rękę. Chociaż nie otrzymał już od syna żadnej wiadomości, odzyskał znowu coś z swej dawnej ufności, która nadawała ton jego pieśniom. - Chcemy się też ukryć - powiedział - mam tu trochę drobiazgów, kilka... rzeczy... - Zastukał w szkatułkę. - Byłoby nam szkoda, jeśliby zaginęły. Miałby pan coś przeciwko, jeślibyśmy zakopali to w pańskim ogrodzie lub w lesie? - Nie ma sprawy - powiedział mimochodem ojciec Lotty - byle nie w ogrodzie, gdyż potrzebny jest nam teraz każdy jego metr kwadratowy. - Miał na myśli tytoń, który zasiał i dla którego poświęciłby nawet dużą część warzywniaka, gdyby nie interwencja jego żony. Lotta wychyliła się przez balustradę balkonu i ujrzała obu mężczyzn znikających z łopatą w lesie - widząc to poczuła niesmak, choć nie wiedziała dlaczego.

- Jesteś ciągle jeszcze zła - zauważyła Anna, przyglądając się bacznie Lotcie - prawie pięćdziesiąt lat gromadziłaś swoją wściekłość. Wyrzuć ją wreszcie z siebie! Jestem właściwą osobą, wyładuj się na mnie, przeszłam w swym życiu już gorsze rzeczy. Masz prawo do złości!

- Wcale nie jestem zła - ręce Lotty spoczywały zaciśnięte w pięści na stole, szybko rozstawiła palce. - Po prostu opowiadam ci, co się wydarzyło.

- Dlaczego zaprzeczasz, że jesteś zła? *Selbstverständlich*¹, że jesteś. Całą swoją wściekłość przelewasz już na mnie całymi dniami. - Anna rozparła się zadowolona. - Proszę, możesz mi spokojnie robić wyrzuty.

- Przecież robię to cały czas - westchnęła Lotta - ale ty od razu zajmujesz pozycję obronną.

¹ (niem.) - oczywiście

- Nie będę tego więcej robić, no dalej. Musisz się najpierw wyładować...

Lotta spojrzała na nią sceptycznie - czy przyszła teraz kolej na sesję terapeutyczną, w tej kawiarni wielkomięjskiego formatu, wśród ludzi biznesu i gospodyń, które spokojnie popijały swoją kawę.

- Pomogę ci trochę - powiedziała Anna. - Zamówimy jeszcze po filiżance kawy, a wtedy opowiem ci coś, czego do dziś się wstydzę do głębi duszy.

Listy Martina nadchodziły z coraz to dalszego południa. Niedaleko przed Kaukazem ich częstotliwość zmalała - nabawił się niebezpiecznej infekcji jelit i listy do Anny pisali teraz jego towarzysze broni. Nie dawała się zwieść ich zbyt rzucającym się w oczy próbom ukrycia za pomocą anegdot i żartów jego poważnego stanu; ze strachu rzuciła się zawzięcie w wir pracy. Jednak pewnego dnia jego charakter pisma znów pojawił się na kopercie. Przewyciężył kryzys dzięki diecie mleczno-pomidorowej. Przekroczyli Zagłębie Donieckie, by dotrzeć do Taganrogu. Anna otrzymała kilka listów jeden po drugim. Awaryjne ciężarówki spowalniały tempo. Samochód odmawiał posłuszeństwa, Rosja za duża. O osiem dni za późno dotarli do miasta nad Morzem Azowskim, skąd powinni lecieć na wielki finał do Stalingradu. Nie zczekano na nich, tylko zgłoszono jako zaginionych. Tak oto załoga tej ciężarówki wypadła poza Wielki Plan - została oficjalnie wysłana na urlop. Rok po próbie generalnej Martin otrzymał wreszcie pozwolenie na małżeństwo.

- Anno, Anno, chodź, tu jest telegram do ciebie! - głos Frau von Garlitz rozlegał się po korytarzach. Jedna ze sprzątaczek ze wsi, która na odłożony ślub trzymała jeszcze w pogotowiu utuczoną gęś, zarznęła pospiesznie przyszłe danie główne uczyty weselnej. Jedna walizka ze świńskiej skóry wypchana została jedzeniem, druga suknią ślubną, koniecznymi dokumentami i rzeczami stanowiącymi wyprawę Anny. - Nie wierzysz chyba, że tym razem się uda? - szydził przy pożegnaniu Herr von Garlitz. Przy świetle księżyca stary kamerdyner Ottchen odwiózł ją na stację ostatnim, pozostałym w zamku koniem.

Przepełniony pociąg miał właśnie odjechać. Ottchen poderwał walizy z wozu i władował je do środka ponad brzuchami śpiących na platformie żołnierzy. - *Zum Teufel mit doppeltem t!*¹ - protestowali. Anna przeproszała nieustannie, stąpając ostrożnie między nimi. Po przeprawie przez zapchane korytarze znalazła kącik w przedziale pierwszej klasy. Jak szalony, pociąg huczał przez całą noc. W Protektoracie Czech i Moraw zatrzymał się. Wydawano głośne rozkazy, a potem pociąg pojechał dalej, aż w pobliże Wiednia, gdzie

¹ (niem.) - A niech to wszyscy diabli!

musiał czekać cztery godziny do odwołania alarmu lotniczego.

Przy przyjeździe okazało się, że walizka ze świńskiej skóry zniknęła. Jakiś żołnierz przypominał sobie, że w Czechach ktoś wysiadł z jakąś walizką, może wyczuł zapach gęsi. Z powodu zamieszania wokół zaginionej rzeczy nie dotarło do Anny, że Martin, przybyły w towarzystwie swego ojca, ostrożnie ją dotknął. Cofnęła się. Dzielili ich tysiące kilometrów, całe tygodnie istniał jedynie w charakterze pisma swych towarzyszy broni, był punktem, w którym skupiały się koncentrycznie wszystkie jej uczucia, magnesem dla strachu i tęsknoty... a teraz tu stał, było w tym coś banalnego, powitali się wzajemnie powściągliwie - nie tutaj, gdzie wszyscy mogą się przyglądać. Po drodze do mieszkania jego ojca, w tramwaju, zafascynował ją jego gładko wygolony kark, wrażliwy, wzruszający kark, tak nieskazitelny mimo śniegu, choroby, niegościnnosci, mimo wojny.

Wzięli ślub w kościele św. Karola Boromeusza. Pan młody podjął ostatnią próbę uzyskania zgody od swojej matki i przekonania jej do udziału w uroczystości. - To najważniejszy dzień w moim życiu! - zawołał i potrząsnął nią. - Najważniejszy dzień w moim życiu! - Koniuszkami palców ucisnęła skronie i zacisnęła mocno powieki. Tak zostawił ją na zawsze w jej królestwie, gdzie - jako ofiara ucisku - miała już tylko siebie samą. Przytłoczona wspaniałością i przepychem wnętrza kopułowego kościoła, Anna dała się poprowadzić do ołtarza. Kolumny, okładziny ścienne i balkony z blad różowego, brązowego, piaskowego, czarnego marmuru. Przypuszczała, że za jedną z kolumn zaczaiła się jej przyszła teściowa, z bezbłędnym wyczuciem czasu wyczekując momentu kulminacyjnego, by wtedy wyskoczyć i odegrać dramatyczną rolę, przy której zbladłaby scena łóżkowa sprzed roku. Lecz malowidła zdobiące plafon kopuły odwróciły uwagę Anny, tak samo jak złote promienie wydobywające się z trójkąta z hebrajską inskrypcją nad ołtarzem, anioły unoszące się tam w górze, okno ze złotym witrażem, przez które do wnętrza wpadał brązowy płomień spowijający niewielki orszak weselny - gdzieś w sferach niebieskich musiała istnieć wyższa harmonia, jakiś tajemny, precyzyjnie ustalony plan, w którym drogi ich życia były wytyczone z chwili na chwilę, z jakimś głębszym, niepojętym zamysłem. Spojrzała w bok, na profil pana młodego - jego jabłko Adama uniosło się w górę i z powrotem, gdy bogato zdobione złotem organy rozpoczęły hymn.

Gdy ceremonia dobiegła końca, zeszli lekko jak na skrzydłach schodami w dół, pomiędzy greckimi kolumnami, obeliskami i dwoma aniołami z białego marmuru, wznoszącymi ku niebu krzyż. Anna mimowolnie obejrzała się na nie. Były to anielice, ta z prawej z pełnią wewnętrznego spokoju wpatrywała się w dal, ta z lewej spoglądała nieco surowo - wokół jej krzyża wił się przecież wąż. Uroczystość obudziła nagle w Annie rzekomo

wygasłe już uczucie. Lotta. Nie ta obca, która odwiedziła ją w Kolonii, lecz Lotta, taka, jaką była wtedy... to była ona... jeśli nie mogło kogoś zabraknąć na tym ślubie, to właśnie jej... a dlaczego nie miałyby teraz być obecna w postaci anioła, ona sama byłaby wtedy tym drugim aniołem, tym z węzłem... marmurowymi oczami patrzyły na świat, jak gdyby coś z niego rozumiały... Orszak weselny dotarł na drugą stronę Karlsplatz, wiatr zawładnął welonem Anny - z za delikatnego tiulu, namacalna rzeczywistość wydała się jej przez chwilę czymś mglistym i nieokreślonym.

Wprowadzili się do mieszkania zmarłej babki Martina. W grzebieniu pozostawionym na komodzie tkwiły jeszcze jej włosy. Własne mieszkanie... z nienasyconym głodem szukali wzajemnej bliskości, jak gdyby musieli nadrobić tysiące straconych godzin. Miasto i jego okolice stanowiły odpowiednie tło dla ich miodowego miesiąca - z wyjątkiem małego incydentu, gdy w starym centrum, na Mölkerbastei, natknęli się na grupę ludzi z żółtą gwiazdą na płaszczu, powoli schodzących wydeptanymi schodami. Martin osłupiał. Z osobliwego rodzaju pietyzmem wyciągnął ramię podtrzymujące rękę Anny i wpatrywał się, wytrącony z równowagi, w ludzi, milcząco przechodzących obok nich. Bardziej niż tym pochodem, niemo coś wyrażającym, który był dla niej czymś nowym, a jednak od razu zrozumiałym, przeraziła się poruszeniem Martina. - Chodź - prosiła, ciągnąc go za ramię - nie patrz na to, proszę, chodź ze mną. - Z trudem dał się odciągnąć. Przez cały dzień miała za złe pochodowi, że pojawił się na ich drodze, jak ponury znak.

Chciała żyć, żyć intensywnie przez te trzy tygodnie, które były im dane, a miały wystarczyć na całe życie.

Kiedy wieczorem przed odjazdem pakowała niechętnie swoją walizkę, z sąsiedniego pokoju zabrzmiały stłumione głosy Martina i jego ojca. - *Hier mein Junge*¹, kupiłem ci kalesony, bo tam jest tak zimno, weź je ze sobą. - Nie - protestował Martin - nie trzeba. - Dlaczego nie, Anny przecież przy tobie nie będzie? - Krótki, suchy śmiech. - To nie o to chodzi... - Więc o co? - Ach tato, to zimno jest niczym w porównaniu z innymi niebezpieczeństwami, na które jesteśmy narażeni. - Ale oddziały łączności nie ryzykują wiele, wy przecież nie walczyacie na froncie? - Niezrozumiały szmer, Anna przystawiła ucho blisko futryny. Wszędzie czaili się partyzanci, słyszała jak mówił Martin, przede wszystkim tam, gdzie się ich nie spodziewało. Także oddziały łączności były narażone na niebezpieczeństwo, gdy w małej grupie, za posuwającym się frontem, stawiali maszty, kładli kable, ciągnęli przewody. Któregoś dnia jeden z techników, który dopiero co wspiął się na maszt, zauważył

¹ (niem.) - Tutaj, mój chłopcze

brak obcęgów. - Zaczekaj - zawołał Martin, który nadzorował te prace - przyniosę je zaraz. Poszedł do ciężarówki, ukrytej za sosnami. Kiedy ich szukał usłyszał z oddali krótki, urywany krzyk, po którym nastąpiła nagła cisza. Wycofał się cichaczem, ostrożnie, szukając osłony za drzewami. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą jego kompani zajęci byli pracą z młotkami i obcęgami, między nieruchomymi źdźbłami traw, leżało dwanaście ciał z podciętymi gardłami. Sprawcy jakby rozplynęli się w powietrzu - prawie bezszelestna, błyskawiczna akcja pod czystym błękitem nieba.

Komentarza teścia już nie usłyszała. Anna opadła na skraj łóżka, obok na wpół spakowanej walizki. Więc to była ta druga strona kwitnących pól słonecznikowych, rozstrojonego fortepianu w chłopskiej chacie, skrzyni książek na targowisku. Tak to się działo, z sekundy na sekundę, na skraju łagodnie zielonego lasu sosnowego, między kwitnącymi trawami. Zupełnie nie miało znaczenia, czy krajobraz był idylliczny.

Nie znaleźli odpowiedniego pożegnania. Stali nieporadnie na peronie, a gdy ich spojrzenia się spotykały, uśmiechali się pocieszająco. - Wkrótce zobaczymy się znowu - powiedział ze sztuczną beztróską. - Mój anioł stróż nie opuści mnie ani na krok, nawet przy czterdziestu stopniach mrozu. - Muszę utrwalić w pamięci jego twarz, pomyślała, jego twarz, taką jaka jest teraz. Zabiorę ją ze sobą do domu i będę sobie przypominać, kiedy tylko zechcę, cokolwiek by się przydarzyło. Bolesne było, jak bardzo zawodzili w sztuce rozstawania; żadnych łez, żadnych stosownych słów, co najwyżej pewna niecierpliwość po obu stronach, by uwolnić się od czegoś, co przerastało zwykłych śmiertelników. Dopiero w pociągu zdążającym na północ smutek wybuchnął z opóźnieniem. - Mój mąż... - prosiła o wybaczenie zdumionego współpasażera - mój mąż wrócił do Rosji. - Po raz pierwszy określiła go tym mianem. Nappełniło to ją pełną smutku dumą, która zaraz potem przytłumiona została przez skojarzenie - wdowa, wdowa po żołnierzu.

Po powrocie zastała park wokół zamku usiany liśćmi kasztanowca. Nocami był mróz. Na czerni nieba błyszcząły tysiące gwiazd, niemających z tą wojną nic wspólnego, bez względu na to, czy patrzyło się na nie z Brandenburgii czy z tundry. Tam był Martin, a tu - stu Rosjan, którzy spali jak świnie poupychani po stajniach. Pewnego dnia, mimo ciągłego dozoru, dwóm z nich udało się uciec. W lesie natknęli się na starego leśniczego, chcącego ustrzelić z ambony zająca na Boże Narodzenie. Zanim użył w obronie swej myśliwskiej fuzji, zakłuli go nożem. Uciekinierzy zabrali ze sobą broń i amunicję. Jeszcze tego samego dnia znaleziono zwłoki i zmniejszono o połowę głodowe racje dziewięćdziesięciu ośmiu pozostałym. Dwa tysiące żołnierzy z sąsiedniego lotniska otoczyło kordonem las i rozpoczęło jego przeczesywanie. Obaj Rosjanie zakopali się i zamaskowali liśćmi; nikt z coraz bardziej

zawężającego się kręgu ich nie odkrył. Już prawie się im udało, gdy jeden z żołnierzy, szczególnie uważny, poczuł przeszywające jego plecy spojrzenie i obejrzał się.

Tymczasem o sprawie dowiedział się także Herr von Garlitz. Pognał do pokoju myśliwskiego i zerwał ze ściany knut. Pędząc oszalały przez korytarze i smagając dziko rzemieniami wokół siebie, przeklinał wszystkie słowiańskie narody. - Zaszlachtować starego człowieka, hołota, stłukę ich na miazgę, niech zdechną! Zbrzydzone tym teatralnym pokazem męskiej odwagi Anna wybiegła na wewnętrzny dziedziniec. Właśnie ukazał się pochód, na czele z utykającymi jeńcami. Rozwścieczony von Garlitz rzucił się w ich kierunku z knutem, lecz dwóch oficerów stanęło mu na drodze i przywołało do porządku. Prymitywna zemsta była niedozwolona; należało się trzymać reguł, odnoszących się do jeńców wojennych. Jeden z oficerów wydał rozkaz, by wypuścić uciekinierów - zwlekając, z niedowierzaniem zaczęli biec w kierunku stajni. Wtedy strzelił im w plecy. Bezszelestnie upadli do przodu na kamienie. Zwrócił się demonstracyjnie do von Garlitz: - Zabici podczas ucieczki.

Zajście to wzbudziło gniew jeńców rosyjskich. Od tej pory Frau von Garlitz kazała eskortować Annę i innych służących, kiedy musieli przechodzić przez las. Anna odmawiała eskorty, nie bała się. Jej zdaniem zaszło tylko straszne nieporozumienie: w wyniku absurdalnej, bezsensownej wymiany rosyjscy mężczyźni znaleźli się w Niemczech, a niemieccy w Rosji. Podczas gdy rosyjscy jeńcy, sfrustrowani i bierni, wyczekiwali, gdzieś w sercu ich kraju rodacy toczyli gorzką bitwę, na tle ośnieżonych ruin z soplami lodu, w wypalonych oknach - masowo umierano za utrzymanie domu, szopy, muru. Los całego świata zdawał się zależeć od przebiegu tej lodowatej bitwy, w powoli ginącym mieście.

Wiadomość o tym, że Stalingrad się utrzymał, dotarła szybciej do stajni, niż do zamku, gdzie nagą prawdę upiększano eufemizmami: wycofujemy się. Nastąpił wielki przełom. Zamek, odrestaurowany od dachu aż po piwnice, szykował się do przyjęcia gości na wypolerowanych do błysku parkietach, w wymalowanych na białą ścianach, w przytulnym cieple palących się wiecznemu pieców kaflowych - stara pruska arystokracja miała także wnieść swój wkład w historię. Anna, zupełnie niezainteresowana strategicznym rozwojem i bez politycznych preferencji, miała tylko jedno jedyne palące pragnienie - by Martin cały i zdrowy wyszedł z wojennej pożogi.

Lotta gapiła się przez okno, jej wzrok prześliznął się po granitowych murach kościoła. - Dla ludzi, na których ty nie chciałaś nawet spojrzeć, my ryzykowaliśmy własnym życiem... - powiedziała z niedowierzaniem.

- Teraz widzisz - skinęła Anna - jak to wtedy było. Nie byłam ani trochę lepsza, ale też

nie gorsza, niż większość. Przez cały rok czekałam ze strachem na wiadomość o jego śmierci, a teraz on tu był, żywy, przez trzy tygodnie. Później wszystko miało się zacząć od nowa - oddałabym wszystko za uratowanie tej odrobiny życia, która nam była dana... Gdybym przechodziła sama przez Mölkerbastei, na pewno bym ich zobaczyła, uwierz mi. Prawdopodobnie zadawałabym sobie bolesne pytania... ale ta odrobina szczęścia, rozumiesz, to było w tym momencie ważniejsze niż cokolwiek innego.

- Dla siebie samych zawsze znajdziecie jakąś wymówkę - stwierdziła gorzko Lotta - ale dla Żydów byliście bezlitośni.

- Daj już wreszcie spokój temu „wy”... ta odrobina szczęścia była wszystkim, co otrzymałam, myślę, że miałam do niej prawo, musiała mi ona wystarczyć na resztę życia.

Słońce przedarło się przez chmury, zimowy biały promień oświetlał ich ręce - niezwykłą sieć niebieskich żyłek. Skóra, naczynia krwionośne, mięśnie - wątle i śmiertelne.

- Zdaje mi się, że dotarliśmy tu do istoty naszego konfliktu... - rozmyślała Anna - i powodu twojej złości...

- Przestań proszę traktować moją złość jak coś konstruktywnego, co samo z siebie przechodzi w gotowość przebaczenia, jeśli tylko się porządnie wyładuję.

- Nie chodzi mi o przebaczenie - powiedziała ostro Anna - niczym nie zawiniłam.

- Zostawmy lepiej ten temat - westchnęła Lotta, owładnięta uczuciem przewidywalności - no cóż, rzeczy mają się tak a nie inaczej. Mówiłaś o Stalingradzie... jeszcze dobrze pamiętam, jak nam ulżyło... naszą euforię... a jednak dopiero potem zrobiło się na prawdę trudno...

Batiuszka Stalin nie dał się tak łatwo przycisnąć do muru; alianci wymietli już Afrykę Północną i posuwali się naprzód do Włoch. Przez krótki czas żyło się złudzeniem, że teraz to tylko kwestia przeczekania i wytrzymałości. Rodzina Frinklów ledwo uszła dwóm łapankom i czterdziestu ośmiu kotom, wracając była u kresu wytrzymałości nerwowej. W każdym posiłku brały udział zwierzęta jako pełnoprawni stołownicy; panie Noteboom wkładały sobie do ust kawałki surowego serca, po które następnie, stojąc elegancko na tylnych łapach, sięgały koty. Wskutek przesadnej matczynej miłości i rozpieszczenia zmieniły się one w obojętną zgraję kalającą własne gniazdo, miauczącą głośnym chórem, kiedy Max i jego syn grali swoje codzienne palcówki.

Od czasu, gdy Lotta jako członkini chóru radiowego odmówiła wstąpienia do *Kulturkammer*¹, skończyło się oficjalnie jej śpiewanie, a ona sama stała się niezbędnym

¹ (niem.) - Izba Kultury, do której podczas okupacji musieli wstąpić wszyscy artyści chcący wykonywać

trybikiem w czternastoosobowym, olbrzymim gospodarstwie domowym. Życie stawało się coraz cięższe, nie tylko w sensie praktycznym, ale także abstrakcyjnym, bowiem nieodłącznie towarzyszył mu uśpiony, podświadomy strach. Nagła cisza, dziwny szmer, przerażająco kołyszące się wierzchołki drzew, grzmot w oddali, niejasna pogłoska - wystarczył drobiazg, by go wzniecić. Mogło się to wydarzyć w każdej chwili, właściwie żaden moment nie był nieodpowiedni. Nikt nie mógł sobie tego wyobrazić, a jednak próbowali, wysilając swą fantazję aż do granic, do kresu wytrzymałości. Podczas fałszywego alarmu strach pędził Meyerów i Frinklów do lasu, w samych tylko płaszczach zimowych, narzuconych pośpiesznie na pizamy. Całymi godzinami leżeli w mokrym rowie, pod nisko zwisającymi gałęziami świerku, w oddali rozlegały się głosy i szczekanie psów. Pani Meyer gryzła końcówki przemokniętego, lisiego futra, Max Frinkel masował kostki u ręki, by wilgoć nie zniszczyła mu stawów. W końcu pan domu zbudował z drewna wymyślną kryjówkę w głębokiej szafie, w ścianie swojej sypialni. Drzwi szafy zredukował do dziury w ścianie, zasłoniętej lustrem wielkości mężczyzny, które otwierało się i zamykało za pomocą linki, gdy od środka domykało się właz. Mieścili się tam wszyscy, znikali przez dziurę we własnym odbiciu lustrzanym, dwuznaczna forma bytu i niebytu. Następnie matka Lotty przesuwiała przed lustro swą toaletkę, na której uwodzicielsko lśniły fioletowe i ciemnoczerwone flakoniki perfum. Pani Meyer chciała już odtąd spać wyłącznie w szafie; ze swych łóżek słyszeli jej dziwnie brzmiące modlitwy i płacz.

Powstrzymywanie ciągle rozrastającej się liczby domowników nie było rzeczą łatwą. I tak przykładowo: zadzwonił dzwonek u drzwi, Lotta była sama w domu - z wyjątkiem pięciu niewidocznych, niesłyszalnych postaci, grających na piętrze w karty. Przed drzwiami stał młody człowiek, z krótko obciętej rudymi włosami, trzymając prawą rękę na ramieniu małego, sędziwego mężczyzny w czarnym kapeluszu, który pełen wyczekiwania unosił ku Lotcie swą pooraną zmarszczkami twarz. - Przyprowadziłem teścia pana Bohjula ze sklepu z płytami gramofonowymi - wyjaśnił chłopak. Pan Bohjul został aresztowany, wyjaśnił, akurat gdy jego żona i córka były w Amsterdamie. Ktoś przechwycił je na dworcu i ostrzegł przed powrotem do domu. Bohjulowi udało się przeszmygować z komisariatu na zewnątrz wiadomość, że nie znaleźli teścia, tkwiącego jeszcze na strychu. Radził zaprowadzić starca do swego dobrego klienta, a nawet przyjaciela, który na pewno znajdzie jakieś rozwiązanie: do ojca Lotty.

- Nie ma go w domu - powiedziała - sama nie mogę o czymś takim decydować. -

Trzymała jeszcze klamkę w dłoni. Nikt nie powiedział już nic, przyglądali się sobie nieśmiało. Wyglądało, jak gdyby starzec w swej zupełnej zależności był jedynym ocalałym z katastrofy - jak gdyby uważano go za zbyt małego i lekkiego, by zginął wraz z innymi. Wtem zawstydzila się swej powściągliwości. - Mogą panowie poczekać na niego w środku - powiedziała, otwierając szerzej drzwi. Zaprowadziła ich do jadalni. Staruszek czekał zrezygowany, z kapeluszem na kolanach, białe brwi opadały mu ponad głęboko osadzonymi oczami. Jego towarzysz rozglądał się obojętnie dookoła, jak gdyby siedział w poczekalni. Gdy ojciec Lotty wrócił do domu, przyjrzał się im z pomarszczonym czołem, dopóki nie padło nazwisko Bohjula - ach tak, właściciel sklepu płytowego, który był jego drugim domem - ileż to razy dyskutowali żywo o pewnych nagraniach. Rzeczywiście - widział nieraz teścia pana Bohjula, dziadka Taka, człapiącego przez sklep. Oczywiście, że zrobi, co w jego mocy, by znaleźć dla niego dobrą kryjówkę. - *À propos...* - powiedział i zwrócił się zdumiony do starego człowieka - nie rozumiem tego, przecież pański zięć jest perskim Żydem? - Nie muszę się niczego obawiać - mówił do mnie jeszcze ostatnio. - Przecież między Niemcami i Persją nie ma wojny, zostawią nas w spokoju. - Niech pan mnie o nic nie pyta - westchnął starzec. - Do 1914 świat był jeszcze zrozumiały dla normalnego człowieka... jednak od tego czasu to mnie przerasta... - musnął czarny kapelusz, który jak *corpus delicti*¹, co spowodował upadek starego świata, leżał na jego kolanach.

Domek, w którym Lotta leczyła się jako dziecko z gruźlicy, został prowizorycznie urządzony. Ponieważ pobyt dziadka Taka miał być chwilowy, nie mógł się on dowiedzieć, że nie jest jedyną ukrywaną osobą. Gdy świeciło słońce, siadywał na starym rozkładanym krześle i rozmyślał, trzymając bursztynową fajkę w kąciку ust. Lotta przynosiła mu jedzenie, a on opowiadał jej o szlifierni diamentów, sprzed lat, gdy na świecie dało się jeszcze żyć. Jego białe włosy, wokół których słońce rozpościerało aurę lepszych czasów, jego zwątpienie, jego prześwitująca skóra - sprawiały wrażenie, jakby na chwilę przybył z tamtego świata, by ze zdumieniem rzucić okiem na chaos, w bezpiecznym przeświadczeniu, że w każdej chwili może wrócić, jeśli tylko tego zapragnie.

Nie udało im się znaleźć dla niego innej kryjówki, gdyż pojawiły się nowe grupy: studenci, zagrożeni wzięciem do niewoli żołnierze, mężczyźni chcący się uchronić przed pracą przymusową w niemieckim przemyśle. Theo de Zwaan dołączył do innych - krótko potem także Ernst Goudriaan, którego bohaterskie próby ukrycia strachu były tak wzruszające, że matce Lotty zrobiło się go żal. Został zakwaterowany z dziadkiem Takiem,

¹ (łac.) - dowód rzeczowy przestępstwa, narzędzie zbrodni

powiększył raczej frywolny niż solidny domek gruźliczki, przez który gwizdał wiatr, o stylową dobudówkę, z widokiem na pole kwitnącego tytoniu i budował w niej skrzypce. Także Koen, który osiągnął wiek poborowy, powinien się ukryć. Jego temperament nie pozwolił mu jednak na spokojne wyczekiwanie końca wojny. Wymknął się z domu, zgarnięto go, gdy szedł ulicą, i zawieziono do Amersfoortu. Idąc na skraju kolumny łapankowych towarzyszy niedoli, zdązał o zmierzchu przez stare śródmieście w nieznanym kierunku. Ulica była wąska, więc niezauważenie wsunął się w wejście, pchając plecami drzwi, stukał kostkami w drewno. - Proszę otworzyć, otwórzcie... - błagał. - Jesteś katolikiem? - zapytywał się ktoś po drugiej stronie drzwi. - Nie... - wyjęczał. - To idź sobie stąd - odrzekł głos.

Dostarczono ich do koszar w Assen, gdzie panowała plaga wszy. Z odrazy do milionów rojących się insektów nie mógł zasnąć. Wymknął się na dwór; usiadł pod murkiem i zdrzemnął się. Skoro świt wyrwał go ze snu przejeżdżający przez bramę koszar samochód pocztowy napędzany gazem drzewnym. Wysiadł z niego listonosz i ze spokojem opróżnił skrzynkę na listy, po czym odjechał, pozostawiając smugę dymu. Dzień później, w chwili gdy listonosz sadowił się znowu za kierownicą, Koen otworzył tylne drzwi i wskoczył między worki pocztowe. Przy promie przez Ijssel ujawnił się. Listonosz pobladł. Choć nie krył podziwu dla talentu improwizacyjnego Koena, brak mu było jednak odwagi, by tę nietypową przesyłkę przewieźć jeszcze przez Ijssel. - Chłopcze, naprawdę nie mogę tego zrobić - skarżył się - to zbyt niebezpieczne. - Ukryj mnie pod drewnem opałowym - zaproponował Koen. Wobec tak wielkiej pomysłowości pocztowiec musiał ulec. - Ja chyba oszalałem - gderał, przykrywając pasażera na gapę przyciętymi dokładnie, według miary polanami z drzew owocowych. Z niezłomną wiarą w samego siebie, Koen wrócił do domu. Jego matka, po dwóch nieprzespanych nocach drżąc ze zmęczenia i ulgi, wzięła go w ramiona, on jednak oswobodził się z objęcia, by przeprowadzić błyskawiczną kontrolę swego ubrania, mającą na celu upewnienie się, że nie zabrał z koszar jakiegoś pasażera na gapę.

Podczas gdy dziadek Tak zapuszczał korzenie pomiędzy jabłonią i roślinami tytoniu i pod zdjęciem zmarłej żony, przypiętym do ściany zardzewiałą pinezką, śnił o niej, jego córka i wnuczka nieustannie błąkały się. Po tułaczce od kryjówki do kryjówki, wnuczka dołączyła do swego narzeczonego, który schronił się gdzieś w de Beemster. Córka natomiast zjawiła się pewnego letniego wieczora, w wyzywającym, obcisłym kostiumie - nikt nie wiedział skąd - by odwiedzić ojca. Matka Lotty od razu miała złe przeczucia, jej mąż już od pierwszego wejrzenia okazał się bezbronny. Bezradny wobec łatwych do przeniknięcia manewrów uwodzicielskich - ukoronowaniem były uszminowane na czerwono, skrzywione

usta - uległ prośbie pani Bohjul, by mogła zostać. Dostała łóżko w pokoju Jet i Lotty, które od tej pory musiały spać w dymie z papierosów i oparach egzotycznych pachnideł. Co rusz inne suknie z głębokim dekoltem walały się po krzesłach i łózkach, a naszyjniki jeden za drugim wyczarowywane były z wykładanej macicą perłową szkatułki. Przy niedostatku uwagi załamywała się, od podziwu rozkwitała - wszyscy już mieli dosyć dogadzania jej dla świętego spokoju. Żadna forma rozrywki nie była w stanie przyciągnąć jej uwagi na dłużej niż pięć minut; jak zamknięta w klatce pantera kręciła się w tę i z powrotem, stukanie jej szpilek przeszkadzało innym w czytaniu, grze w karty, rozwiązywaniu krzyżówek. To nie do wiary, że była córką człowieka w sadzie, który w medytacyjnej ustępliwości palił swoją fajeczkę i uprawiał nasturcje, na wąskiej rabatce wzdłuż zapadłego tarasu.

Wieczorem, gdy zasłony z końskiego włosia były zaciągnięte, wszyscy schodzili na dół, by przy dwóch długich stołach zasiąść do jedzenia - matka Lotty, mimo ograniczeń, robiła wszystko co w jej mocy, by podawać do stołu koszerne dania. Czasem po jedzeniu Max Frinkel grywał co bardziej wirtuozowskie utwory Paganiniego, jego syn zaś rewanżował się melodyjną pieśnią cygańską. Flora Bohjul afektowanym głosem śpiewała stylizując na jazz, popularną amerykańską piosenkę. Na koniec oczy wszystkich kierowały się zawsze na Lotte, która przygryzała usta i kręciła głową. Dla spokoju pani Meyer deklamowała wiersz; ulubionym utworem była jambiczna elegia o matce, która, by napęścić żołądki dzieci, musiała sprzedać całe swoje mienie - jedyną rzeczą, jaką można było jeszcze zastawić, była lalka najmłodszej córki, którą ta trzymała przy sobie dzień i noc. Dzieci przepadały za tą dramatyczną opowieścią, dorośli mieli nadzieję, że nie okaże się ona prorocza.

Słuchali radia Oranje lub BBC. Od maja, kiedy to należało oddać wszystkie odbiorniki radiowe, ratowali się skonstruowanym przez ojca Lotty aparatem, nieposiadającym obudowy, za to z idealnym odbiorem - słyszeli oddech królowej podczas przemówień z Londynu. Panował wieczny głód wiarygodnej informacji; nielegalne gazety i ulotki przechodziły z rąk do rąk, od czasu do czasu ktoś czytał na głos jakiś artykuł. - A to, co... - powiedział ze zdumieniem Koen - posłuchajcie... - Bez namysłu przeczytał na głos artykuł z „Het Parool”, gdzie była mowa o istnieniu komór gazowych, w których „więzieni przeciwnicy”, z myślą że wchodzi do łaźni, zaganiani byli nago i zagazowywani - wydajność tych komór gazowych została zwiększona od niedawna z dwustu do tysiąca osób. Pani Meyer zaniósł się rozpaczliwym szlochem, Ruben pochylił się nad nią i w nieporadnej próbie pocieszenia ścisnął mocno jej ręce. Matka Lotty rzuciła Koenowi mordercze spojrzenie, i powoli dotarło do niego, co też nawyprawiał. Wiadomość tę od razu zbagatelizowano, oczywiście nie było to nic więcej jak sensacyjne doniesienie, wynikłe z skrzywionej wyobraźni nadgorliwego

dziennikarza. Bram Frinkel rzucił swą serwetkę na stół i z głową wciśniętą w ramiona udał się do drzwi. Z ręką na klamce odwrócił się i z szyderczym uśmiechem zwrócił się do Koena: - Może teraz wy przez następne dwa tysiące lat chcielibyście być narodem wybranym!

6.

Dobroczynne działanie zabiegów borowinowych, kwasowęglowych kąpieli i masaży wodnych dawało się stopniowo odczuć. Podczas pierwszego tygodnia kuracjusze musieli zazwyczaj stoczyć walkę z niezmiernym, graniczącym z depresją wyczerpaniem, spowodowanym usuwaniem blokad w stawach i zgromadzonych w tkance tłuszczowej toksyn. U obu sióstr doszły do tego jeszcze jady, uwalniające się podczas rozmów, obok blokad wynikających z ich pokrewieństwa i wystawionej na ciężką próbę sfatygowanej pamięci. W połowie kuracji następował jednak z reguły przełom. Pacjent nie cierpiał już przy wykonywaniu każdego ruchu, poruszał się swobodniej, krew płynęła mocniej, oddech stawał się głębszy. Także Anna i Lotta odczuwały coś z tego oddziaływania, obydwie poprawiły swą fizyczną kondycję, w tyle pozostawały jednak ich dusze, poddawane była całkiem innej kuracji, której terapeutyczny wynik był o wiele bardziej niepewny. Po poranku, obfitującym w zabiegi wodolecznicze, opuściły Instytut Wodolecznictwa; zanim przystąpiły do ryzykownego zejścia schodami w dół, spojrzały na czysty lazur nieba, rozpościerający się nad zieloną kopułą hotelu Heures Claires. Stopniały śnieg zamienił się w szarą breję. Dwie kobiece postaci z kamienia, od wybudowania w 1864 roku strzegące wejścia do zakładu - jedna z laską w dłoni i rybą między stopami, druga z małą harfą i przewróconym dzbankiem, z którego wypływała woda - zeskoczyły ze swych cokołów, zeszyły chyżo schodami w dół i przeszły przez ulicę w stronę Place Royale. Zatrzymały się zadowolone przy czworobocznym słupie informacyjnym w stylu *fin de siècle*. Ta z laską podniosła ją i wskazała jedną ze ścian, na której widniał napis:

*Quand il est midi à Spa i; est:*¹

13 heures à Berlin, Rome, Kinszasa

14 heures à Moscou, Ankara, Lumumbashi

15 heures à Bagdad

¹ (franc.) - Kiedy w Spa jest południe, to:

19 heures à Singapore

7 heures à New York

Druga dobyła kilka akordów ze swej harfy i zaśpiewała ochryłym głosem: „...misterium równoczesności... gdy w Rzymie obiad podają, w Singapurze kolację się jada... podczas gdy deszcz bomb na Berlin spada, w Nowym Jorku nakrywa się do śniadania...”. Słowa te, jak bańki mydlane, unosiły się nad Place Royale, z kamiennego dzbana wypływała woda źródłana, a może była to woda z roztopów - lała się ona przez Rue Royale i Avenue Reine Astrid. Lotta i Anna wzięły się pod rękę, przechodząc przez zalaną ulicę, woda sączyła się im do butów. Mijały zwyczajną restaurację i postanowiły do niej wstąpić - gdy w Nowym Jorku jedzą śniadanie, w Spa jadło się lunch.

Kompania Martina otrzymała rozkaz odwrotu z Rosji, by utworzyć obronę przeciwlotniczą wokół Berlina. Spędzał teraz weekendy u Anny - wreszcie miało miejsce coś takiego, jak życie małżeńskie. Anna z utęsknieniem wyczekiwała pierwszych oznak ciąży. Wczesną wiosną poddała się operacji. Miało się teraz okazać, czy udało się usunąć szkody, powstałe we wczesnej młodości na skutek pchania taczek z gnojem i dźwigania pokarmu dla świń. Dziecko zdawało się być dla niej czymś jedynym, najważniejszym, czymś czego jej do tej pory brakowało. Gdyby urodziła dziecko, ona sama urodziłaby się ponownie, a jego dzieciństwo pozwoliłoby wymazać jej własne - jej dziecku nie brakowałoby niczego. Ono zastąpiłoby także utraconą siostrę, pogodziłoby ją ze wszystkim, co w jej życiu się nie powiodło.

W lesie było olbrzymie jezioro. Przy brzegu zacumowano łódki w lśniących kolorach, którymi było można dopłynąć do owalnej wyspy: tam, za wierzbami i szarymi brzoźami, ukrywał się drewniany dom ze spadzistym dachem, który podobnie jak jezioro i lasy już od wieków przynależał zamkowi. Frau von Garlitz dała Annie klucz. W słoneczną pogodę wędrowała z Martinem do jeziora, gdzie łączyli ze sobą łódki i wiosłowali do wyspy holując za sobą całą tę flotyllę, aby nie zostać zaskoczonym przez niespodziewaną wizytę. Pływali, opalali się w wysokich kępach traw i spali w domu, pachnącym suchym, rozgrzanym przez słońce drewnem, i duchami bagiennymi, które nocą, gdy podnosił się wiatr, stękały i skrzypiały między deskami. Wojna była odległa i nierealna. Wiatr, kwakanie kaczek, kumkanie żab, zamiast alarmów lotniczych i ryku *Volksempfängera*. Nocą wsłuchiwała się w jego oddech, wydawało jej się cudem, że Martin leżał przy niej. Jakaś niewidzialna ręka przeprowadziła go trzykrotnie cało przez Rosję i ochroniła przed skrytobójcami,

odmrożeniami i śmiertelnymi chorobami, ponieważ musiał być ocalony dla niej. Ich bycie ze sobą na tej wyspie, w tym miejscu i czasie, zdawało się jej czymś świętym, jakby została wybrana. Przez okno, za kołyszącymi się gałęziami wierzby, widziała księżyc odbijający się w wodzie - wyspa dryfowała po jeziorze, a czas stał w miejscu. W niedzielne popołudnie flotylla płynęła znowu w odwrotnym kierunku. Powrotny spacer przez las był ostatnią rzeczą, którą się dzielili, później ich drogi się rozdzielały: Martin jechał do koszar, Anna, przekraczając bramę, powracała do swojego dawnego życia.

Do zamku przysłano pięć uczennic szkoły gospodarstwa domowego, które miały tu odbyć praktyki. Zostały powierzone opiece Anny. Od czasu metamorfozy zamku i gospodarstwa pod jej dyktando, Frau von Garlitz darzyła ją bezgranicznym zaufaniem. I znów Martin przypadł wszystkim do gustu - gdy nocował na zamku, praktykantki zakładały swe najpiękniejsze fartuszki. Kiedy Anna zdała sobie sprawę, że ich kokieteria wiąże się z jego obecnością, straciła panowanie nad sobą.

- Te fartuszki - wołała rozzłoszczona - są wyłącznie do serwowania. Nie mamy za dużo mydła w proszku, by prać je, jeśli będziecie je nosić także kiedy indziej! - Chichocząc - kobiecy instynkt bezbłędnie odpowiedział im właściwy powód złości Anny - poczęły odwiązywać fartuszki. Pewnej niedzieli Anna zauważyła przez okno kuchenne, że Martin przed odejściem wręczył jednej z dziewczyn najwyraźniej jakiś prezent.

- Co to było? - zapytała po tym, jak mu pomachała na pożegnanie. - Co dostałaś tam od mojego męża? - Dziewczyna rzuciła jej szybkie, niewinne spojrzenie. - No powiedzże - nalegała Anna, chwytając ją za ramiona. - Nie mogę się wygadać. - No dalej, mówże... - To jest... prezent dla pani, na Boże Narodzenie... - Teraz? W sierpniu? - Przytaknęła. - Na wypadek, gdyby pani mąż w czasie świąt stacjonował w innym miejscu i nie mógł do pani dotrzeć... - Anna przyglądała się jej zmieszana. Z oczu dziewczyny wyczytała oburzenie i lekceważenie, gdyż zmusiła ją do zdrady tajemnicy, a także z powodu podejrzenia, które się za tym kryło. Umknęła dotknięta, pozostawiając Annę samą z jej władzą, pełną wstydu i wzruszenia, które ten wstyd powiększało: że też Martin już teraz, w samym środku lata, pomyślał o tym, jak będzie mógł ją pocieszyć pół roku później, na Boże Narodzenie.

Atmosfera na zamku ożywiła się. Odnowione komnaty zajęte były bez przerwy przez gości - wysocy wojskowi dygnitarze spędzali tu krótkie okresy odpoczynku między dwiema misjami. Po kolacji wycofywali się do biblioteki, pozostawiając swe panie w salonie pod opieką Frau von Garlitz, ciągle jeszcze przyjacielskiej, eleganckiej i interesującej, jak gdyby wojna i eskapady jej męża nie miały na nią wpływu. W korytarzach szeptano o jego romansie z Petrą von Willersleben, córką przemysłowca, który zrobił w wojsku błyskawiczną karierę.

Von Garlitz od czasu, gdy zwichnął sobie rzepekę podczas kampanii polskiej, pełnił niejasną funkcję w sztabie generalnym, w związku z czym musiał się regularnie udawać do Brukseli. Anna nie mogła pojąć, jak można było takiemu lwu salonowemu, który kierował swą fabryką w Kolonii, galopując wokół niej jak huzar, powierzyć ważną funkcję w dowództwie armii - temu Heiniemu, który w zasadzie niczego nie potrafił i do niczego się nie nadawał, ale wciąż sprawiającemu wrażenie, że jest świetny. W zagadkowy sposób udawało mu się utrzymywać kontakty na wysokim szczeblu. Pochodzenie i pieniądze, mruzczała do siebie, zaprowadzą cię na tym świecie dalej niż ciężka praca.

Z właściwą sobie brawurą, von Garlitz zaprosił oficjalnie na kolację swoją kochankę. Z ważnym ojcem jako alibi, przekroczyła próg jego domu; miała na sobie wyzywającą suknię, by pognać Frau von Garlitz. Anna i jej praktykantki podawały do stołu. Ze wszystkich gości znała tylko Frau Ketteler, ciotkę Herr von Garlitz, mieszkającą w okolicy i odwiedzającą ich regularnie. Jej wiek był trudny do oszacowania; nigdy nie była zameźna i mieszkała z garstką służby w willi odgradzonej od ludzkich oczu wysokimi świerkami. Przed wojną posiadała stajnię pełną błyszczących koni wyścigowych, opowiadały sprzątaczkę, lubiła doświadczać niebezpieczeństwa w lesie pędząc galopem na czarnym ogierze, z fuzją na skórzanym pasku przewieszoną na plecach. Odkąd zarekwirowano konie, wyżywała się w długich spacerach ze swym silnym owczarkiem, który tylko jej był posłuszny. Od urodzenia bratanka, niewykorzystany dotąd instynkt macierzyński najwyraźniej skierowała ku niemu właśnie - uwielbiała go, była ślepa na jego wady i próbowała mu jeszcze ciągle z boku matkować.

Chodząc w tę i z powrotem z półmiskami i kieliszkami, Anna śledziła wrywkowo rozwój wydarzeń przy stole. Herr von Garlitz, jako partner przy stole *Fräulein* von Willersleben, uprzejmie z nią rozmawiał. Rozmowa dotyczyła malarstwa: aktów Adolfa Zieglera i Ivo Saligera. Wspomniała, że studiowała historię sztuki w Berlinie, on zaś udawał zaskoczenie i zdumienie, i zameczał ją pytaniami, by sprawić na żonie siedzącej po drugiej stronie stołu wrażenie, że jego rozmówczyni jest dla niego zupełnie nieznaną osobą. Ta zaś gładko podjęła tę grę - oboje tak się tym podniecili, jak gdyby za pomocą malarstwa odbywali miłosny stosunek przed oczami Frau von Garlitz. Hrabina, która podobnie jak wszyscy pozostali wiedziała o aferze, przyglądała się przez jakiś czas temu widowisku z zimną krwią, dopóki nagle nie poczuła, że ma dosyć roli naiwnej, oszukiwanej żony i widza, narzuconej jej w obecności gości przy stole. Opanowana wstała, podniosła dopiero co napełniony przez Annę czerwonym winem kieliszek, jak gdyby chciała wygłosić przemowę i wylała jego zawartość na twarz swego męża. *Fräulein* von Willersleben podskoczyła z piskiem, wystraszona o swoją suknię. W tym samym czasie Frau Ketteler pospieszyła z drugiego

końca stołu, by serwetką osuszyć twarz bratanka i jak najszybciej zmyć hańbę. Anna odetchnęła. Dręczące napięcie, które odczuwała - gdyż von Garlitzowi wyraźnie nie wystarczało tylko oszukiwanie żony, miał bowiem jeszcze perwersyjną przyjemność poniżania i prowokowania jej tym skandalem - zniknęło. Śmiejąc się z groteskowej gotowości do pomocy jego ciotki wymknęła się z jadalni z pustą misą.

Tego samego wieczora Frau von Garlitz kazała odwieźć się powozem na stację. Zniknęła bez pożegnania, pozostawiając zdumione towarzystwo. Von Garlitz opanowały niewypowiedziane wyrzuty. Powinien swą żonę, ich gospodynię, matkę jego dzieci, przywołać do porządku - mężczyzna na jego poziomie, z jego pozycją i funkcją, powinien umieć utrzymać żonę w ryzach. Nie byli przecież żadnymi Cyganami czy niewolnikami, prowadzącymi tak rozwiązły tryb życia, że dawali się ponosić emocjom. Kilka dni później rozchorował się. Urażona duma, wyrzuty sumienia, wstyd? W nocy temperatura wysoko się podniosła; pocąc się i majacząc, leżał w przemokniętych prześcieradłach. Obok jego łóżka siedziała Anna, która z ochotą przejęła rolę bogini zemsty. Mokrą szmatką zwilżała mu czoło i skronie, dawała pić i usypiała go, szepcząc uspokajające słowa. Jednak gdy gorączka zaczęła opadać, zaczęła wytykać mu, jaką jest świnią. - Na taką żonę wcale pan nie zasłużył - powiedziała pełna pogardy. Nie miał jeszcze siły, by zaprzeczać; leżał w poduszkach jak umierający żołnierz frontowy, z opuchniętymi powiekami i zapuszczoną brodą. Bez litości ciągnęła dalej: - Kobieta z tak wielką klasą, wdziękiem, charakterem! Niech pan o tym pomyśli, ma pan teraz na to mnóstwo czasu. - Gapił się na nią błyszczącymi od gorączki oczami dziecka, któremu opowiada się straszną bajkę, z tą różnicą, że od niego oczekiwano utożsamienia się z potworem, smokiem, a nie z bohaterem.

Po dwóch tygodniach Frau von Garlitz wróciła do domu, okaz arystokratycznego opanowania, przez które przebijała odrobina cynizmu. Wszyscy odetchnęli z ulgą, nie było czasu na konflikty małżeńskie, które, jak bardzo byłyby gwałtowne, bladły przy tym jednym gigantycznym konflikcie, w który uwikłany był cały naród. Martin już od miesiący starał się otrzymać dłuższy urlop, by udać się z Anną do Wiednia, choćby tylko na parę tygodni, pożyczyć jak mąż z żoną we własnym mieszkaniu, które znali jedynie ze swego miodowego miesiąca. Jego usilne próby spełzły na niczym. Była tylko jedna możliwość otrzymania dłuższego urlopu: zgłosić gotowość wzięcia udziału w krótkim szkoleniu oficerskim. Choć myśl o awansie w Wehrmachcie napełniała go odrazą, to jednak górę nad nim wzięła tęsknota za Wiedniem i odrobiną wolności: chciał choć na krótki czas wyrwać się z żołnierskiego kieratu, w którym tkwił już od czterech lat, wymagającego całkowitej dyspozycyjności i samozaparcia, z powodu nic nieznaczącej dla niego wojny. Został wysłany do szkoły

podoficerskiej w Berlinie-Spandau. Podczas szkolenia odcięty był od świata zewnętrznego. Tego dnia, kiedy kończył swój pobyt w szkole, Anna z walizką w ręku czekała na niego przed bramą. - Kim pani jest? - wartownik wystąpił pospiesznie o krok do przodu. - Czy mógłbym zobaczyć pani dokumenty? - Przyszłam po swojego męża, Martina Grosalie - odrzekła Anna, urażona tą nieufnością. - Idzie dziś na urlop. - Wartownik zbladł: - O Boże, proszę nie wchodzić do środka. - Odstawiła walizkę i przyjrzała mu się życzliwie. - Otrzymali karę - wyszeptał zakłopotany żołnierz, drapiąc się za uchem. Po chwili wahania, opowiedział co się wydarzyło. Grupa stała już na wewnętrznym dziedzińcu, gotowa do wyjścia, niemalże z jedną nogą za bramą. Jednymyślnym, entuzjastycznym *Heil Hitler!* mieli się pożegnać. Według komendanta zabrzmiało to za słabo. - Głośniej! - krzyczał. - Ciągle jeszcze bez przekonania, lecz z trochę większą siłą kompania powtórzyła obowiązkowe pozdrowienie. - Głośniej! - ryczał komendant, jak gdyby gra toczyła się nie tylko o cześć Hitlera, ale także o jego własną. - *Heil Hitler!*... - ciągle jeszcze wisiała nad tym szara mgła, byli jak płyta gramofonowa, na patefonie zwalnającym obroty. - Jeszcze zobaczymy, czy pojedziecie dziś do domu...! - Musieli się rozebrać, włożyć ubrania do szafek, przekręcić klucze. Następnie pognano ich na dwór, na prawo, na lewo, przysiady, czołganie po ziemi, po błocie. Lekcja upokorzenia i pokory, jaką powinni zapamiętać do końca wojny. - Proszę - szeptał strażnik - niech pani przyjdzie za godzinę raz jeszcze i udaje, że o niczym nie wie. Jest im wszystkim wstyd. - Anna rzuciła spojrzenie na solidnie zamkniętą bramę, za którą w berlińskim błocie czołgał się Martin, błocie Tysiącletniej Rzeszy, za którą musiał być gotów oddać życie, będącą także jej własnością. Zabrała walizkę i szła pierwszą lepszą ulicą i innymi przypadkowymi ulicami, które nie były ani przyjazne, ani wrogie, lecz obojętne. Gdy wróciła do koszar, już na nią czekał, nienagannie ubrany, promieniejący, zadowolony - zadziwiająca *tabula rasa*. - Co tak późno? - spytał zdziwiony. Ani słowem nie wspomniał o karnych ćwiczeniach. Doszli oboje do dużej wprawy w ignorowaniu wojny, w chwilach spędzanych wspólnie byli jakby poza jej zasięgiem, głusi na bicie w bęben, ślepi na błyski na horyzoncie.

Po ich pobycie w Wiedniu, został przeniesiony do Drezna. Nadeszła jesień. Anna, która uszyła i zrobiła na drutach już pełną walizkę ubranek dla dziecka, ciągle jeszcze nie była w ciąży - za to Hannelore owszem. Wiosną wyszła za mąż i mieszkała od tego czasu w Ludwigslust w Meklemburgii, skąd prowadziła z Anną nostalgiczną korespondencję. Frau von Garlitz, która przeżywała szczęście i nieszczęścia swojej służby, zaproponowała, by przyszłej matce dostarczyć paczkę ze wzmacniającymi produktami żywnościowymi, wysłała więc Annę z przesyłką do Ludwigslust. Znowu siedziała z walizką w pociągu do Berlina. Mimowolnie przypominała sobie dzień, kiedy w furmańskim płaszczu i myśliwskim

kapelusiku jechała do Kolonii, z dobytkiem w kartonie. Wstydziła się trochę na myśl o swojej prowincjonalnej naiwności, długiej drodze, jaką musiała wtedy przebyć - od świńskiego gnoju do sreber stołowych na adamaszku. Pociąg raptownie zahamował i zatrzymał się, wyrwijąc ją z rozmyślań; w końcu mozolnie przyspieszał, zacinając się raz po raz, aż dotarli do Berlina. Za oknem przedziału wyłoniła się szara, stalowa ściana, bez początku i końca, jak gdyby mieli zaraz przejeżdżać przez tunel. Ale ściana poruszała się... teraz Anna zauważyła, że składała się ona z gęstego dymu i kurzu. Pociąg cofnął się kawałek, a następnie ociągając się wjechał na stację. Anna wysiadła, przyzwyczajona jeszcze do czystej, neutralnej atmosfery przedziału.

W tej chwili spotkało ją to samo, co setki współpasażerów: gdy tylko postawili stopę na peronie, górę wzięły ich naturalne odruchy; bez chwili zastanowienia nad kierunkiem, rozpięchli się, wszystko wokół nich płonęło, dach trzeszczał, jak gdyby miał w każdej chwili runąć. Ktoś odciągnął Annę spod upadającego drewna czy stali, dym piekł ją w oczy i w gardło, na ślepo uciekała od ognia... alarm lotniczy, ktoś wepchnął ją do piwnicy. Tam stała się częścią drżącego, spoconego zbiegowiska, które, skulone, nasłuchiwało świstu i głuchego huku, ziemia drżała, tłum trząsł się wraz z nią, domy, pociągi, ludzie, wyglądało na to, że wszystko obróci się zaraz w proch, śmieszna, wspólna zagłada, bez sensu. Dla walizki kiełbasy i słoniny.

Trzy dni i trzy noce potrzebowała, by ze wschodniej części miasta, dokąd przybyła, dotrzeć do Spandau na zachodzie. Trzy dni i trzy noce w piekle; czasem bywała wciągana w ostatniej chwili do schronu przez kogoś, czyjej twarzy nawet nie widziała. Ktoś dał jej coś do picia, wlekła się dalej, potknęła się o przewód elektryczny, gdzieś runął mur, zadrzała, zbyt zmęczona, by się bać. Potem znowu noc, wyjące syreny, piwnica, przysnąć z wycieńczenia, zerwać się z przestraczem, znowu dalej przez dekoracje upiornej opery, ktoś daje jej coś do zjedzenia. Berlin-Spandau? Ciągle to samo pytanie w chaosie - stała na rozpadającym się planie miasta, którego obrzeża spalały się na popiół. Czy Spandau w ogóle jeszcze istniało, czy była w drodze do dymiących zgliszczy? Dlaczego bombardowania trwały w dzień i w nocy - czy Berlin, czy Niemcy miały zostać zmiecione z powierzchni ziemi?

Nagle, ni stąd ni zowąd, znalazła się ze swoją osmaloną walizką na dworcu Spandau. Był tam jeszcze zapchany do pełna pociąg, który miał właśnie odjeżdżać w kierunku Meklemburgii. Ktoś podniósł ją i wepchnął przez okno, a następnie uczynił to samo z jej bagażem. Pociąg z miejsca odjechał, jak ogłuszona opadła na walizę, najwyraźniej przeżyła, było to jej obojętne. Odbyła tę podróż w stanie na wpół przytomnym - upaść nie mogła, podtrzymywana przez inne przemęczone ciała. Kiedy w środku nocy dojechali do

Ludwigslust, Anna była jedyną wysiadającą. Było ciemno, choć oko wykol, gdy chwiejnym krokiem zbliżała się do mglistej sylwetki jakiegoś domu. Jej drżąca ręka z trudem odnalazła dzwonek. W korytarzu zapaliło się światło, drzwi otworzyły się, ktoś pojawił się na progu, spojrzął, kto stoi na dworze i przestraszony zamknął drzwi. I znów stała w ciemności, padając z wycieńczenia. Było zimno. Opanował ją pierwotny strach, jeszcze gorszy, niż podczas bombardowania, bezpośredni i duszący - strach przed odrzuceniem, wykluczeniem na zawsze jak ostatni śmieć, istota niezasługująca by żyć. Zaczęła bębnić w drzwi, jakby była ścigana - Przyjechałam z Berlina, proszę - lamentowała - proszę otworzyć, chcę się tylko przespać, proszę... Ale nic się nie wydarzyło, dom ją odrzucił. - Tu stoi człowiek... porządny człowiek... który chce tylko spać...! - Pod jej dudniącymi pięściami, drzwi ustąpiły. Na podłodze z płytek leżała derka, na którą padła, potykając się o próg, i natychmiast zasnęła, nie rzucając spojrzenia na swego trudno podejmującego decyzję dobroczyńcę. Następnego dnia wystarczyło jej ledwie sił, by wywiązać się ze swej misji. Zmieniona nie do poznania przez sadzę i kurz, blizny i otarcia naskórka, przekazała walizkę Hannelore, bujającej na swym różowym obłoku dobrej nadziei, niemającej pojęcia o bombardowaniach. W jej nieskazitelnym mieszkaniu, urządzonym już pod kątem przyszłego wydarzenia, wyjęte z walizki, w nienaruszonym stanie: kiełbasy, słonina i szynki, stanowiły perwersyjny, animalistyczny element - na cześć nowego życia skalany przez śmierć. Spojrzawszy na to, Anna wybuchnęła pozbawionym radości, przesadnym śmiechem.

- Ach, Berlin... - westchnęła Anna. - Kilka lat temu byłam tam znowu, z moją przyjaciółką. Właśnie jechałyśmy autobusem przez miasto, gdy nagle krzyknęła: - Patrz, Anhalter Bahnhof! - Ujrzałam wspaniale odrestaurowany dworzec, ale już sekundę później stał on w płomieniach. Palił się na moich oczach... dokładnie jak wtedy... i wszystko runęło... - Co ci jest? - spytała przyjaciółka. Kręciło mi się w głowie i szumiało w uszach. - On płonie...! - zawołałam spanikowana. Po raz pierwszy przypominałam sobie o tym - nie myślałam o tym wcześniej, takie to było straszne. Czterdzieści pięć lat tłumiłam to w sobie.

- Jak to możliwe - powiedziała Lotta, celując w Annę kawałkiem szynki ardeńskiej na czubku widelca - że wysłano cię z pełną walizką kiełbasy do płonącego miasta?

- Frau von Garlitz nie wiedziała tego, nikt z nas nie wiedział. To były pierwsze naloty bombowe na Berlin, pod koniec listopada. Wasi wyzwolicieli pozapalali nad miastem choinki i urządzili bombardowania dywanowe. Systematycznie, żaden metr kwadratowy nie mógł być pominięty. Ale coś zawsze pozostawało... ja na przykład.

Przy cynicznym: „wasi wyzwolicieli”, Lotta przestała przeżuwać. Chociaż bardzo

starala się wyobrazić sobie płonący Berlin, to zawsze na czoło wysuwał się Rotterdam albo Londyn. Berlin pozostawał abstrakcją, punktem na mapie.

- Martin napisał list do Frau von Garlitz: „Zabraniam pani wysyłać, w takiej sytuacji, moją żonę dokądkolwiek”. - Anna roześmiała się. - Ale to były inne czasy. Im dłużej trwała wojna, tym ważniejsze stawało się jedzenie.

Lotta potwierdzała to pełnymi ustami; siedziała przed półmiskiem sałatki, tak obficie przyozdobionej, że w czasie głodowej zimy ktoś mógłby dzięki niej żyć przez cały tydzień.

Lotta była tak pochłonięta przez molocha, jakim było gospodarstwo domowe, że nie zostawało jej czasu na wyrzuty sumienia. Bez końca mieszała w gargantuicznych garach z maślankową papką; obok stały parujące kotły z praniem, dwa metry dalej żarzyło się żelazko. Matka Lotty, dusza wciąż powiększającej się rodziny, zachorowała; lekarze odkryli u niej nowotwór macicy, który należało natychmiast usunąć. Przed operacją wzięła na stronę swoje trzy córki: Marie, Jet i Lottę: - Musicie mi coś obiecać... jeśli operacja się nie uda... i nagle mnie nie będzie... zatroszczcie się o ukrywających się u nas... Boję się, że tata jest w stanie ich wszystkich wyrzucić na ulicę, jak będzie w złym humorze. Ostatnimi czasy ciągle tym grozi... to go przerasta... - Spojrzała na każdą z osobna surowym, prawie uroczystym wzrokiem. - Udawało mi się zawsze go udobruchać... potrafiłam ukryć przed wszystkimi jego napady złości... W ich sytuacji jeszcze takie napięcia, to byłoby zbyt wiele...

Spoglądały na nią zszokowane. Na samą myśl o tym zapierało im dech. Dla całej trójki było od razu jasne, że obawy ich matki nie są bezpodstawne. One przecież też nie od dziś znały swego ojca. W regularnych odstępach szukał sprzeczki, najchętniej kosztem dzieci, jego największych konkurentów. Mógł równie dobrze któregoś dnia wywołać awanturę z ludźmi ukrywającymi się w jego domu. Oczywiście, byli to także jego podopieczni, jednak zachowywał wobec nich dwuznaczną postawę. Wtedy, gdy przybywając apelowali do jego gotowości pomocy, trudno mu było pozwolić sobie na odmowę. Czyż nie ryzykował utraty dobrego imienia? Jako melomana - wobec Frinklów, dziadka Taka, Ernsta Goudriaana? Jako komunisty - Leona Steina? O szczerym odruchu serca, wewnętrznym przymusie - jak u ich matki - w jego wypadku nie mogło być mowy, choć i on miał sentymentalne nastroje, pod warunkiem, że pomagało mu w tym odpowiednie tło muzyczne.

Gdy pacjentka wybudziła się z narkozy, Jet, Lotta i ich ojciec stali po obu stronach łóżka. Była blada i tak wąta, że budziła w nich strach; kasztanowe włosy, przez które przebiegały siwe kosmyki, leżały bez blasku na poduszce. Jej spojrzenie było mgliste, jak gdyby przebywała jeszcze w osnutych mgłą sferach niebytu. Z nieoczekiwaną siłą chwyciła

rękę męża: - Dbaj dobrze o... o nich wszystkich - wyszeptwała. Było to coś pomiędzy błagalną prośbą a rozkazem. Lotta obeszła łóżko dokoła, stanęła obok niego i przytaknęła w jego imieniu; przymknęła przy tym oczy, jakby ręczyła za bezpieczeństwo każdego wobec osławionych zmian nastroju pana domu. Ten zaś udręczony czekał przy skraju łóżka chwili, kiedy będzie mógł chwalebnie umknąć ze szpitala, tego śmierdzącego eterem pałacu śmierci, którego progi przekraczał kosztem największego poświęcenia.

Gdy matka wróciła do domu, była cieniem samej siebie - bardzo wychudzona, z jej dawnej witalności, owej tajemniczej siły pierwotnej, nie pozostało nic. Z konwulsyjnym uśmiechem szukała drogi przez pokój, podpierając się przy tym o krawędzie stołu i poręcze krzeseł. Jej mąż, wielce ucieszony z powrotu swej Eurydyki, która wróciła jednak ze świata podziemi, nastawił dla niej *Orfeusza* Glucka i był to jego jedyny wkład w jej powrót do zdrowia.

Eefje dostała na urodziny splechetek niebieskiego aksamitu na ubranka dla lalek i schowała ten cenny podarunek głęboko w sekretnej szufladzie, w swojej sypialni. Gdy pewnego dnia chciała go wyciągnąć, natrafiła na pustkę. Z walącym sercem przeszukała inne szuflady, całą sypialnię, dom. Szlochając z niedowierzania i zawodu, obeszła wszystkich domowników. - Widzieliście mój gałganek? - stało się retorycznym pytaniem, zdającym się symbolizować wszystko, na czym im w czasach niedostatku nie zbywało. W końcu zarzuciła swe warkoczyki do tyłu i nacisnęła klamkę drzwi do pokoju, którego do tej pory nie włączyła do swych poszukiwań, ponieważ wstęp do niego zakazany był już od lat, nawet w czasie wojny: elektrotechnicznej świątyni jej ojca. Ogarnęło ją zdumienie, gdy stojąc w progu, ujrzała martwą naturę na warsztacie. Między oprawkami, śrubkami, żarówkami, przewodami i bezpiecznikami leżała, ponętnie jak bażant na obrazie siedemnastowiecznego mistrza, kostka masła wśród świeżego chleba, sera i wątrobianki. Kompletnie zaskoczony ojciec podniósł wzrok i starł okruszyny z kącików ust. - Co ci przyszło do głowy - zawołał z pełnymi ustami - żeby wpadać tu nagle jak bomba! - Począł pospiesznie pakować chleb i ser. - Ale ja szukam mojego aksamitnego gałganka! - marudziła. Na wprost niej wisiała na ścianie mapa świata, na której chorągiewkami zaznaczał posunięcia aliantów. Mapa przymocowana była do niebieskiego kawałka tkaniny, rozpiętego na ścianie gwoździami tapicerskimi. - Mój materiał, mój materiał... - wskazywała nań przerażona. Ojciec z podniesionymi brwiami śledził drżący palec córki. Czyż było możliwe świetniejsze przeznaczenie dla kawałka materiału niż służenie jako tło dla zwycięstw aliantów? Odwróciła się do niego plecami i łkając zbiegła na dół. Płacząc się ze zdenerwowania opowiedziała Jet i Lotcie, pracującym w kuchni, co widziała, nie pojmując, że największym przewinieniem nie była kradzież jej

szmatki, ale potajemnie delectowanie się kromkami chleba z masłem i serem, podczas gdy wszyscy inni głodowali.

Pochodzenie tych delikatesów wyjaśniło się, gdy Lotta towarzyszyła matce podczas kolejnej wizyty kontrolnej w szpitalu i lekarz poprosił ją na bok, by wyrazić swe zdziwienie i niepokój w związku z ekstremalną niedowagą swojej pacjentki - kiedy mąż ją odbierał, otrzymał przecież zaświadczenie, uprawniające ją do otrzymania dodatkowych bonów żywnościowych? Wiedza o tym była prawie nie do zniesienia; Lotta uczyniła więc Jet powierniczką tej tajemnicy, lecz zadbała, by nikt inny się o niej nie dowiedział. Obie były jak sparaliżowane - wprawdzie wiedziały, że granice egoizmu ojca były bardzo elastyczne i reagowały jak sejsmograf na jego nastroje i potrzeby, ale fakt że widocznie nie istniały żadne granice stanowił na tyle szokujące odkrycie, że nie były w stanie tego pojąć.

- Przyniosę resztę talonów - powiedziała Lotta - jeśli jeszcze jakieś zostały. Po raz pierwszy jej opanowanie zostało nadwyrężone. Spokojne myślenie i taktyczne postępowanie stało się niemożliwe. Nie była sobą, jak zwykle się mówić, a może teraz - nareszcie - stała się sobą. Wściekła, obrała kierunek schodami w górę, bez pukania wdarła się do jego świątyni. Oto siedział on... palił papierosa własnej produkcji i podniósł wzrok znad nielegalnej gazety, rozłożonej na warsztacie. Zdawać się mogło, że pod jej czaszką połączyły się dwa przerwane połączenia... jak gdyby dwadzieścia jeden lat ulotniło się... Widziała ciemną postać, stojącą w drzwiach klasy. - Jak pani śmie... - rozbrzmiewał z oddali jego głos - wobec dwojga dzieci, słabszych niż pani... - Było to jedynie mgnienie, echo, które pojawiło się i znikło, ale pozostawiło po sobie mocne wrażenie. - Jak śmiesz... - powiedziała drżącym głosem - wobec mamy, która jest taka słaba...

- Najpierw wyjdź i wejdź raz jeszcze - odrzekł - ale najpierw zapukaj. Pomiedzy dwoma połączeniami nastąpiło krótkie spięcie... zrobiła krok do przodu i demonstracyjnie podniosła rękę. - Daj mi resztę talonów przeznaczonych dla mamy... - Podnosząc głos dodała jeszcze: - I to już! - Zaczął się śmiać z niedowierzaniem. - O czym ty, na Boga, mówisz... - powiedział obłudnie. - Już ty dobrze wiesz, o czym ja mówię. - Najchętniej dołożyłaby mu, tak jak tam siedział i udawał głupiego - zbyt tchórzliwy, by się do tego przyznać. Jednak jeszcze większa niż jej nienawiść była jej pogarda. Sprawę należało szybko i skutecznie załatwić, później nie chciała mieć z nią nic wspólnego. Za nim wisiała mapa, obramowana niebieskim aksamitem. Wszędzie chorągiewki, wetknięte dumnie, jak gdyby chodziło tu o jego osobiste zwycięstwa. Nieoflagowane Niemcy zdawały się nie mieć z wojną nic wspólnego. Niemcy były próżnią, wsysającą dziurą, w której zniknęło jej spojrzenie. Ile było rodzajów nienawiści do samej siebie?

Śmiał się jej w twarz. - Oddaj bony - rzuciła chłodno - albo opowiem wszystkim, jaki z ciebie szubrawiec. Szyderczy uśmiech zniknął z jego twarzy. Wbił w nią wzrok, jakby ją widział po raz pierwszy, jak rażony piorunem, jeszcze niegotowy, by uwierzyć. Wtedy pojął, wściekły wysunął szufladę spod stołu roboczego, poszperał i wyciągnął w większej części wykorzystany arkusz kartek żywnościowych. Podszedł z nim do niej groźnie. Lotta ani drgnęła, stała w miejscu - nie czuła nawet odrobiny strachu, jeśliby się o to prosił, zgniotłaby go jak wesz. Rozwścieczony wcisnął jej arkusz papieru do ręki. - Prawdziwa Niemra... - syknął - no proszę, po wszystkich tych latach... ciągle jeszcze prawdziwa Niemra. - Miała jeszcze na tyle sił by, pozornie z opanowaniem, dotrzeć do sypialni. W natrętnym zapachu perfum i drogiego mydła osunęła się na łóżko. Serce podchodziło jej do gardła. Jak mógł trafić tak bezlitośnie w jej najwrażliwsze miejsce... może dlatego, że sam właściwie był na wpół... Zrobiło jej się niedobrze. Leżała z zamkniętymi oczami, dopóki bicie w skroniach nie osłabło i nie doszedł do niej warkot angielskich bombowców, lecących na wschód. Ile było rodzajów nienawiści siebie samej?

Gdy już nikt tego się nie spodziewał, zjawił się fryzjer z wiadomością, że dla dziadka Taka i jego córki znaleziono kryjówkę u młynarza, mieszkającego w ustronnej wiosce na polderze. Gdyby chodziło tylko o staruszkę, odrzuciliby tę propozycję, ale na samą myśl, że oto uwolnią się od córki, uważającej się za zbyt piękną dla tej planety i wszystkich możliwych światów, wszyscy odetchnęli z ulgą. Późnym wieczorem Marie wywiozła ją rowerem. Następnego wieczora podążyła jej śladem Lotta - ze starcem, który był lekki jak piórko i siedząc wystraszony na bagażniku, uczeplił się jej bioder. Był mróz, pokryte szronem łąki odbijały światło księżyca. Po obu stronach wąskiej dróżki krzywe wierzby zaciągnęły wartę honorową z dawno umarłych starców, witających w swych szeregach dziadka Taka. Ale on jeszcze żył i wzdychał melancholijnie: - Ach Lotto, możesz mi wierzyć... gdybym był młodszy, pocałowałbym cię tu, w świetle księżyca... - Lotta śmiejąc się obróciła się, rower zachwiał się niebezpiecznie. - Jeśli będzie pan dalej opowiadał takie nieprzyzwoite rzeczy - straszła wesoło - to wylądujemy w rowie.

Niechętnie przekazała go młynarzowi, stojącemu w drzwiach jak upiór w długiej, białej koszuli. Była to nierzeczywista, niepokojąca transakcja. Dziadek Tak pochylił się do przodu i ucałował zdrewniałą od zimna grzbiet jej dłoni. Na koniec ujrzała jeszcze jego łysinę błyszczącą w świetle księżyca, ponieważ nie nosił jarmułki, jak jego perski zięć, mówiąc że to zawracanie głowy.

Co się dalej działo z obojgiem, dowiedzieli się z drugich rąk i to urywkowo. W tych wiadomościach powtarzało się jedno: krótki żywot starca. Jego córka, na płaskiej, zmrożonej

ziemi niczyjej, gdzie marnowały się jej wdzięki, cierpiała na klaustrofobię; swe wypielegnowane paznokcie poobgryzała do krwi. Gdy młynarza odwiedziła rodzina z sąsiedniej wsi, błagała ich o ratunek przed śmiercią z nudów i o zabranie jej do zamieszkanego świata. Krewni, widząc jej desperację, dali się uprosić. Tak trafiła do domu przy wiejskiej ulicy - w uwodzicielskiej pozie siadała przy oknie. Przynajmniej dziesięć razy dziennie prosili ją, by się w nim nie pokazywała, gdyż narażała przez to nie tylko siebie, ale cały szereg osób, które w przeszłości się nad nią zlitowały. Bycie w centrum uwagi, stanowiło jednak warunek egzystencji Flory Bohjul; wołała oddać się w ręce Niemców i w stroju więziennym w pikantne pasy dać się przesłuchać szarmanckiemu komendantowi, niż by jej dni upływały pomiędzy szafą a ścianą, w anonimowości śmierdzącej kapustą. Wymknęła się z domu i zgłosiła się na *Ortskommandantur*¹ pełna ufności w to, że dzięki jej małżeństwu z perskim Żydem obejmuje ją immunitet. Kiedy wiadomość ta dotarła do młynarza, ów ze strachu, że mogłaby go zdradzić, wyrwał jej ojca z głębokiego snu i w środku nocy wyrzucił z domu. Zbłąkany starzec tułał się po polach. Znów został gościnnie przyjęty przez kompanię honorową wierzb, lecz sam niczego nie widział ani nie słyszał - jedyną rzeczą, jakiej prawdopodobnie domagał się jego organizm, było ciepłe łóżko. Nikt nie wiedział, ile trwała jego wolność owej nocy. Gdzieś o świcie, wycieńczony i odrętwiały z zimna, wpadł w ręce Niemców. By oszczędzić sobie formalności i trudów transportu, w ogrodzie za willą, w której byli zakwaterowani, paroma kulami dali na zawsze kres jego zmęczeniu.

W domu Lotty zapanowała zgroza. Sędziwego starca, niewadzącego nikomu! Dlaczego? Jeśli tu, niedaleko domu, obchodzono się tak lekceważąco z życiem starego człowieka, to jaki był los tych wziętych do transportu? Przerazenie Lotty miało podwójne dno - kto go starannie dostarczył do tego, który wysłał go później naprzeciw jego mordercom? Kto, w swej tak zwanej nieświadomości, był znów uczynnym narzędziem w rękach okupanta? Strzeżcie się mnie! Jestem jeszcze gorsza niż ci, co prowadzą otwartą wojnę. Jestem jednocześnie przyjacielem i wrogiem. Ja? Nie ma żadnego ja, tylko rozdwojone, zdradzieckie my, które oszukuje siebie, w samej sobie... Z masochistycznym poświęceniem dała się wciągnąć w wir gospodarstwa domowego, swoje ja - swoje godne pogardy ja - po prostu wyłączyła.

Jako że krokusy i pąki na gałęziach nie pasowały do wojny, wiosna nadchodziła opieszale. Ed de Vries zdezerterował z ukrycia, by udać się po kasetkę; potrzebował z niej kilku rzeczy, stwierdził niejasno. Ojciec Lotty chwycił za szpadel i wykopał olbrzymi dół;

¹ (niem.) - komendantura miejscowa

choć w kalkulował przesunięcia się warstw ziemi i wzrost korzeni drzewa, kasetka jednak się nie pojawiła. Może pomylili drzewa, więc spróbowali w innym miejscu. Czym jamy były głębsze, tym większe było podejrzenie, które na siebie ściągał. Brał to sobie bardzo do serca, chodziło o jego reputację. Do pracy zaangażował swoje dzieci. Całymi dniami nakłuwali ziemię długim metalowym prętem, bezskutecznie. Max Frinkel radził zasięgnąć rady u renomowanego jasnowidza; przed wojną był taki jeden na Curaçaostraat w Amsterdamie. Ojciec Lotty, mający alergię na wszystko, co było związane z religią lub mocami nadprzyrodzonymi, machnął ręką na tę propozycję. To właśnie jego żona, która znów na tyle wydobrzała ze swej choroby, by zwalczać jego uprzedzenia, wysłała Lottę - nigdy nic nie wiadomo.

Żadnych szklanych kul czy kart do gry, żadnych orientalnych ozdóbek. Jasnowidz wyglądał jak księgowy, w szarym garniturze - jego biuro miało surowy i rzeczowy charakter. Pozbawiona złudzeń Lotta usiadła przed biurkiem. Przyglądała mu się wyczekująco, nie wiedząc od czego zacząć. - Pani tu przysła, ponieważ coś zaginęło - stwierdził spokojnie - powiem pani: to leży tam jeszcze. Jakaś ścieżka, przy której stoją drzewa, równoległe do nich jest jeszcze jeden rząd drzew... - Przytaknęła zdumiona. - ...Tam to leży... przy piątym drzewie... powiedziałbym... - Było tak, jakby spacerował z nią po lesie i od niechcienia, mimochodem, wskazał to miejsce laską. I to bez czarowania, bez sztuczek kuglarskich czy magicznych rytuałów. Mówił tonem, w jakim przekazuje się rzeczowe informacje. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć, może odrobina hokus-pokus uczyniłaby go bardziej wiarygodnym.

- Chciałabym pana o jeszcze coś zapytać... - powiedziała nieśmiało, wyławiając fotografię z torebki. - Czy potrafi pan może powiedzieć coś o... nim? - Wziął fotografię do ręki. Przyglądała się mu ze spokojem, który ją dziwił - nie musi przecież brać jego informacji na poważnie. Spoglądał długo na fotografię, rzucił spojrzenie na nią, na fotografię, znowu na nią - nie widząc jej. Zdjęcie zaczęło drżeć - jakby ten, kto był na niej przedstawiony, ożył z własnej inicjatywy. To jednak ręka trzymająca fotografię drżała. Mężczyzna począł się cały trząść. Oczy, wyrażające już tylko strach, utkwili jak zahipnotyzowany w fotografii. Poluzował krawat i przetaił nerwowo czoło. - Ja... ja... nie mogę pani tego powiedzieć... - wysapał udręczony, odwracając zdjęcie, jakby nie mógł dłużej znieść tego widoku. Ukradkiem podsunął je w jej kierunku. - Ale nie może pan w ogóle... nic powiedzieć...? - próbowała jeszcze Lotta. Przecząco potrząsnął głową i zacisnął mocno usta. Włożyła fotografię z powrotem do torebki i wyjąkała formułkę grzecznościową. Gdy schodziła schodami, ogarnął ją lekki wstyd, że zostawiła go w takim stanie.

7.

Tymczasem utarty schemat: zmęczone jedzeniem, rozmowami i wywoływaniem przeszłości, zmęczone słuchaniem, znużone sprzecznymi spostrzeżeniami, opuszczały restaurację. Anna wzięła Lottę pod rękę, która przystała na to z pewną dozą spokoju.

Znajdowały się na Place du Monument. Anna zatrzymała się przy cokole pomnika i pochyliła do przodu, by przeczytać tekst na postumencie.

*Cette urne renferme des Cendres provenant de Crématoire du Camp de Concentrations de Flossenbug et de ses commandos, 1940-1945.*¹ Jak wszyscy obcokrajowcy przesadnie artykułowała.

Podirytowana przez tak wiele perwersyjnej, niemieckiej ciekawości, Lotta pociągnęła ją ze sobą.

- *Mensch, Mensch*, czy ciągle jeszcze trapią cię wyrzuty sumienia...? - zawołała Anna.

Tego było już za wiele. - Odwracasz kota ogonem - powiedziała rozdrażniona Lotta. - Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, a niby dlaczego miałabym je mieć? To, że wtedy całą winą obarczałam siebie... byłam młoda i egocentryczna, myślałam, że jestem pępkiem świata, wydawało mi się, że mam wpływ na los innych ludzi. Pycha młodości...

- A to dopiero... - Anna spojrzała na nią zaskoczona - tak było i ze mną, młoda i egocentryczna, trafiłaś w sedno... całym sercem angażowałam się tylko, jeśli chodziło o tego jedynego...

Lotta potrząsnęła głową rozgniewana. Egoizmu jej młodości nie można było po prostu kłaść na jednej szali z tym Anny - była między nimi diametralna różnica. Anna miała zwyczaj przekręcania wszystkiego w bardzo wyrafinowany sposób. Westchnęła. Nie od razu znalazła argumenty, by zbić to aroganckie porównanie. Wściekła pognęła dalej.

- Zaczekaj... zaczekaj... *Lottchen*... - krzyknęła błagalnie Anna.

Zabrzmiało to jak dawnymi czasy, już jako dziecko była szybsza od swej pulchnej siostry. Ten sentymentalny powiew groził zbudzeniem się wspomnień z dzieciństwa.

- Posłuchajże, zaczekaj chwilkę... Chcę ci opowiedzieć coś, co cię zdziwi... poczekaj no... - Anna dyszała. - Wiesz, że mogłam zmienić bieg historii? Był taki moment, kiedy...

Lotta zmęczona odwróciła się. Tę taktykę też знаła z dawnych czasów. Anna

¹ (franc.) - Urna ta zawiera prochy pochodzące z krematorium obozu koncentracyjnego Flossenbug i jego podobozów, 1940-1945.

próbowała ją skusić, budząc w niej ciekawość: Odkryłam słoik ze słodkościami, słoik marmurowych kulek do gry...

Anna dogoniła ją. - Był taki moment - chichotała - kiedy losy wojny zależały od prostej gospodyni w Prusach Zachodnich, niejakiej...

- Anny Bamberg - dokończyła lakonicznie Lotta.

- Nie wierzysz mi.

Razem z kolumną uchodźców z Berlina, który przypuszczalnie już nie istniał, Anna powróciła do majątku. Frau von Garlitz otrzymała nakaz kwaterunku. Zamek wypełniał się berlińczykami, którzy stracili domy. Wszyscy oni musieli dostać jedzenie i czyste ubrania, i na błyszczących parkietach Anny próbowali przeboleć koszmar ich płonącego, zawalającego się miasta.

Gdy wszystkie pomieszczenia w zamku były już przepelnione, zjawiała się jeszcze żona wysokiego oficera z niemowlęciem i jęczącym brzdącem.

- Mój mąż został odznaczony Krzyżem Rycerskim - przedstawiła się pani taka a taka, oczekując, że teraz otworzą się przed nią wszystkie drzwi. Anna wiedziała, że taki krzyż otrzymywał ten, kto zabił wielu ludzi. Kiedy w radiu obwieszczano, że ktoś otrzymał taki order, Martin zawsze mówił: - Tam znowu kogoś boli gardło - gdyż odznaczenie to wieszano ściśle wokół szyi. Anna nie miała pojęcia, gdzie ma ulokować żonę bohatera. Idąc przez dziedziniec rozmyślała, dopóki jej spojrzenie nie padło na mieszkanie stangreta, nad stajniami. Razem z końmi przepadł stangret. Pozostawił spore mieszkanie: duży pokój mieszkalny, dwie sypialnie, łazienka i kuchnia. Tu możemy bez żenady umieścić wielką damę, postanowiła Anna. Lecz trzy dni później przybyła jeszcze jedna młoda matka, także z niemowlęciem i małym dzieckiem - żona robotnika fabrycznego bez von i zu. Anna zastanawiała się: Gdyby szlachetna dama odstąpiła jej jeden pokój, a łazienkę i kuchnię dzieliłyby ze sobą zgodnie, to mogłyby zamieszkać razem w mieszkaniu stangreta. Mimochodem - szła właśnie schodami do góry - poprosiła Frau von Garlitz o zgodę. - Co? - zawołała oburzona. - Nie możesz przecież damy tej klasy obarczać kobietą z *Was-weiss-ich-wer!*¹ - Ona jest po prostu matką - odrzekła spokojnie Anna - z dwójką dzieci i niczym więcej, a ta druga jest także matką z dwójką dzieci. Miałyby przecież jeszcze dwa pokoje dla siebie samej. - Frau von Garlitz spojrzała na nią, jakby miała przed sobą groźną wariatkę, i potrząsnęła głową: - Nie ma mowy. - Wojna czy nie wojna, z powodu upartej gospodyni nie

¹ (niem.) - niewiadomojaka

zmieni swoich przekonań, że są różne klasy ludzi, którzy od urodzenia - każdy na swoim poziomie - mają różne przeznaczenie i dlatego żyją w odrębnych światach. - W takim razie oddam jej mój pokój! - zawołała Anna. - Ani mi się waź! - Wymiana zdań rozbrzmiewała przez klatkę schodową, każdy mógł się nią delektować. - Ty bolszewiku! - zbesztala ją hrabina. Anna odwróciła się do niej plecami i zostawiła tam, gdzie stała. Przy schodach na dole czekał na nią, ze srogą miną, Ottchen, który od dzieciństwa klaniał się w pas swoim chlebowodawcom. - Jak śmiesz mówić takim tonem do *gnädige Frau*! - wysyczał. Anna stanęła przed nim wyprężona. - Otto, posłuchaj teraz dobrze. To, co mam jej do powiedzenia, mówię jej prosto w twarz. A jeśli byłoby trzeba, oddałabym za nią życie. Ty natomiast płaszczysz się przed nią z nożem za pazuchą. Mówisz poddańczo *Jawohl, gnädige Frau*, a twoje oczy aż iskrzą z nienawiści. Widziałam to dobrze, mnie nie nabierzesz.

Dla matki, nieświadomej toczonych za jej plecami walk, Anna znalazła w końcu przewiewny pokoik na strychu, bez pieca, bez wody, bez okna. niesprawiedliwość ta odebrała Annie jakąkolwiek ochotę na uprzejmości wobec swojej pracodawczyni. Miała do tej pory zwyczaj budzenia jej rano, odsłaniania okna, siadania na brzegu jej łóżka i prowadzenia z nią niewymuszonej porannej konwersacji. Dla Frau von Garlitz był to nieodłączny i miły rytuał, który godził ją z entym dniem wojny, w którym w jej majątku panował prawie niemożliwy do opanowania chaos. Teraz Anna witała się od niechcienia, rozsuwała gwałtownie zasłony i pospiesznie zniknęła. Po pięciu dniach hrabina nie wytrzymała tego. - Przeklęta, uparta oślica - wykrzykiwała mało elegancko ze swego łoża z baldachimem - nie mogłabyś przynajmniej powiedzieć dzień dobry? - Powiedziałam przecież dzień dobry. - Tak, tak - usiadła prosto, opierając się o obszyte koronką poduszki - ale jak! Chodź... - zastukała palcami o bok łoża - nie złość się już... usiądź. Idź po tę kobietę i zaprowadź ją do mieszkania stangreta... rób, co chcesz... i tak znasz się na tych rzeczach lepiej niż ja...

Którejś marcowej niedzieli, młodsza siostra hrabiny miała wziąć ślub. Bardzo wczesnym rankiem Frau von Garlitz wyruszyła z dziećmi do zamku rodziców, gdzie miała się odbyć uroczystość weselna; jej mąż chciał przylecieć z Brukseli samolotem. *Deo gratias*¹, pomyślała Anna, nareszcie królestwo jest moje. Kiedy przewracała się jeszcze w łóżku, przebiegł przez jej głowę popularny szlagier: *Das ist mein Sonntagsvergnügen, bis zehn Uhr im Bette, dann kriegt mich so schnell keiner raus...*² Ale już o dziewiątej ktoś walił niemilosiernie w drzwi jej sypialni. To był Ottchen, tak wzburzony, że ledwie mógł się

¹ (łac.) - Bogu dzięki

² (niem.) - To moja niedzielna przyjemność, aż do dziesiątej w łóżku, nikomu nie uda się tak szybko mnie stamtąd wyrzucić...

wysławić. Samolot wojskowy, którym Herr von Garlitz leciał do Berlina, rozbił się nad Czechami, żadna z osób znajdujących się na pokładzie nie przeżyła wypadku. Anna szybko otrząsnęła się z szoku. Nie wmawiała sobie, że jest smutna, martwiła się jedynie o Frau von Garlitz. Wczesnym popołudniem hrabina znów przejechała przez bramę, ślub został odwołany. Z podziwu godnym, należnym jej stanowi opanowaniem - jedynie jej nozdrza lekko drgały - wydawała dyspozycje. Nic jej nie umknęło, zachowywała zimną krew: należy przygotować oficjalny państwowy pogrzeb.

Anna została w największym pośpiechu wysłana do Frau Ketteler, by ją osobiście poinformować o tragicznej śmierci ukochanego bratanka. Gnała zaprzęgiem do mieszczącej się na uboczu willi. Przez ciemny tunel drzew iglastych, wydzielających wilgotno-korzenny zapach, udała się do wejścia dla służby. Pchnęła drzwi, nie było nikogo, choć w regularnych odstępach odzywał się elektryczny dzwonek, którym pani domu, za pomocą pedała przy fotelu, wzywała do siebie pokojówkę. Anna ze zdziwieniem przemierzała korytarz. Gdzie była służba? Czy w niedzielę mieli wszyscy wolne? W takim razie, po co wzywano ich dzwonkiem? Chociaż Anna nie знаła willi Frau Ketteler, znalezienie jej pokoju nie nastąpiło trudności - musiała jedynie znaleźć źródło urywanego odgłosu. Drzwi uchylone były na szerokość szpary. Zajrzała do mrocznego pokoju, za oknami którego tłoczyły się gałęzie świerku. Na perskim dywanie przed fachowo rozpalonym kominkiem, leżała ciotka Herr von Garlitz - na plecach. Dawała się właśnie ujeżdżać przez swego ulubionego owczarka, obydwójce byli w pełnym galopie. To wyjaśniało też powód ciągłego brzmienia dzwonka; pani domu leżała na pedale. Widocznie nie dała sobie czasu, by przed jazdą wyciągnąć go spod pleców. Anna wstrzymała oddech. Nie przypuszczała nigdy, że to, co rozegrało się na jej oczach w blasku ognia kominka, w ogóle jest możliwe, i nawet teraz nie mogła uwierzyć własnym oczom. Z fascynacją i wstrętem gapiała się na zaczerwienioną twarz miłośniczki zwierząt - moment był nieodpowiedni, by ją nagabywać. Owczarek szklistym wzrokiem spoglądał w dal. Wtem Annę opanował strach, pies mógł zwęszyć jej obecność. Uciekła z domu; poprzez działający antyseptycznie świerkowy korytarz wybiegła naprzeciw normalnemu światu, w którym to przedstawienie szybko wydało się jej dziwnym snem.

Na zamku oznajmiła, że nie zastała Frau Ketteler. Prawda nie chciała jej przejść przez gardło - posądzili by ją jeszcze o perwersyjne fantazje. Poza tym, wszyscy łamali sobie głowę nad tajemniczą katastrofą lotniczą - jak samolot wojskowy mógł rozbić się nad Czechami, tak daleko oddalonymi od trasy Bruksela - Berlin? Tego dnia nie było żadnych bombardowań, przed którymi trzeba by uciekać zbacząc z kursu. Po cichu mówiło się, że być może zaistniała polityczna konieczność usunięcia go z drogi; w końcu już wcześniej wypadki

zdarzały się osobom, które utraciły zaufanie. Anna pozostawała trzeźwa. Nie mogła wymyślić ani jednego powodu, dla którego ten głupiec wart byłby poświęcenia wojskowego samolotu. Mimo to także i ją powoli ogarnęło przekonanie, że za ogólnie akceptowaną rzeczywistością kryje się być może jakaś inna: coraz okrutniejszej wojny ze swoją własną, niepojętą logiką. Tak jak u Frau von Ketteler za fasadą kryło się coś kompletnie, niewyobrażalnie innego.

Kilka dni później dostarczono trumnę z doczesnymi szczątkami Herr von Garlitz i powierzono ogrodnikowi. Ten zagadnął Annę za żywopłotem i powiedział, bojaźliwie oglądając się dookoła: - Wie pani, że trumna... jest kompletnie pusta... - O nie... - Anna cofnęła się. Zaprowadził ją, trzymając za łokieć zniszczoną ręką, która pół wieku ryła w ziemi, do sąsiedniego budynku, gdzie w półmroku stała na kozłach trumna. Była za mała, by pomieścić dorosłego mężczyznę. Gdy ją podnieśli, okazała się osobliwie lekka, w środku coś się łomotało w tę i z powrotem. - Nie wiem co to jest - wyszeptał ogrodnik - w każdym bądź razie nie kompletny człowiek. - Frau von Garlitz nie powinna tego zauważyć - powiedziała pospiesznie Anna. - Niech pan przed pogrzebem napcha do środka kamieni, by trumna ważyła dokładnie tyle, ile człowiek. Oni to przecież będą nieść. Niech pan przykryje trumnę flagami, przystroi ją kwiatami i zielenią...

Do późna w nocy siedziała w swoim pokoju za maszyną do szycia i z czarnej sukni wieczorowej Frau von Gablitz szyła suknię żałobną dla jej córki, czternastoletniej Christy. - Anno, a co ty tam robisz? - przez stukotanie maszyny zabrzmiał nagle cichy i jednostajny głos hrabiny. - Christa nie ma sukni na pogrzeb - wymamrotała Anna, z trzema igłami w ustach. Frau von Garlitz opadła w swej nocnej koszuli na krzesło. Pustym wzrokiem śledziła ruchy Anny. - Co ja bym bez ciebie poczęła? - szepnęła. - Jeszcze nikt dla mnie nie zrobił tyle co ty. - Anna, niemająca wprawy w przyjmowaniu komplementów, zarumieniła się po uszy i ze zdwojoną siłą puściła w ruch maszynę. Jej chlebobawczyni przysypiała co i rusz, siedziała jednak na krześle z prostym jak świeca oparciem, jak gdyby Anna była jej jedyną i ostatnią ostoją i ratunkiem. Głowa opadała jej na piersi - od czasu do czasu podnosiła ją nagle, przez co zdawać się mogło, że za każdym razem na nowo nawiedza ją myśl, że od teraz jest wdową. Annie huczało w głowie, gdy myślała o ceremonii pogrzebowej dnia następnego: gościom państwowym należało przygotować, odpowiednio do ich stanu i urzędu, przyjęcie, podczas ceremoniału wojskowego nie można było niczego opuścić... cała ta komedia ku pamięci tego komedianta musiała odbyć się bez potknięć.

Gdy słońce wzeszło, sukienka była gotowa. Nie było sensu iść do łóżka; Anna odczuwała dziwną jasność, która była silniejsza niż zmęczenie i nie dałaby jej zasnąć. Zaprowadziła do łóżka Frau von Garlitz, opierającą się o nią ciężko, i popędziła na dół. Dzień

zrobił się pochmurny, zimny i wilgotny. Wszyscy trzymali się scenariusza, oficjalni goście grali swoje role z rutynową, abstrakcyjną godnością, która pozwalała przypuszczać, że pogrzeby w ich karierze miały miejsce równie często i były tak samo oczywiste, jak obmyślanie strategii czy przyjmowanie honorów wojskowych. Na czele konduktu, za trumną fachowo zagrzebaną we flagach ze swastyką i kwiatach, kroczył wysłannik Göringa, z zaciśniętymi ustami, szeroki i masywny jak czołg. Frau von Garlitz, z dziećmi po bokach, unosiła się za nim jak czarny anioł, blada i spokojna, i nie z tego świata. Po tym, jak w mowach pogrzebowych mocno przeceniono jego zasługi dla ojczyzny, a potok słów rozpląnął się między kasztanowcami, zmarły został złożony w rodzinnym grobowcu, w majątku, gdzie się urodził - jak się potem okazało, nie na długo.

Jak uważała Anna, nużące w wojnie było to, że toczyła się dalej, jakby to było oczywiste i że w przypadku jakiegokolwiek katastrofy czy tragedii nie było czasu na zadumę. Od razu pojawiały się nowe problemy, wymagające natychmiastowego rozwiązania. Dalej, dalej, dalej, jedno koło zębate zahaczało o drugie. Pracowało się, tworzyło, by wszystko toczyło się dalej, w oczekiwaniu na... Na co?

Byli też i tacy, którzy buntowali się przeciw rzekomej nieuchronności. Miesiąc po śmierci męża, Frau von Garlitz przyjęła osobliwą wizytę. Ze swojego okna na pierwszym piętrze Anna zobaczyła zbliżającą się grupę mężczyzn - dyskretnie, choć pewnie zmierzając do celu, kroczyli z aktówkami pod pachą wprost do drzwi. Niektórych z nich znała, wojskowych po cywilu, którzy brali także udział w pochówku. Hrabina przyjęła ich w sali wielkiej, tuż pod pokojem Anny; ich mamrotanie wznosiło się przez kanał ciepłego powietrza, zaczynał się on na dole w kominku i na wysokości jej pokoju miał otwór.

Anna postawiła kałamarz na stole, odkręciła nakrętkę pióra i pochyliła się nad błękitną kartką papieru listowego. Ale słowa w jej głowie z trudem składały się w zdania, gdyż zagłuszały je strzępy rozmowy, dochodzące do jej pokoju z dołu - zasiedli widocznie w półkole przed kominkiem. Kilkakrotnie była mowa o *Wolfischanze*¹ i Bandlerstrasse. Jeden z obecnych, z tego co dało się usłyszeć, miał w obu tych miejscach do spełnienia misję, której szczegóły zostały dokładnie omówione, a jej przebieg z dokładnością co do sekundy ustalony. W opanowanym, racjonalnym tonie, jakim mówili, wyczuwała tłumione napięcie, które zaostriło jej uwagę. Głosu Frau von Garlitz nie dało się posłyszeć; jej jedynym, typowo kobiecym, wkładem było widocznie danie pretekstu do tego *rendez-vous*. Jak bardzo Anna nie starałaby się zignorować tego, co doszło do jej uszu, a nie było do niej skierowane, w

¹ (niem.) - Wilczy Szaniec, kwatera Hitlera w Prusach Wschodnich

miarę upływu wieczoru - i coraz mniej udatnych ruchów suchego pióra nad kartką papieru - znaczenie wszystkich zasłyszanych słów nasunęło się jej z wyrazistością, jakby były kierowane właśnie do niej. Zrobiło się jej zimno - zaczęło się od stóp i przeszło nogami do pasa. Jednak w jej głowie panowała gorączkowa świadomość, że jako jedyna na świecie wiedziała o zapierającym dech, śmiałym planie. Planie, mającym poważnie naruszyć porządek rzeczy i przynieść zmiany, tak potworne, że już na samą myśl o nich pękała jej głowa. Wiedza ta była dla niej zbyt ciężka. Z nagłego uczucia samotności, zastanawiała się, czy nie powierzyć błękitnej kartce papieru wszystkiego, co usłyszała, ale pióro zacinało się na myśl, że powierzenie listu tej treści poczcie można byłoby przypłacić życiem. Siedziała więc nieruchomo, dopóki goście nie pożegnali się i nie pozostawili złowieszczej ciszy na zamku, kryjącym w swych murach, poza łóżem niefortunnego cesarza, inną jeszcze tajemnicę, której zapalnik czasowy został nastawiony.

Jakby prowadzone przez niewidzialną rękę, wylądowały w cukierni z niezrównanymi *merveilleux*. Przy innych stolikach ich eleganckie rówieśniczki małymi kąskami zjadały swe ciastka, miło gawędząc o codziennych sprawach. Dlaczego Lotta i Anna zostały skazane na to, by w ich wieku wiecznie odgrzebywać wojnę, historię, której biegu i tak nie dało się już zmienić?

Spoglądały na siebie wyczekująco ponad pustymi talerzykami. - To, co usłyszałam przez komin, zostało następnie dokładnie zrealizowane - ciszę przerwała, jak można było tego oczekiwać, Anna - przeczytałam o tym po latach. Z wyjątkiem jednego, nieprzewidzianego wypadku, naturalnie. Mieli już dość, tego malarza niedzielnego. Zaczęło się od katastrofy Stalingradu, wtedy nastąpiła zmiana w nastawieniu nacjonalistycznych arystokratów, gdyż także ich synowie tam ginęli. To był koniec wielkiego snu. Znajdujący się wśród nich eksperci wojskowi uznali, że wojny nie da się już wygrać, jeśli wkroczyliby Rosjanie ich dobra znalazłyby się w niebezpieczeństwie, cały ich status był zagrożony. Tak doszło do spisku. Frau von Garlitz, prawdopodobnie pod wpływem swojego ojca - dziarskiego Prusaka starej generacji z odpowiednimi koneksjami - zaproponowała swe usługi. A ja ślęczałam w mojej służbówce i słyszałam rozmowę na dole, jakbym była między nimi. Byli tam wszyscy spiskowcy i planowali zamach z uwzględnieniem najdrobniejszych szczegółów. Gdyby nie mieli takiego straszliwego pecha, udałoby się im. W Bandlerblock¹ w Berlinie wszystko

¹ Der Bandlerblock - historyczny kompleks budynków w Berlinie, przy Stauffenbergstraße 11-14, dawniej Bandlerstrasse; siedziba spiskowców, którzy zaplanowali i zrealizowali nieudany zamach na życie Hitlera 20 lipca 1944

zostało przygotowane - oficerowie, na hasło mieli wypowiedzieć posłuszeństwo, aresztować rząd, stworzyć koalicję i natychmiast zaproponować pokój. *Schluss* z wojną! Gdyby się udało, Martin by jeszcze żył, tak jak miliony innych, wiele miast by ocalało. Ja miałabym całkiem inne życie. Czy byłoby to lepsze życie, nie wiem, na pewno nie ciekawsze - mój Boże, życie gospodyni domowej w Wiedniu! Ale wtedy tego wszystkiego tak nie widziałam. Byłam strasznie przestraszona i nie wiedziałam, co mam robić. Byłam wierną poddaną, choć nie przepadałam za Hitlerem. Wierzyłam w potrzebę autorytetu, zresztą do dziś w nią wierzę, w końcu sama byłam jakimś autorytetem... co do tego jestem bardzo niemiecka, przyznaję. Następną niedzielę przyjechał Martin. Opowiedziałam mu, co usłyszałam. Poblądł jak trup. - Nie piśnij o tym nikomu ani słówka - zaklinał mnie. - Niczego nie słyszałaś. Kompletnie niczego. Niech im Bóg dopomóż!

Lotta zamówiła jeszcze jedną filiżankę herbaty. - Z dzisiejszego punktu widzenia, nie ma to większego znaczenia, czy siedziałabyś cicho, czy wygadałabyś się - bagatelizowała utrzymanie przez Annę tajemnicy - zamach i tak się nie udał.

Anna była innego zdania. - Gdybym zdradziła ich zamiar w tym stadium, powstałby może inny plan, który by nie zawiódł. W takim wypadku, byłoby może lepiej, gdybym nie milczała...

Następstwem tej spekulacji była jałowa dyskusja, w której często padało słowo „jeżeli”. W obmyślonych przez siebie wariantach kreowały bieg historii według własnego widzimisie, kłócąc się, ponieważ Lotcie chodziło przede wszystkim o zaprzeczanie we wszystkim Annie. Zmęczone czubieniem się, opuściły w końcu kawiarnię, Anna podniecona i wykończona - niemożliwym zdawało się, by kiedykolwiek siostra jej dała się przekonać (jaką armatę miała jeszcze wytoczyć?) - Lotta zaś poirytowana, ponieważ Anna uzurpowała sobie kluczową rolę w sprawie, która rozegrała się całkowicie bez jej udziału.

8.

- Gdybyś w tej chwili miała w dłoni rewolwer, a zza rogu wyszedł Hitler, czy zastrzeliłabyś go? - Leon Stein przyglądał się jej ze strapionym uśmiechem. Spacerowali przez las, Stein był o głowę mniejszy od Lotty. W jasny dzień wałęsał się bez emocji bukową alejką i podał jej ramię, jakby byli zaręczeni. Ta zimna krew była elementem jego strategii

przetrwania - jak do tej pory wychodził cało z wszystkich brawurowych akcji. Nie zważał na swoje życie, z życiem innych obchodził się ostrożniej. - Myślę, że tak - odrzekła z wahaniem - ale nie wiem czy bym rzeczywiście potrafiła. - Minęli rząd drzew, który mimo wizji jasnowidza, dalej strzegł kasetki. Szukali, posłuszni jego wskazówkom, ale niczego nie znaleźli; ziemia stała się luźna i nierówna, jak gdyby całe kolonie kretów walczyły o terytorium. - „W pobliżu piątego drzewa” było przecież niezbyt dokładną wskazówką.

- Mam pewien problem... - powiedział Leon - miesiąc temu umieściliśmy pewną żydowską rodzinę, męża, żonę, dzieci, w trzech różnych miejscach. Żona została tym czasem wydana i aresztowana, ale po krótkim czasie znów wypuszczona. Od tego czasu porusza się bez ograniczeń po ulicy, a część naszych aresztowano: tych co załatwili jej bony żywnościowe, kenkartę i kryjówkę. Śledziliśmy ją, możemy to udowodnić. Sama rozumiesz, że nie możemy teraz spokojnie wyczekiwać, kto z nas jako kolejny padnie ich ofiarą. Patrzył na nią z na wpół otwartymi oczyma, jakby mówiąc do niej drzemał. - Podjęliśmy decyzję, zostanie zlikwidowana. - Trzymała go pod ręką, jego ramię zacisnęło się mocniej. - Czasem konieczne jest poświęcenie życia jednej osoby dla ratowania innych istnień.

- Lotta spojrzała na niego przestraszona. - By ratować moją rodzinę, byłabym zdolna daleko się posunąć, tak myślę... - Właśnie dlatego - przytaknął. - Kto ma to zrobić? - zapytała po długim milczeniu. Niski mężczyzna, który nie mógł sobie pozwolić na pozostawienie poważnego pytania bez odpowiedzi, kopnął czubkiem buta w korzeń drzewa, przebiegającego w poprzek drogi. - W tym właśnie rzecz.

Po kilku dniach nieobecności, powrócił jak zaszczuty; jego oczy, skryte za okularami, błyszczały niebezpiecznie. Nie było czasu, by go o coś zapytać. - Nadchodzi oblawa - machnął ręką w nieokreślonym kierunku - mogą tu być w każdej chwili. - W domu zapanował zwykły w takich momentach chaos. Ci, którzy oficjalnie nie istnieli, którzy nie mieli prawa zajmować ani centymetra kwadratowego ziemi, rozplynęli się w powietrzu. Karty, jeszcze ciepłe od ich rąk, zakazane lektury, niezaścielone łóżka - mieli niesamowitą wprawę w usuwaniu śladów swego niedopuszczalnego życia. Zwyczajna holenderska rodzina, która tu mieszkała, oddała się z demonstracyjną pilnością codziennym obowiązkom, z nadzieją, że ich ogłuszające bicie serca pozostanie niezauważone.

Byli pewni, że także Ernest Goudriaan znajdował się, jak zawsze, w kryjówce za lustrem, dopóki nie pojawił się w długim skórzanym płaszczu, z workiem żeglarskim na plecach i w zaparowanych okularach, w kuchni, gdzie Lotta dla zachowania pozorów zmywała naczynia. - Przychodzę się pożegnać... - Wyciągnął drżącą rękę. Lotta wytarła ręce o fartuch. - Pożegnać? Jak to? - Ja... ja... tego dłużej nie wytrzymam... - wyjąkał, zdejmując

okulary z nosa i znów je zakładając. - Ja... tego napięcia... wciąż od nowa... ja... ja odchodzę...
- Odchodzę? - powtórzyła Lotta i stanęła przed nim wyprężona. - Wpadniesz im prosto w rękę! Co też ci przyszło do głowy - zdradzisz nas wszystkich! - Zawstydzony potrząsnął głową. - Mam przy sobie arszenik... - uspokoił ją. Rozdziawiła usta. - Arszenik... - zaakcentowała każdą sylabę - ...czyś ty rozum stracił... dawaj tu ten płaszcz i worek... - Rozkazująco wyciągnęła rękę. Stał nieruchomo na przeciw niej. Czy w oddali rozbrzmiały głosy? Szczekanie psów? Warkot silnika? Zamiast oczu widziała tylko jego śmiesznie zaparowane szkiełka okularów, na jego szczupłej twarzy, białej i zastygłej z napięcia - może należało nim porządnie wstrząsnąć. Hipnotyzowali się wzajemnie, cicha próba sił, z coraz bliższymi odgłosami w tle. - Chodź - rozkazała Lotta. Wyszarpnęła worek, pomogła mu zdjąć płaszcz - nagle poddał się jej jak pies, który zachowuje się wbrew swemu instynktowi, ślepo posłuszny swemu panu. - Ale nie wrócę już do szafy - wykrzyknął buntowniczo. Nie dając się już powstrzymać, odwrócił się i bez zastanowienia wyszedł z kuchni do ogrodu, prosto do swojej pracowni, zostawiając Lottę z płaszczem i torbą.

Samochód operacyjny policji stanął przed domem. Grupka żołnierzy wyskoczyła z wozu i zaczęła rozpraszać się według ścisłej reżyserii, robiącej wręcz groteskowe wrażenie. Jedni stanęli jak makabryczni strażnicy na strategicznie ważnych stanowiskach, by zamknąć drogę ewentualnym uciekinierom, inni przeszukiwali dom i pokazywali się przez okno, by sprawdzić, czy istniały zakamuflowane pomieszczenia. Jakiś oficer kierował się, idąc między jabłoniemi, na domek gruzliczki. W sypialni rodziców pani domu prowadziła kilku z nich do okna z trzema łukami, by mogli rzucić okiem na cudowny widok na łąki i brzeg lasu. Czysty błękit nieba i słońce, prześwitujące przez gałęzie, zdawały się przeczyć niebezpieczeństwu. Lotta, zauroczona ciszą i bezruchem wokół pracowni, podchodziła co chwilę do okna, gdyż spodziewała się zobaczyć Ernsta Goudriaana wychodzącego z rękami podniesionymi do góry i karabinem przystawionym do pleców. Wreszcie nie wytrzymała i podążyła tą samą drogą co oficer. Przez okno od tyłu domku spojrzała niby przypadkowo do środka. Ernst, z okularami osuniętymi na środek nosa, trzymał w górze na wpół ukończone skrzypce i pokazywał coś, z zachwytem wszystko wyjaśniając. Oficer położył swą czapkę na warsztacie i słuchał zafascynowany, od czasu do czasu potakując głową i drapiąc się po brodzie. Gdy Lotta otworzyła drzwi, oboje spojrzeli roztargnieni przez ramię. Niemiec przejechał czule środkowym palcem po drewnie skrzypiec, wiszących na ścianie: - Piękny lakier... - Przygotowuję go sam, bez barwników... - odrzekł z dumą Ernst. - *Wunderbar, wunderbar...*¹ -

¹ (niem.) - cudownie

wołał tamten w euforii. Wyprostował się i z zamkniętymi oczami wziął głęboki oddech: - *Es riecht auch gut hier... - zauważył - herrlich...!*¹

Nieprzytomna ze strachu Lotta wycofała się. Wielkimi krokami spieszyła odruchowo do kuchni. Lecz zanim dotarła do drzwi, ogarnęło ją uczucie triumfu: jeszcze przed chwilą gotów był, ze strachu przed okupantem, zażyć truciznę, a już chwilę później wprowadzał go - pełen zapachu - w tajniki budowy skrzypiec. Cudowna, alchemiczna transformacja, dająca zapomnieć jej o wszelkim niebezpieczeństwie. Chciała właśnie wejść do domu, gdy rozbrzmiała za nią skrzypcową muzyka. Żarliwy, przesywający duszę pasaż z koncertu Beethovena wydobył się z pracowni i przeniknął przez błękitne deski na zewnątrz. Żołnierze stracili zainteresowanie przeszukiwaniem domu i zebrali się w ogrodzie, by przysłuchiwać się muzycznemu *intermezzo* oficera. Byli w tym zasluchaniu tak zdyscyplinowani, jakby to także należało do wojskowego kunsztu. Słońce migotało w ich guzikach. Teraz, gdy oblawa uświetniona została słynnym koncertem, wyszedł na dwór także ojciec Lotty, by z rękami w kieszeniach uważnie posłuchać. Kiedy zamarły ostatnie dźwięki, zrobiło się ciszej niż kiedykolwiek wcześniej, dopóki sroka skrzecząc nie wzbijała się z gałęzi, a rozmarzony oficer nie opuścił pracowni. Upojony muzyką kiwał się pomiędzy drzewami owocowymi. Wtem jego wzrok padł na podwładnych; przeciągnął ręką po zmierzwionej czuprynie, nałożył czapkę i zrobił minę bardziej odpowiednią na wojnie. - *So... - powiedział szorstko - worauf wartet ihr...*²

Odgłosy silnika oddaliły się. Ci, którzy nie istnieli, zjawili się spoceni i wymiętoszeni i wyrazili swe zdumienie cudowną interwencją van Beethovena, która była słyszalna nawet zza lustra. Wywodowi Maxa Frinkla o potędze muzyki nie było końca. Jedynie Ernst Goudriaan siedział jeszcze w swojej pracowni i wyglądał górną dekę. - *Uwiodłeś komendanta... - powiedziała zachwycona Lotta i usiadła między wiórami. - Dzięki tobie... - wyszczerzył zęby. - Ona po prostu zmywa naczynia, powiedziałem sobie, gdy szedłem do pracowni. Jeśli odnajdą ukrywających się, prawdopodobnie postawią całą rodzinę pod mur, a mimo to ona najzwyczajniej zmywa naczynia. Dlaczego, pomyślałem, i ja nie miałbym zwyczajnie dalej heblować? Kto pogrążony jest w pracy, ma w sobie coś nietykalnego, nienaruszalnego... jakby w ten sposób stał poza wojną... - Milczała onieśmielona. Jego pochwała nie pozostawiła jej obojętną. To, że sama, tym razem dla odmiany wpłynęła pozytywnie na los innej osoby, wprowadziło ją w stan miłego zmieszania. - A do tego zagrał dla ciebie solówkę... - westchnęła, dla odwrócenia uwagi. Ernst potaknął. - Zapalony amator.*

¹ (niem.) - Ładnie tu pachnie... wysmienicie!

² (niem.) - Na co czekacie...

Powiedział: - Gdyby to nie był środek wojny, kupiłbym od pana te skrzypce. - Z dumą rzemieślnika powtórzył: - Chciał kupić ode mnie skrzypce!

Wydarzenie to dało jej nowe siły i niejako wprowadziło równowagę w jej bilansie winien - ma. Uszlachetniona myślą, że ten ukrywający się należy do niej, od kiedy powstrzymała go od jego bezsensownej akcji kamikadze, nie opierała się uczuciu zakochania, które opanowało ją, pozornie jako naturalne następstwo; była zakochana w nim i we wszystkich czynnościach niezbędnych do budowy skrzypiec: piłowaniu, heblowaniu, szlifowaniu, polerowaniu i lakierowaniu... To, że dolna deka była z pięknie mazerowanego drewna klonowego, podstrunnica natomiast z drewna hebanowego, że zły lakier wpływał na brzmienie, że boczek zginany był za pomocą pary - wszystko to wywoływało w niej tkliwość i pokochała nawet smród kleju kostnego, potrzebnego, by z wielu części stworzyć całość. Ale chyba najpiękniejsze w Ernście Goudriaanem było to, że ani trochę nie przypominał jej ojca.

W broszurze, mającej uczynić kurort Spa jeszcze bardziej znanym czytamy: „Kuracjusze w Spa powinni zapomnieć o dniu codziennym. Zachęcimy ich, by kształtowali swój rytm życia wolniej i spokojniej. Znajdą się w środowisku, w którym zostaną otoczeni opieką i poczują się bezpiecznie, wszystko to w ścisłej współpracy ze światem medycyny, będącym symbolem zaufania i pewności”.

Obie siostry w najmniejszym stopniu nie przejmowały się tymi wszystkimi szczytnymi założeniami. Z „wolnego i spokojnego rytmu życia” nie wyszło nic. Im bardziej wtajemniczały się wzajemnie w swe tak odmienne drogi życiowe, tym większe stawało się napięcie i świadomość, że przeszłość jest nieodwracalna. Była to ostatnia szansa zbliżenia się i pojednania, jaka została im dana. Jedna chciała tego z olbrzymiej potrzeby, nawet aż za chętnie - druga opierała się z przynajmniej taką samą nieufnością. Wojna zdominowała ich kurację. Wywoływały duchy, a duchy przychodziły... ze swymi sponiewieranymi duszami, w spustoszonej krajobrazie, pod ołowianym niebem, w zapachu prochu i fosforu... jedno wielkie oskarżenie przeciw sprzedaniu za bezcen prawa do życia, wolności, człowieczeństwa i chrześcijańskiej miłości bliźniego... wartości mających niegdyś znaczenie, słów z archaicznego języka, esperanta naiwności. Duchy przechodziły kolumnami i zostawiały trwałe ślady.

Wprawdzie Anna i Lotta spoczywały na leżakach w Salle de Repos, nie miały jednak zamkniętych oczu i nie nasłuchiwały gruchania gołębi. Ponieważ tego ranka były jedynymi pacjentkami, po prostu kontynuowały wojnę w pozycji horyzontalnej.

- Dwudziesty lipca, dzień, w którym Hitler nie został zamordowany - opowiadała Anna - przypominam sobie, jakby to było wczoraj. Frau von Garlitz siedziała przy radiu,

wiedziała oczywiście dokładnie, kiedy miało się to wydarzyć. Nadano jedynie krótki komunikat o zamachu. - *Gott sei Dank!* - zawołała oszalała z radości - *das Schwein ist tot!*¹ Zabrzmiało przez korytarze i klatki schodowe. Stałam jak wryta. Zaraz po tym zjawiał się Ottchen blady jak śmierć i oznajmił: - Führer żyje i przemawia teraz w radio. - O mój Boże, pomyślałam, mam nadzieję, że nikt nie słyszał Frau von Garlitz. Dom pełen był obcych! Dopiero później dowiedzieliśmy się, dlaczego zamach się nie udał. Führer, który w czasie narad nie opuszczał nigdy swego miejsca, obszedł stół i stanął po drugiej stronie - krótko przed wybuchem. Sprawców bezzwłocznie aresztowano, von Stauffenberg został rozstrzelany jeszcze tego samego dnia. Żaden z panów, stojących wtedy przed naszymi drzwiami z aktówkami pod pachą, między nimi kuzyn Frau von Garlitz, nie przeżył. Wszyscy ci wysocy oficerowie z dobrych domów, którzy nie chcieli więcej tego *Schweinerei*... większość z nich została powieszona w Plötzensee, na rzeźnickich hakach.

- Na pokaz...

Anna przytaknęła. - Jako odstrasżający przykład. Ich żony i dzieci zostały wywiezione do obozów. Urządzili od razu olbrzymią czystkę i bezwzględnie, wszystkich podejrzanych, aresztowali i wywieźli.

- A Frau von Garlitz?

- Nikt nie wiedział, że maczała w tym palce.

„Leżę na plecach i patrzę na przelatujące nade mną samoloty” - pisał Martin z Normandii. Załączył jeszcze dwie fotografie. Na jednej siedział w wojskowym płaszczu na skałach Mont Saint Michel, wyglądając przez morze Anglii - na innej widać go było siedzącego na skrzydle zestrzelonego angielskiego samolotu, z gwiazdą na boku. Tydzień później zadzwonił nieoczekiwanie: - Jestem niedaleko, w Stettin. - Jego jednostka łączności została rozwiązana, mieli przejść krótkie przeszkolenie na żołnierzy piechoty w koszarach Wehrmachtu nad Bałtykiem. Pomysłowy szef kompanii, który wcześniej załatwił nielegalny urlop z Ukrainy, wymyślił nowy podstęp. Wszystkie małżonki otrzymały telegramy z wiadomością, że ich mężowie są ciężko chorzy. Z tym oficjalnym dokumentem w kieszeni, upoważniającym do podróży na północ, Anna wsiadła do pociągu. I znów u celu podróży, gdy pociąg począł mocno przechylać się na jedną stronę, wznosił się stromy, szary mur. Co też się mogło za nim kryć - myślała Anna. Do głowy przyszła jej cudowna broń, którą tak wychwalano w radio, broń, dzięki której Niemcy miały wygrać wojnę. Może za tymi murami

¹ (niem.) - Bogu dzięki..., ta świnia nie żyje!

stacjonowały rakiety V-2! Ale zaraz pojawiły się fale w olbrzymim murze, poruszał się - gdy pociąg zmienił kierunek, mur przewrócił się i Anna po raz pierwszy w życiu ujrzała niekończącą się, szarą powierzchnię wody, po której płynął statek.

Pociąg zatrzymał się w jakimś kąpielisku. Wysiadło z niego zadziwiająco dużo kobiet z dwiema walizkami. Można było założyć się o głowę, że jedna walizka zawierała ubrania, a druga jedzenie. Niepewnie kręciły się po placu przed dworcem, w tę i z powrotem, dopóki nie odkryły, że łączy je wspólny problem: jak dostać się z ciężkimi walizkami do hotelu? Dwie opalone na brązowo kobiety, z wózkami śmierdzącym rybami, rzucały pytające spojrzenia, po czym podeszły do Anny, jedna z nich trzymała wysoko w ręku zdjęcie ślubne. - Czy Frau Grosalie? - Tak - ze zdziwieniem odpowiedziała Anna. - Wysłał nas po panią i bagaż pani mąż. - Nie czekając na jej reakcję, wzięły walizki i załadowały na wózek. Pozostałe kobiety wybuchnęły kanonadą przekleństw: dlaczego ich mężowie niczego nie załatwili? - Dobry Boże! - zawołała Anna - nic się nie stało! Załadujemy wózek do pełna i popchniemy go wszystkie razem! - Grupa kobiet w letnich sukienkach w skromne wojenne kwiatki pchała ciężko załadowany wózek po kocich łbach do nadmorskiego hotelu. Okazało się, że poprzedniego wieczora Martin spotkał na plaży rybaka, któremu przedstawił swój problem i za kilka paczek papierosów zadbał o to, by Anna została odebrana z dworca.

Hotel stał zuchwale na szczycie wydmy i zdawać się mogło, że wyzywa morze: Chodź no tutaj! Koszary znajdowały się trzy kilometry dalej; każdego wieczora kompania za pozwoleniem komendanta szła popływać. Zostawiali swe mundury na plaży, przemierzali trzy kilometry w mokrych kąpielówkach i spędzali noc u swoich żon w pokoju hotelowym. Któregoś ciepłego wieczora, Anna i Martin poszli popływać, jak kiedyś w jeziorze. Niczym niewzburzona tafla morza odbijała światło księżyca. W spokojnym, równomiernym tempie płynęli obok siebie, wodny żywioł dawał poczucie wolności, jak gdyby wojna dochodziła swych praw jedynie na lądzie.

- Dopiero co słyszałem w radiu - powiedział Martin z nieukrywaną w głosie radością - że Rosjanie stoją już w Prusach Wschodnich. - W takim razie to już nie potrwa długo... - Anna wypluła haust morskiej wody. Martin zanurkował i wyłonił się kawałek dalej. - Jak minie ta durna wojna - zawołał prychnając - będziemy mogli pojechać na zawsze do Wiednia! - Podnieceni i odurzeni płynęli dalej, dopóki Martin nie odwrócił się i zdziwiony powiedział: - Jesteśmy strasznie daleko od brzegu. - Anna obejrzała się odruchowo za siebie. Nierealnie biały pasek na horyzoncie był wszystkim, co pozostało z brzegu. Zawrócili i ze spokojem zaczęli płynąć z powrotem. Gdy jednak pasek najwyraźniej nie zbliżał się nawet o milimetr, uderzenia ich stały się bardziej zaciekłe. Księżyc towarzyszył im nieruchomo. Martin

odwracał się co i raz, podtrzymując ją na duchu. Morska woda była ciężka, zdawało się, że za każdym uderzeniem wyprzeć było trzeba całe litry. Annie zaczęło brakować tchu; im bardziej rozpaczliwie starała się zachować spokój, w tym większą wpadała panikę. Pasek ładu wytwornie zachowywał dystans.

- Martin - zawołała słabym głosem - zniknęła pod wodą i wynurzyła się znowu - zostaw mnie... - Pomogę ci... - Choć jego głos dobiegał z daleka, poczuła jego rękę wokół ramion - ...nie możemy przecież utonąć na krótko przed końcem woj... - zabrzmiało nagle z bliska. Oddała się w jego ręce. Straciła poczucie czasu. Nie wiedziała, czy upłynęły godziny czy minuty do chwili, gdy nie starczyło mu sił, by ich obojga utrzymać na powierzchni wody. Docierało do niej niewyraźne wołanie o pomoc, rozlegające się nad powierzchnią wody. Pogodziła się z myślą o tym, że zginie razem z nim, zostanie pochłonięta przez matkę - morze i że nigdy więcej niczego nie będzie musiała. Niepostrzeżenie i bez oporu pozwalała przepuścić się przez śluzę cichej ziemi niczyjej.

Całą wieczność później leżała na plecach, na jeszcze ciepłym piasku, i ktoś wdmuchiwał w nią swój oddech. Wraz z powracającym życiem popłynęła w jej żyłach wywołująca mdłości niechęć. Ktoś osuszał ją i rozgrzewał szorstkim ręcznikiem. Dlaczego nie zostawili jej tam gdzie była, i gdzie było jej wyjątkowo dobrze. Ale Martin siedział obok niej, bladym w blasku księżyca i wystraszony wyczekiwał powrotu znaków życia pod fachowymi rękami jej wybawcy, sierżanta z jego kompanii, mającego barki i bicepsy gladiatora. Martin dopuścił nawet, by pocałunkami przywrócił jej życie. Nie podejrzewała jeszcze, że kilka miesięcy później umierać będzie z żalu, myśląc o tym wieczorze i interwencji gorliwego sierżanta, który nie pozwolił jej i Martinowi rozpląnąć się w powietrzu.

Następnego dnia nadszedł niespodziewany koniec nielegalnego urlopu: Waffen-SS zwróciło uwagę na grupkę przyszłych żołnierzy piechoty. Wytrąceni z równowagi, biegli w ten wieczór do hotelu. Wojny mieli już po dziurki w nosie, w głowach mieli już zbliżający się pokój, nawet nie myśleli o tym, by przyłączyć się do korpusu ślepych fanatyków. Martin walił pięściami w poduszkę. Co też mogli mieć w planach innego - ci ortodoksyjni wojskowi, ci zahartowani wojacy, w których słowniku słowo kapitulacja nie istniało - niż przygotowanie ich do zbiorowego samobójstwa? Osaczeni przez Anglików i Amerykanów z jednej i Rosjan z drugiej strony, nie zawahaliby się, by według starogermańskiego zwyczaju złożyć ofiarę z młodych wojowników, by odzyskać łaskawość bogów. Pierwszy i ostatni raz zdarzyło się, że się zbuntował. Anna tuliła go, próbując go bez przekonania uspokoić. - Nie mamy tu nic do powiedzenia... - poddał się wreszcie szeptem. - Nic a nic.

Kompania wyruszyła do Norymbergi. Od Bałtyku przez Rzeszę Niemiecką na

południe, wagonami przeznaczonymi do przewozu towarów lub bydła. Kobiety jechały z nimi do Berlina - poza Anną, gdyż Martin nie zgodził się, by jego żona podróżowała w ten sposób, bez odrobiny komfortu. - Nie ma mowy - powiedział wyniośle - nie ma ubikacji ani wody. Moja żona nie pojedzie jak zwierzę w wagonie bydlęcym. - Zdenerwowany wszedł do środka. Musiała poczekać na następny pociąg osobowy. Anna wsunęła za nim walizkę z jedzeniem. - Na co to...? - przeciągnął wzrokiem po walizce. - Jedzenie - odrzekła Anna. Odstawił ją z powrotem na peron. Anna podniosła ją i znowu wstawiła do pociągu: - Weź ją, ja dostaję wystarczająco jedzenia. - Ściskając usta wystawił walizkę z wagonu. Czy takie ma być nasze pożegnanie - myślała Anna. Zabrział sygnał do odjazdu, Martin schwycił mocno dłońmi jej twarz i boleśnie pocałował. Została na peronie, z walizkami po obu bokach i załamała ręce.

Wiadomość o tym, że Rosjanie wkroczyli do Prus Wschodnich, migotała w letnim skwarze i wywoływała z jednej strony strach, a z drugiej skrytą radość. W zamku i wokół niego sprawy miały się po staremu, gospodarstwo rolne i domowe pracowało na pełnych obrotach - wprowadzone przez wojnę w ruch jak *perpetuum mobile*. Ale jeńcy rosyjscy i polscy robotnicy przymusowi, szeptał Wilhelm, znajdowali się w stanie ciągłego podniecenia, które potrafili ukryć przed swymi strażnikami jedynie dzięki nadmiarowi zbiorowej dyscypliny. Anna skinęła, to już nie mogło potrwać długo. Stali w warzywniku, za wysokim rabarbarem. On wziął jej ręce i przybliżył swą pooraną zmarszczkami twarz blisko jej ucha, tak, że już pomyślała, że chce ją teraz pocałować. - Proszę ostrzec *gnädige Frau*... tego dnia, kiedy Rosjanie nas wyzwolą, Polacy zabiją każdego Niemca. Oni są patriotami, chcą się zemścić za wszystko, co uczyniono ich ojczyźnie. Każdy zostanie zamordowany, tylko pani nie. Na panią nie podniosą ręki, obiecali to nam. Rosjanie ochronią panią. - Ależ Wilhelmie... wyjąkała Anna - ty chyba nie mówisz poważnie... Frau von Garlitz... i dzieci... przecież oni nie zrobili nic złego... - Spuścił oczy, puścił jej ręce i odszedł z opuszczonymi ramionami, jakby na każdym z nich wisiała ołowiana kula. Anna zapatrzyła się na mocne łodygi rabarbaru, nasunęło jej się skojarzenie z barbarzyńcami. Zadbany warzywnik, przystrzyżone gazony, lśniący zamek, śnieżnobiałe pranie, wiszące nieruchomo na sznurze... możliwość zniszczenia tego oczywistego porządku przerastała jej wyobraźnię. Dusza tego porządku, mieszkańcy zamku, rodzina, której nazwisko związane jest z tym miejscem od siedemnastego wieku, Ottchen, *Mamsell*, sprzątaczkę i pokojówkę, nawet uchodźcy - wszyscy ci ludzie, z którymi miała do czynienia na co dzień, będą musieli teraz odcierpieć swoje? Co oni uczynili? Po raz pierwszy ogarnęło ją uczucie, że tak wyczekiwane przez nią wyzwolenie może nie będzie w ogóle żadnym wyzwoleniem, że wojna potoczy się po prostu dalej - pod inną maską. Ruszyła się, pobiegła prosto do Frau von Garlitz. Ta nie zareagowała ani zdumieniem, ani szokiem.

Już dawno zrozumiała, że te hordy ze wschodu nie przyniosą wyzwolenia, jej plan ewakuacyjny był gotowy.

Anna otrzymała list od Martina, esesmański list z koszar SS. Rosjanie zbliżają się do Prus Zachodnich, pisał, złóż wymówienie i jedź do Wiednia - tam będziesz bezpieczniejsza, tam twój dom. Rzeczowa, rozsądna wiadomość. Martin, który przemierzał Europę jak Cygan już sześć lat, mówił o jej odejściu z majątku, jakby chodziło tu o jakąkolwiek przeprowadzkę. Jak gdyby nie musiała - po raz pierwszy w życiu - zrywać więzi. Więzi z pracodawczynią, obojgiem dzieci, służbą - jej rodziną zastępczą, tą ociężałą, wypróbowaną, kapryśną zbieraniną, do której się tymczasem przywiązała. Odremontowany zamek, dzieło jej rąk, nie mógł poradzić sobie bez niej ani jednego dnia. Powinna to wszystko zostawić, wydać na łup nie wiadomo komu?

Zostawiła wszystko, pożegnanie odbyło się przy akompaniamencie łez i obietnic. Frau von Garlitz była wzruszona i dotknięta, jakby zawiodła ją własna matka, dzieci uczepliły się jej jak małpki, sprzątaczkę siąkały nosami, Ottchen sapał głośno, by okazać swe lekceważenie wobec służących nietraktujących swej służby jako życiowego powołania. Usiadł mruklawie na koźle. Z odjazdem Anny kończyła się pewna epoka, czuł to każdy, lecz nikt nie wiedział, co przyjdzie w zamian.

Anna podźwignęła swe nierozłączne walizki i pojechała z czerwonymi oczami przez zamkową aleję; przy bramie pokiwała raz jeszcze. Gdy jechali fryderycjańską uliczką, zmizerowani rosyjscy jeńcy, w wyniszczonych ubraniach, utworzyli szpaler po obu stronach ulicy i wymachiwali chusteczkami w niebieską kratę. Ich strażnicy przyglądali się temu z rezerwą. Wilhelm stał na samym przodzie i uśmiechał się z przymusem od ucha do ucha. Stali tam jak ostatni wierni sprzymierzeńcy królowej prowadzonej na szafot. Królowa chusteczek, pasty do zębów, grzebyków z powyłamywanymi zębami, wybuchnęła płaczem. Wilhelm wystąpił o krok do przodu i podał jej swoją chusteczkę. To było ostatnie, co zobaczyła we wsi, przez mgłę, wartownicy po obu stronach ulicy, robotnicy powiewający powoli chustkami, ich wzruszone twarze - kto zniknął z czyjego życia? Potem skończyła się wieś, zaczęły się pola i zapanowała jedynie samotność - niezakłócona przez Ottchena, którego niezgłębione spojrzenie utkwione było w kołyszącym się końskim zadzie.

- Tak, bardzo mnie lubili - zakończyła Anna.

Lotta nie zareagowała na to, całe to oddanie nie pasowało do wyobrażenia, jakie miała o Annie, które było mniej pochlebne. Anna idealizowała przeszłość. - No i... - powiedziała poirytowana - czy stało się tak, jak powiedział Wilhelm?

- Stało się tak, jak przewidział. Zamek splądrowano, wielu straciło życie. Frau von Garlitz z dziećmi i garstką wiernych służących uciekła nocą, przez zamarzną Odre, na zachód. Lata później spotkałam przypadkiem *Mamsell*, która mi to wszystko opowiedziała.

- A zamek, czy widziałaś go raz jeszcze? Lotta, ze swoją słabością do starych domów, była mimo wszystko zaciekawiona.

- Lepiej mnie o niego nie pytaj! Z czystej złości Anna usiadła prosto. - Polacy mają taką samą mentalność jak te pulchne praczki, wtedy, gdy przyjechałam do majątku. Oni tam nie wiedzą, co to praca. Wierz mi, do niczego nie dojdą.

Nieprzystosowana do siedzących i żywo dyskutujących kuracjuszy leżanka zaprotestowała mocnym skrzypnięciem.

- Zeszłej jesieni pojechałyśmy z przyjaciółką samochodem do Polski. Warszawa, Kraków, Oświęcim, Zakopane, Poznań. Wpadł mi do głowy pomysł. - Pojedźmy do tej wioski, w której pracowałam w czasie wojny. - Ale przecież jej już nie ma - gderała przyjaciółka. - Ależ oczywiście, że jest - powiedziałam - tylko nazywa się inaczej. - Udałyśmy się na poszukiwanie, bez mapy, na terenie z polskimi nazwami, niedającymi żadnego punktu zaczepienia. Jechałam po prostu z pamięci: guzowate drzewo, stara szopa, znajome rozdroże były moimi jedynymi punktami orientacyjnymi na tym pustkowiu. Nagle wjechaliśmy na długą, prostą drogę z kasztanowcami - podupadłe zagrody, kury na środku drogi, podpici faceci pod pocztą, będącą jednocześnie wiejską knajpą. Wsiadłam i zapytałam o wieś, nazywając ją po staremu, tylko przyjrzeni mi się obojętnie, nie odpowiadając. W siąpiącym dżdżu wszystko to sprawiało jeszcze marniejsze wrażenie. Przeszłam się wiejską drogą i zatrzymałam przed olbrzymim, zrujnowanym domem... pewnie jakiegoś ziemianina, pomyślałam. Powykrzywiane rynny porastała trawa, złuszczone okiennice zwisały krzywo na zawiasach, niektóre okna były zabite deskami, daszek nad wejściem podparto prowizorycznie, wszędzie odpadał tynk - po ściernisku włożyły się gęsi, kawałek dalej świnia ryła w błocie, przy budzie szczyrzył zęby sparszywiały pies. Pomyślałam o nienagannych gospodarstwach u nas, w Niemczech. Popatrz tylko, powiedziałam do siebie, tak polscy rolnicy dbają o swój interes. *Die können das einfach nicht*¹. Podszedł do nas starszy mężczyzna. Zagadałam do niego i znów rzuciłam dawną nazwą. Gapił się na mnie przez grube szkła jak słońce po dżemie jakbym była jakimś duchem, aż zaczął powoli kiwać głową. - *Jetzt* Stoczki... - odparł w łamanym niemieckim. Kiwałam wraz nim, z nagłego zdenerwowania. - *Familie von Garlitz?* Nie odpowiedział nic. - Zamek, a co stało się z zamkiem? Uśmiechnął się, pokazując pieńki

¹ (niem.) - Oni po prostu tego nie potrafią

wykruszonych zębów - biedny człowiek. - *Das Schloss...?* - powtórzył zdziwiony - przecież to tu... wprost przed panią. - Stałam więc przed nim i nie mogłam go poznać. Możesz sobie to wyobrazić?

Twarz Anny poczerwieniała. Zdawać się mogło, że mury Salle de Repos ugięły się pod oburzeniem, które w niej kipiało. Rozłożyła swe pulchne ramiona: - Wcześniej zamek otoczony był murami, był także park ze starymi drzewami. *Alles weg*. Teraz stał tam, nędzny, w opłakanym stanie, wokół niego błoto i wysoka trawa. Nie jestem w stanie ci opisać, co czułam. Było to tak, jakbym straciła ostatnią resztkę wiary w ludzkość - choć niewiele mi jej już zostało. Jakby wszystko, ale to wszystko, poszło na marne. - Czy mogę rzucić okiem na wewnątrz domu? - zapytałam. - Pracowałam tu w czasie wojny. - Potaknął skinieniem głowy, choć nie wiedziałam, czy mnie zrozumiał. Po wojnie w zamku zamieszkało dwanaście polskich rodzin, wyjaśnił, a gospodarstwo zamieniono na spółdzielnię rolniczą.

Skrzywiła się: - Taki kołchoz. Pozwolono nam obejrzeć część zamku. Mój Boże, to była ciężka próba. Najpierw weszliśmy do sali, tam gdzie spotkali się spiskowcy. Sznury do prania porozpinane wszerz i wzdłuż, wisały na nich poźółkłe prześcieradła i koszule. Ściany szare, flizy spękane. Otworzyliśmy drzwi do jadalni. Zakryłam usta ręką. - Rany Boskie, mój parkiet! - wykrzyknęłam. Oto moja chluba, paradny parkiet, wcześniej pastowany godzinami - wysuszony i porysowany, brakowało nawet całych kawałków. O ścianę oparte były zardzewiałe rowery, wychudzony płoworudy kot, z podwiniętym ogonem, dał drapak. Zakręciło mi się od tego w głowie, możesz sobie wyobrazić. - Wyjdźmy już stąd - prosiłam przyjaciółkę - *bitte*. Przez pusty, złowieszczy korytarz - żadnych chodników, łyse ściany bez obrazków z myśliwskimi scenami - poszliśmy do tylnych drzwi, mało się nie przewróciłam o wiadro brudnych mydlin. Na dworze wzięłam głęboki oddech. - Cmentarz - zaproponowałam - tam jeszcze musi coś być z przeszłości. - Starzec pokręcił głową. - *Alles kaputt* - wymamrotał. Udałam się do miejsca, gdzie pochowaliśmy Herr von Garlitz, albo to, co powinniśmy za niego uważać. Stare ścieżki pozostały nietknięte, ale tam gdzie kiedyś były groby, wyzierały ciemne doły, zarośnięte bluszczem i kurdybankiem. Wokół walały się kawałki marmuru. Wyrośnięte krzewy pochylały nad nimi gałęzie, jakby chciały przykryć tę sromotę. - Nawet umarłych nie zostawili w spokoju! - zawołałam. - *Alles kaputtgemacht* - powiedział zrezygnowany mój towarzysz. Tak to wyglądało, byli tak mściwi, że nie darowali sobie nawet grobów, także tych z siedemnastego wieku.

- Przecież to jest całkowicie zrozumiałe - powiedziała Lotta znad skraju przykrycia. - Mieli wystarczająco dużo powodów.

- Tak, tak - odrzekła niecierpliwie Anna - ale gdy tam stałam i patrzyłam w te

wyzierające doły, niczego nie rozumiałam.

Na chwilę zapanowała cisza. A wtedy odezwała się takim tonem, jakby wyjawiała Lotcie intymną tajemnicę: - Podniosłam kasztan, duży, błyszczący kasztan. Noszę go zawsze przy sobie jako pamiątkę tamtych czasów... kiedy byłam właściwie bardzo szczęśliwa... nie zdając sobie z tego sprawy.

Wiedeń. W Wiedniu będziesz bezpieczna, napisał Martin. Gdy Anna przyjechała, jej teść pakował akurat walizkę. - Jadę do Norymbergi - wyjaśnił. - SS zaprosiło rodziców, by przyjechali przyjrzeć się wszystkiemu z bliska. - Po kilku dniach wrócił zadowolony: - O Martina nie musisz się martwić, idzie mu wyśmienicie. Panuje tam porządek i koleżeństwo, otrzymali nowiuteńkie wyposażenie. Wszyscy są serdeczni i uprzejmi. - Ojciec chce mnie wywieść w pole - powiedziała z niedowierzaniem Anna. - Zaklinam się, on się czuje jak ryba w wodzie. - Przecież on nienawidzi nazistów. - Możesz się przekonać o tym na własne oczy, wkrótce zaproszą też żony.

Otrzymała pozwolenie na podróż i w ostatni tydzień sierpnia udała się na czternaście dni do Norymbergi. Niewiele ocalało z miasta po bombardowaniach, ale zarekwirowany przez SS hotel prasowy stał nienaruszony. Dla par małżeńskich zarezerwowano luksusowe pokoje - z rana oficerowie brali udział w niezbyt wyczerpującym szkoleniu, resztą dnia mogli dysponować sami. Także koszary były wyspą spokoju pośród chaosu. Wszystko lśniło i błyszczało od czystości - panował szacunek, zarówno dla ludzi, jak i dla przedmiotów. Jej teść nie przesadził: Martin, który tak bardzo cenił dobre maniery, porządek i przyzwoitość, nie mógł pod tym względem doznać zawodu. Używali do syta niespodziewanego bycia razem, prawie jakby to był miesiąc miodowy - dowództwo rozpieszczało swój najmłodszy przychówek. Od czasu do czasu spadała bomba, drobna niedogodność, która od dawna już nie wyprowadzała ich z równowagi. Ich manią stało się robienie sobie wzajemnie zdjęć: Martin, w dobrym nastroju, w mundurze - Anna w kremowym kostiumie, przerobionym z tenisowego stroju Frau von Garlitz.

Wszystkie kobiety, które znała z przygody nad morzem Bałtyckim, były tu także. Z fatalistyczną zachłannością rozkoszowały się każdym dniem, każdą nocą, którą im podarowano - z wyjątkiem jednej z nich: w rozpaczliwym ataku spazmatycznego płaczu wyznała Annie, że rodzice zabronili jej zająć w ciążę z mężczyzną, którego być może spotka wkrótce śmierć. - Każdego wieczora muszę się do niego odwracać plecami - szlochała. Anna, z utęsknieniem wyczekująca pierwszych oznak ciąży, dodała jej otuchy. - Jeśli miałby zginąć, to jaką ogromną pociechą byłoby dla ciebie, gdybyś miała przynajmniej jego dziecko... ale o

czym my w ogóle mówimy, przecież już prawie po wojnie! Wtedy wrócą do domu, będziemy żyły z nimi pod jednym dachem... - śmiejąc się pogroziła jej palcem - wtedy dopiero zacznie się wojna, *Liebchen*.

Troska Martina o jej dobro przybierała czasem formy groteskowe. Któregoś rana kobiety umówiły się na hotelowym basenie. Podczas gdy Anna swobodnie unosiła się na plecach, nadbiegła jedna z nich: - Prędko, nadchodzi oddział żołnierzy! - Powychodziły szybko z wody i uciekły do przebieralni. Anna rozejrzała się zdziwiona dookoła i dalej spokojnie dryfowała, nie zważając na rozbrzmiewający w oddali, coraz głośniejszy, śpiew. Dopiero w chwili, gdy oficerowie chcieli dać nurka do wody, ogarnęło ją uczucie, że jej obecność w basenie może być niemile widziana. Powolnymi ruchami dopłynęła do brzegu. W skromnym, czarnym kostiumie, przykrywającym wprawdzie jej pulchne kształty, ale nieczyniącym jej niewidzialną, przeszła między oficerami w kierunku przebieralni. Zobaczyła minę Martina, usta ściśnięte, wzrok bazyliuszka. W południe wybuchnął: co też sobie myślała, gdy jako jedyna kobieta w stroju kąpielowym paradowała przed tymi wszystkimi mężczyznami? Wzruszyła ramionami. - Nic, po prostu pływałam sobie. - Głęboko urażony pokręcił głową. - Moja żona... między tymi wszystkim mężczyznami. - Przecież basen jest dla wszystkich - uśmiechnęła się niewinnie. - Moja żona nie robi czegoś takiego. - Widocznie tak. - Ich poglądy na to, co wypada, a co nie, były nie do pogodzenia. - Nie chcę, by sobie z ciebie stroili żarty, już ja ich znam. Zrobiło się jej od tego duszno. - Jak dalej taki będziesz, to rozwiodę się z tobą - wypaliła, by zmusić go do milczenia. Przestraszył się tak bardzo i tak przejmująco, że ze skruchy i współczucia padła mu w objęcia. Głupotą było sprzeczać się o drobnostki, kiedy czas naglił.

Ostatniej nocy zbudziła się, drżąc i szczękając zębami. Martin, który także we śnie reagował na jej nastroje, otworzył oczy i przygarnął do siebie. - Boisz się... - jego głos z zaspania miał ciemną barwę. Położyła mu głowę na piersi. - Nie wiem, co mi jest. Przytulił ją mocno. - Musimy o tym porozmawiać - powiedział spokojnie. - Myślę, że to odpowiedni moment. Posłuchaj. W tej przeklętej wojnie giną miliony, jak dotąd udawało mi się ujść cało. Kto zagwarantuje, że będzie mi się udawać do końca? Tak wielu już umarło - dlaczego nie ja? Umieranie mi nie straszne, to idzie bardzo szybko, nie martw się. Jedyne, co mnie przeraża, to że nie będę ci mógł już pomóc. Wiem, co wtedy z tobą będzie, wiem to bardzo dobrze. Jesteś krucha jak porcelana, ale nikt o tym nie wie. Ty grasz tylko silną i krzepką, ale w rzeczywistości jesteś czuła i wrażliwa i potrzebujesz mnie. Ale nawet gdy mnie już nie będzie, ty musisz żyć. Obiecuj mi jedno: nie odbierzesz sobie życia. Nie spojrzę na ciebie, jeśli popełnisz samobójstwo! Nie chcę cię znać!

W pokoju panowała cisza, wyłączając bicie jego serca przy jej uchu. Jak można było sobie wyobrazić, by to serce z minuty na minutę mogło przestać bić - że mógłby istnieć jakiś związek między sprawami, które miał na myśli, a tak jej drogim biciem tego serca i ciepłym, oddychającym ciałem, należącym nie tylko do armii, lecz także do niego i do niej. Szczęście i nieszczęście tego ciała było tak silnie związane z jej własnym, że nie chciała słuchać tego, co mówi, a jednak wryło się to głęboko w jej pamięć, co do słowa.

- Nie chciałbym także, byś wdziała włosiennicę i przez resztę swego życia się umartwiała. Nawet gdy umrę, chcę mieć piękną żonę. Obiecasz mi to? Powiem ci, co masz zrobić. Przetrzymasz to tylko, jeśli będziesz nieść pomoc innym, których życie jeszcze mocniej doświadczyło. Pracuj w lazarecie czy coś takiego, tylko wtedy to przetrwasz, przecież cię znam... - Zamiast szukać u niej pociechy i otuchy, na wypadek gdyby krótko przed końcem wojny przyszło mu zginąć, z całym spokojem ducha dał jej wskazówkę na resztę życia. Miejsce strachu zajęła obrona, a w końcu wielki spokój - osnuł wokół nich kokon bezpieczeństwa, który nie pozwalał ich zranić, panowała w nim spokojna i przyjazna cisza - gdzie życie i śmierć wzajemnie się przenikały. Mocno objęci zasnęli, mocno objęci obudzili się z rana.

Była piękna pogoda. Martin jeszcze nigdy tak dobrze nie wyglądał: opalony na brąz, pełen energii i dobrych myśli. Anna wychylała się z okna ruszającego pociągu, on biegł razem z nim i machał ręką. - *Auf Wiedersehen in Wien, diese Scheisse ist sowieso bald zu Ende!*¹ - wołał wesoło. - Zesztywniała - manifestacja tego rodzaju optymizmu z ust oficera SS była niewybaczalna. I rozniosło się to po całym peronie! Zamknęła oczy w przeraźliwym oczekiwaniu na jego aresztowanie. Serce podskoczyło jej do gardła. Lecz on wciąż tam stał i machał, i nikt mu niczego nie robił.

Taki znowu bezpieczny to Wiedeń nie był. By odciąć wojskom niemieckim drogę powrotną z Bałkanów, Amerykanie zrzucili szeroki pas bomb, przebiegający w poprzek Wiednia. Ponieważ nocą nie śmieli przelatywać nad Alpami, latali tylko w dzień. Szyby w oknach nowego mieszkania wylatywały, Anna pozabijała je kartonem. Zawyły syreny, pobiegła do najbliższego schronu przeciwlotniczego, po drodze zauważyła staruszkę, ukrywającą się w bramie. - Co pani tam robi... - krzyknęła Anna i schwyciła ją za ramię - niech pani pójdzie ze mną, szybko do piwnicy. - W środku panował tłok. - Wstań no - powiedziała do jakiegoś chłopaka - tu stoi starsza pani. - Blokowy, odpowiedzialny za

¹ (niem.) - Do zobaczenia w Wiedniu, to świństwo tak czy owak wkrótce się skończy!

bezpieczeństwo mieszkańców podczas nalotów, podszedł do niej. - A pani co wyprawia? - Jak to? - spytała Anna. - A co ja zrobiłam? - Pani wie, kogo pani tu przyprowadziła? - Spojrzała na kobietę, skuloną jak ptaszek zimą. - Co mnie to obchodzi, ot, staruszkę. - Pół-Żydówkę! - wyszczekał. - No i... - wzruszyła ramionami - tam siedzi pies, a biednej, starej kobiecie nie wolno wchodzić? Ze wszystkich stron padały na nią pełne trwogi spojrzenia - co za brawura, stawiać się blokowemu. Jego zuchwa napięła się. Spoglądała na niego wyzywająco, on spuścił oczy i odszedł w inny kąt piwnicy, jakby jego obecności tam pilnie wyczekiwano.

Przez cały miesiąc na próżno wyczekiwała listu. Na początku października napisała do niego: „Siedzę tu z piórem w ręku, ale mam uczucie, jakbym mówiła w próżnię”. Na pociechę kupiła sobie bukiet astrów. Z wiązanką w ręku szła schodami do mieszkania, po drodze spotkała sąsiada, który pozdrawiał ją zwykle głośno, wiedeńsko wibrującym „r”, tym razem jednak wstydliwie przemknął obok niej. Otworzyła drzwi i ku swemu zdziwieniu ujrzała teścia czekającego na nią w pokoju dziennym. - Ach, znów żadnej poczty - westchnęła spoglądając na pusty stół. - Owszem - powiedział wskazując głową bufet - tym razem przysłała poczta.

Leżał tam pakiecik. Schyliła się nad nim i przeczytała: *Nachlass-Sache*. Gwałtownie rozerwała go. Na wierzchu leżała koperta, wyrwała ze środka list. „*Liebe Fran Grosalie... Als Kompaniechef habe ich die Pflicht, Sie vom Heldentod Ihres Mannes zu benachrichtigen...*”¹ Gorączkowo czytała dalej. „...W górach Eifel... ogień granatów...” List kończył się: „*Im Glauben an den Endesieg und an die gerechte Sache dieses Kriegs verbleibe ich mit... Heil Hitler! SS-Hauptsturmführer, Kompagniechef...*”² Astry upadły na ziemię. - *Es ist nicht wahr*³ - spokojnym głosem przeczytała list. Zaczęła chodzić wkoło, wokół stołu, wokół teścia, coraz szybciej, coraz buńczuczniej, krzycząc - „snichwa, snichwa...” - jakby poprzez rytualne odrzucenie rzeczywistości mogła uczynić fakty niebyłymi. Jak w transie powtarzała w kółko te same słowa, dopóki teściowi nie udało się jej usadzić na kanapie. Na ścianie powyżej wisiał oprawiony portret Martina. Ściągnęła go ze ściany i zaczęła kołysać się z fotografią na kolanach w tę i z powrotem. Cóż za niestosowny paradoks - to, co jest nie do zniesienia, musiało być jednak w jakiś sposób zniesione. Wlokła się po mieszkaniu, chciała ubrać się w coś ciemnego, w lustrze zobaczyła jakąś odrzucającą obcą - loki jej trwałej nagle zniknęły. Tak, włosy były już umierające, teraz jeszcze tylko reszta...

¹ (niem.) - Droga Pani Grosalie... Jako dowódca kompanii mam obowiązek powiadomić Panią o bohaterskiej śmierci Pani męża...

² (niem.) - Wierząc w ostateczne zwycięstwo i słuszność tej wojny pozostaję z... Heil Hitler! Kapitan SS, Dowódca kompanii...

³ (niem.) - To nieprawda.

Nie obiecywała mu, że będzie jeść! Dnie całe nie jadła, nie piła, nie spała ani nie płakała. Nocami błądziła między zniszczonymi budynkami, jakby tam czegoś szukała. Chciała tylko znaleźć się tam, gdzie był on, więcej nic. Opanowany teść, który na polecenie swojej żony pozostał w jej mieszkaniu, starał się traktować takie zachowanie jak normalny etap żałoby. Przyniósł jej długi welon wdowi na mszę żałobną w kościele św. Karola Boremeusza. Tam, gdzie dwa lata temu w białym welonie kroczyła przez środek kościoła do ołtarza, szła teraz nieobecna, w czarnym. - Ta Niemka nie uroniła nawet łzy... - słyszała poszeptywania w ławkach. Jak głuchoniema zniosła cierpliwie dźwięki *Requiem*.

Po tygodniu teść przestał jej ciągle pilnować. Ponieważ nie udało mu się w pojedynkę doprowadzić jej do zakończenia strajku głodowego, musiała mu obiecać, że przyjdzie do nich w niedzielę. Może jego żonie udałoby się namówić ją do jedzenia. Wahając się, wyszła z domu. Świat był nieporuszony jego śmiercią, w jego mieście nie pozostał po nim nawet cień. Była sama, w obcym mieście, była wojna - takie były fakty. W tej konstelacji zabrakło dla niej miejsca, tak samo jak w jej życiu nie było miejsca na fakty. Jak w lunatycznym śnie zmierzała do centrum, przez Ring, wspaniały Ring, mijając teatr, Hofburg i operę. Szła za sobą samą w stronę kościoła św. Karola Boromeusza z niejasnej potrzeby religijnego wsparcia, ale przede wszystkim w rozpaczliwej nadziei, że Bóg da jej jakiś znak, potwierdzenie jego wszechobecności - dowód na to, że istnieje. Z wielkim trudem otworzyła ciężkie drzwi. Msza dopiero co się rozpoczęła. Głos proboszcza rozlegał się w kopule, barokowe złoto wibrowało wraz z nim. Z początku nie była w stanie dopuścić do siebie treści jego słów - osłabiona postem osunęła się na ławkę. Wreszcie na bliskim jej w młodości łonie kościoła poczęła ją morzyć senność - skutek długo utrzymującego się braku snu. Lecz nagle wyrwała się z drzemki. - Każdy poległy na froncie... - groził głos - ...i każdy zniszczony tu dom... jest karą za nasze grzechy... - Karą? Jak mógł opowiadać takie rzeczy, idiota! To było najbardziej kłamliwe, najokrutniejsze przesłanie, jakie kiedykolwiek usłyszała w kościele. Na znak protestu wstała. Zdołała przejść wzdłuż rzędów do tyłu. Mimo wymizerowania, miała w sobie na tyle siły, by pozwolić drzewom trzasnąć z hukiem. Trzęsąc się z wściekłości, zbiegła po schodach. Odruchowo obejrzała się jeszcze: po prawej i po lewej wciąż stały postaci aniołów, każdy niósł swój krzyż i nieświadomie spoglądał na świat.

Szła dalej. Chłopcy z *Hitlerjugend* maszerowali z zapalem po Ringu, niosąc nowiutkie sztandary. Anna, w swym czarnym welonie, potykając się przeszła obok nich. Jeden z chłopców zaszedł jej drogę: - *Heil Hitler!* Milcząc spoglądała tępo przed siebie. - Nie może pani pozdrowić flagi?! - burknął na nią. Był na pewno o głowę wyższy niż ona. Dotknęła lekko jego piersi: - Teraz ci coś powiem. Za tę flagę mój mąż dopiero co oddał życie. -

Odsunęła go na bok i poszła dalej. Pośpieszył za nią i zaczął ją stokrotnie przeproszać. Anna nawet nie spojrzała na niego, osiągnęła taki stan załamania, który czynił ją niewrażliwą na wstyd innego człowieka.

Nie wiedziała, jak dotarła do mieszkania teściów. Kiedy otwarto drzwi, upadła w progu. Cały ten czas była bliska omdlenia, lecz jej organizm z przyzwyczajenia wyczekał odpowiedniego momentu. Położyli ją na kanapie. W zamroczeniu docierały do niej odgłosy kłótni z sąsiedniego pokoju. - Nie zatroszczyłeś się o nią... - brzmiał głos teściowej. - Obiecałeś Martinowi, że będziesz o nią dbał, a teraz pada tu, w naszych rękach. - Annie znów zrobiło się ciemno przed oczyma. Zaparzone dzbanek prawdziwej kawy i pełną filiżankę podstawiono Annie pod nos. Sama Anna nie zareagowała na to; to prymitywne siły żywotne, pobudzone przez ten nieodparty bodziec, doprowadziły do tego, że otworzyła usta i połknęła łyk. Podobnie mimowolnie zjadła kawałek ciastka. W ten banalny sposób, z pomocą kawy i ciastka, wyparte zostały myśli samobójcze, by zrobić miejsce dla zwyczajnego poczucia nieszczęścia. Pamiętała jeszcze to uczucie, z którym latami była za pan brat.

Teraz należało spełnić drugą część obietnicy. Przed załatanym przy pomocy kartonu domem, gdzie w pojedynkę kultywowała małżeństwo, stanął czarny mercedes z chorągiewką SS. Dowódca SS i policji Komendy Naddunajskiej do spraw socjalnych, przybył złożyć wdowie kondolencje; był miły, potrafił bezbłędnie dobrać słowa pociechy i otuchy, których na próżno szukała u św. Karola Boromeusza, zapytał, czy mógłby coś dla niej zrobić. - Chciałabym pracować w lazarecie - odrzekła bezdźwięcznie - obiecałam mu to.

Ale w *Arbeitsbuch*¹ mam napisane „Prowadzenie domu”, dlatego nigdy nie zatrudnią mnie przy pielęgnowaniu chorych. - Proszę przyjść do naszego biura, damy pani oficjalne zaświadczenie - obiecał i pełen współczucia ucisnął jej dłoń.

Po tej wysokiej wizycie, która nie uszła uwadze żadnego z sąsiadów, Anna nie była już dla ulicy „tą Niemką”, ale *die SS-Tante*². Im bardziej zawzięte stawały się bombardowania i im więcej terenów tracił Hitler, tym bardziej otwarcie była piętnowana. Tak to już jest, dodawała sobie otuchy, jak długo wszystko idzie jak z płatka, wołają hosanna, kiedy sprawy mają się źle, wtedy: ukrzyżować go! Zgłosiła się do biura pracy. Wymagane papiery już tam dotarły. „Frau Grosalie jest sierotą i osobą bezdzietną i po tym, jak zginął jej mąż, pragnie być skierowana do pracy jako siostra Czerwonego Krzyża. Proszę o umożliwienie jej tego i niestawianie przeszkód w jej *Arbeitseinsatz* w Niemieckim Czerwonym Krzyżu. *Oberscharführer Fleitmann*”.

¹ (niem.) - książeczka pracy

² (niem.) - ciotka SS

Przy Chalet du Parc, do którego powędrowały z Instytutu Wodolecznictwa, stał kamienny pomnik, przedstawiający kobietę, która otoczona przez żołnierzy próbuje odeprzeć bagnety. Nie było żadnej inskrypcji, nie wymieniono nawet nazwisk. Anna i Lotta, obie ukryte za podniesionymi kołnierzami, zatrzymały się.

- Gdzie właściwie... został pochowany Martin? - spytała Lotta.

- W Gerolstein, na cmentarzu wojskowym. Ale najpierw w...

- Nie przetransportowali go do domu?

- Oszalałaś? W górach Eifel rozszarpał go na strzępy granat artyleryjski. Pozbierali go i zagrzebali w ziemi. Myślałaś, że transportowali zmarłych do domów, w 1944, iluż wtedy poległo! W Rosji, we Francji, w Ardenach, leżeli wszędzie naokoło, tu tułów, a tam głowa. Daj spokój. To w ogóle cud, że napisali, gdzie leży.

Lotta milczała urażona. Anna uderzyła wobec niej w taki ton, jakby była kompletnie naiwna. Annie wydawało się chyba, że ma monopol na tę wojnę, gdyż poległ na niej jej mąż.

- On to wszystko przewidział - powiedziała Anna, rozmyślając - wtedy, tej nocy w Norymberdze. Zamiast bać się śmierci - w końcu to on był tym, który miał umrzeć - martwił się o mnie. Dwudziestosześcioletni chłopak tak dojrzały i zrównoważony, jak gdyby rozwój duchowy, na który trzeba całego życia, dokonał się w nim w przyspieszonym tempie. Tamtej nocy już wszystko wiedział.

9.

Młodsze dzieci były największym ryzykiem, odpowiednio je poinstruowano; tak samo dobrze jak tabliczki mnożenia nauczyły się, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno o tym mówić. Jeśli bez zapowiedzi przychodziły ze szkoły z kolegą, jeszcze w lesie wołały: - Mamo, ale klawo, Pietje przyszedł ze mną! Innymi słowy: dopilnuj, by wszyscy wynieśli się na górę. Wojna uczyniła ich nieufnymi i pomysłowymi. Bart został pewnego razu zagadnięty w lesie, przez żonę ogrodnika z sąsiedniego majątku: - Powiedz no, kim jest ta pani, siedząca u was za maszyną do szycia? Pojął od razu, że musiała widzieć panią Meyer, która od czasu do czasu coś szyla lub łątała. - Chciałam pożyczyć od twojej mamy cukier - powiedziała - ale nie było u was nikogo w domu, tylko ta pani w jadalni. - Ach - zmyślał na poczekaniu - ma pani na myśli moją ciocię, siostrę mojej mamy, ona czasem coś dla nas szyje.

Matka Lotty przejęła ponownie dowodzenie. Piekła ciasteczka ziemniaczane i olbrzymie bochny chleba - wszyscy ukrywający się mełli na przemian zboże w młynku do kawy. W międzyczasie spieszyła na górę, by załagodzić spór pomiędzy grającymi w *klaverjass*¹. Jej mąż, fanatyczny gracz, nie potrafił przegrywać, zaś pani Meyer miała w zwyczaju szachrować, gdy znalazła się w trudnym położeniu. Frinklowie zatopieni byli w korespondencyjnym kursie angielskiego, ponieważ chcieli wyemigrować do Ameryki jak tylko skończy się wojna. Jak tylko skończy się wojna! Skrzydlate słowa, życzenie, pełne nadziei oczekiwanie, zwłaszcza że alianci byli teraz we Francji i nikt nie dziwił się angielskim bombowcom, które latały dzień w dzień w formacjach na wschód - wszyscy byli zgodni co do tego, że pokój można osiągnąć, niestety, jedynie przez zniszczenie. W międzyczasie do ukrywających się dołączyły jeszcze dwie poszukiwane osoby. Pewien sabotażysta, pracujący na poczcie i czytający wszystkie listy skierowane do *Sicherheitsdienst*, odkrył, że adres kryjówki Sammy Goldschmidta i jego żony został zdradzony. Trzeba ich było bezzwłocznie ukryć gdzie indziej. Bez gadania po próżnicy dostawiono dwa łóżka i wszyscy ścieśnili się jeszcze bardziej.

Dwie wielkie miotły miały do siebie coraz bliżej, jedna ze wschodu, druga z południa. Miotły z długimi szczotkami, zmiatające Niemców jak śmieci na jedną kupę. Wszędzie panowało niecierpliwe wyczekiwanie. W poniedziałkowy wieczór, 4 września, radio Oranje doniosło: „Jak podają źródła związane z rządem Niderlandów, wojska alianckie dotarły do Bredy”. Ukrywający padli sobie w objęcia, śmiejąc się i płacząc, a gospodarz wyciągnął ze swych wojennych zapasów butelkę jałowcówki. Ale już kilka dni później doniesienie sprostowano. Alianci oswobodzili wyłącznie strategiczny korytarz, przebiegający przez środek Brabancji. Przez tę przesiekę maszerowali na północ; w błyskawicznej akcji zdobyli pewną ilość mostów, jednak przy Rijnbrug pod Arnhem nie powiodło im się. Ofensywa załamała się, ojciec Lotty zmuszony był wyciągnąć kilka przedwczesnych chorągiewek.

W pomalowanej na błękit pracowni Lotta wsłuchiwała się w wyjaśnienia dotyczące milimetrowej grubości drewna; Ernst Goudriaan zdejmował przy tym okulary i zbliżał usta do drewna - jak gdyby był uwikłany w tajemniczy spisek ze skrzypcami, powstającymi w jego rękach. Zapominał założyć z powrotem okulary, gdy ją niezgrabnie obejmował, między heblami i słoikiem kleju kostnego, który spadł na ziemię i od razu zaczął wydzielać zapach zgnilizny. Może była to miłość, może wykorzystywali się wzajemnie jako antidotum przeciw wojnie, co wystawiła na zbyt wielką próbę jego system nerwowy i jej sumienie.

¹ (niderl.) - gra karciana dla czterech osób

Nieświadomie uwolnił ją od jej skalanego pochodzenia i najwcześniejszych wspomnień, należących do poprzedniego życia. *Tabula rasa* - z nim i przez niego stała się prawdziwą Holenderką.

W jasny dzień spacerowali przez las; z nią u boku, z zimną krwią wyzywał los. Spoczęli na pniu zwalonego dębu. Na jednej z grubych gałęzi odkryła ozorek dębowy, językowaty, czerwono-brunatny płat, który tkwił w korze - ostrożnie go oderwali. Wieczorem, Lotta podsmażyła grzyb krótko z obu stron, uważając by nie wyciekł z niego krwisty sok. Ozorek podano do stołu jako *pièce de résistance* i każdemu dostało się po kawałku tego daru bogów, gdyż wszyscy, jak zwykle, byli głodni.

Brak żywności stawał się co raz bardziej dotkliwy. Na zmianę chodzili do garkuchni we wsi i przynosili stamtąd menażkę wodnistego *Eintopfu*¹. Na wieść, że w Barneveld sprzedają gęsi, Lotta i Koen, który ciągle jeszcze nie mógł wysiedzieć w domu, ruszyli tam na rowerach. Krótko przed Amersfoortem natknęli się na karawanę uciekinierów z Arnhem, a wśród nich na dwie dziewczynki z kotkiem na sznurku, ledwie powłóczące nogami. Kawałek dalej umknęli na pobocze przed przejeżdżającym w pełnym biegu autobusem *Blitzmädeln*². - Nietoperzyce - burknął z pogardą - a niech te baby piekło pochłonie. - W smrodzie pozostałym po autobusie pedałowali dalej. Zaczęło padać. Jakiś samolot przeleciał tak nisko nad drogą, że ptaki odleciały w popłochu z pobliskich drzew. Sekundę później przeraził ich okropny huk - na ich oczach autobus wybuchł w oddali. Słup ognia wzbił się w górę, dym ulotnił się w deszczowych chmurach. Koen, oszołomiony tym, że jego życzenie tak błyskawicznie się spełniło, z otwartymi ustami przyglądał się tej scenie, nie wiedząc właściwie, czy uważać to za fascynujące, czy przerażające. Lotta w wyniku pewnego impulsu, jakiegoś denerwującego odruchu, za który nie mogła być odpowiedzialna, pomyślała o Annie. Dopiero co tu były, jak klucz ptaków, w swych nieskazitelnych, szarych mundurkach, przemknęły obok nich - wojna objawiła się w przedziwny sposób, tu, między pastwiskami w mżawce. Gdyby Anna siedziała w autobusie, Lotta straciłaby właśnie siostrę. Wtedy byłaby rzeczywiście, ostatecznie wolna. Myśl ta nie budziła w niej żadnego uczucia. Obraz Anny na tyle się już zatarł, przybierając postać mary, że Lotcie było obojętne, czy oto na jej oczach rozplynęła się w powietrzu, czy nie. Z lekką odrazą jechała dalej rowerem, dopóki jeden z uciekinierów nie zatrzymał ich i ledwo łapiąc oddech opowiedział, że dworzec w Amersfoorcie zbombardowano i że wszystkie pociągi towarowe paliły się jasnym płomieniem. Nie było to miejsce, przez które należało przejeżdżać z powodu gęsi. Przenieśli

¹ (niem.) - prosty posiłek z jednego dania

² (niem.) - kobiety pełniące służbę pomocniczą w armii niemieckiej

rowery przez rów na pastwisko i objechali miasto półkolem; wiatr przywiewał stamtąd apokaliptyczne odgłosy. Znaleźli swoją gęś. Wracali do domu bocznymi drogami z nią i torbą pełną wełny drzewnej, między którą bezpiecznie poupychane były świeże jajka.

Zaczęło brakować zboża. Sara Frinkel przypomniała sobie o pewnym właścicielu ziemskim w okolicach Deventer, przed wojną zagorzałym wielbiciele kaprysów skrzypcowych Maxa. Nalegała na to, by wziąć udział w wyprawie, nie mogło się jej nic przydarzyć, miała dobre papiery na nazwisko aryjskiej krojczyni z Arnhem. - Beze mnie - zbiła sprzeciw matki Lotty - niczego wam nie da. Któregoś deszczowego jesiennego dnia, Sara i Jet pojechały pociągiem do Deventer, wyposażone w dwie puste torby i stary wózek po Barcie. Sława Maxa Frinkela jeszcze nie straciła blasku: z pełnym żołądkiem i wózkiem wypełnionym aż po brzegi opuściły majątek. W drodze powrotnej znalazły schronienie na noc we wspaniałej willi nad Ijsselkade w Deventer. Następnego dnia Sarze wpadł do głowy jeszcze jeden adres. Była ambitna: ten jeden raz, kiedy opuściła kryjówkę, chciała wrócić obładowana prowiantem - trzeba było jeszcze napełnić torby. Zostawiły wózek pod dobrą opieką i opuściły miasto. W nocy przyszła zawierucha, droga usłana była oberwanymi gałęziami. Jesienny deszcz smagał ich twarze. W połowie drogi zatrzymał się obok nich niemiecki samochód policyjny, i szyba została opuszczona. - *Wohin gehen Sie?* Sara wyzywająco wymieniła nazwę wioski. - *Steigen Sie ein!*¹ - rozkazał jowialnie kierowca - dwie piękne kobiety w taką pieską pogodę, to się nie godzi! - Zostały posadzone z przodu, między kierowcą a spiętym żołnierzem. Dalej jechali w milczeniu. Mimo że kierowca musiał koncentrować się, by utrzymać auto na drodze przy tak silnym wietrze, uśmiechał się do nich filuternie. Drugi rzucał czasem obok siebie ukradkowe spojrzenie i odkrył przy tym jeden ze słynniejszych nosów rodziny Rockanje, gwarancję oryginalności. - Pani jest Żydówką... - wykrzyknął zaszokowany - ...stop... stop...! - Kierowca zahamował. Drżąc, Jet wyłowiła z wewnętrznej kieszeni swoją kenkartę. Jej niewinna treść nie zadowoliła go. - Mimo to jesteś Żydówką - twierdził uparcie. - A teraz proszę posłuchać - powiedziała z szyderstwem Sara w *hochdeutsch* - jeśli ona jest Żydówką, to ja jestem nią na pewno! - Daj im spokój - powiedział szofer. Przez deszcz spadający z łoskotem na dach, byli wręcz zbyt blisko, atmosfera w samochodzie stawała się przygniatająca. - Założę się, że jest Żydówką... - upierał się tamten - każde dziecko to powie. Nie mogąc niczego udowodnić, otworzył z wściekłością drzwi: - *Raus*, obydwie. - Lepiej, żebyście wysiadły - powiedział kierowca, rzucając w ich stronę zrezygnowane spojrzenie. Wysiadły tak szybko, jak tylko mogły. Gdy samochód zniknął za

¹ (niem.) - Dokąd panie idą? [...] Niech panie wsiadają.

zasłoną deszczu, rzuciły się sobie w ramiona. Chociaż ciągle jeszcze lało jak z cebra, nie czuły deszczu, tak zlane były zimnym potem. Poryw, by wypełnić jeszcze torby, minął - musiały zachować jeszcze siły, żeby następnego dnia móc powrócić do domu z ciężkim jak ołów wózkiem.

Jednak do tego nie doszło. W nocy zbombardowano miasto. Uciekły do piwnicy, gęsto stłoczone, wyczekiwały w wilgotnym półmroku. W chwili, gdy atak został najwyraźniej zintensyfikowany, grunt pod nogami i ściany trzęsły się tak mocno, że nie wiedziały już, gdzie góra i dół, a gdzie lewo lub prawo. Wściekła Jet, krzyczała: - Ten szmelc zaraz się na nas zwali... - Skulona, zatykając sobie uszy, wrzeszczała dalej; strach przydał jej głosowi takiej mocy, że zagłuszała huk nalotu. Sara na próżno próbowała ją uspokoić. Jeszcze kilka godzin później nie mogła dojść do siebie - osłupiała i zamknięta w sobie siedziała w kucki na podłodze, gotowa opuścić piwnicę, jeśli pojedą pierwszym pociągiem do domu. - A wózek... - rzekła Sara. Jet rzuciła jej zabójcze spojrzenie.

Wszystkie myśli krążyły wokół jedzenia. Wózek pełen zboża oznaczał tyle a tyle bochenków chleba, którymi wyżywić się mogło tylu a tylu ludzi, przez tyle dni. Ta prosta logika pchnęła Lottę do Deventer, gdzie Sara, z bólem serca, pozostawiła wózek. Wyruszyła męskim rowerem, bez opon, ale wyposażonym w sakwy rowerowe, w za dużych półbutach Ernsta Goudriaana i w podartych skarpetkach, trzymających się kupy dzięki robótkom pani Meyer. W Deventer przełożyła zawartość wózka do sakiew. Największą przeszkodą był most przez Ijssel, dlatego poszła najpierw bez roweru wybadać sytuację. Na początku mostu stał drewniany posterunek, tam ludzie z WA kontrolowali ruch; pośrodku mostu stała budka, gdzie strażnik niemiecki powtarzał procedurę. Niemiec zauważył ją i kiwnął. - Chce pani przenieść żywność przez most? - zapytał cicho. - Jeśli byłoby to możliwe - wyszeptala. Nie będzie pierwszą osobą, której pomoże, powiedział, wymyślił sposób, dzięki któremu ludzie mogli niezauważeni ominąć Holendrów konfiskujących wszystko, co dało się zjeść. Most składał się z dwóch części, jednej dla ruchu zmotoryzowanego i drugiej, dla pieszych. Między nimi stał wysoki mur, przerwany w połowie przez jego budkę strażniczą. Jeśli z załadowanym rowerem przelawiruje przez ruiny na *Sperrgebiet*¹ i schylona przedostanie się przez strefę dla pieszych na tył jego budki, to tam przejmie od niej worki ze zbożem. Wtedy musi wrócić i przejść z pustymi torbami oficjalną drogą obok Holendrów. Na koniec zapakuje jej z powrotem torby. Postąpiła zgodnie z jego wskazówkami. Wraz z rowerem musiała wjechać do drewnianej strażnicówki Holendrów - Szlarafii pełnej zarekwirowanych ziemniaków,

¹ (niem.) - obszar zamknięty

bochenków chleba, masła, sera, słoniny. Strażnik zerknął do pustych toreb, zobaczył w jej dokumentach, że jest daleko od domu i powiedział dobrodusznie: - Damy ci trochę chleba. - Wziął jeden bochenek z dużego stosu i wrzucił jej do torby. Mogła iść dalej. Pchając rower, zbliżała się do niemieckiego strażnika. Jak grom z jasnego nieba, śmignęła nad mostem eskadra spitfire'ów. - *An die Wand, schnell...!* - usłyszała czyjś krzyk. Rzuciła rower i przyłgnęła do muru działowego. Most wzięto pod ostrą ostrzał, mimo piekielnej wrzawy słyhać było, jak skrzypi. Lotta kątem oka zauważyła, że jeden z jej worków został trafiony, zboże zaczęło wysypywać się jak kolumna mrówek. Zabrakło jej tchu: podczas gdy wokół latały granaty, Niemiec doczołgał się do worka i zawiązał dziurkę sznurkiem z taką starannością, jak gdyby opatrywał rannego żołnierza. Spitfire'y jeszcze raz zatoczyły krąg nad mostem i odleciały, pozostawiając za sobą przejmującą ciszę. A pod mostem płynęła dalej niewzruszona rzeka Ijssel. Wymiętoszona Lotta pozbierała się - jeszcze żyła i wszystko toczyło się po prostu dalej. Niemiec załadował zboże do toreb. Jego gotowość niesienia pomocy tak ją zmieszała, że podziękowała mu w jego języku. - Przypomina mi pani moją żonę - powiedział rzewnie - mamy dwójkę małych dzieci... Czekam z utęsknieniem i lękiem końca wojny... Hamburg został ciężko zbombardowany, nie wiem czy jeszcze żyją...

Zboże, zboże... tylko zboże się liczyło. Pojechała dalej. Wzdłuż drogi z Apeldoorn do Amersfoort, między wieczną zielenią świerku, drzewa liściaste zapłonęły pomarańczą i żółcią. Słońce chyliło się ku zachodowi i rzucało ostre i niemiłosierne światło na bezbarwnych, opatulonych w stare płaszcze piechurów, ciągnących z mozołem drogą wszystko, co miało koła - wyczerpanych, głodnych i wciąż mających się na baczności, ze strachu, że na sam koniec ktoś ich jeszcze obrabuje z marnych zasobów, które otrzymali w zamian za pierścioneł czy broszę, pochodzącą jeszcze od ich prababki. Między nimi szła Lotta, wlokąc swą zdobycz wojenną. Tuż przed nią wlokło się ciężko dwóch mężczyzn; kontrast między nimi a kolorami jesieni po obu stronach drogi był wstrząsający. Sprawiali wrażenie, jakby wyszli z wilgotnego więzienia i przez całe lata nie widzieli światła dziennego. Ich płaszcze wyglądały na zapleśniałe, ich ręce i nogi owinięte były w brudne bandażę. Lotta zamierzała właśnie wyminąć tych dwóch, gdy wszczął się ogłuszający tumult. Prześlizgnęły się po nich cienie bombowców, w zaroślach rozbrzmiały eksplozje, niemieccy żołnierze wyskoczyli z krzaków. Obaj mężczyźni rozejrzeli się z obłędem w oczach. - Chodźcie, pomożecie mi pchać - krzyknęła Lotta, by w przypadku nagłej kontroli dać im jakieś alibi. - Pchać! - Jeden chwycił za kierownicę, drugi za bagażnik. W ich pobliżu eksplodowała bomba, całą trójką uciekli na pobocze i skryli się w wyrwie. Powoli zaczęło im świtać, że to linia kolejowa, przebiegająca równoległe do szosy, i transporty wojskowe były

celem. Ukryci w ziemi, z wychudzonymi twarzami pokrytymi szarym pyłem, mężczyźni opowiadali jej, w środku pandemonium, zacinając się, historię swojej ucieczki z Niemiec. Jako jeńcy wojenni zatrudnieni w stalowni, w czasie apelu porannego byli zmuszani do wykonywania wysokich podskoków jak artyści cyrkowi, tak by ich dozorczy mogli dla zabawy smagać biczami pod ich stopami. Trafione stopy ropiały, wrzody nie goiły się z powodu chronicznego niedożywienia. Kiedy bombardowano fabrykę, uciekli korzystając z chaosu; w ciągu dnia spali, a nocą przedzierali się przez lasy na zachód. Ich rodziny mieszkały w Hadze, wątpili, czy uda im się tam dotrzeć, stopy mieli zupełnie zaropiałe, a przez ciągły głód byli już u kresu sił.

Zrobiło się wokół nich cicho, dawało się słyszeć jedynie ciche trzeszczenie i świst płonących wagonów. Warkot bombowców ucichł, zniknęły za horyzontem jak zjadliwe owady, pozostawiając pustą szosę, która niebawem zapełniła się na powrót tymi, którzy musieli posuwać się dalej. W jakiejś wsi Lotta wymieniła trochę zboża na żytni chleb, w nadziei, że choć trochę wzmocni nim siłę woli uciekinierów. Mimo że przez nich posuwała się wolniej, nie przeszło jej przez myśl, by pozostawić ich na pastwę losu. - Usiądźmy... - biadał jeden. Lotta, obawiająca się, że już nie wstanie, była nieubłagana: - Dalej... dalej. - To już koniec - wystękał trzy kilometry dalej - dalej nie mogę... - Jeszcze tylko kawałek, jeszcze mały kawałek... są panowie prawie na miejscu. - Było już ciemno, gdy zbliżali się do Amersfoort. Lotta pokazała im drogę do szpitala - wiadomo było, że jego drzwi stały zawsze i dla każdego otworem: - Na pewno panów tam przyjmą. - Ale oni uczepili się jej kurczowo jak swego talizmanu. - Niech pani nie zostawia nas samych... - błagali. - Bez pani aresztują nas. - Pokręciła głową. - Nie mogę iść z panami, z całym tym zbożem. Zboże, zboże... straciła już tak wiele czasu, musiała wydostać się z miasta, wraz ze zbożem, przed godziną policyjną.

Pospiesznie zniknęła, wraz z ciężko załadowanym rowerem, z pola widzenia obu mężczyzn. Znow nabrała swojego tempa. Był to jeden z tych niezwykłych wieczorów, bez księżycy i bez chmur, panowała absolutna ciemność, spotęgowana zaciemnionymi oknami. Ogarniało ją coraz silniejsze przeświadczenie, że zablądziła. Zagadnęła, mijającego ją mężczyznę z przyczepką za rowerem. Tak, była na dobrej drodze, ale dlaczego nie włoży swoich rzeczy do jego przyczepki, nie będzie musiała wtedy tak się męczyć pchając swój rower. Miał światło, mógł jej kawałek potowarzyszyć. Z wdzięcznością przyjęła jego propozycję; jechał obok niej w tempie, w jakim szła, obydwój milczeli - o czym było mówić, po godzinie policyjnej z niewidzialnym nieznajomym. Nagle zauważyła, że ruchy obok niej stały się szybsze - jej towarzysz przyśpieszył, z zimną krwią zniknął. Migocząc jak błędny ognik na trzęsawiskach, zniknął w ciemnościach, zostawiając ją w nicości, z pustymi torbami.

Słyszała już tylko mechanizm swego serca, dalej pompującego, poza tym panowała grobowa cisza. Teraz jednak strach ją dopędził. Na posterunku przez Ijssel nie udało mu się, podczas bombardowania linii kolejowej też nie - spokojnie wyczekiwał swoich pięciu minut. Lotta poczęła wydawać z siebie pisk. Jej głośny krzyk z egipskich ciemności rozbrzmiewał przeraźliwie w godzinie policyjnej. Siła głosu, powodująca swojego czasu drzenie wieży wodnej aż po fundamenty, dawała jej głosowi nadzwyczajny zasięg. Nadjechał patrol, jakiś policjant chwycił ją za ramię, by ją uspokoić. Zdała urywkową relację z tego, co się wydarzyło. On wepchnął ją do wozu i podjął pościg, reflektory przewiercały tunel w ciemności. Emocje Lotty przeszły w dziwny rodzaj apatii, było jej obojętne, czy go dogonią; niegdyś wyraźnie rozgraniczone pojęcia przyjaciel i wróg zatarły się, przedsięwzięcie wymknęło się spod kontroli, to nie była już jej sprawa, najwyraźniej inni przejęli panowanie nad nią. Dopadli go, zmusili, by się zatrzymał, i zbesztali. Może w domu czeka na niego i plon jego nocnej wyprawy rabunkowej dwanaścioro wygłodniałych dzieci. Bez jakiegokolwiek zainteresowania spoglądała na postacie w świetle reflektorów. Zboże zostało po raz kolejny przeładowane - jeszcze by się zniszczyło.

Obie siostry usiadły w Chalet du Parc. Po raz kolejny zagłębiły się w karcie dań - nie żałowały sobie. Ich kuracja przeciwartretyczna przebiegała głównie w czterech ścianach Instytutu Wodolecznictwa, ale też w restauracji, cukierni i kawiarni, ponieważ był styczeń, a one chciały utrzymać cały dzień ciepło kąpieli borowinowej - ale przede wszystkim, dlatego że lepiej było rozmawiać przy posiłku, kawałku tortu, filiżance kawy, które działały jak piorunochron.

- No tak... - rozmyślała Lotta - gdybyście nie spustoszyli naszego kraju, to takie sceny nie miałyby miejsca.

- U nas także racjonowano żywność... - odrzekła cicho Anna.

Lotta zmarszczyła brwi. - Byliście spichlerzem Europy.

Dotknięta Anna upuściła jadłospis. - Po wojnie Francuzi zemścili się. W strefie francuskiej morzyli nas głodem.

- Ach... - westchnęła Lotta. - W kółko ta relatywizacja. Ciagle: ale nam też nie było lekko.

- Co zamawiasz? - spytała Anna. Od tych wszystkich historii o braku żywności zrobiła się głodna.

- Myślę... - Lotta wahała się - *Entrecôte Marchand du Vin...* A może powinnam wziąć *Truite à la Meunière...*?

Anna otrzymała upragnioną pracę w lazarecie. Prowadziły go zakonnice; w swej żarliwości, by nie zawieść Martina, uczyła się szybko. Miała pieczę nad dwoma oddziałami, jednym dla szeregowych żołnierzy, drugim dla oficerów - wszyscy oni stracili, na coraz to krótszej linii frontu, rękę albo nogę. Każdego rana o godzinie dziesiątej rozbrzmiewał alarm: nadlatują wrogie bombowce! W pośpiechu należało przenieść rannych do piwnicy, na specjalnych noszach z kółkami po jednej i uchwytami po drugiej stronie. Na schodach zamontowane były drewniane szyny. - Sostro Anno, tempo! - wołała jedna z sióstr. Całkowicie zbytecznie, gdyż Anna spieszyła już schodami na dół, które w połowie miały ostry załom - trudny moment dla osób po amputacji. Popędzana przez syreny biegła w tę i z powrotem, dopóki ostatni pacjent nie znalazł się w bezpiecznym miejscu; kiedy padały pierwsze bomby, pędziła raz jeszcze na górę po protezy. Ze strony zakonnice nie mogła oczekiwać pomocy, gdyż były one zaprzątnięte zapewnieniem bezpieczeństwa monstrancji. Modliły się i śpiewały, i zanosily dobrego Boga do małej, zaimprovizowanej kaplicy, by nie został trafiony przez bomby. Annie nie dawano nawet chwili odpoczynku, program dnia, mimo bombardowań, przebiegał dalej z bezwzględnością: mycie, wydzielanie lekarstw, wymiana opatrunków. Ze swego bezpiecznego miejsca w niebie jej ukochany marionetkarz mógł zobaczyć, jak potwierdzają się jego przypuszczenia. Pacjentom rzuciło się w oczy, że Anna, kierowana pobudkami nie z tego świata, prawie nie jadła i nie spała; niepokoiłi się o nią. Pewnego dnia ci, którzy dzięki protezom mogli się już w pewnym stopniu poruszać, przygotowali jej w kącie piwnicy królewskie posłanie z płaszczy, swetrów i poduszek. Protestując, z termometrem w rękę, pozwoliła się na nie wepchnąć i przykryć z braterską troskliwością - by z miejsca zapaść w głęboki sen.

Na innym oddziale leżał pacjent z odłamkiem blisko serca, uniemożliwiającym operację. Nie wolno mu było ruszać się ani być poruszonym. Podczas nalotów musiał pozostawać w łóżku, nie wpadając w panikę - zdenerwowanie było większym zagrożeniem dla jego życia niż bomba. Razem z lekarzem czuwała przy nim na zmianę jedna z sióstr. Również Anna regularnie siedziała, jak żywa tarcza strzelecka, przy jego łóżku obok okna i swobodnie gawędziła na niewinne tematy. Naprzeciw niej, po drugiej stronie łóżka, siedział przepacowany lekarz w hełmie przeciwlotniczym. Jej paplanina działała także na niego. Widziała, jak jego powieki i głowa stawały się coraz cięższe. Był jeszcze na tyle przytomny, że zanim się zdrzemnął, zdjął hełm i położył na kolanach. Kiedy w pobliżu uderzała bomba, prostował się i zakładał odruchowo hełm, po czym wszystko zaczynało się od nowa. Anna nie była nieczuła na tę scenę jak z błazeńskiej komedii, tak że z trudem - pamiętając o odłamku - powstrzymywała śmiech.

W poszukiwaniu jednej z zakonnicek, Anna zabłądziła któregoś razu w kompleksie szpitalnym. Otworzyła pierwsze lepsze drzwi, za którymi znajdowała się olbrzymia sala, i stanęła w progu jak wryta - ledwo powstrzymała się od odruchowego wybiegnięcia labiryntem korytarzy na zewnątrz. Była to sala bez łóżek - na ziemi leżeli żołnierze, którzy stracili wszystkie kończyny. Rany były zagojone; ich tułowia poowijano w skórę, tak by mogli jak niemowlaki, toczyć się po ziemi. Światło jesiennego słońca muskało to, co z nich pozostało. Mogli jeszcze tylko mówić i toczyć się. Anna zamknęła gwałtownie drzwi. To był teren zakazany, zobaczyła coś, co nie istniało - drugą stronę militarnej potęgi, pobrzękiwania szablą i orderami, bohaterskich słów. Którego z żołnierzy idących na wojnę przestrzegano, że oprócz bohaterskiej śmierci może mu się też trafić taka podrzędna rola.

Wieczorem szła do domu przez zaciemnione miasto; droga pełna niespodzianek, ponieważ w ciągu dnia przez zniszczenia znajomy obraz miasta zmieniał się bez przerwy. Z trudem odemknęła drzwi - znów wyleciały dwie szyby, lodowaty jesienny wiatr rozwał po mieszkaniu listy przesłane przez pocztę polową, które przeczytała raz jeszcze poprzedniego wieczora. Kiedy po omacku szukała komody, by zapalić świeczkę, natrafiła na dziurę i omal nie straciła równowagi - komoda leżała na dole, na ulicy. Następnego dnia na klatce schodowej na jej oczach zemdląła kobieta. Anna rozpoznała bladą twarz. To ona krótko po śmierci Martina złożyła jej kondolencje: - To dla pani musi być straszne - wyszeptała z opuszczoną głową - prawdopodobnie myśli pani, że wydarzyło się pani coś najstraszniejszego, ale jest coś, co jest jeszcze gorsze... - Płacząc pobiegła do swego mieszkania na najwyższym piętrze, Anna zaś łamała sobie głowę nad znaczeniem tej aluzji. Z pomocą mokrej szmatki Anna przywróciła ją do przytomności. - Zamorduję ich! - wołała kobieta zrywając się. - Tylko spokojnie... - Anna próbowała ją uspokoić. - Odnajdę ich, jak skończy się wojna, będę piła ich krew, zaklinam się... - szalała kobieta, ten wybuch nadał jej policzkom na powrót trochę barwy. Anna chwyciła jej ramiona: - Co się właściwie stało...? Nagle kobieta ponownie opadła z sił i tępym głosem wyjawiała Annie, że jej mąż został kilka miesięcy temu uwięziony. Aresztowali go, gdy chciał oddać do naprawy zegarek córki, pielęgniarce noszącej z pełnym przekonaniem brunatny strój, u zegarmistrza, który był jego dawnym znajomym. Nie wiedział, że zegarmistrz podejrzewany jest o kontakty z komunistami i niesłusznie został wzięty za jednego z nich. Skazano go na śmierć i od tej pory siedział w więzieniu, przykuty, bez możliwości poruszania się. Co minutę, w dzień i w nocy, spadała na jego głowę kropla wody. Myśl o tym doprowadzała ją do szaleństwa. - W takim razie popełnili straszny błąd! - zawołała z oburzeniem Anna. Tego, że skazano niewinną osobę, że tak niedbale podchodzono do sprawy, nie była w stanie ogarnąć ze swym

poczuciem sprawiedliwości i zamiłowaniem do porządku i skuteczności, ale że prócz tego skazano biedaka na wyrafinowane umieranie w sposób, który wymyślić mógł jedynie chory psychicznie, nieskończenie powolną śmiercią w katuszach, uważała za tak niesłychane, że poczuła się natychmiast obowiązana przedsięwziąć jakieś kroki. Anna objęła ją ramieniem. - Proszę zostawić to mnie... - powiedziała rozwścieczona.

Gauleiter rezydował w dawnym budynku parlamentu *Donaumonarchie*¹ pełniącym w Trzeciej Rzeszy funkcję siedziby władz Marchii Wschodniej.

Anna z miejsca tam pomaszerowała, weszła schodami do historycznego budynku, świadczącego o imponującym bogactwie, przez portyk i długi korytarz, w którym co dziesięć metrów stał nieruchomo, jakby był wypchany, esesman z karabinem. Ponieważ nie zdarzało się, by ktoś niezapowiedziany wdzierał się do tej świątyni, byli za bardzo zdumieni pojawieniem się pędzącej siostry Czerwonego Krzyża, by zainterweniować. Annie nie ciążyły ani strach, ani skromność, odgłos kroków na marmurowej posadzce brzmiał jak potwierdzenie jej racji. Przy skrzyżowaniu dwóch korytarzy straciła na chwilę pewność siebie. W końcu jeden z wartowników zaszedł jej drogę: - A pani dokąd? - Do *Gauleitera*. - Dlaczego? - Chcę do *Gauleitera*! - Podeszło jeszcze dwóch innych, spojrzeli się na siebie pytająco: co ma tu do szukania histeryczna pielęgniarka? - Mój mąż służył w *Waffen-SS*, niedawno poległ - wyniosłe machnęła im pod nosem listem kondolencyjnym od *Obersturmführera*. Nie mieli w tej sytuacji nic do powiedzenia; odprowadzili ją pod eskortą do celu, jakby była dyplomatą.

W jej wyobraźni *Gauleiter* przybrał olbrzymie rozmiary. W rzeczywistości w pysznej sali, która pewnie była wcześniej gabinetem cesarza, siedział za olbrzymim biurkiem przyjazny starszy pan z długą brodą - wyglądał jak święty Mikołaj. Zdziwiony, skinął na nią zachęcająco. Wzięła głęboki oddech i przedłożyła mu skandaliczny błąd: - Znam tych ludzi, są narodowymi socjalistami, córka jest *Braune Schwester*! *Führer* nie może przecież pozwolić na coś takiego! Nie wie, że popełniono tu błąd, trzeba go o tym poinformować! - *Gauleiter* kiwnął głową jak zmęczony dziadek, który nie potrafi odmówić niczego swojej wnuczce. - Niech pani będzie tak uprzejma - powiedział powoli - proszę iść do domu i zadbać, by ta kobieta napisała list, prośbę o ułaskawienie. Niech pani przyniesie mi ten list osobiście.

W wyniku starań Anny czternaście dni później powrócił do domu mężczyzna, który tylko szepcząc mógł opowiedzieć, jaki rodzaj rozrywki wymyślono dla niego, by skrócić czas oczekiwania na egzekucję. Oduczył się jeść, każdy ruch był bolesny i wycieńczający. Ostatkiem sił doczłapał się do łóżka i już nie wstawał, zbyt słaby, by żyć i by umrzeć. W

¹ (niem.) - monarchia naddunajska

ciągu dnia jego żona musiała chodzić do pracy. Dlatego nie było jej, gdy pod koniec marca na blok spadła bomba i wybiła dziurę szeroką na dziesięć metrów. Kiedy Anna wróciła do domu, zamiast swojego mieszkania ujrzała tylko te, które znajdowały się za nim. Zwały gruzu sięgały mniej więcej wysokości nieistniejącego pierwszego piętra - pod nimi znaleziono mężczyznę skazanego na śmierć, w piżamie, opowiadał sąsiad. Z rumowiska powiał w jej twarz kurz. - Boże, jesteś sadystą! - zawołała Anna. Wiatr szeptał jej do ucha: idiotko, ciągle jeszcze wierzysz w sprawiedliwość? Zacisnęła zęby. Na to nie mogła się już poskarżyć *Gauleiterowi...* musiała się zwrócić do wyższej instancji... w bardziej nierzeczywistych *Gauen...*¹

Ten sam wiatr przyniósł też zapach wyschniętego błota - nadciągali Rosjanie. Podczas którejś odprawy siostry usłyszały, że trzeba w ciągu dwóch godzin ewakuować szpital. Na Dunaju przygotowano statek szpitalny, gdzie należało przetransportować wszystkich rannych. Anna oddaliła się niezauważenie, by pożegnać się z teściem; w pośpiechu wcisnęła mu do ręki związane listy od Martina, które od czasu zbombardowania domu przechowywała w piwnicy lazaretu razem z dwiema walizkami wypchanymi całym jej dobytkiem. - Niech je ojciec spali - poprosiła pospiesznie - w innym razie opublikują je jeszcze w „Izwiestiach”.

Gdy wróciła do lazaretu, stało przed nim kilka autobusów. Ledwie pomogła pacjentom ze swojego oddziału wejść do środka i z walizkami po obu stronach usiadła z przodu, a już ktoś wyciągnął ją za fartuch ze środka: - Poczekajcie siostrzo, tak łatwo to nie pójdzie! - Zanim się obejrzała, pozostające na miejscu zakonnice przekazały jej, siostrze Czerwonego Krzyża a *l'improviste*, lekarstwa i karty choroby wszystkich rannych, w liczbie stu sześćdziesięciu. Wepchnęły ją z tym wszystkim do autobusu z obcymi ciężko rannymi, który z miejsca odjechał. Miała nadzieję, że jej walizki jeszcze dojadą. Autobus przyspieszył, jak gdyby chciał z siebie zrzucić grożącą jego pasażerom śmierć - niestety musiał się w połowie drogi zatrzymać przed za niskim tunelem. Zamówiono inny autobus; tymczasem Anna wraz z kierowcą wyładowała rannych i położyła ich na noszach, na poboczu. Zrobiło się ciemno - Rosjanie nadeszli - a oni ciągle jeszcze czekali i spoglądali na tunel, jakby był ostatnim połączeniem ze światem żywych. Z ciemności wyłonił się inny autobus, odpowiednich rozmiarów. Całkowicie przemarznięci pacjenci zostali wsunięci do środka i ruszono dalej, do brzegu Dunaju.

Stu sześćdziesięciu rannych ułożono w wilgotnej trawie, szybko zwołani sanitariusze wnosili ich na statek, jednego za drugim, po wąskim mostku. Annę zagadnęło małżeństwo,

¹ (niem.) - prowincje

przemoczone przez deszcz: - Ten żołnierz, którego właśnie wnoszą, to nasz syn. Ma przy sobie pistolet. Boimy się, że sobie coś zrobi, nie może się z tym pogodzić, że przegramy tę wojnę... - Obiecała im, że będzie mieć go na oku i poszła szukać swoich walizek. Już z oddali słyszała skandowane chórem swoje imię: - Siostró Anno, z oddziału trzy, to my! Zabrzmiało to w jej uszach jak *Missa Sollemnis*¹, której dźwięki niesione były w strzępach przez wiatr - biegła pomiędzy rannymi w kierunku, skąd dochodziły zawołania i znalazła swych pacjentów, którzy nie chcieli bez niej wejść na pokład. Siedzieli ze swoimi protezami w dużym kręgu, na trawie, i strzegli jej walizek. Ich siostra, jej pacjenci - w ciągu ostatnich miesięcy rozwinęły się wzajemne powody do prawa posiadania, byli jedną dużą rodziną i jedynie wspólnie mogła wejść na pokład statku.

Po wykonaniu swego zadania sanitariusze zniknęli, zostawiając Annę na przepełnionym statku. Pięć pospiesznie zmobilizowanych z cywila kobiet, bez wykształcenia lub doświadczenia w pielęgniarstwie, musiało jej pomagać w opiece nad rannymi, leżącymi wokół bez jakiegokolwiek porządku. Kobietom tym przydzielono kitle i czepki; tylko z powodu ich płci przyjęto z góry, że posiadają wrodzony talent pielęgniarstwa. Ale szybko okazało się, że ich talenty ujawniały się w całkiem innych dziedzinach i że w specyficzny sposób rozumiały swoje obowiązki. Kiedy Anna potrzebowała ich przy rozdzielaniu kaczek, lekarstw albo jedzenia, po długich poszukiwaniach znajdowała je w ramionach żołnierzy. Przez całą wojnę były słomianymi wdowami, teraz nadrabiały straty pod opiekuńczym pretekstem podawania tym biedakom, którzy zostali zranieni w walce o ojczyznę, może nawet skazanym na śmierć, szczególnego bodźca - boskiego lekarstwa.

Zmuszona koniecznością Anna rozrywała się na sto sześćdziesiąt części - jedna zmieniała opatrunek, druga asystowała przy wypróżnianiu, trzecia mierzyła temperaturę - wszystko w przyspieszonym tempie niemego filmu. W nocy wszystkie te kawałki nie mogły się odnaleźć, kontynuowały swoje zwyczajne zajęcia. Po dwóch dniach Anna ledwo trzymała się na nogach, ze zmęczenia miała zaczerwienione oczy. Nikt tego nie zauważył, poza Herr Töpferem, wysokim oficerem SS z jej oddziału, który stracił nogę na froncie węgierskim. - Zaraz się pani przewróci - stwierdził, przyciskając ją do krzesła - niech pani usiądzie. Wsparty o kulę, spojrzał dookoła jak naczelny wódz i przemówił podniesionym głosem do swych oficerów: - Mam wam coś do zakomunikowania. Siostra Anna jest u kresu sił. Potrzebuje pilnie snu. Potrzebujemy kilku zdolnych do poruszania się ochotników, którzy przejmą jej obowiązki; ona ma listę i może wam powiedzieć, gdzie ci ludzie leżą - to tylko

¹ (łac.) - *Msza Solelna*, tytuł wielu kompozycji religijnych różnych kompozytorów.

kwestia organizacji. - Kiwnęli potakująco głową. - Po drugie - kontynuował Töpfer - w mojej kabynie jest wolne łóżko. Chcę je zaproponować siostrze Annie. Jeśli któryś z was ma jakieś brudne myśli, to niech to powie od razu. Biada temu, od kogo usłyszę to dopiero jutro rano, zastrzeżę go. Zrozumiano?

Zaprowadził ją do kabiny i czule przykrył. Anna natychmiast zasnęła; gdy się obudziła, troskliwy Töpfer leżał obok niej. Skulił się na skraju i nawet we śnie trzymał się brzegu łóżka, by nie przeturlać się do niej. Swoje łóżko odstąpił umierającemu, który charcząc wypowiadał niezrozumiałe przekleństwa.

Następnego wieczora przybili do Linzu. Przed nimi stało w deszczu, jak twierdza nie do zdobycia, seminarium duchowne, potężny, ciemny budynek, który miał zostać zamieniony na doraźny lazaret. Kiedy Herr Töpfer, wspierany przez Annę, przykuśtykał i głośno zawołał, drzwi otworzyły się na szerokość szpary. Pojawił się w nich gruby, zaspany mężczyzna w jedwabnej piżamie i narzuconej na nią bluzie od munduru i spoglądał na nich z niechęcią. Ach tak, statek z rannymi... podrapał się po głowie... ale czy oni nie mieli przejść najpierw odwyszawiania? - *Verdammtes Schwein* - krzyknął Töpfer, wyprowadzony z równowagi tak wielką głupotą i niekompetencją - mam nadzieję, że nie masz wszy, bo my ich w każdym razie nie mamy, byliśmy w porządnym lazarecie. Jak nam w tej chwili nie dasz łóżek...! - Drżąc mężczyzna otworzył podwójne drzwi.

Wewnątrz wszystko już było przygotowane; w dawnych klasach, dużych, gołych salach, stały drewniane prycze z siennikami. Ranni znowu mieli łóżka. Zaraz po rozładowaniu statek odpłynął, zabierając nasycone w nadgodzinach pomocnicze pielęgniarki, które zostawiły Annę jako siostrę przełożoną rannych. Wszyscy próbowali zasnąć, ona też, na dużym stole pośrodku sali, z głową na skrzyżowanych rękach. W środku nocy Töpfer obudził się. - Co pani tutaj robi? Może nas pani spokojnie zostawić, wszyscy śpią! Niech pani idzie do łóżka! - A gdzież jest to moje łóżko... - ziewnęła Anna. Co? Jego przykrycia poszły w ruch, chwycił swą kulę i wykuśtykał oburzony z sali. Jedwabna piżama został wyrwany rykiem ze snu: - Jeżeli pan natychmiast...! - Tak, tak... - wołał nerwowo. Znalazł gdzieś dla Anny łóżko, było jeszcze ciepłe, gdyż ktoś je musiał dla niej zwolnić, ale Anny nie zajmowały już kwestie sumienia.

Obydwie zdecydowały się na pstrąga - lekkostrawny - z ziemniakami z wody. Lotcie skojarzyło się to z pieśnią Schuberta *Die Forelle*, której się kiedyś nauczyła, i jej przykrym

końcem: ...*das Fischlein zappelt dran...*¹ Obraz bezsilnej, rzucającej się na haczyku ryby, mającej jedynie tułów i głowę, kojarzył się jej z okaleczonymi z wiedeńskiego lazaretu. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałam - powiedziała - że ktoś może stracić wszystkie kończyny... okropne...

Anna odłożyła widelec. - To byli młodzi mężczyźni. Często zadawałam sobie pytanie, co się z nimi potem stało. W żadnej gazecie, czasopiśmie czy książce nie przeczytałam o nich ani słowa. Przecież oni jeszcze żyli! Co było z nimi dalej?

Jadły w milczeniu dalej, rozmyślając każda na swój użytek.

- Te listy od twego męża, z Polski, z Rosji, z Normandii... - zauważyła Lotta - czy rzeczywiście zostały spalone?

Anna aż podskoczyła. - Do tej pory pukam się w czoło... teraz byłyby wspaniałą pamiątką, dokumentem. Niestety, mój teść zrobił grzecznie to, o co go prosiłam, i wszystko spalił. To przez propagandę: jak przyjdą Rosjanie, to zabiorą wszystko, co będzie im się mogło przydać. Jeśli wpadną w ich ręce listy, myślałam sobie, z których większość napisana została w Rosji, na pewno się nimi bardzo zainteresują i wydrukują w swojej komunistycznej gazecie. Tak wtedy myśleliśmy.

Lotta uśmiechnęła się protekcyjnie: - Jakby się tym interesowali! Życie żołnierza nie znaczyło nic dla Rosjan... życie człowieka za Stalina w ogóle nie było nic warte...

- Poddawano nas praniu mózgow! Tak było jeszcze do końca wojny. „Führer nie może przecież pozwolić...” powiedziałam wtedy do *Gauleitera*. Wyobraź to sobie! Ja na prawdę tak myślałam. Choć nigdy nie byłam jego ślepą zwolenniczką i jak każdy inny wiedziałam, że nie mógł wygrać tej wojny, to byłam jednak ciągle tak łatwowierna. Nie mogłam sobie po prostu wyobrazić, że niewinni mogą być skazywani na śmierć i torturowani. I to pod koniec 1944! Mój Boże, jakaż ja byłam naiwna...

Z czystej złości zapomniała o jedzeniu, jej pstrąg już prawie ostygł.

Było to już drugie ateistyczno-żydowskie Boże Narodzenie, jakie wspólnie obchodzili. Wszyscy wychudli, *Eintopf* z garkuchni był już tak rzadki, że mogli go pić. Ojciec Lotty, który lekarzowi, sprzedawcy spirytualiów i zaprzyjaźnionym rolnikom, potajemnie dostarczał energii elektrycznej, przyszedł do domu z nieprzyzwoicie dużą sztuką mięsa wieprzowego i butelką jałowcówki. Jego żona zniknęła z tym w kuchni i skrapiała mięso duszące się w rondlu; Lotta wyjęła zastawę z kredensu. Pani Meyer, zaalarmowana niezwyčajnym zapachem pieczeni wieprzowej z mielonymi goździkami, zeszła na dół. - Ech... nie wolno

¹ (niem.) - rybka się miota

nam tego jeść - stwierdziła, spoglądając ponuro do garnka. - Kim jesteś kochana - zapytała rzeczowo kucharka. - Martwą ortodoksyjną Żydówką czy pełną życia grzesznicą? - Pani Meyer skapitulowała, nie mogła stawić czoła takiej dozie zdrowego oportunisty.

Stół był nakryty, świece zapalone i wszyscy zasiadali do stołu. Jeszcze tylko Lotta i Ernst byli w kuchni, by obrać ze skórek drugą porcję ziemniaków w mundurkach, gdy usłyszeli w oddali warkot szybko zbliżającego się samolotu. Zastygli w bezruchu z nożykami do obierania ziemniaków w rękach. Głośny huk, jakby piorun strzelił, i grunt pod ich nogami i szyby w oknach zdrząły. Fala powietrza odrzuciła ich na podłogę, między toczące się ziemniaki. - Umieramy! - zabrzmiał przeraźliwie głos pani Meyer. Całe towarzystwo uciekło z jadalni, z łatwą do zniszczenia werandą, do kuchni w głębi domu. Tam przykucnęli na ziemi - pani Meyer, w nadziei, że młodość jest nieśmiertelna, objęła siedzącą prosto, nieustraszoną Eefje. Wtedy nastąpiła absurdalna cisza i jedno po drugim zaczęli z niedowierzaniem wstawać. W jadalni zastali Sarę Frinkel, która tymczasem z apetytem kontynuowała sama zrujnowaną ucztę świąteczną. „Nie chcę, by mi ostygły ziemniaki” - dała to do zrozumienia gestem, z pełnymi ustami. Wyleciały wszystkie szyby z okien, szkło wisiało na firanach jak drobne koronki.

Sara wskazała kawałkiem mięsa na widelcu w kierunku pastwiska: - Widziałam olbrzymi słup ognia... - Słysząc było jakby odgłos spadającego samolotu - powiedział Bram. - Jeżeli wyskoczył z niego pilot... to możemy się spodziewać dużej akcji poszukiwawczej... - zauważył Ernst Goudriaan, z coraz większą paniką w oczach. Ciągle jeszcze trzymał w ręku nożyk do obierania ziemniaków, jakby sądził, że może się nim bronić. Przestraszony rozejrzał się po pokoju: - Żydzi... Żydzi muszą na górę...! - Co ma znaczyć „Żydzi” - zawołała urażona Sammy Goldschmidt - od tego się wszystko zaczęło... że wrzucili nas wszystkich do jednego worka! - Masz rację, masz rację... - Ernst podniósł ręce z poczuciem winy - ale w takim razie, jak miałem powiedzieć...? - Ukrywający się - odrzekła z godnością Sara - przecież sam też jesteś ukrywającym się?

Kiedy na górze trwało wielkie znikanie za lustrem - kto przykrył się lustrzanym odbiciem, stawał się niewidoczny, przestawał istnieć - ojciec Lotty poszedł zbadać sytuację; z racji pełnionej przez siebie funkcji, mógł opuszczać dom, nawet po godzinie policyjnej. Jako pierwsze zauważył zniknięcie drzwi wejściowych; odnalazł je nieuszkodzone na polu. Na wypadek przeszukania domu, pozostali członkowie rodziny musieli robić wrażenie, jakby normalnie świętowali Boże Narodzenie. Talerze ukrywających się uprzątnięto. Przygnębiona rodzina siedziała przy wystygłej kalarepie, świece migotały i kapały w przeciagu. Ostry wiatr wiał przez zasłony, co jakiś czas spadał na ziemię kawałek szkła. Siedzieli wokół stołu jak

aktorzy, czekający na podniesienie kurtyny. Lottę uderzyło, że po raz pierwszy od dłuższego czasu byli sami - zdawać by się mogło, że zapomnieli już, jak należy się zachowywać w takiej sytuacji. Ukradkiem przyglądała się matce. Była jeszcze ciągle duszą całości. Siedziała wyprostowana... wciąż jeszcze z podniesioną głową stawia czoła wilkowi i chroni swe szczenięta przed jego paszczą... Jednak kasztanowy blask zniknął z jej wysoko upiętych włosów, nawet szylkretowy grzebyk stał się matowy. Kiedyś, w czasie wojny, zyskała pierwsze siwe włosy, a jej niespożyta energia zaczęła się zatracać. Silny poryw wiatru zdmuchnął wszystkie świece: drzwi otworzyły się, ojciec wszedł do środka. - Mogą znowu zejść na dół – powiedział - to była tylko bomba. A gdzie jałowcówka? Po tym, jak wychylił kieliszek jednym haustem, opowiedział, że jakaś zbłąkana bomba wybiła głęboki krater w gazonie sąsiedniego pałacyku. Klasycystyczny portal budynku z osiemnastego wieku został wraz z kolumnami wepchnięty do salonu; pani domu, która stanęła przy oknie, by sprawdzić, skąd dochodzi hałas, została odwieziona krzycząc, z oczami pełnymi odłamków szkła.

Życie zredukowało się do próby przeżycia - atmosfera podczas coraz częstszych wypadów w poszukiwaniu żywności stawała się coraz bardziej demoniczna. Jak domokrażcy - z pościelą, pierścionkami, sznurami pereł, zegarkami i broszami - Lotta i Jet albo Marie i Lotta, obiegiły całą górną część Holandii Północnej, od zagrody do zagrody, i najczęściej kręciło im się już w głowie z głodu. Na którymś z płotów wisiała tabliczka: „Nie dajemy wody”. Poszczuto je psem. Gdzieś młócono zboże - nieproszeni widzowie czekali cierpliwie, póki kilka ziarenek nie spadnie obok. Zacinający wiatr polarny hulał po zamrzniętych polach, w rowach i kanałach trzeszczał lód. W okolicy tamy Afsluitdijk prowadziła droga wzdłuż stanowiska Niemców. Aby olśnić przechodzące obok nich hordy wygłodniałych biedaków obietnicą lepszego świata, świata zbytku, żołnierze wystawili na dwór stół i usadowili się demonstracyjnie przed parującymi talerzami, z wypełnionymi czubem *Eintopfem* i kielbasą - z obżarstwa guziki odpadały im od mundurów. Lotta przyglądała się temu przedstawieniu z suchymi ustami. Za pomocą skomplikowanych manewrów umysłu zamieniła pałające w niej uczucie nienawiści w pogardę, która z pustym żołądkiem była łatwiejsza do zniesienia.

Bywali też litościwi gospodarze, co dawali przechodzącym coś do zjedzenia i picia i kładli dla nich w stodole sienniki. W nocy najbardziej cyniczni spryciarze pozostawiali czujni, by rabować swych towarzyszy doli i niedoli; Lotta zazwyczaj zawijała klejnoty w sweter, którego używała jako poduszki. Kiedy pożegnały się już z wszelką nadzieją i udawały się z powrotem do domu, jakaś chłopka z Beemster napełniła ich torby ziemniakami i odmówiła przyjęcia czegokolwiek w zamian. Wrócić do domu z pełnymi torbami było jedynym

triumfem na ziemi, jaki można było jeszcze osiągnąć. W Amsterdamie wsiadły na prom przez Ij; nad wodą wisiała gęsta, zimna i wilgotna mgła. Nagle pojawiali się ludzie z WA i wzięli się za przeszukiwanie toreb pasażerów. Jet i Lotta poniżyły się - razem z kartoflami odebrano by im też dusze. Przy barierce stał około ośmioletni chłopczyk, zniszczone spodnie wisiały mu na nogach, ostra, dorosła twarz pod czapką wyrażała rezygnację. Miał przy sobie wózek, jego zawartość przykryta była płótnem żaglowym; mimo to czekająca go kontrola zdawała się pozostawiać go niewzruszonym. Patrzył w mgłę nad Ij, z której wydobyły się skrzeczące mewy i nawet kiedy stanęli obok niego dwaj mundurowi, nie widział powodu, by sobie przerywać. - Młody człowieku - powiedział ironicznie jeden z nich - byłbyś tak uprzejmy podnieść tę płachtę? Chcielibyśmy zobaczyć, co tam załadowałeś. - Chłopiec patrzył się obojętnie przed siebie i nie ruszał się. - On chyba jest głuchy. - Zaczęli się niecierpliwic. - Podnieś płachtę! - Złość ścisnęła Lottę za gardło. To przecież dziecko, zostawcie je w spokoju, zawołałaby najchętniej, ale myśl o kartoflach sparaliżowała jej język. - No już, rób, co do ciebie mówię łobuzie jeden! - Chłopiec pochylił się sztywno do przodu, z postrzępionego rękawa wyłonił się cieniutki przegub ręki, gdy uchwycił koniuszek płótna i uroczyście je odrzucił. Pod nim leżał martwy mężczyzna z podwiniętymi wysoko nogami - wyniszczony, z głębokim oczodołami i mocno odstającymi od jego kościstej głowy uszami. Ciało było w osobliwy sposób zgięte, jakby w połowie zostało złamane. - Kto to jest...? - zapytał kontroler, na próżno starając się, by jego pytanie zabrzmiało jak rozkaz. - Mój ojciec - odpowiedział bezdźwięcznie chłopiec. Zaciągnął z powrotem płótno i znów wpatrywał się dal. Strzępy *Der Erlkönig*¹ przemknęły Lotcie przez głowę. Chłopczyk ucieleśniał odwrócony obraz: *...es ist das Kind mit seinem Vater... in seinen Armen der Vater war tot...*²

Tydzień później zaczął padać śnieg. Nędza ukryła się pod dziewiczą bielą, dzięki śniegowi okupowana Północ zdawała się z lotu ptaka tworzyć jedność z wolnym Południem. Opalana wilgotnym chrustem żelazna koza w warsztacie dawała więcej czarnego dymu niż ciepła. Ernst z wyteżeniem spoglądał przez zakopcone okulary i próbował swymi zdrętwiałymi palcami zapanować nad heblem. - A pomyśleć tylko, że w domu, w Utrechcie, mam jeszcze kilka worków antracytu - gderał. Lotta zaproponowała, że je przywiezie; przekonany o jej niespożytej sile, przystał na propozycję. Wyruszyła, pchając rower, torowała sobie drogę przez śnieg; co jakiś czas robiła przerwę, by posilić się buraczanym *Eintopfem*, który matka przyszykowała jej w garnuszku na drogę. Od czasu do czasu sypnęło śniegiem. Posuwała się wolno do przodu, małe płatki kłuły jej twarz. Zgięta do przodu, pchała ciężki

¹ (niem.) - *Król Olch*, ballada Johanna Wolfganga Goethego

² (niem.) - parafraza Goethego - syn w swych ramionach skrył martwego ojca

rower, a wszystkie jej myśli nakierowane były na jeden punkt na horyzoncie, gdzie promieniście zabłysnął antracyt i już teraz rozgrzewał jej ducha. Wokół niej panowała biała pustka, absolutne osamotnienie. Jej ręce i stopy były zimne; z obu tych końców zimno zaczęło przenikać do wnętrza i zamieniało się tam w przyjemną ospałość. Nie miała pojęcia, jak długo była już w drodze i jak daleko musi jeszcze iść. Całe wycucie czasu rozplynęło się w abstrakcji wszechobecnej bieli - ogarnęło ją miłe uczucie spokoju. Grudy śniegu przykleiły się do butów; poprzez delikatną siatkę kryształków, które osadziły się na jej rzęsach, odcinały się od zaśnieżonej lodowej powierzchni niewyraźne kontury masywnego, kanciastego fortu. Z drzewa z białymi gałęziami jak na negatywie fotografii wypływała nieodparta pokusa: na chwilę odpocząć. Oparła rower o pień i osunęła się na śnieg, miękkie posłanie pod nią i po chwili także na niej. Żadnej ze swych myśli już nie dokończyła - jak białe motyle trzepotały one przez jej zanikającą świadomość. Wszystkie sprzeczności i gwałtowności rozpuściły się w watowatej nicości i przypomniała sobie niewyraźnie podobne uczucie z dawnych czasów, gdy załamał się pod nią lód i kilka sekund stało się wiecznością. Zapomniała, że ma ciało. Odgłos opadającego śniegu... to była jej ostatnia myśl, zanim zapadła się w bezlitosną, cudowną niepamięć.

- Chodź... jeśli będziesz tam dalej leżeć, umrzesz... - Ktoś szarpnął ją brutalnie za ramię i przywołał z powrotem do rzeczywistości. Śnieg ześlizgnął się z niej, była zbyt daleko, by się bronić. Ktoś wcisnął jej rower w ręce: - Pójdę z tobą... - Poruszała się jak nakręcana lalka, obok niej szedł mężczyzna w długim, czarnym płaszczu i zaśnieżonym kapeluszu. Oddychał ciężko - był to jedyny odgłos, jaki dał się słyszeć w czasie przedzierania się. Nie pytał o nic i nie opowiadał o niczym, ograniczył się jedynie do zachęcania jej, kiedy zwalniała: - Idziemy dalej... - Miała wrażenie, że stoi u progu ważnego wspomnienia, które nie mogło się przebić przez mur jej apatii. Było już ciemno, gdy dotarli do miasta i wlekli się do centrum przez puste ulice. Na targu rybnym pożegnał się nagle ukłonem kapeluszem, z którego spadły małe grudki śniegu... znów zdawało się, że jakiś cień wspomnienia przemknął przez nią, podczas gdy mężczyznę pochłonęła ciemność.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ten mężczyzna, za którym wiodła wzrokiem, uratował jej życie. Zjawił się z nicości jak *deus ex machina* - i jak gdyby był tylko halucynacją, wyparował na powrót w powietrzu. Śnieg już nie prószył. Miasto było opustoszałe, z wyjątkiem kilku zmarłych, którzy pod osłoną muru leżeli w śniegu. Głód wywarł wyraźne piętno na ich twarzach. Zdumiona właścicielka wpuściła ją do środka. Pokój Ernsta był nienaruszony, jego dobytek - głównie książki o lutnictwie i zdjęcia rodzinne, które oglądała, rozgrzewając się powoli - czekały spokojnie jego powrotu. Jedyne, czego brakowało

z jego rzeczy, to antracyt. Gospodyni, która sprzątała pokój, zdradziła się przez przesadne wypieranie się. Antracyt? Nie, gdyby tu był gdzieś antracyt, to musiałyby przecież o tym wiedzieć. Lotta nie mogła niczego udowodnić; zjadła ostatnie resztki buraczanego *Eintopfu* i wczłogała się do wąskiego, ciasnego łóżka.

10.

Oeufi-en-neige to poetycka nazwa deseru, który w czasie wojny był środkiem zwalczania głodu... powietrzem. W tym czasie Lotta nabawiła się bezwładem przegubu ręki, gdy dwoma białkami dokonywała cudu nieskończonego powiększania się piany.

- Robiłam to dla dzieci w czasie głodowej zimy - mówiła Lotta, zjadając jedną z wysepek z sosu waniliowego - by przepędzić z ich żołądków uczucie pustki.

Anna westchnęła. - Nie wiedziałam, że cierpiełicie tak straszny głód.

- Była to lepsza broń niż V-1 - powiedziała uszczypliwie Lotta.

Anna zmieniła umiejętnie temat. - To, że prawie zamarzałaś... to uczucie zupełnej samotności wśród natury, w zasadzie obojętnej, znam i ja... i to pragnienie śmierci, które wtedy dopada człowieka... w związku z wojną...

W dzień po przybyciu do seminarium duchownego, dotarli tam też lekarze i pielęgniarki i całość mogła zacząć normalnie funkcjonować. Herr Töpfer, już w fazie rehabilitacji, poprosił oficjalnie o pozwolenie, by siostra Anna mogła towarzyszyć mu w ćwiczeniu chodzenia w ogrodzie. Krok po kroku szli w mizernym słońcu pomiędzy śnieżyczkami i kwitnącymi krzewami leszczyny. Spoczęli na omszałej ławeczce. - Siostrze, z nami już koniec - stwierdził bezwzględnie Töpfer. - Do tej pory wahadło wychylało się troszeczkę w jedną i w drugą stronę, na wschód, na zachód, ale teraz stoi po środku - nadchodzą ze wszystkich stron i rozetrą nas na miazgę. - Ale mamy przecież V-2... - podała Anna pod rozwagę. - Chyba siostra nie bierze tego na poważnie. Nie, to już koniec. Moi rodzice, żona, dzieci - wszyscy mają nadzieję na mój powrót, ale jeśli przyjdą Rosjanie, to wystrzelają wszystkich esesmanów. - Anna kiwnęła odruchowo głową - okrucieństwo Rosjan było przysłowiowe. Mężczyźni z SS byli i bez munduru łatwi do rozpoznania, ponieważ mieli na ciele wytatuowaną grupę krwi. Rozejrzała się dookoła, wkrótce rosyjskie żołnierskie buty

zadepczą śnieżyczkę. Po raz pierwszy odczuła lęk na myśl o końcu wojny, lęk nie o siebie, lecz o rannych, którym starała się pomóc przezwyciężyć chorobę i dla których poświęcała nocny spoczynek. - Ach siostró... - posępny Töpfer dotknął jej brody i spojrzał na nią smutno: - Mieliliśmy tak piękne sny...

Uczucie nadciągającego nieszczęścia już jej nie opuszczało, ciężko było wyczekiwać w spokoju, a jednak nie czekać. Tym bardziej dotyczyło to młodego żołnierza z pistoletem. Anna miała go na oku i szukała okazji, by mu podstępnie odebrać broń. Od czasu do czasu siadała na brzegu łóżka i przysłuchiwała się jego gorączkowym planom - zupełnie nie potrafił pogodzić się z fiaskiem swoich ideałów. Był jeszcze w nielegalnej *Hitlerjugend* i stracił oko w bójkę ulicznej z młodymi komunistami. Entuzjazm pomógł mu zostać oficerem Wehrmachtu i, choć leżał w lazarecie ze zgruchotanym kolaniem, na myśl mu nie przyszła kapitulacja! Którejś nocy, kiedy spał, Anna wyciągnęła ostrożnie pistolet spod jego poduszki i wrzuciła go z ulgą do Dunaju. Następnego dnia usiadła przy nim z niewinną miną. Chwył jej rękę, jego oczy iskrzyły się. - Siostró, niech się pani przyłączy do Werwolfu! - zaproponował jej spiskowym tonem. Pokręciła głową. Wzbudził w niej litość, swymi naiwnymi fantazjami o akcji grupy desperatów, którzy rzekomo wycofali się w Alpy, by walczyć tam do ostatniej kropli krwi. - *Junge, du spinnst*¹, to już koniec - powiedziała cicho. - Jeśli okaże się, że ma pani rację, strzelę sobie w łeb - zawołał dumnie. - Żywego mnie nie dostaną! Aby zademonstrować, że mówi serio, sięgnął pod poduszkę. Pustka, na jaką tam natrafił, doprowadziła go do szaleństwa - gdzie był ten złodziej, który ukradł mu prawo do decydowania o własnym życiu! Wykulał się z łóżka i z rozpaloną głową i zaciśniętymi pięściami kuśtykał przez salę chorych, ciągnąc za sobą nogę ze zmiażdżonym kolaniem. Anna zaszła mu drogę: - Przestań krzyczeć! Pistolet leży na dnie Dunaju. Ja go zabrałam, nikt inny. Pańscy rodzice mnie o to prosili, obiecałam im to! - Oszołomiony przyglądał się jej swym jednym okiem, zastygł z zaciśniętymi pięściami, nie mogła dłużej patrzeć na z drzeniem wstrzymywane napięcie w jego ciele - wtedy wybuchł płaczem, jego wojowniczość załamała się, skurczył się, jak by otrzymał lanie - wsparty o nią dał się posłusznie odprowadzić z powrotem do łóżka.

Tymczasem wydarzenia wojenne zaczęły następować coraz szybciej po sobie. Front oddalony był od Linzu o jedyne dwadzieścia pięć kilometrów, dla pacjentów, mogących się w jakimś stopniu przemieszczać lub będących w stanie umożliwiającym ich przewiezienie, zaimprovizowano nocny transport do Niemiec. Zameldowali się wszyscy, z wyjątkiem

¹ (niem.) - Bredzisz chłopcze.

dwunastu z ciężkimi obrażeniami pleców, którzy mogli leżeć tylko na brzuchu. Anna otrzymała polecenie czuwania przy nich tej nocy. Głęboko poruszona pożegnała się ze swoimi starymi podopiecznymi z Wiednia. - Niech pani otworzy tę skrzynię - rozkazał Herr Töpfer, wskazując kula. Anna zabrała się za otwarcie zamka, na wierzchu znalazła paczuszkę. - Proszę ją wyjąć i na powrót zamknąć skrzynię. - Skrupulatnie wykonała jego polecenie. Jej serce mocno biło, miała wrażenie jakby cały ten czas czuwał nad nią, a teraz odchodził. - Proszę iść ze mną - kiwnął na nią ręką. W niszy długiego, zimnego korytarza otworzył paczuszkę. Jego ręce drżały: - Proszę mnie uważnie wysłuchać, damę to pani, to czekolada, którą przechowywałem dla mojej żony, ale zdaje mi się, że pani się ona teraz bardziej przyda. My wszyscy wyruszamy stąd, w nocy będzie pani zupełnie sama, proszę zjeść tę czekoladę, przyda się pani.

Miał rację. Tej nocy, kiedy seminarium duchowne bezszelestnie opustoszało, Anna siedziała przy świetle świec przy dwunastu rannych, których rozpoznawała nie po twarzach, lecz po ich ranach. Wykonała ostatni rozkaz Töpfera: zjadła się jego czekoladą aż do obłędu, by nie doszło do jej świadomości, że wszyscy uciekli. Nad ranem wybudziła się z uśpienia. Chwiejąc się ze zmęczenia, opuściła salę chorych, zrobiło się jej niedobrze. Seminarium duchowne było tak samo wymarłe jak w noc ich przybycia: lekarze zniknęli, pielęgniarki z opatrunkami i lekami, nawet stróż w swej jedwabnej piżamie opuścił tonący statek. We wszystkich pomieszczeniach zapanowała uroczysta, wręcz bogobojna cisza - czy była to cisza poprzedzająca ostateczną rzeź, tak jak ciężka, napięta cisza przed porywistym wichrem, zapowiadającym burzę? Co robiła w tym miejscu zapomnianym przez Boga, daleko od domu? Daleko od domu? Nie miała domu, nie było miejsca, za którym by tęskniła, żadnego ogniska domowego, żadnego sadu z jabłoniemi... nikogo, kto by jej z utęsknieniem wyczekiwał. Słyszała echo swoich kroków na kamiennej posadzce, jak gdyby ściagała samą siebie. Każda pusta sala, do której wkraczała, podkreślała jej osamotnienie... dom z pustymi pokojami ze snu, jedno puste pomieszczenie przechodziło w kolejne puste pomieszczenie... - Siostró... - jęczenie pacjentów, zdanych na nią jak śmiertelnie chore niemowlęta, pchnęło ją z powrotem do sali chorych. Ale nie mogła ani uśmierzyć ich bólu, ani wyczyścić ich ran - nie miała do dyspozycji niczego prócz świstków papieru do starcia ropy, podczas gdy uspokajała ich czczymi słowami. Myśli, idee, wrażenia przechodziły przez nią, nie dotykając innej struny uczuciowej niż posępna cierpliwość. Dzień przewlókł się przez nią, stopniowo przechodząc w wieczór, ale nie nadchodził nikt, by ją zmienić. Czy zapomniano o nich, nie występowali w żadnym planie, schemacie, zostali już skreśleni? Od tygodnia nie było prądu i pomagali sobie świeczkami - ale także je zabrali ze sobą. Pozostała w ciemności na swoim posterunku,

można było pomyśleć, że wszyscy już zmarli. Chociaż było ich trzynaścioro, to każdy walczył w pojedynkę, na swój sposób, ze zwątpieniem. Było jasne, że osiągnęła koniec tułaczki, był to punkt, do którego zmierzały wszystkie linie. Jej bańka mydlana pękła i pozostawiła pustkę, a w niej wisiał jedynie odór umierających żołnierzy.

Ale nie była sama, wyłonił się z dawna znany kompan, jemu mogła zaufać, od niego wypływała pokusa, dokładnie dostosowana do okoliczności. Nie naprzykrzał się jej wątpliwymi strategiami życiowymi, śmiał się z tego całego bezsensownego dążenia, nie pytał o nic i nie żądał niczego... domagał się tylko jednego: by się mu nie przeciwstawiała. Bez oglądania się za siebie opuściła salę chorych i zabrała walizkę, wypełnioną ubrankami dla dziecka. Wyszła na dwór jak zahipnotyzowana, skierowała się w dół, do rzeki. Dunaj był czarny; wahała się: jeśli zbliży się do wody od strony brzegu, to nie będzie mogła się opanować i popłynie. Weszła na barokowy most i stanęła pośrodku. Obiecałam ci, że tego nie zrobię, mruzczała, wybacz mi. Słowa zniknęły w szmerze deszczu. Tu był most, a pod nim woda i zawarta w niej obietnica spokoju. Podniosła walizkę i położyła na kamiennej poręczy mostu, sięgającej jej ramion, i spróbowała się podciągnąć. Ale omszały, kamienny brzeg, mokry i śliski, nie dawał jej oparcia, nagle zabrakło jej sił w ramionach, od dawna już zahartowanych. Spróbowała raz jeszcze, i jeszcze raz... wspięła się odrobinę i ześlizgiwała się z powrotem... Nie mogła się pogodzić z tym, że się jej to nie udaje... że w sprawie życia i śmierci na drodze stanąć może coś tak banalnego jak poręcz mostu. Wściekła schwyła walizkę i cisnęła ją w dół. To, co potrafiła zrobić walizka, potrafi i ona. Ale poręcz była wszędzie równie wysoka i śliska. Tam w górze wyśmiewano się z jej komicznych prób: że też Anna, zawsze taka rezolutna i skuteczna, za własne samobójstwo zabierała się w sposób tak żałośnie nieporadny!

Poddała się i zeszła z mostu, wchodząc z boczem pod górę, udała się z powrotem do seminarium. Już po wszystkim, zostawiła swoje życie, wrzuciła do Dunaju, odpływało w walizce - ocalało jedynie ciało, nie pozostało jej nic innego, jak wziąć się za wypełnianie powierzonych zadań. Poszła z powrotem do sali i zrezygnowana wyczekiwała nadejścia końca oczekiwania. Ale gdy tylko deszcz w końcu ustał, obojętnie wyglądała przez okno i spostrzegła, nie zauważając tego świadomie, że niebo się powoli rozchmurzało. Straciła poczucie czasu. W którymś momencie tej niekończącej się nocy ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Zaspana poczłapała na korytarz. Wyglądało na to, że komuś się spieszy, drzwi otwarto z trzaskiem. - Gdzie lazaret? - wołali niecierpliwi sanitariusze SS. - Jaki lazaret - odrzekła Anna. - Przecież powinien tu być lazaret! - Nie wiem, czy to jeszcze jest lazaret... - powiedziała z wahaniem - miałam być zmieniona, ale nikt nie przyszedł... - Nie mieli czasu jej

słuchać, front był już blisko, musieli wyładować i wracać z powrotem. W wielkim pośpiechu poukładano rannych po obu stronach korytarza; nosze zabrali ze sobą dla następnych ofiar, również koce. Nim się obejrzała, sanitariuszy już nie było, bez wytchnienia biegała tu i tam między rzędami - pewnie setką - ciężko rannych. Chłopcy, którzy jeszcze przed kilkoma godzinami brali udział w walce, leżeli nago na szachowym motywie kamiennej posadzki, zredukowani do kartki, na której napisano, co im zoperowano. Przez wysokie gotyckie okna wpadało światło księżyca na nieprzytomne ciała, żałośnie młode. Romantyczny księżyc, patron zakochanych oświeślał w perwersyjnej estetyce nagie ciała. Anna chodziła strapiona od jednego do drugiego, nie mogła uczynić nic więcej jak być świadkiem ich śmierci. Z każdym umierającym żołnierzem jej odraza do zjawiska wojny stawała się większa - a więc to tak; wszystko, co do tej pory przeżyła, było jedynie przygrywką. To właśnie - cała troska, pieczołowitość i poświęcenie anonimowych matek, wszystkie marzenia i nadzieje, wszystko zostało zniweczone przez głupią, przedwczesną śmierć... syn, narzeczony, ojciec - nic więcej niż nagi, przemrożony, zbędny przedmiot, nazwisko na kartce.

Jeden z żołnierzy odzyskał przytomność. - Siostró... - wyrzucił. Anna pochyliła się nad nim. Dotknął jej ramienia, jego oczy błyszcząły. - *Schwester, wir schaffen es doch!*¹ - *Ja, mein Junge* - kiwnęła głową Anna. Chciał jeszcze coś powiedzieć, zachwycony otworzył usta, ale w tej samej chwili w jego ciele wydarzyło się coś niewidzialnego. To niewypowiedziane zamarło na ustach, ciało zeszytniało - zastygnięty wyraz upartego zachwytu był tak nieznośny, że szybko przymknęła mu powieki.

A potem nastał dzień, zmarli byli szarzy w bladym świetle poranka. Znów otworzyły się drzwi, lekarze i sanitariusze wpadli do środka. Rozejrzeli się pospiesznie dookoła, zdawali się nie dziwić tym widokiem, jedynie obecnością Anny, której przyglądali się jak zjawie. - Co pani tu robi...? - zawołał jeden z lekarzy, zdumiony przeciągając ręką po rudawym wąsie. - Oszalała pani, Rosjanie mogą tu być w każdej chwili! - No i...? - odparła obojętnie.

Dzień później roilo się od pracowitych sióstr Czerwonego Krzyża. Anna nie wiedziała, skąd przybyły, już dawno dała sobie spokój z chęcią rozumienia czegokolwiek. Nagle była znów mowa o organizacji, każdy wypełniał swoje obowiązki - ale ona już w to nie wierzyła, nie było bowiem niczym więcej jak przykrywką dla chaosu, który w każdej chwili mógł zdobyć ponownie przewagę. I znów obradowano. Sztab zwołał wszystkich lekarzy, sanitariuszy i siostry, by mogli się zapoznać z rozporządzeniem *Gauleitera*. - *Der Gau Oberdonau* nie poddaje się - obwieszczał - pozostajemy na swych placówkach, cokolwiek by

¹ (niem.) - Siostró, a jednak nam się uda!

się wydarzyło. Także siostry. Nie mają żadnych powodów do obaw przed Rosjanami, wasze bezpieczeństwo w tym lazarecie jest zagwarantowane. - Anna, stojąca pośrodku grupy sióstr, przyjęła jego słowa sceptycznie, wystąpiła o krok do przodu i zawołała: - Ale swoje własne żony i córki już powysyłaliście, co? Pozostałe siostry wciągnęły ją odruchowo z powrotem do grupy, tak że stała się jedną pośród wielu. - Która to? - zapytał ostro *Gauleiter*. Dał za zadanie swojemu adiutantowi, by się tego dowiedział; wszystkie siostry po kolei pytano, która wykrzyczała te słowa, żadna nie odpowiedziała - stanęły murem.

Po zebraniu lekarz z wąsikiem wziął Annę na bok. - Niech pani posłucha, siostró - powiedział poufnym tonem - mam tu czterech rannych, którzy mają tylko opatrzone ramiona i mogą jeszcze chodzić. Chciałbym dać pani i jeszcze dwóm innym siostrom rozkaz wymarszu do Monachium, byście im towarzyszyły. - Anna kiwnęła odruchowo głową. Oczywiście cały czas robiła to, co jej kazano, nawet jeśli było to coś tak przyjemnego, jak opuszczenie seminarium. - A tak przy okazji - podrapał się piórem za uchem - czy pani też wczoraj słyszała jak jedna z sióstr zawołała: „Ale swoje żony i córki już powysyłaliście?” - Spojrzał na nią przebiegłym, ale jednocześnie wiernym, psim spojrzeniem, że Anna wyznała tonem zawierającym przyznanie się: - Tak, słyszałam to. - Nagle stało się dla niej jasne, dlaczego wymyślił rozkaz wymarszu do Monachium. Ponieważ nie mogła mu otwarcie podziękować, dała mu do zrozumienia wzrokiem, że ona wie, że on wie, że ona wie.

- Zdaje mi się, jakby to wszystko zdarzyło się w poprzednim życiu... - zadumała się Anna.

Lotta wpatrywała się w nią. Po raz pierwszy miała wrażenie, że w twarzy naprzeciw niej widzi twarz młodej kobiety, jaką była zapewne Anna - w deszczu na kamiennym moście, na korytarzu z umierającymi żołnierzami. Poruszyło ją to bardziej, niż chciała sobie na to pozwolić. Wysiłając się, by głos jej zabrzmiał rzeczowo, zapytała: - Jak to możliwe, że zostawili tych wszystkich ciężko rannych?

- Musisz sobie wyobrazić: front jest bardzo blisko... - gestykulowała Anna - sanitariusze zabierają rannych z pola walki i zanoszą do szpitala polowego. Tam wykonywane są najpilniejsze zabiegi, coś tam skrobią na karteczce - to i to zostało zrobione - i wtedy ładują ich do samochodu i dają rozkaz: zawieźcie ich na tyły, do lazaretu. Tam ich wyładują i od razu muszą wracać z powrotem. To było SS, wszyscy walczący do ostatnich chwil należeli do Waffen-SS, najmłodszy, najzdrowsi mężczyźni. Tej nocy umierali jeden po drugim, na moich oczach. Nie było nikogo, kto mógłby im pomóc. Ten długi, straszny korytarz. Byłam sama i nie mogłam nic zrobić. Całymi latami dusiłam w sobie tę noc, nie mogłam o tym

mówić. Jest taka piosenka: *Eine Mondnacht im April*¹, od razu nasuwa mi się na myśl.

Siedem niepozornych figur szło z trudem naprzód, pod ciemnym niebem. Anna taszczyła swój dobytek w grubej, skórzanej walizce. Od czasu do czasu spali w szkole albo kościele - za okazaniem rozkazu wymarszu, mieszkańcy wsi zobowiązani byli do zapewnienia im jakiegoś schronienia. Jeden z żołnierzy odkrył gdzieś wózek, na którym mogli umieścić swój bagaż; szli powoli dalej, w dzień i w nocy, coraz dalej, dopóki nie doszli do węzła kolejowego. Przez bombardowania był on fachowo zamieniony w dogorywający krajobraz księżycowy, z którego kraterów wystawały błyszczące kawałki powyginanych szyn. Manewrowali między tym wszystkim wózkiem, koła trzeszczały niebezpiecznie. Wtem Anna zauważyła, że jej walizki nie ma na wózku. Pobiegła z powrotem, potknęła się utykając nogą w jakiejś jamie. Czy to była jej walizka, ten błyszczący przedmiot, pływający tam w jezioru krateru? Wyłowiła walizkę, teraz była na prawdę ciężka. Gdy położyła ją znowu na wózku, złamało się koło, zostawili więc wózek obok wywróconego wagonu.

Anna zatrzymała się, by wylać wodę z buta. Podeszwy miała całkowicie podziurawione, z każdym krokiem jej stopy chlupały w przemokniętej skórze. Jeden z żołnierzy dał jej zapasową parę żołnierskich butów i dla ochrony przed deszczem oddał swój hełm. Jeszcze ciągle niezadowolony wziął od niej w końcu, w swą zdrową rękę, walizkę, a ona niosła za to jego karabin. Z biegiem wieczoru przejaśniło się, księżyc wyglądał zza pędzących chmur na z trudem wlekące się towarzystwo podróżne. Dwóch wartowników wyłoniło się z nicości i zaszło im drogę. - *Mensch, Meier, kiek mal...*² - zawołał jeden z nich ze zdumieniem - ten żołnierz tutaj to przecież baba!

Rzeczywistość oznaczała jedynie konieczność stawiania jednej stopy przed drugą, każdy metr oznaczał jeden metr bliżej do Monachium, jeden metr dalej od Rosjan. Pewnego wieczoru, gdy każdy krok był dla nich o krok za wiele, ktoś zaprowadził ich do starego gimnazjum. Stały tam piętrowe prycze. Bezwolna ze zmęczenia Anna pozwoliła, by przydzielono jej miejsce do spania. Resztkami sił wdrapała się na górę - całkowicie wyczerpana, z hełmem na głowie, padła na pryczę jak długa. Tak. Ale drewniana konstrukcja łóżka nie była w stanie znieść takiego zmęczenia, zapadła się pod nią i wylądowała, razem z siennikiem i resztą, na sąsiedzie z dołu. Ten zepchnął z siebie ciężar nie budząc się; upadła na ziemię i od razu zasnęła. Wczesnym rankiem otworzyła jedno oko - karzełkowaty staruszek z pomarszczoną twarzą, nad wąską, zapadniętą klatką piersiową, spoglądał na nią zszokowany

¹ (niem.) - Księżycowa noc kwietniowa

² (niem.) - Meier, spójrz no...

ze swego łóżka. - Jezusie, Maryjo i Józefie... cóż za dragon spadł na mnie tej nocy! To cud boski, że jeszcze żyję!

Także po drugiej stronie granicy trzeba było piechotą zdobywać każdy kilometr. Bóle w kolanie zapowiadały, że to już nie potrwa długo, staw spuchł aż do brzegu buta. Pokonane jednostki wojskowe wycofywały się do centrum Niemiec; samochody i ciężarówki, pełne kobiet, szeregowych żołnierzy i oficerów, pędziły mijając ich. Próbowali zatrzymać któryś z samochodów, ale żaden nie stanął - widmo klęski siedziało żołnierzom na karku. Bóle Anny stawały się nie do zniesienia - po raz pierwszy jej ciało odmówiło posłuszeństwa. Zataszczyła swoją walizkę na środek drogi, zdjęła hełm z takim zamachem, jak gdyby chciała pozdrowić przejeżdżających i usiadła z rozkraczonymi nogami na swym bagażu. - Zwariowała pani - wołali jej oburzeni towarzysze podróży - to bardzo niebezpieczne! - Anna zaśmiała się lekceważąco. - Jest mi wszystko jedno, czy mnie zabrają, czy przejadą!

Zbliżała się ciężarówka. Było coś uspokajającego w głupiej mechanicznej sile, niezważającej na żywe istoty - z wyzywającym uśmiechem Anna wyczekiwała samochodu - zrób to szybko. Paniczny krzyk pozostałych, brzmiał w oddali jak śpiew chóru. Na środku drogi szybkiego ruchu zaczęły obowiązywać dawne, bajkowe prawa: jeżeli dziewczica całkowicie odda się potworowi, zamieni się on w księcia. Ciężarówka zatrzymała się w uprzejmym odstępnie. Wysiadł z niej młody oficer; z żołnierskim respektem dla jej zimnej krwi poprosił, by wsiadła. Ze stoickim spokojem wstała, kiwnęła na pozostałych i razem wsiedli do samochodu.

Nie takiego powitania spodziewali się w lazarecie po mozolnej podróży. - Czego tu chcecie? - ofuknięto siostry. - Nie jesteście nam tu potrzebne! - Tylko rannym żołnierzom wolno było zostać. Trzy siostry Czerwonego Krzyża otrzymały nowy rozkaz wymarszu: z powrotem do Alp Bawarskich, do lazaretu nad Chiemsee. Znów stały na ulicy i wszystko zaczynało się od początku. Na zmianę podnosiły bez ochoty ręce. „Nie potrzebujemy was...”, odbijało się echem w głowie Anny. Teraz rozumiem, myślała gorzko, jak dochodzi do tego, że stu żołnierzy umiera w zimnym korytarzu i nie ma tam żadnych sióstr, które mogłyby się nimi zająć: tu jest ich za dużo.

Zatrzymał się samochód wojskowy. Kierowca wystawił głowę na zewnątrz: - Czy któraś wie, jak dojechać do Traunstein? - Ja! - zawołała Anna. Jadąc w tę stronę przejeżdżali tamtędy, było to niedaleko Chiemsee. Anna musiała usiąść na siedzeniu pasażera, kierowca jechał powoli i ostrożnie. Na masce silnika siedział żołnierz, obserwujący niebo. - Czego on tak wygląda? - zapytała Anna. - Samolotów myśliwsko-bombowych - szczyrzył zęby jej sąsiad. Miał jeszcze wykrzywione kąciaki ust, gdy żołnierz na zewnątrz krzyknął: -

Wychodzić! *Jabos!*¹ - Na oślepek wyskakiwali z samochodu, nad ich głowami samoloty zakreślały groźne kręgi. Przycupnęli w głębokim rowie, walizka Anny spadła jej na głowę. W tej samej chwili eksplodował samochód, który je miał dowieźć w pobliże Chiemsee. Zdawało się, jak gdyby co chwilę był ponownie trafiany - w reakcji łańcuchowej jeden wybuch powodował drugi, na walizkę Anny spadł grad gruzu. Dopiero, gdy nie można było już niczego usłyszeć, wyczołgali się ze swojego ukrycia. Nieśmiało wkroczyli w ciszę po bombie - wszyscy byli cali. W powietrzu wisiał zapach prochu. - To jest... - powiedział kierowca - to był samochód amunicyjny. - Okopcone resztki tliły się jeszcze, przyglądanie im się nie miało sensu, tak więc wszyscy wyruszyli razem w drogę, każdego dręczyła myśl, że ledwie uszedł śmierci. Obok nich zatrzymała się ciężarówka budowlanej organizacji Todta, kiwnięto na nich. - Tylko siostry - zawołał szorstko kierowca. Jak gdyby obawiał się, że przez mówienie rozdrażni rozgniewanych bogów w górze, dowiózł je bez słowa, prosto do lazaretu nad Chiemsee, który ulokowano w byłym hotelu. Zapowiadał się już z daleka dużymi białymi kręgami z czerwonym krzyżem w środku - z uwagi na tych samych bogów - namalowanymi na ulicy.

Na skraju jezdni siedziało dwóch mężczyzn na wózkach inwalidzkich, obydwaj bez goleni. Przyglądali się, jak z samochodu organizacji Todta wylądowywano siostry zamiast materiałów budowlanych i widzieli też, jak Anna ze swoją niemożliwie ciężką walizką upadła na kolana i wylądowała na asfalcie. Nie mogli się temu spokojnie przyglądać; jeden żwawo podjechał do niej, pomógł wstać i usadził na swoich kolanach, drugi wziął jej walizkę. W błyskawicznym tempie pokonali wszyscy razem te kilkaset metrów do gabinetu lekarza naczelnego, gdzie dumni z kompensującej siły ramion zostawili ją na ławeczce, w korytarzu. Inny żołnierz, który tamtędy przechodził, zameldował o ich przybyciu. - Co to za wpadanie tu ot tak... - siostry usłyszały gderającego lekarza po drugiej stronie drzwi - nie potrzebujemy nikogo! Pojutrze będzie po wojnie, a my nie mamy nic do jedzenia, niech sobie radzą same. - Głowa Anny opadła na piersi. Dokładnie przyjrzała się swym paznokciom, które były czarne, jak po wykopkach. Zużyła swoje wszystkie uczucia, ryk lekarza nie był w stanie zrobić na niej wrażenia. Jedno było pewne: nie ruszy się z miejsca, w razie potrzeby zapaści korzenie na tej ławce, na wprost jego drzwi, by przypominać mu o swoim istnieniu. - Te biedne kobiety - usłyszała sarkających żołnierzy. - Mamy przecież jeszcze wolne łóżka, dlaczego nie mogłyby na nich spać? A rację trzech ziemniaków też się dla nich znajdzie... - Lekarz dał się uprosić, dalsze wysłuchiwanie argumentów żołnierzy było bardziej męczące niż wyrażenie

¹ (niem.) - samoloty myśliwsko-bombowe (od *Jagdbomber*)

zgody. Tego wieczora siostry leżały w prawdziwych łóżkach, pomiędzy gładkimi, białymi prześcieradłami. Annę ogarnęło niejasne wspomnienie pierwszego wrażenia nieznanego luksusu, sprzed wielu, wielu lat, gdy przybyła do domu wujka w Kolonii.

Chociaż lekarz naczelny nikogo nie potrzebował, następnego dnia, podczas wędrówek po lazarecie, Anna odkryła salę, z podłogą pokrytą materacami. Leżały na nich małe dzieci, z wielkimi opatrunkami w miejscu amputowanych rąk czy nóg, albo z zabandażowanymi głowami i oczami wlepionymi w sufit. Anna, której się zdawało, że w czasie pamiętnej nocy z umierającymi żołnierzami przeżyła najgorsze, której wydawało się, że wraz z walizką pełną ubranek uwolniła się od wszystkiego, co miało coś wspólnego z dziećmi, przechodziła zmieszana pomiędzy materacami, coraz klękając przy jakimś dziecku, leżącym nieruchomo i spoglądającym na nią z nieśmiałą potulnością. Żadne z dzieci nie bawiło się ani śmiało, panowała przygniatająca cisza, jak gdyby znajdowały się w nieustannym stanie szoku i cierpliwie czekały, aż przyjdzie ich mama albo tato, by całusem przepędzić strach. Ale nie było ani ojców, ani matek i nie było też nikogo, kto opowiadając bajki mógłby odwrócić ich uwagę. Leżały tam po prostu, zdane na wspólną samotność, jak gdyby musiały odpokutować za coś, czego nie uczyniły. Pewien absurdalny szczegół stopniowo docierał do Anny: dzieci bez wyjątku miały włosy jasnobłond i niebieskie oczy. Dobrze odżywione, przypominały pulchne cherubinki, zestrzelone ze swych puszystych obłoczków przez indywiduum, którego nienawiść sięgała aż po niebo. I chociaż lekarz naczelny nikogo nie potrzebował, Anna wzięła się po prostu do pracy.

- Co się stało tym dzieciom? - Lotta przyglądała się jej z napięciem. Odrobina pianki przylgnęła do jej górnej wargi, przez co wyglądała trochę śmiesznie, a Annie łatwiej było się odciąć od przytłaczających obrazów, które przywołała.

- Pochodziły z sierocińca na Obersalzberg - powiedziała trzeźwo - Amerykanie go zbombardowali. To były *Lebensbornkinder*, hodowlany narybek narodowego socjalizmu. Specjalnie wyselekcjonowani blondyni i blondynki zostawali zgrupowani - że tak powiem dla inseminacji. Kiedy na świat przychodziło dziecko, ofiarowywali je Führerowi.

- A na co mu one były?

- Gdy pięknie pozbył się Żydów i Cyganów, ich miejsce zająć miała szlachetna *Herrenrasse*, by rządzić światem. Dzieci te były dobrze ukryte przed światem zewnętrznym, wzrastały na Obersalzberg. Po bombardowaniu zniesiono je z góry i dostarczono do tymczasowego lazaretu nad Chiemsee - a wtedy lekarz naczelny stwierdził, że nie potrzebuje siostr.

Lotcie kręciło się w głowie. Było tego za dużo, zbyt wiele makabrycznych rzeczy naraz. - Myślę, że poproszę już o rachunek, stałam się nagle taka zmęczona. To na pewno od nadmiaru jedzenia i od alkoholu. - Demonstracyjnie odepchnęła na bok na wpół wypełniony kieliszek wina.

- W naszym wieku człowiek nie znosi już tylu rzeczy - powiedziała dwuznacznie Anna - co rusz przypominają o tym w bolesny sposób.

Gdy Lotta wróciła do hotelu, zadzwoniła do niej najstarsza córka, która „także w imieniu pozostałych” pełna nadziei dowiadywała się o przebieg kuracji. Z udawaną wesołością Lotta przekazała jej ubarwiony obraz. A równocześnie w głowie kołatała się myśl: muszę jej to opowiedzieć. Ale co miała powiedzieć? Odnalazłam siostrę, waszą ciocię? A potem? Ten niepojęty, niewiarygodny, przykry dramat w iluś aktach? Jak to będzie miała kiedyś wyjaśnić? Zniosła cierpliwie wszystkie rady córki - nie spiesz się, rozkoszuj się, rozluźnij się, nie rozmyślaj, czy poznałaś już jakichś miłych ludzi - i pożegnała się. Muszę skończyć z tymi rozmowami, powiedziała sobie ze złością, trzymając jeszcze słuchawkę w ręku. Za bardzo mnie wyczerpują - dzieci oczekują, że wrócę jak nowo narodzona, mają do tego prawo, to ich prezent, kosztował ich dużo pieniędzy.

A jednak następnego dnia opuściła Instytut Wodolecznictwa znów razem z Anną - w końcu wyzwolenie było już blisko. Cały ich wspólnie spędzony czas był filmem; nie wyszła na czas z kina, a teraz chciała jeszcze zobaczyć zakończenie. Świeciło słońce, świat - zwodniczo - wyglądał uroczo. Pospacerowały trochę po miejscowości, aż doszły do Parc de Sept Heurs, gdzie dosięgnął ich zapach frytek po flamandzku. Anna z zamkniętymi oczami wciągała zapach. - Na to mam teraz ochotę! - powiedziała z głębi serca. Chociaż Lotta miała awersję do budek przesiąknięty zapachem frytury, bo „potem śmierdzą ci tym ubrania”, to odruchowo szła za nią. Chwilę później siedziały z tekturowymi tutkami na ławce w parku, otoczone nachalnymi gołębiami. Wojna, szczęście i nieszczęście ludzkości, trudne kwestie moralne - wszystko blakło obok młodzieńczej rozkoszy pałaszowania porcji frytek w zimowym chłodzie - długie, duże, chrupiące, złotawe frytki. Tłuste, słone palce. Ale myśl, że życie jest właściwie bardzo proste, trwała tylko do czasu, aż tutka stała się pusta. Wtedy wytarły sobie usta i ręce, a wojna domagała się już swoich praw.

Ojcu Lotty zabrakło chorągiewek do zaznaczania zwycięstw aliantów; jego żona, która w swoim życiu przeczytała za dużo powieści wojennych wzdrygała się na myśl o strategicznej i moralnej pustce, która zazwyczaj idzie w parze ze zmianą władzy - okresie, w którym wróg odreagowuje ślepo swą złość, spowodowaną zbliżającą się klęską -

podpaleniami, gwałtami, spustoszeniem i mordem. Co mieliby począć, gdyby się okazało, że ich dom znajduje się przypadkowo w polu obstrzału? Była to pierwsza obawa, którą wyraziła na głos, od początku wojny. Sytuacja stawała się co raz cięższa do zniesienia. U Ernsta wzrastające napięcie zostało rozładowane nieśmiałymi oświadczeniami. Lotta wzruszona jego niepewnością i niezaradnością, nie dała się długo prosić. Była to nie tylko miłość, spowodowana jego niemęskimi słabościami, do których się otwarcie przyznawał; w głębi duszy obawiała się normalnego życia, jakie po wojnie potoczy się dalej, a jednak nie będzie już nigdy takie, jak przed nią. Dzięki ślubowi nie będzie musiała uczestniczyć w rozpadzie wielkiego klanu członków rodziny i ukrywających się, mikrokosmosu, który stał się im w pewnym sensie drogą, choćby tylko z powodu uzależnienia od strachu; dzięki ślubowi miała nadzieję na ucieczkę przed tą pustką, pozostałą po innych i nagłym nadmiarem czasu, ułatwiającym stawianie sobie niewygodnych pytań. Umknie też swojemu ojcu, którego bliskości w czasie pokoju nie mogłaby znieść.

Na wesele nie mogli sobie pozwolić; cały swój dobytek wymienili na żywność. Postanowili wziąć ślub jeszcze przed końcem wojny - dobra wymówka, by uroczystość odbyła się w zupełnej ciszy. Mimo to cisza ta w kulminacyjnym momencie została nietaktownie zakłócona przez nisko przelatujące spitfire'y. W drodze do ratusza skromny orszak - młoda para, rodzice Lotty i dwaj naprędce zwołani świadkowie - musiał nieustannie kucać w paprociach. Ze względu na nielegalny status pana młodego, zdecydowali się na dróżkę przez las, z tego samego powodu udzielał im ślubu wiceburmistrz - godny zaufania; ojciec Lotty, poza domem zawsze szalenie szarmancki, miał swoje kontakty. Bez cienia odświętności dokonano formalności, słowa wiceburmistrza zginęły w warkocie spitfire'ów. Lotta tu i ówdzie odczepiała gałązkę paproci ze swego brązowego kostiumu, myśląc sobie, że w historii świata na pewno nie było jeszcze nigdy tak smutnego ślubu. Po ceremonii pognali tą samą drogą do domu, gdzie związek na całe życie zyskał odrobinę blasku dzięki miseczce ciastek z żytniej mąki i butelce jałowcówki - ostatniej.

Kiedy Lotta i Anna chciały przejść przez Avenue Reine Astrid, cierpliwość ich została wystawiona na próbę przez kolumnę pojazdów wojskowych - tę samą, która przed kilkoma dniami jechała na zachód, a teraz wracała na wschód. Czołgi z żołnierzami w mundurach bojowych, dżipy, samochody sanitarne, wszystko w kolorze musztardowym.

Anna obserwowała to z wściekłą miną. - *Da siehst du*¹, nie ma temu końca - mruzczała.

¹ (niem.) - No widzisz

- Tak długo, jak gospodarka zależna będzie od przemysłu zbrojeniowego, będą się pojawiać wciąż nowe ogniska zapalne, a my pozostaniemy dalej uzbrojeni aż po same zęby.

Lotta nie zgadzała się z tym. Znowu uproszczenie, które kwestię winy kieruje w bezpieczną stronę. Jeśli zbrojenie się było światową prawidłowością, to Niemcy - dzięki przemysłowi zbrojeniowemu - nie byli odpowiedzialni za rozkwit gospodarczy w latach trzydziestych i wszystko, co z tego wynikało. Ale była zbyt zmęczona, by obalać teorie Anny, więc milczała i spoglądała z mieszanymi uczuciami na ochlapaną błotem kolumnę. Tak właśnie wkraczali do jej kraju okupanci i wyzwolicieli.

CZEŚĆ 3

POKÓJ

Après le déluge encore nous¹

¹ (fr.) - *Po potopie wciąż my*; parafraza znanego powiedzenia: *Po nas choćby potop*, przypisywanego markizie de Pompadour.

1.

Führer nie żył, to była już tylko kwestia kilku dni. Wieczór poprzedzający kapitulację upłynął pod znakiem ogólnego pijaństwa. W piwnicach byłego hotelu znajdowały się pokryte warstwami pajęczyny przedwojenne zapasy alkoholu. Z obawy przed tym, że wykorzystają go Amerykanie, zorganizują orgię i w rytm swojej perwersyjnej muzyki jazzowej rzucą się na pielęgniarki, kierownictwo lazaretu rozdzieliło butelki z alkoholem między członków personelu. Anna siedziała na podłodze jednego z pokoiów pielęgniarek i podkopywała swoje poczucie rzeczywistości, z gorzką uciechą racząc się czerwonym martini. Zdjęła z głowy uciskający ją czepek pielęgniarski i nucąc cicho, przeczesała swoje jasne włosy.

- *Na, guck mal!*¹.. - inni przyglądali się jej ze zdziwieniem - rzeczywiście jak ładnie wyglądasz! Dlaczego chowasz włosy pod czepkiem, pozwól się ujrzeć taką, jaką jesteś naprawdę!

Anna ponownie przytknęła butelkę do ust; nie miała ochoty wyjaśniać, że „ładny wygląd” to ostatnia ze spraw, na których jej zależy. Wszystko, co obracało się wokół kobiecej próżności i wdzięków - cóż za perwersja wobec zmarłych - mogło liczyć na jej pogardę. Pod koniec wieczoru posuwała się niepewnym krokiem i chichotała, gdy wzdłuż recepcji eskortowano ją do sypialni.

Następnego dnia przeżywała świeżo ogłoszony pokój, walcząc z silnym bólem głowy; *Autobahnem* ciągnął niekończący się pochód wychudzonych, wyczerpanych żołnierzy, popędzanych przez dobrze odżywionych Amerykanów, z których biła pewność siebie i pogarda. Anna wdrapała się na wzniesienie wzdłuż drogi i w ten słoneczny dzień zwycięstwa patrzyła, jak przesuwa się przed nią tłum pozbawionych złudzeń osób - poszarzałe twarze, popękane z pragnienia wargi. Zaznajomiła się też ze zjawiskiem czarnego Amerykanina. Żując gumę, odwrócił się do niej na grubych, gumowych podszwach.

- *Hello baby...* - uśmiechnął się bez troski. Obrażona, odwróciła się tyłem i zbiegła szybko ze wzniesienia, prosto do kuchni. Bez tchu wpadła do środka:

- Nasi żołnierze przybywają z *Alpenfestung*... o mój Boże... idą ostatkiem sił...!

Kto tylko mógł się wyrwać, napełniał dzbanek lemoniadą i spieszył z nim w kierunku

¹ (niem.) - Hej, spójrz tylko

drogi. Jednak wystarczyło tylko, że trzej, czterej żołnierze nieco się napili, a już zbliżał się typ z Dzikiego Zachodu i brutalnie spychał pielęgniarki ze wzniesienia. Szybko podnosiły się z ziemi i od nowa wdrapywały na górę, aby częstować lemoniadą. Żołnierze pili chciwie i w kieszenie ich wykrochmalonych fartuchów wtykali liściki.

- *Bitte, bitte...* proszę napisać do mojej żony, że jeszcze żyję - błagali, mijając pielęgniarki. - Proszę powiedzieć mojej matce, że pani mnie widziała...

W lazarecie opróżniały kieszenie i napełniały dzbanki; bez wytchnienia powracały wytrwale, by objąć posterunek na brzegu drogi. Spychano je na dół, straszono kolbami, one jednak wracały pospiesznie aż do czasu, gdy przeszedł ostatni żołnierz. Z powrotem w lazarecie, sortowały pocztę. Ktoś podrzucił Annie paczuszkę, bez adresu i bez żadnego liścika. Po otwarciu, znalazła w środku ciemnoniebieski, wełniany materiał na ubranie oficerskie - czyżby prezent? Gdy urzędy pocztowe znów zaczęły funkcjonować, zaczęła pisać dziesiątki listów: *Od Heinza dla mojej kochanej Herty... dla Mamusi od Gerolda... za pośrednictwem Anny Grosalie.*

Tego samego dnia nastąpiła zmiana warty. Zajechały jeepy i szpital wojskowy z całym spokojem przejęli Amerykanie. Ozdrowieńcy zostali wzięci do niewoli i wywiezieni; lekarze, żołnierze z obsługi szpitala oraz pielęgniarki, musieli pod nadzorem podjąć swoje obowiązki. Na terenie wokół szpitala umieszczono olbrzymie, obracające się reflektory dla zniechęcenia śmiałków, którym marzyła się ucieczka. Wśród rannych znajdowali się nieprzejednani narodowi socjaliści, którzy mieli przy sobie fotografie Hitlera oraz inne faszystowskie atrybuty. W samą porę pielęgniarki zgromadziły te parafernalia i z obawy przed gniewem Amerykanów wrzuciły je do Chiemsee. Jednemu z żołnierzy, który nie był w stanie się rozstać ze swoimi odznaczeniami, Krzyżem Żelaznym i zdjęciem Hitlera, udało się to wszystko skrycie przechować. Po kilku dniach zwrócił się do Anny z gorącą prośbą.

- Siostrze, czy może mi siostra wyświadczyć przysługę i ukryć dla mnie te przedmioty?

- Ale gdzie? - spytała Anna sceptycznie.

- Tu w lesie, na tyłach szpitala. Proszę je zakopać, oznaczyć miejsce i narysować plan z dokładną informacją, gdzie się znajduje. Jak wszystko się skończy, zabiorę to stamtąd.

Anna nie potrafiła mu odmówić. Wieczorem wymknęła się skulona przez teren szpitalny, rozglądając się bez przerwy i omijając powracające wciąż światło reflektora. Wykopała dół między dwiema brzożami, cicho śmiejąc się z siebie: miała wrażenie, że grzebie w ziemi, jak pies zakopujący swoją kość. Kiedy zgodnie z pouczeniem pacjenta sporządziła szkic sytuacyjny, zaznaczając krzyżykiem, gdzie został pochowany Führer, wróciła tak samo, jak przyszła, przeklinając Amerykanów za żalną demonstrację siły za

pomocą reflektorów, wskutek czego we własnym kraju, w czasie pokoju, nie można było nawet swobodnie się poruszać.

W niedługim czasie Amerykanie odkryli urok byłego hotelu: w Chiemsee można było pływać i żeglować. Zażądali przekazania budynku swojej kadrze generalskiej. Zlikwidowano lazaret, SS-manów odtransportowano, a siostry z Czerwonego Krzyża dostarczono jako więźniarki do koszar Wehrmachtu w pobliskim Traunsteinie. W koszarach niewiele pozostało ze słynnego niemieckiego porządku. Najwidoczniej członkowie *Oberkommanda* - gdy Amerykanie byli tak blisko, że można było poczuć woń smażonego bekonu - przypieczętowali porażkę Trzeciej Rzeszy hulankami; sprzętnięcie pozostawionego przez nich chlewa zlecono pielęgniarce. Czuły się upokorzone faktem wzięcia w niewolę, która klóciła się z neutralnością Czerwonego Krzyża, oraz brudną robotą, tak odległą od ich powołania. Wszystko jednak wkrótce zbladło wobec codziennej racji kubka czarnej namiastki kawy, kromki suchego chleba oraz talerza wodnistej zupy. Czując spowodowane głodem zawroty głowy, szorowały podłogi; po tygodniu Anna była w stanie unieść jedynie wiadro wypełnione w jednej czwartej.

Pewnego dnia któraś z pielęgniarek sprzeniewierzyła się solidarności opartej na powszechnie odczuwanym pustym żołądku i oddała się Amerykanom w zamian za talerz jadła. Wróciła przepelniona nienawiścią do siebie; wyciskając swoją szmatę do szorowania, płakała nad tym, czego się nie dało cofnąć. Po kolei próbowały ją pocieszać, ona jednak uparcie odmawiała przyjęcia wsparcia od osób, których szacunek dla siebie był wciąż nienaruszony. Zaprzyjaźniona z nią siostra Ilsa wiedziała, że w najbliższym tygodniu wypadają jej urodziny.

- Musimy dla niej coś zrobić - zwróciła się do Anny - coś miłego.

Anna skinęła nieznacznie głową - gdy kręciła nią energicznie, odczuwała zawroty.

- Po drugiej stronie drogi rosną margerytki... - zaproponowała z wahaniem - jak jednak ominąć wartowników przy bramie...

- Zostaw to mnie - odparła Ilsa - mówię trochę po angielsku.

Po długich pertraktacjach w przymilnej, trudnej do zrozumienia mieszance angielskiego i niemieckiego udało się Ilsie zmiękczyć wartowników. Brama się otwarła - musiały się opanować, aby nie wybiec na łąkę jak wypuszczone na wolność cielęta, a zamiast tego zachowywać się z pełnym roztargnieniem dystansem, cechującym uprzywilejowane więźniarki. Kroczyć po trawie usianej margerytkami, kaczeńcami, dzikim szczawiem... położyć się wśród nich i przestać istnieć! Gdy Anna zrywała kwiaty, znów łaskotały ją po łydkach lodygi traw na brzegach Lippy i od nowa czuła pobudzający zmysły, zielony zapach,

którego nie dało się z niczym porównać. Nie przeszkadzało jej, że w pobliżu rozstawione były amerykańskie namioty wojskowe, podobnie jak dawno temu ignorowała pobliskie gospodarstwo, gdzie jej przyszywana ciotka obmyślała nowe szykany. Ustawiczne pochylenie się sprawiło, że poczuła lekkie oszołomienie, odurzające uczucie, jakby niemal zemdląła na środku sielskiej łąki i zapomniała o wszystkim.

Nagle u jej stóp wylądowała tabliczka czekolady, i jeszcze jedna, i bochenek chleba, i jeszcze coś, i jeszcze coś. Zszokowana, powróciła do rzeczywistości.

- *Verdammt Schweine*¹... - fuknęła. Nie przyszło jej do głowy, aby czegokolwiek dotknąć. Ilsa również zachowywała się tak, jakby nie zauważyła, że z namiotów przyfruwają do nich przysmaki. Niewzruszenie zrywały nadal kwiaty. Jeden z wartowników krzyknął z przeciwnej strony:

- O Jezu, podnieście to, przecież oni wam to po prostu dają!

Ilsa zawahała się.

- Gdybyśmy to zabrały - wyszeptła - mogłybyśmy wszystkie z tego skorzystać... to dopiero byłyby urodziny...

Dla Anny było to nowe spojrzenie na sprawę. Uniosła rogi swojego pielęgniarskiego fartucha, pochyliła się i zaczęła go napełniać. W końcu wyprostowała się z wypchanym podółkiem i zawołała wyniośle:

- *Danke schön!*

Nigdy później osoba obchodząca urodziny nie miała od niej dostać bukietu, który mógłby dorównać okazałemu pękowi dzikich margerytek. Pielęgniarki usiadły kręgiem, każda ze stosikiem symbolizującym dobroczynność Amerykanów, bohaterka uroczystości otrzymała najwięcej i oczywiście natychmiast wszystko rozdzieliła.

Po drugiej stronie Traunsteinu znajdował się szpital wojskowy. Gdy zaarrestowano i wywieziono brunatne siostry, zaczęło w nim brakować pielęgniarek. Jeden z lekarzy SS, pracujący pod nadzorem Amerykanów, zwrócił ich uwagę na znajdujące się w koszarach siostry Czerwonego Krzyża - pod eskortą dwóch żołnierzy zabrano je i przeniesiono do lazaretu. Anna nie była w stanie dźwigać swojej walizki - ktoś położył ją na wózku. Jedynie paczkę z niebieskim materiałem oficerskim trzymała kurczowo pod pachą. Tak ruszyły przez Traunstein pod okiem gapiących się mieszkańców miasta. Odetchnęły z ulgą: nie tylko mogły podjąć swoją pracę w higienicznym otoczeniu, w którym wciąż jeszcze rządził dobrze znany porządek SS, lecz ponadto otrzymały znów pożywienie. Szef księgowości, urodzony i

¹ (niem.) - przekłete świnie

wychowany w Traunstein SS-Oberfeldfel, miał kontakty na wsi. Podczas gdy Amerykanie stali przed bramą, z tyłu budynku wieśniacy wpychali przez okna boczek, kielbasę i ziemniaki, a mieszkańcy miasta wykopali tunel prowadzący do piwnicy, aby odnowić zapasy - przez trzy dni Anna jadła bez opamiętania.

Wciąż jednak miały status więźniarek. Był środek lata, krajobraz podalpejski rozciągał się w całej swej krasie, im jednak nie wolno było przekraczać bramy. Pełna klaustrofobicznych marzeń Anna wychylała się z okna swojej sypialni i przyglądała się ogrodowi Edenu. Po sielskiej ścieżce, która wiła się wzdłuż zbocza, aż w końcu połykał ją las, spacerowali wolni obywatele. Tę samą ścieżkę patrolowali dwaj anachroniczni żołnierze, wołając *Hello baby* do każdej mijającej ich spódniczki - czy na prerii zachowywali się tak samo? Anna postanowiła sama dojść swoich praw. Zrzuciła z siebie strój Czerwonego Krzyża i z walizki, która tyle przeszła, wyciągnęła zmiętą garsonkę. Przebrana za zwykłą obywatelkę wygramoliła się przez okno; posuwając się między rzadko rozrzuconymi krzakami, udało jej się bez zwrócenia uwagi dojść do lasu. Był to zwyczajny las, prezentujący z prostotą tysiąc różnych form. Buk był bukiem, dąb dębem, niczym więcej, niczym mniej - pozdrowiła buk, objęła dąb, przebiegła od drzewa do drzewa, wdychając zapach próchnicy, wgramoliła się na przewrócony świerk i zaczęła śpiewać niemądrą piosenkę, w połowie przemieniła się ona w atak płaczu. Pień, na którym siedziała, chwiał się w rytm jej szlochu - był to atak płaczu podobny do żywiołu, urwanie chmury, przy którym z liści zostaje zmieciony cały kurz. Nie była to jedynie kwestia głębokiego bólu duszy, płakało całe jej ciało, aż po korzenie włosów, wszystko kurczyło się wspólnie i otwierało szeroko - płacz zaczął się unosić w oderwaniu od swoich przyczyn, aż stał się niezależną, mniej wypełnioną formą, która w końcu powoli rozplynęła się w powietrzu. Gdy Anna pozbierała się w końcu, wyjęła z włosów drobne gałązki i udała się w poszukiwaniu ścieżki, wokół zaczęło się już ściemniać. Drogę powrotną tarasowali dwaj zagłębieni w rozmowie żołnierze. Przykucnąwszy za drzewem, czekała, aż odejdą. W końcu powlekli się razem w wieczorny zmierzch i Anna mogła przejść kawałek drogą publiczną jak wolna obywatelka. Minęła jakieś gospodarstwo - spojrzcie tylko, pomyślała zdziwiona, tam siedzą ludzie spożywający posiłek, nie spadają żadne bomby, pali się światło! Uświadomiła sobie, że od 1939 roku nie przeżyła ani jednego wieczoru bez zaciemnienia; tak się do tej nienormalności przyzwyczała, że normalną sytuację odbierała z wielkim zdziwieniem.

Z dnia na dzień zlikwidowano również szpital w Traunstein. Pacjentów wywieziono, strażnicy zniknęli, a lekarzy i pielęgniarki pozostawiono samym sobie - nikomu nie przyszło do głowy, aby stamtąd uciec. Po dwóch dniach zajeżdżała ciężarówka z Amerykaninem za

kierownicą. Wszyscy wspięli się na przyczepę i zaśpiewali pełną piersią: *I'm a prisoner of war*¹... - jeden z chirurgów wrażliwymi dłońmi dyrygował całą ekipą. Słońce świeciło, na drzewach wisiały jabłka, nie strzelano, samochody nie wylatywały w powietrze, nie było spuchniętych stawów kolanowych. Początkowe zdziwienie i poczucie niepewności ustąpiły miejsca odczuciom fatalistycznym, które z kolei przemieniły się w powszechną swawolę. Tak czy owak, wojna się skończyła - powoli, powoli docierało to do ich świadomości.

Ze śpiewem na ustach znowu dostarczono ich do więzienia, tym razem w Aibling koło Monachium, gdzie na miejscu dawnego lotniska znajdował się masowy obóz jeńców wojennych. Kobiety, pielęgniarki i telegrafistki z oddziałów łączności umieszczono w hangarach, a dowództwo Wehrmachtu w pozostałych budynkach. Nieco dalej, pod gołym niebem, leżały pokotem na ziemi tysiące SS-manów - oddzieleni od reszty, w słońcu i w deszczu, pilnowani z uwagą przez żołnierzy z karabinami maszynowymi. Anna wybrała się z Ilsa do łazienki, aby zmyć z siebie brud z podróży. Przed wiszącymi nad umywalkami lustrami przepychały się kobiety; malowały usta i robiły się na bóstwo. W tle niosła się po hangarach popularna muzyka, *disc jockey* o strasznym akcencie przekazywał między dwoma numerami życzenia od Wolfganga dla Sabiny, a w imieniu Uschi składał gratulacje Hansowi z okazji jego urodzin.

- Cóż to takiego, na miłość boską - spytała Anna - czy oni powariowali?

Już wkrótce wyjaśnił się cel całego tego zadęcia. Na zewnątrz, w mundurach ozdobionych orderami, baretkami i insygniami generalskimi, przechadzali się wzdłuż hangarów dowódcy Wehrmachtu - u ich ramion wyfiokowane kobiety, jedna ładniejsza od drugiej. Amerykanie, mimo tysięcy mil od domu wciąż żądni zabawy, postarali się o muzykę i puszczali te same płyty, co u siebie. Codziennie od piątej do siódmej urządzano wielkie święto tańców godowych dla najwyższych oficerów Wehrmachtu - dla tych, co wysłali na śmierć tysiące, tysiące ludzi, podczas gdy poza zasięgiem głośników i pięknych kobiet, jak krowy na pastwisku, leżeli żołnierze SS, którym udało się przeżyć. Anna i Ilsa z otwartymi ustami przyglądały się temu groteskowemu widowisku. Generałowie i wyżsi oficerowie, w czasie wojny pozostający poza strefą ognia, paradowali wokół w rytm muzyki swoich zwycięzców, jak honorowi więźniowie. Anna przyglądała się temu i z zaciśniętymi szczękami słuchała głupiej, zagranicznej muzyki, nie będąc w stanie powstrzymać ogarniającej ją wściekłości. Wściekłości skierowanej przeciw tym pewnym sobie idiotom, bez których rozkazów prowadzenie wojny byłoby niemożliwe, bez których współpracy Hitler nie miałby

¹ (ang.) - jestem jeńcem wojennym

szans na sukces. Wściekłości z powodu kowbojskiej głupoty Amerykanów, mających o sobie wysokie mniemanie. Wściekłości z powodu własnej bezsilności - brakowało tylko tego, żeby sama zaczęła bić brawo lub tak jak inne zaczęła malować usta.

Tydzień później codzienna parada nagle skończyła się. Nie było już ani muzyki, ani pozdrowień, ani generałów, kobiety przestały się malować i leżały wzdychając na łózkach. Przez długi czas nie było prawie niczego do jedzenia, aż do dnia, gdy przybył z wizytą biskup Monachium i jako pośrednik między Bogiem a grzesznikami załatwił poprawę codziennych racji. W tym czasie zaczęto badać kobiety pod kątem chorób wenerycznych i w zależności od wyniku badania stopniowo zwalniano je z więzienia. Również Ilsa wyjechała w poszukiwaniu kogoś znaczącego, kto mógłby doprowadzić do uwolnienia jej narzeczonego, żołnierza SS, leżącego na zewnątrz na pastwisku. Annę zatrzymano jeszcze z powodu zapalenia, które wzbudziło konsternację w amerykańskich laboratoriach. Gdy okazało się, że cierpi przede wszystkim z powodu silnie zmniejszonej odporności, ją również wyprawiono za bramę.

Spacerowicz w centrum Spa porusza się od spraw dotyczących zdrowia, przez te związane z kapitałem i wiarą, w kierunku zagadnień wojennych - w różnej kolejności, w zależności od mijanych budynków i pamiątkowych miejsc: Instytut Wodolecznictwa, kasyno, kościół, pomniki ofiar wojny. Trudno jest tutaj znaleźć się w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, wszystko oddycha przeszłością.

Siostry doszły do wystawy, na której z wdziękiem wystawiono atrybuty drugiej wojny światowej: płaszcze żołnierskie, hełmy, brezentowe torby, ozdobnie wyszyte chusteczki do nosa amerykańskich marynarzy, puszki wody pitnej oznaczone *Emergency*, składany rower angielskiego spadochroniarza, afisz przedstawiający dziewczynkę z lalką w ramionach, opatrzony mottem: *That she may never know the horrors of Dictatorship, let's all pull together for a victorious, prosperous America*¹.

- Nienawidzę tego języka - stwierdziła Anna z głębi serca - nigdy nie chciałam się go nauczyć. Ten *blöde*² naród, jeden głupszy od drugiego. *Hello baby*... I oni właśnie przybyli do nas ze swoimi tłustymi tyłkami, zachowując się tak, jakby przynosili nam kulturę. Czuli się *Herren der Welt*³.

- Byli naszymi wybawcami - rzekła sucho Lotta.

Anna roześmiała się chrapliwie i palcem w rękawiczce wskazała na wystawę.

¹ (ang.) - Aby nigdy nie zetknęła się z horrorem dyktatury, zbierzmy się wszyscy razem po to, by doprowadzić Amerykę do zwycięstwa.

² (niem.) - głupi

³ (niem.) - panowie świata

- Wciąż jeszcze czczą tych idiotów jak bohaterów; sama to widzisz, tyle lat po wojnie, wyłącznie amerykańskie i angielskie rzeczy, oczywiście żadnych niemieckich. Bołą mnie stopy, czy możemy gdzieś usiąść?

Zatrzymały się w pobliskiej kawiarni z widokiem na Pouhon Pierre-le-Grand. Lotta czuła się niepewnie.

- Nie rozumiem - powiedziała z wahaniem - dlaczego tak ostro reagujesz na Amerykanów. Nie zrobili ci nic złego.

Anna westchnęła z niecierpliwością.

- Ponieważ byli beznadziejnymi *Hunde*¹. Ponieważ nam imponowali. Nie zapominaj, przez cośmy przeszli. I wówczas przybywają do nas ci *boys*... którzy w rzeczywistości nie są warcami nawet ładunku prochu, których mogliśmy załatwić samym dmuchnięciem, gdybyśmy chcieli... każdy z nas, każdy zwykły żołnierz był więcej wart niż oni... to było dla nas straszne...

- Nie rozumiem - obstawała przy swoim Lotta - przecież to oni doprowadzili do zakończenia wojny.

- Daj spokój, ci gumożuje, przywiezieni prosto z bezbrzeżnego Teksasu!

- Może byli przedtem w Normandii... - zauważyła Lotta ostrym tonem.

- Och, ci? Tych kilku Amerykanów, którzy tam czegoś dokonali? Pod koniec wojny pomogli ją wygrać. Pomyśl tylko, czego dokonali Anglicy, Francuzi, Rosjanie.

- Przecież wielu Amerykanów zginęło.

- O mój Boże - Anna szyderczym gestem oparła się o tył krzesła - teraz pojawiają się łzy. Cóż znaczy kilka tysięcy Amerykanów, jeśli zginęły miliony osób.

- Nie chodzi o liczby.

- Wy Holendrzy widzicie to inaczej. Nasze wrażenia były takie. Musisz to zaakceptować. Napawali nas odrazą. Mieliśmy za sobą sześć lat wojny, dwanaście lat dyktatury. I przyszli ci nicponie, którzy o niczym nie mieli pojęcia, analfabeci, prosto ze swoich farm. Arogancy, nadęci chłopcy z Dzikiego Zachodu, którzy dorobili się na złocie. Cóż to właściwie za ludzie? Tkwia tam od trzystu lat, od czasu wytępienia Indian. Przecież wszystko się do tego sprowadza? Czyż nie mam racji?

- Nie istnieje naród gorszy lub lepszy od innych - odezwała się Lotta drżącym głosem - jako Niemka powinnaś to wiedzieć najlepiej.

- Ale oni są po prostu głupszy - zawołała Anna - są nieokrzesiani!

¹ (niem.) - psy

- Są między nimi również intelektualiści.
- Jedynie niewielka warstwa. Przyjrzyj się masom.
- Masy są takie same, jak u nas i u was. Przede wszystkim to są Anglicy, Niemcy, Holendrzy, Włosi...
- Ale przecież pojechały tam wyrzutki społeczeństwa. Spójrz tylko, jak się rozwinęli!
- To byli biedni emigranci, w Europie nie mieli przed sobą przyszłości.
- Dobrze, dobrze, masz rację... - Anna uniosła z rezygnacją ręce - nie warto dalej o tym mówić...

Siedziały naprzeciw siebie, jak doskakujące do siebie psy, które na chwilę przerwały walkę. Lotta wyglądała na zewnątrz, omijając wzrokiem Annę - poczuła nagle, że nie jest w stanie dłużej znieść widoku jej twarzy. Intensywne, nieznośne uczucie wrogości sparaliżowało jej język. Jej własna krytyczna ocena Amerykanów - polowań na komunistów MacCarhy'ego, Ku Klux Klanu, awantury wietnamskiej, sposobu wybierania prezydenta - przemieniła się jak kameleon w absolutną, świętą potrzebę bronienia ich ogniem i mieczem. Nie wydobyla jednak z siebie ani słowa więcej. Ogarnęło ją poczucie zniechęcenia. Dwie różne planety, powiedziała sobie, po prostu dwie różne planety.

Nie umknęło uwagi Anny, że jej zaciekłość przyniosła efekty odmienne od oczekiwanych. Wstyd jej się zrobiło z powodu okazanej pasji. Próbując załagodzić sytuację, powiedziała:

- Ty jesteś Holenderką, to zupełnie co innego. Ja nie chciałam z tym wypasionym narodem mieć nic do czynienia. Nasi żołnierze, wychudzeni i chorzy, nie mieli już ojczyzny, pozbawieni zostali wszystkiego, byli moimi towarzyszami niedoli. Nie rozumiesz tego, nie siedziałas w lazarecie z niemieckimi żołnierzami, w tych okropnych warunkach. Gdybyś to przeżyła, patrzyłabyś na to dokładnie tak samo.

Było to zamknięcie dyskusji - Lotta nie mogła nawet dalej protestować, ponieważ z góry zasznurowano jej usta. Monolog Anny potoczył się dalej, niez wzruszenie podjęła wątek, jak nauczycielka, która z nieskończoną cierpliwością wciąż od nowa wyjaśnia to samo ograniczonemu uczniowi.

- Ale wyzwolili was przecież spod faszystowskiej dyktatury... - rzuciła Lotta, zbierając z trudem siły, aby jej się przeciwstawić.

- Ha... - Z cynicznym uśmiechem Anna pochyliła się nad stolikiem. - Nie myślisz chyba, że przybyli po to, by nas uratować. Przywłaszczyli sobie sprytnie naszych uczonych i zabrali ze sobą do Ameryki: chemików, biologów, fizyków nuklearnych, fachowców z kręgów militarnych. Ludzie z gestapo, tacy jak Barbie, zostali wciągnięci do CIA. A ty

mówisz, że powinnam w nich widzieć wybawców. Zrobili kozła ofiarnego z Adolfa Hitlera i jego oddziałów SS - wysocy rangą generałowie Wehrmachtu, mający na sumieniu śmierć milionów żołnierzy, nigdy nie zostali ukarani. Uznano ich za dżentelmenów. Ten, kto przyzwolicie wypowiada wojnę i wysyła wojsko, jest dżentelmenem. Pomyśl tylko o sędziach, którzy podpisywali wyroki śmierci, którzy wysyłali ludzi do obozów koncentracyjnych - większość z nich nigdy nie została ukarana.

- A Eichmann?

- To zasługa Wiesentahla. I sędziego z procesów norymberskich; to był idealista, wyjątek.

Lotta słuchała i nie słuchała. Te argumenty wydały jej się znajome; jej uwagę odwracało od rozmowy dziwne uczucie *déjà vu*. Gdzie przedtem słyszała to wszystko - to samo, a jednak sformułowane inaczej? Poprzez głos Anny usiłowała usłyszeć ten inny głos. I nagle zrozumiała: z tą samą zaciekłością gderał na temat Amerykanów jej ojciec. Przez całe lata. Zaczęło się to zaraz po wojnie, początkowo jeszcze zainspirowane charyzmą batiuszki Stalina, lecz po jego zdemaskowaniu nie wymagało już żadnego podsycania. Jankesi!

Wyzwolenie: nie tylko od wojsk przeciwnika, lecz również od uczucia strachu. Nieustanny strach, trwający dzień i noc, stał się odczuwalny na zasadzie kontrastu dopiero w chwili, gdy zniknął. Na jego miejsce pojawiła się powszechna euforia, która nie trwała długo, ponieważ od czasu do czasu strach wciąż jeszcze dochodził do głosu.

Na powitanie wkraczających oddziałów Kanadyjczyków i Anglików, którzy prawdopodobnie udawali się prosto do studiów radiowych, w centrum Hilversum zebrał się tłum, a nad nim zuchwale łopotała trójkolorowa holenderska flaga. Chociaż od dnia lądowania w Normandii każdy dokładnie śledził zwycięstwa i porażki aliantów, jednak ich bohaterstwo pozostawało czymś abstrakcyjnym - teraz wszyscy chcieli ich zobaczyć, objąć, niemal udusić z radości. Lotta stała z Ernestem na skraju tej emanującej energią przestrzeni, czekając aż zza rogu pojawią się pierwsze czołgi. Zamiast tego jednak atmosferę powszechnej radości zakłócił odgłos strzałów z budynku naprzeciwko. Tłum się rozpierzchnął, Ernst pociągnął Lottę za rękę w boczną uliczkę. Kapitulacja była wprawdzie faktem, czy jednak rzeczywiście każdy kapitulował? Zostać śmiertelnie ugodzonym kulą w czasie wojny było czymś smutnym, jednak stać się ofiarą sfrustrowanego żołnierza po wojnie było żalosną, bezsensowną tragedią. Postanowili wrócić do domu, wskutek czego ominął ich pokazywany we wszystkich kinach spektakl ukazujący witanych gorąco wyzwolicieli otoczonych tłumami wspinających się na czołgi kobiet i podnieconych chłopców - wybawców symbolizowały

papierosy i tabliczki czekolady.

Kilka dni później Lotta ujrzała przechodzącą kolumnę rozbrojonych Niemców - jej poczucie ulgi zakłóciły rzucane przez nich tępe, zrezygnowane spojrzenia. Wymyślano im z chodników, przekleństwa wybuchały między żołnierzami, jak granaty; pięć lat strachu i nienawiści rozładowywało się ponad głowami pokonanych. Zamigotało w niej słabe współczucie, natychmiast jednak przyłapała się na tym i ocenzurowała swoje myśli.

Ukrywających się w czasie wojny Żydów nie można było dłużej utrzymać. Chcieli do domu, chcieli zacząć poszukiwania członków rodziny. Nagromadzona niecierpliwość i pełne lęku przecucia gnały ich na zewnątrz, na wolność, która nigdy już dla nikogo - a na pewno nie dla nich - nie miała być tym samym, co przed wojną. Ostrzegano ich: jeszcze nie wszyscy Niemcy zostali rozbrojeni, jeszcze nie wyłapano wszystkich członków NBS. Przez dziesięć długich dni pozostawali w odosobnieniu, zmuszając się z największym wysiłkiem woli do panowania nad sobą. Jedynie Ruben nie mógł wytrzymać. Pragnął ujrzyć dom rodzinny, zrobić niespodziankę sąsiadom: „Ależ się ucieszę, gdy mnie zobaczą!”. Wbrew wszelkim napomnieniom wyruszył niepewnie na zdezelowanym rowerze, ścigany wzrokiem zaniepokojonych domowników.

Na pierwszy rzut oka powrócił bez szwanku. W milczeniu opadł na fotel i siedział bez ruchu, jedynie jego wzrok błędził dziko spoza szkieł okularów tam i z powrotem. W końcu głowa opadła mu na piersi i uświadomili sobie, że płacze. Było to niezwykle i alarmujące u kogoś, kto przez długie lata był dzielny i nie uronił ani jednej łzy. Nie unosząc głowy, opowiedział, jak przebiegła ponowna wizyta w rodzinnym domu. Gdy w odpowiedzi na jego dzwonek otworzyła drzwi sąsiadka, cofnęła się natychmiast z wyrazem przerażenia i odrazy. W pierwszym odruchu chciała natychmiast zamknąć drzwi, on jednak stał już w środku. Jak za dawnych czasów wszedł do pokoju, jego wzrok padł natychmiast na krzesło, na którym tak często jako chłopiec wypijał szklankę lemoniady lub ciepłego kakao. Sąsiadka nie poprosiła jednak, aby usiadł. Zaczęła chodzić z podnieceniem tam i z powrotem, wyrzucając mu, że przez cały czas była przekonana, iż cała rodzina została wywieziona do Niemiec.

- Matka jeszcze żyje - powiedział. - Z pewnością doceni, że przez te wszystkie lata dbała pani o jej rzeczy. - Wskazał wokół siebie na perskie dywany i obrazy, które jego rodzice dali jej na przechowanie.

- Twój ojciec mi je podarował - skorygowała go ostrym tonem - jeszcze słyszę, jak powiedział: „Liesbeth, zatrzymaj te rzeczy, nam się nie przydadzą, dla nas to tylko niepotrzebny balast”.

Ruben przyglądał się olejnemu portretowi swojego dziadka, spoglądającego nań

badawczo przez monokl w oku.

- Lepiej, aby pani to omówiła z moją matką... - wyszeptał dyplomatycznie.

- Nie mam o czym rozmawiać z twoją matką - rzuciła z wyższością. Uchwyciła kurczowo blat stołu, aż pobiełały kostki jej dłoni. - Posłuchaj - rzuciła - w waszym domu już od lat mieszkają inni ludzie. Świat się zmienił, wszyscy musieliśmy się dostosować, a wy teraz zjawiacie się znieca i myślicie, że wszystko będzie tak, jak dawniej...

- Ma pani rację... - Jak we śnie, Ruben skierował się w stronę drzwi. - Ma pani rację... proszę mi wybaczyć, że sprawiłem kłopot...

Powoli, powoli zaczęto rozwiązywać związki wzajemnego współżycia oparte na prowizorycznych strategiach ocalenia - wszyscy po kolei opuścili arkę stworzoną przez matkę Lotty. Kiedy maszynieria wzajemnie powiązanych ze sobą zajęć uległa zatrzymaniu i wokół zapanował spokój, jej organizm zareagował gwałtownym skurczem. Leżała, wijąc się, na łóżku - w jednej chwili zaciskała oczy z bólu, a w następnej otwierała je szeroko ze zdziwienia. W sypialni unosił się cierpki zapach, wciąż trzeba było zmieniać jej mokre od potu prześcieradła. Pełen wątpliwości lekarz domowy bezskutecznie próbował postawić diagnozę, w końcu wezwał karetkę pogotowia. Cóż za ironia: ci, którzy przez wszystkie te lata zdołali utrzymać się przy życiu, opuścili dom na własnych nogach ścieżką wzdłuż pastwiska, ją natomiast musieli wynieść pielęgniarze. Na oddziale neurologii znaleziono przyczynę jej stanu: nagle rozluźnienie się nerwów, które przez całe lata dawały sygnał „niebezpieczeństwo”, nie mogąc zareagować nań w należyły w takiej sytuacji sposób: „ucieczką”.

W wypadku jej męża było inaczej. Gderał na temat Anglików, Kanadyjczyków i Amerykanów; chciałby rozsiekać nowy rząd; nie poddawał się nastrojowi radości i nie brał udziału w wychwalaniu zachodnich aliantów, nie godząc się z przemilczaniem imponującego wkładu wniesionego przez siły Wschodu.

- Bez Stalingradu, bez wschodniego frontu, bez milionowych strat armii sowieckiej, bez niezłomności i sprytu Stalina - argumentował - front zachodni nie miał cienia szansy. Poważne niebezpieczeństwo przyszło ze wschodu, Hitler doskonale zdawał sobie z tego sprawę, wszyscy Niemcy o tym wiedzieli - dlaczego nikt o tym nie wspomina, dlaczego przemilcza się to w prasie?

Wygłaszając swoje filipiki sam niestrudzenie udzielał na te pytania odpowiedzi:

- Ze strachu przed bolszewikami! Ha! Bo tak naprawdę ich wrogiem jest nie faszyzm, lecz komunizm.

Dodawał do tego jeszcze niezobowiązującą przepowiednię:

- Ten strach jeszcze ich wszystkich zjednoczy.

Trzęsąc się z oburzenia, nastawiał płytę gramofonową. Jedynie wielcy kompozytorzy byli go w stanie uspokoić - oprócz Wagnera, który przez resztę jego życia miał już niszczyć głęboko na dnie szuflady.

2.

Dawno temu siedziały razem w balii, teraz leżały w oddzielnych wannach w pastelowo pomalowanych łazienkach i rozmyślały na temat dziwnego, bolesnego pokrewieństwa, które je zarazem pociągało i odpychało. Codziennie w drodze z kąpieli borowinowej do masażu podwodnego lub kąpieli kwasowęglowej spotykały się w opuszczonych korytarzach. Pod koniec poranka, mając dosyć widoku wypływającej nieustannie z dwóch fontann wody, znalazły się razem w Salle de Repos, do której przygnało je marzenie o filiżance kawy. To upodobanie do kawy miały w każdym razie wspólne, czy coś podobnego mogło być zaprogramowane w genach? Ponownie znalazły się pod Ledą i łabędziem, popijając kawę małymi łyżkami. Jak zwykle to Anna zakłóciła ospałość i zaróżowienie *àpres-bain*¹, znów zaczynając o „tym” mówić.

Anna ze swoją walizką stała poza bramą. Był koniec września, padało, panował pokój, nie miała do kogo się udać. Był tylko jeden człowiek, za którym tęskniła; postanowiła go odszukać i obmyśliła plan kampanii, aby znaleźć się jak najbliżej niego.

Pierwszym etapem było Bad Neuheim w Hessen, gdzie miała spotkać Ilse. Pozwolono jej zabrać się ciężarówką z otwartą przyczepą, na której stało w ścisku sześćdziesięciu uwolnionych żołnierzy Wehrmachtu. Przez przesiąknięty deszczem mundurek pielęgniarce wiatr przesywał ją na wylot. Drżąc z zimna i szczękając zębami, uchwyciła się brzegu przyczepy.

- Niech pani usiądzie koło szofera - nalegał jeden z żołnierzy - jeśli zacznie się do pani dobierać, proszę nas zawołać, a policzymy się z nim.

Któryś z nich zapukał do szoferki, samochód zatrzymał się - łamanym angielskim żołnierz wyjaśnił, o co chodzi.

¹ (fr.) - po kąpieli

- *Of course* - skinął głową czarny Amerykanin, szarmancko otwierając przed Anną drzwi.

Wewnątrz było ciepło i wygodnie. Podzielił się z nią po bratersku swoim śniadaniem. Porozumiewali się ze sobą na nieznaną długość fali, każde z nich operując swoją gwara.

- Dokąd pani jedzie? - zapytał kierowca.

- Nie mam nikogo - wyjaśniła - mój mąż nie żyje, mój dom został zbombardowany. Umówiłam się w Bad Neuheim z kimś, kto spróbuje mi pomóc w zdobyciu pracy. - Przerazona własną otwartością, przyglądała się jego brązowym palcom, luźno trzymającym kierownicę. Kim był ten człowiek, kim była ona sama? Skąd przybyli i dokąd się udawali? Były niewolnik z Afryki, który przez Amerykę dotarł do Niemiec - była służąca z Kolonii, która przez Austrię wróciła do Niemiec, jako była więźniarka w towarzystwie byłego niewolnika z Afryki, który przed chwilą został uznany za potencjalnego gwałciciela. Jakby wyczuwając jej konsternację, zaśmiał się do niej przyjaźnie.

W Bad Neuheim udała się w poszukiwaniu przekazanego jej przez Ilsę adresu, taszcząc za sobą walizkę. Zagadywali ją włóczący się wokół Amerykanie. Spoglądali na nią, dziwiąc się, że ich ignoruje; większość kobiet nie opierała się ich awansom. Uwieszone u ramion, paradowały ochoczo po wsi, paląc ich papierosy. Anna tak dalece skoncentrowała się na okazywaniu swojej nieprzystępności, że dużo czasu upłynęło, zanim uświadomiła sobie, iż znajduje się na ulicy, której szukała. Pani domu wpuściła ją do środka i dyskretnym gestem wcisnęła w rękę liścik od Ilsy, tak jakby dotyczył tajemnicy rządowej: Ilsa wyruszyła już do rodziców w Saarburgu i prosiła Annę, aby podążyła za nią na własną rękę.

- W jaki sposób się tam dostanę... - westchnęła Anna.

Saarburg znajdował się w strefie francuskiej. Jedynie jego byli mieszkańcy, dysponujący odpowiednimi papierami, mieli prawo wrócić do miasta. Anna, jako wiedenka, nie widziała przed sobą najmniejszej szansy.

- Coś wymyślimy - szepnęła kobieta, zostawiając ją w schludnej sypialni.

W tym samym domu zakwaterowany był amerykański oficer, adwokat z Chicago. Następnego ranka została mu przedstawiona i odkryła, że olbrzymie państwo, sięgające od oceanu do oceanu, podbite przy pomocy wozów taborowych, łączy i broni, wydało przez przypadek cywilizowanego obywatela, który ponadto mówi jej językiem.

- Uważam, że to straszne - rzekł ze współczuciem - co faszyci wyrządzili narodowi niemieckiemu...

- Mnie faszyci nic nie zrobili - odrzekła Anna sztywno. - To amerykańska artyleria zabiła mojego męża, amerykańskie bomby zamieniły w gruzy nasz dom, Amerykanie wzięli

mnie do niewoli.

On jednak nie dał się zbić z tropu i cierpliwie przedstawiał różne argumenty, aby mogła spojrzeć na to w inny sposób. Jego wykłady dotyczące polityki oraz mechanizmów prowadzących do wybuchu wojen były jednocześnie utajoną formą subtelnej sztuki uwodzenia - mimo że Anna dostrzegała erotyczny podtekst, była jednak w stanie utrzymywać mężczyznę uprzejmie na dystans, gdy mijały dni wymuszonego wyczekiwania. W Bad Neuheim roilo się od okaleczonych niemieckich żołnierzy, bez ręki lub nogi; siedzieli przygaszeni koło siebie na ławkach i murkach, przyglądając się w milczeniu mijającym ich Amerykanom, którzy razem z ich ojczyzną podbili również ich kobiety. Anna rozpoznawała wśród nich Martina - na ten widok, kroilo jej się serce.

Pewnego wieczoru Amerykanin zaprosił ją na party.

- Co to takiego? - zapytała.

- Hm... - potarł się po gładko wygolonym policzku - trochę jedzenia, trochę picia i trochę wesołości...

- A potem? - dodała z podejrzliwością.

- Hm, a potem...? Dobrze by to pani zrobiło, jest pani młoda, nie może pani wiecznie pozostawać smutna...

- *Danke, nein* - potrząsnęła głową - rozumiem dokładnie, jak zakończy się to party.

- Jestem tylko mężczyzną - usprawiedliwił się.

- A ja jestem tylko kobietą - dodała - i mój mąż zmarł rok temu. Proszę mi wybaczyć, nie myśli pan chyba jednak poważnie, że wybiorę się z nim na party... - wymawiała to słowo, jakby miała w ustach gorzki migdał.

Zrezygowany, skinął głową. Ani jako żołnierz, ani jako mężczyzna, ani jako orator, nie mógł konkurować z taką nieugiętością. Następnego dnia został przeniesiony w inne miejsce. Annie dostarczono ogromny bukiet czerwonych róż, które w tych czasach powszechnych niedostatków świadczyły o frywolnej rozrzutności. Między ich listkami znajdowała się karteczka: „Dla pierwszej Niemki, która powiedziała nie”.

W tym czasie udało się coś dla niej załatwić. Przewoźnik z Bad Neuheim, który miał pozwolenie na przekraczanie granicy, gotów był przesmuglować ją do Koblencji. Zajechał wozem zaprzężonym w konia, musiała położyć się ze swoją walizką na przykrytym żaglowym płótnem dnie wozu; umieszczono nad nią stos worków z niewiadomą zawartością, zostawiając otwór na dostęp powietrza. Niefrasobliwi Amerykanie przepuścili go bez kontroli, jednak Francuzi dla pewności zaczęli wbijać w worki swoje bagnety - ocierając się niemal o Annę, bez strachu wdychała zapach płótna, czekając, aż to się skończy. Może

została ocalona tylko dlatego, że potajemnie o tym marzyła i była w stanie przeciwstawić się przeznaczeniu w większym stopniu, niż ofiary, które przeciwstawiały się mu aktywnie. Kiedy mężczyzna na koźle pomagał jej wysiąść przed stacją w Koblencji, wyznał, że podczas tego przeszukiwania modlił się żarliwie, zlany potem.

Tego wieczoru nie było więcej pociągów. Zatrzymani podróżni spali pokodem na stacji. Anna zainstalowała się na ziemi koło starszego mężczyzny w zarzuconym na pochylone ramiona, połatanym płaszczu żołnierskim; staruszek przytknął do ust butelkę wina, a następnie gościnnie puścił ją w obieg w najbliższym otoczeniu, jednocześnie smarując masłem duże kawałki chleba i rozdzielając je na prawo i lewo. Anna odrzuciła jego propozycję, on jednak wcisnął jej w ręce butelkę gestem nieuznającym sprzeciwu.

- Mam jeszcze dużo więcej - uśmiechnął się beztrudnie, wskazując trzęsącym się palcem na swoją torbę. Nie wahała się dłużej, radosna atmosfera wokół szczodrego staruszka była zaraźliwa. Jednogłośnie chwalono winnice na wzgórzach nad Mozela, butelki w ramach eksperymentu przechodziły od ust do ust. Anna wyciągnęła się na ziemi z głową na walizce i powoli zapadła w drzemkę. Rano obudzono ją winem - kolacja z poprzedniego wieczoru była teraz śniadaniem o tych samych składnikach. Wszyscy zapomnieli o swoich kłopotach, zaczęto śpiewać, zaświeciło jesienne słońce, wjechał nawet na stację pociąg do Trewiru. W przedziale od nowa podjęto przerwane świętowanie, którego promieniującym ośrodkiem był wymięty gospodarz.

Po pokonaniu kilku kilometrów pociąg zatrzymał się nagle, ponieważ zabrakło torów. Poszli dalej pieszo, śpiewając miarowe piosenki i popijając, słońce błyszczało w anielskich włosach, dziko rosnących wzdłuż torów. Nieco dalej czekał następny pociąg. Nic nie było w stanie zaburzyć radości świętowania.

- Cóż to za towarzystwo - zamruczał ksiądz przy oknie - całe to picie, ten bełkot. - Zirytowany chwycił różaniec i zaczął się modlić, przeciwstawiając się otaczającej go niemoralności.

- Chce pan również troszkę? - Anna wyciągnęła ze śmiechem butelkę w jego stronę. Zaciskając wargi, potrząsnął przecząco głową. W Bernkastel wszyscy wysiedli, zostawiając ją jedynie w towarzystwie księdza. Wychyliła się z okna, aby pomachać na pożegnanie pomarszczonemu filantropowi, roztaczającemu wokół siebie tyle radości. Kołyszącym się krokiem szedł wzdłuż peronu w kierunku oczekującej go żony, która dzięki przenikliwemu wzrokowi już z daleka postawiła diagnozę, że jego torba jest pusta.

- Gdzie jest chleb... - zaczęła gderać. - Gdzie jest masło, gdzie jest...! - Skurczywszy się w sobie, człowieczek wzniósł ręce ku niebu.

- W raju... - jęknął.

Pociąg znowu ruszył. Radość wywołana winem zamieniła się w uczucie smutku. Kiedy przyglądała się malejącej sylwetce staruszka, wzdłuż otwartego okna zaczęły kapać jej sentymentalne łzy. Opadła na swoje miejsce, ksiądz spojrzął zmieszany sponad różańca. Przypomniawszy sobie swoje chrześcijańskie obowiązki, spojrzął na nią z góry i zapytał, dlaczego płacze.

- Ponieważ cała radość została na peronie. - Wyjaśniła, dlaczego od października 1944 roku na kilku palcach jednej ręki mogła policzyć chwile radości. Ponadto nie była to już beztroska radość, jak dawniej, lecz radość mająca swoje korzenie w rozpacz. Znając podobne paradoksy - jednym z nich było cierpienie w imię zbawienia - skinął potakująco głową.

Zrobiło się ciemno, wciąż jednak nie było widać Trewiru.

- Czy ma pani gdzie przenocować? - zapytał rzeczowym tonem.

- Na stacji - odrzekła Anna lakonicznie.

Spojrzał na nią z dezaprobatą.

- Jak ksiądz myśli, dlaczego tak wyglądam? - wskazała na swój brudny mundurek.

Milczał, myśląc o czymś intensywnie.

- A gdybym tak panią zabrał do zakonnicy, do klasztoru? Poszłaby pani ze mną?

- O mój Boże! - krzyknęła - to istnieją jeszcze klasztory?

- Tak, oczywiście.

- W tych czasach?

- Tak - odrzekł z lekką irytacją.

- Oczywiście, pójdę z księdzem.

Gdy dotarli do Trewiru, Anna zaczęła odczuwać okropne pragnienie wywołane nadmiarem wina. Czując wszystkie swoje członki, wysiadła z pociągu.

- Proszę iść za mną - rzekł szorstko wielebny; podążył szybko przed nią w stronę ciemnego miasta. Taszczyła za sobą ciężką walizkę po kocich łbach, jak psa na smyczy. Ksiądz szedł dziesięć kroków przed nią, nie oglądając się za siebie, z obawy przed kompromitacją. Podejrzewała, że kieruje nim nie tyle miłość bliźniego, co obawa o własne miejsce w niebie: „To, co czynicie dla najmniejszego z moich braci, czynicie dla mnie”. Dysząc z wysiłku, podążała za czarną sutanną wzdłuż ciemnych fasad budynków. Każdy krok był krokiem w kierunku przeszłości - aż po czasy Rzymian w postaci bramy Ponta Nigra, która wznosiła się nad nią, strasząc swoją masywną sylwetką. Przedstawiciel kościoła skręcił w prawo i zatrzymał się przed czarnymi, drewnianymi drzwiami z żelaznymi okuciami.

Zapukał, wymamrotał trzy słowa i zniknął, nie podawszy jej ręki, ani nie powiedziawszy nic na do widzenia - z tego służebnika bożego nie emanowała najmniejsza drobina humanizmu.

Służebnice boże zupełnie inaczej rozumiały swoją uprzywilejowaną pozycję. Gdy ujrzały Annę, nie powiedziały słowa, lecz natychmiast ruszyły na ratunek. Napełniono wannę ciepłą wodą, zabrano jej brudne ubranie; gdy leżała w kąpiel, klasztor wypełniły nocne działania. Owiniętą w czysty ręcznik, zabrano ją do pokoju gościnnego, gdzie zanurzyła się między czyste, gładkie prześcieradła i zasnęła, widząc przed oczyma niebiańsko uśmiechniętą zakonnicę. Gdy otwarła oczy, jej jasnoszary, prążkowany mundurek pielęgniarski leżał pyszniąc się na stole w porannym słońcu, jak na wystawie w sklepie - wyprany, nakrochmalony i wyprasowany.

Przybyła do Saarburga jako nienagannie ubrana siostra Czerwonego Krzyża. Historia się powtórzyła: okazało się, że Ilsa, starając się o uwolnienie narzeczonego - wciąż go jeszcze trzymano w niewoli - znów wyruszyła dalej, poganiana przez niemiłą perspektywę zbliżającej się zimy. Dla Anny znalazła się praca: wyjątkowo nieprzyjemne zajęcie, które przez cały czas cierpliwie na nią czekało. Mszcząc się za pięć lat wojny, Luksemburczycy przekroczyli granicę i błyskawicznie dali wyraz swojej niechęci, wyżywając się na dobytku mieszkańców wsi. Ściany i okna domu z pruskiego muru należącego do rodziców Ilsy były wysmarowane fekaliami; pościel została wywleczona z szaf i zaszargana - matka Ilsy opowiadała z ustami zaciśniętymi z powstrzymywanej wściekłości, jak rozsiedli się przed domem i na jej oczach sfabrykowali materiał swojej zemsty: „Ci *Retourkutsche*¹, rozumie pani, odrażający naród ci Luksemburczycy”. Była zbyt chorowita, aby osobiście wziąć się za wielkie porządki, a jej mąż codziennie pracował do późna w tartaku.

Anna zakasała rękawy i przystąpiła do roboty. Dziesięć lat temu uciekła z chlewu, teraz znów się w nim znalazła - było jej wszystko jedno. Kiedy jednak okazało się, że ciężarówka z tartaku może ją podwieźć spory kawałek we właściwym kierunku, cisnęła do kąta szmaty i szczotki - wystarczająco długo krążyła wokół celu. Matka Ilsy wiedziała, co przywiodło w te strony jej pracownicą sprzątaczkę i musiała pogodzić się z jej odejściem. W rześmistym dżdżu samochód dojechał aż do Daun w rejonie Eifel. Pieszko ruszyła dalej, przez niezmierzone lasy świerkowe, których widok rozplywał się we mgle drobnych kropelek. Było zimno, wilgoć przenikała przez zelówki jej butów, jednak świadomość, że jest coraz bliżej, sprawiła, iż stała się obojętna na wszelkie trudy. Ta opuszczona droga wijąca się serpentyną w górę i w dół między ponurymi świerkami, była dokładnie tym, czego można było się

¹ (niem.) - dosł. powrotne powozy

spodziewać od trasy pielgrzymki prowadzącej do podziemnego świata. Nie odczuwała lęku, widziała przed sobą koniec wędrówki, potem nie byłoby już żadnych pragnień, potem... nie było żadnego potem. Poczucie zimna wpełzało stopniowo powyżej nóg, posuwała się coraz wolniej, zółwki jej butów były zdarte, a prowizoryczne łąty zwisały i klapały przy każdym kroku. Widziała przed sobą jedynie połyskujące czarne pnie drzew i gałęzie, z których kapłała woda - chociaż organizm buntował się coraz bardziej, duch uparcie się nie poddawał. W pewnej chwili on również nie mógł tego dłużej wytrzymać i zaczął się wtrącać. - Posłuchaj, kochanie - odezwał się ze współczuciem - postaraj się wrócić do domu. - Cóż ty sobie wyobrażasz, przecież jeszcze tam nie doszłam... Tak przemawiał do niej jej duch; początkowo ignorowała jego rady, kiedy jednak - troskliwie jak zawsze - zaaranżował dla niej pojazd jadący w przeciwnym kierunku, który wolno wynurzył się z mgły, w końcu skapitulowała. Dzisiaj wygrześ, przyznała, ale dojdę tam... w bardziej odpowiedniej chwili.

W Saarburgu powróciła do robienia porządków. Wyrzekania na Luksemburczyków nie zamierały, ściagały ją przez wszystkie pokoje, jak napędzana zemstą wiertarka - docierały również do starszej pani, która zajmowała kilka pokojów na tyłach domu.

- Jak pani tu wytrzymuje? - spytała, przyglądając się mordędze Anny. - Nie może pani przecież tego robić po wieczne czasy.

- Cóż mogę robić innego - broniła się Anna - czekam na Ilse.

- Mój Boże, wobec tego może pani długo czekać, kto wie, kiedy znajdzie pomoc. Proszę posłuchać, chcę pani coś zaproponować. Mam znajomą w Trewirze, emerytowaną nauczycielkę gimnazjum. Poszukuje kogoś do prowadzenia domu... nie może to być byle kto, rozumie pani. Może to coś dla pani.

Anna powoli skinęła głową - w końcu jej życie zawsze polegało na kolejnych improwizacjach.

Rozpoznała Kaiserstrasse w Trewirze ze swojej nocnej wędrówki za księdzem; zaznajomiła się tam z nowym, interesującym typem człowieka pełnego niezrozumiałych przeciwieństw: Thérèse Schmidt, szczupłą, kościstą kobietą o rzadkich, siwych włosach, utrzymywanych w porządku za pomocą szpilki - chciwą w dziedzinie spraw przyziemnych, lecz szczodłą i pomocną w sferze intelektu. Nie było po niej widać, że codziennie najada się do syta chlebem, mięsem i nabiałem w leżącym nieco za miastem gospodarstwie swojego brata. Bez żenady rozprawiała o tym - nigdy nie przyszło jej do głowy, aby zabrać coś dla Anny, która próbowała utrzymać się przy życiu o dwóch kromkach chleba, kilku ziemniakach i kubku czarnej kawy z fusami dziennie - racji ustalonej przez Francuzów w odpowiedzi na głód, jakiego sami doświadczyli. Niecodzienną chciwość Frau Schmidt trudno było pogodzić

z jej codziennymi wizytami w kościele, studiowaniem Biblii oraz żarliwymi modlitwami - Anna nigdy dotąd nie zetknęła się z bliska z taką bigoterią.

W domu znajdowało się dużo książek, między zajęciami domowymi zaczęła zaspokajać dawny głód lektury. Gdy powróciwszy ze swojej codziennej wizyty, nauczycielka zastała ją czytającą książkę, pełna zdziwienia przysunęła do niej krzesło.

- Nie jest pani stworzona do tego, by całe życie spędzić miotając się między kuchenką a blatem kuchennym, od razu to zauważyłam... kim właściwie chciałaby pani zostać?

- Nie mam pojęcia... - wykrztusiła Anna, zaskoczona nagłym zainteresowaniem. Jej plany na przyszłość nie wybiegały dalej niż, wypełnienie tej jednej jedynej misji.

- Czy nie istnieje coś, co zawsze miała pani ochotę robić?

Anna zmarszczyła brwi, Dante zsunął jej się z kolan, jednak drobna dłoń Frau Schmidt uchroniła go przed upadkiem na podłogę. Sama idea swobody w wyborze zawodu była tak rewolucyjna, że sparaliżowała jej proces myślenia. Musiała uwolnić się od swojego dotychczasowego obrazu świata, w którym kobiety w oczywisty sposób dzieliły się na trzy kategorie: szeroka warstwa dolna, z której wywodziły się wieśniaczki i służące, niewielka warstwa górna, do której należały uprzywilejowane kobiety, pełniące dekoracyjną funkcję uprzejmej, eleganckiej pani domu, oraz pozostała kategoria niezamężnych kobiet działających w dziedzinie oświaty, zatrudnionych jako pielęgniarki lub żyjących w klasztorze. Żadna z kobiet nie dokonywała wyboru sama, było to coś, co je spotykało - wskutek urodzenia bądź okoliczności. Frau Schmidt powtórzyła swoje niewinne pytanie.

- Hm... - westchnęła Anna. Kręciło jej się w głowie, nie wiedziała, czy to z powodu głodu, czy stawiania drażliwych pytań. Jej myśli gwałtownie popędziły z powrotem w czasie w poszukiwaniu przykładów, możliwości zidentyfikowania się z kimś bądź kogoś, kto mógłby włożyć jej w usta odpowiedź - i tak wylądowała w ciemnym, przytłaczająco małym pokoju, gdzie pachniało spoconymi stopami, a na ścianie wisiał poległy żołnierz, który urodził się, aby umrzeć za ojczyznę (znów takie nieuniknione, oczywiste przeznaczenie). Naprzeciw niej stała kobieta - zdecydowanym ruchem zamknęła pośladkami drzwi i otworzyła ramiona w pełnym miłości geście: podejdź no do mnie...

- Ochrona dzieci... - wyrzuciła z siebie Anna. - Myślę, że zawsze tego chciałam.

- Ach, tak... dlaczego więc pani tego nie robi?

- To przecież niemożliwe - odrzekła Anna ochryple - musiałabym najpierw zdać egzaminy końcowe...

Frau Schmidt wyśmiała ją:

- Jeśli to tylko o to chodzi! - Ze swojej oświatowej przeszłości wygrzebała

nauczyciela, który podjął się przygotować Annę w szybkim tempie do egzaminu państwowego. Anna mogła się przyłączyć do kobiety uczęszczającej już na lekcje. Od tej pory codziennie po południu wędrowała do jego domu przez wielowiekowe ulice, między ruinami i ślaniającymi się z głodu ludźmi - wkładając na swoje znoszone buty znoszone gumowe kalosze.

- Proszę posłuchać, pani nie musi niczego rozumieć - wbijał jej do głowy nauczyciel - pani musi jedynie udzielić właściwych odpowiedzi podczas egzaminu. Proszę się tego nauczyć na pamięć!

Już wtedy, gdy Anna deklamowała w towarzystwie dumnego ojca *Das Lied von der Glocke*, wszyscy dziwili się jej pamięci, teraz z kolei nauczyciel tracił dech w piersi, podziwiając szybkość, z jaką wprowadzała w życie jego wskazówki. Przegonił ją przez gramatykę, przez podstawy matematyki, przez historię, geografę i literaturę niemiecką. Po dwóch tygodniach stwierdził:

- Pracuję tu z dwoma końmi o nierównej sile. Pani pędzi jak szalona do przodu, ta druga nie może pani dotrzymać kroku. Będę was musiał rozdzielić.

Jej głowa była zupełnie pusta - wojnę zepchnęła głęboko w niepamięć, z rozmysłem gubiąc klucz do niej. Miała wystarczająco wiele miejsca na oszłamiającą liczbę danych, tak miło neutralnie odnoszących się do spraw kultury. Niestrudzenie wbijała wiadomości do głowy, od czasu do czasu niemal tracąc przytomność z powodu wysokich obrotów.

- Kręci się pani w głowie? - spytał kiedyś nauczyciel.

- Tak... - odpowiedziała niewyraźnie.

- Co pani jadła?

- Dwa ziemniaki...

- Do licha, mogła pani wcześniej powiedzieć! - Przygotował dla niej talerz płatków owsianych. - Proszę nie mieć skrupułów, otrzymuję paczki żywnościowe z angielskiej strefy.

Odtąd lekcje zaczynały się codziennie od talerza owsianki: najpierw ciało, potem duch, taka była jego filozofia. Zwrócił również uwagę na zniszczone kalosze Anny. Jej pracodawczyni, która miała co najmniej dziesięć par butów w tym samym rozmiarze, nie przyszło do głowy, aby odstąpić jej jedną z nich. Nauczyciel wymienił dwie butelki jałowcówki na solidne, skórzane buty. W domu Anna pokazała je z podnieceniem Frau Schmidt. Ta, nie wykazując zainteresowania, uniosła brwi:

- *Na und...?*

W wigilię świąt Bożego Narodzenia Frau Schmidt wybrała się do brata, aby mieć już przedsmak świątecznego posiłku. Zapowiedziała, że po powrocie ma zamiar wziąć kąpiel -

aby oczyścić ciało, zanim podczas pasterki przyjdzie kolej na duszę. Anna miała wszystko przygotować i na piecu węglowym w kuchni zagotować wielki gar wody. Zrobiło się już ciemno, gdy nieoczekiwanie zabrzmiał dzwonek do drzwi. Przed drzwiami stała kobieta, przyciskająca do siebie płaczące, zawinięte w szmatki niemowlę; wydawało się, że zaraz z wycieńczenia osunie się na próg. Anna chwyciła ją, zaprowadziła do kuchni i wzięła od niej dziecko, które cuchnęło tak, jakby nie było przewinięte od kilku tygodni. Kątem oka dostrzegła parujący garnek i balię - wszystko było przygotowane dla *gnädige Frau*. Bez namysłu napełniła balię, rozebrała dziecko i wyrzuciła cuchnące szmaty na korytarz. Umywszy dziecko, owinęła je we flanelowy kocyk. *En passant* dała matce kanapkę, gotowany ziemniak i kubek czarnej kawy. Nikt nie wypowiedział ani słowa, wszystko odbyło się w pośpiechu, jako łańcuch logicznie po sobie następujących czynności - w obliczu nieustannie grożącego niebezpieczeństwa pojawienia się widma Frau Schmidt, która w każdej chwili mogła wrócić do domu. Co teraz, zapytywała się Anna gorączkowo, dokąd powinny się udać? Klasztor! Zakonnice, anioły bezinteresowności! Narzuciła na siebie płaszcz i zaprowadziła matkę z dzieckiem do urszulanek, a te z zapalem się nimi zajęły. W drodze powrotnej ogarnęło ją miłe uczucie synchroniczności: była wigilia Bożego Narodzenia i w gospodzie nie starczyło miejsca! Ponad gruzami Trewiru niebo było usiane gwiazdami, w dole ona maszerowała w swoich nowych butach. Wszystko trwało w absolutnej równowadze - przez chwilę.

Wróciła do domu równocześnie ze swoją pracodawczynią. Gdy okazało się, że zamiast ciepłej kąpieli czeka na nią balia wypełniona brudną wodą, nauczycielka wpadła we wściekłość. Groteskowym gestem wyrzuciła w górę ramiona, a na Annę spadła powódź oskarżeń.

- Chwileczkę - udało jej się wtrącić - postawię na ogniu nowy garnek, wszystko uprzątnę i gotowe.

Frau Schmidt uspokoiła się dopiero wówczas, gdy został przywrócony porządek i obraz kuchni w pełni zgodził się z obrazem, jaki wyobrażała sobie, gdy zaróżowiona i syta szła w stronę domu.

Podczas pasterki, pachnąca mydłem i krochmałem, siedziała w ławce kościelnej, śpiewając, wiwatując i modląc się, aż miło było patrzeć. Tym samym głosem, który tak dobrze się sprawdzał w kanonadach przekleństw, operowała z zapamiętaniem, na podobieństwo anioła bożego. Anna przyglądała się jej ze stoickim spokojem. W drodze do domu Frau Schmidt rzekła:

- Wciąż jeszcze nie rozumiem, jak mogłaś wprowadzić do mojego domu tak brudną

babę i tak brudne dziecko.

Anna przystanąła, spojrzała jej prosto w oczy i łagodnym głosem przytoczyła słowa, które dopiero co wypowiedział pastor:

- ...ponieważ nie było dla nich miejsca w gospodzie... i Maria urodziła swego pierworodnego syna w stajence... owinęła go w pieluszki i położyła w żłobku...

- Chce się pani wymigać od tego przy pomocy gry słów... - odrzekła nauczycielka opryskliwie, ruszając dalej. A jednak Anna otrzymała prezent gwiazdkowy. Nie ciepłe skarpetki, nie sweter, nie mleko lub mięso, lecz książeczkę do nabożeństwa po łacinie: *Sacramentaria, Lectionarum i Graduale* - ukryta aluzja do tego, że w sferze religijnej Anna musi się jeszcze wiele nauczyć.

Altruizm Frau Schmidt leżał raczej w sferze dydaktycznej. Prowadzone przez nią poszukiwania Akademii Pracy Społecznej nie były sprawą łatwą. Zamknięto wszelkiego rodzaju szkoły przesiąknięte faszystowską indoktrynacją, pozostał jedynie porządny instytut katolicki w Nadrenii-Westfalii. Dyrektorka instytutu natychmiast zareagowała na jej staranny list: w marcu wybierała się z wizytą do seminarium w Trewirze i przy okazji mogłaby ocenić przydatność protegowanej Frau Schmidt.

Dla osłony przed unoszącym się z ruin kurzem Anna miała na głowie chustkę, która trzepotała na wietrze. Im bardziej się zbliżała do seminarium, tym większy odczuwała w trzewiach strach przed egzaminem. Dyrektorka, wyniosła i niecierpliwa, nie uczyniła niczego, aby mogła poczuć się swobodniej, lecz od razu ustawiła ją w krzyżowym ogniu pytań.

- Dlaczego chce pani zostać pracownikiem społecznym? - spytała cynicznym tonem, tak jakby nigdy jeszcze nie spotkała się z równie bezwstydnym, brutalnym planem.

- Pragnę pomagać ludziom - zabrzmiała cicha odpowiedź.

- Co takiego?

- Ponieważ pragnę pomagać ludziom! - powtórzyła Anna podniesionym głosem, zapominając o wszelkich względach i uprzejmych zwrotach.

Zapadła kłopotliwa cisza. Zepsułam wszystko, myślała, szybko mi się to udało. Dlaczego jednak traktuje mnie jak psa? Nawet psa głaszczę się po głowie, mówiąc mu: jesteś miłym pieskiem. W końcu pełna skruchy przerwała ciszę:

- Sama byłam kiedyś dzieckiem, które potrzebowało pomocy.

Znów ta cisza i szyderczy, świdrujący wzrok autorytetu, który miał zdecydować o jej losie.

- Może pani odejść.

Anna wróciła przygnębiona do domu. Frau Schmidt rzuciła się na nią natychmiast:

- No i, jak poszło?

- Mogę się z tym pożegnać, nic z tego nie będzie.

Nauczycielka prychnęła z niedowierzaniem. Miała własne kanały, aby zdobyć obiektywne informacje; kilka dni później zakomunikowała pełna zwycięskiego triumfu:

- Zrobiłaś na niej głębokie wrażenie. Ta wie przynajmniej, czego chce, powiedziała do przeora...

Anna zmęczona podniosła wzrok. Nie chciała nic więcej o tym słyszeć, nauczycielka fantazjowała sobie po prostu. Poczta potwierdziła jednak jej słowa. Dostarczono zniszczony telegram, który przeszedł przez wiele rąk: „Początek pierwszego semestru: 1 września”.

Żegnaj, Frau Schmidt, *Studienrätin*¹! Zanim jednak wyruszyła do Nadrenii-Westfalii musiała jeszcze raz podjąć próbę. Tym razem miała solidne buty, świeciło słońce, mogła się zabrać samochodem pocztowym aż do samej wioski. W centrum wysiadła, mieszkańcy wskazali jej drogę. Z naręczem zerwanych po drodze kwiatów otworzyła skrzypiącą, żelazną furtkę. Na środku, podobnie jak w kościele, znajdowało się tam przejście, po którego obu stronach leżały rzędy grobów. Przy wejściu najstarsze: pokryte mchem, wytrawione przez deszcze i mrozy okoliczne nazwiska, wyrte na zapadniętych krzywo kamieniach i popękanych nagrobkach. Między nimi przycięte cisy i tuje oraz uderzająca cisza, przerywana jedynie śpiewem ptaków. Idąc dalej, mijano się świeższe groby. Jeden z nich wyraźnie się wyróżniał, ponieważ nie był podłużny, lecz kwadratowy, i znajdowały się na nim trzy po amatorsku wykonane drewniane krzyże, które pochylały się ku sobie, jakby w sobie wzajemnie szukały wsparcia. Gdy kierowana intuicją zaczęła iść w tę stronę, ogarnął ją nedorzeczny, nagły strach: obawa, że okaże się, iż on miał rację i że znajduje się wszędzie z wyjątkiem tego miejsca... że wyśmiej ją bezlitośnie z powodu jej naiwności. Nie było jednak przed tym ucieczki: od czasu uwolnienia z obozu Amerykanów była w drodze do tych żalonych dwóch metrów kwadratowych. A więc wolno, noga za nogą, zbliżała się do miejsca, które miało ją otrzeźwić. Każdy z krzyży nosił imię wyrte znakami przypominającymi pismo asyryjskie - jego nazwisko znajdowało się na środkowym krzyżu. Ziemia pod nim była pokryta świeżymi gałęzmi świerkowymi, na których spoczywały białe róże. Od kogo, dla kogo były te kwiaty? Uklękła, położyła obok swój polny bukiet i wpatrywała się w jego imię w nadziei, że dzięki temu zmanifestuje się w jakiś sposób jego obecność, widziała jednak przed sobą jedynie opalonego na brąz żołnierza, który wesoło machał do niej na pożegnanie na stacji w Norymberdze: *...diese Scheisse ist sowieso baldzu*

¹ (niem.) - wykładowczyni, doradzająca studentom

Ende... Jeśli wciąż jeszcze gdzieś żył, to tylko w niej, i nigdzie na świecie nie stało się to równie oczywiste, jak tutaj...

- Co pani robi przy moim grobie? - rozległ się za nią kobiecy głos, burząc otaczającą ciszę. Anna zeszytywniała. Nie odwracając się, odrzekła z godnością:

- Jeśli istnieje na świecie osoba, do której należy ten grób, to ja nią jestem. Spoczywa w nim mój mąż.

Z pobliskiej tui dobiegł niedyskretny śpiew kosa, nagle zmieszał się z nim odgłos stłumionego szlochu. Anna odwróciła się. Zapuchniętymi oczyma przyglądała jej się młoda kobieta. Dzięki przysłowiowemu milczeniu grób odzwierciedlał znaną cechę wszystkich grobów na świecie, w Annie zakiełkowało jednak niedające się stłumić podejrzenie, zbyt straszne, aby je ubrać w słowa. W tym grobie spoczywają jeszcze dwaj inni, próbowała się uspokoić.

- Czy pani jest Frau Grosalie... - spytała dziewczyna niewyraźnym głosem.

- Tak, tak... - odrzekła Anna gwałtownie - jestem Frau Grosalie, co pani ma jednak wspólnego z moim mężem...?

Tamta spojrzała bezradnie w powietrze, jakby oczekiwała stamtąd jakiegoś znaku. Annie nie przychodziło do głowy żadne możliwe wyjaśnienie. Ich spojrzenia skrzyżowały się przez chwilę.

- Wyjaśnię to pani - wybąkała dziewczyna. Odchrząknęła. - Był zakwaterowany u naszych sąsiadów... poznałyśmy go przez płot, moja matka i ja... natychmiast go polubiłyśmy... obydwie... - W ten sposób, nieśmiało, podjęła swoją opowieść. Poprzez nią, poprzez ostatnią żeńską istotę, którą widział przed śmiercią, Martin nawiązał w nieortodoksyjny sposób kontakt z Anną - za jej pośrednictwem wyjaśnił żonie wszystkie szczegóły. Teraz dopiero jego abstrakcyjna śmierć - *der Heldentot Ihres Mannes* - stała się czymś, co przydarzyło mu się w określonym momencie, w określonym miejscu. W jednej chwili żył jeszcze i był w stanie widzieć, słyszeć, wachać, rozmawiać, śmiać się - a później trzeba było zbierać jego zwłoki. Głuchym głosem dziewczyna przywołała z pamięci ten wrześnieowy dzień w 1944 roku. Biuro w Prüm, w którym pracowała, zostało zamknięte, ponieważ cała okolica stała się obszarem frontowym i ustał wszelki transport. Z konieczności pozostała w domu. Siedziała w słońcu na ławce w ogrodzie, gdy oficer z sąsiedztwa pomachał jej na dzień dobry i zawołał, że otrzymał rozkaz udania się ze swoim oddziałem do Westfalii, aby zająć bunkier z aparaturą łączności. Zerwała się z ławki:

- Czy mogłabym zabrać się z panem do Prüm? - zapytała tknięta nagłą myślą. - Zostałam tam w biurze torbę z różnymi rzeczami.

Potrząsnął przecząco głową:

- Drogi są niebezpieczne, Amerykanie bombardują nas ze wszystkich stron.

Kiedy jednak naciskała, błagając, aby ją zabrał, poddał się w końcu:

- No dobrze, jeśli tak bardzo pani na tym zależy.

Wyruszyli, ciężarówka lawirowała na leśnej drodze; od czasu do czasu wybuchało coś w oddali, liście i jagody trzęsły się w powietrzu, po czym znów zapadała cisza.

- O mój Boże - zawołała nagle z uczuciem paniki - zapomniałam klucza!

Martin zbagatelizował ten fakt:

- Niepotrzebny pani przecież żaden klucz, zobaczy pani, w tym domu nie ma już ani jednego okna, będzie pani mogła po prostu wspiąć się do środka...

- Może to i prawda - odrzekła z uporem - jednak wolę mieć klucz przy sobie. - Dała znak, że chce wysiąść, Martin próbował ją powstrzymać:

- To niezwykle niebezpieczne wracać samej pieszo.

Żadne argumenty jednak nie pomagały, niewzruszona wiara w konieczność posiadania klucza zmusiła ją do natychmiastowego powrotu. Pożegnała się, wysiadła i ruszyła z powrotem drogą, którą przybyli.

Po południu powrócili do wioski technicy łączności. Trzej spośród nich owinięci bandażami jak mumie, sześciu innych nietkniętych. Mieszkańcy rzucili się do nich, wytrącona z równowagi dziewczyna znalazła się między nimi i oskarżającym tonem poprosiła o wyjaśnienie tych, którzy przeżyli, nie przypuszczając, że i tak ciąży już na nich silne poczucie winy. Jeden z nich z opuszczoną głową przekazał relację z wydarzeń. Ciężarówka zbliżyła się do jakiejś wioski, Martin siedział - o czym wiedziała - na przedzie między szoferem a jednym z żołnierzy. Ci siedzący z tyłu zawołali nagle:

- Zatrzymajmy się na chwilę, chcemy zerwać kilka jabłek.

Na zboczach znajdował się sad, czerwone jabłka błyszczały w słońcu.

- Nie możemy się zatrzymywać - powiedział Martin. - Jeśli się zatrzymamy, staniemy się łatwym celem dla Amerykanów.

Żołnierze zaczęli jednak marudzić: „tylko na chwilę” i Martin, dobroduszny jak zwykle, nie dał się prosić.

- No dobrze, tylko szybko! - skapitulował.

Sześciu żołnierzy wyskoczyło z samochodu i pobiegło do sadu, zachowując się jak niegrzeczni chłopcy. Na chwilę zapomnieli o wojnie, potrząsali gałęzmi i zbierali jabłka, gdy nagle poderwała ich na równe nogi eksplozja w dole. Na ich oczach kabina z trzema pozostałymi, trafiona przez ogień granatów, wyleciała w powietrze.

Dziewczyna słuchała go, nie mogąc wykrztusić słowa; przyglądała się trzem prozaicznym pakietom i widziała przed sobą mężczyzn, między którymi jeszcze kilka godzin temu siedziała w braterskiej komitywie. W tym czasie zgromadzono bagaże należące do ofiar; w walizce Martina między książkami znajdowała się para jasnoniebieskich bucików dziecięcych oraz srebrna torebka wieczorowa. Dopiero gdy ujrzała jego osobiste rzeczy, dotarła do niej w pełni cała tragedia. Wybuchając płaczem, odwróciła się od tej sceny. A wtedy ktoś z tłumu wykorzystał sytuację - gdy doszła do siebie i odwróciła się z powrotem, buciki i torebka zniknęły.

Anna powoli skinęła głową. *Der Heldentot Ihres Mannes...* Zginął dla garści jabłek. Pasowało to do tego jednego jabłka, które sprowadziło nieszczęście na całą ludzkość. Martin brnął przez stopy Rosji i pola Ukrainy, przeżył mrozy, atak partyzantów i śmiertelną chorobę - przez całą wojnę został oszczędzony po to, by na skraju wioski w Eifel umrzeć dla garści jabłek. Choć jego śmierć wydawała się bezsensowna i absurdalna, jednak pasowała do niego: poległ, wyświadczając innym przysługę. Rozpoznała go w tym takiego, jakim był naprawdę... nagle, w opowieści o jego śmierci, zjawiał się blisko przy niej.

- Czy te kwiaty są od pani? - spytała cicho.

- Wymieniłyśmy z matką z Trewirze masło i jajka na te róże.

Anna rozejrzała się wokół, inne groby były zaniedbane, kwadrat z trzema krzyżami stanowił pośród porośniętych nagrobków utrzymywaną z miłością wyspę.

Dziewczyna upierała się, aby przedstawić Annę swojej matce. Ta potrząsnęła wzruszona jej dłonią.

- *Ihr Mann war ein so guter Mensch*¹... - westchnęła, pociągając nosem. Następnie przygotowała wdowie takie przyjęcie, jakby była ona długo oczekiwanym członkiem rodziny z Ameryki. Postawiono na stole wszystko, co można było znaleźć do jedzenia w domu i w ogrodzie, przyprawione pachnącymi ziołami. Anna zdawała sobie sprawę z tego, że był to posiłek poświęcony wspomnieniom o zmarłym i zarazem radosne święto. Jej mąż nie żył, dziewczyna jednak żyła nadal - dzięki swojej nadzwyczajnej obsesji dotyczącej klucza.

- Nie rozumiem tylko - rzekła matka przy pożegnaniu - że SS pochowało ich i postawiło krzyże, lecz nasz pastor odmówił pobłogosławienia ich, ponieważ to są SS-mani. Czy to po chrześcijańsku...?

- Miałś przynajmniej grób, który mogłaś odwiedzać - stwierdziła Lotta zimno. Nie miała zamiaru dać się wciągnąć w opowieść siostry o jej pielgrzymce do grobu oficera SS.

¹ (niem.) - Pani mąż był takim dobrym człowiekiem...

Pogrążona w myślach Anna spojrzała na nią zdziwiona.

- Co masz na myśli?

- W Mauthausen nie było żadnego cmentarza.

Anna wyciągnęła przed siebie obolałe nogi. Przez kilka dni wierzyła naiwnie, że dzięki łagodzącemu działaniu kąpieli ból się zmniejszył, teraz jednak nagle powrócił z całą siłą.

- Kilka lat temu byłam w Auschwitz... - powiedziała - codziennie zagazowywano tam sześć tysięcy osób. Gdy znalazłam się w tym samym miejscu, do którego kierowano wszystkich, przypomniałam sobie piękne lato 1943 roku. Przyjechał Martin, chodziliśmy pływać w jeziorze, wybraliśmy się z powrotem na wyspę, cudowny weekend tylko dla nas dwojga - nie zdawałam sobie wówczas sprawy z tego, że to pożegnanie. To, że w tym samym czasie, gdy przeżywałam tę szczyptę szczęścia w swoim życiu, miliony ludzi przebyły tę drogę... nie mieściło mi się w głowie, to było takie straszne... - Pomasowała swoje kolana. - Czy jednak byłam szczęśliwa, czy też nie... im to nie pomogło...

To była prawda oczywista. Lotta zamilkła.

- Początkowo w to nie wierzyłam - ciągnęła Anna. - Po raz pierwszy ujrzałam te obrazy w telewizji w latach pięćdziesiątych. Wiesz, co sobie wówczas pomyślałam? Że Amerykanie zgromadzili ciała ze zbombardowanych przez siebie miast i rzucili je na stos w obozie koncentracyjnym. Nie mogłam w to uwierzyć.

- Kiedy to w końcu do ciebie dotarło? - spytała Lotta kąśliwym tonem.

- Zaczęło się od wielkiej wystawy „Żydzi w Kolonii od czasów rzymskich”. Tam prawda zaczęła do mnie powoli docierać. Musisz to zrozumieć: nie interesowałam się polityką. Poświęciłam się całkowicie swojej pracy, nie istniało dla mnie nic innego.

- *Wir haben es nicht gewusst, wir hatten etwas Anderes zu tun*¹ - rzuciła z lekceważeniem Lotta.

- Tak... nie... - odrzekła Anna podrażniona. - W codziennym życiu nie słyszało się nic na temat Żydów, nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek ktoś o nich wspomniał.

Ogarnięta głuchą świadomością daremnych wysiłków, Lotta podniosła się z miejsca. Do środka weszła pielęgniarka, prosząc, aby się ubrały. Zbliżał się czas zamknięcia, personel chciał udać się do domu.

Niedająca się zaprzeczyć więź rodzinna wciąż dochodziła swoich praw, czy chciały tego, czy nie. Coś zmuszało je bez przerwy do wiosłowania pod prąd, każda w swoim

¹ (niem.) - Nie wiedzieliśmy o niczym, mieliśmy co innego do roboty.

kierunku - jedna powodowana aktywnym pragnieniem podboju, druga jako bezwolna ofiara irytującej siły przyciągania, której nie potrafiła się oprzeć.

Tego wieczoru jadły razem obiad w małej restauracji przy Avenue Astrid. Była sobota, następnego dnia nie musiały meldować się przed świtem w instytucie. Pragnąc doświadczyć poczucia sobotniego wieczornego luzu, weszły do Relais de la Poste i usadowiły się na skórzanych ławkach z lat trzydziestych, kiedy to obie były jeszcze młode i nie zdawały sobie sprawy z tego, co wisi nad ich głowami. Piły kawę z Grand Marnier, grająca szafa wypełniała przestrzeń przebojami z lat pięćdziesiątych.

- Życie toczy się dalej, tak się zawsze mówi... - Anna popiła nieco ze swego kieliszka - kiedy przeżyliśmy wielką stratę, ktoś poklepuje nas po ramieniu i mówi: głowa do góry, życie toczy się dalej. To wprawdzie stereotyp, lecz jednocześnie gorzka, uniwersalna prawda. Nasze miasta leżały w gruzach, nasi żołnierze byli martwi, okaleczeni, pozbawieni złudzeń, oskarżono nas wszystkich jako naród o popełnienie największego masowego mordu w historii ludzkości, byliśmy bankrutami pod względem ekonomicznym i moralnym... a jednak, w ten czy inny sposób, życie potoczyło się dalej. Zagłębiłam się w studia, w pracę. Wszyscy poszli do pracy, mój Boże... - Opróżniła jednym łykiem swój kieliszek i roześmiała się w duchu. - Ta cała odbudowa była jedną wielką terapią pracy!

Lotta wpatrywała się nieobecny wzrokiem w kieliszek. Przepływały przed nią wspomnienia z przygnębiających czasów pokoju. Nie chciała do tego powracać myślami i właśnie dlatego o tym myślała.

Ernst pracował również. Przyjął posadę u lutnika w Hadze, który z powodu zreumatyzowanych dłoni zmuszony był do przekazywania mu coraz większych partii pracy. Przeprowadzili się do małego mieszkania za warsztatem lutniczym - Ernst, jak wielu innych po wojnie, zarabiał niewiele. Opanowany swoim nowym poczuciem odpowiedzialności jako mąż i przyszła głowa rodziny, rzucił się do dzieła, pracując coraz więcej: przez pięć dni w tygodniu naprawiał skrzypce, przez dwa pozostałe konstruował nowe na sprzedaż. Przez siedem dni w tygodniu Lotta była pozostawiona swoim myślom, z których małżeństwo miało ją wyzwolić. Oderwana od swojej rodziny, chodziła tam i z powrotem po pokoju, przeżywając bolesne *déjà vu*. Do czego doszła, czy naprawdę sama tego chciała? Marzyła o dużym, starym domu z wysokimi sufitami, który pogodziłby ją z samotnością małżeństwa, o domu, w którym czułaby się u siebie. To marzenie pędziło ją przez płataninę ulic i kanałów. Nadeszła jesień, potem zima, ciemne fasady odrzucały ją od siebie, oświetlone pokoje sprawiały, że czuła się zamknięta na zewnątrz - brakowało jej tylko zapalek. Wydawało się,

że odprawiała pokutę w formie wiecznego błędzenia, bez domu, bez krewnych, zasłużony los kogoś, kto nie był ani tym, ani kim innym, lecz hybrydą, zdradziecko ciągnącą w dwie strony.

Może brakowało jej muzyki. Gdzie podziała się Amelita Galli-Curci? *Exultate Jubilate? Pasja wg św. Mateusza?* Znalazła nauczycielkę śpiewu, lecz już podczas pierwszej lekcji okazało się, że niewiele z jej głosu pozostało. Rzuciła się do przeproszania nauczycielki - pełna nostalgii wymieniała śpiewane przedtem utwory, gdy jednak w jej oczach ujrziała wyraz wątpliwości, sama zaczęła w to wątpić. Co stało się z jej głosem, który niegdyś bez trudu wypełniał całą wieżę ciśnień? Jej struny głosowe upodobniły się do wysuszonej gumy, kruszącej się w palcach.

Gdy chciała słuchać muzyki, musiała udawać się z wizytą do rodziców. Tam jednak przez fasadę normalnego życia rodzinnego przebijał stopniowy rozpad. Jej matka, która ze sztuczną wesołością utrzymywała całość w swoich rękach, popadła w nawyk jedzenia, aby zapomnieć o przeżytych głodzie oraz o wszystkim innym. Razem z tymi, którzy się ukrywali, straciła niemal wszystkie swoje dzieci. Okazało się, że kiedy Jet leżała ze wstrząsem mózgu w łóżku, a Ruben czytywał jej godzinami dla zabicia czasu, rozwinęło się między nimi potajemne uczucie. Theo de Zwaan dawno temu zmiękczył serce podobnej do Kopciuszka Marii. Mies wprowadziła się na krótko przed wojną na piętro nad zakładem modystki. Wszystkie były zameżne i wyniosły się z rodzinnego domu. Koen wyjechał na zaproszenie Brama do Ameryki, która od dnia inwazji w Normandii zaczęła się cieszyć niemal mityczną popularnością jako kraj nieograniczonych możliwości. Dwoje najmłodszych dzieci, mieszkających jeszcze w domu, nie było w stanie koncentrować się w szkole; były niespokojne i nieposłuszne.

Lotta nie mogła również znieść, że jej ojciec, który teraz miał żonę niemal wyłącznie dla siebie, był w tak dobrym humorze. Kiedyś zatrzymał go na ulicy stary znajomy i zaczął mu się przyglądać z zakłopotaniem.

- Że też pan jeszcze żyje! Pan przecież nazywa się Rockanje?

Skinął podejrzliwie głową.

- Dałem panu wówczas zastrzyk... - zawołał tamten z entuzjazmem - prosto w serce; w odruchu rozpaczy, ponieważ spisałem już pana na straty!

Ojciec Lotty, który nie pamiętał niczego i wszystko na temat swojej choroby słyszał z ust innych, podziękował mu zmieszany za jego dzielny postępek i na uginających się nogach wrócił do domu. Czuł się tak, jakby po raz drugi podarowano mu życie i tym razem postanowił, że nie da się nikomu powstrzymać i naprawdę będzie się z niego cieszył. (Wielkie rozczarowanie kazało jeszcze trochę na sobie czekać: batuszka Stalin był wciąż

człowiekiem, o którego postępowaniu nie dyskutowało się).

Wojna jeszcze raz w perfidny sposób doszła do głosu i splamiłaby jego reputację, gdyby Sara Frinkel nie podjęła stanowczych kroków. Organizowano żydowski obiad; zaproszono również rodzinę Frinkel, która nie wyjechała jeszcze do Ameryki. Podczas posiłku Ed de Vries, co zawsze zwracał na siebie uwagę jako zabawiający towarzystwo artysta estradowy, powiedział na cały głos, że rodzina Rockanje ukradła mu skrzynię z kosztownościami wartości pół miliona, daną im na przechowanie. Oburzona Sara Frinkel zawołała przez stół:

- Jak śmiesz! Natychmiast cofnij to, co powiedziałaś, stary szczurze! Jak ci coś podobnego przyszło do głowy, nie miałeś przecież ani centa! Nie doprowadzaj mnie do śmiechu, ty z twoją rzekomą połową miliona w skrzynce, gdzie miałeś kilka łańców do zakopania. Przejrzałam cię: usiłujesz wyłudzić to od ubezpieczenia. To twoja sprawa, jeśli tylko wybijesz sobie z głowy mieszanie z błotem rodziny Rockanje!

Od czasu do czasu Lotta brała do ręki jedno z gwiazdorskich zdjęć, które Theo de Zwaan zrobił jej i Jet tuż przed wojną. Z jaką pewnością siebie, jak wyzywająco spoglądały wówczas w obiektyw - jakby świat leżał u ich stóp. Jakaż brawura, jaka ignorancja! Z goryczą i nostalgią myślała o tym, jak wyglądało życie przed wojną. Chociaż byli przeciw Bogu i Colijnowi, jednak dzięki matce wierzyli romantycznie w sprawiedliwość, człowieczeństwo, piękno. Kiedy w letnie wieczory Beethoven wypływał przez okno na zewnątrz, a oni wszyscy siedzieli w wiklinowych fotelach, patrząc na gwiazdy i ciemny brzeg lasu, myśleli wówczas: jeśli istnieje taka piękna muzyka, oznacza to, że życie, w swojej najgłębszej istocie, również musi być piękne. Teraz wstyd jej było tych patetycznych uczuć. Beethoven był Niemcem, Bach również, Mendelssohn był Żydem; faszyści kokietowali swoimi niemieckimi kompozytorami i zabronili grania żydowskich - nigdy więcej nie mieli już słuchać muzyki wolni od podobnych skojarzeń. Żeby nie wspomnieć o *Kindertotenlieder*. Wszystko było skalane.

Niepostrzeżenie sala wokół nich się zapełniła. Starsze pary małżeńskie zasiadły przy stolikach, panowie w garniturach z wykrochmalonymi koszulami i pod krawatem, ich panie - prosto od fryzjera - w eleganckich sukniach z plisowaną spódnicą i lakierowanym paskiem. Epoka dżinsów i T-shirtów tutaj jeszcze nie dotarła. Rozległy się dźwięki znanego refrenu i kilka par odważyło się wkroczyć na wygospodarowany pośrodku sali parkiet. Upojny głos Louisa Primy porywał ich za sobą, z rutyną zataczali energiczne kółka... *Buona sera signorina... buona sera...*

- *Wie schön...* - westchnęła Anna - że w ich wieku potrafią jeszcze tak się cieszyć.

Lotta śledziła siwe głowy z grymasem nagany wokół ust.

- Czy nie uważasz, że to nieco żenujące - rzekła krótko - to całe zakochanie, u takich staruszków?

- *Mensch*, nie bądź taka surowa... dla siebie. Czy nigdy nie tańczyłaś ze swoim lutnikiem...?

To sformułowanie „ze swoim lutnikiem” uraziło Lotte. A pomyśl, że mogliby razem tańczyć, tak jak ci wyfiokowani staruszkowie, był nader nieprzyzwoity.

- Mój lutnik nie żyje już od wielu lat.... - odparła ostro, w nadziei, że Annie zrobi się wstyd.

Ona jednak nic sobie z tego nie robiła. Zameldował się przed nimi krzepki staruszek. Zapiął swój garnitur i pochylił się z lekką ironią w kierunku Anny. Ta z uśmiechem rozbawienia podniosła się, przecisnęła między dwoma stolikami i na krótko zniknęła z pola widzenia. *Oh mon papa...* - znęcała się grająca szafa.

Anna wirowała na parkiecie tak, jakby od czasu, gdy zakonnice w cieniu zamku von Zitsewitsa nauczyły ją tańczyć, nie robiła nic innego. Śmiejąc się w duchu, myślała o szumie, jaki wówczas powstał wokół piosenki *Was machst du mit dem Knie, lieber Hans*, jednak casanova w Spa zachowywał się wzorowo. Prowadził ją z pewnością siebie, nie podejrzewając, że osoba w jego ramionach już od dawna nie pozwala się prowadzić absolutnie nikomu. Odważył się nawet zatańczyć z nią własną wersję tanga ze sztywno wyciągniętym ramieniem i gwałtownymi zwrotami o sto osiemdziesiąt stopni. Po zakończeniu utworu odprowadził ją szarmancko na miejsce.

Anna dyszała ciężko.

- Kto by pomyślał - zaśmiała się ochryple - kąpiel borowinowa połączona z tańcami...

Anna jeszcze dwukrotnie pozwoliła się wciągnąć na parkiet taneczny przez swego milczącego partnera, po czym późnym wieczorem opuściły kawiarnię. Dom uzdrowiskowy rzucał na drogę cień jak olbrzymi mastodont. Skręciły w prawo, czując, że od Grand Marnier kręci im się w głowie.

- Kto tańczy, nie dopuszcza do siebie śmierci... - zachichotała Anna, wpadając na Lotte. - Spójrz tylko, jakie czyste niebo! Jutro *bestimmt* będzie ładna pogoda, możemy się wybrać na ładny spacer. Co ty na to, *Schwesterlein*? Ból ustąpił, mówię ci, zniknął bez śladu... ffff... - Wsunęła rękę pod ramię Lotty.

Pod wpływem alkoholu i zdumiewających obrazów, które obserwowała przez cały czas, ona również utraciła nieco swojej rezerwy.

- Posłuchaj, Anno... - powiedziała. - Tam przed chwilą, gdy widziałam, jak wirujesz

po parkiecie, przypomniało mi się nagle coś z przeszłości.

- Masz na myśli dawno temu?

- Tak... Tańczyłaś w holu, dziko, niespokojnie, niepowstrzymanie, a może nie tańczyłaś, tylko bawiłaś się w „Raz dwa trzy, gonisz ty” z... był tam jeden chłopiec...

- Syn woźnego - dopełniła Anna kierowana intuicją.

- To możliwe... mocowaliście się na schodach, wasz podniecony śmiech odbijał się echem w korytarzach... Nagle znalazłaś się u podnóża schodów, krzycząc głośno... coś się stało z twoją ręką... bałam się i krzyczałam razem z tobą. Nie wiem, co się wtedy stało... zaraz, zaraz, poczekaj... - w podnieceniu zaczęła mówić głośniej. Wspomnienie, które zaczęło się przed nią rozwijać, nie chciało się zatrzymać. - Zabrano cię do szpitala i wróciłaś z ramieniem w gipsie, na temblaku. Zazdrościłam ci... chciałam mieć wszystko to, co ty... twoje cierpienie, a także twój opatrunek. Zawieszono wówczas moje ramię na ściereczce kuchennej czy czymś podobnym... w formie pocieszenia.

- Gdy teraz o tym mówisz... - Anna zatrzymała się - gdy teraz o tym mówisz... tak... zupełnie o tym zapomniałam... złamałam wtedy rękę... wydaje mi się, że nawet w dwóch miejscach... Że też to jeszcze pamiętasz! *Na siehst du*¹!

Chciała coś jeszcze dodać, lecz zamiast tego złapała Lottę za szyję. Mieszanka alkoholu i wzruszenia zaczęła niebezpiecznie fermentować. Ich ciała chwiały się niepewnie nad asfaltem tam i z powrotem, tak jakby uchwyciły się siebie nawzajem na statku w czasie sztormu. Przed oczyma Anny żeglowała w tle Atena, przed oczyma Lotty znajdowała się wystawa sklepu warzywnego z pomarańczami i cytrynami. Noga za nogą ruszyły dalej, źródlane miasto Spa miło chwiało się tam i z powrotem, jakby samo nadużyło Grand Marnier. Na środku mostu Anna się zatrzymała - ciężko opierając się o balustradę wskazała szerokim gestem na gwiazdy, które migotały nad sylwetkami dachów i otaczających wzgórz, i zawołała nabrzmiałym uczuciem głosem:

*Zum Sehen geboren,
Zum Schauen bestellt,
dem Turme geschworen,
gefällt mir die Welt.*

Ich blick' in die Ferne,

¹ (niem.) - no popatrz tylko

*ich seh' in der Näh'
den Mond und die Sterne
den Wald unddas Reh...¹*

- Ech... jak to dalej szło - zawołała żałośnie - mój Boże, zapomniałam... Wciąż jeszcze wyrzucała ramiona w kierunku gwiazd, teraz w daremnym geście.

- Chodź - rzekła Lotta, pociągając ją za ramię.

3.

Posługując się mapą dla spacerowiczów, Lotta wybrała trasę o idyllicznej nazwie Promenade des Artistes. Żałowała swojego sentymentalizmu z poprzedniego wieczoru. Wspólne wspomnienie nie stanowiło powodu do bratania się - dziwne, że nie istniał żeński odpowiednik tego słowa: „siostrzeniec się”. Starannie zachowywała odpowiednią odległość, a dłonie trzymała zdecydowanie w kieszeniach swojego zimowego płaszcza. Wodniste słońce prześwitywało przez gałęzie, wzdłuż drogi wił się srebrny strumyk.

Przy każdym kroku Anna cieszyła się z nagłej giętkości swoich stawów - tutejsze błoto zaczynało przynosić efekty! Wdychała orzeźwiający aromat leśny i starała się wciągać tlen głęboko w płuca. Ożywienie szybko sprowokowało ją do dzielenia się swoimi myślami. Zaśmiała się do siebie:

- Nigdy nie zgadniesz, kto mnie odwiedził w Salzkotten.

Na siedzibę Instytutu Pracy Społecznej wybrano najwyższe piętro klasztoru sióstr franciszkanek. Sukcesy w nauce zależały w dużej mierze od talentu improwizacyjnego. Nie było zeszytów ani bloków papieru; komu udało się zdobyć rolkę tapety albo plik papieru pakowego, mógł robić notatki. Docenci, których ściągnięto z całego kraju, przybyli ze swoich zrujnowanych miast do Instytutu po pełnej przygód podróży przez zniszczoną sieć kolejową. Zamieszkali w klasztorze i przez dwa tygodnie szpikowali swoich studentów wiedzą z dziedziny psychologii i socjologii. Wierne przesłaniu Nazarejczyka zakonnice dzieliły się

¹ (niem.) - By patrzeć, poczęty, /By widzieć, zrodzony, /Z tą wieżą sprzęgnięty, /Na wszystkie ja strony /Co spojrzę przed siebie, /To wzrokiem ogarnę /I gwiazdy na niebie, /I lasy, i sarnę. Fragment *Fausta* Johanna Wolfganga Goethego, tłum. Adam Pomorski.

swoimi skąpymi racjami z uczniami, a kiedy nadeszła zima, dobrowolnie siedzieli w zimnie, aby można było ogrzać lokal klasowy.

Było to ironiczny zbieg okoliczności - w odległości spaceru od Salzkotten leżała wioska nad Lippą, w której urodził się jej ojciec i zmarł dziadek; wioska z bajki o świniareczce - jednak bez księcia. Anna nie chciała się zastanawiać nad faktem, że błądzenie po różnych miejscach oraz zrzucenie losu musiały rzucić ją właśnie tutaj, jak element natury skłonnej do nieuchronnego zataczania kręgów. Ignorowała to, że miejsce prześladowań było tak blisko, nawet najładniejsza pogoda nie była w stanie jej sprowokować do udania się w tę stronę. Jednak Salzkotten, ze swoim targiem bydła, było ośrodkiem okolicznych wsi. Pewnego razu wpadła na mieszkańca jej byłej wioski, który chodził z nią do tej samej klasy; zdumieni ponownym spotkaniem, wymienili między sobą wiadomości.

To przypadkowe spotkanie doprowadziło do innego, o wiele mniej przypadkowego. Kilka dni później zapukano do jej drzwi.

- Masz wizytę - wybąkała nieśmiało jej koleżanka studentka - czy mogłabyś przyjść do pokoju odwiedzin?

- Ja, wizytę? - zawołała Anna. - To niemożliwe, nie mam nikogo na świecie. Któż to taki?

- Hm, nie jest to z pewnością dama... Jakaś kobieta, twierdzi, że należy do twojej rodziny.

Niczego nie podejrzewając, Anna zeszła na dół. We drzwiach zeszywniała. Skromnie urządzonym pomieszczeniem całkowicie zawładnęła sylwetka kobiety, która tam na nią czekała; już sama jej obecność stanowiła formę bluźnierstwa. Była krępa i ocieżała, jej skóra błyszczała, oczy i włosy miała czarniejsze niż kiedykolwiek, jej wulgarna pewność siebie ostro kontrastowała z wiszącymi na ścianach powściągliwymi obrazami o tematyce biblijnej.

- *Mein Gott* - rzekła niepasującym do otoczenia, zręcznym tonem - co ty tu robisz, postanowiłaś zostać zakonnica?

Anna utrzymywała odpowiedni dystans; wymagało od niej najwyższego panowania nad sobą, aby stawić czoła udrękom i upokorzeniom, które spływały na nią jak ciemny, diabelski płyn. Nie... Ach, nie... - myślała, odrzucając to od siebie - to nie... W beznamiętny, nieosobisty sposób wyjaśniła cel swojego pobytu w klasztorze.

- Ach, to tak... - westchnęła przybyła, wciąż jeszcze nieskończenie ciekawa. - Posłuchaj, jeśli potrzeba ci czegoś, masła, chleba, jajek, musisz tylko powiedzieć...

Ta brawurowa propozycja z jej ust wywołała w Annie walkę wewnętrzną. W jej głowie kłębiły się groźby sprzed dziesięciu lat: „Przyczołgasz się jeszcze do mnie na

kolanach, błagając o chleb...”. Z drugiej jednak strony panował głód, doświadczali go w klasztorze wszyscy, istniała również zasada wyrównania dawnych win: ileż to winna jej była ta ciotka, pomyślała nagle.

- Wspaniale - usłyszała swój własny, wyniosły głos - wszyscy bardzo byśmy się z tego ucieszyli, można to dostarczyć przy bramie.

Jej ciotka skinęła głową, niezupełnie zadowolona z obrotu sprawy, i Anna pomyślała, że promieniuje z niej nie coś diabolicznego, lecz rodzaj prostactwa, któremu obce są jakiegokolwiek poczucie moralności, rozważania nad sobą bądź sumienie. Gdy nie pozostało nic więcej do powiedzenia, ciotka Marta w całej swojej okazałości ruszyła z powrotem w poczuciu wypełnienia swej roli - godnej miłości ciotki, co kierowana troską udaje się do zakonnicy, aby odwiedzić swoją głodną siostrzenicę. Osłupiała Anna nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Co sprowadziło ją do klasztoru? Nie mogła to być miłość bliźniego. Czy próbowała znów zaciągnąć do zagrody owieczkę, która dziesięć lat temu uciekła ze sfery jej wpływów? Czy wciąż jeszcze potrzebowała taniej siły roboczej, kogoś, na kim mogłaby wyładowywać swoje destruktywne skłonności?

Do bramy nie dostarczono niczego. Anna spotkała natomiast kolejnych mieszkańców wsi, którzy przekazali jej strzępy wiadomości na temat niemiłego obrotu, jaki przybrało życie jej ciotki. Podczas gdy Heinrich walczył na froncie rosyjskim, jego żona okazała się najsłynniejszą handlarką na czarnym rynku w całej okolicy. Niepowstrzymywana współczuciem, w zamian za jajko lub kawałek chleba zabierała uciekinierom z miast wszystko, co posiadali: biżuterię, srebro stołowe, tabakierkę, portret w złoczonej ramie. Za każdy kawałek chleba kazała sobie płacić w czwórnasób. Wszyscy bali się jej i szanowali jednocześnie: głód był silniejszy niż strach. A jedyny człowiek, który mógł ją nieco pohamować, przebywał teraz w rosyjskiej niewoli.

Ostatnia wiadomość, która dotarła do Anny, była tak osobliwa, że początkowo wybuchnęła szyderym śmiechem. Szybko jednak jej śmiech przemienił się w niechrześcijańską wściekłość, która boleśnie kontrastowała z panującym wewnątrz klasztornych murów pokojowym nastrojem. Ciotka Marta rozpowiadała wokół, że finansuje studia swojej siostrzenicy w Instytucie Prac Społecznych. Kiedy człowiekowi wydawało się, że wszystko już widział i nic go nie może zaskoczyć, natychmiast zostawał za swą naiwność ukarany. Zawilości perfidnej duszy - znowu jej się udało zakłócić Annie ledwo odzyskany spokój, nadal było tak, jakby nigdy stąd nie wyjechała.

Jednak lata, jakie tymczasem upłynęły, wywarły swój pozytywny wpływ. Stanowczym krokiem Anna ruszyła przez wiejski krajobraz swojej młodości - pozbawiony

pagórków i gór, jak okiem sięgnąć jedynie pola uprawne i pastwiska. Nie dokuczała jej tęsknota ani nostalgia - niezłomność wykluczyła wszelkie inne uczucia. Zignorowała znajome drzewo i kapliczkę Madonny przy moście łączącym brzegi rzeki, nie wyprowadził jej również z równowagi widok gospodarstwa, ani prawie dorosłych dzieci. Niezapowiedziana wpadła do kuchni i obydwoma dłońmi uchwyciła oniemiałą ciotkę za bluzkę, na wysokości biustu:

- A więc to ty płacisz za moje studia!

- *Bitte, bitte*, o czym ty mówisz... - oczy ciotki Marty zwęziły się ze strachu, jak u fałszywego kota, którego uchwyciono za skórę na szyi.

- Co płacisz, ile, od kiedy? No powiedz!

Łapczywe usta ciotki otworzyły się, zamknęły i znów otworzyły. Nie wydobyło się z nich ani jedno słowo, jedynie bełkotliwe protesty. Anna niewzruszenie kontynuowała swoją misję, bez współczucia i bez uczucia triumfu.

- Zdajesz sobie sprawę, ile zaległej zapłaty jesteś mi winna? Winna mi jesteś moje dzieciństwo, wszystko! Ty jednak nie masz zamiaru płacić! Doniosę na ciebie. Jeśli nie odwołasz oficjalnie w gazecie kłamstw, które wokół rozpowiadasz, ściągnę na twój kark policję!

- *Bitte... bitte...* - wyrwała się z rąk Anny, bojaźliwie rozglądając się za możliwością ucieczki.

- Papier! - zarządziła Anna - przynieś mi pióro i papier.

Okazując nieprzyzwoitą służalczość, ciotka Marta dostarczyła jej to, o co prosiła. Anna wygładziła papier na kuchennym stole, wcisnęła jej do ręki pióro i podyktowała w specjalnie dobranych słowach z literackiego języka niemieckiego: „Ja, Marta Bamberg, odwołuję to, co kiedykolwiek mówiłam na temat studiów mojej siostrzenicy Anny Grosalie-Bamberg z Salzkotten. Kiedy starałam się wywołać wrażenie, że finansuję jej studia, nie mówiłam prawdy”. Anna skontrolowała tekst, poprawiła pojedyncze błędy ortograficzne i rozkazała ciotce, aby sprostowanie to zamieściła w miejscowej gazecie. Kątem oka widziała blat kuchenny i kuchenkę, dwa kamienie probiercze z jej dzieciństwa, z okresu niewoli, nie poświęciła im jednak żadnego świadomego spojrzenia. Zatrzasnęła za sobą drzwi i nie oglądając się przeszła przez dziedziniec.

Zaciskając dłonie w pięści, maszerowała z powrotem przez pola. Nie pozwoliła dłużej igrać ze sobą - Anna Grosalie, wdowa wojenna, siostra Czerwonego Krzyża, zdobywająca wykształcenie jako pracownica społeczna walcząca o prawa dzieci. Nieszczęsna istota, co już dawno temu powinna się poddać gruźlicy, rakowi lub bombardowaniu, nie pozwoliła dłużej igrać ze sobą - studiowała przedmioty, których nazwy ciotka Marta nie była nawet w stanie

wymówić.

Uczucie triumfu osłabło jednak, gdyż w szumie topoli ponad głową usłyszała swoje ochryple skargi z czasów, gdy była dwunastoletnią dziewczynką. Zwolniła kroku. Uświadomiła sobie, że niezależnie od słodkiego smaku zemsty, niezależnie od liczby dzieci, którym pomoże w przyszłości, nie jest w stanie skierować swojej siły w przeszłość i ochronić dziecka, jakim sama niegdyś była. To dziecko było na zawsze nieodwołalnie wydane w ręce ciotki Marty; mogła panować nad nim do woli aż po wieczne czasy. Pomysł odwetu był żalony wobec kalekiej duszy, która nie była w stanie myśleć w kategoriach dobra i zła, lecz co najwyżej mogła przyznać, że Anna jest teraz od niej silniejsza. Pyrrusowe zwycięstwo.

Nowi nauczyciele nie dawali się niedogodnościom stwarzanym przez publiczny transport i grupce wybranych w Instytucie umożliwiali zetknięcie się z nieznanymi dyscyplinami, takimi jak prawo przyznawania opieki. Myśli Anny bez udziału jej woli pobiegły w przeszłość do głosicieli akcji sterylizacji oraz do aktu przyznania opieki, jaki przez wiele lat wypełniał wuj Heinrich, pisząc, że jest nieco niedorozwinięta i wątłego zdrowia. Cóż to był za sędzia, któremu nigdy nie przyszło do głowy, by wysłać kogoś do gospodarstwa w celu przeprowadzenia kontroli? Aby to zbadać, zameldowała się w sądzie okręgowym. Okazało się, że ówczesnego sędziego zastąpił po wojnie nowy, młody mężczyzna. Okazywał on takie zniechęcenie, jakby zamknięto go wewnątrz piramidy z zadaniem znalezienia z niej wyjścia.

- Jak to jest możliwe? - westchnął, gdy Anna opowiedziała mu swoją historię.

- To ja pana o to pytam - odpowiedziała - jak to jest możliwe? I proszę mi powiedzieć, z jakiego powodu?

Sędzia bawił się przez chwilę swoim piórem.

- Prawo, o które pani chodzi... - rzekł w zamyśleniu - miało w tych czasach powodować, aby choroby dziedziczne nie zostały przekazane następnemu pokoleniu, dlatego określone osoby miały zostać wysterylizowane. Sędzia w czasach faszystowskich, na tym stołku... - zająknął się - musiał udowodnić, że jest narodowym socjalistą, wykazując się aktywną współpracą. Gdyby powiedział: w moim dystrykcie nie ma żadnych niedorozwiniętych, stałby się podejrzany. I oto jak z nieba spadł mu taki przypadek: biedne dziecko, i w dodatku sierota; tu miał to dzięki Bogu na papierze, czarno na białym. - Zaśmiał się zażenowany.

- Czy mogę zobaczyć ten dokument? - spytała Anna.

- Oczywiście - odrzekł - musi być gdzieś w archiwum. Odszukamy go dla pani i prześlemy kopię.

Okazało się jednak, że dokument zniknął bez śladu. Po dwóch tygodniach otrzymała list: dokument, wydany jako poprzedni przed rozpatrzeniem jej sprawy, istniał jeszcze, starannie przechowywany, dokument wydany po niej - również, jednak tego, który jej dotyczył, brakowało. Kto polecił usunąć ten dokument, kiedy, dlaczego - nie sposób było dojść. Jeśli wuj Heinrich przeżyje pobyt w Rosji, nie będzie mogła pójść do niego, aby wcisnąć mu ów dokument pod nos. Prawdę na temat jej dzieciństwa, łącznie ze wszystkimi kłamstwami, można było teraz znaleźć wyłącznie w archiwum jej własnej nadzwyczajnej pamięci, z której z niezrozumiałych powodów nigdy nic nie zniknęło.

Sprostowanie ciotki Marty znalazło się w gazecie na wyraźnym miejscu. Satisfakcja Anny z tego powodu rozwiała się szybko w natłoku metrowych rolek tapety i przypominających zwoje znad Morza Martwego materiałów na temat pracy społecznej, które musiała przestudiować przed egzaminem. Zapoznała się z Freudem i ze znaczeniem, jakie ma dla człowieka pierwszych sześć lat życia. W związku z tym po raz pierwszy od długiego czasu pomyślała znów o swoim ojcu: o jego kaszlu, stukocie jego laski po bruku, jego czarnym płaszczu, jego kapeluszu, jego dumie z dokonań córek, jego powściągliwym smutku, gdy nie mógł już brać ich na kolana. Wspomnienia napływały falami, nie oszczędziła jej tego wszystko rejestrująca pamięć. Musiała teraz przypomnieć sobie również Lottę. Razem w łóżku, razem w kąpielu. Oczywista nierozłączność, tak jakby miało to trwać nieskończenie. Wieczorem potajemnie szepty w łóżku, w ciągu dnia walka o uwagę ojca - nie mógł jednocześnie spoglądać na obie z miłością lub z naganą. Rywalizując o względy ojca, każda z nich rozwinęła w sobie własne talenty i cechy charakterystyczne. Anna swoją niezrównaną pamięć w sztuce deklamowania, umiejętność wczucia się w biedną dziewczynkę na scenie kasyna (dobre ćwiczenie na potem) i niewyczerpaną żywotność: biegi, skoki, upadki, gadulstwo, krzyki. Lotta przeciwstawiała się całej tej ruchliwości za pomocą swojego śpiewu. W dziecięcym podziwieniu dla własnego głosu wysyłała swoje piosenki w górę, w kierunku okrągłego sklepienia w holu, i ze zdumieniem słuchała imponującego pogłosu. Kiedy nie śpiewała, była spokojna i posłuszna - jej sposób zdobycia sobie specjalnej protekcji ojca, wskutek czego zazdrosna Anna jeszcze szybciej biegała, jeszcze wyżej skakała i jeszcze boleśniej upadała. Im więcej się Annie przypominało, tym bardziej była tym zainteresowana. Te dwie osoby, które stanowiły jej najbliższą rodzinę, obudziły w niej akademicką ciekawość. A może była to tęsknota - głęboka, nierozważna tęsknota - teraz, gdy w większym stopniu niż kiedykolwiek do tej pory pozostała zupełnie sama.

Zaczepiali ją na ulicy dawni znajomi, donosząc, że wuj Heinrich wrócił do domu; każdy na własny sposób opisywał, jaki efekt wywarł na niego pobyt w Rosji. Powrócił do

domu, żył! Ogarnęło ją niedorzeczne, dwuznaczne uczucie podniecenia: nie chciała go widzieć, chciała go zobaczyć. Przed oczyma pojawił jej się obraz wuja Heinricha, gdy powrócił z Buckebergu: zszokowany, milczący, przepełniony strachem i odrazą. W perfekcyjnie wyreżyserowanych, wielkogermańskich dożynkach, w entuzjazmie tłumu, w podburzającym, hipnotyzującym języku Führera dostrzegł wizję tego, co miało nadejść. Zdawał sobie z tego sprawę, nie był jednak w stanie zapobiec wysłaniu go w myśl tej samej reżyserii do Rosji. Było to tak rozdzierające, że jej serce ścisnęłoby się, gdyby nie równoważyły tego wszystkie inne sprawy. Nie chciała go widzieć, chciała go zobaczyć. Chciała go poprosić o wyjaśnienie dotyczące aktu przyznania opieki. Chciała mu powiedzieć: mój mąż również był w Rosji. Chciała mieć adres Lotty, który zgubiła oraz książki swojego ojca, zestaw porządnie wydanych klasyków niemieckich - jedyne, co jej pozostawił. Chciała pokazać wujowi: spójrz, niedorozwinięte, wątłe dziecko wciąż jeszcze żyje, nie można go zniszczyć - kiedyś przecież coś nas wiązało ze sobą, czy też tak mi się tylko wydawało?

Kiedy uświadomiła sobie, że nie wytrzyma bez zobaczenia go, pożyczyła rower i wybrała się do niego. Specjalnie wybrała w tym celu niedzielny poranek. Lekceważąca Boga i jego przykazania ciotka nigdy nie opuściła sumy. Anna prawidłowo oceniła sytuację, dom był pusty z wyjątkiem małego saloniku, gdzie znalazła wuja przy piecu, na fotelu, w którym pod wizerunkiem poległego w czasie wojny żołnierza powoli, po trochu, przez wiele dni umierał jego ojciec. Przygotowała się na to, że będzie wychudzony, jednak na tym wyładowanym historią, uwarunkowanym genetycznie miejscu zastała wyniszczonego, starego mężczyznę, który pustym, wyczerpanym wzrokiem patrzył na nią, zupełnie jej nie widząc. Z kołnierzyka koszuli wystawała cienka szyja, z rękawów zakietu wychodziły wąskie nadgarstki, jego palce zwisały z oparcia fotela jak połamane. Sztywne, jasne włosy zrobiły się siwe, prześwitywała przez nie koścista czaszka. W niczym nie można było rozpoznać młodego wuja, umięśnionego chłopskiego syna, który w Kolonii kaleczył kolędy. Pozdrowiła go, zakłopotana. Czy rzeczywiście dostrzegła odpowiedź w bardzo lekkim skinieniu ciężkiej, powyżłabianej głowy? Kolejnym oczywistym krokiem byłoby zapytanie go, jak się czuje - pytanie, zrozumiała to teraz, które świadczyłoby o braku ludzkich uczuć. W zagraconej przestrzeni unosił się kwaśny zapach, podobnie jak niegdyś poczuła, że trudno jej oddychać. On siedział w milczeniu, wydawało się nawet, że coś ma jej za złe. To, co chciała powiedzieć, zamarło jej w krtani. Zwilżyła wargi:

- Wuju Heinrichu... - zaczęła.

Nie zareagował, co miała teraz zrobić? W tej sytuacji nie do pomyślenia było, aby zaczęła mówić na temat wiadomego dokumentu, Rosja stanowiła bolesny temat, Lotta była

tabu. Jediną namacalną, bezpieczną sprawą, jaka przysła jej do głowy, były książki klasyków.

- Książki mojego ojca... - rzekła pospiesznie - no wie wuj: Schiller, Goethe, Hofmannstahl... chętnie zabrałabym je z sobą.

Wydarzył się cud: głowa poruszyła się od jednego wyobrazonego końca horyzontu do drugiego.

- Dlaczego nie...? - wyszeptała Anna, jednak nie nastąpiło po tym żadne bliższe wyjaśnienie. Wpatrywał się w nią, wyganiał ją wzrokiem, zaczęła się dusić pod niskim sufitem, między zaciskającymi się ścianami, między dwojgiem zmarłych a jednym wyglądającym na zmarłego. Obróciła się w stronę drzwi i uciekła.

W dzikim tempie pedałowała z powrotem, miotana tam i z powrotem między oburzeniem a współczuciem. Można by się spodziewać, że Rosja była dobrym ćwiczeniem w oderwaniu się od ziemskich spraw - jakie znaczenie miały posiadane rzeczy, jeśli cierpiało się z powodu głodu, pragnienia i bólu. Natychmiast się jednak zreflektowała: czyż nie widzisz, że został złamany, że to kawałek lodu z tundry? Czyż nie widzisz, że jedyne, co jeszcze potrafi, to powiedzieć „nie”, wielkie kwadratowe „nie” przeciw wszystkiemu i wszystkim? Nigdy już nie mogła pociągnąć do odpowiedzialności tego człowieka, a właściwie cienia człowieka, nie mówiąc już o tym, że nie do pomyślenia stało się, aby kiedykolwiek mogła zawrzeć z nim pokój.

Następnego dnia zaczęła myśleć o tym inaczej. Wszyscy ją opuścili, pozostały więc jedynie sprawy materialne. Stanowczo chciała mieć książki, będące jedynym namacalnym wspomnieniem po ojcu. Od nowa zwróciła się do sądu okręgowego. Otrzymała oficjalne postanowienie, pisemne polecenie oddania jej książek. Po raz ostatni wybrała się z pielgrzymką do gospodarstwa. Nic się tam nie zmieniło. Chociaż nie mówił, był jeszcze w stanie czytać. Szacunek dla autorytetów wtoczyła w niego najpierw tyranizująca żona, potem wojsko, a w końcu komendantura obozu. Doskonale rozumiał, co oznacza oficjalny papier, który trzymał w swoich wątych palcach. Tym razem jego ciężka głowa poruszyła się od niskiej powały do drewnianej podłogi i z powrotem. Anna ściągnęła książki z półki nad bufetem. Przyciskając ich stos do piersi, rzuciła mu sponad klasyków ostatnie spojrzenie. Na wierzchu, jak zauważyła, leżał *Faust*. Spojrzała na opuszczoną sylwetkę przy piecu i przełknęła ślinę. Dlaczego postać Fausta zawsze była rodzaju męskiego? Ich własny Faust siedział ze złożonymi dłońmi w kościele.

Podczas opowieści Anny straciły poczucie czasu i przestrzeni. Już dwukrotnie minęły

miejsce znajdujące się na zgięciu mapy, gdy Anna nagle zatrzymała się w połowie zdania, niemal patetycznym gestem chwyciła się za serce i zaczęła gwałtownie chwytać powietrze. Lotta przystanąła obok niej z poczuciem rezygnacji. Znała to dobrze. Najpierw biegi i skoki, a potem złamana ręka lub rozbita warga - najpierw zalanie drugiej osoby potokiem słów, a potem chwywanie z trudem powietrza.

- Chodźmy... z powrotem... - zasugerowała Anna.

Lotta skinęła głową. Na potwierdzenie zgody nieoczekiwanie zaoferowała siostrze swoje ramię; noga za nogą ruszyły z powrotem wijącą się ścieżką, w rytm chwiejącego się ciała Anny oraz jej chrapliwego oddechu. Kiedy Lotta doprowadziła ją w końcu do hotelowego holu, wydawało jej się, że droga powrotna trwała całe wieki. Kawa... gestykulowała Anna, mocna kawa. Kawa przywróciła ją do życia nie po raz pierwszy. Uśmiechnąwszy się z przymusem, opadła na fotel, machając dłonią, aby się nieco ochłodzić. Jej blada twarz błyszczała od potu, z zamkniętymi oczyma czekała, aż jej oddech się uspokoi. Lotta siedziała po prostu obok, nie przejmując się tym, co się stało: w przedstawionej przez siebie historii życia Anna rysowała się jak istota niezniszczalna, jak ktoś, kto odgoniłby od siebie nawet stojącą nad nim śmierć, mówiąc jej bez ogródek prawdę w oczy. I rzeczywiście, Anna powoli doszła do siebie, otworzyła oczy i znów pełna życia przenikliwie spojrzała na Lotte.

- *Entschuldigung*, mój organizm od czasu do czasu płata mi figle... siedzimy tu bardzo wygodnie... *bitte*, weź też coś dla siebie... no wiesz... - Uczyniła wysiłek i pochyliła się w stronę Lotty, kładąc dłoń na jej ręce. Niefrasobliwie przechodząc do porządku dziennego nad swoim sztywniejącym od czasu do czasu ciałem, tak jakby przechodziła przez tarasujące drogę przewrócone drzewo, powiedziała:

- Pamiętasz jeszcze, Lotto, jak przyjechałam do Hagi, aby cię odwiedzić?

Lotta zamarła. Anna parla do przodu bez zatrzymania, sprawiając wrażenie, że naprawdę jej się spieszy.

- Najpierw jednak pojechałam do Kolonii... w nadziei, że żyje jeszcze wuj Franz, jedyny, który dysponował twoim adresem...

Anna zamówiła drugą filiżankę kawy. W pobliżu przeszli dwaj goście hotelowi, spoglądając ze zdziwieniem na hałaśliwą, starszą damę. Lotcie wydawało się, że dostrzega w ich oczach odrzucenie, a nawet wrogość.

- Kolonia... - rzekła Anna z rozmarzeniem - nigdy nie zapomnę, jak stałam na wschodnim brzegu Renu i poprzez teren miasta patrzyłam na zachód, gdzie wznosiły się nad horyzontem kominy kopalni węgla. Po dwóch wieżach katedry, które cudem ocalały, widać

było, że to Kolonia. Tu i tam znajdował się jeszcze jakiś mur, poza tym nie było niczego. Stałam pośród innych na brzegu rzeki - patrzyliśmy przed siebie, lecz nie wierzyliśmy w to, co widzimy, ponieważ między Renem a kopalniami zawsze rozciągało się miasto. Wszystkie mosty zostały zniszczone. Staliśmy tam, pragnąc znaleźć się na drugim brzegu, i wówczas, jak tysiąc lat temu, przyплыnęła łódka, aby nas tam przeprowadzić. Na drugim brzegu stał już ktoś z wózkiem, na którym można było położyć walizkę, i tak zaczął się pochód krętymi drózkami wśród ruin oraz przez ruiny, a gdzieś w piwnicy lub pod resztkami jakiegoś muru żyli ludzie...

Lotta słuchała tego z niezadowoleniem. Miała wielką ochotę pójść do swojego hotelu. Przez chwilę nie musieć niczego słuchać, na nic nie reagować - po prostu poddać się ociężałemu poczuciu niedzielnego popołudnia.

- Chciałam cię zobaczyć, wszystko się od tego zaczęło... Oczywiście, chciałam się również przekonać, czy żyje jeszcze mój wuj i ciotka. Mieli szczęście, szpital oszczędzono, nie cierpieli głodu, Anglicy obficie zaopatrywali szpital w żywność. Oszołomiona niespodzianką ponownego spotkania, byłam w stanie wydukać jedynie: „Jestem głodna”. Sporządzili dla mnie papkę z ryżu, jadłam tak długo, aż nie mogłam już więcej. Dostałam od nich adres ciotki Elisabeth... i w ten sposób w końcu zjawiłam się u ciebie... *Gott im Himmel*¹, nigdy tego nie zapomnę!

Podczas gdy Anna czekała na wiadomość od starej ciotki w Amsterdamie, o której wiedziała tylko tyle, że dawno temu z chirurgiczną precyzją usunęła Lottę z symbiotycznej dwójki, ogarnął ją nagle strach, że Lotta również nie żyje. Przypomniała sobie skuteczne bombardowania Rotterdamu na początku wojny - poza tym nie miała pojęcia, jakie szkody wojna spowodowała w Holandii.

Kilka tygodni później sytuacja zaczęła wyglądać bardziej różowo. Lotta oczekiwała jej; zgodziła się na przyjazd Anny, pisząc do niej niejasny liścik. Zniszczenia w Holandii widziane z pociągu nie były takie straszne. Pastwiska rozciągały się gładkie i wyjedzone, bydło prezentowało się okazale na tle mostków i wież kościelnych, przypominającym widokówkę. W haskim tramwaju sytuacja była w mniejszym stopniu pocztówkowa. Wszystkie miejsca były zajęte, a pasażerowie stojący w przejściu wpadali na siebie na każdym zakręcie. Dżentelmen w średnim wieku rycersko ustąpił Annie miejsca. Opadła na siedzenie ze swoim nieodłącznym rekwizytem, skórzaną walizką, szepcząc: *danke schön*.

- Co... - wykrzyknął zszokowany mężczyzna - pani jest Niemką! Proszę natychmiast

¹ (niem.) - Boże w niebiosach

wstać!

Anna, która na wpół rozumiała, co do niej mówił, lecz dobrze wiedziała, co miał na myśli, zerwała się z siedzenia. Wszystkie twarze obróciły się oskarżycielsko w jej stronę.

- Rozumiem pana bardzo dobrze - przeprosiła niezręcznie - rozumiem doskonale, że pan nie chce mieć z nami nic do czynienia. Ja jednak nie byłam żadną faszystką, czy chce mi pan wierzyć, czy nie. Jestem zwyczajną kobietą, mój mąż poległ w czasie wojny, nie mam nikogo więcej. Nie mogę powiedzieć panu nic innego...

Wokół niej zapanowało wymowne milczenie, z wyrazem nagany w oczach ludzie odsuwali się od niej. Anna wisiała krzywo, trzymając się pętli pod sufitem, i po raz pierwszy poczuła, co od tej pory będzie oznaczało bycie Niemką. Zostać uznaną za winną przez ludzi, którzy nic o tobie nie wiedzieli. Nie być widzianą jako jednostka, lecz jako przedstawiciel pewnego gatunku, tylko dlatego, że zamiast „dziękuję” powiedziałaś *danke schön*.

Jednak przed schizofrenią zbiorowej winy i indywidualnej niewinności uchroniły ją tymczasem niewzruszona solidarność wobec swojej osobistej przeszłości oraz brak świadomości politycznej. Dla niej, Anny Grosalie, był to dzień historyczny. Była nie tyle Niemką, co kimś, kto pozostał sam na świecie i poszukiwał poczucia bezpieczeństwa ze swoich pierwszych lat życia. Więzy krwi - dla większości ludzi coś oczywistego, na co zawsze można liczyć - dla niej były czymś, co musiała sobie wywalczyć od nowa. Wysiadła z tramwaju, zatrzymała przechodnia i pokazała mu kartkę z adresem, nie wypowiadając przy tym ani słowa. Pilnowała się, aby nie mówić własnym językiem - kto wie, może wysłałby ją z premedytacją w niewłaściwym kierunku.

- Takich spraw nie zapomina się nigdy w życiu - zauważyła Anna.

- Ty nie zapominasz niczego - stwierdziła ponuro Lotta.

- Ależ to było rozczarowanie, ta moja wizyta u ciebie... Odmówiłaś mówienia po niemiecku, mogłam porozumiewać się z tobą jedynie przez twojego męża - jeśli w ogóle można było mówić o jakimkolwiek kontakcie. Dzielnie tłumaczył wszystko, co powiedziałam oraz skąpe odpowiedzi, jakich ty mi udzielałaś.

- Nie przechodziło mi przez gardło żadne niemieckie słowo. Nie miałam nic wspólnego z tym językiem, równie dobrze mogłabyś mówić po rosyjsku.

- Ależ to niemożliwe, to przecież twój ojczysty język! Nawet teraz mówisz nim jeszcze płynnie.

- A jednak tak właśnie było.

- To oczywiście kwestia psychiki. Nie chciałaś mieć ze mną nic wspólnego i kryłaś się

za językiem niderlandzkim... - Anna zaperzyła się teraz. - Nie masz pojęcia, jak straszne to było dla mnie. Byłaś jedyną osobą, którą jeszcze miałam, chciałam cię poznać, chciałam przeprosić za swoje ówczesne zachowanie, gdy przybyłaś do mnie w odwiedzin. Chciałam ci udowodnić, że się zmieniłam. Ty jednak byłaś zajęta swoim niemowlęciem. Niemowlę, to tylko pogorszyło sprawy! Kapałaś niemowlę, karmiłaś niemowlę, czesałaś niemowlę... Mnie całkowicie ignorowałaś. Cokolwiek robiłam, aby wzbudzić twoje zainteresowanie, byłam dla ciebie jak powietrze. Twój mąż onieśmielony tą sytuacją, usiłował nad nią jak najlepiej zapanować... Dlaczego nie wsiadłaś na mnie, dlaczego nie nawymyślałaś mi ile wlezie, mogłabym wówczas się bronić? Jednak to unikanie mnie... po prostu dla ciebie nie istniałam.

Lotta rozglądała się wokół, aby zobaczyć, czy w pobliżu jest ktoś, komu mogłaby zapłacić za swoją kawę. Chciała stąd uciec, i to jak najszybciej. Im dalej, tym bardziej szalone stawały się sytuacje, teraz pociągano ją nawet do odpowiedzialności. Świat stanął na głowie.

- Nie prosiłam, abys przyjechała, nie interesowałaś mnie ani trochę.

- To prawda, nie interesowałam cię... miałaś swoje niemowlę...

- To dziecko było moim ratunkiem - podchwyciła słowa Anny - pogodziło mnie z moim życiem... moje dzieci są dla mnie wszystkim.

Anna westchnęła zniechęcona. Jej siostra wciąż jeszcze była niedostępna, obwarowana swoim potomstwem, ona sama - wciąż jeszcze sama i bezdzielna, mimo setek dzieci, którym w swoim życiu pomogła. Poczula w piersi niewyraźny ból... z podniecenia... głupio, głupio, głupio. Niemądrze również myśleć, że coś jeszcze mogłaby naprostować.

- Lotto, nie odchodź - rzekła ze skruchą - to było tak dawno temu. Może... może zjedzmy razem obiad, na mój rachunek. To przecież cud, że znów się odnalazłyśmy, tutaj w Spa, uczcijmy to, dopóki to jeszcze możliwe...

Lotta dała się ubłagać. Czym się właściwie przejmować, jest niedzielne popołudnie, niczego nie musi robić. Przeniosły się do sali jadalnej i zamówiły aperitif.

- Przyprowadziłam swoją siostrę - zawołała Anna z dumą. Kelner uśmiechnął się z formalną uprzejmością. Lotta czuła, że wzbiera w niej irytacja, podobna do uczucia swędzenia.

- Kiedy właściwie zmarł twój mąż? - spytała Anna. - Lubiłam go. Był poważny, uprzejmy... powiedziałabym nawet, że wyrafinowa...

- Dziesięć lat temu - przerwała jej Lotta z irytacją.

- Na co?

- Atak serca... zbyt ciężko pracował przez te wszystkie lata...

- Odwiedzasz czasem jego grób, czy też został...?

- Czasami... - Lotta stanowczo nie życzyła sobie, aby w jakiegokolwiek formie zaczęły dzielić ze sobą podobne uczucia. Nie miała ochoty rywalizować w tej sprawie z... oficerem SS, który poległ w czasie wojny.

- Ja jeździłam dwa razy w roku, w dniu Wszystkich Świętych i na wiosnę, z wieńcem i świecą.

Dwa razy w roku była gościnnie podejmowana przez matkę i córkę, na cześć tragicznej śmierci oraz cudu przeżycia. Gnębiło ją, że grób nie był poświęcony; postanowiła porozmawiać na ten temat z nieugiętym pastorem. Zaczekała na niego, bezpośrednio po mszy, której głównym tematem było przykazanie: „Kochaj swoich wrogów”. Pastor był jeszcze w uroczystym ornacie.

- *Herr Pfarrer* - zaczęła go - jeden z trzech wojskowych leżących na cmentarzu był moim mężem. Jesteśmy katolikami, mój mąż i ja, dlatego proszę, aby ksiądz pobłogosławił jego grób.

Roześmiał się na to drwiąco.

- Nic mnie nie obchodzi, czy jest pani katoliczką, czy też nie, to byli SS-mani.

- Ale przed chwilą... - przypomniała mu Anna - mówił ksiądz przecież w kazaniu: kochaj swoich wrogów.

Uniósł na to jedną ze swoich krzaczastych, czarnych brwi, przez co sam stał się nieco podobny do Mefista, i fuknął:

- Nie poświęcę żadnego grobu SS-mana.

- On był w SS tylko czternaście dni - zawołała - nie miał żadnego wyboru!

W odpowiedzi na ten emocjonalny wybuch, pastor rzucił jej druzgocące spojrzenie, po czym zostawił ją tam, gdzie stała i szybko zniknął w półmroku bocznej nawy.

Poświęcony czy nie, z pierwszych pieniędzy zarobionych w gminie kolońskiej uzbierała na pomnik z krzyżem z piaskowca, na którym wykuto wszystkie trzy nazwiska. Stał tam przez dziesięć lat między cisami i tujami, zadbany dzięki trzem kobietom, aż do czasu, gdy w końcu lat pięćdziesiątych zaczęły krążyć pogłoski, że trzej żołnierze zostaną przeniesieni na świeżo założony cmentarz wojskowy koło pobliskiej wioski. W takim razie, pomyślała Anna, wolę go przenieść do Kolonii. Udało jej się uzyskać pozwolenie od rady miejskiej, aby umieścić jego grób na kolońskim cmentarzu wojskowym. Tak uzbrojona, powtórnie złożyła wizytę pastorowi - cmentarz podlegał jurysdykcji kościoła. Oficjalnym tonem, w neutralny sposób poinformowała go o swoim postanowieniu i pokazała mu pozwolenie, po czym zostawiła swój adres z prośbą, aby uprzedził ją, gdy zostanie zaplanowane opróżnienie grobu.

Nadszedł kolejny dzień Wszystkich Świętych i Anna odbyła swoją rytualną podróż. Nad ziemią unosiła się gęsta mgła, pachniało mokrymi liśćmi i chryzantemami. Z rutyną otworzyła skrzypiącą furtkę. Ruszyła między grobami, na których paliły się świece o płomieniach nieruchomo stojących w wilgotnym powietrzu. Na miejscu, w którym jej wyprawa kończyła się zazwyczaj położeniem wieńca i odmówieniem modlitwy, znalazła bezosobowy, czworokątny kawałek trawy, na której leżały wysuszone, jesienne liście. Zdezorientowana rozejrzała się wokół, czyżby zabłądziła? Mój grób, myślała spanikowana, gdzie jest mój grób? Pokrytą mchem główną drogą zbliżała się we mgle procesja. Na przedzie szedł pastor w swojej szacie liturgicznej, za nim ze świecami w rękach postępowali mieszkańcy wsi. Nagle wszystko zrozumiała. Tam oto kroczył sztywny przedstawiciel matki-kościół, w uroczystej szacie, która wyglądała na nim, jak strój arlekina. Tam oto szedł bezlitosny pobożniś, co zachęcał ludzi do modlitwy za dusze uprzywilejowanych zmarłych. Może kiedyś zostanie pociągnięty do odpowiedzialności, ona jednak nie miała zamiaru spokojnie na to czekać: wielkimi krokami, czując żądzę zemsty, wyszła mu naprzeciw do połowy drogi i stanęła nieruchomo z rękami wspartymi na biodrach. Jego krzaczaste brwi uniosły się do góry.

- Gdzie jest mój grób - rzuciła mu w twarz - gdzie jest mój mąż, gdzie jest mój pomnik? Dałam przecież księdzu adres, miał mnie ksiądz uprzedzić!

Mieszkańcy wsi przyglądali się jej przygnębieni, wiedzieli dokładnie, o czym Anna mówi: była ich wojenną wdową. Pastor nie powiedział ani słowa, przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę i spojrzał na nią z naganą, jakby miał przed sobą jakąś histeryczkę.

- Nie pozostało nic - krzyczała - zupełnie nic...

Nagle usłyszała szum w uszach, dźwięk jej własnego głosu odpłynął w dal. Czując zawroty głowy, odeszła chwiejnym krokiem na bok i opadła bez zachowania szacunku na zniszczony nagrobek - z głową w dłoniach, wypuszczając z ręki świecę, która potoczyła się po trawie. Podczas gdy procesja ruszyła dalej, wysunęła się z niej starsza kobieta, uklękła koło niej i wyszeptała:

- Ekshumowano ich i przeniesiono do Gerolstein, na cmentarz zasłużonych.

Gdy Anna doszła do siebie, wybrała się do Gerolstein, gdzie znalazła nie sielski cmentarz z omszałymi nagrobkami i obrośniętymi pnączami krzyżami, lecz zupełnie nowy teren, podzielony na geometryczne kwadraty. Równoległe ciągnące się paski białego piasku, a między nimi stojące prosto tabliczki z numerami. Złożyła swój wieniec na środku pola poległych. Przepraszam cię, Martin, usprawiedliwiła się, ten wieniec jest teraz dla was wszystkich.

- Potem postawiono tam krzyże. Ci trzej żołnierze wciąż jeszcze leżą koło siebie. - Anna roześmiała się. - Fakt, że zostali w trójkę w samochodzie zamiast kraść jabłka, połączył ich ze sobą na całą wieczność. Na wielu krzyżach widnieje napis: „Nieznany żołnierz”. Wciąż jeszcze tam jeżdżę, przeważnie na wiosnę. Cmentarz leży na wzgórzu, na krańcu świata, zapomniany. Panuje tam cisza. Czasem spacerują po nim matki z małymi dziećmi, ponieważ to spokojne miejsce. Siadam na murku blisko grobu; ucinają ze mną pogawędkę, pytają, skąd przybywam, w jakim celu. Mówię wówczas: odwiedzam tu swojego męża. To nimi wstrząsa, nie potrafią tego już sobie wyobrazić, to tak dawno temu. Ja właściwie też już nie. Ostatnimi laty zapytuję się: co ja tutaj robię?

Lotta skinęła głową z zamglonym wzrokiem. Piła więcej wina niż powinna, ten temat jej się nie podobał. Anna jednak niestrudzenie o tym mówiła, nieustannie naświetlając nowe aspekty. Że też bohaterska śmierć mogła mieć takie następstwa.

- Powiedz mi no - ciągnęła Anna niezmiernie - dlaczego w zasadzie wierzymy w to, że egzystencja duchowa zmarłego związana jest z tym jednym miejscem? Dlaczego tam się udajemy? Z nostalgii? Kto na tym zarabia? Kwaciarze, ogrodnicy, kamieniarze - wiąże się z tym cały przemysł. To ich codzienny chleb i dlatego wciąż przybywamy... Czy ty chcesz zostać pochowana?

- Ja? - Lotta spojrzała zszokowana. - O... oczywiście - wyjąkała. Z frywolnością nie na miejscu, biorąc się z niezadowolenia, powiedziała: - Pragnę mieć grób pełen kwitnących, dzikich roślin... mam pięcioro dzieci i ósmioro wnuków, które mogą o nie dbać.

- Gdy ja umrę, nic po mnie nie pozostanie - przeciwstawiła się jej Anna. - Nie będzie żadnego ogródka działkowego, do którego można się wybrać i za który należy płacić, aby umieszczono tam kwiaty. Kto by to dla mnie robił? Kogo to będzie interesowało? Mnie samej przecież już od dawna nie będzie.

Lotta odsunęła na bok swoją pustą filiżankę i podniosła się z trudem.

- Naprawdę muszę już iść - wyjąkała. Wydawało się, że wskutek alkoholu cały jej ciężar przemieścił się do głowy. Czując się niezwykle ociężała, opuściła restaurację, Anna ruszyła za nią, wciąż nieprzerwanie mówiąc.

Ciężko oddychając, złapała Lottę za ramię:

- Pamiętasz jeszcze ten dzień, gdy... pochowano... matkę?

- Nie, absolutnie nie. - Na chybił trafił Lotta sięgnęła po płaszcz. Żadnych cmentarzy więcej, błagała w duchu.

- Jej trumnę postawiono na sofie. Wspięliśmy się na nią, aby wyglądać z wykusza, czy nadchodzi. Stopy trzymałyśmy na parapecie. Ponieważ czekanie trwało tak długo,

kopałyśmy w okno naszymi lakierowanymi butami, jak najmocniej, w nadziei, że ona nas usłyszy i pospieszy się. Oburzeni członkowie rodziny zdjęli nas z trumny. Teraz dopiero zrozumiałam, że znajdowała się tam pod nami.

- Hm... - rzekła Lotta nieporuszona. Dla niej istniała tylko jedna matka: ta druga. Zapięła guziki płaszcza i zmęczona rozejrzała się wokół.

- Odprowadzę cię - oznajmiła Anna.

W ostrym świetle lampy pod sufitem ujrzała, że na twarzy siostry maluje się coś pośredniego między zrezygnowaniem a irytacją. Przypomniała sobie, że dokładnie tak samo wyglądał jej ojciec w ostatnich dniach choroby. Że też wyraz twarzy może być sprawą dziedziczną! Nie śmiała głośno powiedzieć o swoim odkryciu. Lotta szła tak prędko, mógł istnieć dla tego tylko jeden powód: znów narobiła zbyt wiele szumu.

Lotta zgromadziła wszystkie siły, jakimi mogła jeszcze dysponować starsza, podpita dama, aby otworzyć ciężkie drzwi frontowe. Na chodniku zatrzymała się niezdecydowanie.

- Dobranoc - odezwała cię cicho do okrągłej sylwetki, która wypełniała framugę i wciąż jeszcze promieniowała nieokiełznaną porywcznością.

- Przepraszam, że dzisiaj znowu tak się rozgadałam... - w poczuciu winy objęła Lotte.

- Obiecuję, że jutro dam ci się poznać ze spokojnej strony. Dobranoc, *meine Liebe, schlafgut und trtium süss*¹...

Tej nocy zabrakło Annie beztrioski, umożliwiającej łatwe zapadnięcie w sen. Obrazy pogrzebów i cmentarzy przepychały się wzajemnie. Kiedy spoglądała do tyłu na swoje życie, było poprzetykane śmiercią, tak jak poprzeczny przekrój najstarszych warstw ziemi przypomina o czasach lodowcowych - jakże często śmierć nadawała jej życiu nagłe, ostre zwroty. Przepelniało ją tajemnicze podniecenie, tak jakby miało się wydarzyć coś nadzwyczajnego. Cóż to mogło być innego, niż apoteoza procesu zbliżania się do siebie, który trwał już od kilku tygodni? Nadszedł czas, aby naprawdę, zdecydowanie pogodzić się z jej uparcię stawiającą opór siostrą. Jeśli one dwie, urodzone jednocześnie przez tę samą matkę, kochane przez tego samego ojca, nie byłyby w stanie przewyciężyć głupich, stworzonych przez historię przeszkód, komu mogło się to udać? Jaka była perspektywa świata, jeśli nawet one dwie, od których spodziewano się, że na starość złagodnieją, nie byłyby w stanie rzucić tego jednego kamyka?

Było jej duszno, odrzuciła kołdrę i obróciła się na bok. Nad ranem wbrew sobie zapadła jednak w sen. Zaludniony był aniołami różnej proweniencji. Większość z nich

¹ (niem.) - moja kochana, śpij dobrze i śnij słodko.

rozpoznała natychmiast, niektóre jednak wymagały pewnego zastanowienia. Z wyjątkiem jednego, wszystkie operowały parami. Anioły z obu stron schodów prowadzących do Karlskirche opuściły swój cokół i przyciskając do piersi krzyż, mocno łopocząc skrzydłami i szeleszcząc szatami, pofrunęły ponad zieloną kopułą w niebo. Powabne strażniczki Instytutu Wodolecznictwa uniosły się ze schodów i pofrunęły za nimi. Tam wysoko, na złoto obramowanym obłoku, leżały dwie nagie kobiety, które zazwyczaj odpoczywały wyciągnięte na znajdującej się w holu dekoracji w kształcie muszli - wciąż jeszcze jedna z nich usiłowała pochwycić wzrok drugiej, w zamyśleniu spoglądającej mimo niej. Na wszystkich twarzach widniała różowa poświata zachodzącego słońca. Z tyłu, gdzie noc zaanonsowała swoje przybycie ciemną purpurą, zanurkowała nagle z wysoka sylwetka mężczyzny w szerokim, czarnym płaszczu, szybko szybując w dół. Jedną ręką przytrzymał na głowie kapelusz, w drugiej trzymał laskę. Za nim pojawiło się dwoje pulchnych dzieci, siedzących okrakiem na rybie, wykorzystując, podobnie jak kolarze, brak wiatru za jego szeroko łopoczącym płaszczem. Anna pamiętała słabo, że kiedyś podczas spaceru zauważyła je mimochodem na pomniku na cześć znakomitości, odwiedzających Spa na przestrzeni wieków: po obu stronach kamiennej listy z nazwiskami siedziały cherubinki na rybie z ponurym pyskiem.

Potem nastąpiła noc. Nie przefruwało nic, co mogłoby odwrócić jej uwagę, oprócz anioła - nie, orła - który nieoczekiwanie pojawił się w świetle księżyca i jak błyskawica sunął przez czerń, tak głęboką i absolutną, jak zaciemniane noce podczas wojny. Anna przekreśliła się gwałtownie na drugi bok i ten ruch ogołocił ją - uwolnił od jej snów.

4.

Ponad ozdobnie sklepioną miedzianą wanną wisiał sznurek z uchwytem, na którym widniał napis w czterech językach „Pociągnąć”. Kiedy rozbrzmiewał sygnał na znak, że upłynął przepisany czas, krótkie pociągnięcie za sznurek przez kuracjusza sprawiało, że pojawiała się kobieta w białym fartuchu, która pomagała mu wyjść z wanny i się wytrzeć.

Ostatni tydzień Lotty zaczął się od kąpieli borowinowej i kwasowęglowej. Owinięta w koc odpoczywała, zapewniając sobie również oczyszczenie wewnętrzne dzięki połykanym szklaneczkom wody mineralnej z Królewskiego Źródła. Panowała cisza, jak w pokoju pełnym obitych mebli. Nie przedostawał się tutaj żaden odgłos ze świata zewnętrznego, tak jakby

kompleks łazienek znajdował się w jaskiniach leżących głęboko pod warstwami torfu, tam, gdzie tworzyły się źródła.

Cisza ta została jednak brutalnie przerwana. Gdzieś blisko ktoś wykrzyknął: *Mon Dieu!* Pospieszne kroki w korytarzu. Krzyk, który natychmiast został stłumiony. Drzwi do jej pomieszczenia otworzyły się, w progu stanęła kobieta w białym fartuchu, załamując ręce.

- *Madame, madame...* panie były przecież zawsze razem... *venez... votre amie...*¹

Lotta wsunęła klapki i podążyła za nią do jednej z sąsiednich łazienek, do której drzwi były szeroko otwarte. Wewnątrz wzywano doktora, ktoś wybiegł na oślep i niemal wpadł na Lottę. Uczyniła dwa kroki na podłodze z kafelków. Najpierw widziała jedynie szerokie plecy stojącej przed nią kobiety, ta jednak demonstracyjnie usunęła się na bok, aby Lotta mogła zobaczyć to, czego tamta nie umiała wyrazić słowami.

Z wanny wypełnionej borowiną wpatrywała się w nią szklanym wzrokiem Anna - wydawało się, że ucięto jej głowę, lub że jej ciało na zawsze zatopiło się w brązowym bagnie, podczas gdy głowa wciąż unosiła się ponad masą torfu. Przyglądała się Lotcie wzrokiem pozbawionym wszelkich emocji: podniecenia, irytacji, szyderstwa, gniewu, smutku... absolutna nieobecność wszystkich tych nastrojów, które przez dwa tygodnie zmieniały się jak w kalejdoskopie i wspólnie formowały kompleksowe zjawisko o imieniu Anna. Najbardziej porażające było to, że w tak oczywisty sposób milczała..., że nie mówiła szybko, gestykulując przy tym szeroko jak zwykle, aby wyjaśnić, co jej się przydarzyło. Lotta wstrząśnięta rozejrzała się wokół. Była to łazienka jak wszystkie inne, ciepła i wilgotna, czyżby zrobiło jej się duszno? Ponad jasnoniebieskimi kafelkami widniała krawędź ze wzorem z muszelek - to było ostatnie, co Anna widziała, czy przywiodło jej na myśl Morze Bałtyckie, w którym niemal się utopiła, razem ze swoim mężem... w którym, patrząc z obecnej perspektywy, lepiej by było, gdyby się utopiła... To było ostatnie, co Anna widziała - jeszcze przed chwilą żyła i z typową dla siebie witalnością zanurzyła się w wannie. Zrobiono jej makabryczny, niesmaczny kawał... Na pewno natychmiast znów zacznie się ruszać: *Mein Gott*, cóż to za żałosna sytuacja...!

Do środka wpadł lekarz, za nim zespół pomocników.

- Co tu robi ta kobieta... - zaprotestował jeden z nich - to nie jest odpowiednia chwila, aby wpuszczać tu kuracjusza.

- Ale to jej przyjaciółka... - wybąkała siostra, która zaalarmowała Lottę.

Lotta wycofała się - daleko od pustego, niewidzącego spojrzenia, z którego

¹ (fr.) - proszę pani... proszę przyjść... pani przyjaciółka...

wydobywało się jedynie rozdzierające nic, daleko od nieoczekiwanej, ostatniej intymności, w którą Anna wciągnęła ją bez pytania.

Pielęgniarka natychmiast pospieszyła za nią:

- *Excusez-moi madame...* uważałam, że ma pani prawo, aby natychmiast się o tym dowiedzieć... Może... może będą mogli jej jeszcze pomóc... czasem podczas reanimacji dokonuje się cudów... Musimy jeszcze poczekać... dokąd pani idzie?

- Do Salle de Repos - odparła Lotta szorstko - ja... myślę, że powinnam się położyć.

- Oczywiście... *je comprends...* będę panią informować na bieżąco...

Oprócz popiersi dwóch profesorów, którzy poważnie przyczynili się do stworzenia systemu uzdrawiających kąpiel, oraz samotnej postaci kobiety wędrującej przez opuszczony krajobraz na wielkim obrazie, dominujący nad całą salą przeznaczoną do odpoczynku, nikogo w niej nie było. Lotta opadła na pierwsze z brzegu łóżko. Za późno, za późno, brzęczało jej w głowie. Zrozumiała, że wciąż wychodziła z luksusowego założenia, iż ma przed sobą wiele czasu. A tu nagle, w poniedziałkowy poranek, na tydzień przed końcem, Anna się z tego scenariusza wycofała. Jak to było możliwe... Anna, niezniszczalna Anna, co nigdy nie mogła się nagadać do syta i już tylko z tego powodu wydawało się, że ma przed sobą wieczne życie... Podobnie jak Sam i Moos z dowcipu, którym Max Frinkel dodawał ludziom ducha w czasie wojny: Sam i Moos ocalili jako jedyni z zatoniętego statku; na pytanie „Jak tego dokonaliście?”, odpowiadają, gestykulując z ożywieniem: „Po prostu nie przestaliśmy mówić”.

Na zewnątrz, jak zawsze, gruchały gołębie. Wszystko było jak zawsze, brakowało jedynie czegoś istotnego. Dwa tygodnie temu nie istniała jeszcze dla mnie, myślała Lotta, a teraz miałoby mi jej brakować? Tak, ryczała cisza w Salle de Repos, przyznaj się do tego! „Obiecuję, że jutro dam ci się poznać ze swojej spokojnej strony” - oznajmiła Anna. Ta niefrasobliwa obietnica znalazła się nagle w ostrym, złowieszczym świetle dziennym. Czy miała oczy otwarte, czy też zamknięte, Lotta wciąż widziała przed sobą ten zastygły obraz. Nie mogła się nawet pożegnać. Chciałam jej jeszcze tyle powiedzieć, myślała, czując potęgujące się powoli wyrzuty sumienia. Czyżby, co takiego - pojawił się cyniczny głosik - co byś jej powiedziała, gdybyś mogła przewidzieć, co się wydarzy? Coś miłego, coś, co by świadczyło o twoim zaangażowaniu, a może słowa pociechy? Czy byłabyś w stanie kiedykolwiek powiedzieć to, co naprawdę chciała usłyszeć, o co jej naprawdę chodziło? Czy rzeczywiście udałoby ci się wydusić z siebie to jedno słowo...: „Rozumiem...”?

To słowo, pozornie tak proste, a dla Lotty tak rewolucyjne, utkwilo jej w gardle, jakby jeszcze teraz - gdy już było na to za późno, za późno, za późno - chciała je z siebie wyrzucić.

Zamiast tego zaczęła płakać, bezdźwięcznie i dyskretnie, w całkowitej zgodzie z panującym w Salle de Repos nastrojem. Dlaczego przez cały ten czas raniła ją nieustannie, okazując od samego początku niewzruszony opór? Choć stopniowo zaczęła znajdować w sobie coraz więcej zrozumienia i sympatii dla Anny, wciąż jednak złośliwie, uparcie ją raniła, nie pozwalając jej zbliżyć się do siebie. Z powodu niewłaściwie umiejscowionej zemsty, która nie miała nic wspólnego z Anną? Z solidarności ze zmarłymi, drogimi jej zmarłymi? Czy też wskutek głęboko wpojonej nieufności: strzeż się przed przeprosinami „Nie wiedzieliśmy o tym”, strzeż się przed okazaniem zrozumienia - nawet okrutnika można zrozumieć, jeśli pozna się w pełni to, co nim kierowało.

Poczucie niemożności przejawiało się w strumieniach łez spływających po policzkach... za późno, za późno. Gruchanie gołębi brzmiało jej w uszach coraz bardziej jak drwina. Nieodwołalnie za późno. Aby uciec przed sobą, podniosła rolety i spojrzała na kryjący się za nimi szary dziedziniec wewnętrzny, królestwo gołębi. Gdy spoglądała przez szybę na zewnątrz, nagle powróciło do niej wspomnienie, którym poprzedniego wieczoru Anna chciała się z nią podzielić tuż przed swoim odejściem. Z taką intensywnością, jakby to wydarzyło się wczoraj, ujrzała siebie, jak siedzi obok siostrzyczki na spoczywającej na sofie skrzyni i kopie butami w okno... tam-tam mający sprowokować ich matkę do pośpiechu. Ujrzała przed sobą dwie pary silnych nóg, białe skarpetki, buciki z paskami. Wybijały nogami dokładnie ten sam rytm, tak jakby miały tylko jedną parę nóg - nie tylko w celu ostrzeżenia matki, lecz również po to, aby przebić gwar obcych głosów za ich plecami i nie dopuścić do siebie rzeczywistości nie do wytrzymania. Spojrzała w bok na jasną główkę Anny, a ta stanowczo zacisnęła usta i z błyskiem w oczach rzuciła jej konspiracyjne spojrzenie.

Za późno! Lotta puściła roletę. W tym samym momencie drzwi otworzyły się i kobieta w białym fartuchu, jej osobisty-anioł-śmierci, weszła na palcach do środka.

- Niestety... - złożyła razem dłonie - nie byli w stanie nic więcej dla niej zrobić. To serce. Wiedzieliśmy... w jej papierach zaznaczono, że ma słabe serce i że nie powinniśmy robić jej zbyt ciepłej kąpieli... Czy orientuje się pani może, czy miała rodzinę? Ktoś musi załatwić przetransportowanie jej do Kolonii oraz pogrzeb... nie wiemy... w końcu pani była jej przyjaciółką...

- Niece... - odrzekła Lotta, wyprostowując się. Jej spojrzenie padło na butelki wody mineralnej i wieżę plastikowych kubeczków. Słyszała jeszcze pytanie Anny w szkolnej francuszczyźnie *C'est permis...* napić się tej wody? I znów usłyszała swoją odpowiedź, wpływającą z intuicji, której następstwa doceniła dopiero teraz: *Ja, das Wasser können Sie trinken.*

- Nie... - powtórzyła, spoglądając wyzywająco na przybyłą - ja jestem... to jest moja siostra.

SPIS TREŚCI

Część 1 Międzywojnie.....	3
Część 2 Wojna.....	129
Część 3 Pokój.....	265